

ZBIORY OŚRODKA KARTA

PROF. DR MED. GRZEGORZ JANCZEWSKI

„BYŁA PRZESZŁOŚĆ”

Wspomnienia z lat 1935-2005

WARSZAWA 2005 ROKU

Motto:

Kto my i skąd jesteśmy ?
 Kiedy to się zdarzyło ?
 Więc pod uwagę weźmy
 że nigdy nas nie było.

z wierszy Jurija Żiwago
 Borys Pasternak – Doktor Żiwago.

Przekład

Józefa Łobodowskiego.

Moim Rodzicom, moim Nauczycielom i moim
 Wnukom te wspomnienia
 i refleksje poświęcam.

Autor.

Siedzę sobie przed telewizorem i oglądam Telewizyjny Kurier Warszawski. Jest późne popołudnie w połowie lat 1990 -tych. Pani redaktor prowadzi rozmowę z małą, kilkuletnią warszawianką. Zadaje jej pytanie:

Co to znaczy dzisiaj ?

Dziecko odpowiada:

-Dzisiaj zaczęło się w roku 1985.

- A dlaczego ?

- Bo ja się wtedy urodziłam.

Dziennikarka drąży -

-A co było przed tym ?

Odpowiedź jest godna dziecka lub filozofa:

PRZED TYM NIC NIE BYŁO !. PRZED TYM BYŁA PRZESZŁOŚĆ !.

Muszę przyznać, że niewiele dysput publicznych poruszyło mnie równie silnie. Uświadomiłem sobie, że dla pokolenia moich wnuków czasy, w których los mi żyć przykazał mogą się także wydawać okresem kiedy to "nic nie było ". Nie wiem czy moje wnuki Ola i Michał Krauzowie zechcą kiedyś wziąć do ręki te wspomnienia, ale poczułem przymus opisanie tego, co zdarzyło się w czasach, które Pan Bóg wybrał dla mego bytowania. Jako chłopiec prowadziłem różne notatki, zapisywałem wrażenia "dnia dzisiejszego ", szczęśliwie przetrwały zawieruchy dziejowe duże fragmenty, prawie cała korespondencja okupacyjna, dotycząca zwłaszcza okresu listopad 1944-styczeń 1945 a następnie 1945-1946 do chwili powrotu mego Ojca z niewoli. Podobnie jest z wymianą naszych listów w latach 1957 – 1963, kiedy to Rodzice pracowali w Paryżu. W czasie swego pobytu w Stanach Zjednoczonych prowadziłem systematycznie dziennik wydarzeń dnia przez cały rok. Tak więc to co piszę jest w oparte o dokumentację rodzinną nie zaś wytworem fantazji czy dość zawodnej pamięci.

DZIECIŃSTWO (1935 – 1948).

Urodziłem się 18 września 1935 roku w Warszawie w parterowym, drewnianym domku przy ulicy Julianowskiej 14 na Bródnie. Rodzice moi-Antonina z Lindnerów i Władysław Janczewscy byli nauczycielami warszawskich szkół podstawowych. Oboje poznali się w początku lat 1930-tych pracując w małej osadzie flamandzkiej Winterslag, w szkole dla dzieci polskich górników szukających chleba w kopalniach belgijskich. Ślub moich Rodziców odbył się 3 kwietnia 1934 roku w kościele Św. Andrzeja i Karola Boromeusza przy ulicy Elektoralnej. Był to parafialny kościół mojej Mamy. Czarnobiałe zdjęcie ślubne ukazuje młodego mężczyznę z gładko uczesаныmi włosami, z modnym ówczesnie przedziałkiem pośrodku głowy, przytulonego do szczęśliwej, drobnej kobiety ubranej w skromny biały kostiumik i kapelusik z woalką. Oboje pochodzili z rodzin robotniczych. Moja Babcia " po kądzieli " Ludwika ze Stebnowskich Lindner w tym czasie już nie żyła. Prowadziła swego czasu pracownię krawiecką i wychowywała czworo dzieci: Edwarda (1900), Józefa (ur. 1902), Jadwigę (ur.1904) i Antoninę (moją Mamę-ur. 1909). Najstarszy syn Edward zmarł jako nastolatek na szalejącą wówczas gruźlicę, w roku 1917. Babcia Ludwika osierociła rodzinę umierając na raka wątroby w roku 1924. Operujący ją słynny warszawski chirurg Bolesław Szarecki nie był w stanie jej pomóc. Od tego momentu owdowiały Dziadek Ludwik Lindner (ur. 1871 r) wychowywał dzieci sam. Pracował na warszawskiej Woli jako ślusarz, a potem jako galwanizer, w słynnych Zakładach Frageta produkujących nakrycia stołowe. Zawsze związany pracą z Wolą mieszkał wraz z rodziną w małym, dwupokojowym mieszkanku numer 6, na drugim piętrze przy ulicy Białej 7. Był wysokim, szczupłym człowiekiem o niezwykle łagodnym, spokojnym usposobieniu. Jego pociągłą, smutną twarz zdobił sumiasty wąs. Chorował przewlekłe na gruźlicę płuc, która wówczas była chorobą społeczną. Kiedy się urodziłem Dziadek Ludwik był już emerytem prowadzącym wspólne gospodarstwo z Ciocią Jadzią, starszą siostrą mojej Mamy.

Moi Dziadkowie po mieczu przywędrowali do Warszawy w pierwszym dziesięcioleciu XX wieku. Dziadek Jan Janczewski (ur.1878) wywodził się z zubożałej szlachty zamieszkującej okolice Ciechanowa. Była to, jak się to mówiło " szlachta-worek i płachta", ale zawsze dumnie podkreślał, że jest herbu-LIS -, a co więcej miał złoty sygnet z wprawioną metalową, taniutką tarczą herbową przedstawiającą dwukrotnie przekreśloną strzałę Lisów. Dziadek był maszynistą parowozowym carskich "dróg żelaznych ", którego baza znajdowała się na stacji kolejowej Warszawa Praga zwanej wówczas "Praga Nadwiślańska ". Można się domyśleć, że to było powodem dla którego cała rodzina zamieszkiwała głównie na Bródnie, ówczesnej kolonii kolejarzy. Babcia Julia z domu Grzywacz była chłopką urodzoną w roku 1888 koło Jabłonny. Stanowili dobre, kochające i szanujące się małżeństwo. Mieli pięcioro dzieci: Michała (ur. 1908-zmarł w drugim lub trzecim roku życia), Władysława (mego Ojca-ur.1910), Witolda (ur.1912), Stanisława (ur.1914) i Janinę (ur.1920).

Po ślubie Rodzice krótko zamieszkiwali u Dziadka Lindnera na ul.Białej. Babcia Julia Janczewska niebawem znalazła dla kochanego Władzia mieszkanie przy ulicy Julianowskiej, nieopodal muru Cmentarza Bródnowskiego. Było to, delikatnie mówiąc, bardzo skromne mieszkanie, podobne do znakomitej większości mieszkań tej dzielnicy w owych latach. Ochrzczony zostałem jako kilkumiesięczne niemowlę w Kościele Matki Boskiej Różańcowej na Bródnie, kościółku wówczas drewnianym, jak większość budowli Bródna. Rodzicami chrzestnymi byli starsza siostra Mamy-Ciocia Jadzia Lindner i młodszy brat mojego Ojca-Witold Janczewski. Imię moje pochodziło od mego pra-pradziadka-Grzegorza Janczewskiego, szlachetki ziemi mazowieckiej, powstańca 1863 roku. Konfiskata majątku przez władze carskie dekretem popowstaniowym były powodem przeniesienia się rodziny do miasta. Pamięć o uczestnikach tego powstania była pieczołowicie przechowywana w każdej polskiej rodzinie.

Bródno przyłączone wraz z Pelcowizną i Gołędzinowem do Warszawy dopiero w roku 1916 stanowiło aż do lat 1960/1970-tych jedną z najbardziej zaniedbanych dzielnic stolicy. Rozwój tej dzielnicy ściśle wiązał się z koleją. Wiele ulic przypominało polne drogi luźno zabudowane drewnianymi chałupkami, otoczonymi skromnymi ogródkami, oddzielonymi placami nieużytków zarośniętych krzakami i chwastami. Było to, słowem, zadupie miasta. Tego rodzaju „luksusy " jak

woda w każdym mieszkaniu, ubikacja, ba-kanalizacja, nie były tu znane. Chodziło się po wodę do wspólnego kranu zlokalizowanego na korytarzu lub podwórku, zaś " za potrzebą " do drewnianego, zwykle dość brudnego i cuchnącego przybytku w kącie podwórka, służącego wszystkim lokatorom.

Po roku Rodzice przeprowadzili się do mieszkania w "kamienicy ", jednego z niewielu murowanych w tej dzielnicy domów przy ulicy Nadwiślańskiej 17. Mieszkaliśmy na II piętrze, zaś na parterze mieścił się Komisariat Policji Państwowej. Wadą tego locum były wrzaski pijaków zamykanych do wytrzeźwienia w " kozie " czyli „ cyrkułu „, jak powszechnie nazywali tą instytucję okoliczni mieszkańcy dorastający jeszcze za czasów panowania " baciuszki „, Cara Mikołaja.

Okres przedwojenny stanowi dla mnie szereg czarnobiałych, nieruchomych obrazów. Mimo wszystko pamiętam starego Żyda, szewca mieszkającego w domu po drugiej stronie ulicy. Pamiętam zarys jego kiwającej się rytmicznie sylwetki okrytej białą rytualną szatą w świąteczne wieczory szabasowe. Pamiętam przerażające mnie kobiety wdowy, szeregami zdążające na groby rodzinne na pobliski cmentarz bródnowski. Kobiety te, zgodnie z ówczesnym obyczajem, całe w czerni noszonej przez kilka miesięcy po zgonie bliskiej osoby, miały koszmarnie wielkie, długie, powiewające welony żałobne. Właśnie te welony przerażały mnie okropnie, zwłaszcza kiedy młode wdowy (gruźlica zbierała wówczas obfite żniwo) wyciągały do mnie ręce wzbudzając w dziecku trwogę. Cmentarz Bródnowski był zresztą instytucją pełniącą tak funkcje grzebalne jak i towarzyskie, zapewniającą miejsce spacerów, spotkań sobotnio-niedzielnych całej dzielnicy. Znajdywały tu pracę setki ludzi: grabarzy, sprzątaczy, babek utrzymujących za drobnymi opłatami w porządku groby. Jedną z takich cmentarnych sprzątaczek pani Helena była stałą rezydentką domu Dziadków Janczewskich przynosząc codzienny serwis informacji o eleganckich pogrzebach lub o innych wydarzeniach towarzyskich zdarzających się na terenie Cmentarza Bródnowskiego i jego okolicach. Pani Helena utykająca silnie na nogę ze względu na wrodzone i rzecz jasna nigdy nie leczone zwicnięcie stawu biodrowego, znana była powszechnie jako " Helcia Hulajnoga ". Kilka domów dalej przy ulicy Nadwiślańskiej 21 w ogromnym, drewnianym budynku mieszkali Dziadkowie Janczewscy. Dom wybudowany był w roku 1878 przez Barona Kroneneberga i przetrwał aż do roku 1959, kiedy to został rozebrany w związku z budową osiedla Bródno. Ulica Nadwiślańska dobiegała końca niedaleko za domem Dziadków, a dalej ciągnęły się pola uprawne, głównie zasiane żytem. Chodziło się tam na spacer. Posesja składała się z dwóch bliźniaczych drewnianych, jednopiętrowych budynków. W drugiej dekadzie XX wieku zakupił ją ksiądz prałat Kłopotowski z przeznaczeniem na siedzibę Zgromadzenia Sióstr Loretanek. Siostry zajmowały mniej więcej połowę jednego z budynków, w pozostałej zaś części domu żyli ludzie świeccy wywodzący się głównie z proletariatu. Rodziny te były liczne, wielopokoleniowe zaś ich warunki mieszkaniowe niesłychanie ciężkie z kranem na klatce schodowej, wspólnym szaletem w podwórku, bez kanalizacji. Mieszkanie Dziadków było małeńkie, pokój z kuchnią, ale błyszczało czystością. W kuchni, na ścianie, nad miską z wodą do obmywania się wisiała makatka wyszyta kolorową nicią. Przedstawiała obraz typu „ Ułan i dziewczyna przy studni „. Wyszyty kolorową nicią obraz otaczał napis: „ *Nie płacz dziewczyno, minie bój, wróci do ciebie chłopak twój – Warszawa 1920.* Środek podwórka zajmował nędzny ogródek, w części którego znajdowała się stajnia z dwoma końmi, perszeronami rodziny Molskich. Trudnili się oni wozactwem, to znaczy transportem węgla, żwiru i innych materiałów masowych. Żoną seniora Molskiego była Helena, rodzona siostra Babczi Julii. Mimo bliskości pokrewieństwa obie siostry i ich rodziny nie żyły w wielkiej harmonii, czego przyczyn nigdy mi nie wyjawiono. Wielu ojców żyjących tu rodzin było bezrobotnych latami, żyjąc z dobroczynności i okresowych zapomóg. Klany rodzin Molskich, Płochockich, Snopków, Borzymów, Dolinde-Dolindowskich czy Krawczyńskich gnieździły się tutaj skłócone z siostrami zakonnymi, które latami, bezskutecznie chciały usunąć wszystkich świeckich lokatorów. Dziadkowie zajmowali mieszkanie ciasne, składające się z pokoju z kuchnią. W mieszkaniu tym zawsze było pełno ludzi. Rodzina w sobotnie popołudnia i niedziele, codziennie sąsiedzi co sprawiało, że był to dom otwarty. Radia nie było, o telewizji nikomu się nie śniło. Główne rozgłośnie dysponujące bogatym serwisem informacyjnym o ludziach i zdarzeniach na Bródnie to moja Babczia Julia i Jej sąsiadki. Nie sądzę, aby było jakiegokolwiek wydarzenie w dzielnicy, które przemknęło by się niepostrzeżenie bez ich skomentowania i oceny. Agorą stawało

się wieczorem podwórko, na które wszystkie matrony wychodziły z własnymi krzesłami i tu dokonywano przeglądu wydarzeń dnia. Niepojęte dla dzisiejszego mieszkańca Warszawy jest to, że w tych czasach lewobrzeżna część miasta była światem równie dalekim jak Kraków czy Poznań. Do śródmieścia jeździło się niezwykle rzadko, zaś byli tacy, którzy tam nie byli do końca swego życia. Jeśli się do tego doda, że połączenie tramwajowe było przez wiele lat sprawą przyszłości, łatwiej tą małą ruchliwość ludzi z Bródna zrozumieć. W domu Dziadków panował matriarchat. Babcia Julia niewątpliwie była motorem działania. Niesłuchanie ambitna umiała prowadzić w tamtych czasach rodziną "propagandę sukcesu" swoich. Jednym z głównych tematów, a raczej powodów do chwalenia się były wnuki, których przybywało w miarę upływu lat. Babcia opowiadając o rzucającej się w oczy inteligencji kolejnych wnucząt, ich przewagach nader oczywistych nad rówieśnikami, kończyła nieodmiennie swe wystąpienia stwierdzeniem: "*Bo moja Pani, Grzesio mi już dotąd, Kasia mi już dotąd, Mareczek mi już dotąd !*". Towarzyszył temu gest ręki określający poziom, do którego głowa wnuczka lub wnuczki sięga niezbyt okazałej zresztą postaci Babci Julii. Nie lubiła ludzi gadających nie na temat, aby nie rzec głupio. Po takiej rozmowie zapytana o czym mawiał jej rozmówca krótko, ale dobitnie odpowiadała: „*O potopie w d... i zgniłych kamieniach* „. Dziadek Jan wyposażony przez naturę w inteligencję wrodzoną, tryskający humorem, oddany Rodzinie, lojalny w stosunku do sąsiadów, gorący patriota, nie mający zaufania do „politykierów” był dość wysokim, bardzo dobrze zbudowanym mężczyzną, silnym fizycznie. Pamiętam Jego opowiadanie o słynnej manifestacji na Placu Grzybowskim w roku 1905. Dziadek w niej uczestniczył. Twierdził, że doszło do wydarzeń, które wystawiły fatalne świadectwo ówczesnym działaczom politycznym. Wyprowadzono masy ludzkie przed szpalery kozaków i żandarmów, bojowcy PPS i SDKP i L zaczęli z tłumu strzelać, co spowodowało salwy karabinowe wojska rosyjskiego. Tłum został zmasakrowany, przywódcy znikli. Skąd my to znamy ?.

Byłem, kimś w rodzaju proletariackiego księcia Walii-najstarszy wnuk, najstarszego syna. Wszyscy moi Dziadkowie, tak "po mieczu" jak i "po kądzieli", kochali mnie ogromnie i tą miłość umieli okazać. W zasadzie cała Rodzina nie zwracała się do mnie inaczej niż Grzesiułku lub Dudusiu. Nie byli to ludzie wykształceni, ani bogaci, ale czerpali z bogactwa swych serc, którym to bogactwem szczerze obdarowywali bliskich. Do końca swych dni będę pamiętał ich sylwetki, chociaż Ich rysy ich twarzy i głosy ulegają coraz bardziej zatarciu. Wszyscy dziadkowie byli ludźmi głęboko wierzącymi, przynależnymi do Kościoła Katolickiego. Święta kościelne gromadziły zwykle całą rodzinę. W pamięci pozostały mi Zielone Święta obchodzone zgodnie ze zwyczajem wiejskim niezwykle uroczystie ze śpiewem Rodzinnym:

*Nasza izba ustrojona,
Tatarakiem umajona,
Tatarakiem, wodną trzcina,
i czeremchą i kaliną !
Zielone Święta tra la la,
Zielone Święta, tra la, la, la !*

Rodzice moi, młodzi nauczyciele, robili swego rodzaju karierę. Ojciec został po powrocie z Belgii zatrudniony w Publicznej Szkole nr.126, która była szkołą ćwiczeń, co oznaczało, że jest ona afiliowaną przy ośrodkach kształcenia i doskonalenia nauczycieli. Kierowniczką szkoły była pani Stefania Usarkowa, doświadczony pedagog, stawiający niesłuchanie wysokie wymagania sobie i swoim współpracownikom. Jej mąż dr. Leon Zygmunt Usarek był dyrektorem znanego warszawsko-praskiego VIII Państwowego Gimnazjum i Liceum imienia Króla Władysława IV, którego solidne gmazyszko znajduje się na rogu ulic Jagiellońskiej i ówczesnej Zygmuntońskiej (dzisiaj Al. Solidarności).

Szkoła ta została założona w roku 1885 przez władze carskie jako „VII Rządowe Gimnazjum Męskie na Pradze imienia Imperatora Aleksandra Pierwszego „. Nauka prowadzona była wyłącznie w języku rosyjskim. 4 lutego 1905 roku uczniowie gimnazjum przystąpili do strajku wyrażając sprzeciw prowadzonej w sposób barbarzyński polityce rusyfikacji młodzieży polskiej. W ramach retorsji władze oświatowe wydalili ze szkoły kilkunastu uczniów, a pośród nich Juliusza Zweibauma, późniejszego profesora embriologii i histologii Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu

Warszawskiego i następnie Akademii Medycznej w Warszawie. Na początku roku szkolnego 1907/1908 gimnazjum przeniosło się do nowego budynku na rogu ówczesnych ulic Petersburskiej i Aleksandrowskiej. W gmachu tym szkoła pracuje do dzisiaj.

Po odzyskaniu niepodległości szkole nadano imię Króla Władysława IV, który w roku 1648 nadał Pradze prawa miejskie. Losy Rodziny Usarków w następnych kilkudziesięciu latach spletały się z naszymi, nie tylko poprzez wspólną pracę pedagogiczną. Mama została zaangażowana do pracy w prywatnej Szkole Podstawowej pani Zofii Kurmanowej i przez ostatnie lata przedwojenne oraz w okresie tajnego nauczania, do przymusowej likwidacji szkoły w roku 1942 była jej kierowniczką.

W roku 1937 Rodzice przenieśli się do nowego mieszkania przy ulicy Nieporęckiej 10 w dzielnicy zwanej powszechnie Szmulowizną. Nowe mieszkanie było dwupokojowe, w porównaniu z dotychczasowymi wręcz luksusowe, obszerne, widne, zlokalizowane na I piętrze. Dom, w którym właśnie zamieszkaliśmy w czasach carskich był dwupiętrową szkołą podstawową. W latach 1920-tych nadbudowano jeszcze dwa piętra, a całość przebudowano na dom mieszkalny. Zajmowali go w całości pracownicy praskich, okolicznych szkół: nauczyciele, woźni, sekretarki. Między innymi na czwartym piętrze domu mieszkało bezdzietne małżeństwo Amelia i Waław Palessowie.

On był malarzem, członkiem Bractwa Świętego Łukasza, autorem portretów pułkownika Lisa Kuli, patrona Gimnazjum i Liceum przy ulicy Odrowąża oraz namalowanego już po 1956 roku portretu Króla Władysława IV, patrona naszego liceum zdobiącego szkołę przy ulicy Jagiellońskiej 38. Pana Profesora Waław Palessę operowałem wiele lat potem usuwając zmianę nowotworową. Niestety było to jedno z licznych ognisk tej choroby, na którą zmarł kilka lat później. W darze otrzymałem od Niego wspaniały obraz olejny przedstawiający ulicę Świętojańska z widokiem na Zamek Królewski.

Administrował domem Magistrat m.st. Warszawy wykazujący nieznaną dzisiaj dbałość o swe mienie. Administratorem był kulturalny, spokojny i kompetentny pan Marian Śledź – Jeziński, zamieszkujący na III piętrze tegoż domu. Każdej jesieni zapowiedziani uprzednimi ogłoszeniami zgłaszali się kolejno specjaliści: zdunowie, hydraulicy, kominiarze, szklarze. Wykonywali na koszt Władz Miasta, czyli właściciela gmachu, wszelkie naprawy bezpłatnie. Przyjęcie właściwego wykonania robót lub stwierdzenie, że główny lokator nie zgłasza konieczności naprawy wpisywało się do specjalnego zeszytu kontrolnego. Ten tryb postępowania przetrwał do wiosny 1945 roku, kiedy to zainstalowała się nowa władza i nowe "porządki". Domem rządziła dozorczyńni pani Petronela Stabrowska. Była to potężnej postury kobieta, której stanowczość powodowała, że nikt nie śmiał brudzić, śmiecić, rozrabiać.

Każdy z lokatorów miał własny klucz od furki osadzonej w potężnej drewnianej okutej bramie. Odwiedzający dzwoniłi do dozorczyńni, której musieli opowiedzieć kto zacz, do kogo i nieomal w jakiej sprawie. Błąkający się niepewnie w okolicy bramy przybysz nieodmiennie był zapytywany: " *Pan Szanowny kogo uważa ?*". Pani Stabrowska była wdową po dawno zmarłym legionście. Wychowywała czworo dzieci: Genia, Wacka, Marysię i Bronka. Najmłodszy Bronek, rok czy dwa ode mnie starszy, był jak mówiono w okolicy "*urwańcem spod szubienicy*", znanym na Szmulkach psotnikiem. Ulica Nieporęcka, wąska, krótka uliczka łącząca ulice Ząbkowską i Białostocką była zabudowana po jednej, wschodniej stronie domami mieszkalnymi. Stronę zachodnią stanowił mur Warszawskich Zakładów Przemysłu Spirytusowego, znanych powszechnie w okolicy, ba na całej Pradze, jako "monopol". Nawierzchnia, naszej ulicy podobnie jak na większości uliczek Centrum Pragi była brukowana „kocimi łbami „, to znaczy polnym kamieniem. Ojciec miał blisko do pracy, Mama jeździła na ulicę Bracką tramwajem. W czasie naszego zamieszkiwania na Bródnie mną opiekowała się siostra Babci Julii, Władysława Szybowska, zwana Ciotką Władką. Była prostą kobietą kochającą mnie ogromnie. Doszło jednak do konfliktów pomiędzy Nią i moją Mamą, co spowodowało Jej zniknięcie z naszego domu w momencie przeprowadzki na Nieporęcką. W Jej miejsce zjawiała się młoda wieśniaczka z okolic Grójca, dwudziestokilkuletnia Helena Seta. Pozostała z nami aż do sierpnia 1939 roku.

Rodzice moi byli pod przemożnym, głębokim wpływem kultury francuskiej. Z tego co wiem, dość nieźle, zwłaszcza Ojciec, mówili po francusku. Jako małe dziecko byłem dość

systematycznie uczony tego języka i opanowałbym go zapewne wcale dobrze, gdyby nie wydarzenia wojny i warunki w jakich wówczas żyć nam przyszło.

Trudno w to uwierzyć, ale wydarzenia września 1939 roku i następnie "dziwna wojna" roku 1940 zburzyła mit "słodkiej Francji" i tak z całej francuszczyzny pozostała mi tylko modlitwa do Świętego Mikołaja, którą mogę wyśpiewać nadal po tylu, tylu latach obudzony z głębokiego snu:

O grand St. Nicolas

Patron des ecoliers

Apportez moi du sucre

Dans mon petit panier

Je serai bien sage

Comme un petit mouton

Je dirai mes prieres

Pour avoir des bonbons.

Venez, venez St. Nicolas !

Venez, venez St. Nicolas !

Tralla la !

Dzielnica, w której zamieszkaliśmy to słynne Szmulki, zwane także Michałowem.. Położone pomiędzy nadmiernie rozbudowanymi, jeszcze za czasów carskich, torami kolejowymi dworców Wschodniego i Wileńskiego były swoistą enklawą. Zamieszkiwał ją proletariát, głównie jego arystokracja czyli tramwajarze i kolejarze zatrudnieni w pobliskiej wielkiej zajezdni przy ulicy Kawęczyńskiej i na obu dworach PKP, pracownicy fabryki mydła Adamczewskiego (ul.Grodzieńska), młynów (Białostocka i Kawęczyńska), Warszawskiej Fabryki Farb Graficznych (Kawęczyńska 9), fabryki makaronów „Pastificio Moderno Napoli „ (Kawęczyńska), "drucianki" (Kawęczyńska), motorów dla przemysłu lotniczego Avia (ul.Zachariasza) i wielu, wielu innych mniejszych lub większych zakładów pracy. Prowadziło też w tej okolicy intensywną działalność wiele zakładów rzemieślniczych.Co najmniej połowę zabudowy Szmulek stanowiły parterowe domy drewniane, a co najwyżej dwupiętrowe. Ludność pochodzenia żydowskiego zamieszkiwała głównie domy w tej części Ząbkowskiej, w którą wjeżdżało się (jeszcze tramwajem) od Targowej, oraz ulicę Brzeską na tyłach Bazaru Różyckiego. Kiedy szedłem z Mamą wieczorem, zwłaszcza wieczorem w piątek, tłumy starozakonnych ubranych na czarno zalegały przed wejściem do domów. Słysząc było gwar mowy, której nie znałem. Żydowskie centrum lokowało się jednak na przecięciu ulic Jagiellońskiej i Szerokiej (dzisiaj księdza Kłopotowskiego) i Brukowej (dzisiaj Okrzei). Tu blisko siebie znajdowały się synagoga, domy opieki i akademiki, mykwa rytualna i rzeźnia koszerna. Ruiny zdewastowanej przez Niemców synagogi w całkiem niezłym stanie doczekały wejścia Rosjan w roku 1944. Kawaleria bolszewicko-kozacka trzymała tam, w ramach szacunku dla wszelkich religii..... konie. Mury jej rozebrano dopiero w latach 1950 – tych. Nie było już komu się w niej modlić.

Starzy Prażanie pamiętają, że dopiero po wojnie tory tramwajowe z jezdni wschodniej ulicy Targowej zostały przeniesione na środek ulicy będący do tego czasu niezagospodarowanym trawnikiem okolonym drzewami. Podobnie tory tramwajowe biegły jezdnią ulicy Zielenieckiej.

W latach 1930-tych ruszyła budowa wielu domów mieszkalnych, drobnych zakładów pracy, a nade wszystko szkół.We wspaniałym na owe czasy kompleksie szkolnym przy ul.Otwockiej 3 pracowały szkoły podstawowe nr. 126 i 194. Mniejszy, ale też nowoczesny gmach mieszczący żeńskie Gimnazjum i Liceum im. M. Curie-Skłodowskiej został wybudowany na ulicy Kawęczyńskiej, tuż obok wjazdu do zajezdni tramwajowej. Jeszcze jednym obiektem oświatowym, który powstał latach rządów Prezydenta Starzyńskiego był zespół szkół podstawowych na rogu ulic Ząbkowskiej i Korsaka. W starym domu na rogu Radzymińskiej i Wiosennej, zaadoptowanym z budynku mieszkalnego pracowała szkoła podstawowa dla dzieci opóźnionych w rozwoju umysłowym. Tak więc to swoiste zagłębienie oświatowe sprawiało, że poważną grupą, co więcej mającą duży szacunek społeczny w środowisku dzielnicy, byli nauczyciele. Nieomal wszyscy stali mieszkańcy tej dzielnicy znali się wzajemnie, co wprowadzało pewien ład w tej mikrospołeczności. Nie było w zasadzie ludzi anonimowych.Wiedziano kto jest porządnym człowiekiem, a kto

"szemranym". W tej społeczności obowiązywały jednak pewne żelazne zasady współzycia, totalnie zniszczone zdemolowaniem struktury mieszkańców Warszawy i Pragi przez wojnę, zaś Powstaniem Warszawskim i jego skutkami, w szczególności. Złodziej nigdy nie kradł w swoim domu, ba... w swojej okolicy, zgodnie z zasadą, że " *lis nie dusi kur koło swej jamy*". Warszawski łobuziak, złodziejasek, słowem człowiek z farajny miał swój honor, zasady, i nie waham się powiedzieć swoją specyficzną kulturę. Było rzeczą normalną, że idąc z Ojcem ulicą Żąbkowską czy Kawęczyńską, słyszałem nieustannie grzeczne: " *Moje uszanowanie Panu Profesorowi!*".

Zwornikiem Szmulek była świątynia będąca swego rodzaju unikatem architektonicznym Warszawy-Bazylika pod wezwaniem Najświętszego Serca Jezusowego, posadowiona na końcu ulicy Kawęczyńskiej. Sylwetka tej świątyni przypominała słynną rzymską Bazylikę Świętego Pawła Apostoła za Murami. Bazylika prowadzona była i szczęśliwie ocalała nadal jest prowadzona znakomicie przez Księży Salezjanów. Ten zakon księży-pedagogów, w sposób szczególny przygotowanych do pracy z ubogą, trudną młodzieżą męską był błogosławieństwem dla okolicy biednej, niepokornej, dręczonej wieloma problemami społecznymi. Praktycznie rzecz biorąc całe nasze dzieciństwo, a właściwie lata chłopięce i młodzieńcze upłynęły w cieniu Bazyliki, a młodzi księża i klerycy pracujący w jej murach byli naszymi najlepszymi i najbardziej lojalnymi kumplami i partnerami do gier sportowych.

Z czasów przedwojennych pamiętam mało. Ulotne obrazy wiązały się z ostatnim Świętem Niepodległości 11 Listopada 1938 roku. Rodzice wzięli mnie na defiladę wojskową, która odbywała się w Alejach Ujazdowskich. Byłem zafascynowany, ale jednocześnie przestraszony kawalerią pędzącą przy dźwięku orkiestr wojskowych. Ojciec pokazywał mi małych doboszów, chłopców "dzieci pułków" jadących na koniach na czele szwadronów ułanów i szwoleżerów. Przy szybko zapadającym w listopadzie zmroku znaleźliśmy się na Placu Piłsudskiego, gdzie Grób Nieznanego Żołnierza oświetlony był smugą reflektora przeciwlotniczego wydobywającą z mroku także pomnik Księcia Józefa Poniatowskiego stojący przed frontem Pałacu Saskiego. Mama kupiła mi wedlowską czekoladową figurkę ułana. Jej smak przypominał mi się przez wiele głodnych dni okupacji niemieckiej. Na Gwiazdkę 1938, ostatnią gwiazdkę czasu pokoju i wolności, dostałem wspaniałego konia na biegunach, czako ułańskie i błyszczącą blaszaną szablę. Dzięki temu mogłem na długie chwile "pędzić" na swym rumaku na czele własnego szwadronu, nucąc w ślad za Wujem Frankiem, bratem Babci Julii, weteranem wojny roku 1920 -ego: " *Lance do boju, szable w dłoń, bolszewika goń, goń, goń!!!*". Oczywiście nie miałem zielonego pojęcia, któż to jest ten "bolszewik", którego nie lubił stary bombardier pułku artylerii konnej.

Naszych prawdziwych ułanów zobaczyłem po raz ostatni przy końcu sierpnia 1939 roku. Wracaliśmy furką z wakacji spędzanych we wsi kurpiowskiej Pniewach. Pułki ułańskie jechały na pozycje obronne, gdzieś na granicy z Prusami Wschodnimi za Wyszkowem. Był upał, jeźdźcy byli zakurzeni, znużeni, konie spienione. Kończyły się ostatnie chwile mojego spokojnego, szczęśliwego dzieciństwa.

WOJNA (1 IX 1939-22 VII 1946)

Nie rozumiałem tego wszystkiego. Rodzice czymś byli niesłuchanie przejęci i zdenerwowani. Częściej niż zwykle przed tym bywali w naszym domu koledzy Ojca. Wszyscy podnieceni. Słowo "wojna" było dla mnie nowością, która nawet nie przerażała mnie, bo nie szło za nim doświadczenie małego dziecka. Pierwsze dni września 1939 roku upamiętniły się głównie tym, że Ojciec wyszedł z domu i nie wracał. Przed wyjściem z domu "na wojnę" oklejał wszystkie szyby w oknach białymi paskami papieru krzyżując je na kształt X. Dlaczego i po co, nie wiedziałem, ale wyglądało to fajnie. Zgodnie z zaleceniem Prezydenta Starzyńskiego Mama przygotowała dla mnie szkaplerzyk o wymiarach małej pocztówki. Na grubym, szarym harcercskim płótnie wyhaftowała moje dane: " *Grzegorz Janczewski, urodzony 18. września 1935, syn Władysława i Antoniny z d. Lidner. zamieszkuje Warszawa-Praga ulica Nieporęcka 10 m 7*". Od 31 sierpnia do pierwszych dni października 1939 nosiłem to na szyi. Było to mądre zalecenie władz, które ułatwiało identyfikację dzieci zagubionych w czasie oblężenia Warszawy. A w ilu

przypadkach ułatwiało identyfikację dziecięcych zwłok ?. Mimo napiętej atmosfery mając obok siebie Mamę czułem się spokojny i bezpieczny. Zresztą nie było w obliczu wojny atmosfery strachu, a nieuzasadnione dobre samopoczucie przeciętnego warszawiaka objawiało się dość powszechnym przekonaniem, że *"na awanturze z namy, ten w ząbek czesany Adolf się natnie, a jak zacznie to nasze chłopaki będą w Berlinie !"*. Około 4 września przyjechał do nas Dziadek Ludwik Lindner i zabrał nas do siebie, do mieszkania przy ulicy Białej. Ciocia Jadzia pracująca w Głównej Kwaterze Związku Harcerstwa Polskiego była zmobilizowana w ramach służby sanitarnej Poghotowia Harcerek i przebywała w nieznanym miejscu poza Warszawą. W niewielkim mieszkanku na Białej byliśmy wraz z Mamą i Dziadkiem do chwili rozpoczęcia się oblężenia Warszawy. Wtedy zjawili się nowi lokatorzy - żona i córka Wujka Henryka Reinhardta, siostrzeńca Dziadka Ludwika. Wujek Henio, inżynier, został zmobilizowany i jako oficer saperów brał czynny udział w obronie stolicy. Jego szabla oficerska stała u wezglowia mojego łóżka przez cały czas obrony Warszawy dodając mi odwagi. A tej trzeba było, aż w namiarze. Ostrzeliwanie miasta nasilało się każdego dnia. Coraz więcej godzin spędzaliśmy w piwnicach. Spacerunki poza dom były coraz rzadsze, coraz krótsze, coraz bardziej niebezpieczne. Sam Pan Bóg wie, czy bezpieczniej było siedzieć w piwnicy cały czas, ale, jak sądzę, ważne było tak zwane zaczerpnięcie świeżego powietrza w czasie, kiedy ustawało intensywne bombardowanie miasta z ładu i powietrza. Trudno zresztą mówić o świeżym powietrzu na ulicach zasnutych dymem i kurzem z palących się domów i pełnym zapachu rozkładających się pod gruzami ciał ludzkich. Dziadek Ludwik odważnie wyprawiał się na miasto zdobywając żywność, a nade wszystko wodę, o które było coraz trudniej. Czasem zdobywał mięso z padliny końskiej. W czasie wyjść poza dom widzieliśmy ogromne zniszczenia spowodowane przez Niemców. Na okolicznych ulicach Chłodnej, Ogrodowej i Elektoralnej mężczyźni kopali głębokie rowy najprawdopodobniej traktowane jako tak zwane rowy przeciwlotnicze, chroniące przed odłamkami bomb i pocisków artyleryjskich. Inne grupy gorączkowo odsypywały ruiny świeżo zbombardowanych domów, po których znajdowali się zasypani ludzie. Na skwerze przed wejściem do kościoła Świętego Andrzeja i Karola Boromeusza na ul. Elektoralnej wyrósł cmentarz, na którym każdego dnia przybywało nowych grobów. Pogrzeby odbywały się w przerwach ogniowych i po kilku dniach z braku trumien ciała grzebano owinięte w prześcieradła. Zwracał uwagę odprawiający egzekwie żałobne wysoki ksiądz z głową owiniętą przekrwawionym bandażem. Nasilenie niszczenia miasta przez oblegających Niemców rozpoczęte w niedzielę 10 września unieruchamiało masy ludności cywilnej w piwnicach. Domy trzęsły się, skrzypiały, sypały pyłem utrudniającym oddech i skrzypiącym w zębach. Piwnice rozbrzmiewały jękiem, płaczem, wzywaniem o pomoc Najwyższego, przekleństwami. Jest paradoksalne, że czułem się raźniej niż ludzie dorośli, ponieważ miałem poczucie, że nie ma prawa nic mi się stać z tego jeżeli jestem z Mamą, ściśle do Niej przytulony. I w pewnym dniu zapadła cisza. Gdzieś w połowie września usłyszeliśmy przerażające wiadomości, że zbombardowano Zamek Królewski i Katedrę. Dorośli płakali powtarzając, że polskie oddziały skapitulowały. Wielu pozbawionych było domu, a co gorsza bliskich, którzy zagubili się w wirach wojny lub zginęli. Obrona Warszawy była zakończona. Wujek Henio przyszedł pożegnać się z nami. Zdecydował poddać się umowie kapitulacyjnej, zgodnie z którą oficerowie załogi Warszawy mieli iść do obozów jenieckich. Odrzucił propozycję pozostania w ukryciu, w mieście tłumacząc, że nie może zostawić kolegów, z którymi wspólnie walczył w obronie miasta. Dla mnie Jego odejście oznaczało zniknięcie z wezglowia łóżka szabli, która była oznaką obecności naszej armii pokonanej w tak krótkim czasie.

W pierwszych dniach października zjawiał się mój Ojciec, który zgodnie z rozkazem pułkownika Umiaszowskiego opuścił miasto podejmując wędrówkę na wschód. Przyniósł dobrą wieść, że mimo bardzo rozległych zniszczeń Pragi nasz dom na Nieporęckiej stoi nienaruszony. Wróciła także Ciocia Jadzia, która podobnie jak Tata odbyła wędrówkę tak żmudną i niebezpieczną, jak bezsensowną, w gronie harcerzy pełniących służbę na rozstrzeliwanych drogach polskiego września.

Wracaliśmy do domu dziękując Dziadkowi Ludwikowi za serdeczną gościnę i opiekę w tych dramatycznych dniach. Na rogu Białej i Elektoralnej przeżył się dumnie ogromny żołnierz

niemiecki. Wielkie odpasione chłopisko stało na szeroko rozstawionych nogach jak pomnik zwycięstwa trzymając karabin zawieszony na ramieniu. Groza nowych, ciężkich czasów promieniowała od tego ubermenscha. Jakże był on obcym, innym od naszych polskich żołnierzy, którzy zwartymi oddziałami, już rozbrojeni, bez pasów, opuszczali miasto. Było w ich wyglądzie coś niezwykle żalospnego. To już nie była ta nasza dumna, niepokonana polska armia, tak wspaniale prezentująca się na listopadowej paradzie 1938 roku. Nawet dziecko odczuwało katastrofę, której rozmiarów i skutków jeszcze nie znano. Żegnały ich łzy nas wszystkich, których tak bohatersko bronili. Pocieszano się, że będzie to krótkie rozstanie z naszymi, bowiem Anglia i Francja przystąpiły już do wojny, a więc tryumfy Niemców muszą być chwilowe. Kto, czy co to jest "Francja " i "Anglia " nie miałem pojęcia, ale sądząc z głębokiej wiary moich Rodziców i otaczających mnie dorosłych, musiał to być ktoś jeszcze potężniejszy niż opasły Niemiec z rogu Białej i Elektoralnej, ktoś kto go wyprosi z Warszawy. Szliśmy ulicami, które trudno było poznać. Wszędzie leje po pociskach i bombach, sterty gruzu, odłamki belek drewnianych, mebli. W powietrzu zaduch spalenizny, wokół niektórych ruin przykry zapach rozkładających się zwłok. Fasady domów pokryte dziurami po pociskach i odłamkach. Na Elektoralnej byłem zafascynowany kamienicą rozprutą od dachu do piwnic przez bombę. Wnętrze domu ukazało się jak to widziałem w domu lalek mojej kuzynki Elżuni Reinhardt, z którą spędzaliśmy czas bombardowań w piwnicach domu przy ulicy Białej. Gdzieś na trzecim piętrze na pięknie wytapetowanej ścianie nad urwiskiem wisiała nienaruszona półka z książkami. Szliśmy z Rodzicami na piechotę na Pragę mając możliwość obserwowania wielu podobnie i jeszcze gorzej wyglądających kamienic. Tam gdzie zachowały się szyby wszędzie były one przekreślone "iksami" pasków papieru naklejonymi u progu wojny zgodnie z zarządzeniem naszych polskich władz wydanym u progu wojny. Dopiero wtedy zrozumiałem, że paski te miały chronić od pokaleczenia odłamkami szkła wylatującym z okien w czasie podmuchu towarzyszącego wybuchom bomb i pocisków.

Na Pragę szliśmy długo i wolno, odcinkami klucząc wąską ścieżką wydeptaną pomiędzy zwalami gruzów. Żadne środki komunikacji miejskiej nie funkcjonowały i zapewne z tego powodu ruch pieszy był ogromny. Niekiedy przejeżdżały furmanki wyladowane tłumokami i meblami. Wszędzie spotykało się grupy żołnierzy Wehrmachtu oglądających swoją "dobrą robotę ", z rechem fotografujących się na tle gruzów miasta. Ten widok był szokujący i głęboko wrył się w pamięć. Na drugi brzeg Wisły doszedłem z trudem. Ojciec niósł nasze walizki i nie był w stanie nieść mnie na rękach przez całą drogę. A ja skończyłem dopiero czwarty rok życia. Na ulicy Ząbkowskiej liczne drewniane domy znikły, zaś na ich miejscu znajdowały się pogorzelska. Jeszcze gorzej było w głębi Szmulek wzdłuż ulic Radzymińskiej i Kawęczyńskiej. Ocalały jednak wszystkie szkoły, zajezdnia tramwajowa, i większość zakładów pracy. Wciąż płonął młyn na Michałowcu, w okolicy Bazyliki. Stamtąd okoliczna ludność wynosiła ziarna zbóż, które w pierwszych tygodniach, a nawet miesiącach okupacji stanowiły podstawę żywienia. W naszym mieszkaniu Ojciec zmagazynował około 50 kg tego "surowca ", z którego potem Mama przyrządzała kasze mielone w młynkach do kawy i moździerzach.. Mieszkanie w domu przy ul. Nieporęckiej było nienaruszone za wyjątkiem szyb, które były całkowicie zniszczone przez podmuchy wybuchów. Bombardowanie obu dworców kolejowych Wschodniego i Wileńskiego dawało o sobie znać. Ojciec wstawił doraźnie w puste ramy okienne kawały tektury i dykty, co sprawiało, że także we dnie mieszkanie było ciemne. Kiedy Niemcy zajęli budynek szkolny przy ulicy Otwockiej na koszary wojskowe siłami niewolników żydowskich po prostu wyrzucili na stos całe wyposażenie szkół. Nauczyciele wspólnie z uczniami i ich rodzicami systematycznie wykradali wszystko co się wykraść dało, aby urządzić pomieszczenia nowych miejsc nauczania. Między innymi Ojciec wynosił oprawne w ramy i oszklone duże portrety dostojników państwowych, z których odzyskiwano szkło. To szkło wystarczyło, aby jeszcze przed zimą można było oszkląć przynajmniej fragmenty naszych domowych okien, na tyle, aby dopuścić z zewnątrz światło dnia. Pewnego dnia zjawił się młody, drobny chłopak z ryżawą czupryną, który przyniósł ze sobą szkło i narzędzia szklarskie. Ojciec przedstawił go: " *Pan Janek Bytnar, syn pani Koleżanki Bytnarowej, nauczającej w Szkole Specjalnej*". Janek w ciągu jednego dnia oszklilił nam okna zachodzącymi na siebie kawałkami szyb. W tych czasach oszklenie okien pełnymi płatkami szklanymi było ze

względów na brak szkła na rynku i koszty dla nas niedostępne. Nie muszę wspominać, że materiałem do tego szklenia naszych okien były tafle szkła z „odzyskanych” portretów dostojników państwowych. W takim stanie szyby przetrwały całą wojnę. Jeszcze w raz w czasie okupacji postać Janka Bytnara wróciła do nas po słynnej akcji pod Arsenalem.

W ciągu dwóch-trzech tygodni odnaleźli się szczęśliwie wszyscy lokatorzy tego domu. Rozpoczęły się długie wieczorne rodaków rozmowy i opowiadania o tym co się przeżyło w czasie kampanii wrześniowej. Rozpoczął się jednocześnie koszmar ponad pięciu lat okupacji hitlerowskiej, którą zapewne łatwiej było przeżyć nie wiedząc wprzód co nas w tym czasie czeka.

W naszym domu zaczęły się bardzo ciężkie czasy, w których groza tego wszystkiego co działo się poza domem skojarzyła się z niedostatkiem, a zwłaszcza głodem. Rodzice moi umieli tylko nauczać. Inna działalność była dla nich obcą, nie umieli "przestawić się" na działania, które w czasach jakie nadeszły niektórym pozwalały żyć nieźle. Nazywając rzeczy po imieniu: nie umieli kombinować!. Wokół, mimo koszmaru okupacyjnego, kwitł handel, szerzyło się popierane przez okupanta produkowanie alkoholu metodami chałupniczymi zwane bimbrownictwem, oraz szmuglowanie do miasta żywności, której brakowało i której ceny rosły. Rodzice pracowali nadal jako nauczyciele w swoich szkołach. Pensje „urzędowe”, pozostały nominalnie na poziomie czasów przedwojennych, zaś koszty utrzymania, zwłaszcza żywności i opału zwiększyły się wielokrotnie. Szkoły zostały przez Niemców wyrzucone z budynków zajętych przez żandarmerię okupanta. Tak stało się na Szmulowiznie ze szkołami przy ulicy Otwockiej i na rogu Kawęczyńskiej i Kossaka. Szkoła nr.126, w której uczył mój Ojciec została przygarnięta przez instytucję kościelną. Pani Stefania Usarkowa dotarła poprzez Siostry Albertynki prowadzące dom opieki nad nędzarami przy ulicy Kawęczyńskiej 5 do księdza doktora Lipińskiego. Ten wspomniał człowiek załatwił udostępnienie szkołom 126 i 130 budynek Niższego Seminarium Duchownego przy ul. Kawęczyńskiej 49. Okupant nie zgadzał się na uruchomienie tego seminarium i księża uznali, że w tej sytuacji właściwym jest udostępnić ten gmach bezdomnym szkołom polskim. Warunki pracy szkoły były przeogromnie trudne, dzieci gnieździły się w maleńkich pomieszczeniach, nauka prowadzona z konieczności na wiele zmian. Przed 11 listopada 1939 roku środowisko nauczycielskie Pragi było wstrząśnięte masowymi aresztowaniami dyrektorów i kierowników szkół podstawowych i średnich. Aresztowano między innymi dr. Leona Usarkę, Dyrektora Gimnazjum im. Władysława IV. Oficjalnym tłumaczeniem Niemców było to, że stanowią oni grupę zakładników, którzy odpowiedzą własną głową za ewentualne wystąpienia społeczeństwa z okazji Święta Niepodległości. Siedział On przez kilka miesięcy na Pawiaku, z którego wyszedł wiosną 1940 roku. W tym czasie po naradzie z polskim inspektorem szkół praskich panem Palińskim zdecydowano, aby przedwojenni kierownicy szkół poprosili o "bezterminowy urlop". Tak się stało z panią Stefanią Usarkową, czy z kierownikiem sąsiedniej szkoły nr. 130, panem Dargielem, ojcem znanego z czasów wojny i konspiracji harcmistrza Szarych Szeregów, autora popularnych piosenek żołnierskich. Ojciec, 29 letni wówczas nauczyciel na wniosek i prośbę pani Usarkowej i Kolegów przyjął na siebie trudną i niewdzięczną funkcję kierownika szkoły nr.126, którą pełnił do końca roku szkolnego 1943/1944. Środowisku chodziło o to, aby władze niemieckie nie przysłały kogoś, kto będzie kolaborantem kontrolującym szkołę i zespół nauczycielski. Od początku nastawiano się na tajne nauczanie zgodne z programem przedwojennej szkoły, programem, którego realizacja miała być przez okupanta karana śmiercią.

Sytuacja Mamy była jeszcze gorsza. Szkoła pani Zofii Kurmanowej była instytucją prywatną. Była więc uzależniona, siłą rzeczy, od zgłaszania się uczennic dziewcząt z rodzin dobrze lub bardzo dobrze sytuowanych. Przed wojną szkoła miała bardzo dobrą opinię w Warszawie, ale także nie była wolna od kłopotów ekonomicznych. Wynajem lokalu szkoły w dobrym miejscu Śródmieścia przy ulicy Brackiej nie był tanim przedsięwzięciem, pensje personelu były stosunkowo wysokie. Pani Zofia Kurmanowa pochodząca z bardzo bogatej rodziny Wróblewskich, spedytorów prowadzącej rozległe interesy w całym kraju, u progu wojny była osobą starą i chorą. Szkoła od listopada 1939 roku musiała działać w warunkach konspiracyjnych. Trudności nasilał fakt odpadnięcia ze składu uczennic wcale licznych córek bogatych rodzin żydowskich. Część z nich zdołała ująć z Polski przed wrześniem 1939 roku, reszta walczyła o przetrwanie w gwałtownie

pogarszających się warunkach, w izolacji i w obliczu eksterminacji za murami getta. Tak więc Mama zarabiała nieregularnie. Co gorsza będąc osobą bardzo wrażliwą, pracując w ogromnym stresie tropionej zwierzyny, zaczęła podupadać na zdrowiu. W roku 1942 szkoła była w sposób szczególny śledzona przez niemieckiego inspektora. I tak któregoś dnia Mama wpadła do domu zdenerwowana i skrajnie wyczerpana psychicznie. Policja niemiecka weszła do domu, w którym odbywały się tajne komplety szkoły pani Kurmanowej. Mama wraz z nauczycielkami rozpoczęła bardzo szybką ewakuację uczennic tylnym wyjściem, podczas gdy woźny opóźnił wejście Niemców na górę. Wszystkie dziewczęta uszły cało, ale ten epizod zakończył definitywnie działalność tego co ze szkoły pozostało.

Koniec roku 1939 był straszny. W okresie pierwszych w czas okupacji Świąt Bożego Narodzenia Warszawa została sparaliżowana wieścią o masowym mordzie dokonanym przez Niemców w Wawrze. Dokonano tam bez sądu egzekucji ponad 100 mieszkańców, mężczyzn wyciąganych z domu, Bogu ducha winnych ludzi. Rozpoczęła się era bezwzględnego terroru i eksterminacji ludności. Zakupiony przez Ojca na rok przed wojną wspaniały aparat radiowy Philipsa musiał być oddany okupantowi. Polak nie miał prawa słuchać radia, a więc kontaktów ze światem. Nie oddanie odbiorników było karane śmiercią i takie przypadki były dość liczne. Ojciec oddał aparat w wyznaczonym miejscu za pokwitowaniem, po dokładnym „przygotowaniu „ wnętrza do stanu nieużywalności.

W naszym domu zaczął się głód. Jadało się bardzo skąpo i bardzo postnie. Byłem wówczas w okresie intensywnego rozwoju fizycznego i moją zmorą tych czasów było codzienne, nieustające uczucie, że jestem głodny. Dotkliwy głód spawiał że często krzyczałem w niebogłosy, że jestem głodny, a Matce, która sama niedojadała zarzucałem, że jest ciągle „ *taka niechęćca* „. „ *Mamusiu, dlaczego ty jesteś taka niechęćca. Ja proszę cię, a ty wciąż nie chcesz dać mi zjeść !*”. Wieczorami opowiadano mi bajki i wtedy zadawałem się kawałkiem przydziałowego chleba urzeczony wizją czarodziejskich rzek mleka, ogrodami pełnymi wszelkich owoców, sztuczkami Janka Wędrowniczka, który na życzenie: „ *Stoliczku – nakryj się !* „ miał do jedzenia czego dusza zapagnie. Z tym mirażem usypiałem słodko. Bardzo ograniczono moje kontakty z Dziadkiem Ludwikiem, który był przewlekle chory na gruźlicę, bojąc się o to, abym się od Niego nie zaraził tą nieuleczalną w tych czasach chorobą. Nie rozumiałem dlaczego nie mogę być równie często jak dawniej u Dziadka, którego dobroć i ciepło ceniłem szczególnie wysoko po wspólnie spędzonych na ulicy Białej tygodniach straszego września 1939 roku. Zbywano mnie różnorodnymi argumentami, które nigdy mnie nie zadawały. Mój dziecięcy umysł nie przyjmował żadnych tłumaczeń dlaczego nie mogę być u kogoś kogo kocham.. Ludzie stawali się nerwowi, drażliwi, łatwo wybuchający. Mimo wszystko nawet w tych czasach pogardy nie słyszało się na ulicy płynącego z ust ludzi potoku słów rynsztokowych, dzisiaj tak powszechnie wykrzykiwanych bez ograniczeń i bezkarnie. W naszej rodzinie nie znano przekleństw. Wiadomym było, że najcięższym ze stosowanych w rodzinie "brzydkich " określeń, które słyszało się rzadko jest słynne powiedzenie Cioci Jadzi i Dziadka Ludwika, że coś, że ktoś, jest to " *draństwo z galgaństwem*". I nagle usłyszałem, że Niemiec to cholera. To było nowe, straszne, wychodzące poza określone normy obyczajowe tej rodziny.

W domu moich Dziadków Janczewskich także było krucho. Dziadek był od kilku lat emerytowanym kolejarzem, Babcia, jak to się mówiło „ przy mężu „. Mieli oni na utrzymaniu 19 letnią wówczas Ciotkę Jankę, która ukończyła jakąś szkołę zawodową, ale dla której w nowej rzeczywistości nie było pracy. Dziadkowie byli po zakończeniu działań wojennych zrozpaczeni. Ich ukochany syn Witold, naczelnik stacji PKP w Wesołej koło Warszawy, ewakuowany na Wschód, zniknął bez śladu w wirze wydarzeń września, gdzieś na polskich drogach i bezdrożach tych dni. Dziadek Jan, emerytowany kolejarz przeszukał całe połacie kraju, aż do Bugu, gdzie zaczynała się granica okupacji sowieckiej. Witold nigdy się nie znalazł. Nikt nie umiał przekazać nam jakiegokolwiek informacji na temat jego losów. Nigdy nie dowiedzieliśmy się kiedy, w jaki sposób i gdzie zginął mimo starań przez dalszych kilkadziesiąt lat. Podzielił los wielu, którzy rozplnęli się bez śladu w tych strasznych dniach. Czy zginął z rąk niemieckich, czy z rąk N.K.W.D. po tamtej stronie zony okupacyjnej, tylko Pan Bóg wie. Dziadek korzystając z dokumentów emerytowanego

kolejarza i starego munduru kolejowego jeździł na tak zwany szmugiel. Woził obok innych artykułów mięso, jaja, ale także chleb czy kartofle do Warszawy. Monetą wymienną był głównie alkohol domowej produkcji, wytwarzany masowo w co drugim domu na Bródnie tych lat. Zyski były minimalne, tyle że pozwalały egzystować, zaś ryzyko ogromne, na miarę śmierci, która groziła dosłownie za wszystko.

Dla nas, dla mnie, najważniejsze w tym wszystkim było to, że nie mogliśmy liczyć na jakąkolwiek pomoc rodziny znajdującej się w równie krytycznej sytuacji. Pamiętam, że pewnego dnia Mama zaprowadziła mnie na badanie do znanego na Pradze pediatry doktora Bielobratka. Przyjmował w Przychodni R.G.O. (Rady Głównej Opiekuńczej-polskiej organizacji charytatywnej, jednej z niewielu, na której legalne działanie zezwalały władze okupacyjne) pracującej w szarym, dużym domu przy ulicy Targowej 15. Po badaniu Doktor powiedział bez ogródek: "*Chłopak MUSI codziennie dostać jedno jajko i chociażby pięć deko masła, inaczej nie przetrwa*". Mama wyszła z tej wizyty zrozpaczona, płacząca, ja na szczęście nie rozumiałem o jaką stawkę idzie. Poprzez znajomych w czasie wakacji 1940 roku załatwiła posadę nauczycielki-korepetytorki dzieci bardzo bogatej dziedziczki, która prowadziła duży majątek ziemski w okolicy Grójca. Celem głównym było podkarmienie mnie zgodnie z zaleceniami Dr. Bielobratka. Mieliśmy tam spędzić dwa miesiące wakacyjne. Mama miała douczać dwoje dzieci właścicieli w zakresie szkoły podstawowej w zamian za pełne utrzymanie nas dwojga. Istotnie był to raj kulinarny. W pierwszych dniach jadłem wspianały wiejski chleb z masłem, serem i konfiturami, kluski czy zacierki na mleku, jaja i..... rzygałem dalej niż widziałem. Żołądek odwykły od normalnego jedzenia protestował. Z dziećmi dziedziczki, które były tylko nieco ode mnie starsze w zasadzie nie miałem kontaktu. Mama i ja jadaliśmy ze służbą i tutaj rozpoczęła się moja pierwsza i dość wczesna edukacja w zakresie nauk społecznych. Pochodziłem z rodziny o korzeniach proletariackich i tu dopiero dowiedziałem się, że nie należę do właściwej klasy. Najbardziej dziwiło to, że razem z nami, to znaczy ze służbą, jadal także bardzo bliscy krewni Pani Dziedziczki, młodzi ludzie, którzy uciekli z własnego majątku na Wileńszczyźnie przed Armią Czerwoną i wprowadzanymi tam przez nią porządkami. Najprawdopodobniej zdeklasowali się poprzez fakt utraty swych dóbr ziemskich. Patriarchą rodu był stary hrabia R., ojciec Pani, niesłychanie podobny do cesarza Franciszka Józefa. Sądzę, że poza fizycznym podobieństwem starszy pan "robił się" na cesarza, bożyszcze jego młodości. Nadszedł okres żniw i braliśmy udział w scenach żywcem wziętych z "Pana Tadeusza". Wieczorem, ale przed kolacją Państwo w otoczeniu domowników chodzili obejrzeć pola w czasie żniw. Dzieci i młodzież szła na czele. I oto w czasie kiedy idąc na żęte pola mijaliśmy pastwisko na drogę wyszedł stary wiejski pastuch wypasający dworskie bydło. Ku mojemu zdziwieniu i przerażeniu ukląkł na środku drogi, którą szliśmy i rozpoczął całowanie rąk dostojnych państwa dziedziców od siedmioletniego panicza. Chłop był w wieku moich dziadków, których mnie przyzwyczajono całować w rękę na znak szacunku. Mama nie umiała, a raczej sądzą w zaistniałej sytuacji nie chciała, wyjaśniać sytuacji, a przez to dawać mnie lekcji na temat "pozostałości feudalizmu". Nie chciała mi nawet próbować wyjaśnić dlaczego w nocy na polach dworskich palono stogi żętego zboża.

Wróciliśmy w końcu sierpnia 1940 roku do Warszawy, gdzie czekały na nas te same problemy bytowe i nie tylko. Jedną z pierwszych wiadomości jaka nas oczekiwała w domu była informacja, że Dziadek Lindner i Ciocia Jadzia muszą wynieść się z ulicy Białej 7. Brat mojej Mamy Wujek Józef Lindner w tym samym czasie został powiadomiony o konieczności opuszczenia mieszkania przy ulicy Okopowej, w domu położonym naprzeciw wejścia do Cmentarza Żydowskiego. Powodem było zarządzenie okupanta tworzącego w środku miasta wydzieloną dzielnicę żydowską tzw. "getto". Żydzi mieli być oddzieleni od społeczności rdzennie polskiej.. Nikt nie był w stanie zrozumieć powodów tego zarządzenia, nie przyjmując za poważne tłumaczenia, że "*Żyd to wszy i tyfus*" natrętnie propagowanego ohydnyimi plakatami rozlepionymi na murach miast przez okupanta. Nasi przodkowie żyli obok i ze społecznością żydowską od stuleci i tego rodzaju argumenty nie mogły zrobić nam wody z mózgu. Jeżeli weźmie się pod uwagę, że ludność żydowska stanowiła w tym czasie co najmniej 30 % ludności Warszawy należało zdać sobie sprawę ze skali zmian szykowanych miastu i ogromu zamieszania związanego z przesiedleniami. W naszej

okolicy, zwłaszcza na Żąbkowskiej mieszkało wielu Żydów warszawskich. Zaczął się exodus. Żydzi mieszkający na Szmulkach w swej masie to była biedota, aby nie powiedzieć nędza. Widziało się całe, dość często bardzo liczne rodziny żydowskie ciągnące dwukołowe wózki załadowane ubogim dobytkiem. Jakieś koldry, jakieś poszczerbione garnki, jakieś szczątki warsztatu pracy szewca, krawca czy ślusarza. Kronenbergowie tu nie mieszkali. I ogromna rozpacz i intuicyjna obawa o to co bliska przyszłość przyniesie. Cała akcja tworzenia getta i związanych z tym tragedii ludzkich miała zakończyć się do listopada 1940 i zakończyła się. Była to pierwsza swego rodzaju czystka etniczna i pierwsze naruszenie struktury żyjącej obok siebie od pokoleń, wielonarodowej społeczności miasta. W październiku 1941 roku ogłoszono rozporządzenie okupanta, które głosiło, że za świadome udzielenie Żydowi schronienia lub jakiegokolwiek pomocy ukrywającemu i całej jego rodzinie grozi kara śmierci. Niebawem praktyka dnia codziennego wykazała jak konsekwentni w przestrzeganiu tego nakazu byli Niemcy rozstrzelując całe rodziny polskie udzielające Żydom schronienia. Zabijano od niemowląt po starców, wszystkich, dla nazistowskiego „porządku”.

Dziadek Ludwik i Ciocia Jadzia zostali przeprowadzeni do mieszkania Żydów przesiedlonych do getta z domu przy ulicy Targowej nr. 41. Mieszkanie było w oficynie, także na drugim piętrze, ale ciemne, z oknami wychodzącymi na mroczne podwórko przypominające studnię. Po raz pierwszy zamieszkali na prawym brzegu Wisły. Mieli blisko do nas, ale tym trudniej było wytłumaczyć mi, dlaczego nie mogę widzieć Dziadka tak często jak bym chciał. Zasadniczą okazją i powodem naszych sporadycznych spotkań był teraz fakt, że Dziadek Ludwik był "złotą rączką". Nie było węgla, a ten, który sprzedawano strasznie drogo kosztował. Śląsk przyłączony do Rzeszy węgla nam nie dostarczał. Mieszkanie nasze było dość duże, trudne do ogrzania. Sytuacja jest matką wynalazków. W tysiącach mieszkań warszawskich mniej lub więcej biednych instalowano tak zwane "kozy". Były to niewielkie piecyki o bardzo różnej, przemyślnej konstrukcji dobudowywane obok pieców. W piecykach tych można było palić, jak mówiono, nawet wyschniętym końskim łajnem, uzyskując minimalnym kosztem ciepło dla gotowania i ogrzania się. Koszmarna, straszliwie mroźna zima 1939/1940 była dokuczliwą nauką. Trzeba było przeżyć. Odcięcie od Śląska skutkowało trudnościami w zdobyciu węgla i jego bardzo wysoką ceną. Ojciec szukając rozpaczliwie wyjścia z trudnej sytuacji odkrył, że w naszej piwnicy zalegają pokłady miału węglowego, który w latach przedwojennych był uznawany za odpady, nie nadające się do niczego. Teraz było to paliwo darowane przez los.

Niemcy nie tylko wprowadzili już w październiku 1939 roku godzinę policyjną, która zabraniała Polakom poruszania się na ulicach miasta od godziny 22-tej do 6-tej rano, ale także wyłączali światło w domach mieszkalnych całych dzielnic. Dzięki temu siedziało się po zmroku przy pełzających odbłaskach "kozy". Dziadek Lindner skonstruował kaganki, w których płomień knota był podtrzymywany przez dziwne smary, oleje będące odpadami przemysłowymi sąsiednich zakładów praskich. Więcej było z tego smrodu niż światła, ale jednak. Dom w tych warunkach wyglądał jak katakumby pierwszych chrześcijan. Czasokres godziny policyjnej zmieniał się zresztą w kolejnych latach okupacji w zależności od pory roku. Najlepszym zresztą miejscem tych posiedzeń, wobec niskich temperatur, było łóżko pod kocem. Paradoksalnie, mimo koszmaru dnia codziennego, najprzyjemniejsze dla mnie były wieczory. Siedzieliśmy razem-Mama, Tata i ja, nierzadko przyjeżdżał do nas Dziadek lub Babcia Janczewscy, którzy zostawali na noc włączając się do rozmów. Tematem rozmów była historia rodziny, łącząca się chcąc-nie chcąc z historią Polski czasów, w których żyć im przyszło. Po wielu latach dopiero oceniłem jak ważne dla ukształtowania mojej osobowości były te wieczorne rodzinne, wielopokoleniowe rozmowy lat okupacyjnych.

Wieczorne opowiadania Ojca

Byłem drugim dzieckiem swoich rodziców. Brat mój Michał był pierworodnym i starszym o półtora roku ode mnie. Zmarł kiedy miałem rok życia za sobą. Nie pamiętam go, chociaż wychowywałem się w jego obecności. Ciągłe mówiono: "Michaś, Michaś, niepodobny do Michasia,

Michaś byłby już taki duży.....". Mówili o nim sąsiedzi, a nawet dzieci, które przychodziły się do nas bawić. Nie było go, a jednak był wciąż obecny. Dopiero później wojna światowa, uciezki i powroty odsunęły go w mrok. Wtedy dopiero umarł na pewno. Mimo wszystko wciąż serdecznie o Nim myślę. Czy było to cudowne i miłe dziecko, czy tylko oczekiwany pierworodny syn, trudno dzisiaj powiedzieć. Wiem jednak, że moje pierwsze przeżycia są z nim związane nierozłącznie i na zawsze. Z domu przy ulicy Żytomierskiej, gdzie się urodziłem, szliśmy na pobliski Cmentarz Bródnowski, na grób Michasia. Mogiła była pięknie odarnowana. Ciągłe świeże kwiaty, o które dbała Mama. Matka klękała i wszyscy modliliśmy się. Słońce wyłączało okoliczne piaski pośród których cmentarz leżał jak kawał zielonego aksamitu, wśród wydm Nowego Bródna. Tak, cmentarz był piękny. Chodziliśmy tam z Matką, potem także z młodszym bratem Witoldem. Ten leżał w wózku. Matka się modliła. Witold często płakał, zaś Michaś był cichy i kochany w grobie. Potem przeprowadziliśmy się do innego domu po drugiej stronie tejże ulicy Żytomierskiej. Był to drewniany, parterowy, dwurodzinny domek, jakich mnóstwo na Bródnie pobudowali biedni ludzie. Z sieni wchodziło się do nas na lewo, na prawo do właścicieli Państwa Staszkieviczów. Staszkieviczowie byli prostymi ludźmi. On ślusarz w warsztatach kolejowych na Bródnie, ona opiekowała się sześcioma synami. Byli to ludzie czyści, uczciwi, pracowici, spokojni. Staszkievicz imponował stanowczym głosem i tym, że nigdy nie powtarzał poleceń wydawanych synom. Za drugim razem chłopak musiał przynieść ławkę, spuścić spodnie, przyjąć od ojca razy, pocałować go w rękę i odnieść ławkę. Nie miało to w sobie nic z sadyzmu, raczej było systemem wychowawczym. Widziałem to. Takie sceny były rzadkie. Nikt się nie śmiał, nikt nie kpił ze skarconego. Było jakieś zatroskanie, że do tego dojść musiało. Było w tym wiele powagi i taktu. Dzieci nie czuły się upokorzone. Karano za przekroczenie, za brak szacunku dla słów i poleceń rodziców. Żyło się jednak na Bródnie, a była to w tych czasach wieś. Życie toczyło się w sieni, w ogródku, na oczach środowiska, nie anonimowo. Znaczyło to nieustanne poddawanie się ocenie środowiska.

Po latach stykałem się z synami Staszkieviczów, wszyscy wyrosli na porządnym ludzi,, bardzo dbali o swój honor, o formy.

W domku obok nas mieszkali Pritułowowie. Powszechnie nie mówiło się o nich Pritułowowie, mówiło się po prostu Kacapy. Głowa rodziny pan Pritułow, Rosjanin, był nadkonduktorem na Kolei Nadwiślańskiej. Jego żona Polka wychowywała trzech synów. Nikt się nad tym nie zastanawiał w jakich okolicznościach wydała się za "kacapa", ale ten fakt postawił ją poza pewnymi, przyjętymi granicami ówczesnej polskiej społeczności. Kłaniano się im lub nie, a zależało to wyłącznie od humoru. Najmniejszy pętał potrafił za nimi wołać: kacap, kałmuk, tatar, a nawet "job twoju mat". A były to czasy, kiedy chłopak za okrzyk "cholera" był bity przez ojca, za użycie słów nieprzyzwoitych. Za Fiedką Aloszą i Wołodią wołano-"ruskaja żopa". Nikt na to nie reagował ponieważ dla tej społeczności dotyczyło to obcych, ludzi z innego wrogiego nam świata. Pani Pritułowa przechodziła bokiem, jakby przepaszając, że istnieje. Wszystkim się kłaniała, ale to miało odwrotny skutek. Starego „ kacapa " nikt nie zaczepiał.

Najbardziej interesował mnie Fiedka, puciołowaty, rumiany na buzi mój rówieśnik, który bez przerwy nosił kieszenie pełne chleba. Żuchwa wciąż mu się poruszała. Bez końca jadł i jadł, w krótkich przerwach gwizdał. Boże, jakże on cudownie gwizdał !. Byłem tym zachwycony. Starąłem się zbliżyć do niego. Nasze spotkania były jednak stale przerywane. W jakiejś chwili, kiedy zabawa miała się rozpocząć na dobre otwierały się drzwi i Matka wołała mnie stanowczym głosem do domu. Fiedka szedł za mną powoli, ze smutkiem wkładał kawał chleba w usta i dając mi znaki, że będzie na mnie czekał siadał na ganku. Słyszałem jego gwizd. Wyśpiewywał, a raczej wygwizdywał jak kos. Matka tym bardziej trzymała mnie w mieszkaniu. Potem wychodziła na ganek i trzepała stare chodniki. Mały wycofywał się dalej, ale nie odchodził. Matka wychodziła powtórnie, zlewała cały ganek wodą i zamaszystymi ruchami miotły zamytała. Mały odchodził smutny.

Przyszła choroba. Leżałem w łóżku. Przyszedł doktor Markowski, chirurg kolejowy, który po badaniu rozpoznał ospę. Po tym rozwinęło się zapalenie płuc. W wiele lat później Matka przyznała się, że nie wierząc nowoczesnej medycynie dała łapówkę miejscowemu felczerowi, w czasie szczepień ospy, aby odstąpił od tego zabiegu. Z dziwną dumą mówiła: "Dałam mu za to dziesięć złotych rubli. Stać mnie było na to !". Długo leżałem w łóżku. Zabawki i obrazki, których masy

przywoził Ojciec ze swych kolejarskich podróży i nuda, nuda, nuda... Nagle olśnienie. Przez szybę ujrzałem miłą memu sercu twarz Fiedi. Nikogo w domu nie było więc dałem mu znak, aby do mnie przyszedł. Bawiliśmy się znakomicie. I wtedy wróciła Matka. Oniemiała, ale nie zareagowała. Od tego czasu ogłosiła swego rodzaju amnestię dla Fiedi. Mógł on przychodzić do mnie na zabawy, ale nikt ze starszych go nie dostrzegał. Ojciec protestował mówiąc do Matki: " Co powiedzą na to ludzie, że mój chłopak bawi się z kacapskimi dziećmi?. To wstyd ! " Nazajutrz miałem gorączkę, wołałem aby Fiedia wrócił. Pojutrze Fiedia był znów przy mnie. Bawiliśmy się znakomicie, jak nigdy przed tym. Ale w domu nadal go nie zauważano i tolerowano z jakąś wstydliwą koniecznością. Zjawił się nowonarodzony młodszy brat Witold. Dokuczał swoim płaczem. Kiedy spał zbliżaliśmy się z Fiedią i obserwowaliśmy go. Maluch był dziwny, nie dawał się wciągnąć do zabaw, a więc zostawialiśmy go w kolebce. Mimo wszystko nas interesował. Był mały, śmieszny, często rozmawiał dziwnym językiem z dużym palcem u swojej nogi.

Co się dzieje dzisiaj z Fiedką. Czy żyje po latach rewolucji bolszewickiej ? Któż to wie ?. Wtedy czas był taki, że po stu latach okupacji rosyjskiej żyjących obok nas w "kongresówce " Rosjan traktowano jak powietrze, dla zasady, nie przyjmując do wiadomości konieczności ułożenia z nimi jakiegoś modus vivendi. A nie dotyczyło to przecież wykształconej części społeczeństwa przywislanskiego kraju. A może właśnie ta część Polaków była w sposób szczególny impregnowana na rusyfikację. To dziwne, ale właśnie ci prości ludzie mieli poczucie swojej wyższości kulturowej nad Rosjanami przysyłanymi do nas z głębi swego kraju.

Dzielnica, w której mieszkaliśmy adaptowała się do wciąż pogarszających się warunków życia okupacyjnego. Położenie Szmulek pomiędzy torowiskami dworców kolejowych Wileńskiego i Wschodniego oraz wałem znajdującym się na końcach ulic Kawęczyńskiej i Radzymińskiej wyznaczało główne źródła zaopatrzenia ludności. Były nimi niemieckie transporty, zwłaszcza kolejowe. Znakomita część młodych ludzi z okolicy w nocy chodziła na tak zwaną "lufę ", to znaczy na rabunek tego, co znajdowało się w wagonach transportów niemieckich stojących na okolicznych przetokach. Termin "lufa " oznaczał w tym przypadku groźbę zastrzelenia amatora własności zwycięskiej Rzeszy Niemieckiej przez niemiecką straż kolejową, tak zwanych bahnschutz 'ów. Nie bawili się oni w ceregiele i kiedy zapadły ciemności strzelali bez ostrzeżenia w kierunku skąd dochodziły odgłosy dobierania się do wagonów lub błyskało światło latarki, zapalki lub żarzył się papieros. Któregoś dnia nad ranem przyniesiono do domu jednego z synów naszej dozorczyńi, Wacka, któremu w tych okolicznościach przestrelono płuco. O tym, aby go umieścić w szpitalu nie było mowy. Policja niemiecka zgarnęła by go w ciągu kilku godzin, a co najwyżej dni. Był w tej sytuacji leczony w domu i szczęśliwie wyszedł z przygody cało. Nie tylko Szmulki, ale znaczna część nielegalnego rynku warszawskiego, uzależniona była od tego, co chłopcy z wagonów wyjmą. Jasną jest rzeczą, że " w interesie " byli polscy kolejjarze, a im dłużej trwała okupacja także i skorumpowani bahnschutz ' e niemieccy. Jeżeli szedł transport sardynek portugalskich były pełne tego towaru stragany i małe sklepiki, Odpowiednio zawartość wagonów miała swoje odbicie na rynku jeśli chodzi o konserwy, przyprawy, odzież, holenderskie sery, makarony włoskie, francuskie wina, a nawet legendarne żółwie greckie, które jeden Pan Bóg wie po jaką cholere taszczyli Niemcy z podbitej Grecji do Polski. Można powiedzieć, że zawartość wagonów pociągów Reichsbahn'u dość dokładnie odzwierciedlała triumfy Werhmachtu w Europie. Nigdy jednak nie doszło do tego, aby transportowali kawior. Na pewno najważniejszym towarem kradzionym na skalę masową był węgiel, którego braki były obok braku żywności jednym z największych zagrożeń bytu każdego z nas. Najdziwniejszą chyba jednak zdobyczą, i najbardziej trefną, były mapy wojskowe Związku Sowieckiego wygarnięte z wagonów na dwa miesiące przed uderzeniem Werhmachtu na Rosję w 1941 roku. Z tego, co w następane dni chłopaki opowiadali wynikało, że w ciemnościach otworzyli wagon, który "nadali " im polscy kolejjarze, jako zawierający jakieś cenne rzeczy. W środku znajdowały się potężne paki ściśle owinięte grubym płótnem. Poświecić z podanych wyżej względów nie było można, a więc po rozpruciu jednej z takich pak stwierdzono, że są to papierowe płachty przypominające w dotyku (!) arkusze banknotów. Zdecydowali, że rzecz może być nader interesująca i z ogromnym trudem wytaszczyli kilkanaście takich strasznie ciężkich pak papieru poza obręb torowisk. I oto pewnego dnia rano, po zakończeniu się godziny policyjnej, ulice

Nieporęcka i Tarchomińska były zasłane tysiącami arkuszy map wojskowych Wehrmachtu. Ich treść nie pozostawiała żadnej wątpliwości, że są to mapy terenów Z.S.R.R. Próbkę tych map zostały przekazane do odpowiednich komórek wywiadu Armii Krajowej, zaś okoliczna młodzież przez kilkanaście miesięcy oprawiała zeszyty szkolne w znakomity pergamin, na jakim były owe mapy drukowane. W najgorszym nastroju byli ci, którzy narażali życie, nadźwigali się i g... z tego mieli.

Drugim źródłem zarobkowania była produkcja alkoholu, metodami chałupniczymi. Pojawiła się nowa nazwa "bimber". Niemcy nie zwalczali tego procederu słusznie uważając, że będzie on prowadził do zdemoralizowania społeczeństwa. Alkohol produkowany w domach był tańszy od produkowanego przez "monopol" i zaczął stanowić swego rodzaju walutę wymienną, zwłaszcza w handlu ze wsią, z której szmuglowało się żywność. Trzecim źródłem dochodu była wysprzedaż tego wszystkiego z gospodarstw domowych, co mogło zainteresować potencjalnych kupców pochodzących tak z miast, jak i ze wsi. Na ulicach sprzedawano obrazy różnej wartości, antyki, stylowe meble, mniej lub wykwintne nakrycia stołowe, ubrania od roboczych po wytworne futra i sam diabeł wie, co jeszcze. Interes to był duży. Zdawali sobie z tego Niemcy i raz po raz na takie bazy jak Kiercelak, Wołówka czy Rózyckiego na Pradze urządzano naloty policji rekwirującej wszystko to, co zwycięzcom wydawało się cenne i interesujące. Jeżeli uwzględni się fakt, że urzędowy przydział chleba po urzędowych cenach nie przekraczał 1500 g na tydzień dla dorosłego pracującego Polaka, wszystko to było walką o biologiczne przetrwanie.

Rodzice nadal żyli z pracy nauczycieli szkół kontrolowanych przez okupanta, to znaczy wegetowali. Oboje prowadzili w domu tajne nauczanie dzieci w zakresie szkoły podstawowej. Liczba grup kompletowych zwiększała się dynamicznie każdego roku. Pęd do nauki był ogromny i, co warte jest podkreślenia, w owych latach proste, robotnicze rodziny pilnowały kształcenia dzieci głęboko wierząc, że *"jak wojna się skończy, to dziecko nie może być głupkiem"*. Inwestowano rozumnie w powojenną przyszłość, którą mimo wszystkich okropności czasu wojny widziano jako *"naszą przyszłość"*. Co więcej, w tej dzielnicy robotniczej każde dziecko wiedziało, że *"Jak będzie Polska, to będzie Polska sprawiedliwa i nasza"*. Nasza to znaczyła dosłownie: *"ludu pracującego miast i wsi"*, co następnie zostało zwulgaryzowane po 1945 roku. Tematami tych lekcji były głównie język polski, narodowa historia i geografia naszego kraju w granicach przedwojennych. Dzieci nie płaciły za lekcje, natomiast ich rodzice w miarę możliwości wynagradzali nauczycieli darami rzeczowymi, głównie produktami lub półproduktami żywnościowymi lub węglem. W miarę jak rozwijały się tajne komplety nasza sytuacja bytowa poprawiała się razem z sytuacją tych, którzy zdobywali te dobra ryzykując jednak zdrowiem i życiem. Trafiali się także, i na szczęście, uczniowie z rodzin, które były w stanie w sposób istotny wzbogacić naszą spiżarnię. Byli to właściciele młyna na Białostockiej, właścicielka piekarni na Siedleckiej (każdego dnia wracając ze szkoły odbierałem tu bochenek świeżego chleba), czy różni kombinatorzy, którzy jak to się mówiło językiem miejscowym *"handlowali na wagony sekundowemy wskazówkami"*. W okresie szczególnie dla nas "głodnym" ktoś ofiarował memu Ojcu worek zawierający kilkadziesiąt kilogramów maku. Z tego maku Mama przez wiele tygodni przygotowywała zupę makową, kluski z makiem, ciasto z makiem i jeden Bóg wie, co jeszcze z makiem bywało, jako stałe menu na naszym stole. Przez co najmniej 30 dalszych lat mak zniknął z mojego jadłospisu, co powodowało wiele przykrych sytuacji w domach, gdzie częstowano mnie makowcem jako specjalnością gospodyni. Podobnie z mego menu na lat kilkadziesiąt zniknęły czerwone buraki podawane w innej formie niż „ćwikła”. Zrozumieć dlaczego mogą mnie jedynie ci, którzy w latach okupacji byli skazani na jedzenie kartkowej marmolady preparowanej z buraków z dodatkiem chyba masy kartoflanej i sacharyny. Ta ohyda była jedyną słodyczą dostępną dla przeciętnego polskiego dziecka czasu wojny. Inną dość popularną potrawą naszego domu były kotlety, w których kartofle lub tarte resztki suchego przydziałowego czarnego chleba zmieszane były z mielonymi małeńkimi rybkami, zwanymi wtedy „stynkami”. Rodzice kupowali na Bazarze Rózyckiego przy ulicy Brzeskiej te małeńkie rybki długości nie przekraczającej 5 cm sprzedawane na kila. Mama miała je przez maszynkę do mielenia mięsa, dodawała czarnego, przydziałowego chleba formując kotleciki. Resztkę chleba suszona była, następnie tarta i używana do następnych „kotletów” tego rodzaju. Tego rodzaju potrawa dawała nam, zwłaszcza mnie nieco białka. I to był w tym czasie rarytas.

Już w 1940 roku zaczęły się, także na Pradze obławy policji niemieckiej, w której łapano ludzi tak na ulicach, jak w restauracjach, kawiarniach czy kinach. W jednej z takich łapanek cudem ocalał mój Ojciec.

Opowiadanie Ojca.

W dniu 11 września 1940 roku około godziny 7, 30 rano ktoś do nas gwałtownie zapukał. Otworzyłem drzwi. Wbiegła blada i skrajnie przerażona sasiadka. „ Proszę Państwa, co się wyprawia !. Niemcy obstawili całą dzielnicę ! Wyciągają z domów wszystkich mężczyzn ! Pedzą ich boso, często tylko w gatkach na plac ! „.

Chłód mnie przeszedł. Żona zaczęła płakać i bezradnie biegać po pokoju. Dziecko, szescioletni Grześ nie rozumiał o co chodzi. Jeśli był zdenerwowany to przerażeniem matki. Siedział z nią w piwnicy w czasie bombardowań we Wrześniu 1939 i wiedział co to znaczy strach. Nie byłem w stanie sobie wyobrazić, że można z całej dzielnicy wybrać wszystkich mężczyzn jak barany. Na ulicy Nieporęckiej było kompletnie pusto. Zacząłem się denerwować. Cześć naszych mężczyzn z okolicznych domów uciekło na dachy, niektórzy szukali schowka w piwnicach. Ktoś wlaźł do śmietnika. Tramwaje nie chodziły i nagle przyszło mi na myśl, że w szkole nikogo w tej sytuacji nie ma, że dzieci będą wystraszone. Ale to był jedynie pretekst, gdyż dla mnie nie było i nie ma nic gorszego niż oczekiwanie na los. Nie chciałem zresztą, aby mnie zabierali z domu. W domu jestem najslabszy psychicznie, bo czekało by ewentualne rozstanie z żoną i dzieckiem. Wziąłem teczkę, Ausweis i tknięty jakąś zbawienną myślą nałożyłem na czubek nosa okulary, których wówczas nie nosiłem. Wyszedłem z domu pośród płaczu żony i dziecka.

Ulica Nieporęcka była martwą przestrzenią. Świeżo spadłe liście chrzęściły pod nogami jak szkło. Z bram kryjące się w nich kobiety zaczęły mnie ostrzegać abym nie szedł dalej. Czulem, że ręce mi wilgotnieją i zimny pot spływał po plecach. Po prostu się bałem. Były to jednak pierwsze moje okupacyjne doświadczenia z łapanką przeprowadzoną publicznie na zasadzie łapania ludzi jak psy przez hycla. Stąd Warszawa później nazywała powszechnie Hitlera Hyclerem. Na samym rogu Nieporęckiej i Żąbkowskiej, pod barem Sołki, stał wysoki, przystojny esesman. W rękę trzymał pistolet. Patrzył na mnie przenikliwie i zimno. Wszystko wydało mi się znane z literatury: twarz uosabiająca szatana. Delikatna dłoń o długich palcach pianisty wyciągnęła się do mnie i esesman zapraszał mnie niemym gestem do siebie. Wszystko to w rzeczy samej trwało dość krótko, ale śniło mnie się potem przez lata. Nawet w obozie niemieckim.

„ Ausweis ! „. Szybko wyciągnąłem dowód osobisty. Zimny, spokojny głos: „ Ausweis – numma der durch nebestehendes Lichtbild ... Geboren In Warschau ... Wohnung Ist an der polnischen offentlichen Volksschule beschäftigt ... „ Czytał głośno jakby delektował się swoim glosem i moją nicością w tej sytuacji. Jakoś bardzo miękko wymówił słowo „ lišbilt „ A potem nagle po polsku bez akcentu: „ W jakim pułku służyłeś ? „ – „ W żadnym „ – „ Jak to nauczyciel i nie służył w wojsku ? „ Bez słowa pokazałem palcem na okulary ściągnięte na czubek nosa. „ No, to jesteśmy prawie kolegami, bo ja jestem wykładowcą w szkole handlowej ! „. Była to dla mnie ostatnia z sytuacji, w której można by prowadzić towarzyskie rozmówki. Po prostu nie miałem pojęcia co temu strzelić może do głowy. Wiedziałem już, ale za późno, że się wygłupiłem opuszczając dom. Na Żąbkowskiej wzdłuż krawężników wyraźnie grupowano wylapanie grupy mężczyzn. „Dlaczegoś wyszedł ? „ pytał dalej piękną, nienaganną polszczyzną. „ Widzi Pan dzieci w szkole na mnie czekają ! Tramwaje nie chodzą, nauczycieli nie będzie to lby sobie pourywają !. Zresztą pracuję uczciwie, nic złego nie zrobiłem to czegoś miał bym się bać ? „. Zaczął głośno się śmiać. Istotnie z perspektywy późniejszych doświadczeń okupacyjnej warszawskiej ulicy zachowałem się jak dureń. „ Oto jeden odważny Polak i to niezdolny do służby w wojsku. Stoję to już pół godziny i żaden nawet głowy nie wystawił, a ten jeden głupek mnie się nie boi. Masz ! „... oddał mnie z ukłonem Ausweis. „ A teraz idź środkiem jezdni ! Ausweis trzymaj wysoko, nie reaguj na żadne wezwania ! Idź prosto przed siebie i pewnym krokiem ! Nic ci nie grozi Chyba żeby cię zastrzelili A za moją duszę czasem zmów z dziećmi pacierze ! „ i odwrócił się ode mnie.

Poszedłem w kierunku Otwockiej zgodnie z jego radą. Na wprost Tarchomińskiej dwóch tajniaków kiwało na mnie palcami, ale trzymałem się zasady i z dokumentem uniesionym ponad głową szedłem mocnym, zdecydowanym krokiem dalej. Na ulicy Radzymińskiej do wielkich wozów

okrytych plandekami ładowano zatrzymanych mężczyzn. W tych grupach przeważali ludzie młodzi, nieledwie chłopcy. Na Kawęczynskiej obstawa ulic była coraz rzadsza, ale żaden z Niemców nie zwracał na mnie uwagi. W bramach stały gromady kobiet i dzieci. Nie płakali, ale zaciśniętymi pięściami wygrażały żandarmom. Jedna z wielu podniosła dziecko do góry i z nienawiścią krzyczała: „ Patrz, patrz, ojca ci zabrali ! Żebyś im tego nigdy w życiu nie zapomniał ! „.

Wtedy też, w kilka tygodni po pierwszych łapankach pojawiło się słowo, które przez dalszych pięć lat niosło ze sobą groźbę zagłady: Oświęcim. Pierwsze transporty mieszkańców Warszawy, którzy budowali tą fabrykę śmierci ruszyły w zimnej porze roku. Brano wszystkich, ale preferowano tak zwanych liderów: nauczycieli, byłych urzędników państwowych, prawników, wykładowców szkół wyższych, księży, studentów, których brano na ogół według przygotowanych list. W niedługi czas po wywiezieniu do obozu zaczęły napływać do rodzin pierwsze masowe zawiadomienia o śmierci uwięzionych. Były to kartki pocztowe z wydrukowanym, jednolitym tekstem, który zawiadamiał, że taki to a taki zmarł z powodu, i tu wpisywano w wolne miejsce: "zapalenia płuc ", "atak serca", " wrzody żołądka " itd. Kartki te były urzędowym drukiem w języku niemieckim. W rodzinie mojej Mamy takie zawiadomienie otrzymała kuzynka, Ciotka Irena, siostra Wuja Henia Reinhardta, której mąż, młody adwokat warszawski pojechał do Oświęcimia jednym z pierwszych transportów. Przed wywiezieniem był zaproszony do Pałacu Bruhla, gdzie wypytywano go na temat stosunku do zarządzeń niemieckich w sprawie „ odzyskania „ adwokatury warszawskiej. Odpowiedział, że jest takiej akcji przeciwny, bowiem są to także obywatele polscy. Razem z nim wysłano, najprawdopodobniej do obozu jako represje za wynik tej rozmowy, kilkudziesięciu warszawskich prawników. Listonosze będący w tej sytuacji wysłannikami śmierci nie mogli się nadziwić w jaki sposób można było pana X, cieszącego się dobrym zdrowiem, znanego im od lat, tak szybko zamienić na proszek. W krótkim czasie hitlerowcy przestali przysyłać rodzinom prochy zamordowanych co oddawało skalę zbrodni.

1września 1941 roku zacząłem naukę w I klasie Szkoły Podstawowej nr. 126. Przed wojną była to jedna z najlepszych w Warszawie publicznych szkół podstawowych. Szkoła nosiła imię Józefy Joteyko, wybitnego pedagoga, której portrety, obok portretów Prezydenta R.P. wisiały w każdej przedwojennej klasie naszej szkoły. Patronka nie budziła sympatii uczniów, ponieważ z ram portretowych patrzył na nas poprzez binokle "babochłop ", takie skrzyżowanie Hrabiego Wielopolskiego z Prezydentem Wilsonem. W końcu lat 1920 – tych władz samorządowe Warszawy rozpoczęły akcje budowania nowoczesnych, na owe czasy, budynków szkolnych na terenach Warszawy Prawobrzeżnej. Jedną z takich inwestycji była budowa zespołu szkół na Michałowie zwanym też Szmulowizną. Budynki postawiono przy ulicy Otwockiej 3, pomiędzy ulicami Siedlecką a Łochowską. Od ulic Siedleckiej i Łochowskiej posadowiono domy mieszkalne służące zatrudnionym tu nauczycielom. Całość stanowiła swego rodzaju kompleks pedagogiczny. W roku 1928 otwarto tu szkoły podstawowe nr. 126 i 130. Na stanowisko kierowniczk Szkoły nr. 126 powołano panią Stefanię USARKOWĄ, znakomitego pedagoga, żonę dr. Leona Zygmunta USARKA, Dyrektora Gimnazjum i Liceum im. Króla Władysława IV. Patronką szkoły była Józefa Franciszka Joteyko (1866- 1928) profesor College de France, profesor Państwowego Instytutu Pedagogiki w Warszawie, Wolnej Wszechnicy Polskiej, wybitny znawca problemów nowoczesnej pedagogiki. Szkoła nr. 126 prowadzona była na bardzo wysokim poziomie i wkrótce osiągnęła status „ szkoły ćwiczeń „, a więc placówki służącej doskonaleniu młodych kadr pedagogicznych II Rzeczypospolitej. To odbywali praktyczne ćwiczenia studenci pedagogiki Uniwersytetu Warszawskiego i Wolnej Wszechnicy Polskiej. W roku 1939 szkoły przy ulicy Otwockiej zostały przekształcone przez okupanta niemieckiego na koszary żandarmerii wojskowej, zaś szkoła działała w arcytrudnych warunkach gmachu byłego Seminarium Duchownego przy ulicy Kawęczynskiej 49. Po zakończeniu wojny wróciła do właściwych pomieszczeń. W latach 1950 – tych decyzją władz PRL szkole odebrano patrona, uznając p. Józefę Franciszkę Joteyko za przedstawiciela „kapitalistycznego nurtu pedagogiki „. Nastąpiło połączenie ze Szkołą Podstawową nr. 192 imienia Adama Asnyka.

Okupant wyrzucił szkołę z ulicy Otwockiej i od listopada 1939 roku nosiła ona wdzięczną nazwę " Sieben-klassige offentliche polnische Volksschule " Warunki nauczania w gmachu przy

ulicy Kawęczyńskiej 49 były ekstremalnie trudne, Klasa mała, zatłoczona dziećmi poza wszelkie normy rozsądku, o normach cywilizacyjnych nie wspominając. Naszą wychowawczynią była pani Irena Wilska, od lat współpracująca z moim Ojcem. Pani Irena była w wieku Babci Julii, ale bardzo dbająca o siebie wyglądała o wiele młodziej. Mąż pani Ireny pan Witold Wilski, przed wojną urzędnik Ministerstwa Spraw Wojskowych pogrążony był po uszy w konspiracji. Mieszkali w domu nauczycielskim na ulicy Siedleckiej 29 m 5. Wspaniałą zespół szkół przy ulicy Otwockiej był zamieniony na koszary żandarmerii niemieckiej, zaś przylegające do tego zespołu służbowe domy nauczycielskie obciążone były szarwarkiem kwaterowania w każdym mieszkaniu oficerów tej jednostki. Pokoje były wybierane przez zwycięzców. Pan Witold, w tych warunkach prowadził archiwum konspiracyjne, na zasadzie, że "najciemniej jest pod latarnią". Zbiory dokumentów przetrwały przez cały czas okupacji hitlerowskiej zostały następnie szybko i sprawnie zabrane przez Urząd Bezpieczeństwa Polski Ludowej na przełomie lat 1940-tych i 1950-tych, jako materiały "godzące w bezpieczeństwo Państwa". Dzięki czemu Pan Witold nie odsiedział na Rakowieckiej za "usiłowanie zmiany ustroju", nikt nie wie.

Na pierwszej lekcji posadzono mnie koło bardzo wysokiego i bardzo chudego chłopca, o smutnym, zmęczonym spojrzeniu. Kiedy zapytałem się go jak się nazywa odparł: *Nazywam się Turek.*

Przytomnie odpowiedziałem

- *A ja Polak.*

Był to przez wiele następnych lat szkoły podstawowej mój najlepszy kolega i przyjaciel Stefan Roman Turek. Jego Ojciec ciężko chory na gruźlicę nie pracował, Mama utrzymywała rodzinę z krawiectwa. Ojciec Stefana zmarł kiedy byliśmy w drugiej lub trzeciej klasie. Stefan mieszkał bardzo blisko szkoły na ulicy Siedleckiej. Często po szkole przychodziłem do jego domu na odrabianie lekcji i zabawę. Jego Mama była uroczą, cichą kobietą, stwarzającą wokół siebie zawsze nastrój ciepła i spokoju. Miałem jeszcze dwóch przyjaciół, którzy towarzyszyli mi przez kilkadziesiąt następnych lat mojego życia. Obaj mieszkali tuż obok mnie, przy ulicy Tarchomińskiej. Pierwszym był Mirek Damm, którego ojciec, oficer rezerwy, inżynier, przebywał w obozie polskich oficerów jeńców wojennych w Woldenbergu. Wychowywała go samotnie mama, bardzo młoda wówczas kobieta. Drugim-Józek Tokaj, przez kolegów zwany Maćkiem. Bardzo ładny chłopak, brunet o twarzy amanta filmowego, bardzo zdolny uczeń. Jego ojciec był konduktorem tramwajowym, przed wojną aktywnie zaangażowanym w ruch komunistyczny. Był to wyjątkowo porządny, uczciwy, odważny i patriotycznie nastawiony człowiek, który przez całą okupację bardzo aktywnie, wraz z innymi tramwajarzami Zajezdni "Kawęczyńska", brał udział nie tylko w ruchu oporu, ale także z oddaniem pomagał szkole. Niestety jego domu była pogłębiająca się choroba psychiczna matki Maćka. Pierwsze jej objawy wystąpiły po porodzie pierwszego dziecka, starszego brata Maćka. Zmarł on wkrótce po urodzeniu i to zapewne wyzwoliło straszną chorobę, która przez wiele lat dewastowała zdrowie i życie całej rodziny Tokajów.

Obaj moi przyjaciele byli jedynakami. Zwykle umawialiśmy się na ściśle określoną godzinę, aby ruszyć w drogę na szkoły na Kawęczyńską. Najucieszniej było zimą, ponieważ brak kanalizacji w tej dzielnicy sprawiał, że zamrożone rynsztoki pozwalały na dojechanie do szkoły ślizgiem po lodzie na podeszwach marnych butów. To samo zresztą było w drodze powrotnej do domu. Standard naszego życia był podobny-bieda, niedożywienie.

Przy ogromnym wysiłku naszych rodziców spotykaliśmy się na ubożuchnych imieninach. Niestety było, że daty naszych imienin Mirosława (26.II.), Grzegorza (12.III) i Józefa (19.III) nieprzyzwoicie zbiegały się w czasie. Spotykaliśmy się w tych dniach w bardzo szczupłym gronie, uzupełnieni jedynie o Stefana Turka. Starając się zachować formy obżeraliśmy się skromniutkimi daniami serwowanymi przez nasze mamy i wieczorem w domu..... rzygaliśmy. Nasze wygłodzone żołądki były odzwyczajone od takich biesiad. Nie mieliśmy zabawek, o piłce z prawdziwego zdarzenia nie było mowy. Na łąkach koło Bazyliki graliśmy szmaciankami szytymi najczęściej przez Mamę Stefana. Moja Mama gdzieś przez znajomości kupowała ocalałe cudem i nie zarekwirowane przez Niemców arkusze kartonowe z nadrukowanymi do wycięciami żołnierzami

polskimi. Ojciec starannie naklejał je na dyktę, a następnie któryś z Dziadków wycinał je przy pomocy tak zwanej laubzegi.. Natomiast nie brakowało w domu książek. Ojciec był czynnie wciągnięty w zakrojoną na szeroką skalę akcję wykradania książek z magazynów księgarskich zamkniętych, zaplombowanych, przygotowywanych przez okupanta na makulaturę. Jednym z głównych źródeł takich książek były ogromne składy urządzone przez Niemców w domach schroniska dla weteranów Powstania roku 1863 przy ulicy Jagiellońskiej róg Floriańskiej, prowadzonego przed wojną przez Ojców Albertynów. Pośród wykradanych książek trafiały się rarytasy bibliofilskie, pochodzące zapewne z mieszkań przedwojennej elity politycznej. Ozdobą biblioteki Ojca w tym czasie była między innymi książka Mariana Kukieła p.t. " Zarys Historii Wojskowości w Polsce " wydanej w roku 1929 przez Krakowską Spółkę Wydawniczą z dedykacją: " *Wielce Szanownemu Panu Generalowi Dywizji Władysławowi Sikorskiemu-Marian Kukiel* ". Tata obiecywał sobie, że po wojnie, zwycięskiej oczywiście, książkę tą zwróci Sikorskiemu osobiście. To się niestety nie udało. Książek tych i innych przybywało. Na każde imieniny, Boże Narodzenie i chciało by się powiedzieć bez okazji, byłem obdarowywany naręczami książek. Znakomita większość z nich nie była z tych, które nadają się dla ucznia pierwszych klas szkoły podstawowej, ale Tato, jak mówił, inwestował w moją przyszłość. Była to oczywiście wymówka nieszczęsnego ojca, który nie był w stanie dać w tym czasie jednemu dziecku kawałka wędliny. Tak więc miałem do dyspozycji zbiory mitologii greckich, historie podboju imperium Inków, historie wojskowości polskiej, zarys dziejów filozofii i wiele, wiele innych dzieł. Napróżno błagałem Ojca przed zbliżającymi się moimi imieninami, abym jako prezent dostał kawałek kiełbasy, ale były to w ciągu pierwszych lat okupacji prośby niemożliwe do realizacji.

W czasach, w których przyszło mi być małym chłopcem dość często próby podjęcia lektury książek, z których nie rozumiałem zbyt wiele, były jedyną szansą na wypełnienie wolnego czasu. Zwykle wracałem do domu przed rodzicami i musiałem się czymś zająć. Pasjonowała mnie historia i w tej dziedzinie, jak na swój wiek byłem ekspertem. Nagminnie podpowiadałem dzieciom przychodzącym do nas na korepetycje daty różnych bitew, koronacji, czy kolejność panowania królów polskich. Najmilszą memu sercu, czytana wielokrotnie, zwłaszcza w momentach szczególnej chandry, była książka Bronisławy Ostrowskiej " Bohaterski Miś " wydana nakładem Książnicy Polskiej Towarzystwa Nauczycieli Szkół Wyższych we Lwowie w roku 1922. Była to jedna z książek napisanych po I Wojnie Światowej "dla podniesienia serc ". Jakże dobrze służyła w czasie następnej zawieruchy dziejowej naszym sercom.

W jesieni roku 1941 „gadzinówka „, Nowy kurier Warszawski wydawany przez okupanta opobulikował wstrząsające zarządzenie Generalnego Gubernatora dr. Franka, który ogłaszał, że: „ Za opuszczenie przez Żyda getta lub świadome udzielenie Żydowi schronienia grozi KARA ŚMIERCI. Karze śmierci podlega także ten, kto świadomie osobom takim (tzn. Żydom) udziela schronienia „. Cywilizacja europejska sięgnęła bruku i to w wykonaniu narodu, który wydał z siebie Goethego, Schillera, Boethovena i inne znakomitości świata kultury i sztuki.

Wieczorne opowiadania Ojca

Ojciec mój często był poza domem, w drodze. Był maszynistą kolejowym, który swoje najlepsze lata spędził pracując w carskich kolejach imperium rosyjskiego. Po upadku gospodarstwa prowadzonego przez Dziadka Grzegorza musiał znaleźć sobie źródło zarobkowania. Podróże służbowe sprawiły, że znał europejską część Rosji znakomicie. Czasem w nocy budził mnie Jego głos. Wrócił z dalekiej drogi. Przychodził do mnie, brał na ręce, całował. Czarny mundur kolejarza lśnił srebrnymi guzikami. Wyjmowałem zegarek i przykładałem do ucha: szedł rytmicznie. Zegarek był dla mnie potęgą. To on wydawał się wyznaczać plan życia Ojca: kiedy Ojciec opuszczał dom, kiedy wracał patrzył na zegarek i wychodził kiedy zbliżał się czas wyznaczany przez to srebrne cacko. Z tym zegarkiem łączyła się dziwna historia. Ojciec, gorący patriota, otrzymał ten zegarek z rąk adiutanta Cara Mikołaja II, kiedy prowadził jako maszynista pociąg, którym podróżował cesarz. Taki to był zwyczaj w tej imperialnej Rosji. Zegarek był okrągłą, srebrną "cebula", o podwójnych kopertach. Na zewnętrznej widniał wspaniale rozwinięty dwugłowy orzeł rosyjski.

Ojciec nie tylko nie krępował się pochodzeniem zegarka, ale z dumą podkreślał, że był to prezent Imperatora będący uznaniem dla jego kwalifikacji zawodowych.

Z każdej podróży przywoził nam masę zabawek. Misia i kowala, którzy wspólnie kuli na kowadle, Wańkę wstańkę czyli głupiego kacapa, piłkę, kaczkę, konie z wozem i wiele innych cudów. I przywoził też opowiadania o szerokim świecie, o Kijowie cudownym mieście o setkach złotych kopuł cerkiewnych nad Dnieprem, o Odessie porcie otwartym na morze bez końca. Mieliśmy też wiele książek. Mama czytała wieczorami przy lampie naftowej, kiedy uspiła Witolda. Pytam się dlaczego Witold nazywa się Witoldem. Matka opowiada o Wielkim Księciu Witoldzie, wielkim rycerzu. Sam Król Jagiello szukał jego rady i pomocy. Witold miał wielki miecz. Drżeli Krzyżacy przed tym mieczem. Może na takiego wielkiego człowieka wyrośnie Witold, Twój młodszy brat. Powoli wylaniał się świat. Wszystko było śliczne, zajmujące, tajemnicze i ciągle nowe. A wiele z tych spraw odkrywała mi Matka. Przez Nią widziałem większość rzeczy. Od Niej otrzymałem pierwsze lekcje patriotyzmu w czasie, kiedy Polski nie było na mapie. Opowiadała o Stefanie Okrzei, który zawisł na carskiej szubienicy po zamachu na cyrkuł policji rosyjskiej. Okrzeja mieszkał obok nas, znałem Jego rodzinę, jako młodzieniec przyjaźniłem się z jego bratankiem Władkiem Okrzeją. Znałem, bo jeszcze żyła, Jego – Stefana, matkę. Idziemy z Rodzicami ulicą Bródna. Żle wybrukowana, nierówna, pośrodku płynie potok brudnej wody po deszczu. Nagle zza zakrętu, od ulicy Poborzańskiej wyjechał patrol Kozaków. Byłem urzeczony

- Tato, jakie to śliczne wojsko ! Jakie piękne chorągiewki mają na pikach !

Ojciec pociągnął mnie za rękę.

- To bandyci i złodzieje ! Czy ty wiesz, że oni tymi pikami nawet dzieci zabijają ? Oni także księży zabijają, bo księża są Polakami !

-Tato, a ja jestem Polakiem ?

- Tak, i pamiętaj o tym ! Nie zadawaj się z żadnym kacapem !

- A z Fiedką ?

Kozacy przejeżdżali. Ludzie patrzyli wrogo. Jakiś andrus siedział na płocie i przeraźliwie gwizdał. Koń kozacki idący na końcu zaczął się ploszyć. Andrus gwizdał jeszcze głośniejsze, oczy mu się śmiały. Kozak przeklinał okrutnie. Koń pocwałował i znikł z pola widzenia.

Matka powiedziała: To właśnie Kozacy ganiłi nas, kiedy dziećmi będąc uczyliśmy się języka polskiego, którego w szkole uczyć nie było wolno. Ojciec prawdę mówi, tacy to i dzieciaka ubiją i kościół katolicki spalą ! To dzicz !

Na Wielkanoc pojechaliśmy do Częstochowy. Mrowie ludzi. Ojciec mówił: krakowiaczy, podlasiacy, łowiczanie, wielkopolanie, ślązacy. Ale wszyscy oni mówili po polsku, nie po rusku. Pytałem Ojca czy to także Polacy ?

- Tak synku, ale są pod różnymi cesarzami. Ale to wszystko nasza krew !

Wtedy po raz pierwszy usłyszałem opowieść o szwedzkim potopie. Ksiądz Kordecki stał niemo i nieruchomo na pomniku w obrębie klasztornych wałów. Szwedów jednak nie było. Wszystko to było dla mnie jedną z tych legend, coś jak o Wawelskim Smoku czy myszach Popiela.

* * * * *

Ulica Nieporęcka wydawała się być na uboczu wydarzeń, które toczyły się nieco dalej. Żandarmeria czy Gestapo zjawiały się tu dość rzadko. Z tego co pamiętam tylko jedna rodzina zadeklarowała się jako volksdeutsche, czyli przynależni do narodu "nadmudzi". Niechęć do nich nie była wyrażana zbyt demonstracyjnie. Sądzę, że jednak ludzie bali się, bo okupant nie żartował, zaś państwo X zachowywali się dość przyzwoicie. W zasadzie śmierć chadzała ulicami Warszawy w dzień i noc, i w tym powiedzeniu nie ma cienia przesady. Kiedyś szedłem z Ojcem ulicą Bałostocką w kierunku Targowej. Pomiędzy Markowską a Dworcem Wileńskim, nagle zza betonowego muru odgradzającego torowiska dworcowe wychylił się bahnschutz, który zaczął strzelać do przechodniów. Około 150 metrów od nas padł martwy młody mężczyzna. Ojciec wciągnął mnie za mur magazynów firmy Krzysztof Brun znajdującej się na rogu Markowskiej i Białostockiej. Po kilkunastu minutach okazało się, że strażnik pomylił się zabijając nie tego, który jakoby włamywał się do wagonów kolejowych. Dzielny myśliwy był jednak z siebie zadowolony-dzienny plan wykonał, saldo mordów na ten dzień się zgadzało. Takich sytuacji było wiele, a do tego dochodziło

"prawo " okupacyjne, które karało śmiercią właściwie za wszystko: od posiadania broni czy tajnej prasy do wypiekania i sprzedaży pszennych bułek. Śmierć się zdewaluowała i nawet dzieci były z nią oswojone, jako ze zjawiskiem codziennym.

W połowie roku 1941 Ojciec zdobył działkę, która znajdowała się na terenie Ogrodu Zoologicznego na terenie przylegającym do wału kolejowego prowadzącego tory na most w kierunku Dworca Gdańskiego. O ile wiem, działki te załatwił dla środowisk nauczycielskich Pragi dyrektor ZOO, doktor Jan Żabiński. Z tego co mówił dr. Żabiński wynikało, że ten teren tuż przed wojną był przygotowywany pod wybiegi dla łosi i innych zwierząt żyjących na mokradłach. Teraz kiedy ogród był zlikwidowany znaleziono inne rozwiązania, które miały uchronić teren przed dewastacją. Część zwierząt zginęła w czasie oblężenia Warszawy we wrześniu 1939 roku, drapieżniki zostały zastrzelone przez wojsko dla uniknięcia tragedii, wiele innych zwierząt, które przeżyły Niemcy wywieźli do ogrodów zoologicznych w Rzeszy. Bez przesady można powiedzieć, że te zwierzęta dzieliły wiernie los warszawiaków. Działka była nieduża, około 400 metrów kwadratowych, ale troskliwie uprawiana dawała w szalenie trudnej sytuacji aprowizacyjnej warzywa i kartofle. Obok naszej działki znajdowały się "posiadłości " wielu kolegów i przyjaciół moich Rodziców, z panem profesorem Adamem Gawędą na czele. Nieopodal, tuż przy wjeździe na most kolejowy przy Cytadeli Niemcy wystawili metalową wieżę, na której koronie znajdowała się dość duża platforma obłożona workami z piaskiem. Było tu urządzone stanowiska ciężkich karabinów maszynowych służące obronie przeciwlotniczej i przyczółków mostu. Nieustannie wartownicy spoglądali na pracujących na działkach poprzez lornetki, ale nie zdarzyło się, aby z ich strony spotkały nas jakieś szykany. Bywalibyśmy na działce o wiele częściej, gdyby nie mnożące się łapanki. Któregoś dnia po wyjściu z działki usłyszeliśmy dziki wrzask „ *Polizei !!! Polizei !!!*. To wrzeszczał nastolatek w mundurze Hitlerjugen, któremu z nosa ciekła obficie krew. Widocznie gdzieś w kącie dorwały go praskie chłopaki.

W lecie roku 1942 zidiocenie Hitlerowców doszło do tego, że nie jest dozwolna jazda rowerami przez osoby nie będące Niemcami, chyba, że posiadają specjalne zezwolenia policji okupanta.

W zasadzie nie było dnia, aby "na mieście " nie łapano do roboty przymusowe w Reichu, do obozów koncentracyjnych i na szybkie "rozwałki" w egzekucjach wykonywanych na oczach przechodniów pod ścianami domów. Nie było spokojnych ulic czy dzielnic, na których łapanki nie groziły. O to Niemcy dbali w sposób szczególny. Była to zapewne z niemiecką precyzją organizowana strategia siania strachu w podbitym i niepokornym mieście. W jesieni 1943 roku byłem z Mamą na ulicy Piusa XI (dzisiejsza Piękna). Mama załatwiała jakieś sprawy związane ze zlikwidowaną już szkołą pani Kurmanowej. Chyba chodziło o jakieś świadectwa ukończenia szkoły czy zaliczenia klas. Nagle coś zaczęło się dziać na ulicy przed domem, w którym byliśmy. Dokładnie na przeciwko, pod gmachem centrali telefonów żandarmeria niemiecka oczyszczała teren. Za chwilę podjechały dwa samochody ciężarowe, z których wywleczono ludzi. W zasadzie, były to figury człekopodobne, ubrane w papierowe worki, z ustami zaklejonymi gipsem. Matka nie pozwoliła mi patrzeć na to, co rozegrało się za chwilę. Przycisnęła moją głowę twarzą zwróconą do swej piersi. Dwukrotna salwa. Wyszliśmy domu po pół godzinie. Teren pod murem dozorczy splukiwali wężem krwawych hydrantu z krwawych kałuż. Rozstrzelano kilkudziesięciu Polaków, zapewne więźniów Pawiaka.

W lutym 1944 jechaliśmy, także z Mamą, tramwajem wracając z wizyty u Wujka Józka Lidnera. Po wysiedleniu z Okopowej, gdzie stworzono getto, mieszkał w domu przy ul. Chłodnej 39 A. Tramwaj przejeżdżał ulicą Leszno, kiedy pasażerowie zamarli. Na balustradzie balkonu wypalonego domu za murem wymarłego już getta, który biegł wzdłuż Leszna, wisieli mężczyźni. Była to dwudziestokilku osobowa grupa powieszonych. Było pośród nich kilku młodych chłopców, jeden z mundurku przedwojennego gimnazjalisty. Obok niego wisiął dorosły mężczyzna, może ojciec, w szarym swetrze golfie, a dalej ksiądz w sutannie. W piątym roku okupacji Matka nie przeszkadzała mi w oglądaniu tej makabry. Miałem zapamiętać barbarzyństwa Niemców. Nasi wisieli jak kurczaki na hakach w sklepie spożywczym pana Soćki na rogu Nieporęckiej i Zabkowskiej, przerażająco blado-sini, kołysani zimnymi powiewami wiatru. Przed murem, co

kilkanaście metrów stali w rozkroku, z karabinami przewieszonymi na pasach przez ramię kaci-zandarmeria niemiecka. Wzdłuż muru sądów na Lesznie Niemcy ustawili dwa karabiny maszynowe, które zapewne jeszcze bardziej miały porazić strachem tłum ludzi wolno i w milczeniu kroczących jak kondukt pogrzebowy oddający część współbraciom. A ludzie nieustannie poganiani przez oprawców szli i patrzyli. I zapamiętywali. Oddawali ostatni hołd. Przypomnił mi się automatycznie zwiastun tych czasów żołnierz niemiecki widziany po raz pierwszy we wrześniu 1939 na rogu ulic Białej i Elektoralnej. Codziennie niemal ludzie mówili o tym, gdzie danego dnia i ilu rozstrzelano. Jednym z bardziej spektakularnych aktów terroru było powieszenie jednego dnia w pięciu miejscach po 10 mężczyzn. Był to odwet za wysadzenie wokół Warszawy sieci słupów wysokiego napięcia zaopatrujących w energię kolejowy węzeł warszawski. Szubienice posadowiono przy dworcach kolejowych na obrzeżach miasta. To wszystko powodowało, że nienawiść do Niemców była straszliwa i stała się częścią wnętrza każdego z nas, od małego dziecka po starca.

Okupant prowadził wyrafinowaną politykę upokarzania naszego społeczeństwa i utrudniania życia codziennego na każdym kroku. Mimo wszelkich patologii i dramatów czasów okupacji życie toczyło się: ludzie się rodzili, czasem umierali w łóżkach, kochali i żenili. Dzieci w miarę możliwości bawiły się, chociaż jedną z najpopularniejszych zabaw, zwłaszcza chłopców była zabawa w wojnę, w egzekucje, w zamachy na Niemców. Na Żąbkowskiej, naprzeciw Nieporęckiej w długim domu którego budowy nie ukończono do września 1939 roku otwarto fotoplastikon. Nigdy tam nie byliśmy, bowiem stosowaliśmy się do zaleceń władz podziemnych, aby nie wspomagać okupanta, który ściągał znaczną część dochodów z kin, teatrzyków i innych ośrodków rozrywki jako podatek wojenny. Na ścianie domu przez cały dzień ryczał megafon zwracający uwagę, tak zwanej szerokiej publiczności, na ofertę prostackiej zabawy. Nadawano też hałaśliwie piosenki, których treść trafiała w gusta najmniej wymagającej publiki.

*On marynarz, ona dama,
on wyjeżdża, ona sama
on przyjeżdża, ona syna ma.....*

lub

*Widzę panią bez koszulki
słońce mi zdradziło to,
widzę dwie czarowne kulki
i szczegółów innych sto.....*

Sąsiedzi w zasadzie nie zmienili swoich przedwojennych obyczajów: pan Bieliński, właściciel składu węgla, niewiele starszy od mojego Ojca, ale biologicznie 70-cio latek, rzadko trzeźwiał, pijąc jak mówił: " *a conto tego, żeby drania Hitlera szlak trafił* ". Tak więc był wytłumaczony względami patriotycznymi. Pan Baranowski pił okresami, ale kiedy miał ciąg gonił małżonkę z siekierą. Gonił ją zawsze tak, aby jej broń Boże nie dogonić i po dwu, trzech okrążeniach na trasie ulic Nieporęcką, Żąbkowską, Tarchomińską i Białostocką zmęczeni i zadyszani małżonkowie zgodnie i miłośnie przytuleni odpoczywali na ławce przed swoim domem przy ulicy Nieporęckiej 8. Był to swego rodzaju rytuał, wręcz oczekiwany przez sąsiadów pozbawionych w owym czasie innych weselszych "atrakcji" niż strzelaniny i łapanki. Szczególną "sympatią" pana Baranowskiego była teściowa. Jak każdy dobrze wychowany czyli "znający towarzyskie alibi wobec dam" rodak ze Szmulowizny nigdy nie mówił "teściowa" tylko "mamusia żony". Teściowa była, jak to się mówiło: " *na rękach noszona i nie upuszczana* ". Ten sam człowiek, który ślubną małżonkę ganiał z siekierą starszą panią otaczał demonstracyjnie szacunkiem i komplementował w obecności sąsiadów. Coś jednak drzemało w tej szczerzej słowiańskiej duszy, jakaś zadra. Kiedy wracał do domu jedynie podpity, jego nadejście oznajmiała głośna pieśń:

*Teściowo, ty stary rowerze,
tylko pedałów ci brak
jak Ci się pedały dobierze
pojadę na Tobie w świat*

Ciekawe, że nigdy nie było z tego powodu kwasów, o represjach nie wspominając, ze strony kochającej Teściowej.

Jednocześnie to, co zostało z czasów przedwojennych, a co było wzmocnione wrodzonym Niemcom zamiłowaniem do porządku administracyjnego i czystości, to urzędowy wymóg utrzymywania domu w porządku. Dozorczynie codziennie, a jeśli było trzeba dwa razy dziennie niezwykle dokładnie zmywała posesję. Jeśli była taka potrzeba szorowała plamy tłuste na chodniku czy w bramie gorącą wodą do czysta. W czasie opadów śniegu śnieg musiał być starannie odmieciony przed domem i do połowy jezdni, tyle razy ile tego wymagała sytuacja atmosferyczna. Pilnował tego dzielnicowy policjant "granatowy", wysoki, przystojny, niezwykle przyzwoity człowiek mieszkający nieopodal na Nieporęckiej 14, głęboko zresztą zaangażowany w działalność konspiracyjną.

Marzeniem moim tych lat był własny pies. Było to delikatnie mówiąc trudne, jeśli weźmie się pod uwagę fakt, że sami nie mieliśmy co jeść, a po posiłkach nie zostawały resztki. Tak więc plany posiadania psa musiały być odłożone na bliżej nie określoną przyszłość. Znalezione pod płotem wróbel, najprawdopodobniej chory lub potracony, niestety zdechł ku mojej ogromnej rozpaczy.

Wieczorne opowiadania Ojca.

W naszym domu, jeszcze przed pierwszą wojną, mieliśmy ukochanego psa. Był to duży brązowy jamnik wabiący się Figiel. Wiernie towarzyszył naszym zabawom. Zwykle siedział z boku pilnie bacząc na nas, pilnując nas. Uwielbiał ciepło układając się jak kot na słonecznych plamach. Leżał wtedy na grzbiecie brzuchem do góry. Łatwo i szybko zasypiał zawsze jednak gotów do natychmiastowego zerwania i obrony nas. Figiel mruczał przez sen. Czasem śniło mu się coś i wówczas powarkiwiał chrapliwie i machał łapą. Jeżeli jakiś chłopak zwędził mi zabawkę Figiel gnął za nim, chwytając zębami za nogę lub za spodnie. Dzieciak siadał przerażony i darł się. Zwykle wdawały się w to matki. Moja odbierała skradzioną zabawkę mówiąc nieodmiennie: "Nie można ich tu wpuszczać, wszystko rozniosą!". Głaskała przy tym psa i całowała jego łeb. Jamnik rozumiejąc jak go doceniono machał radośnie ogonem i szczeakał. Wracając z Mamą w najlepszej komitywie do sieni, gdzie dostawał nagrodę-kawałek kiełbasy czy ciasta. Mrużył oczy i znów zapadał w senną zadumę od czasu do czasu zerkając wokół czy coś się nie dzieje. Byliśmy dumni i szczęśliwi z jego posiadania. Figiel był tak zmyślny, że umiał prowadzić znajomych do siostry mojej Mamy, Ciotki Molskiej, która mieszkała nieopodal na tak zwanych Górach. Były to wielkie piaszczyste wydmy położone pomiędzy kościołem Matki Boskiej Różańcowej, polami Starego Bródna a cmentarzem. Wystarczyło powiedzieć: "Figiel prowadź do Cioci, prowadź na Góry" a już radośnie kręcił ogonem i szedł niespiesznie oglądając się co chwila, czy się za nim nadąża. Dochodził do drzwi przeznaczenia i głośno szczeakał zapowiadając gości.

Pewnego dnia jednak stała się rzecz straszna. Sąsiedzi zawiadomili Mamę, że Figiel został pogryziony przez wściekłego psa. Za niedługą chwilę sąsiad pan Zakrzewski przyciągnął Figla na sznurku na podwórze. Pies został zamknięty w komórce na drzewo. Dowiedzieliśmy się, że wściekłego psa mężczyźni zatłukli kijami, ale co z Figlem? W nocy przyjechał Ojciec z drogi. Był bardzo zmęczony, ale wziął lampę i poszedł do Figla zamkniętego w szopie. Powiedział: "Trzeba czekać. Zobaczysz się za kilka dni". Niestety wystąpiły objawy typowe dla tej strasznej choroby. Ostatni raz widziałem Figla trzymany na rękach przez Matkę. To już nie był nasz ukochany pies. Napięty, niespokojny, ze zjezoną sierścią, nie poznający nikogo z nas, toczył pianę z pyska. Ojciec uprosił sąsiada, który miał fuzję, aby skrócił męki zwierzęcia. Przeżyłem to bardzo głęboko. Przez następne noce we snach jakiś koszmarny pies gryzł Figla, który skowyczał pod naszymi drzwiami. Ten koszmar senny trwał przez następne tygodnie. Nigdy potem nie zdecydowaliśmy się na posiadanie psa w domu. Po prostu nie mieliśmy odwagi raz jeszcze przeżywać śmierci ukochanego zwierzęcia.

* * * * *

W czerwcu 1941 Niemcy uderzyły na Rosję. Istniało głębokie przekonanie, że tym razem Hitler skreśli kark. Interesująca była filozofia mieszkańca Szmulowizny, który twierdził, że *"Piłsudski to by dał radę kacąpom, tak jak w dwudziestym roku, ale te gnoje udławią się"*. Dwa czy też trzy dni po wybuchu wojny z Rosją nastąpił pierwszy od oblężenia Warszawy nalot lotniczy na miasto. Przyleciało kilka samolotów sowieckich całkowicie zaskakując silną w tych czasach Luftwaffe. Piloci byli najwidoczniej fatalnie przygotowani do swego zadania bowiem bomby spadły głównie na cele cywilne, w tym precyzyjnie trafiły w przepelniony ludźmi tramwaj stojący na przystanku przy Placu Weteranów 1963 Roku na Pradze, tuż przed wejściem do Ogrodu Praskiego. Szczątki ludzkie zbierano przez dwa dni z pobliskich dachów i drzew ogrodu. Nalot zaskoczył mnie na fotelu u dentystki pani dr.Cyranowej-Rybakowej prowadzącej gabinet w domu przy ulicy Żąbkowskiej na rogu Korsaka. Przez godzinę, do odwołania alarmu przesiedzieliśmy w piwnicy. Bomby były zrzucały w okolicy i atmosfera piwnicy wypełnionej ludźmi przypominała wrzesień 1939 roku. Znów pył domu wstrząsanego podmuchami wybuchu sypał się nam na głowę. W piwnicy powstała panika. Byłem wówczas już bogatszy w doświadczenia wojenne. W dziecięcej głowie jawiła się świadomość tego, że w razie czego nie wystarczą jednak ani sklepienia piwniczne, ani ramiona Mamy. Tu trzeba było interwencji sił wyższego rzędu. Wychowywany religijnie instynktownie, głośno zacząłem odmawiać codzienną modlitwę: *" Pod Twoją obronę uciekamy się Święta Boża Rodzicielko. Naszymi prośbami racz nie gardzić w potrzebach naszych..... "*. Ta głośna modlitwa chłopca była czynnikiem wprowadzającym element nadziei i uspokojenia atmosfery w piwnicy. Ludzie podjęli modlitwę. Wybuchy ustały. Alarm odwołano w niedługim czasie. Wyszliśmy na rozgrzaną czerwcowym słońcem ulicę Żąbkowską.

W następnych tygodniach pojawiły się ogromne tablice z mapą Z.S.R.R, na których codziennie zaznaczano błyskawiczne postępy Werhmahtu na wschodzie. Do Warszawy zaczęli także napływać pierwsi Polacy, którzy doznali " raju" państwa robotników i chłopów. Ku naszemu zdumieniu oni uważali hitlerowców za ludzi cywilizowanych. Póki co oczywiście. Ich opowieści na temat okupacji radzieckiej były ponurą rewelacją. W niedługim czasie pojawili się także jeńcy sowieccy pędzeni tłumnie po ulicach miasta. To była straszliwa nędza i niewyobrażalne poniżenie. Chyba nawet Żydzi byli lepiej w tym czasie traktowani przez Niemców. Jeńców napływało. W zimie 1941/1942 znajomi, którzy mieszkali pod Warszawą przy centralnych szlakach kolejowych zaczęli opowiadać horrory. Otóż wieziono tych jeńców sowieckich w otwartych lorach kolejowych przy mrozie przekraczającym minus 20 stopni Celsjusza. Wiele z nich dostało się do niewoli w środku lata, w upalnej pogodzie, ubranych w drelichowe, letnie mundury. Trzymani bez jedzenia i wody miesiącami marli masowo. Wiezieni gdzieś na zachód zamierzali w pociągach. Ci, którzy mieli nieszczęście przeżyć wyjadali poślądki trupów, które wyrzucali poza wagony. Władze niemieckie zarządziły organizowanie patroli mieszkańców gmin położonych przy szlakach kolejowych dla grzebania setek zwłok znajdujących przy rannych obchodach. Jedno jest pewne, w przeciwieństwie do poprzednich europejskich podbojów niemieckich w wagonach wracających z Rosji nic nie było do ukradzenia dla chłopców ze Szmulek. Znajomi z Małopolski pisywali, że ponoć Niemcy wożą całe pociągi czarnoziemiu z Ukrainy do Rzeszy. Czy była to prawda, nie wiem. "Owocował " tu dobrobyt kraju *"gdzie jutro jest dniem wczorajszym "*.

Dziadek Janczewski, który europejską część Rosji znał z wieloletniej pracy kolejarza carskich kolei wciąż gubił się w nazwach: *" co to za miasto Świdłowsk ?, albo Kujbyszew ? "*. Największe jednak problemy miał z rozszyfrowaniem nazwy *Stalingrad*, miasta które w pewnym momencie stało się centralnym punktem, skupiającym uwagę wojującego świata. Wreszcie zidentyfikował: *" Przecież to Carycyn !"* I tu popłynęły opowieści.

Wieczorne opowieści Dziadka Janczewskiego.

Rosja to był wspaniały i potężny kraj. Także kraj ogromnych kontrastów-z jednej strony wielkie salony, przebogaci kupcy, ludzie światowi, ale dominowała tuszcza, dzicz. Ludzie w głębi Rosji byli zupełnie inni niż ci, których przystali do nas, nad Wisłę. Tamci serdeczni, gościnni, wylewni, ci kanalie i hołota-jakby dwa różne narody.Mimo, że byli obywatelami mocarstwa

światowego mieli zawsze, w stosunku do nas Polaków kompleks niższości od lat wybijany z głowy bezskutecznie przez uradników z Centrali. Pamiętam jak się przekomarzałem, z miłym zresztą Fiodorem, pomocnikiem maszynisty, dlaczego Rosjanie noszą rubaszki (koszule) zawsze wypuszczane na zewnątrz, zaś Polacy włożone do spodni. Wbijaliśmy mu do głowy, że w czasie tak zwanej wielkiej smuty, kiedy to Polacy rządzą w Moskwie na widok Polaka Ruski zeał się w spodnie, a nie chcąc mieć zabrudzonej koszuli zaczął ją nosić na zewnątrz. Nikt też tak bezczelnie nie kłamał i kłamać nie umiał jak Ruski właśnie.

Kiedy przyjeżdżaliśmy z pociągiem wiozącym towar na odludną stację zamykającą trasę w głębi Imperium Rosyjskiego w oczekiwaniu na rozładunek pociągu załoga kolejarzy była siłą zabierana na gościniec do domostw. Ludzi bili się, aby nas gościć w domach. Trzeba było mieć zdrowy żołądek i dobrą głowę, bo nie dało rady tego wszystkiego zjeść i wypić. O tym, aby przyjęli kopiejkę zapłaty za gościnę nie było mowy, Obrazili by się śmiertelnie. Od nas kolejarzy oczekiwali tylko opowiadania o szerokim świecie. Najpiękniejsza jednak była Mołdawia. To nie Rosja, mówili chyba po rumuńsku. To istny raj. Jedliśmy mięso z młodych baranów i piliśmy cudowne wino. Spało się pod gołym niebem, pod drzewami, bo pogoda jak to na południu Europy. I na drogę dawali wałówki. Jakie wałówki!. Carycyn!. Pamiętam Wołgę, szeroką jak kilka Wisł! A na brzegu, przy przystani spali burlacy.. To byli nie ludzie, raczej podobne człowiekowi zwierzęta. To pewnie ci głównie potem zrobili rewolucję bolszewicką, skoro tyle zła się tam porobiło. Leżało to pokotem kompletnie pijane. Ceny dniówki mieli wypisane na zelówkach butów. Jeśli takiego obudziłeś to było równoznaczne z wynajęciem do pracy. Inaczej był gotów zarznąć. Wynajmowali się do ciężkich robót. Zwykle to było ciągnięcie barek pod prąd na linach. Burlacy szli po brzegu i ciągnęli pod prąd rzeki galary ze zbożem, owocem, drzewem. Każdy miał nóż za cholewą. To kompletna dzicz. Jeśli sami tacy tam zostali po wyrznięciu przez bolszewików inteligencji, to chyba Hitler jednak nie wygra. Oni przetrzymają wszystko czego normalny człowiek nie da rady przetrzymać.

Była już rewolucja bolszewicka. Ja się zaplątałem w głębi Rosji. Drogi powrotnej do Polski nie było. Tu czerwoni, tu biali, tam Niemcy, gdzieś tam Czesi, a wszędzie mordowanie się nawzajem. Byliśmy Polacy, około trzystu w Wołogdzie. Mordy, pożary, rabunki. Życie ludzkie było nic nie warte. Zebraliśmy się w polskiej grupie, w jakiejś starej szkole, uzbrojeni. Nawet dwa Maxymy (karabiny maszynowe system Maxim) mieliśmy. W mieście było kilka tysięcy białych oficerów i kadetów. Chowali się po domach i prywatnych mieszkaniach. Pewnego dnia pojawił się batalion czerwonych matrosów. Ot jakieś trzystu chłopca. Czegóż oni nie wyprawiali z tymi białogwardzistami. Wyrzucali ich z okien, z trzeciego, czwartego piętra na bruk, topili, zabijali bagnietami, praktycznie rzecz biorąc bez żadnego oporu. Po prostu ci ludzie stracili chęć do życia, nie wierzyli, że można obronić się przed tą hołotą. Marynarze przyszli do nas żądając żebyśmy im wydali "polskich burżujów ". Odpowiedzieliśmy, żeby sami spróbowali wziąć, a my im damy w dupę. Usłyszeliśmy, że nie znamy się na żartach i poszli w diabły. Ot, rozbestwione żołdactwo!

Znałem, jak mi się wydawało Rosję sprzed 1917 roku, teraz nie mam o nich pojęcia. Ostatni raz widziałem ich w 1920 i to już nie byli ci, których znałem. To już byli sami burlacy, sama Azja, sama dzicz, dlatego tak się wtedy broniliśmy przed nimi. Jeszcze możemy mieć z nimi kłopot! Napoleon też nie był trąba, a jak strasznie z nimi przegrał. I po Napoleonie dostaliśmy się w ruską niewolę na dalsze sto lat. Jak tu do nas przyjdą, to żaden Churchill ich nie wypędzi. To nie rok 1920! A Pilsudskiego już nie ma”

Następne lata pokazały, że ten prosty człowiek miał trzeźwiejszą ocenę naszej przyszłości niż wielu ówczesnych polityków. Z Dziadkiem Janczewskim odbyłem kilka podróży wakacyjnych w latach 1942-1943. Trwały rodzinne próby wywożenia mnie z miasta na wieś, a przede wszystkim na mleko, ser, masło i jaja. Dziadek odnowił przyjaźń ze swoim młodszym kolegą z pracy na kolei panem Stefanem Domańskim. W ostatnich latach przed wojną odziedziczył on po ojcu niewielki skrawek ziemi, który powiększył dokupując kilka hektarów we wsi Zalesie koło Łukowa. Gospodarstwo składało się z maleńkiej, drewnianej chatynki, oraz budynku łączącego w sobie funkcje obory i chlewa, stodoły i dość solidnej murowanej piwnicy głęboko wkopanej w ziemię. Ta ostatnia pełniła pożyteczną w tym czasie, funkcję schronu "gdyby coś". Jeszcze przed wojną

Dziadek Janczewski wyswatał go ze znajomą młodą wdową, Zosią i od tego czasu traktowano Go jako członka bliskiej rodziny. Ja mówiłem do nich per Ciociu i Wujku. Byli dla mnie serdeczni i gościnni. Mieli syna, Żdziśka, młodszego ode mnie o pięć lat. Wieś Zalesie to w owych czasach zaścianek szlachecki, nieomal jak Dobrzyń z "Pana Tadeusza". Połowa mieszkańców wsi to byli Zalewscy, zaś druga połowa-Domańscy. Tertium non datur. W dniu jakiegoś święta kościelnego, chyba Matki Boskiej Zielnej, po południu, z oddalonej o kilka kilometrów wsi Sieńciaszki zaczęły dochodzić dźwięki chłopskiej kapeli, po prostu wiejska zabawa. Biorąc pod uwagę, że w owych czasach życie wsi było, delikatnie mówiąc, monotonne wyraziłem Wujostwu zdziwienie, że nie biorą udziału w tej imprezie. Usłyszałem w odpowiedzi: " *My mamy się z chamami bawić ?* ". Ponieważ niczego nie rozumiałem uświadomiono mi, że Sieńciaszka jest wsią "chłopską" i żaden przyzwoity chłopak, a tym bardziej dziewczyna ze "szlacheckiej" wsi Zalesie nie ma tam czego szukać. To nie dla nich towarzystwo. W niedzielę chodziliśmy do odległego o kilka kilometrów Łukowa, gdzie jest piękny kościół będący nieomal kopią kościoła Świętego Krzyża w Warszawie. Szło się na bosaka, dopiero przed kościołem zakładano buty niesione w drodze na kij. Było biednie, ale nie głodno. Chłopi musieli jednak oddawać haracz z płodów rolnych i zwierząt rzeźnych okupantowi. Wprowadzono też mnogie inne restrykcje obwarowane, jak wszystko w czasach okupacji, karą śmierci. Młyny znajdowały się pod staranną kontrolą Niemców. Mąkę na użytek domowy w tej sytuacji wytwarzano w archaicznych żarnach, przechowanych na Podlasiu po praprzodkach. Wygrzebywano je z gospodarskich piwnic i strychów, i..... mielono. Za to też karano śmiercią. Ale jakież to był chleb: gruboziarnisty, pieczony na liściu chrzanowym, z masłem. Niebo w gębie.

Ogromne obszary leśne Podlasia były królestwem "jędrusiów", bo tak nazywano w tych stronach partyzanckie oddziały leśne. Niemcy wyprawiali się na wsie ekspedycjami, które z reguły kończyły się dramatycznie dla najeżdżanych. Palono i mordowano bez litości od noworodków do wiekowych starców. Jednak chłopi drogo sprzedawali swą skórę. Od szarej godziny Niemiec, ani granatowy policjant nie śmiał pojawić się poza odwachem w miasteczku. We wsiach pojawiali się natomiast po zmroku partyzanci dość niezłe uzbrojeni. Znając z opowiadań uzbrojenie powstańców warszawskich z sierpnia 1944 muszę stwierdzić, że oddziały leśne były potęgą. Znaczna część chłopców miała pistolety maszynowe, głównie niemieckie, ale także widywałem sowieckie pepesze, odznaczające się charakterystycznymi, okrągłymi magazynkami. Nastrój był swojski, bo i przychodzili do siebie, do swoich rodziców, do swoich dziewczyn. Należałem do pokolenia, które od pętaka znało się na broni produkowanej w owym czasie od Uralu po Pireneje. Wszyscy "jędrusie" starannie podkreślali, że są oddziałami "Batalionów Chłopskich". Jako Warszawiak pytałem czy to nie to samo co "Armia Krajowa" i dostawałem odpowiedź, że tak, że są częścią Armii Krajowej, ale.... I tu następował wywód, którego nie rozumiałem, wywód na temat chłopskiej krzywdy, która musi po wojnie zniknąć z kraju wolnego i demokratycznego. Tego ONI dopilnują.

Na tej polskiej wsi, tak szeroko pomawianej o totalny antysemityzm, spotkałem żydowskie dzieci. Zwykle były to dzieciaki, które rodzice dla ocalenia wyrzucali z transportów idących do obozów zagłady ulokowanych na Lubelszczyźnie. Niektórzy pochodzili z okolicy, ale były też dzieci z warszawskiego getta. Pracowali na ogół jako pastuszkowie pasąc bydło na pastwiskach odległych od wsi, bliskich lasom, do których w każdej chwili, zwłaszcza w czasie niemieckiej oblawy można było prysnąć. Jedzenie dowożono im w czasie dnia. W zimie byli chowani w stodołach, piwnicach i stogach. Wiem, że bardzo wielu z tych, których tam, na Podlasiu spotkałem, doczekało wejścia Rosjan w 1944 roku. Bronek, żydowskie dziecko z Warszawy, przechowywał się w gospodarstwie wujostwa i nikt z tego powodu nie uważał się za bohatera. Jeżeli mówi się, że polscy chłopi brali masowo udział w eksterminacji Żydów to muszę zaświadczyć, że w Zalesiu, na Podlasiu, mówiono w odpowiedzi na zarzut, że Żydzi zabili Pana Jezusa, a więc zasłużyli na swój los: " *To byli tacy sami folksdojczje jak te nasze łobuzy, co Polaków Niemcom wydają. Ich folksdojczje wydali Żyda Pana Jezusa Rzymianowi (sic !) Piłatowi* ". I to kończyło sprawę ideologii. Już wtedy, jako dziecko, rozumiałem, że polski chłop w swojej masie jest niechętny Żydowi w takim stopniu i z tego samego powodu co niechętnym jest dziedzicowi. Jeśli nie wiadomo o co chodzi, to na pewno chodzi o pieniądze. Otóż i dziedzic i Żyd byli dla polskiego chłopca

wyzyskiwaczami. I dziedzic i żydowski karczmarz rozpijali pospołu polską wieś od wieków, a żydowski faktor chłopa zadłużał. Był to więc przede wszystkim spór natury ekonomicznej, a nie religijnej, ideologicznej czy też rasowej. Wrośnięty, jakże głęboko, w polskość Adam Michnik w swym znakomitym artykule „*Ból i milczenie* „, pisał: „*Polska była państwem wielonarodowym z trudem organizującym swe instytucje po 120 latach zaborów. Polskę zamieszkiwała 3, 5 milionowa mniejszość żydowska. Współżycie dwóch narodów różniących się wszystkim: językiem, kulturą, obyczajem i aspiracjami narodowymi – musiało rodzić konflikty. Przez cały XIX wiek Polacy walczyli o ocalenie swej tożsamości narodowej i religijnej, o odzyskanie własnego państwa. Dla społeczności żydowskiej – mimo licznych wyjątków – sprawą nadrzędną było ocalenie narodowej, kulturalnej i religijnej odrębności oraz przystosowanie się do reguł obowiązującego prawa. Dla Polaków było to prawo zaborców. To co dla Żydów było naturalnym aktem lojalności wobec państwa, w którym żyli, dla Polaków stawało się współpracą z zaborcą. Rodziło to dwa różne sposoby postrzegania świata.* „

Wracałem z Dziadkiem Janczewskim do Warszawy w ostatnie dni sierpnia. Ze względu na godzinę policyjną trzeba było przeczekać noc w prowadzonych przez różnych ludzi noclegowniach. Pociąg mieliśmy bardzo rano. W nocy spędzonej na snopkach siana opędzaliśmy się rojom pluskiew atakujących wszystkich oczekujących na podróż. Jechaliśmy straszliwie zatłoczonym pociągiem, pełnym ludzi wiozących szmugiel do stolicy. Na Dworcu Wschodnim wysiadający tłum był przepuszczony przez dwuszeręg żandarmów niemieckich bijących wszystkich gumowymi pałami. Ot pierwowzór "ścieżek zdrowia", które są widocznie wynalazkiem ponadczasowym i ponadnarodowym w totalitaryzmie. Byliśmy znów w Warszawie.

Dziadek był niezwykle interesującym człowiekiem. Poza szkoleniem zawodowym, jakie doprowadziło Go do zapewniającej dobry byt rodziny posady maszynisty kolejowego nie kończył żadnych szkół. Zawsze marzył, aby Jego dzieci, zwłaszcza synowie osiągnęli wszystko, co mężczyzna w życiu osiągnąć może. Jeszcze przed pierwszą wojną światową jego starsza i jedyna siostra Bronka wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych. Tam spotkała kandydata na narzeczonego, któremu dała kosza w Polsce. On już miał za sobą małżeństwo, śmierć żony, i syna półsierotę. Pobrali się. On pracował w kopalniach Pensylwanii, ona prowadziła pensjonat dla samotnych imigrantów Polaków. Bronka kochała jedynego brata Janka i przysłała mu "szyfkartę" na podróż do Ameryki. Babcia Julia w sposób kategoriyczny odmówiła wykorzystania tej szansy, twierdząc, że człowiek powinien tam żyć i umierać, gdzie się rodził. Dziadek miał wrodzoną inteligencję, ciekawość spraw, które działy się w świecie, zwłaszcza nowości. Był świadkiem wielu historycznych wydarzeń bezpośrednio lub pośrednio. Jego Dziadek-Grzegorz Janczewski brał czynny udział w Powstaniu Styczniowym, był zaangażowany w jednostkach żandarmerii powstańczej. Po nim otrzymałem imię, które nie było zbyt popularne w czasie kiedy zjawiłem się na świecie. Stosunek Dziadka do historii był dosłownym przeniesieniem Norwidowskiego:

*Przeszłość-to dziś, tylko cokolwiek dalej,
za kołami to wieś,
nie jakieś tam coś, czy gdzieś,
gdzie nigdy ludzie nie bywali.....*

Historia jego pradziadków, dziadków, jego rodu była częścią Jego samego. Dziadek był przy tym sceptykiem. Miał w sobie ogromną nieufność, a nawet można powiedzieć kompletny brak zaufania do tak zwanych zawodowych polityków, których uważał za odpadki społeczne. Był natomiast urodzonym pozytywistą powtarzającym sobie i nam wiersz Wincentego Pola:

*O polska kraino, gdyby ci rodacy
co za ciebie giną wzięli się do pracy,
i po garstce ziemi z Ojczyzny zebrali
już by dłońmi swymi Polskę usypali.*

Miał wpojone zasady, którymi całe życie kierował się konsekwentnie i przekazywał swoim synom. Przekazał je także mnie w czasie naszych spotkań i wieczornych okupacyjnych rodzinnych rozmów. Miał swoje dziesięć przykazań, których nauczyłem się na pamięć i które starałem się wykorzystać w różnych sytuacjach mojego życia. Oto one:

1. *Nie wahaj się dobrze świadczyć ludziom. Dobro do Ciebie wróci, wcale często nie od tego, któremu dobro świadczyłeś. Ale wróci !. Miej na uwadze, że zło wyrządzone także do Ciebie wróci !.*

2. *Nie bądź nigdy dłużnikiem, zwłaszcza w czynieniu dobra. To inwestycja, która procentuje. Warto więc inwestować samemu, także wtedy kiedy czynisz to jako pierwszy, uprzedzając innych. Nie mów o wdzięczności, zwłaszcza wielokroć. Okaż swą wdzięczność. Czynem !!!.*

3. *Na dobre imię pracuje się znacznie dłużej i znacznie trudniej niż na złą opinię. Dobre imię możesz zniszczyć w oka mgnieniu jednym draństwem lub głupotą !.*

4. *Od każdego człowieka możesz się czegoś nauczyć. Od głupiego także ! Jak bardzo można być głupim !.*

5. *Niczego nie masz raz na zawsze-ani majątku, ani rozumu. Widziałem w życiu przebogatych ludzi, którzy stawali się nędzarzami, widziałem też całkiem dorzecznymi, którzy głupieli. Głupieli z powodu kobiety, z powodu idei, która ich opętała czy wreszcie z powodu starości co rozum im zmąciła. Utrzymanie dobrobytu i mądrości wymaga wiele pracy i wiele szczęścia.*

6. *Gówniarzem można być w każdym wieku i na każdym stanowisku.*

7. *Nie użalaj się nad sobą. Najpierw zastanów się czy sam nie jesteś sprawcą sytuacji, w jakiej się znalazłeś. A więc pomóż sobie sam, bowiem nikt ci lepiej nie pomoże. Brakiem przyzwoitości jest prosić Pana Boga o to co można zrobić samemu. Uratowany bywa ten co sam się ratuje. Jeśli jesteś załamany nie obnoś się z tym wokół. Nieprzyjaznych Ci ludzi nic więcej nie jest w stanie ucieszyć niż Twoje skomlenie.*

8. *Nie wzbudź w sobie nienawiści do czegoś czy do kogoś tylko dlatego, że tego czy jego nie rozumiesz. To z czasem zamienia się w mechanizm, który nie pozwala zmądrzeć i prowadzi do samozagłady.*

9. *Życie jest ciężkie i okrutne, ale jest jak koń, który nie znosi tchórzliwego jeźdźca. Jeśli czujesz, że jesteś w niezwykle ciężkiej sytuacji zdaj sobie sprawę, że mogłoby być jeszcze gorzej. To zawsze pomaga widzieć sytuację we właściwych wymiarach.*

10. *Masz dwoje uszu ku słuchaniu, a tylko jedno usta do mówienia. Słuchaj więc dwa razy dłużej niż mów !*

Oboje z Babcią Julią byli ludźmi głęboki wierzącymi tym rodzajem wiary, której źródło tkwi w sercu nie zaś w rozumie. Oni nie tylko wierzyli, ale po prostu wiedzieli, że Bóg jest, że jest prąródłem wszystkiego co się stało. Wspaniałe były ich poglądy na temat dogmatu Trójcy Świętej.

- *Bóg Ojciec – siła sprawcza wszystkiego co się stało, co się staje, co się stanie.*
- *Chrystus – wszystko co najlepsze w człowieku, a więc miłość bliźniego, oddanie się bez reszty innym ludziom, a nade wszystko miłosierdzie,*
- *Duch Święty – rozum, idea, ład moralny wszechświata.*

Mieli głębokie przekonanie, że wszelkie okropności wojny nie są dowodem na to, że Boga nie ma, ale na to, że człowiek obdarzony przez Niego wolną wolą poszedł śladami Szatana, który będąc pierwotnie aniołem wybrał drogę występku. Od roku 1939 do uruchomienia przez Polskę Podziemną sponsorowania nauczania polskich dzieci dopłatami dla nauczycieli cierpiałem głód. Moja biedna Matka i Ojciec byli w kłopotach kiedy to mówiłem do Mamy: „ *Mamo, ty jesteś taka nieużyteczliwa* „ – *bo byłem głodny – po prostu głodny !.*

Na przełomie 1942 i 1943 wszyscy nasłuchiwaliliśmy wieści spod Stalingradu. W styczniu 1943 wszystko stało się jasne. Szkopy dostali gigantyczne lanie. Pierwszego dnia wojny z Rosją Niemcy poustawiali w wielu punktach Pragi gigantyczne tablice z mapą ZSRR, na których zaznaczali z niemiecką dokładnością przesuwanie się frontu. W czasie kiedy armia von Paulusa konała pod Stalingradem, a może nawet jeszcze przed tym, zaprzestano dokonywać zmian tej linii. I nagle, którejs nocy, wszystkie mapy znikły. To znakomicie poprawiło perspektywę na koniec wojny, chociaż wcale nie miało wpływu na zmniejszenie się nasilenia łapanek, egzekucji ulicznych i innych okropności okupacji. Pojawiły się także w czasie rozmów dorosłych rozważania: " *co będzie jak Ruscy przyjdą* ", a coraz bardziej oczywistym się stawało, że będzie to nieuchronne.

Ktoś ze znajomych nauczycieli poszedł do oficjalnego kina prowadzonego przez władze okupacyjne. Mimo ostrzeżeń „*tylko świnię siedzą w kinie* „, poszedł bo nie mógł uwierzyć w relacje

sąsiada. Otóż kroniki niemieckie przedstawiające obraz okupowanego Paryża pokazywały sielskie obrazki kontaktów towarzyskich oficerów Wehrmachtu z takimi tuzami kultury francuskiej jak Celine czy Jean Cocoteau oraz wizytę czołówki aktorów francuskich w Berlinie w wytwórni hitlerowskich filmów DEFA z takimi aktorami jak Maurice Chevaliere czy Danielle Darieux. Działo się to dokładnie w tym samym czasie kiedy Jaracz czy Dunikowski siedzieli w Oświęcimiu, zaś czołowe polskie aktorki służyły nowobogackim jako kelnerki. Nazwiska Francuzów mnie, ośmioletniemu chłopcu, nic nie mówiły, ale Rodzice i ich środowisko wyrażało zrozumienie dla przyczyn klęski Francji w roku 1940. Z takim morale ?.

Wieści o klęskach niemieckich dobiegające ze Wschodu zostały na przełomie 1942 i 1943 roku przytłumione przez makabryczne wydarzenia z warszawskich dworców, na torach których pojawiły się transporty z zamarzającymi polskimi dziećmi wywożonymi przez hitlerowskich zbrodniarzy z Zamojszczyzny. Kolejna zima okupacyjna była potworna w swej srogości. Ludzie oszaleli. Najubożsi i najbardziej zasobni zgodnie biegali po dworcach w poszukiwaniu tych dzieci. Chodziło o to, aby wszystkich, których się zdoła, wydrzeć śmierci lub germanizacji. Pomagali w szukaniu polscy kolejarze. To jest zbrodnia, której nikt i nic w historii nie jest i nie będzie w stanie rozgrzeszyć Niemców, jako narodu. Wagonów pilnowali Niemcy, którzy zgodnie z rozkazem nie dawali wagonów otwierać i dzieci skowyczących jak psiaki z głodu, zimna i osamotnienia ratować. Wcale często zdarzały się wypadki zastrzelenia Polaków szczególnie natarczywie starających się uratować dziecko. Jedynymi argumentami były łapówki: pieniądze, biżuteria, rzadziej alkohole. Litr wódki za polskie dziecko !. Nie było ŻADNYCH ludzkich objawów u tych przedstawicieli "cywilizowanego " narodu. A przecież byli to, jak sądzę, nie tylko zdecydowani ideologicznie faszyci, ale i także, tak zwani przeciętni ojcowie rodzin, mający gdzieś w Niemczech swoje dzieci, swoje rodziny. W otwieranych wagonach znajdowano masę małych trupków. Te dzieciaki, które jeszcze żyły i do których był dostęp zabierano do polskich domów. Wiele z nich umierało następnie w domach nowych opiekunów z powodu skutków przemrożenia. Dziadek Lindner i Ciocia Jadzia przez kilka dni koczowali na dworcach Wschodnim i Wileńskim, ale nie zdołali wyrwać żadnego dziecka. Reszta transportów została usunięta z Warszawy, pozostałe dzieci na ogół zginęły z mrozu i głodu lub były przeznaczone do germanizacji w rodzinach niemieckich. Los dzieci polskich, a zwłaszcza dzieci Zamojszczyzny, zgotowany przez Niemców jest jedną z najbardziej haniebnych kart historii Niemiec, nie tylko III Rzeszy, ale powiedzmy sobie wyraźnie Niemców, jako narodu. Arystoteles powiedział kiedyś co następuje: „*Prawdziwa sprawiedliwość polega na tym, abyśmy otrzymali dokładnie to samo co uczyniliśmy innym !*”

Wiosna 1943 przyniosła następną tragedię: Katyń. Społeczeństwo miażdżone przez okupanta niemieckiego w pierwszym odruchu potraktowało tą koszmarną wieść jako gigantyczną prowokację hitlerowców. Wydawany przez okupanta dziennik "Nowy Kurier Warszawski " zaczął jednak przeżywać okres niezwyklej popularności. Publikował nazwiska ofiar lasu Katyńskiego w miarę postępu identyfikacji zwłok.

Od rana przed kioskami gromadziły się kolejki ludzi oczekujące na aktualny numer "gadzinówki ". Jeszcze przy kiosku otwierano gazetę na stronach zawierających nową listę zidentyfikowanych ofiar. Co chwila rozlegał się szloch osoby, która znajdowała nazwisko osoby bliskiej na tej koszarnej liście. Rodzice znaleźli kilku znajomych. Byli to oficerowie rezerwy lekarze, prawnicy, a przede wszystkim nauczyciele. Z nazwisk, o których wielokrotnie mówiło się w domu pamiętam nauczyciela Lucjana Borowca i bliskiego przyjaciela mojego Ojca z czasów dzieciństwa i młodości, także nauczyciela, Władysława Karola Okrzeję. Podporucznik rezerwy pochodził z rodziny " tych " Okrzejów. Jego rodzony brat, zawodowy oficer lotnictwa zginął we wrześniu 1939 roku śmiercią pilota zestrzelony przez kilka Messerschmitów w bohaterskiej, samotnej walce pod Wyszkowem. Typowa dość historia polskiej rodziny: ginie dwóch braci-jeden z niemieckiej, drugi z sowieckiej ręki.

I tak na warszawskiej ulicy później wiosny roku 1943 jedni płakali czytając spisy ludzi rozstrzelanych na ulicach przez Niemców, inni zaś odkrywając nazwiska bliskich i znajomych na liście katyńskiej. Czy nie stąd bierze się w kolejnych polskich pokoleniach teza "dwóch wrogów ". Wszyscy, którzy znajdowali się na liście katyńskiej dostali się do sowieckiej

niewoli w kampanii wrześniowej, po 17 września, wszyscy korespondowali z rodzinami zamieszkałymi na terenie Generalnej Guberni, we wszystkich przypadkach korespondencja ta urwała się wiosną 1940 roku z przyczyn niejasnych. Było to na ponad rok przed inwazją Niemiec na ZSRR. Myśmy szukali na tych listach danych mego stryja Witolda Janczewskiego, który zniknął w zawierusze kampanii wrześniowej roku 1939. Bezskutecznie. Dziadek Janczewski w poszukiwaniu ukochanego syna Babci Julii korzystając z munduru kolejarskiego jeździł aż do granicy strefy niemiecko – sowieckiej szukając Witolda, ale te poszukiwania nic nie dawały. Zginął na drogach września lub w sowieckiej niewoli, ubrany w mundur polskiego kolejarza – któż to wie ?

Mimo koszmaru codziennego życia było też organizowane życie kulturalne. Odbywały się koncerty, wieczory poezji dawnej i pisanej przez pokolenie młodych poetów. Były też teatrzyki lalkowe dla dzieci. W czerwcu 1943 roku Ciocia Jadzia, moja chrzestna mama, zaprowadziła mnie na takie przedstawienie. Odbywało się wczesnym popołudniem w jednym z domów śródmiejskich, w mieszkaniu na trzecim czy czwartym piętrze. Ktoś uchylił drzwi, wymieniono hasła. W dużym salonie zebrała się grupka kilkunaściorga dzieci wraz z opiekunami. W rogu ustawiono scenkę. Za chwilę śledziłem przygody Stasia i Nel. To był mój pierwszy kontakt ze sztuką. To był także jeden z, pozornie przynajmniej, normalnych dni mego życia polskiego dziecka w okupowanej przez Niemców Warszawie.

Bezrobotni, pozbawieni możliwości normalnej działalności twórczej artyści plastycy wytwarzali najwspanialsze zabawki i ozdoby choinkowe jakie widziałem w swoim życiu. Pełno ich wyrobów było w sklepie z materiałami piśmiennymi i zabawkami, który prowadził brat Mamy, Wujó Józek przy ulicy Chłodnej.

Wieczorne opowiadanie Ojca.

Wybuchła pierwsza wojna światowa. Niby straszna, ale jakże inna niż obecna. Po prostu ludzie byli inni, mimo wszystko. Ojciec przyniósł gazetę. Czytał Matce o walkach z Niemcami. Zaglądałem przez ramię i na ilustracjach widziałem ruiny spalonych miast i wsi. Głośno mówiło się o barbarzyńskim zbombardowaniu i spaleniu przez Niemców Kalisza bliskiego ówczesnej granicy z Prusakami. Były też rysunki podnoszące nastrój poddanych Mikołaja II -ego: Kozacy gonią Prusaków, którzy uciekają, aż hełmy im spadają. Ojca zmobilizowano do "żelaznodorożnego batalionu", jednostki sprawującej pieczę nad koleją, która w owym czasie była strategicznym środkiem transportu wojsk. Chodziliśmy z chłopakami na tory kolejowe, nieodległe od naszych domów. Tam tysiące żołnierzy. Carska armia czekająca na swój czas wyruszenia w bój z Niemcami. Ckniło się im, w tym Prywislenskim Kraju, bez rodzin, z daleka od Matuszki Rosyji. Był czas wojny z Niemcami, którzy byli jeszcze gorszymi wrogami, co wynikało ze wszystkich czytanek, które wieczorami czytywała mi Mama. Jakże ci rusczy żołnierze byli dla nas serdeczni. To ci, o których Ojciec opowiadał, jako o porządnych, dobrych ludziach z głębi Rosji. Dawali nam suszone mięso, słoninę, słodycze, a nawet naboje karabinowe, epolety i ostrogi. Brali nas na ręce, przytulali, z płaczem wspominając swoje dzieci pozostawione daleko nad Wołgą czy Donem. I nagle, niepostrzeżenie zaczęliśmy o nich mówić: "nasi". Po kilku godzinach znalazł mnie Ojciec, przerażony tym, że zniknąłem z podwórka. Po raz pierwszy w życiu dostałem potężne lanie. Najgorsze jednak było to, że Ojciec zabrał mi i wyrzucił wspaniałe epolety, które przyczepili mi "nasi" ruscy. Temat wojny przeniósł się na podwórko. W czasie zabawy w "naszych i Prusaków" chłopak chłopakowi rozciął policzek. Krew lała się, a matka poszkodowanego wezwwała policjanta. Brodaty żandarm klnie jak szewc i trzęsie winowajcą: „Nu chto ty zdiełał, ty skatina?”. Na to Genio łkając odpowiada: "Gaspadin gorodowej, eto ja dumał szto on Hermaniec!". Brodaty olbrzym rozpromienia się, puszcza chłopaka, dobrotliwie głaszcze po głowie, i mówi: "Nu da, niczewo, wot maładiec, gieroj z tiebia!" Potem grzebie w przepastnej kieszeni, wyjmując dziesięć kopiejek i daje zdumionemu Genkowi mówiąc: "Eto na kanfiety! Bud' zdarow". Po raz pierwszy okazało się, że można, a nawet oplaca się rozkwaścić gębę bliźniemu, jeśli to Hermaniec. Były to pierwsze sygnały praw wojny.

Zaczęły dochodzić odgłosy walk. Huk dział najpierw nocami, a potem także w dzień stawał się coraz wyraźniejszy. Oczekiwano, że Wielki Książę Mikołaj Mikołajewicz pokona Cesarza Wilhelma. W czasopiśmie satyrycznych, takich jak na przykład MUCHA, na obrazkach Cesarz

Wiluś wciąż siedział na nocniku, płacząc ze strachu, że ruscy żołdaci pobiją go. Następnie Niemców odepchnięto. Ojciec przyjeżdżał w miarę możliwości i przywoził żywność: paki mąki, głowy cukru, herbaty, kawy. Czasem żołnierze przywozili za nim furę węgla. Nie było głodu i chłodu, które potem przyszedły wraz z Niemcami.

Front jednak ponownie cofał się. Kapitan Gorbacz, przełożony Ojca, proponował przydział wagonu "ciepluszki", w którym dość wygodnie i bezpiecznie moglibyśmy się wyewakuować w głąb Rosji wobec groźby wejścia Niemców. Ojciec był skłonny z tego skorzystać. Nigdy jednak ani przed tym, ani po tym nie widziałem Matki mojej w takiej furii. Krzyczała, że nigdzie się nie ruszy. Jeśli ma tam w Rosji zginąć to woli tu, na własnej ziemi, pomiędzy swoimi. Nigdzie na obcej ziemi nie będę bieżącym, popychadłem! Ojciec tłumaczył bezskutecznie: "A tu nie jestem popychadłem? A tu chamów z Azji nie wożę?" Zaczęto wywozić w głąb Rosji Niemców, kolonistów. Rozpoczęli oni wysprzedaż mienia. Przed ich domami zrobił się istny jarmark. Ściągali ludzie, oglądali meble, naczynia i kupowali za bezcen targując się zawzięcie. Byli i sceptycy, którzy mówili: "Niemcy niegłupi. Sprzedadzą to, czego zabrać nie mogą, rubelków zbiorą i w drodze z głodu nie umrą!". Stara Niemka Teffsonowa wystawiła na sprzedaż portret Cara Mikołaja II. Przemawiała przed tłumem ludzi do cesarza na portrecie długo i karcąco: "Ja lubiła ciebie, podatki płaciła, a ty taka ojciec? Ty zwyczajna "burek", ty taka granda zrobiła dobrym ludziom! Ja ciebie sprzedać za kopiejki, a jak nie, za darmo oddać, albo wyrzucić na śmietnik!" Jakiś dowcipniś proponował, aby wraz ze sobą wywiozła go na Sybir, gdzie jest jego miejsce. Stara kontynuowała smutny monolog: "I co ty za kajzer, ciebie nikt nie chce, ty dla tych Polaków nawet dwie kopiejki nie wart!" Tłum bawił się znakomicie. Nazajutrz żandarmi zabrali wszystkie rodziny niemieckie na wozy i wywieźli w głąb Rosji, jako element niepewny. Upór mojej Matki najprawdopodobniej wybawił nas od skutków rewolucji bolszewickiej w głębi Rosji.

Front naciskał. Nastąpiła powszechna ewakuacja. Ojciec zmobilizowany do wojsk kolejowych odszedł wraz z wojskiem rosyjskim na wschód. Raz jeszcze Matka odrzuciła ostatnią ofertę ewakuacji do Rosji, mówiła do Ojca: "Słyszałeś co mówił ksiądz Choiński? Nie iść na poniewierkę i na śmierć na obczyźnie. Tu nam zostać trzeba!". Ojciec już nie wracał do tematu. W ostatnim tygodniu przed opuszczeniem nas Ojciec przeprowadził rodzinę na ulicę Tarchomińską 1, gdzie obok mieszkali chrzestni mego najmłodszego brata Staśka. Przewiózł furką wojskową wszystkie rzeczy i wszystkie zapasy. Uważał, że im dalej od zbiorowiska torów Kolei Nadwiślańskiej tym w czas wojny bezpieczniej. Matka wymieniała papierowe ruble na srebrne i złote, zaszywała monety w odzieży. Ojciec się żegnał i po raz kolejny wracał od drzwi. Trzymał nas, dzieci na rękę i całował. I jeszcze rady, i jeszcze przypomnienia, i jeszcze jakieś pieniądze "zaskórniaki" wyciągał i zostawiał Matce. W tych ostatnich chwilach tak boleśnie krótkich, kiedy czas się wścieka i szybko przemija, zjawia się tyle spraw, tyle myśli, których wypowiedzieć w jednej chwili nie sposób, a które niewypowiedziane trzeba roztrwonić i żałować, że się mimo wszystko nie powiedziało rzeczy najistotniejszych. Za oknem wybuchy, Rosjanie wycofujący się z Pragi coś wysadzają w powietrze. Ludzie chowali się wewnątrz domu. Mama była po wyjściu Ojca spokojna, zdeterminowana. Patrząc na nią zachowywałem spokój. Witold i Stasiek spali spokojnie mimo wciąż powtarzających się eksplozji. Na zewnątrz domu pojawił się intensywny dźwięk, jakby deszcz padał dzwoniąc o blaszany dach. Sąsiad wyszedł i za chwile wrócił z wieścią: "To oddziały Kozaków uciekają. Oni już chyba są ostatnimi! Teraz tylko patrzeć Niemców". W ciemności nocy, jaka zaległa, pełzały odbłaski ognia. Paliły się dworce: Terespolski (Wileński) i Brzeski (Wschodni). Rano nastąpiła cisza. Siedzieliśmy z Witoldem przywarci do szyby okiennej. I nagle pojawiło się dwóch żołnierzy. To nie byli Rosjanie. Byli ogromni, w mundurach innego kroju i koloru, na głowach nosili przedziwne hełmy z kolcem na czubku głowy. Karabiny nieśli pod pachą na zgiętych przedramionach, gotowe do strzału. Były to pierwsze patrole niemieckie.

Koło południa przybiegła kuzynka Marta. Wyszliśmy wszyscy na ulicę. Doszliśmy Ząbkowską do Targowej. Szły duże kolumny wojska. Karne, mocne, dumne, zwarte. Żołnierze chłop w chłop, wysocy, znakomicie zbudowani, dobrze odżywieni, jak z kłoca ciosani, maszerowali bez końca. Buty ostro wybijały takt. Siła i groza biła od tych oddziałów. Ciągnęły też długie kolumny taborów, armat, liczne wozy i wózki nieznanego przeznaczenia, karetki sanitarne. Ludzi gapiących się było

niewielu. Na rogu Targowej i Kijowskiej ścisk. Pełno Żydów i Żydówek obrzucających kolumny niemieckie kwiatami. Marta plula i wypominała: " Ot Judasze, kto silny ich pan. Byli Ruscy lizali im tyłek, teraz tym będą ! Niech przyjdą Chińczyki przyjmą ich z pocałowaniem ręki ! " Nie wiedziałem kim to są "Chińczyki ", natomiast interesowali mnie Niemcy bo byli NOWI. Bałem się ich, ale trudno ich było porównywać z Rosjanami, tymi "naszymi ". Tamci byli "swoi ", ale byli dość brudni, cuchnęli dziegiem i tabaką, czy czymś co przypominało dym papierosowy. Żołnierze pruscy nie reagowali na entuzjazm Żydów-szli surowi i obojętni. Polacy w swej masie nie wyszli na ulicę, zachowywali się podobnie jak Niemcy-obojętnie. Jedni czuli się panami, zwycięzcami, drudzy gospodarzami.

Nazajutrz na ulicy zagadał do mnie jakiś dziwną mową, ale polską mową, żołnierz niemiecki. Zapytał o jakiś adres, a za odpowiedź dał w nagrodę cukierki. Zapytałem Marty czy Niemcy też mówią po polsku. Odpowiedziała, że to zapewne albo Ślązak albo Wielkopolanin, a może Mazur dodała. I tak wielka wojna ukazała mi, że Polak musi walczyć i po ruskiej, i po pruskiej i po austriackiej stronie. A kiedy przyjdzie wreszcie polskie wojsko, pytałem. I wtedy po raz pierwszy usłyszałem: " Zapewne niedługo zjawi się Piłsudski z naszymi ! " Na to przyszło mi jednak czekać jeszcze lat kilka.

Pierwszych żołnierzy polskich ujrzałem dopiero w roku 1918. Po wojsku niemieckim było to bardzo biedne wojsko, szare, ale własne. Pamiętam jak śpiewali:

Gdy skończym z Nikołą
pójdziem na Wilhelma
odbić Wielkopolskę ,
co ją dławi szelma
Co zrobimy z trzecim
diabli o tym wiedzą,
może nam przelotne
jaskółki powiedzą !

A potem była wojna polsko-bolszewicka i znów Ojca w domu nie było. Znów Matka czekała, płakała, modliła się o Jego szczęśliwy powrót. To jakieś fatum, że nasza historia wciąż zataczając krąg nieomal do tego samego powraca.

Dnia i tygodnie niosły nam wciąż nowe i bolesne wydarzenia. W roku 1943 miał nastąpić finał dramatu Żydów polskich zamkniętych w getcie warszawskim. Eksterminacja Żydów, którzy byli skazani przez hitlerowców na unicestwienie w pierwszej kolejności była prowadzona nieomal od momentu wejścia Niemców do Polski. Izolowanie masy ludzkiej w niewielkiej części miasta, którego to miasta stanowili nie mniej niż 33 % populacji, stworzyło nieludzkie, niehigieniczne warunki życia. Izolacja oznaczała także odcięcie od żywności, a więc getto było terenem głodu, który zabijał ludzi równie sprawnie jak siepacze z SS. Na ulicach miasta, poza gettem, widywało się każdego dnia widma zgłodniałych, potwornie wychudłych dzieci żydowskich, które zabijane jak dzikie zwierzęta przez Niemców zdobywały odpadki żywności dla rodzin i bliskich. Brat mojej Mamy, Wujek Józef Lindner po przesiedleniu z Okopowej, która weszła w skład Getta, mieszkał na Chłodnej 39 A, tuż obok muru getta. Na skrzyżowaniu ulic Chłodnej i Żelaznej przez jakiś czas istniała brama, która co pewien czas otwierała się na kierunek wschód – zachód łącząc część aryjską lub znów na kierunek wschód – zachód łącząc „duże „ Getto z „Małym „. Mój kuzyn Stasio, starszy ode mnie dwa lata, opowiadał makabryczne historie o tym jak z pobliskiej wachy żandarmerii niemieckiej na rogu Chłodnej i Żelaznej rozdokazywani żołdacy wychodzili na swoiste polowania. W murze getta, u dołu, co kilkaset metrów były otwory pozostawione po to, aby woda deszczowa mogła spływać bez przeszkód rynsztokami. Były to niewielkie otwory, ale takie jakimi wątle dziecko mogło się wydostać na zewnątrz. Na przeciw takich dziur sadowali się niemieccy "myśliwi ", którzy strzelali do wpełzających po żywność żydowskich dzieci. To one stawały się dostawcami żywności dla swych głodujących rodzin. To była grupa godna szczególnego szacunku i uznania za bohaterów. W całej dzielnicy Wola znany był pewien cherubinek, dwudziestokilkuletni żandarm, dorodny blondasek aryjczyk, strzelec wyborowy, który nie mógł zjeść śniadania jeśli nie

zastrelili kilkorga dzieciaków. Szanse na przechowanie w dzielnicy aryjskiej mieli Żydzi o niesemickim wyglądzie, zaadaptowani w polskiej kulturze i języku. Szans te były nikłe w dla znacznie większości masy ludzi, którzy mimo zasiedzenia ich narodu w Polsce od sześciu wieków uczyli się niekiedy podstaw języka polskiego dopiero w momencie poboru do wojska.

Brat mojej Mamy, Wujek Józef, mieszkał wraz z rodziną na Okopowej w okolicy cmentarza żydowskiego. Przed okupacją i na jej początku na Okopowej spotykało się Żydów, ale po wejściu w jej przecznice – Pawią, Gęsią, Dzielną wchodziło się w inny, orientalny świat ludzi brodatych, pejsatych, ubranych w długie czarne szaty. Język idysz był podstawą porozumiewania się tych ludzi pomiędzy sobą, było też wielu tak zwanych litwaków, mówiących po rosyjsku. Potworne dla warszawiaków były jazdy tramwajem jadącym przez getto swego rodzaju tranzytem. Nikomu z pasażerów, poza Niemcami, nie wolno było w czasie takiego przejazdu wsiadać ani wysiadać. Jeździliśmy w ten sposób na Cmentarz Stare Powązki. Za oknem na chodnikach leżały gęsto ciała zmarłych Żydów. Były to ofiary głodu, zwłaszcza zwłoki dzieci. Reakcja pasażerów na ten rodzaju obrazu była, prawdę mówiąc, obojętna. W tych czasach każdy z nas myślał o tym jak samemu przeżyć i jak przeżyją nasi najbliżsi. Zagrożenie było powszechne. Miało się pełną świadomość jeżeli nie ocali nas Pan Bóg lub inna siła to my Polacy, Słowianie będziemy następni w kolejce do zagałady. Za udzielenie pomocy Żydowi, podobnie jak za wypiek pszennego pieczywa, groziła całej rodzinie kara śmierci. O tym się dzisiaj nie pamięta mówiąc światu o polskim wrodzonym antysemityzmie i obojętności wobec holocaustu. Znałem jednak wiele rodzin polskich reprezentujących szeroki przekrój naszego społeczeństwa latami przechowujących mimo takiego zagrożenia znajomych i nieznajomych żydowskiego pochodzenia. Takie postępowanie było objawem czegoś znacznie większego niż przyzwoitości, było bohaterstwem. W mieszkaniu Dziadka Lindnera i Cioci Jadzi na Targowej ukrywała się czas jakiś pani Lubliner – Mianowska, która po wojnie była jakimś profesorem w Gdańsku.

Mama pracująca w tajnej szkole pani Zofii Kurmanowej poznała nową koleżankę, nauczycielkę biologii panią Helenę Tarwidową. Była to pani dużej urody, w wieku mojej Mamy. Pochodziła z jakiejś ziemiańskiej rodziny, bodajże z kresów wschodnich. Niebawem moi Rodzice zaczęli odbywać dość regularne wędrowki do Muzeum Zoologicznego przy ulicy Wilczej, gdzie w oficynie, pomiędzy wypchanymi niedźwiedziami i żubrami ukrywał się pan doktor Kazimierz Tarwid. Nie miał semickich rysów, ale dobrze znany w środowisku uniwersyteckim nie chciał ryzykować życiem. Rodzice byli jednymi z wielu, którzy przynosili mu jedzenie. Tarwid był przemiłym człowiekiem, a spotkania z nim stawały się oczekiwanymi wydarzeniami. Po wojnie był "bohaterem" jednego z najgłośniejszych kryminalnych procesów poszlakowych oskarżony o otrucie drugiej żony. Moi Rodzice nigdy nie byli w stanie uwierzyć w jego winę, aczkolwiek bardzo przeżyli opuszczenie przez niego pani Heleny z dziećmi w pierwszych latach po zakończeniu wojny. W sierpniu 1942 roku został opublikowany apel Katolickiego Frontu Odrodzenia Polski napisany przez znaną pisarkę Zofię Kossak – Szczucka (potem-więźniarkę Oświęcimia w latach 1943 – 1944) współorganizatorkę Rady Pomocy Żydom „ŻEGOTA”.

Pisała ona w dramatycznym apelu: „Ginący Żydzi są otoczeni przez samych umywających ręce Piłatów. Kto milczy w obliczu mordu – staje się współnikiem mordercy !. Kto nie potępia ten przyzywała !. Zabieramy przeto głos – my katolicy – Polacy. Uczucia nasze względem Żydów nie uległy zmianie. Nie przestajemy ich uważać za politycznych, gospodarczych i ideowych wrogów Polski i Polaków. Co więcej zdajemy sobie sprawę, że nienawidzą nas oni więcej niż Niemców, że czynia nas odpowiedzialnymi za swoje nieszczęście. Dlaczego i na jakiej podstawie – to pozostaje tajemnicą duszy żydowskiej, niemniej jest faktem nieustannie potwierdzanym. Świadomość tego nie zawalnia nas jednak z obowiązku potępienia zbrodni. Nie chcemy być Piłatami !. Nie mamy możliwości czynnie przeciwdziałać morderstwom niemieckim, nie możemy nic poradzić, nikogo uratować – lecz protestujemy z głębi serca przejętą litością, oburzeniem i grozą. Nie reaguje na ta sytuację masowych morderstw diaspora żydowska w USA. Protestu tego domaga się od nas Pan Bóg, Bóg, który nie pozwala zabijać !”

W kwietniu i maju 1943 roku rozegrał się finał zorganizowanej społeczności żydowskiej poddanej okupacji niemieckiej. Na kilka dni przed likwidacją getta byliśmy u Wujostwa

Lindnerów. Czuło się, że coś się zdarzy, bowiem wzdłuż murów getta stał kordon dziwnych żołnierzy w czarnych mundurach, podobnych do mundurów znienawidzonego SS. Wszyscy skierowani byli twarzą w stronę ceglanego muru, każdy trzymał karabin w ręku. Wrażenie było przerażające. W domu Lindnerów dowiedzieliśmy się, że wzmocniono kontrolę getta, a ci "czarni" to Łotysze z kolaboranckich formacji SS. Za kilka dni rozgorzało tam piekło. Gryzące dymy płonącego getta rozpełzły się w całym śródmieściu i nie tylko. Nawet z Pragi widać było plenie palących się domów i czarną, ogromną chmurę dymu unoszącego się nad niszczonej częścią miasta. Lindnerowie mieszkający tuż przy murze getta po stronie aryjskiej na ulicy Chłodnej opowiadali drastyczne historie o Żydówkach wyskakujących z trzeciego piętra z dziećmi na ręku w płomienie niższych kondygnacji. Wybierały one wspólną śmierć tu w Warszawie, a nie w komorach gazowych Treblinki czy Oświęcimia. Opór zbrojny Żydów budził w Warszawie najwyższy szacunek i podziw. Co więcej zdawano sobie sprawę, że po zlikwidowaniu Żydów my Polacy jesteśmy następnymi w kolejce do totalnej eksterminacji, która i tak prowadzona była każdego dnia. Była jeszcze jedna wątpliwość publicznie dyskutowana przez sąsiadów ze Szmulek: " *A kto, moja pani, po tej wojnie będzie u nasz handlował, jak tych naszych Żydów nam wybiją ?* ". Adam Michnik w swym esesju p.t. „ *Bunt i milczenie* „, napisał: „ *Żydowskie opinie, że tylko dzięki Polakom możliwe było dzieło Zagłady, były splunięciem w twarz wszystkim Polakom. Także i tym, którzy w Jerozolimie mają swoje drzewka Sprawiedliwych* „. A trudno będzie oskarżyć Michnika o antysemityzm, zwłaszcza tym, którzy podobne poglądy głoszą do dzisiaj. Tenże sam Michnik w liście otwartym do Leona Wieseltiera, redaktora „ *The New Republic* w U.S.A. pisał kilkadziesiąt lat później: „ *Jako Żyd masz prawo do dumy z Mojżesza, Spinozy czy Einsteina oraz prawo do wstydu z powodu bolszewickich zbrodniarzy o żydowskich nazwiskach. Ty masz prawo do wstydu, ale ja nie mam prawa obwiniać Cię o te zbrodnie. Czy z powodu linczów dokonywanych przez bandytów z Ku – Klux – Klanu jesteś mniej obciążony moralnie niż przeciętny Polak z powodu Jedwabnego ?. Czy odczuwasz potrzebę przeproszenia Polaków za Jaltę ?. A może chrześcijan za ukrzyżowanie Jezusa ? „.*

Sceptyczny był jednak Wujek Franek Grzywacz, brat Babci Julii. Był to bombardier jednego z pułków artylerii konnej w wojnie polsko-bolszewickiej 1919-1920 roku. Ten odrzucając zbrodnie niemieckie nie mógł zapomnieć Żydom kolegów z pułku zabitych wówczas w miasteczkach kresów wschodnich. Młodzież żydowska tych terenów była w swej masie skomunizowana i oczekiwała od rewolucji bolszewickiej nie tylko równouprawnienia, ale wręcz współuczestniczenia we władzy nad sowieckim imperium. Cofające się przez armią Budionnego pułki polskie były ostrzeliwane z domów żydowskich. Był z tego tytułu polski odwet, co pogłębiało obustronną nienawiść. I dlatego Wujko Franek uważał, że " *Żydy zawsze same diabła za ogon ciągnęli, to i mają !* ".

Wielkie zasługi w uratowaniu części Żydów miał Kościół Katolicki. Jako chłopcy graliśmy w piłkę przy murze Bazyliki Serca Jezusowego na Kawęczynskiej. Był tam kawałek wyrównanego placu, przed wejściem do kaplicy pogrzebowej, odpowiadający wymiarom boiska do piłki nożnej. Naszymi opiekunami byli dwaj księża Salezjanie, katecheci pracujący w naszych szkołach: księża Szczepan Blezień i Kazimierz Głąb Ksiądz Blezień stanowił na Szmulkach swego rodzaju instytucję. Postawny mężczyzna o tubalnym głosie, był niekwestionowanym autorytetem. Do niego zgłaszały się rzesze ludzi ze Szmulek o radę i pomoc. Najgorsze łobuziaki bały Go się panicznie. Opowiadano, że zdenerwowany brał chłopaka na szczyt dzwonnicy kościelnej i tam go bił w tyłek, aby krzyk było słychać jak głos dzwonu w całej dzielnicy. Nie muszę zapewniać, że była to oczywiście anegdotka. I oto ten nasz ukochany ksiądz Blezień od pewnego dnia zaczął nas przepędzać z "boiska ". Wykrzykiwał przy tym, że łobuziaki tłuką mu szyby w oknach wychodzących z podziemi bazyliki, co nie było prawdą. Ponieważ ten zakaz zaczął obowiązywać przez czas długi powiedziałem o tym Ojcu. Tato zaprzyjaźniony z księdzem Blezieniem dowiedział się od niego w konfidenckalnej rozmowie skąd ta afera. W podziemiach księża Salezjanie przechowywali kilkadziesiąt żydowskich dzieci. Słyszając odgłosy zabawy polskich rówieśników tuż obok murów kościoła, w którym się ukrywały, te nieszczęsne dzieciaki wychodziły z siebie. Księża bali się, że malcy pokażą się w oknach i zdekonspirują, co mogło by mieć tragiczne skutki i dla nich, i dla kościoła. Kiedy kilkadziesiąt lat po wojnie słyszy się pretensje

do Polaków i polskiego Kościoła Katolickiego o to, że nie zapobiegli holocaustowi szlak człowieka trafia, bowiem świadczy o złej woli oszczerców.

Od września 1942 w naszym domu w sposób namacalny dało się odczuć, że jesteśmy obywatelami Państwa Polskiego. Państwa Podziemnego ale Polskiego. Około pierwszego każdego miesiąca zjawiał się niski, tęgi pan, który zamykał się z Ojcem w drugim pokoju na kilkanaście minut. Przynosił pieniądze należne nauczycielom z tytułu tajnego nauczania. Ojciec był swego rodzaju kasjerem przekazującym pieniądze kolegom nauczycielom proporcjonalnie do wykonywanej pracy w szkolnictwie podziemnym. Nie wiem jakie to były kwoty, ale wiem, że miałem już codziennie i jajko, i pięć deko masła. Na Gwiazdkę 1942 roku zjawiała się także na wigilijnym stole ryba i dobre ciasto. Nie było to obżarstwo, ale BYŁO !

Wiosną 1943 zaczęliśmy się przygotowywać do Pierwszej Komunii W czasie nauk poprzedzających szczególną uwagę księża zwracali na odtruwanie dusz małych ludzików na niemiecką propagandę nienawiści rasowej, mówiąc o naszych braciach ginących bohatersko w getcie, w egzekucjach publicznych i obozach koncentracyjnych obok Polaków. Szczególną uwagę poświęcali naszym rówieśnikom żydowskim, którym zabrano dzieciństwo, rodziny i jakże często życie. Wielkim problemem dla moich Rodziców było to, w jaki sposób przygotować dla mnie strój na tą uroczystość. Garniturek został uszyty przez Mamę Stefana Turka po przenicowaniu starego, przedwojennego granatowego kostiumiku Cioci Jadzi. Materiału starczyło tylko na krótkie spodenki, a więc nie mogły się spełnić moje marzenia o "męskim " garniturku. Na nogach miałem sandaalki, w których podeszwę stanowił kawał opony samochodowej, zaś paseczki pochodziły ze zniszczonej maski gazowej. Tego rodzaju sandaalki przygotowała na ten dzień pani Halina Trojarska, nauczycielka robót. Biała koszulka była przerobioną bluzką mojej Mamy z dawnych lepszych czasów.

23 czerwca 1943 we wspaniałym, obszernym wnętrzu Bazyliki Najświętszego Serca Jezusowego na Kawęczyńskiej odbyła się wielka uroczystość. Na te kilka godzin koszmar wojny odpłynął od nas daleko. W niezwykle podniosłej, rzec można niezemskiej, atmosferze zabrzmiał śpiewany przez nas hymn do Ducha Świętego:

*Przybądź Stwórco Duchu Boży
nawiedz wiernych Twych umysły !
Niech Twa hojność łask przysporzy
sercom, które z rąk Twych wyszły !*

Tyś nasz Boski Pocieszyciel

*Łask niebieskich objawienie,
Źródło życia, źródło myśli
co cudowne ma znaczenie*

*Tyś jest w darach siedmioraki
Łaską Ojcowskiej Prawicy
Ukaż się więc ponad nami
W formie Białej Gołębicy
Nieć w umysłach światło Twoje
nawiedz nim te dusze czyste
Słabych naszych ciał ostoje
rozświećl mocą wiekuistą.*

Hymn kończył się wzniosłe i nader aktualnie:

*Wroga od nas zeń daleko
przyspiesz dar pokoju Twego.
Z Twoją wiedzą i opieką
niech unikniem wszego złego !*

Amen.

Po uroczystości kościelnej odbyła się dla nas w podziemiach Bazyliki wspaniała uczta. Jako dar od Papieża Piusa XII (tak nam to zostało przedstawione) otrzymaliśmy paczki suszonych fig, których smaku dotąd nie znałem oraz wspaniałe pszenne strucle z rodzynkami. Czasy okupacji niemieckiej w życiu kościoła polskiego przyniosły między innymi zakaz śpiewania pieśni kościelnej „ Serdeczna Matko, Opiekunko ludzi.... „, bowiem melodia była tożsama z melodią „ Boże coś Polskę.... „

Do Komunii przystępowali ze mną moi przyjaciele Stefan Turek i Maciek Tokaj. Nie było z nami Mirka Damma, którego mama zdecydowała, że dla niego uroczystość ta nastąpi wtedy, kiedy Ojciec wróci z niewoli. Tak też się stało w 1946 roku.

U progu nowego roku szkolnego 1943/1944 Niemcy zarządzili, że wszyscy nauczyciele szkół uznanych za legalne muszą w najbliższym czasie złożyć dokument, w którym są wyszczególnione dokładne dane dotyczące rodziców oraz dziadków tak składającego oświadczenia jak i jego współmałżonka. Składający takie zeznanie obowiązany był do podania imienia, nazwiska, miejsca zamieszkania, daty i miejsca urodzenia, daty i miejsca urodzenia matki i ojca, ich wyznania, oraz podobnych danych dotyczących dziadków i żony nauczyciela. Był to oczywisty dowód, że akcja czyszczenia rasowego Generalnej Guberni postępuje naprzód. Ojciec po konsultacjach z rodzeństwem mojej Mamy i Dziadkami opracował taką tabelę zgodnie z nakazem.

W jesieni 1943 Dziadek Lindner i Ciocia Jadzia zostali ponownie przesiedleni. Dom przy Targowej 49 decyzją władz okupacyjnych został przeznaczony dla funkcjonariuszy policji granatowej, których postanowiono koncentrować w zwartych skupiskach. Dziadek, którego stan zdrowia gwałtownie się pogarszał zmuszony był przenieść się z Ciocia Jadzią do małego mieszkania numer 18 w domu przy ulicy Inżynierskiej 11. Był to pokój z kuchnią zlokalizowany na pierwszym piętrze oficyny. 22 stycznia 1944 roku Dziadek Lindner zmarł w rocznicę wybuchu Powstania Styczniowego roku 1863. Przyczyną jego śmierci była zaawansowana gruźlica płuc. Jego odejście przeżyliśmy bardzo. Tak wiele Mu zawdzięczaliśmy zarówno we wrześniu 1939, jak i w czasie całej okupacji. Jego mądrość, dobroć i silna wiara w odrodzenie się niepodległej Polski były dla wsparciem dla całej rodziny w tych latach klęsk i poniżeń. Dobry Pan Bóg oszczędził Mu jednak tego wszystkiego złego, co miało wydarzyć się niebawem, a zwłaszcza zniszczenia Warszawy w czasie Powstania roku 1944.

Mimo upływu czasu wojny, klęsk ponoszonych na frontach terror okupanta nie malał. Nasilały się egzekucje uliczne, wywózki do obozów koncentracyjnych i do niewolniczej pracy w Niemczech. Nieopodal nas, po drugiej stronie Dworca Wschodniego, w przedwojennej szkole przy ulicy Skaryszewskiej okupant stworzył punkt zborczy dla wywożonych na roboty do Niemiec. Kilkakrotnie szedłem tą ulicą z Rodzicami i widziałem setki młodych ludzi płci obojga wychylające się z okien budynku, krzyczące słowa ostatnich pożegnań do tłumów bliskich zrozpaczonych i rozelkanych. Niewolnicy jechali budować III Rzeszę. Gwałt siłą rzeczy gwałtem się odciskał i z kolei coraz częściej dokonywano zamachów na Niemców i ludzi z nimi współpracujących. W lutym cała Warszawa świętowała śmiałą akcję, w wyniku której w biały dzień, przed gmachem policji niemieckiej w Alejach Ujazdowskich został zastrzelony oberkat Warszawy generał SS Franz Kutschera. Nie zmniejszyło to terroru, ale jako społeczeństwo mieliśmy świadomość, że jesteśmy w stanie dawać kontrę. Zresztą akcja była okupiona śmiercią kilku młodych żołnierzy Polski Podziemnej. Idąc na naszą działkę w ZOO Ojciec pokazywał mi wielokrotnie, w którym miejscu mostu Kierbedzia dwóch żołnierzy AK, osaczonych przez hitlerowców, wskoczyło do nurtów Wisły i zginęło.

Pewnego dnia Ojciec przyszedł do domu zgnębiony po przeczytaniu złowieszczonego czerwonego afisza z listą rozstrzelanych w publicznej egzekucji. Widniało na niej, obok innych nazwisk, nazwisko prof. Stanisława Arnolda, współpracującego z nim w tajnym nauczaniu. Jako swoiste memento Ojciec przypominał przestrożę Profesora który mawiał: „*Jakaż niesprawiedliwość: mówią nam, że w roku 1918 odrodziliśmy się WYŁĄCZNIE dzięki wydarzeniom ZEWNĘTRZNYM, zaś w roku 1939 upadliśmy tak szybko WYŁĄCZNIE dzięki sytuacji WEWNĘTRZNEJ* „. Bogu dzięki okazało się, że w cudowny sposób Arnold ocalał i po wojnie był wybitnym polskim uczonym – historykiem. W lutym 1944 roku Warszawa z dumą dowiedziała się

o wykonaniu przez Oddział Kedywu wyroku na sprawcy publicznych egzekucji na ulicach w Warszawie Franzu Kutsherze.

W kwietniu 1944 wydarzyła się rzecz, która w sposób szczególny wstrząsnęła Praga. Pewnej kwietniowej nocy nastąpiły aresztowania wielu przedstawicieli inteligencji, zwłaszcza nauczycieli. Tej nocy z mieszkania sąsiadującego z naszym zabrano panią Leokadię Frydrychowską, nauczycielkę szkoły specjalnej wraz z jej 16-to letnim siostrzeńcem Stasiem Olczakiem. W tym samym, czasie na Otwockiej aresztowano całą rodzinę Usarków. Dr. Leon Zygmunt Usarek, wieloletni Dyrektor VIII Państwowego Gimnazjum i Liceum imienia Króla Władysława IV i Jego żona pani Stefania Usarkowa to byli ludzie, których energia, upór, odwaga i wielkie zdolności organizacyjne stworzyły system podziemnej edukacji obejmującej nauczanie podstawowe, gimnazjalne i licealne na całej prawobrzeżnej stronie Warszawy. Wraz z nimi aresztowano ich kilkunastoletnią córkę Krystynę Usarek oraz siostrę pani Stefanii, Zofię Sukniewicz, nauczycielkę biologii. Aresztowanie było następstwem wpadki konspiracyjnej. Chłopcy z Liceum im. Władysława IV byli niezwykle aktywni w oddziałach szturmowych Armii Krajowej. Wyznaczono ich do ochrony drukarni podziemnej. Na skutek denuncjacji Niemcy weszli do zabudowań. Był to dom typu nazywanego powszechnie w Warszawie „*Pekinem* „, co oznaczało kilka kolejnych podwórek otoczonych oficynami, wysokich czynszowych, ponurych domów. Zaczęła się rewizja pierwszego podwórka, bowiem okupant nie miał informacji precyzyjnych. W pierwszym podwórku natknęli się dość niespodziewanie na drukarnię Gwardii Ludowej P.P.R.- u i związali się walką z jej ochroną. W tym czasie nasi ewakuowali z ostatniego podwórza to co się dało ewakuować. W niedługim czasie walka przeniosła się dalej. Wbrew zaleceniom konspiracyjnym jeden z „Władysławiaków „ miał w kieszeni maleńką notatkę: „*Usarek. Siedlecka* „. Był umówiony na egzamin z dyrektorem w jego domu. Po śledztwie w centrali Gestapo w Alei Szucha wysłano dr. Usarkę do obozu śmierci w Stutthofie, zaś panię do Ravensbruck, skąd wrócili szczęśliwie dopiero po zakończeniu wojny. Cudem ocaleli wszyscy.

Od tego momentu wypadki zaczęły się toczyć jakby szybciej. Jak to się mówi porywał nas wartki prąd wielkich wydarzeń, których skutki dalece wykraczały poza obręb Polski, Warszawy, a tym bardziej Szmulek. Codziennie odbywały się gorące dyskusje na temat dalszych losów wojny. Każdy widział, że Niemcy dostają " w kuchnię ". Armia Czerwona łamała kolejne fronty i niezwykle szybko zbliżała się do linii Wisły. Ich wejście do Warszawy, jak się wydawało, było sprawą najbliższych miesięcy, a może tygodni.

W czerwcu 1944 roku zakończyłem trzecią klasę szkoły podstawowej. W nagrodę za bardzo dobre wyniki w nauce Ojciec zawiązał mnie na warszawskie Stare Miasto. Był cudowny, słoneczny, gorący czerwcowy dzień. Ojciec pokazywał mi wąskie uliczki, wspaniałości odnowionego przed wojną rynku urzekającego polichromiami. Po kolei wchodziliśmy do staromiejskich kościołów o ciemnych wnętrzach, pełnych specyficznego zapachu starości i suchego drzewa lipowego. Modliliśmy się przed cudowną figurą Ukrzyżowanego w Kaplicy Baryczków Katedry Warszawskiej. Wstyd powiedzieć, ale modliłem się o to, aby Niemców szlak trafił i abyśmy mogli z Ojcem, już po wojnie pojechać nad polskie morze. Na Placu Marszałka Piłsudskiego, stojący przed Grobem Nieznanego Żołnierza nie palił się wieczny ogień, zaś stojący przed grobem pomnik Księcia Józefa Poniatowskiego był zasłonięty jakimś płotem czy plandeką. Pełen wrażeń wróciłem do domu nie wiedząc, że jest to pożegnanie na wiele lat z urokami Starego Miasta. Rozpoczęły się wakacje, które, jak wszyscy oczekiwali, miały przynieść rozstrzygnięcia naszych dalszych losów. Z perspektywy lat pamiętam jednak, jak optymistyczne, nie oparte na żadnych realiach politycznych były prognozy co do dalszego rozwoju wypadków. W zasadzie nie uwzględniano realiów, to znaczy czynnika dominującego w rozstrzygnięciu losów wojny w tej części Europy-Józefa Stalina i jego Armii Czerwonej.

Ojciec z pomocą Cioci Jadzi załatwił dla mnie wakacje u państwa Julii i Jerzego Lejmbachów. Ciocia, która oficjalnie pracowała w szkole podstawowej w Ursusie, aktywnie uczestniczyła w tajnym nauczaniu, także na poziomie szkoły średniej w tym samym rejonie. Wraz późniejszym profesorem Uniwersytetu Warszawskiego Żdzisławem Liblinem – Liberą współorganizowała tajne gimnazjum w Ursusie. Kontakt z rodziną Lejmbachów mieliśmy

sporadycznie jeszcze w latach okupacji. Pani doktor Zofia Lejmbach, znakomity warszawski pediatra, konsultowała mnie kilkakrotnie w przypadkach jakiś moich niedomagań wieku dziecięcego. Cała ich rodzina była po uszy wciągnięta w pracę konspiracyjną. Inżynier Jerzy Lejmbach dzierżawił w Skoroszach koło Ursusa kilkuhektarowe gospodarstwo produkujące warzywa dla potrzeb stolicy. Była to posesja Skorosze nr. 1 położona od strony Salomei, gdzie znajdowała się stacja Elektrycznej Kolejki Dojazdowej. Znalazłem się u nich 1 lipca 1944 roku. Miałem w ich synach, starszym ode mnie o dwa lata Janku i młodszym o rok Ludwiku, zwanym Lulkiem, kumpli do wspólnych zabaw. Lejmbachowie posiadali ukryty radioodbiornik. Kiedy odebrano polskojęzyczne audycje radia sowieckiego nadającego gdzieś z lubelszczyzny, wzywające Warszawę do wystąpienia zbrojnego potraktowano to jako sygnał zbliżającej się walki o miasto. W pierwszych dniach lipca dała się też obserwować pewna panika w środowisku rodowitych Niemców i volksdeuschów, którzy zaczęli wynosić się z miasta. Widoczne były samochody stojące przed domami zamieszkałymi przez rodziny niemieckie załadowywane wszystkim, co dało się zapakować i godne było wywiezienia. Były to łupy zrabowane w okupowanym kraju. Nastroje były bardzo nerwowe. Miarę przepęliło ogłoszenie niemieckie wzywające 100 000 polskich mężczyzn do kopania okopów w obliczu zbliżających się bolszewików. W tej sytuacji wezwano moją Mamę, aby dołączyła do mnie. Mój Ojciec mający przydział organizacyjny A.K. do batalionu, którego zadania wojskowe wiązały się z Pragą, oczywiście pozostał w domu. Ciocia Jadzia dość często nocowała u przyjaciół w Ursusie. Po śmierci Dziadka Ludwika mogła oddać się bez reszty pracy organizacyjnej.

Z Jankiem i Lulkiem byliśmy zajęci zabawami stosownymi do naszego wieku. Na gigantycznym kasztanowcu rosnącym u wrót gospodarstwa, na wysokości pierwszego piętra, pośród konarów z desek wybudowaliśmy obszerną platformę. Podobnie jak siedzibę Stasia i Nel z "Pustyni i w puszczy" nazwaliśmy ten "zamek" Wawelem. Nasza chłopięca fantazja była niewątpliwie bogatsza niż obecnego pokolenia wychowanego na papce programów telewizyjnych o różnej, zbyt często wątpliwej wartości. Ten "zamek" był dla nas twierdzą, kryjówką, punktem obserwacyjnym, wszystkim, w miarę potrzeb chłopięcej wyobraźni.

Dom był duży, drewniany, piętrowy. Na parterze mieszkali Państwo Lejmbachowie, na pięterku zaś rodzina Zbytkowskich. On furmanił, ona pomagała w gospodarstwie. Mieli dwoje dzieci-córkę Zosię, nieco starszą ode mnie i syna Marka, 15-sto latka. Od drogi dom oddzielał niewielki ogród pełen kwiatów, otoczony krzewami bzu. W rogu ogrodu, tuż przy polnej drodze wiodącej w kierunku Pruszkowa stał duży krzyż przydrożny. Zabudowania gospodarskie to stajnia, stodoła połączona z szopą, pod którą chroniono niewielką ilość maszyn rolniczych. W stajni stały dwa konie używane do prac gospodarskich: Misiak i Wilczek, dwa kasztanowe wałachy. Lipiec był dla nas typowym miesiącem wakacyjnym wypełnionym zabawą. Stroskane miny starszych nie odrywały nas od wszystkich uciech naszego wieku.

Pamiętnego 1 sierpnia 1944 późnym popołudniem około godziny 17.00 zauważyliśmy pojawienie się coraz liczniejszych dymów nad Warszawą. Skorosze, dzisiaj leżące w obrębie miasta stołecznego, w tym czasie były wsią żyjącą z upraw warzyw na rynek stołeczny. Panorama Warszawy była jednak widoczna, zwłaszcza z naszego punktu obserwacyjnego, jak na dłoni. Można było z dość dużą precyzją mówić w jakiej części miasta widać oznaki pożarów. Około godziny 18-tej przybiegła z Ursusa zadyszana Ciocia Jadzia. Przyniosła wieści, które porażały: „*w Warszawie powstanie, Armia Krajowa opanowała miasto, Niemcy pokonani, na klęczkach proszą o litość zwycięzców* „. Dom opanował amok. Entuzjazm nieopisany. Dość szybko rozwiały się złudzenia. Dworek obok gospodarstwa państwa Lejmbachów, zwany "dworkiem Mecenasa" został zajęty przez sztab jednostki artyleryjskiej Wehrmachtu. Nazajutrz na polu Lejmbachów, wzdłuż żywopłotu z głogu, została ustawiona bateria ciężkich dział ostrzeliwujących miasto. W pokoju od strony baterii zostali ulokowani państwo W. Ona była w zaawansowanej ciąży. Byli to ludzie, na owe czasy bardzo bogaci. Dość szybko przenieśli się w inne miejsce ponieważ Niemcy prowadzili ogień artyleryjski z ogromną punktualnością przez wiele godzin. Dymów z płonących domów pojawiało się coraz więcej, a wieczorami ponad ciemną linią dachów wyrastały grzywy ognia. Płonęły całe dzielnice. Z położonego nieopodal lotniska Okęcie startowały cały dzień szturmowce

bombardujące typu Stukas, nawracające kilkakrotnie nad Warszawę. Zdumiewało, że nie było widać żadnej ochrony miasta ze strony lotnictwa radzieckiego. Towarzyszyło temu nagłe milczenie radiostacji Kościuszki na prawym brzegu Wisły. Niemieccy artylerzyści pracowali jak urzędnicy. Godziny ostrzeliwania były ściśle określone i można było według nich regulować zegarki. W stosunku do nas oficerowie i żołnierze byli grzeczni, poza tym, że wykonywali swą morderczą pracę jak roboty. Lejmbachowie, niesłychanie patriotyczna, protestancka rodzina, świetnie mówiąca po niemiecku, miała z nimi kontakty jedynie w przypadku absolutnej konieczności. W małym pokoiku z osobnym wyjściem z domu został zakwaterowany prosty kanonier, który był ordynansem szefa jednostki. Było to ryzawe, wysokie chłopisko, o urodzie aktora Maxa von Sydow, prosty rolnik z Nadrenii, który nie akceptował swego udziału w wojnie. Uważał wojnę za czas stracony dla siebie i własnego gospodarstwa. Jak rozumieliśmy zdawał sobie sprawę, że w momencie kiedy on ostrzeliwuje polskie rodziny jego własna jest wystawiona na nasilające się ciężkie naloty sprzymierzonych. Był bardziej praktyczny niż z poczuciem winy. Robił po prostu bilans i już wyliczał koszty własnej wojny światowej. Do nas, dzieciaków odnosił się bardzo przyjaźnie, mimo, że w owych czasach mundur niemiecki decydował o tym, że zawsze widzieliśmy w nim wroga. Hodował lisa, gdzieś chwyconego jako szczeniaka. Lis był przywiązany, jak pies, do budy na łańcuchu. Dzikie z natury zwierzę było bardzo nieufne, przerażone i nie dawało się do siebie zbliżyć. Pół wsi przychodziło oglądać lisa i połowa chłopaków zazdrościła nam, nie Niemca przecież, a właśnie liska.

Sprawy powstania, a co gorsza mieszkańców Warszawy i samego miasta miały się coraz gorzej. Co pewien czas piaszczystą drogą, przebiegającą dokładnie w miejscu obecnej dwupasmowej szosy do Pruszkowa, wędrowały grupy skrajnie wyczerpanych uciekinierów z płonącego miasta. Pola pełne były warzyw, ogórków, pomidorów. Rynek warszawski przestał istnieć. Ludzie jedli te warzywa, niekiedy po raz pierwszy od wielu tygodni pobytu w odciętym, obłożonym, niszczonej mieście. Przynosili opowieści straszliwe o piekle wojny, które jest jeszcze gorsze niż było we wrześniu 1939 roku. Koszmarne relacje dotyczyły zwłaszcza tego, co działo się w pierwszym tygodniu Powstania w dzielnicach Wola i Ochota. Rozstrzeliwano tam wszystkich od noworodka do starca, całe domy, całe ulice. Stery ciała rozstrzelanych palono. Szczególnie straszliwe zbrodnie przypisywano oddziałom kolaborantów rekrutowanych z jeńców radzieckich. Była to dobra komsomolska szkoła, którą w latach następnych poznaliśmy znacznie lepiej. Zbyt dobrze poznaliśmy Niemców przez lata okupacji, aby sądzić, że są to opowieści przesadzone. W myślach żegnaliśmy się zwłaszcza z Wujem Józkiem i Jego Rodziną. W niedaleko nas położonych Zakładach Mechanicznych URSUS zaczęto tworzyć zaczątki obozu izolującego Warszawiaków. Byli oni wywożeni w głąb Generalnej Guberni, głównie do wsi Małopolski, natomiast młodzi i zdrowo wyglądający trafiali do niewolniczej pracy w Niemczech. Wiele osób było też wysyłanych wprost do obozów zagłady, głównie Oświęcimia i Stutthofu. Nie wiedzieliśmy co działo się z Ojcem pozostałym na Pradze. Ludność wyciekała jednak z walczącego miasta przez cały czas powstania i przez dom Lejmbachów przewinęły się nieprzebrane masy ludzkie. Wielu zatrzymywało się tylko na jedną noc, inni zostawali przez dni parę. Nie ulegało wątpliwości, że byli to nie tylko znajomi, ale także ludzie, którzy trafiali do nas świadomie, na umówione hasło, w sposób zorganizowany. Część domu została przerobiona. Do większych pokoi wstawiono wielopiętrowe prycze, co przypominało nieco wnętrze baraku obozowego. Gotowano kotły gęstych zup, którymi karmiono tych ludzi. To czego nikt nie rozumiał, to fakt zatrzymania się frontu wschodniego tak szybko przącego ku Warszawie w lipcu. Odgłosy walk w Warszawie tłumili to co działo się na wschód od linii Wisły, ale pamiętano wzywania do powstania nadawane przez polskojęzyczne radio sowieckie. W ślad za warszawiakami z płonącego miasta uciekały zwierzęta psy, koty, ale także kanarki. To było coś niesamowitego widzieć po kilkanaście kanarków dziennie fruujących pomiędzy drzewami i krzewami ogrodu otaczającego dom. Ptaki były wystraszone tym co było ich udziałem w walczącym mieście i złapanie któregoś przychodziło z trudem.

Zwyczajem stały się wieczorne spotkania pod krzyżem, w czasie których odmawiano modlitwy za ginących i konających w piekle warszawskiego powstania.

Tymczasem w okolicy rozpoczęło się gigantyczne polowanie nie na kanarki ale na uciekinierów z Warszawy dokonywane przez nieustannie krążące patrole niemieckiej żandarmerii polowej. Każdy chywycony z *ausweisem* (dowodem osobistym) mającym wpisany stały adres warszawski był traktowany jak bandyta i wysyłany do obozu pracy lub obozu koncentracyjnego. Gospodarze dla ukrywania ludzi dokonali ogromnego wykopu pod inspektami warzywnymi. Była tam jama o głębokości co najmniej półtora metra, do której wchodziło się gęsiego przez dziurę, zakrywaną następnie odłożonym na bok stosem okien szklarnianych. Rozstawione wokół wsi czujki dzieciaków dawały sygnały kiedy należy schronić się do kryjówki. Były dni, kiedy wielu ludzi siedziało tam po kilka godzin. I tu trzeba przyznać, że rudy Niemiec, artylerzysta doskonale zorientowany w sytuacji nigdy nie "sypnął", co zarówno dla ukrywających, jak i dla gospodarzy musiałoby się skończyć dramatycznie. Artylerzyści z Wehrmachtu przydawali się także kilkakrotnie, kiedy z fortu zlokalizowanego na Szczęśliwicach wyprawiali się do wsi pijani Własowcy. Byli to wzięci do niewoli niemieckiej żołnierze Armii Czerwonej, którzy poddani gehennie niewoli niemieckiej, zagrożeni głodową śmiercią w obozach niemieckich przystąpili do kolaboranckich formacji RONA (Russkaja Oswobodienaja Narodnaja Armia). Nawet SS -mani byli bardziej ludzcy niż ta dzicz. Uciekinierzy z płonącej Warszawy opowiadali o wyczynach Własowców rzeczy nieprawdopodobne, przypominające i przewyższające opisy działań czerni w czasie rebelii Chmielnickiego. Niemcy używali ich do najbardziej haniebnych masowych mordów, gwałtów, w których się wyżywali. W sierpniu i wrześniu 1944 roku nie było tygodnia, aby pijani własowcy nie napadali gospodarstw żądając wódki i złota od "polskich panów i burżujów". Jednak komsomolska szkoła dawała rezultaty nawet w niemieckiej służbie. Kwaterowali w tzw. Forcie Szczęśliwickim, kilka kilometrów od wsi Skorosze. Pan Lejmbach wzywał wtedy z sąsiedniego obejścia patrol artylerzystów, którzy z bronią maszynową gotową do strzału wypędzali napastników. Pewnego razu na podwórko wjechał na spienionym perszeronie mołojec. Kompletnie pijany, w gaciach i bez koszuli siedział na koniu na oklep, bez siodła, trzymając w jednym ręku jeden, zaś z zębach drugi granat przeciwczołgowy. Przypadkowo u naszego artylerzysty gościło dwóch podoficerów niemieckich. Była to jedna z najbardziej dramatycznych chwil, ponieważ watażka chciał zrobić użytek z granatów i rozwalić naszą chałupę. Niemcy zapewne nie mieliby nic przeciwko temu, ale ich zamiłowanie do działania na rozkaz było w tej sytuacji wyraźnie naruszone z jednej strony, z drugiej zaś pijany osobnik mógł także ich uszkodzić. Sądziłszy, że po prostu zastrzela Ruskiego, ale ten na widok wycelowanych w siebie pistoletów maszynowych uciekł galopem do swoich.

W końcu sierpnia niespodziewanie na podwórze gospodarstwa wjechało kilku konnych w nieznanym nam mundurach. Był to patrol kawalerii węgierskiej. Niewielka jednostka Honvedów została zakwaterowana we wsi. Mimo, że sprzymierzeńcy Niemców, byli przez ludność witani serdecznie i równie serdeczny był ich stosunek do nas. Dla nas dzieciaków było najważniejsze to, że dawali jeździć na swych koniach i bywało, że częstowali czekoladkami, których smak wracał tylko w dziecięcych snach. Odbywali długie wieczorne rozmowy z dorosłymi, po których ci byli jeszcze bardziej przygnębieni. Mogę się tylko domyślać, że dopiero od Węgrów usłyszeli prawdę o ogólnej sytuacji Polaków i sprawy polskiej. Po kilkunastu dniach żegnani jak swoi odjechali gdzieś na drogi wojny.

W miarę potrzeb chodziliśmy z Mamą do Ursusa. Gdzieś od trzeciej dekady sierpnia na terenie bocznicy kolejowej w Zakładach Mechanicznych URSUS Niemcy postawili gigantyczne działo kolejowe, które okoliczna ludność nazywała "Grubą Bertą". Działo to prowadziło regularny ostrzał dzielnic opanowanych przez powstańców. Huk i podmuch następujące bezpośrednio po oddaniu strzału były przerażające. Występowało przy tym dziwne zjawisko optyczne polegające na tworzeniu się pierścienia zagęszczonego powietrza, które jak kółko dymu z papierosa unosiło się w górę ponad łufą działa. W całej okolicy szyby nie miały racji bytu.

Wciąż zwiększały się masy ludzi uchodzących z płonącej i niszczonej Warszawy. Mama gorączkowo rozpytywała o ulice, na których mieszkali bliscy i znajomi. Opinia była dość zgodna, że mieszkający na Woli, przy ulicy Chłodnej, Lindnerowie mieli małe szanse przeżycia. Tam eksterminacja ludności cywilnej była największa bowiem działali tu pospołu esesmani rekrutowani

spośród kryminalistów niemieckich i własowcy. Z Pragi tym bardziej nie było żadnych wieści. W połowie września doszła nas wieść, że Rosjanie zdobyli Pragę i że tam są oddziały polskiego wojska, tak zwani „berlingowcy”, współdziałającego z Armią Czerwoną. Bardzo mało wiedzieliśmy o tych formacjach wojskowych. Mieliśmy jednak nadzieję, że Ojciec dotrwał na Nieporęckiej do wejścia Rosjan. Czy organizuje szkołę, czy też jest w wojsku? Coraz częściej stawiano sobie pytanie, jeśli Sowietci już są wreszcie na Pradze to dlaczego nie zdobywają Warszawy, dlaczego nie okazują pomocy powstańcom?

Wiadomość o Rosjanach na Pradze zbiegła się w czasie z imponującym nalotem floty samolotów amerykańskich, które w biały dzień nadleciały nad Warszawę. To był wybuch entuzjazmu ludzi, którzy stracili już wszelką nadzieję. Wielokrotnie po zapadnięciu zmroku obserwowaliśmy na niebie panoramy płonącego miasta loty samolotów sojuszniczych z nocnymi zrzutami. Widać było jak wiele z tych samolotów ginęło w szaleńczym ogniu niemieckiej artylerii przeciwlotniczej. We dnie widzieliśmy systematyczne i co gorsza zupełnie bezkarnie niszczenie miasta przez Luftwaffe. Szturmowce niemieckie startowały z pobliskiego lotniska Okęcie i prowadziły swoje dzieło zniszczenia nie niepokojone, zwłaszcza przez sojusznicze ponoć lotnictwo radzieckie. Teraz na nieomal bezchmurnym niebie leciało na bardzo dużej wysokości kilkaset srebrnych maszyn, ciągnących za sobą białe smugi rozrzedzonych gazów. To był widok zapierający dech w piersiach. Takiej potęgi Niemcy nie mieli nigdy. I nagle z samolotów zaczęły sypać się podłużne przedmioty. Niemcy będący obok nas byli przerażeni. Oficerowie sądzili, że jest to gigantyczny desant spadochroniarzy na skalę Normandii. Dość szybko, w miarę opadania zrzutu stało się jasne, że po pierwsze są to pojemniki, zaś po drugie, że większość z nich MUSI spaść po stronie niemieckiej. Majestatycznie lecąca flota powietrzna odleciała ku wschodowi dając jeszcze jedno złudzenie walecznym Polakom.

W początku października powstanie zakończyło się. Teraz runęły masy ludzi kierowane przez Niemców do gigantycznego obozu przejściowego w Pruszkowie. Obóz był zorganizowany w Zakładach Naprawczych Taboru Kolejowego. Tam w wielkich halach, na gołym betonie koczowały dziesiątki tysięcy ludzi. Ludzie się tu rodzili i umierali, chorowali, gubili i znajdowali bliskich. Aparat niemieckiego ucisku właśnie tu dokonywał segregacji masy ludzkiej: część jechała do obozów zagłady, część na roboty do Niemiec, reszta chorych, ułomnych, dzieci kierowano do odległych od Warszawy prowincjonalnych części Generalnej Guberni. Aż do połowy stycznia 1945 roku powiaty przylegające od zachodu do Warszawy w jej ówczesnych granicach były napełnione warszawiakami, którym udało się uciec z obozu w Pruszkowie i znaleźć rodzinę lub znajomych. Ciocia Jadzia pracująca bez przerwy w Ursusie starała się poprzez znajomych dowiadywać, czy nie natrafili na ślady członków naszej Rodziny. W sposób szczególny wypytywała się o Lindnerów, ale także i o Ojca. Nie było jednak żadnych o nich wieści.

Pewnego przedpołudnia na podwórko gospodarstwa państwa Lejmbachów wjechało kilkanaście furmanek chłopskich transportujących ewakuowany szpital powstańczy, cudem ocalały z rzezi. Na jego czele jechała ciężko ranna, postrzelona w biodro pani dr. Zofia Lejmbach, kierująca odcinkiem sanitarnym A.K. w Śródmieściu. Przystąpiono do rozlokowania rannych, przenoszenia ich do szpitali w miarę potrzeb i możliwości, zawiadamiania rodzin żyjących poza Warszawą, aby odebrali pacjentów na okres zdrowienia. Była to ogromna praca organizacyjna, która zakończyła się tuż przed Świętami Bożego Narodzenia 1944. Pamiętam jedną z sanitariuszek, uroczą Krysię, po którą pewnego dnia przyjechał jej narzeczony, księżak z Łowicza. Byliśmy zdumieni i zniesmaczeni: „nasza” Krysią i ten chłopiec roztropek o aparycji miejscowego fryzjera z Ursusa. Ale porwał ją drań jeden pewnego dnia. W jednym z pokoi mieszkał Julek i jego dziadek. Jak wszyscy starsi mili ludzie kojarzył mnie się z Dziadkiem Ludwikiem Lindnerem, którego twarz była dla mnie swego rodzaju ikoną. Dziadek ów pięknie malował, zwłaszcza akwarele. Zostałem przez niego obdarowany akwarelą, na której był kalendarz z datą 1 sierpnia 1944 roku – wtorek oraz stojącym obok budzikiem z nastawioną „godziną W”, tzn. 17.00. Akwarelę tę, niestety, zagubiłem w latach następnych.

Ciocia Jadzia, która zamieszkała teraz z nami u Lejmbachów była głową naszej okaleczonej rodziny dostarczając nam środków do życia. Miała niezłe papiery zatrudnionej oficjalnie w szkole

powszechnej w Ursusie, co chroniło ją w czasie kontroli niemieckich. Patrole niemieckie pracownicy wylapywały warszawiaków, których pełno było w miejscowościach położonych wzdłuż kolejki dojazdowej E. K. D od Salomei do Podkowy Leśnej i Milanówka. Podobnie jak Ojca przed Powstaniem, teraz Cioci Jadzi nie było od rana do późnego wieczora. Moja Mama podejmowała jakieś niestałe zajęcia, przede wszystkim nauczanie dzieci z okolicznych gospodarstw w systemie tajnego szkolnictwa. Byłem znów przez wiele godzin sam. Światła elektrycznego w domu nie było w ogóle, Mrok zapadał wcześniej. Wynalazkiem tej jesieni były lampy karbidowe dające jasne, aby nie powiedzieć jaskrawe, światło. Karbid był jednak dla nas drogi i przez to konieczne stało się ograniczanie używania lampy do niezbyt długich momentów, kiedy byliśmy razem: Ciocia, Mama i ja. Było też zimno, bowiem nie mieliśmy węgla ani drzewa do palenia w piecu. A była to kolejna bardzo mroźna okupacyjna zima. W miarę dostępu do światła dużo czytałem. Wtedy odkryłem uroki takich książek jak: "Komu szumią wierzyby", "W pustyni i w puszczy" oraz cykl przepelnionych słońcem i dobrocią powieści dla młodzieży Makuszyńskiego: "Awantura o Basię", "List z tamtego świata", "Szatan z VII klasy", "Złamany miecz", "Panna z mokrą głową", a nade wszystko Domańskiej „Historia żółtej cizemki „. Jakże marzyłem o tym, aby kiedyś w życiu obejrzeć Ołtarz Mariacki rzeźbiony przez Wawrzka, ucznia Veita Stosa.

Siedziałem więc godzinami w zimnym, ciemnym pokoju oczekując Mamy i Cioci w łóżku, owinięty kocem bo zimno było koszmarnie. I oto pewnego wieczoru pojawiła się mysz, szara mysz. Być może przywędrowała tu z pola uciekając przed chłodem zimy. Była przy moim bezruchu coraz śmielsza. Wzmacniałem jej zaufanie do mnie sypiąc ścieżkę okruszków od wyjścia z jamy do mnie na łóżku. Mniej więcej po dwóch tygodniach mysz już siedziała mi na ręku. Grzeliśmy się na wzajem, dwie przerażone życiem istoty: polski chłopiec i polska szara mysz. Nasza zażyłość przetrwała do opuszczenia przez nas gospodarstwa państwa Lejmbachów po 17 stycznia 1945 roku. Nigdy w późniejszym życiu nie bałem się ani nie brzydziłem myszy, wręcz odwrotnie każde tępienie myszy było dla mnie niemiłe, nawet kiedy było konieczne.

To co jest trudne do zrozumienia dla dzisiejszych młodych pokoleń to właśnie to, że uczono nas dbać o imponderabilia. Nastrój był gorszy niż w październiku 1939: powstanie zamordowane wraz z miastem i jego mieszkańcami, los bliskich niepewny i zagrożony. My nędzarze, przyszłość nieznaną, nasza sytuacja powojenna delikatnie mówiąc wątpliwa. I wtedy Ciocia Jadzia i moja Mama przy pełnym poparciu i ze zrozumieniem państwa Lejmbachów postanowiły zorganizować uroczystą akademię ku czci Święta Niepodległości 11 Listopada. Trzeba było (bagatela !!!) przygotować program i wykonawców, zapewnić widownię i jej bezpieczeństwo. Wykonawcami byliśmy my, to znaczy dzieci "pensjonariuszy" gospodarzy i pozostałe jeszcze sanitariuszki szpitala powstańczego, wspaniałe dziewczyny. Wieczorem 11 Listopada w dokładnie zaciemnionym domu, w największym pokoju, rozstawiono krzesła. Spotkało się kilkadziesiąt osób. Szczęśliwie moja Mama i Ciocia przechowały notatki umożliwiające odtworzenie znacznej części tego programu, który warto przypomnieć po tylu latach.

Uroczystość rozpoczęła pani Julia Lejmbach:

" Dzieciom Polski wszystkich zaborów chwała, bo One ocaliły kraj. Bronią ich było poczucie godności i honoru polskiego, tradycja narodowa, kulturalna i religijność, wielka umiejętność rozumienia istoty spraw, ich znaczenia w hierarchii spraw różnych, o które się walczy, o które się pertraktuje. Nie bały się poddać poniżeniom i wszelkim represjom świadome tego, co je czeka. Dzięki ich odwadze mieliśmy polskie szkoły, polskie uniwersytety, polskie ruchy proletariackie związane z programem niepodległościowym, mieliśmy wiersze najlepszego, najbardziej patriotycznego żołnierza wojen światowych. Jakże wielu tych młodych rzuciło kariery zawodowe, naukowe czy ekonomiczne w świecie, w Europie, aby oddać się bez reszty do dyspozycji, tu w kraju gdzie nieomal wszystko trzeba było wydobyć z kamienia łupanego.

Jesteście kolejnym pokoleniem młodych Polaków, którzy muszą z tego kraju zrobić kraj lepszy, bogatszy, sprawiedliwszy niż ten, który zakończył się w dniu 1 września 1939 roku.

I wierzę głęboko, że jeśli jakoweś złowrogie siły nam nie przeszkodzą będziemy już niebawem panami u siebie. "

Następnie ja wyrecytowałem wiersz specjalnie na tą okoliczność napisany przez Ciocię Jadzię:

*Mamusia i Tatuś pamięta
te dni pełne szczęścia i słońca
gdyś była Warszawo kochana
radością i życiem tętniąca.
W uroczyste dni ubierano
w czerwień i biel Twe ulice
dostojna byłaś i wspaniała
w te narodowe rocznice.
Sztandary, w górze sztandary
w powietrzu dumnie łopocą
a światła, światła tysiące
wieczorem nad miastem migocą
Wesołe i barwne neony
migają pod niebios stropem
wołają na wszystkie strony
Wedlem, teatrem i LOPP-em.
Idziesz wieczorną ulicą
a wszędzie światła ogniki
padają na nasze twarze
i na warszawskie pomniki.
Kiliński szabłą wskazuje
ludowi kierunek ataku
ten szewc jest ulubieńcem
wszystkich nas Warszawiaków.
Mickiewicz wskazuje na serce
co ukochało miliony,
tam Książę Józef na koniu
prowadzi do boju szwadrony.
Gdy się w Łazienkowskiego parku
ruchliwe zapuścisz aleje
w duszę Ci zadumaną Chopin
harmonię dźwięków wleje,
a dalej dostojny Kopernik
co zbadał cuda wszechświata,
zaś przy Nieznanym Żołnierzu
wiecznego ognia poświęca.
Płonie ten ogień przy grobie
świętym ojczyzny ołtarzu,
wzniecamy go ciągle w swych sercach,
sercach Jej gospodarzy.
Wieczorny spacer Warszawą
wyprawa patriotyczna
częściej zabrzmi w niej walka,
rzadziej piosenka liryczna.
Tak idziesz szczęśliwy w orszaku
dumny ze swej pięknej stolicy
I młody i stary Polaku
w dniu narodowej rocznicy.*

W czasie wygłaszania wiersza rzucano na ścianę sylwetki-cienie konturów warszawskich pomników, które w tych dniach już nie istniały.

Następnie dwie sanitariuszki wygłosiły dwa przepiękne i jakże poruszające wiersze, które powstały w walczącej Warszawie.

Modlitwa. (anonim).
Za ugór ojczysty rozdarty,
Za fali wiślanej płaszcz krwawy
Za Tatry skalne i Bałtyk,
Za wrzesień śmiertelny Warszawy .
Za grób co słabnącym jak ulga
pokusą w męczeńskich dniach świeci
- zbaw Panie kobiety i dzieci
z płonących pożarów Hamburga.
Za krzyż znieważony w kaplicach
Za krzywdę cmentarnych popiołów
- zachowaj we wrażliwych stolicach
strzeliste gotyckie kościoły.
O Panie przez znak Twój na wieżach
przez drzewo Twej męki i chwały
prosimy Cię szeptem pacierza,
prosimy Cię nutą chorału.
W godzinie tryumfu nad klęską
gdy w gniewie się Twoim objawisz
daj siłę, daj radość zwycięską
a wyrwij nam z duszy nienawiść !
W pożarze piorunów co walą
w ostatnie bastiony i tamy
daj sercom, niech z gruzów ocalą
Twój święty na wieki testament.

Dopiero w wiele lat później, przypadkowo zresztą, dowiedziałem się, że autorką wiersza była harcerka, pani Leonia Jabłonkówna.

Następny wiersz, zatytułowany także "Modlitwa " był napisany przez "Bonawenturę ", młodego powstańca. Już po wojnie dowiedzieliśmy się, że był to pseudonim konspiracyjny Jana Ramockiego, żołnierza Batalionu Parasol, który poległ śmiercią żołnierską w Powstaniu na Czerniakowie.

Od wojny, nędzy i głodu,
sponiewieranej krwi narodu,
od łez wylanych oblężanie -
- wybaw nas Panie !
Od niepewności każdej nocy,
od rozpaczliwej rąk niemocy,
od lęku przed tym co się stanie
- uchron nas Panie !
Od bomb, granatów i pożogi,
i gorszej jeszcze w sercu trwogi,
od trwogi strasznej jak konanie
- uchron nas Panie !
Od rezygnacji w dobie klęski
lecz i od pychy w dniu zwycięskim
od krzywd, lecz i od zemsty za nie
- uchron nas Panie !
Uchron od zła i nienawiści
niechaj się odwet nasz nie ziści !

Na przebaczenie im przeczyste

- wlej w nas moc Chryste !

Byliśmy nędzarzami, nasi bracia i ojcowie gnili w niemieckich obozach dla jeńców i niewolników, miasta zniszczone, dobra kultury unicestwione, zaś tu w rocznicę odzyskania niepodległości, którą powtórnie utraciliśmy, a której los rysuje się nam smutno, dziewczyny polskie, te właśnie, które opuściły piekło mordowanej Warszawy mówią po raz pierwszy: "Przebaczamy i prosimy o łaskę Boga dla naszych katów i ich rodzin ! " Czy następne pokolenia Polaków zdołają pojąć, jaka była siła moralna tego pokolenia ?

Chłopak, który trafił tu wraz z Rodzicami po upadku Warszawy wygłosił wiersz znany nam już wcześniej we fragmentach:

*Tu zęby mamy wilcze i czapki na bakier,
 Tu u nas nikt nie płacze w Walczącej Warszawie
 Tu się Prusakom siada na karku okrakiem
 I wrogów gołą dłonią za gardło się dławi
 A wy tam wciąż śpiewacie, że z kurzem krwi bratniej,
 Że w dymie pożarów niszczyje Warszawa,
 A my tu nagą piersią na strzały armatnie,
 Na podziw wasz, na śpiewy i na wasze brawa.
 Czemu żałobny chorał śpiewacie wciąż w Londynie
 Gdy tu nadeszło wreszcie oczekiwane święto ?
 U boku swoich chłopców walczą tu dziewczęta,
 I małe dzieci walczą, i krew radośnie płynie !
 Halo ! Tu serce Polski ! Tu mówi Warszawa !
 Niech pogrzebowe śpiewy wyrzucą z audycji !
 Nam ducha starczy dla nas i starczy go dla was !
 Oklasków też nie trzeba ! Żądamy amunicji !
 My rodziliśmy się w ciemnych piwnicach,
 tam też mogą gnić nasze kości,
 o nas w dzwonach opowie ulica
 jak podała podarek wolności.
 A historia opluje nas jutro.
 Groby nasze wyrówna ktoś obcy.
 My walczymy nie mówiąc, że smutno.
 My nie armia, nie wojsko !. My chłopcy !
 Nastąpiły śpiewy licznych powstańczych piosenek nucone przyciszonymi głosami:
 Pierwszego sierpnia, roku pamiętnego
 stała się wielka w Warszawie draka:
 po jednej stronie stali Germańce,
 po drugiej stronie chłopaki z AK- a.
 Germańscy mieli tanki i krowy
 Oraz ruskiego pomoc kozaka
 Tego nie miała dzielna Warszawa
 Lecz za to miała chłopaków z AK- a
 Wre walka w mieście, ciężka jak cholera
 dziewczyna walczy u boku chłopaka
 ciężko i głodno, a oni szczęśliwi
 biją się dzielnie w szeregach AK- a
 Kościoły wszystkie porujnowali
 Narodu kupe zamkli w barakach
 Ale to wszystko jem nie pomaga
 Nie mogą pobić chłopaków z AK- a.
 Na Saskiej Kępie zdradne Sowiety*

*co pomoc miały dać dla Polaka,
 ruskim zwyczajem nas wykiwały
 taka jest dola chłopaków z AK- a
 Bór, nasz generał, prosi Churchila
 niech pomoc zechce dać dla Polaka,
 bo my już dłużej nie wytrzymamy
 i zginą wszystkie chłopaki z AK-a
 Więc przyleciały nocne desanty
 na miasto spadła niejedna paka,
 już grzmiały granaty i automaty
 i już drżą szkopy na widok AK- a
 Zwołał Hitlerek swoich gierojów,
 Do chrzaniu – mówi – robota taka,
 Mamy bombowce, tanki i krowy
 A tu nas leją chłopaki z AK- a
 I całą armię swoją sprowadził
 Każdemu bombe dał do plecaka
 Już was dziesięciu jest na jednego
 Musicie pobić chłopaków z AKa.
 A że przysłowie rzymskie powiada
 Herkuł nie zwalczy sam dziesiątaka
 W zniszczonym mieście i pod przemocą
 Kapitulują chłopaki z AK-a.
 Ze łzą wychodzę z krwawej Warszawy
 Ale nam duma bije z oczu taka.
 Powróci Polska, bo ona nie zginie,
 Powrócą w chwale chłopaki z AK-a
 Pusta stolica i wypalona
 Straszy z daleka jak mara jaka
 Ale dowodem jest bohaterstwa
 Całemu światu dla chłopców z AKa.
 A kiedy Polska powstanie wolna
 To w niej stolica nie byle jaka
 Będzie pomnikiem na całe wieki
 Dla bohaterskich chłopaków z AK- a.*

I dalej, i dalej:

*Armia AK- a rozkaz ma do ataku,
 nie straszny jej Tygrysów zew,
 już z ulic, bram idzie w bój rój chłopaków
 a w uszach brzmi wolności śpiew
 I oto widok wspaniały,
 przed nami wróg kryje się, drży
 Krajowej Armii powstańcze oddziały
 to nie tygrysy, a to są lwy.*

I znów wiersz ogłoszony przez sanitariuszkę:

*Mogła na skwerze
 Nogą można potrącić, tuż obok rynsztoka
 w biednych kwiatów i hełmu stalowym rynsztunku
 Krzywy napis: NIEZNANY, i z błota powłoka
 I słowa twardej chwały: "Leż na posterunku "
 Jemu to się należy najszczerzy z pacierzy*

*co umierając szeptał: "Warszawy nie damy !"
Grób na skwerze ulicznym, krzyż z okiennej ramy.
Taka mała mogiłka, a wielkość w niej leży.*

Nastrój z bojowego, pełnego entuzjazmu wracał do realiów czasu pogromu Warszawy i jej mieszkańców.

*Deszcz, jesienny deszcz
Smutne pieśni gra,
Mokną na nim karabiny,
Hełmy kryje rdza.
Nieś po rosie w dal
W zapłakany świat
Przemoczone pod plecakiem
Osiemnaście lat*

A wykonawcy mieli w tym czasie właśnie pod osiemnaście czy dwadzieścia lat. Głównie były nimi dziewczęta sanitariuszki Armii Krajowej, podpora swych chłopaków. Następnie te cudowne dziewczęta śpiewały pieśń o sobie, czyli o „małej dziewczynce z AKA „.

*Moja mała dziewczynka z AKA
Nadzieją tchnęła, jak umiała
Kryła się z nami we wnękach bram
W ciasnych ulicach, w mrocznych kanałach
Bo już się wielka kończyła gra
Kiedy się wszystko dla nas skończyło
Kiedy ostatni zamilkł Pe-em
Na barykadzie została miłość
Razem z twym sercem i żalem mym
Moja mała dziewczynko z AKA
Przyznasz chyba, że to wielka była gra
I tak różne były końce naszych dróg,
Przecież ujrzeć ciebie już nie będę mógł,
Dziś na drodze szara jesień, u mnie jesień
I ta trwoga, choć dokoła spłonął świat
Już mi ciebie nic nie wróci, nie przyniesie
Moja mała dziewczynko z AKA.*

Uroczystość kończyła pieśń „:

*Samotna została Stolica wśród zgliszcz
A bomby, pociski ją zryły
W wędrówkę tulacza musieliśmy iść
Na straży stanęły mogiły
Aż zahuczą nam surmy i spiż
Znow nową okryjemy Cię sławą
Zaszumią sztandary, gdy wzniesiem je wzwyż
Warszawo, Warszawo, Warszawo !!!.*

Za oknami, gdzieś tam czaiły się wrogie patrole żandarmerii niemieckiej a tu, w niewielkim drewnianym domu oddychaliśmy Polską, wolną Polską, która była w nas. Ludzie rozchodzili się do domów pojedynczo, cicho, uważnie, ginęli w mroku jednej z ostatnich okupacyjnych późnojesiennych listopadowych nocy.

Zbliżała się zima, ale ja nie miałem ubrania na tą porę roku, jakże trudną dla uciekinierów pozbawionych własnego domu. Wspaniałe nowe buty zamówione i zrobione na zamówienie Ojca przez praskiego szewca były gdzieś za Wisłą, w mieszkaniu przy ulicy Nieporęckiej. Czy te buty są tam jeszcze ?. Ba, czy jest jeszcze dom przy ulicy Nieporęckiej ?. Któż to może wiedzieć ?. Sandały późną jesienią nie nadawały się do chodzenia. Pasowały już na mnie męskie kamasze, które nosiła Mama. Ale te buty służyły Jej na co dzień, przy bieganiu z korepetycjami w okolicy. Ciocia Jadzia

zdobyła dla mnie drewniaki na grubej podeszwie. Były to sznurowane kamasze, których wadą była waga i łatwość przyklejania się błota i śniegu do podeszew. Tworzył się rodzaj wysokich koturnów, na których przewracałem się regularnie. Zrządzeniem losu pewnego dnia, tuż po Wszystkich Świętych, na podwórku gospodarstwa pojawił się wóz dwukonny załadowany używaną odzieżą. Wóz był prowadzony przez Własowców, zaś odzież pochodziła ze zniszczonych, wyszabrowanych domostw Warszawy. Ruscy sprzedawali to dość tanio, najchętniej wymieniali na wódkę. Po raz pierwszy w życiu, właśnie wtedy, coś ukradłem. Były to wełniany szalik, czapka z pomponem, rękawiczki i jakieś wełniane skarpety. Wszystko było od Lasa do Sasa, ale nie o elegancję chodziło w tej sytuacji. Chyba w najtrudniejszej sytuacji była moja Mama, dbająca o wzorowe wychowanie jedynaka. Przyjęła postawę p.t. "ja tego nie widzę", bo i Bogiem a prawdą, co biedna miała zrobić. Kradliśmy przy następnych wizytach Własowców wszystko co byliśmy w stanie, przedwcześnie dojrzały młodzieńcy dziesięcioletni. Nasz sukces był jednak, jak sądzę, rezultatem nie tyle naszych złodziejskich kwalifikacji, co nostalgii własowskiego oficera, patronującego transakcjom. Był to czterdziestokilkuletni człowiek, "okularnik", o szczupłej i wrażliwej twarzy inteligenta, podobnej do twarzy Czechowa. Mówił, że jest z zawodu nauczycielem spod Smoleńska, że w domu zostawił żonę z dwoma synami. Największą tragedią tego człowieka była pełna świadomość, że nigdy nie wróci do domu. Że zginie zabity przez obcych lub swoich. Zamartwiał się o los rodziny. Myślę, że po prostu przymykał oczy na fakt, że inny płowowłosy chłopak w wieku jego syna kradnie, aby jakoś przetrwać nadchodzącą zimę czasu wojny.

Pod koniec pierwszego tygodnia listopada 1944 roku nadeszła pierwsza kartka od Ojca pisana kopiowym ołówkiem. Adresowana była do Szkoły Podstawowej lub W.P. Lejmbach w Salomea-Ursus bei Warschau-dla Pani Jadwigi Lindner. Nadawca Janczewski Władysław-Oschersleben-Zuckerfabrik nr. 2.

Oschersleben-Bode 1.XI.1944. Kochana Jadziu ! Wierzę, że ta kartka zastanie Cię w Ursusie. Pracuję w cukrowni ciężko jako palacz. Ciagle myślę jak Wy tam żyjecie, czy jesteście razem. Czuje się dobrze, nie umiem tylko chodzić w drewniakach. Napisz kilka słów. Ciagle wysyłam pod różnymi adresami karty do Was. Serdecznie Cię pozdrawiam-podaj swój możliwy przyszły adres. Wladek.

Dla mnie były to dwie wspaniałe i uzupełniające się wiadomości: mój ukochany Tata żyje i także chodzi w drewniakach, z równym trudem jak ja. Hurra, świat jest jednak piękny !

Druga kartka datowana tegoż samego dnia była adresowana do Cioci Heleny Reinhardt. Siostra Dziadka Ludwika Lindnera, wdowa po bardzo bogatym mężu, zmarłym dawno przed wojną, mieszkała w Milanówku przy ulicy Żwirowej 14. w bardzo ładnej willi, położonej w głębi ogrodu. Ciocia nie miała zamiaru się ruszać w naszym kierunku, a więc my pojechaliśmy kolejką EKD do niej. Decyzja nie była łatwa, albowiem patrole niemieckie wciąż starannie i systematycznie wylapywały uciekinierów z Warszawy wysyłając ich na ogół do pracy przymusowej w głębi Niemiec. Jednak hasło: " wieści od Władka " było bodźcem do podjęcia ryzyka. Ciocia mieszkała sama. Jej syn, Wujek Henio, którego pamiętałem z warszawskiego września 1939 roku siedział wciąż w obozie jenieckim w Woldenbergu. Córka Cioci-Irena została wywieziona do Niemiec i pracowała w fabryce zbrojeniowej w Berlinie. Była narażona na śmierć w sposób szczególnie, bowiem alianci bombardowali stolicę Niemiec dzień i noc. Musieliśmy odbyć podróż do Milanówka i z powrotem jednego dnia, bo godzina policyjna zobowiązywała. Z zapartym tchem czytaliśmy pierwszą kartkę skierowaną bezpośrednio do nas:

Oschersleben Bode 1.XI.1944. Kochana Toluniu ! Ciagle nie mogę do Was trafić, może tym razem będę miał szczęście. Nie mam słów na wypowiedzenie mojej troski o Wasz los. Jak żyjecie ? Martwieje na samą myśl o Waszym ciężkim losie. Wierzę, że już to nie potrwa długo. Mnie wzięto 11 września z Żerania. Dziś ciężko pracuje jako palacz w kotłowni cukrowni po 12 godzin dziennie. Wysilek fizyczny ogromny, życie słabe. Sama nigdy nie chcesz tu jechać. Lepiej tam wziąć najgorszą pracę, ale u siebie, wśród swoich. Ja tu będę prawdopodobnie do Bożego Narodzenia, a potem kampania cukrowa się kończy. Czekam na szybką wiadomość od Ciebie, bardzo proszę o kilka słów. Całuję gorąco Ciebie i Grzesia. Wszystkich serdecznie ściskam.Wladek.

Zostaliśmy poczęstowani kanapkami i ciastem, a następnie Ciocia Helena poszła z nami na ogromny strych, na którym zalegały kufry. Po ich otwarciu okazało się, że znajdują się w nich ubranka dzieci Cioci sprzed kilkudziesięciu lat. Mama dostała jakiś stary, ale ciepły sweter, ja granatową bluzę z marynarskim kołnierzem oraz serdak na futerku, podniszczony, ale jakże cenny w tych okolicznościach. Po powrocie do domu usiedliśmy do pisania kartek. Należało pisać tak, aby Ojciec jak najmniej martwił się o nasz los.

Skorosze 8.XI. 1944. Kochany Władku ! Niepokoiliam się bardzo o Ciebie. Dziś czuję się bardzo przygnębiona wiadomością, że zostałeś wywieziony. Tą myśl odsuwałam od siebie i uważałam to prawie za niemożliwe. My do tej pory jesteśmy razem, tam gdzieś nas odwiózł. Jesteśmy zdrowi i radzimy sobie dobrze. Zarobki nasze wystarczają nam na utrzymanie i uzupełnienia garderoby na zimę. Ja mam już uszytą ciepłą kurtkę z grubego koca, kupione porządne śniegowce, ciepły kaptur z szalika. Kupiliśmy także ciepłą koldrę pod którą ja sypiam z Grześkiem. Trochę łaszków dała nam Ciotka z Milanówka. O nas się nie martw-wszyscy jesteśmy zdrowi i radzimy sobie dobrze. Co Tobie wysłać z ubrania i jedzenia ? Nie martw się o nas. Pisz szczerze-co Ci jest potrzebne. Ucałowania. Tola.

Skorosze 8.XI.1944 Kochany Tatusiu ! Jestem zdrow. Martwiliśmy się o Ciebie, bo nie było wiadomości. O mnie się nie martw. Mam ciepłe ubranie na zimę. Kurtkę i spodnie uszyte z ciepłego koca. Mam czapkę i rękawice z wełny. Mamusia dostała od Cioci z Milanówka kawałki futra, z którego uszyła mi serdaczek, a Ciocia Jadzia zrobiła mi ciepłe kapcie. Czuje się tu dobrze z chłopcami. Zahartowałem się i nie choruje jak dawniej. Codziennie mam lekcje z Mamą. Uczę się z jedną dziewczynką. Chłopcy mają rower, jak w sam raz dla mnie. Więc postanowiłem się nauczyć i się nauczyłem. Napisz mi dużo o sobie. Dokucza mi bardzo brak Ciebie. Cahuje Cię. Grześ.

Pisząc list miałem poważny problem: jak chwalać się z tego, że mam wełnianą czapkę i rękawice na zimę nie wygadać się, że kradzione ? Co by na to Ojciec powiedział?.

12 listopada wysłała kartkę do Ojca pani Julia Lejmbach:

Szanowny Panie ! Pani Tola z Grzesiem i p. Jadwigą jest razem z nami. Są zdrowi, a Grześ ogromnie zmężniał i doskonale wygląda. Pani Tola pracuje w swoim zawodzie. Luluś korzysta z Jej wielkich umiejętności. Pani Jadwiga z Jankiem codziennie maszerują do Ursusa. Praca Jej nie uległa przerwie. Grześ jest miłym i wesołym towarzyszem moich synków. Proszę być o nich spokojnym. Będziemy się starali wspólnie przebyć wszystkie biedy i czekać na Pana szczęśliwy powrót. Ślemy najserdeczniejsze pozdrowienia. J.J. Lejmbachowie.

Jakże szlachetni i mądrzy to byli ludzie. Korespondencja ruszyła w obie strony i częstotliwość wymiany kartek była duża. I tak Ojciec pisze w dniu 16 listopada 1944 roku:

..... Wiara, że jesteście zdrowi dodaje mi energii w dość ciężkim życiu. O swojej Rodzinie nic nie wiem. Powoli robię sobie majątek: mam dwie pary butów meblowych (drewniaków-przyp G.J.) i spodnie kradzione..... Nic mnie nie trzeba oprócz Waszego zdrowia i szczęścia. Proszę o listy. Władek.

No proszę, a więc i Ojciec kradnie w ten trudny czas. Co więcej ma także drewniaki, więc jak wypada mi się uzalać nad sobą ? Poczułem się wyraźnie lepiej i jednocześnie dorosłej.

I dalej Ojciec pisze w dniu 18.XI.1944 r.:

.... Tolusiu ! Twoje palto, moje i Grzesia, a także trochę bielizny zostało przeniesione do Matki, reszta zakopana w piwnicy. Co z Matką, nie wiem. 11 września, kiedy jechałem wielkim samochodem Praga paliła się. O Józkach nie mam żadnej wieści, chociaż mówiono, że ulicę Chłodną już 5 sierpnia wysiedlano. Ja do uzdrowiska pojechałem od Staśka z Żerania. Mięso było codziennie bowiem, ludzi ogarnęła mania zarzynania krów. Podobno Staśka wysiedlono w okolice Łowicza czy Kutna. Jak się przeżyje, to się pozbieramy z różnych krańców świata. Muszę często w nocy i 4 razy biegać kilka kilometrów. W razie wędrówki zabieraj ubrania, pierścionki. Swój zegarek zostawiłem Matce dla Ciebie. Władek.

Każda kartka od Ojca była czytana przez nas troje: Mamę, Ciocię i mnie. Następnie obowiązkowo wieczorem odbywała się lektura wspólna ze wszystkimi domownikami. Rozumieliśmy, że Ojciec musi uciekać nocami przed coraz intensywniejszymi nalotami. Dotarło do naszej świadomości, że jeszcze wszystko może się z nim zdarzyć.

Tymczasem na miejscu w Skoroszach życie toczyło się "normalnie". Niemcy wylapywali Warszawiaków, co zmuszało naszych do nieustannych wędrówek pod inspekty, do wykopanego tam schronu. My, dzieci czuwaliśmy i dawaliśmy znaki, kiedy zbliżały się patrole żandarmerii. Uczyliśmy się w domu pod okiem mojej Mamy. Mieliśmy swoje troski i swoje radości. Wilkopodobna suka państwa Lejmbachów oszczeniła się. Pięcioro szczeniąt ślepych, chronionych przez niespokojną matkę kręciło się w legowisku pod sianem w stodole. Radość była ogromna. Jakże chciałem mieć swego pieska. Przy pierwszych mrozach żołnierze niemieccy ze stacjonującej obok nas kompanii rozpoczęli na polach polowanie na zające. Strzelali długimi seriami z pistoletów maszynowych. Ograniczano naszą, to znaczy dzieci, swobodę ruchów ze względu na rykoszety kul świszące w okolicy. Któregoś dnia wstrząsnęła nami wieść że nasza suka, której małe szczeniaczki jeszcze nie otworzyły oczu, została przez Niemców zastrzelona na polu nieopodal. Znaleźliśmy i serdecznie oplakaliśmy jej zezwłok. Komentarz furmana pana Zbytkowskiego: "*Nawet polskiego psa, ancychrysty zabili !*"

W połowie listopada nadeszła wiadomość od Wujka Józka, brata Mamy. Był z całą rodziną (żona, dwoje dzieci i teściowa) we wsi Krakuszowice, gmina Niegowić koło Bochni, dokąd trafił 10 października po przejściu koszmaru obozu w Pruszkowie. Listy były dramatyczne, aby nie powiedzieć historyczne. Wujek pisał je do dwóch sióstr będących w identycznej, nędznej sytuacji. Dowiadaliśmy się, że Ciocia Jasia była ranna w głowę, że byli dwukrotnie zasypani w warszawskich piwnicach w czasie bombardowania. Warunki życia mieli bardzo ciężkie. Żyli u prymitywnego, nieżyczliwego chłopca w izbie bez podłogi, spali na słomie, bez siennika i prześcieradła. Marzną w nocy pod cienkim kocem, cierpią na bóle reumatyczne. Głównym pożywieniem są kartofle z solą, od niedawna chleb i kasza. O mleku i tłuszczu szkoda marzyć. Dzieciom: Stasiowi (11 lat) i Joli (5 lat) brak ubrań, obuwia, a także wyżywienia. Jasia i Jej matka nie mają bielizny osobistej, pończoch, skarpet. Stasia chorego na nerki przygarnęła do dworu miejscowa dziedziczka. Oczekują pomocy, której obie moje panie nie były w stanie im udzielić tak ze względu na własną sytuację materialną, jak i odległość. Głowiły się nad ewentualnym sprowadzeniem do nas Stasia, ale jak można było myśleć o oderwaniu Go od Rodziców w obliczu nadchodzącego frontu ?. A poza wszystkim, przecież nie byliśmy u siebie ! Interesująca była reakcja Ojca na wiadomość, że Józkanie żyją.

....Ciesz się mnie, że Józek się odnalazł. Miał szczęście w nieszczęściu. Pośród swoich łatwiej jest przeżyć i nie ma takiej atmosfery....Widziałem jemu podobnych w drodze, bez żadnych możliwości poprawienia losu. Nieszczęście jego jest istotnie wielkie, ale przy jego energii i przy sprzyjających okolicznościach może dać dzieciom chleb. Wiadomość ta sprawiła mi ulgę. Wierzę, że jakoś znów się połączycie.....

Ojciec był jednak lepszym znawcą ludzi, niż obie siostry Wujka Józka. Pierwsze miesiące po wejściu Rosjan pokazały to dobitnie. Ciocia Jadzia wysyłała Wujkowi jakieś niewielkie sumy pieniędzy, których przecież sama nie miała. Poza tym wszyscy zbieraliśmy różne rzeczy do paczki dla Ojca. Było w rzeczy samej kilka paczek, na które składali się ludzie życzliwi, przede wszystkim państwo Lejmbachowie. Mama i Ciocia czyniły ogromne wysiłki aby paczki wysłać. Pierwszą wysyłały przez Arbeitsamt w Krakowie (!), jakąś przez Radę Główną Opiekuńczą w Pruszkowie, jakąś przez pocztę. Zdawały sobie sprawę, że koleje niemieckie są solidnie bombardowane, a więc losy paczek drogocennych, tak dla nas, jak i dla Ojca, są bardzo niepewne. Mama z narażeniem się na złapanie przez żandarmerię wciąż kursowała pomiędzy Ursusem i Pruszkowem i ekspediowała jednak kolejne paczki do Niemiec. Zdając sobie sprawę z sytuacji okupanta, nienawidząc go serdecznie, w głębi ducha podziwialiśmy jednak niemiecką organizację i dyscyplinę państwa, dzięki której list z głębi pogrążonych w wojnie i nekanych nalotami Niemiec szedł do nas " tylko " sześć dni.

Pisywałem do Ojca tak często jak mogłem.

Skorosze 22. XI.1944 r. Kochany Tatusiu ! Jestem zdrow. Posłałem już kartki do Ciebie. Czuje się dobrze. My sobie nieźle radzimy. Wszyscy mamy ciepłe ubrania. Często myślę o Tobie. U nas padał kilka razy śnieg. Teraz czasem pomagam przy ostatnich pracach w polu. Nieraz przypominamy te czasy przed naszym wyjazdem. Wspominam jak Ty i ja siedzieliśmy na tapczanie i

rozmawialiśmy o różnych rzeczach. Dokąd nie było listu od Ciebie to myślałem, że jesteś wciąż na Pradze. Gdy dostaliśmy list, że jesteś na obczyźnie to i ja i Mama płakaliśmy. Chociaż nam bez Ciebie smutno, to wierzymy, że się niedługo znów zobaczymy. Całuję Cię. Grześ.

Listy Ojca były pełne nostalgii:

Oschersleben Bode -Niedziela 26.XI.1994 Kochana Toluniu !

.....Całe moje przeszłe życie odbija się jak echo. Ciągłe nosimy jeszcze worki z cukrem. Kiedy jest pauza 15-30 minut siadam na mokrych workach i dziwnie jasno widzę Cię taką, jaką poznałem w Winterslag. A to znów przychodzi do mnie z powietrza ta piosenka: "Ukrywać się nie godzi dziewczę lubę.... ". Czy ją pamiętasz ?. Obecność Twoją i dziecka czuję całym sobą, prawdopodobnie dlatego, że napięcie jest tak duże..... O mnie się nie martw, jakoś przetrwam, wierzę, że się wkrótce zobaczymy. Zresztą wszystkie moje myśli są przy Was..... Buntowałem się z początku z moją niewolą. Teraz mówię: Bądź wola Twoja ! Modlę się do Boga i wierzę, że moje poddanie się woli Bożej doda mi sił i będzie korzystne dla przyszłości naszego rozerwanego ogniska rodzinnego. Myślę, że nasza męka nie pójdzie na marne. Proszę Boga, aby przez tą gorzką i pełną troski naszą rozłąkę dał nam radość ludzką z naszego złączenia. Chcę pracować ciężko, abyś tylko Ty znalazła się w cieniu dobroci Boga, aby dał Ci pokój i otoczył swą łaską, aby Grześ rozwijał się według naszych życzeń i woli Boskiej. Modlę się o silną wiarę, pokój słodki i moc wytrwania. Napisz jak żyjecie, czy Grześ robi postępy, czy jest dla Ciebie dobry. Powinien Ci trochę pomóc. Czy widzisz u niego zainteresowanie Tobą, czy bierze jakiś udział w Twoim życiu ? To bardzo ważne, bo to Was połączy na całe życie. Karty od Ciebie są dla mnie czymś słodkim. Piszcie. Wladek.

Tejże samej niedzieli 26 listopada 1944 pisaliśmy do Ojca swoje kartki:

Kochany Tatusiu ! Dostałem Twoją kartkę, bardzo się nią ucieszyłem. Czytałem ją chyba ze sto razy. Ja też mam majątek, ale mniejszy, bo jedną parę butów meblowych. Wczoraj pojechałem z panią Doktor Lejmbach (Pani Prof.dr.med.Zofia Lejmbach-przyp. G.J.) do Ursusa. Byłem u Piotrusia Czarkowskiego, ucznia Cioci, z którym się bawiłem. Wstaje przed 9-tą rano. Gdy się ubiorę to wychodzę na dwór. Potem dopiero jem śniadanie. Przed obiadem mam lekcje. Po południu robię różne roboty w polu i na podwórku. Dziś wycinaliśmy kapustę i czyściliśmy ją. Wykopaliliśmy sobie okop i bawimy się w wojsko. Wieczorem odrabiamy lekcje razem z Jasiem i Lulusiem. Jest nam wesoło. Grześ..

Kochany Władku ! Teraz piszę o sobie. Wstaję o godzinie 7-ej, trochę później od Jadzi. Przynoszę z kuchni gotowe śniadanie: kartoflanek, chleb mamy swój. Grześ pije mleko lub kawę. Sprzątam pokój. Od 9-11 lekcja z Lulusiem. Za to otrzymuję obiady dla siebie i Grzesia. Od 11-12.30 lekcje z Grzesiem i Zosią, córką furmana. Godzina 13-13.30 otrzymuję obiad z kuchni. W godzinach 14-15.30 lekcje dla czworga dzieci z klasy V, z sąsiedztwa. Zarabiam w sumie 900 zł + obiady. Do końca dnia piorę, ceruję dla siebie i Grześka, zmywam naczynia w kuchni itp. Jadwiga pracuje bardzo dużo. Najwięcej dają się we znaki błota i szarugi jesienne. W Skoroszach trzyma nas większe bezpieczeństwo, jeśli chodzi o mnie i wielka życzliwość pp. L (Lejmbachów), którzy są nieocenieni dla nas. Wyruszam z domu rzadko, ale i w domu czasem czuwamy i znikamy. Nie wyczerpuje mnie tak bardzo praca, jak myślenie nieustanne o tym co się stało i co wciąż się dzieje wokół. Chcemy zrobić sobie fotografie i Tobie wysłać. Grześ już dawniej żałował, że nie mamy Twojej. Czy jednak myśleliśmy, że los tak bardzo nas rozdzieli ?. Tola.

I bardzo osobista, droga memu sercu, kartka do mnie datowana 29 listopada 1944 roku (środa):

Kochany Syneczku ! Cieszę się, że umiesz jeździć na rowerze. Patrząc na małych-chciałem powiedzieć-wysokich chłopców. którzy tu jeżdżą i zawsze przypominam sobie Ciebie. Wiem, że jesteś dla Mamusi dobry, dla Cioci uczynny, dla wszystkich uprzejmy-ot, taki porządny, miły towarzyski chłopiec. Pomagaj Mamusi we wszystkim chociażby w poszanowaniu Jej pracy, w uszanowaniu Jej troski i smutku. Uściskaj Ją czasami, ucałuj serdecznie, tak jak ja całuję Jej ręce z daleka. Zawsze myślałem o Tobie, kiedy zbierałem książki. Miały być dla Ciebie. Dzisiaj niczego ode mnie nie otrzymasz, może tylko to, że niczego w życiu Twój ojciec nie zrobił czego byś się musiał wstydzić. To mało, ale i tak wiele, abyś był moim miłym dzieckiem. Co teraz czytasz syneczku

? Kiedy śniłeś mi się dawalem Ci piękną, nową książkę. Napisz mi co Cię teraz zajmuje ? Czego się uczysz ? Czekam na Twój list. Twój Ojciec.

Z kolejnych kartek wyławiam odpowiedzi na wzajemnie stawiane sobie pytania. Czytając kartka po kartce całą zachowaną korespondencję widać jak w trosce o to, aby była zachowana ciągłość korespondencji przy groźbie ginięcia części listów powtarzamy wieści, które w tym czasie wydają się być najistotniejszymi.

I tak 1 grudnia 1944 pisze Mama:

".....My jesteście zdrowi. Grześ dobrze wygląda i rośnie. Myśli i martwi się o Ciebie. Niepokój nasz o Ciebie jest wielki. Ale cóż mimo tych naszych trosk ogromnych dziecko jest zawsze pierwsze do psot i figłów. Odżywienie ma dobre, jak na obecne warunki. Jest lubiany przez wszystkich i cieszy się względami państwa L, którzy Go traktują jak trzeciego synka. Dziś mówił, że tęskni za swoim mieszkaniem, chciałby wiedzieć kto w nim teraz mieszka. Mówił, że jak widzi w książce widoki z Warszawy to jednej chwili chciałby się w niej znaleźć, ale chciałby ją widzieć taką jak dawniej. Tymczasem ona jest zrównana z ziemią i przeraża widokiem tych, którzy muszą w niej pracować przy okopach. Dom pp.L. był w październiku schroniskiem dla wielu tych, którym się udało ocalić. Serce bolało patrzeć na tą straszną niedolę ludzką, kalectwa. Wciąż snią mi się łapanki, wciąż uciekam, słyszę zadawane tortury. Nawet we śnie nie mam spokoju..... "

Istotnie Niemcy organizowali ekipy niewolnicze do prac fortyfikujących ruiny Warszawy. Pracujący przy okopach rekrutowali się z łapanek lub z tych, którzy "przy okazji " chcieli dostać się do domów swoich lub rodziny, a wcale często dla rabunku do domów opuszczonych. Jak wszędzie i w każdym czasie nie brakowało także kanalii.

Zza Wisły dochodził pomruk artylerii, nie była to jednak regularna kanonada. Front przyczaił się, ale wszyscy mieliśmy świadomość, że każdego tygodnia może ruszyć w naszym kierunku. Mama i Ciocia w przewidywaniu konieczności ewakuacji uszyły plecako-worki, do których mógł się zmieścić nasz cały nader skromny majątek. Szykowano suchary na czas ewentualnej podróży. Ludzie wracający z prac fortyfikacyjnych w Warszawie opowiadali rzeczy, w które trudno było uwierzyć mimo wieloletnich doświadczeń okupacyjnych. Całe dzielnice były poddawane planowemu unicestwianiu.. Palono dom po domu, a następnie wysadzano w powietrze. Przed zniszczeniem ekipy niewolników i własowcy opróżniali mieszkania z mienia byłych lokatorów. Los Getta był teraz udziałem całego miasta. Jednak życie poza miastem toczyło się swoim okupacyjnym trybem.

4 grudnia 1944 pisałem do Ojca:

"....Kochany Tatusiu ! W niedzielę rano poszliśmy do kościoła. Po kościele uczniowie Cioci Jadzi mieli zrobić fotografię, którą mieliśmy Ci wysłać, ale pogoda była zła. Gdy tylko będzie pogoda to oni już nam zrobią zdjęcie. Gdy wróciliśmy do domu to spotkała nas niespodzianka. Pan Lejmbach kupił aż 10 świnek. W kojcu się gryzą, bo nie są wszystkie od jednej macioriki. Jedna jest nawet biała w czarne łatki. Tamte co były, jak tu Tatusiu przyjeżdżałeś, to są już zabite i zjedzone. Po południu przyszła tu jedna dziewczynka z psem i biegaliśmy do zmroku. Wieczorem grałem z chłopcami w szachy. Nadchodzą już święta, a nasza rodzina rozproszona po świecie. Ani się zobaczyć, ani podzielić opłatkiem przy stole wigilijnym. Smutne będą te święta bardzo. W paczce świątecznej wysłałem Ci życzenia w pocztówce, którą sam zrobiłem i opłatek. Robimy z Lulkiem zabawki na choinkę. Jutro już mamy jechać do lasu po nią. Cóż z tego, jak się nie ma z czego cieszyć. Ciebie nie ma z nami, więc nie ma radości. Tatuśku życzę Ci zdrowia i żebyśmy się prędko zobaczyli. Całuję i ściskam Cię mocno. Twój synek. Grześ"

Skorosze 10.XII.1944. Kochany Władeczkule ! Nie martw się o nas. Radzimy sobie zupełnie dobrze. Grześ ma życie dobre, może tylko odczuwa brak mięsa. Wygląda dość dobrze i zmężniał. Ty wiesz jak mu zawsze wieś służy. Pomimo tego, że nie ma tylu ciepłych rzeczy jak w Warszawie zahartował się i nie zaziębia się tak jak dawniej. Uczy się ze mną codziennie i przerabia kurs IV klasy. Nie może przeboleć tego, że Warszawa już nie istnieje. Wspomina spacer z Tobą po ulicach stolicy. Wspomina piękne pomniki, ale najdroższa mu była kolumna Zygmunta. Pamięta on jak stał przed wystawą sklepu przy ulicy Wileńskiej i prosił aby mu kupić maleńką kolumnę z brązu. I teraz nieustannie to wspomina. Wysłałem Ci do Ciebie kolejną paczkę.....Tola"

Istotnie zbliżały się Święta Bożego Narodzenia A.D. 1944. Wszyscy przygotowywali się do tych dni w napięciu i skupieniu oczekując CZEGOŚ. TO COŚ drzemało za Wisłą i budziło w równym stopniu nadzieję jak i niepokój. To odczucie miało swój wyraz we wszystkich rozmowach dorosłych. My, dzieciaki byliśmy ciekawi, jak też wyglądają ci Rusczy. Tyle już armii widzieliśmy, tyle rozmaitej broni.

Tymczasem trwała nasza-moja korespondencja z Ojcem:

Skorosze 12 grudnia 1944 r. Kochany Tatusiu ! Dziękuję Ci za listy, które otrzymałem. Są bardzo miłe, tak jakby pisał je wielki poeta. Bardzo się zmartwiłem kiedy się dowiedziałem, że jesteś chory. Ostatnio czytam książkę: "Młody wygnaniec", " Zwycięzca oceanu", " Zaczarowany Gucio" i " Przychody małej kawki". Teraz dołuję kapustę i marchew. Bardzo mnie to interesuje. Nawet dość często pomagam Mamusi w sprzątaniu lub spełniam drobne usługi. Mam tu posadę woźnego. Dzisiaj to nawet pilnowałem dzieci, bo nie było Mamusi. To było tak. Mamusia pojechała do Pruszkowa aby wysłać Tobie paczkę, a ja zostałem sam. Gdy przyszły dzieci zrobiły wszystko co miały zrobić i poszły do domu. Mamusia nie wróciła, aż dopiero wieczorem. Jutro mamy jechać do Pruszkowa, aby się sfotografować. Bo albo pogoda nie sprzyja, albo aparat jest niedobry. Ale na pewno fotografie Ci wyślemy. Często myślę o tym jak dobrze by było żebyś przyszedł do mnie zamiast Świętego Mikołaja. Bardzo często myślę o Tobie. Całuję Cię mocno. Grześ.

I od Ojca:

Oschersleben Bode 14.XII.1944 r. Kochany Syneczku ! Wzruszyła mnie Twoja kartka pełna serdecznego ciepła i smutku. Głowa do góry-jesteś z Mamusią i Ciocią, a ja chociaż daleko ciałem, ciągle noszę Cię w swym sercu. Zdrzemnął się Tatus przy wielkim piecu cukrowni i przyśniłeś mnie się w kolorowym śnie. Chodziliśmy razem po Warszawie pięknej i słonecznej. Trzeba dzielnie czekać na Ojca. Proszę Cię, abyś małemu Panu Jezusowi kołędował radośnie i z wdzięcznością, że wszyscy żyjemy. Proś małego Jezuska aby nas znów wszystkich połączył. Prawda, te święta będą inne niż poprzednie, ale i ich wartość jest inna-głębsza i większa. Tak to trzeba pojmować. Całuję Cię mocno, bardzo mocno, z całej siły. Bądź zdrow Syneczku, żyj w pokoju. Niech Pan Jezus czuwa nad Twoim spokojnym snem, niech da zdrowie Mamusi i Cioci. Ściskam Ci mocno rękę. Trzymaj się dzielnie. Jakież szczęśliwy będzie moment kiedy Cię znów zobaczę. To będzie najpiękniejszy dzień mojego życia. Nie wiem gdzie będę w Wigilię: w pociągu czy w obozie. Wiem, że o godzinie 20-tej będę patrzył w Waszą stronę na pierwszą gwiazdkę. Twój Ojciec.

I nadeszły te szczególne Święta Bożego Narodzenia 1944 roku. Cały dzień oczekiwałem wieczoru wigilijnego. Jak wszystkie dzieci czekałem na prezenty, zaś jako Grześ Janczewski, uczeń IV klasy, czekałem na pierwszą Gwiazdkę Wigilijną, aby spotkać się na niej wzrokiem z moim Ojcem rzuconym tak daleko od nas. Pośród dość chmurnego nieba wypatrzyliśmy z Mamą światło gwiazdeczki i odmówiliśmy modlitwę proszącą Najwyższego o rychłe spotkanie ze wszystkimi najbliższymi i o szybki koniec wojny. W domu zaci Państwo Lejmbachowie zaprosili nas na wieczerzę wigilijną. Wieczerza składała się z trzech dań: barszczu z kartoflami, pierogów z kapustą i " łamańca " z makiem. Na deser była herbata z ciastem. Po skończonej wieczerzy wszystkie dzieci zostały wyproszone do kuchni. Czekaliśmy tam pełni napięcia i oczekiwania na prezenty. Pani doktor Zofia Lejmbach zaprosiła nas pod choinkę, pod którą leżały podarki. Ja dostałem laubzegę (piłkę do cięcia dykty), kredki, farby wodne do malowania, książkę Władysława Orkana: " Z krainy Gorców " i paczkę słodczy, z której część dołączyłem do przesyłki dla Ojca. Tego wieczoru długo nie mogłem usnąć. Długo w noc słyszałem cichy płacz Mamy. Po Świętach otrzymaliśmy kolejne kartki od Ojca. Zostały 22 grudnia wysłane z obozu przejściowego w Erfurcie.

Erfurt 26.XII.1944. Tu zima w całej pełni. Okoliczne góry Turynгии pokryte grubą warstwą śniegu. Pogoda piękna. W Wigilię myślałem o Was. Wydawało się, że jesteście w zasięgu ręki. Czulem Waszą obecność. Wiedziałem, że myślicie o mnie i że nigdy przed tym nie obdarzaliśmy się tylu serdecznymi uczuciami co w tej chwili. Zorganizowaliśmy opłatek zwyczajny, jak to w obozie: chleb kartkowy, drobno pokrojony. 3 czy 4 ogarki świec mdłym światłem rozjaśniały trzypiętrowe prycze. Dzieliliśmy się tym "opłatkem" w milczącej ciszy. Ten półmrok, ta cisza mistyczna i pusta miska na obozowym stole, te twarze skupione, tak jak nigdy przed tym nie widziałem, pozostaną w mym życiu na zawsze. Często przypomina mi się Ojciec Ludwik i myślę sobie ileż Mu Pan Bóg

zaoszczędził ciężkich zmartwień. Pamiętam ile Ojciec miał głębokich myśli, które wyjawiał właśnie w ciszy, po pracy, nie obnosząc się z nimi. Miał swój wewnętrzny świat przeżyć, których nie chciał uzewnętrzniać powszechnie. Kiedy jednak coś mówił miało to daleki, do dziś trwający odgłos. Kochał nas wszystkich taką swoją cichą, ale gorącą miłością. Chciałbym i ja mieć tyle pięknego uczucia dla swego dziecka i dla swej Żony. Kiedy będziecie się 22 stycznia modlić za Ojca, w rocznicę Jego śmierci, moje myśli i modlitwa będzie razem z Wami. Ciągle Go pamiętam, takiego wysokiego, trochę pochylonego, z tą piękną twarzą, spokojną, skupioną, nie zmienioną żadnymi prostymi wzruszeniami. Wladek

Erfurt 27.XII.1944 roku.(środa). Kochany Grzesiu ! Już po Świątach. Mróz, szron wysrebrzył druty otaczające obóz. Górą jadą pociągi, gdzieś w Twoją stronę. Stoimy tu grupkami i rozmawiamy o Was. Sprzeczymy się kiedy ten pociąg do Was dojedzie. Kilku zuchów twierdzi, że trzeba się tylko wychylić poza druty i chwycić rączki wagonu. To tak niedaleko. Tak marzą dorośli o czepianiu się pociągów. Kiedy przemarzniemy uciekamy do wnętrza baraku. Jedni leżą ze mną pryczy, inni grają w karty, jeszcze inni opowiadają o swoich matkach. Jakiś chłop dyktuje list i wciąż powtarza pytanie: co z krową ?. Powoli schodzi dzień za dniem. Wszyscy jednak myślimy o Was i o tym, aby jak najszybciej połączyć się z Wami. Całuję Ciebie, Mamę i Ciocię Jadzię. Ojciec.

W Święto Trzech Króli 6 stycznia 1945 roku poszliśmy z Mamą i Ciocią do Kościoła we Włochach. Jakaś pani pięknie śpiewała na chórze:

.... Ociemniałym podaj rękę
niewytrwałym skracaj mękę.... "

Tyle tej męki i nieszczęścia ludzkiego kłębiło się wokół nas. Ludzie płakali głośno jak dzieci prosząc Boga o koniec wojny, o ocalenie bliskich i własne. W stałym repertuarze była w tym czasie pieśń – modlitwa błagalna:

„ Ze łzami w oczach, z sercem gorejącym
do Ciebie Maryjo wznosim nasz głos
Okaż swą litość nad ludem cierpiącym
Odmień, Maryjo, smutny nasz los „

Tymczasem wokół nas działo się także coś, na co świadomie i podświadomie oczekiwaliśmy od chwili upadku powstania. Front, który zamarł za Wisłą w pierwszych dniach powstania teraz dawał o sobie znać coraz donośniejszymi odgłosami wybuchów ciężkiej artylerii. Niemcy zaczęli wyraźnie przygotowywać się do drogi. Kompania artylerzystów Wehrmachtu stacjonująca w Skoroszach znikła, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli, bezszmerowo, wraz z naszym rudym Niemcem. Z nim zniknął także równie rudy lisek, którego oczywiście bardziej żalowaliśmy niż jego pana. Patrole żandarmerii stały się rzadkością i raczej czuwały nad ogólną sytuacją niż wylapywali warszawiaków. Było oczywiste, że może nastąpić przesilenie. W tych dniach wysiłki Mamy i Cioci jeszcze bardziej zdążyły ku zdobyciu dalszych części ciepłej garderoby, które można by wysłać Ojcu do obozu. Czy uda się wysłać paczkę ? Czy ma ona szanse jeszcze dotrzeć ?. We Włochach odbywały się wielkie targi, na których można było kupić nieomal wszystko dla domu i do ubrania się. Część sprzedawanego towaru to mizerne resztki dobytku wyniesionego przez wypędzonych z Warszawy, dzisiaj wymieniane na żywność ułatwiającą przetrwanie. Większą chyba częścią towarów to były jednak "łupy" wynoszone z opuszczonej Warszawy przez ludzi, którzy w bardzo rozmaity sposób do miasta przenikali. Jedni z nich rabowali pozostałe domy i mieszkania przy okazji organizowanych przez okupanta w mieście robót fortyfikacyjnych, inni przekupywali Niemców i jechali tam z różnymi "lewymi " przepustkami próbując odzyskać swoje i nie swoje dobro. Każde legalne, a tym bardziej nielegalne przebywanie w wysiedlonej i niszczonej Warszawie groziło jednak śmiercią z powodu zastrzelenia lub wylecenia na minie, ponieważ ruiny były systematycznie i gęsto minowane. Skala nędzy, głodu, upodlenia ludzkiego była wprost niewyobrażalna. Zdawaliśmy sobie tym lepiej sprawę, że w tym wielkim ogólnonarodowym nieszczęściu los obdarzył nas wielką wygraną, jaką była Rodzina Lejmbachów, która udzieliła nam pomocy Dobrego Samarytanina. Po wielu latach, już jako dorosły człowiek, oceniając ich zasługi w ratowaniu setek ofiar warszawskiego kataklizmu jestem przekonany, że w każdym cywilizowanym kraju byliby po odzyskaniu niepodległości odznaczeni najwyższymi orderami państwowymi.

Skorosze 7 stycznia 1945. Kochany Tatusiu ! W Święto Trzech Króli poszedłem z Mamą i Ciocią Jadzią do kościoła we Włochach. Oglądałem tam dużą i ładną szopkę. Ja mam stare buty, które Ciocia dostała i drewniaki od Pana Lejmbacha. W tych właśnie drewniakach szedłem do Włoch. Trochę było mi ciężko, ale gdy przypomniałem sobie Tatusia to przyspieszałem kroku. Gdy skończyła się msza poszliśmy na targ. Kupiliśmy dla Ciebie czarny ciepły sweter. Kiedy przyślesz swój nowy adres zaraz wyślemy go w paczce. U nas w tym roku zima jest łagodna i sucha. Mrozy dochodzą do 10 stopni, za mało tylko śniegu. Zimno nie daje się we znaki. Często chodzę na ślizgawkę, ale nie mam łyżew to ślizgam się na butach lub na sankach. Z utęsknieniem czekam na Twoje listy i nowy adres. Proszę pisz co możesz o sobie. Całuję Cię serdecznie. Twój Grześ.

Pan Jerzy Lejmbach, który-jak wszystko wskazuje-siedział po uszy w robocie konspiracyjnej około 10-12 stycznia zaczął wyraźnie przygotowywać dom do ewakuacji.. Należało się liczyć z tym, że cofająca się armia niemiecka będzie niszczyła za sobą wszystko, nie szczędząc ludzi. Doświadczenia Warszawy nakazywały być pesymistami. Dokonywaliśmy wszyscy przeglądu naszego skromnego dobytku kwalifikując najważniejsze dla przetrwania rzeczy do zabrania w przygotowanych już plecako-workach. Suszono także nadal suchary, które miały zaspokoić najgorszy głód w czasie spodziewanej wędrówki w nieznane. Tymczasem temperatura spadała i zima stawała się sroższa. Narastające napięcie, które ogarnęło nas wszystkich pogłębiło się, kiedy to około 13 stycznia wieczorem " stary " Zbytkowski, nasz furman odwiózł 15-letniego syna do najbliższego szpitala w Milanówku, gdzie w trybie pilnym wykonano operację usunięcia zgorzelinowego wyrostka robaczkowego. Chłopak miał dolegliwości narastające od kilku dni, ale w całej sytuacji było to lekceważone, przynajmniej początkowo. Powstał problem, co z nim zrobić kiedy Niemcy nas wyrzucą. Na szczęście sprawa obyła się bez żadnych komplikacji i już po wejściu Rosjan chłopak wrócił do domu zdrowy. Mniej więcej w tychże dniach znikli Niemcy. Nie było widać ich masowej ewakuacji, ale na trasach kolejki EKD i na dworcach PKP widziało się jedynie pojedynczych Niemców, którzy nie wykazywali znanej nam wrogiej aktywności okupanta. 15 stycznia wieczorną ciszą wstrząsnęły dwa potworne wybuchy. W ciągu godziny miejscowi ludzie ustalili, że Niemcy wysadzili w powietrze zasadniczą dla podjęcia produkcji część Zakładów Mechanicznych URSUS oraz pobliską elektrownię w Pruszkowie. Wieczorem wszyscy, tak dorośli jak i dzieci, kładliśmy się spać w ubraniach gotowi do ruszenia w każdym momencie zagrożenia. Spało się źle i bardzo niespokojnie. Od strony Warszawy horyzont płonął. Gejzery ognia strzelały niezwykle wysoko. Dorośli doszli do wniosku, że palą się składy paliw płynnych na lotnisku Okęcie. Paliły się także jakieś inne jeszcze magazyny, a było tego dużo. Pożary wyglądały znacznie groźniej niż te widywane w czasie powstania, bowiem było zlokalizowane znacznie, znacznie bliżej nas. Podobne ostrożności w sensie gotowości do nagłej i szybkiej eksmisji zachowywaliśmy przez następne dni. Wieś Skorosze, szczęśliwie dla nas położona na uboczu dróg wojennych, była niemym świadkiem tego co działo się wokół. 16 stycznia zaległa zdumiewająca i ogromnie niepokojąca cisza. Ludzie nie wychodzili z domów, nas dorośli trzymali nieomal pod kluczem. Nazajutrz, około godziny 11 -tej z Jankiem i Lulkiem wyszedłem odwiedzić mały kopczyk, który krył szczątki naszej suki zastrzelonej przez Niemców kilka tygodni temu. Był to pretekst do tego, aby po prostu urwać się z domu na świat, w którym tyle się działo, lub dziać się mogło w każdej chwili. I nagle od strony linii kolejki EKD dobiegł nas narastający warkot silników. W ślad za tym zza zabudowań Opacza wyjechały gęsiego koszmarnie wielkie, szaro-zielone czołgi. Uciekliśmy do domu wrzaskiem powiadamiając dorosłych o tym co się dzieje. Byliśmy przekonani, że to Niemcy wycofują się z Warszawy. Po kilkunastu minutach warkot motorów narastał, aż stało się jasne, że są tuż koło domu. Pan Jerzy Lejmbach wyszedł przed dom. Z czołgu poprzez odkryty właz wylaził z rewolwerem typu Nagan w dłoni młody chłopak, ubrany w brudny, zamazany smarami waciak. Na głowie miał dziwny hełm uszyty z czarnego materiału ze zwieszającymi się drutami przewodów. Spytał po rosyjsku czy są w domu Niemcy, a następnie jaki jest kierunek na Berlin. To drugie zwłaszcza pytanie zdumiało nas ogromnie, ponieważ było ono zadane tonem, który mógł wskazywać, że miasto to może być zdaniem pytającego położone bliżej niż Pruszków. Pokazano mu kierunek na zachód i czołg natychmiast ruszył. Przerażenie i zdumienie wywołał fakt, że omijając normalną drogę kolumna czołgów pojechała " na skrót " niszcząc cudowny żywoplot z

głogu, który wyznaczał granice posesji Mecenasa. Była to wstępna cena wyzwolenia od Niemców i pokaz życiowej filozofii "naplewat na wsio".

Wyszliśmy z chłopcami poza gospodarstwo. To co zobaczyliśmy zdumiało nas. Całą szerokością pól dzielących nas od linii kolejki EKD, od strony Opacza, szły tyralierą masy ludzi w szarych, ziemistych szynelach. Mijali nas znużeni, brudni, zmarznięci, niosący na plecach worki przywiązane pasami z materiału. Znakomita większość była uzbrojona w karabiny wiszące na jakiś postronkach, zaopatrzone w niewidziane przez nas do tej pory bagnety, które nie miały ostrza, zaś wyglądały jak szpikulce. Niewielu z tej pierwszej linii miało pistolety maszynowe. Pepesze znałem z partyzantki na Podlasiu, a więc już jako "ekspert" pokazywałem je chłopcom znającym tylko schmejsery, zdumionym charakterystycznymi bębniami na amunicję. Oficerowie byli równie szarzy, brudni i zmęczeni jak prości żołnierze, ale na ogół każdy z nich miał pistolet maszynowy. Przeszli obok gospodarstwa nie zatrzymując się. I tak szły fala za falą tyraliery niepodobne do żadnej z armii, którą widziałem w swym życiu dziecka wojny.

Po południu do wnętrza domu wpadła grupa, która w oczywisty sposób liczyła na łupy. Żądali widzenia się z gospodarzem. Pytali się czy dom jest jego własnością. Stwierdzili, że jest burżujem i żądali złota i wódki. Ponieważ była w domu wytwórnia bimbru na własne potrzeby i na okazje czasu wojny, dostali gąsiorek i tym się zadowolili, ale byli agresywni i wrodzy. Kiedy zaczęło się zmierzchać pojawiła się następna grupa czołgów. Jeden z nich zajechał na podwórko gospodarstwa. Załoga zakwaterowała się w dużym pokoju. Pan Lejmbach poczęstował ich wódką, co zapewne pomogło stworzyć niezły nastrój. Wyciągnęli konserwy z wieprzowiną i czarny, gliniasty chleb. Dostali herbatę i gary gorącej wody, o którą prosili. Grali na harmonijce ustnej i cudownie śpiewali na wiele głosów smutne pieśni. Nas, ciekawe dzieciaki, przygarniali ze słowiańską czułością. Każdy znajdował w którymś z nas dziecko podobne do swoich pozostawionych na bezkresnych obszarach Sowieckowo Sajuzu. Częstowali nas chlebem okraszonym "swinną tuszonką", wykrojoną z puszek z amerykańskimi napisami. Podchmieleni, w ogromnym rozczuleniu chcieli dać postrzelać, aby uczyć "kak ubit germanskowo gada". Myśmy nie mieli nic na przeciwko, wręcz byliśmy pełni entuzjazmu dla tych edukacji, jednak odmienne zdanie mieli dorośli. Od Rosjan dowiedzieliśmy się, że nieopodal idą polscy żołnierze, którzy walczą jako "sojuznicy" i są chwaleni jako odważni "bojcy". Jeden z czołgistów chwalił się polskim pochodzeniem, ale nie mówił po polsku. Twierdził, że dziadek był zesańcem za carskich czasów. Po raz pierwszy usłyszeliśmy, że ich dowódca "Marszał Sowieckowo Sojuza Kanstantin Rakassowskij, toże Paljak".

I wreszcie późnym wieczorem tegoż pełnego emocji dnia wmaszerował batalion piechoty. Po tym co widzieliśmy do tej pory u Ruskich było to zjawisko nieoczekiwane. Chłop w chłop, jak dęby. Każdy ubrany w elegancki jak na frontowe warunki kożuszek do kolan, każdy z pepeszą na rzemiennym pasie. Wprost rewelacja. Oczy się nam śmiały do tych wspaniałych żołnierzy. Do pana Lejmbacha wszedł młody kapitan i elegancko salutując się przedstawił: "*Kapitan Aleksiej Pietrowicz Kuźmin iż gwardyjskawo sybirskawo bataljona*". Gospodarz proponował zakwaterowanie oddziału w stodole i szopie na co się nie zgodzono. W tym dniu trudno nas było zapędzić do domu, a więc obserwowaliśmy ich przygotowania do snu. Myli się na dużym mrozie obnażeni do pasa zimną wodą czerpaną ze studni. Rozpalili ogniska i zjedli także kolację złożoną z chleba, amerykańskiej konserwy i czaju. Następnie udeptano śnieg zalegający wzdłuż żywopłotu z głogu. Rozścielili brezentowe płaszcz-pałatki i ułożyli się jeden obok drugiego, ściśle jak szproty w puszcze z konserwami. Trzech wartowników, zmieniających się co czas pewien, pilnowało śpiących. Zmęczeni zasnęli nieomal natychmiast o czym świadczyło donośne chrapanie. Z takim żołnierzem istotnie szkopy nie mieli szans wygrać. To była szansa także dla mojego Ojca, na nią liczyłem. Kiedy rano obudziłem się uświadomiłem sobie, że nie ma już i po raz pierwszy od ponad pięciu lat mojego dziesięcioletniego życia nie będzie znenawidzonych Niemców.

Był wczesny ranek 18 stycznia 1945 roku. Z żalem stwierdziliśmy, że batalion syberyjski odszedł na zachód, "na Berlin". Z całego serca życzyliśmy im i sobie, aby doszli tam jak najszybciej i najskuteczniej.

Dwa dni po wejściu Rosjan listonosz przyniósł nam trzy kartki od Ojca, które zalegały na poczcie w dniach przejścia frontu. Byliśmy wzruszeni zdając sobie sprawę, że w najlepszym wypadku stoimy w obliczu przerwy w korespondencji, która będzie nasilała naszą niepewność co do możliwości naszego powtórnego spotkania się.

Erfurt 29.XII.1994 (piątek). Kochana Tolu, Jadziu i Grzesiu ! Tak skończył się dla nas rok 1944. Rozpoczął się wielkim smutkiem rodzinnym-śmiercią Dziadka Ludwika, a rozciągnął ten smutek na miliony ludzi. Jednak ciężkie doświadczenia i męka tego minionego roku dały nam siłę i hart do przetrwania Nowego Roku 1945, który też może i pewnie przyniesie nam wiele dalszych ciężkich doświadczeń. Cierpi wielu ludzi wśród wszystkich narodów. Wszyscy wierzą, że z tego poświęcenia powstanie lepsza i szczęśliwsza dola dla całej Nowej Europy. Oby dobry Pan Bóg dał wszystkim ludziom spokój, szczęście,możność życia pod własnym dachem. Całym sercem i wszystkimi myślami jestem, przy Was. Wchodzę w ten Nowy Rok 1945 pełen głębokich uczuć dla Was i gorącej wiary, że przeżyjecie go szczęśliwie, że w roku 1945 uściskam Was i powitam.Władek.

Erfurt 3 stycznia 1945 (środa) Kochana Tolusiu ! Tak więc jesteście już w roku 1945. Niedługo będziemy świętować 10-lecie naszego syna. Ja ciągle siedzę za drutami i mam aż zbyt wiele czasu na przemyślenia.

*Rozłączeni-lecz jedno o drugim pamięta.
Pomiędzy nami lata biały gołąb smutku
i nosi ciągle wieści. Wiem, kiedy w ogródku,
wiem kiedy płaczesz w cichej komnacie zamknięta,
wiem o jakiej godzinie wraca bólu fala,
wiem jaka Ci rozmowa ludzi łzę wyciska.
Tyś mi widna jak gwiazda, co się tam zapala
i łzę różową leje i skrzę siną błyska.
A choć mi teraz ciebie oczyma nie dostać,
znając Twój dom-drzewa ogrodu i kwiaty,
wiem, gdzie malować myślą Twoje oczy i postać
pomiędzy jakimi drzewy szukać białej szaty.....*

Juliusz Słowacki-Rozłączenie.

Często tak bywa, że wielka poezja zamienia się w rzeczywistość. I nie wiedziałem, że ten wiersz czytał na mnie gdzieś w malej, podartej książeczce. Ogarnia mnie ciche, głębokie wzruszenie. Umieję go na pamięć. Cudowny język Słowackiego wywiera przedziwny czar. Jest jak cudowny promień słońca wśród mojej-naszej niedoli. Pamiętaj o naszym synku, aby mu podawać piękne i dobre książki. Tak marzyłem, że oboje będziemy kierować jego wychowaniem, nauką, lekturami. Teraz ten obowiązek spadł na Ciebie-wiem, że wypełnisz go dzielnie. Twój Władek.

W całej sytuacji ostatnie kartki Ojca oplakane łzami serdecznymi były dla nas swego rodzaju testamentem. Byłem nieomal 10 letnim, przedwcześnie dojrzałym psychicznie młodzieńcem, któremu przekazano misję przetrwania i bycia podporą Mamy. Jakże ja to dobrze rozumiałem.

Poza tym, że z dnia na dzień Niemców szlak trafił w zasadzie w naszej sytuacji nic się nie zmieniło. Co gorsza, z dnia na dzień pieniądze Generalnej Guberni na mocy decyzji nowych władz straciły wartość. W oznaczonych punktach wymieniano jedynie 500 złotych okupacyjnych, czyli tak zwanego "górala" na nowe banknoty wydrukowane na marnym papierze, o rysunku niezwykle skomplikowanym, znacznie odbiegającym od wszystkich papierowych pieniędzy, które były w dotychczasowym obiegu. Były tak bizantyjskie w formie iż mówiono, że drukowano je w Rosji co było zresztą bardzo prawdopodobne. Ze względu na brak pieniędzy okupacyjnych nie miało to dla nas większego znaczenia jak to, że ich nie było wystarczająco dużo, zaś ceny były horrendalne. Przy wymianie pieniędzy wycinano kawałek okupacyjnego dowodu osobistego tak zwanego Ausweisu, aby tej operacji nie można było powtarzać. Najbliższy punkt wymiany pieniędzy znajdował się we Włochach. Brneliśmy poprzez zasypy śniegowe mijając po drodze dość makabryczne obrazy trupów żołnierzy niemieckich wprasowanych w śnieg „ na naleśnika „

gąsienicami radzieckich czołgów. Mimo całej nienawiści do Niemców nie byliśmy w stanie uwierzyć opowiadaniom ludzi, którzy twierdzili że bojcy ustawili grupę jeńców z Wehrmachtu, a może SS- manów i sprasowali ich ciała czołgami. Widok tych zmasakrowanych ciał ludzkich przerażał. Ważniejszą i pilniejszą sprawą był powrót do domu na Pradze. Powstała jednak wątpliwość czy mamy do czego wracać, czy nasz dom stoi i czy nasza Rodzina pozostała na prawym brzegu Wisły nadal żyje. Chodziło przede wszystkim o Dziadków Janczewskich i rodzeństwo Ojca. Wokół mówiono o niemożności dostania się do Warszawy, o rabunkach i gwałtach czerwonoarmiejców, a także o zaminowaniu tego co z miasta pozostało. Podobno jakieś grupy niemieckie jeszcze walczyły w ruinach miasta. Jednak w sześć dni po wejściu Rosjan Ciocia Jadzia i Mama podjęły desperacką decyzję podjęcia próby przedostania się na prawy brzeg Wisły. Lejmbachowie byli tym pomysłem bardzo poruszeni i mu niechętni. Uważali, że sensownym jest poczekać jeszcze czas jakiś. Uważali, i słusznie, że w sytuacji kiedy o losach Ojca nic nie wiemy i długo wiedzieć nie będziemy, mam szansę zostać sierotą. I tak 23 stycznia 1944 wczesnym rankiem, jeszcze było ciemno, kiedy Ciocia i Mama wyruszyły w drogę. Oczekiwanie na ich powrót dłużyło się nam wszystkim, którzy zostaliśmy w Skoroszach. Wróciły gdzieś po 21- ej skrajnie zmęczone. Zarówno dom nasz, jak i Cioci Jadzi przy ulicy Inżynierskiej stały nienaruszone. Oba mieszkania były zajęte przez obcych ludzi, którzy żyli w nich od czasu ustalenia się frontu na Wiśle. Mieszkania były zdewastowane, a większość rzeczy osobistych zaginęła. Ojca widziano w pierwszych dniach powstania. Potem zniknął. Przed tym mówił sąsiadom, że będzie próbował dostać się do Rodziców na Bródno, a może wyjdzie na przeciw Rosjanom. Z sąsiadów brakowało w zasadzie całej młodej generacji, która poszła do powstania. Znikła też ogromna część mężczyzn w każdym wieku, którzy na przełomie sierpnia i września byli z wielką dokładnością wyłapywani i wywożeni przez Niemców. Była to wielka, doskonale zorganizowana przez okupanta akcja oczyszczenia zaplecza frontu. Także ślad po nich zaginął, ale pozostawała nadzieja, że się odnajdą.

Droga powrotna do Skoroszy okazała się wyzwaniem. Najtrudniejszym prawdziwym koszmarem dla dwóch samotnych kobiet okazała się przeprawa przez Wisłę, dobrze chroniona przez posterunki Armii Czerwonej. Pokonały ją w zamkniętym wojskowym samochodzie radzieckim za cenę pierścionka, jedynej pamiątki, która została Cioci Jadzi po Matce, Babci Ludwice. Wielka radość z powrotu Mamy i Cioci łączyła się dla mnie z ogromnym żalem. Buty, moje wspaniałe, nowe buty zimowe, zamówione przez Ojca na wiosnę 1944 r. i wykonane specjalnie dla mnie okazały się za małe. Byłem nadal skazany na buty meblowe, a przede mną rysowała się perspektywa pieszej wędrówki do domu. Co najmniej 20 kilometrów, a może więcej marszu.

W dniu 17 lutego 1945 roku żegnaliśmy się serdecznie z Państwem Lejmbachami, którzy byli dla nas więcej niż najbliższą Rodziną w tych przełomowych miesiącach. Byliśmy także przez Nich serdecznie żegnani. Ruszaliśmy w kilkunastoosobowej grupce Warszawiaków, którzy wracali do własnych domów. Wynajęliśmy, wraz z innymi rodzinami powracającymi do domu furkę, która podwiozła nas do granic miasta. Wchodziliśmy na piechotę do Warszawy od strony Dworca Zachodniego. Grójecka dość rzadko zabudowana była częściowo zachowana. Wiele domów nosiło ślady wszczętych podpałek, ale mury stały na ogół w dość dobrym stanie. Od Placu Zawiszy weszliśmy w Aleje Jerozolimskie. Płonęły domy na stronie południowej. Patrole wojskowe uprzedzały, aby chodzić wyłącznie po śladach wydeptanych w śniegu, unikać wchodzenia do domów, na których nie ma napisu " *Min nie ma!*". Do miasta wracali nędzarze. Żaden film nie jest w stanie oddać wyglądu tych ludzi ubranych w łachy, kombinacje najbardziej nieprawdopodobne szmat, strzępów odzieży, części mundurów, owiniętych kawałkami koców, kołder, chust. Na Żelaznej, gdzie zboczyliśmy odprowadzając naszych współtowarzyszy podróży, przed bramą jednego z ocalałych domów leżały świeże zwłoki kobiety i jej dwojga dzieci. Wylecieli na minie. Cisnęło się mimo woli pytanie, jaki jest – był, los ich męża i ojca ?. Była to zarazem lekcja pogładowa skali niebezpieczeństw, które na nas czyhały mimo, że wojna oddaliła się nieco. W Alejach Jerozolimskich, niedaleko Żelaznej stał podziurawiony kulami tramwaj, obok szyn, bez jednej szyby. Wrak. Obok dwóch mężczyzn i kobieta kręcili się czyniąc coś, co wyglądało na próbę

jego naprawy. Zapytani przez Ciocię jaki jest cel ich działań odpowiedzieli, że za dwa, najdalej trzy dni w tramwaju zrobią małą restaurację z bimbrem, herbatą, zupą i.... Bóg jeden wie z czym jeszcze. Żołnierze, którzy przystanęli obok mówili, że nasi są już w Krakowie, ale niewielu wierzyło, że to tak szybko może iść ofensywa skoro tyle czasu nie można było walczącej i mordowanej Warszawie przyjść z pomocą. Wróciliśmy na trasę ku Pradze, tym pilniej trzymając się środka Alej Jerozolimskich. I dalej płonęły domy, zwłaszcza na rogach z ulicą Lindley 'a i wejściem na Plac Starynkiewicza. Płyty chodnikowe były usunięte na dużych przestrzeniach, a w miejsce chodnika szeregiem stały groby. Setki grobów. W miejscu wykończonego tuż przed wybuchem wojny Dworca Głównego sterczały w górę resztki jego żelbetonowej konstrukcji. Spojrzenie w lewo i prawo na skrzyżowaniu Alej Jerozolimskich i Marszałkowskiej przerażało widmami mniej lub więcej zniszczonych domów mieszkalnych. Przed gmachem Banku Gospodarki Krajowej (BGK), na skrzyżowaniu z Nowym Światem, otwierały się dwie ogromne dziury w jezdni odsłaniające wnętrze tunelu kolei średnicowej. Jedna z tych rozpadlin zlokalizowana była przed BGK, druga przed Muzeum Narodowym, także noszącym ślady ognia. Po lewej stronie otwierał się wąwóz ruin, pozostałości po Nowym Świecie. Gruzy sięgały tu pierwszego piętra, zaś domy z obu stron nie istniały. Był to wielki kanion gruzów ginających z oczu aż do momentu gdzie wrok nasz siegał. Wiadukt prowadzący na most Poniatowskiego był częściowo wysadzony i koło ulicy Solec zeszedliśmy schodami na Powiśle. Na ocalałej części wiaduktu leżały liczne zamarznęte zwłoki, najczęściej korpusy ciał ludzkich bez kończyn.

Na dole, na Powiślu, masa ludzka zagęszczała się. Szliśmy już pośród setek ludzi idących długim wężem. Przesła mostu leżały w nurtach zamarznętej całkowicie Wisły. Na grubym lodzie żołnierze ułożyli deski powiązane linami. Cywilów puszczano grupami, w przerwach między pojazdami wojskowymi i maszerującymi oddziałami żołnierzy. Kiedy znaleźliśmy się na "moście" ogarnęło mnie przerażenie. Od strony Pragi pędził na nas tabun dzikich, małych koni, przypominających wielkością dobrze wyrosnięte kozy. Pędzili je z dzikimi okrzykami koniuchowie o twarzach mongolskich. Konie biegły szaleńczym galopem wprost na ludzi, na nas, gryząc się i kopiąc. Nigdy w życiu, nawet pod bombami, nie byłem tak przerażony jak wówczas. Wydawało mi się, że tabun nas zadcpe, że zginiemy nie na minie co prawda, ale że zginiemy na pewno. Byłem śmiertelnie zmęczonym i przerażonym dzieckiem, które nie mogło doczekać się bezpiecznego dojścia do własnego domu, w którym do tego nie oczekiwał na nas Ojciec. Wtuliłem się w Mamę, równie mocno jak w czasie bombardowań września 1939, chociaż byłem starszy i bardziej doświadczony. Nie byłem nawet w stanie wstydić się tych "dziecinnych" lęków. Tabun ocierając się o tłum powracających pogalopował na lewy brzeg rzeki. W ciągu godziny doszliśmy do naszego domu przy ulicy Nieporęckiej. Nikt tam na nas nie oczekiwał.

Obcy ludzie zajmowali kuchnię i pierwszy z pokojów. To co pozostało z naszego dobytku przerzucono do drugiego pokoju, znajdującego się na końcu amfiladowego układu mieszkania. Były to dwie rodziny spokrewnione ze sobą. Najczulej witał mnie pies, młody czarny spaniel "Kłopot" ku przerażeniu Mamy sikający z radości po podłodze. Mama weszła do sąsiadek mieszkających obok nas, sióstr pań Frydrychowskiej i Olczakowej. Syn starszej z nich, Staszek Olczak, nie wrócił z powstania i nie było o nim żadnych wiadomości. Po upadku Powstania dotarła tylko jedna kartka, w której pisał, że jest gdzieś w obozie jenieckim zlokalizowanym między górami Alp. I że jest dużo świeżego powietrza, ale tylko świeżego powietrza. Był po prostu głodny. Panie sąsiadki przekazały nam list Ojca pisany przed wyjściem z domu 21 sierpnia 1944 roku. Był on napisany w konwencji testamentu człowieka, który wychodzi naprzeciw śmiertelnemu niebezpieczeństwu. W tym właśnie czasie Niemcy systematycznie "oczyszczali" Pragę z mężczyzn po nieudanym powstaniu. Były też dokonywane egzekucje opornych, ukrywających się Prażan.

21.VIII.1944 Kochana Tolusiu ! Wierzę gorąco, że się wkrótce zobaczymy. Nic się o mnie nie martw-wszystko będzie dobrze. Myśl o Was jest moją największą pociechą i mocą. Kochałem Was bardzo i jeżeli czegoś żałuję to tego, że nie mogę Was w tej chwili uściskać. Jestem zupełnie spokojny. Serdecznie Was całuję i myślę ciągle o Was. Grześ niech będzie porządnym człowiekiem, niech kocha i ochrania Mamę, która dla niego jest matką, a dla mnie była najlepszym przyjacielem

w życiu. *Przepraszam Cię Toluś za wszystko, przepraszam. Serdecznie Cię całuję. Idę na Bródno-Nadwiślańska 21 m 20. Władek.*

Układaliśmy się we troje na jakimś pośpiesznie przygotowanym prymitywnym posłaniu zaspokoiwszy głód kubkiem erzatz-herbatki i pajdą czarnego chleba z margaryną i marmoladą z buraków. Była to pierwsza noc we własnym mieszkaniu. Zimno było przenikliwie więc położyliśmy się do łóżka w ubraniach przykryci zasłonami do okien. Te przetrwały i na szczęście były dość grube. Chłodne powietrze wraz z płatkami śniegu znajdowało jednak wejście do wnętrza pokoju. Najważniejsze było to, że kolejny, niełatwy moment naszego wojennego życia zakończył się. Ciocia Jadzia na kawałku papieru coś pisała przy ogarku świecy. Usnąłem natychmiast zmęczony śmiertelnie drogą odbytą *per pedes apostolorum* w "meblowych" butach i tym wszystkim co w tej drodze oglądały moje oczy. Nazajutrz rano otrzymałem od Cioci w prezencie i dla upamiętnienia tego dnia dwa Jej wiersze.

Powrót do Warszawy

*Szkielety domów sterczą tam dokoła
i rzędem stoją przy każdej ulicy.
Jakaż z nich żałość, jakaż męka woła,
ileż w nich smutnej, cichej tajemnicy.
Tu jeszcze widać ogniste języki,
tam jeszcze dymią zwęglone głownie,
A dalej, dalej w ruinach pomniki
co dawniej mówiły "Ty pamiętaj o mnie !".
Ni śladu nie ma z dawnego pałacu,
w ruiny zmienione są miasta zabytki,
a pozostała na niejednym placu
mogiła sterczy, jak więzień z kibitki.
Nie, to nie więzień został tu na warcie,
ale wolnego mogiła powstańca
co bronił dzielnie, co walczył otwarcie
na zmartwychwstałej stolicy szajcach.*

Warszawski tramwaj

*Powiedz tramwaju, tramwaju czerwony
skądś zawitał w tak odległe strony ?
Z szyn swych uciekłeś, zagubiłeś drogę,
porozpraszałeś swe sprzęty ubogie !
Dawniej pędziłeś hucznie, a dumnie
i podzwaniałeś dzwoneczkami szumnie,
a dziś milczący jesteś i ponury
jak naszej stolicy mury !
Lecz chociaż tak cichy i tak niemy
ty mówisz do nas, my cię rozumiemy !
I droższy jesteś tramwaju strzaskany
od tego, co barwą świeżą malowany.
Boś ty ochraniał polskie głowy drogie
kiedy szły walczyć z wrogiem.
I tyle wzięłeś kulek w swoje członki
aby uchronić nas od wrażej ręki !*

Nie wiem czy jest to wielka poezja. Zapewne nie, ale były to przelane na papier uczucia nas, którzyśmy wczoraj szli przez morze gruzów, obok grobów powstańczych, mijając tramwaj, który mimo wszystko, wykolejony, miał stać się niby-restauracją. Każdy, kto przechodził przez Warszawę w te styczniowe dni AD 1945 wyzwalając jej truchło lub wracając do swego w niej domu czytając te wiersze będzie zapewne jednak wzruszony.

Pierwszy zimowy ranek w odzyskanym domu nie był wesoły. Przeróżający chłód, zdewastowane, okradzione mieszkanie, brak światła, wody, działającej kanalizacji, a co najgorsze brak wieści o losach Ojca zagubionego gdzieś tam, daleko w górach Turyngii. Centrum Pragi i Szmulki nie zmieniły się w sposób zasadniczy w porównaniu z czerwcem 1944 r. Przybyło kilka pogorzeliisk wzdłuż ulic Kawęczyńskiej i Radzymińskiej, gdzie pozostały po wrześniu 1939 roku nie spalone drewniane ubożuchne domy praskiej nędzy, głównie domy żydowskie. Legł w gruzach dom przy ulicy Ząbkowskiej 35 znany głównie z bardzo popularnej i osiadłej tu od wielu, wielu lat apteki pana Stanisława Bielego. Stary pan Magister Biele cieszył się powszechnym szacunkiem i sympatią, moją w szczególności, ponieważ niezwykle przypominał Dziadka Lindnera. Została tylko oficyna tego domu. Podobno ruina była wynikiem eksplozji pocisku z niemieckiego działka kolejowego, tego z samego, które widzieliśmy w Ursusie. Było też wiele ogromnych lejów po wybuchach ciężkiej artylerii niemieckiej prowadzącej nękający ogień zza Wisły i wiele dziur w fasadach, ale to nie robiło większego wrażenia w mieście widmie. W stosunku do tego co widziało się na lewym brzegu Wisły, Praga była jednak oazą normalności. Ludzie zabierali się do remontów i praca szła szybko, ponieważ cegieł wydobywanych z ruin wokół było pod dostatkiem. Na rogu ulicy Nieporęckiej i Ząbkowskiej stał wrak transportera opancerzonego Wehrmachtu, wypalonego butelką z benzyną rzuconą przez powstańca w pierwszych dniach sierpnia. W murze odgraniczającym Zakłady Spirytusowe czyli "MONOPOLU" od ulicy Nieporęckiej ziało kilka wielkich wyłomów. Tędy w sierpniu i wrześniu 1944 wynoszono wiadrami alkohol i zacier „ na potrzeby ” okolicznej ludności, a potem wojska. Zdewastowana też była Mennica Państwowa przy ulicy Markowskiej skąd wynoszono bezcenne zbiory numizmatyczne. Przez dwa lata wszyscy chłopcy z okolicy grali " w guziki " historycznymi monetami i medalami Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Przypomnę, że działało się to w czasach, kiedy życie ludzkie było jeszcze mniej warte ! Było poza tym pełno broni, niewypałów, prochu w różnej postaci oraz wszelkich innych środków wybuchowych. Moi rówieśnicy, dzieci wojny, mieli dziecięcą nieświadomość zagrożenia życia-stąd liczba dzieci bohaterów czasu wojny. Rozkręcenie zapalnika niewypału ciężkiego pocisku artyleryjskiego, to był podstawowy, codzienny zakład moich rówieśników: czy zdoła i w jakim czasie ?. Nie znałem natomiast "kozaka ", który by się brał za pociski do granatnika, traktowane jak grzechotniki. Mimo tych "ostrożności " liczba tych kolegów, którzy powiększyli grono aniołków starając się sprostać zakładowi "konwencjonalnemu " była całkiem pokaźna. W domu przy ulicy Nieporęckiej 16, w dawnym składziku opału pana Tondra stacjonowały „ żołnierki „. Była to nowość jaką wojenna rzeczywistość nam zaprezentowała. W dwóch salkach spało, jadło, bytowało dwadzieścia kilka młodych kobiet „przynależnionych ” do służby wojskowej. Wszystkie pochodziły z kresów wschodnich, przeszły przez gułagi, wszystkie utraciły dom, niemal wszystkie rodziny. Nie wiem jaka im służba przypadła w udziale, jednak wieczorami maszerowały całym oddziałem z karabinami na ramieniu śpiewając z animuszem:

*Marysiu buzi daj
Mamusi nie pytaj
Mamusia tak robiła
gdy jeszcze młodą była !*

Opuściły swą kwaterę w czasie wakacji 1945 roku.

Pierwszą wyprawę Mama odbyła na Otwocką. Szkoła była w znacznej części zajęta przez agendy rządowe i miejskie nowych władz, w drugiej zaś części "gospodarzyła " Armia Czerwona. Spotkała tam kilka znanych osób z grona praskich nauczycieli, a przede wszystkim państwa Irenę i Witolda Wilskich. Wielu z tego grona, zwłaszcza mężczyzn, znikło w czasie łapanek niemieckich prowadzonych w czasie powstania przed wejściem Rosjan jako swego rodzaju akcja "oczyszczania ". O nikim z wziętych w brance nie było żadnych wiadomości. Nikt nie wiedział niczego o okolicznościach ujęcia i wywiezienia Ojca. Rodzina Usarków znikła gdzieś w niemieckich obozach koncentracyjnych. Najbardziej owocną okazała się wizyta u niezawodnych księży Salezjanów. Ksiądz Szczepan Blezień wręczył Mamie ogromny bochen świeżego chleba, słoik smalcu ze skwarkami oraz słoik miodu. To były skarby bezcenne, ale jeszcze większym skarbem była świadomość ludzkiej życzliwości i solidarności. Mama uzyskała propozycje pracy w Szkole

Podstawowej nr. 192 imienia Adama Asnyka, która kierowała pani Wanda Dzierzbicka, osoba niewielkiej postury, ale niezwyklej energii. Szkołą nr. 126, która nadal pracowała w warunkach okupacyjnych na ulicy Kawęczyńskiej 49 kierowała pani Wiktoria Czyżyńska współpracująca z Ojcem w czasie okupacji. Wróciłem do klasy, której wychowawczynią była właśnie pani Irena Wilska. Spotkałem wszystkich kolegów, których ostatni raz widziałem przed powstaniem. Obiecywano nam, że od 1 września 1945 roku dane nam będzie wrócić do przedwojennego gmachu szkoły przy ulicy Otwockiej nr. 3.

Okazało się, że już działa, i to niezwykle pręźnie jak na ten szczególny czas, Związek Nauczycielstwa Polskiego, organizujący samopomoc środowiskową. Polegała ona na zdobywaniu dla swych członków odzieży, leków, żywności, drobnych zapomóg pieniężnych oraz prowadzenie stołówki, gdzie nauczyciele Szmulek i ich rodziny mogli za przysłowiowe grosze zjeść gorącą zupę z dodatkiem czegoś bardziej konkretnego. Stołówka ta była czynna w podziemiach szkoły na rogu Ząbkowskiej i Korsaka, zaś po tym przy ulicy Otwockiej. Szczególnie wiele uwagi i serca okazywano wdowom i rodzinom, których ojcowie-nauczyciele zginęli lub zaginęli w ostatnich miesiącach.

Ciocia Jadzia mimo ogromnych trudności komunikacyjnych krążyła pomiędzy Pragą a Ursusem, gdzie nadal prowadziła zajęcia w szkole podstawowej i klasach, do niedawna tajnego, gimnazjum i liceum. Nawiązywała kontakty z kręgiem przedwojennych instruktorek harcerskich. Młode małżeństwo, które zajmowało jej mieszkanie przy ulicy Inżynierskiej 11 remontowało swoje mieszkanie przy ulicy Panieńskiej. Rejon ten w czasie ustalenia się frontu na Wiśle był strefą śmierci ze względu na systematyczny ostrzał i życie tam było niemożliwe. W tym czasie widywaliśmy Ciocię rzadko, co mojej Mamie, osobie o niezwyklej nadwrażliwości, nie poprawiało nastroju. Zaczęło się w domu mówić, że Ciocia oddaje swoje mieszkanie Linderom, których dom przy ulicy Chłodnej 39 A został kompletnie zniszczony. Już niebawem dowiedzieliśmy się, że już w czasie okupacji Ciocia Jadzia weszła w skład zespołu harcerek – pedagogów działających w ramach Tajnej Organizacji Nauczycielskiej planujących akcję "Ziemie powracające". Zespół ten przygotowywał się niezwykle solidnie do zorganizowania po wojnie szkolnictwa polskiego na Warmii i Mazurach. Były to działania organizowane w porozumieniu ze sprawnie działającą grupą Związku Obrony Kresów Zachodnich. Jak się dowiedziałem w wiele lat po wojnie przygotowania dotyczyły dużego zespołu ludzi: nauczycieli, przedszkolank, pielęgniarek. Przechodziły one w latach okupacji znakomicie prowadzone przez wykładowców szkół wyższych kursy kształcące w zakresie geografii, historii, problemów narodowościowych, specyfiki kultury ludowej tego regionu itd. Waznym źródłem informacji była dla tego zespołu niemiecka literatura naukowa, polityczna i propagandowa, a nawet oficjalne programy nauczania szkół niemieckich zmierzające do związania świadomości młodzieży niemieckiej Prus Wschodnich z Rzeszą Niemiecką. Podjęto ścisłą współpracę z historykami i geografami. Dorobkiem własnym była broszura pod zakamuflowanym tytułem „*Problemy bałtyckie*”, napisana przez historyka harcmistrzynię Cecylię Świderkównę – Petrykowską, wydana na powielaczu w Warszawie w sierpniu roku 1943. Opracowano też dość szczegółowe mapy przedstawiające między innymi nazwy geograficzne polskie i niemieckie, problematykę wyznaniową i narodowościową. Zadaniem Cioci Jadzi jako polonistki w tym zespole było gromadzenie materiałów stanowiących wybór fragmentów literatury polskiej, ale także utworów miejscowych poetów ludowych Warmii i Mazur dokumentujących ściśle związki tego regionu z Polską. Upoważniona do stałych kontaktów z przedstawicielem konspiracyjnych władz oświatowych przedstawiła pierwszy podręcznik dla polskich szkół na Warmii i Mazurach. Maszynopis nie wydanego podręcznika Ciocia zdeponowała w Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk (materiały harcerskie). Po latach Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych (PZWS) wydały podręcznik: Jadwiga Lindner: *Mowa Ojczyzna – książka przeznaczona dla kursów ogólnokształcących na obszarze Warmii, Mazur i Pomorza. Warszawa 1960 r.* Niewzwykle wazna role w tym zespole odgrywała harcmistrzyni Władysława Martnowiczówna, autorka znanych przed wojną podręczników historii.

Z pań, które miałem możliwość poznać i które następnie rozpoczęły pracę na terenie Warmii i Mazur były, poza rzeczą jasną Ciocią Jadzią, Irena Lewandowska i Maria Osipow z Warszawy,

Zofia Kottik, Irena Kolpy i Helena Papińska z Krakowa, Hanna Korolec z Wielkopolski. Dołączyła do nich między innymi rodowita Warmianka Otylia Grotowa, więziona w Ravensbruck. Wszystkie były przedwojennymi harcerkami przygotowującymi się w czasie okupacji do repolonizacji tych terenów.

W szkole na Kawęczyńskiej spotkałem starych kolegów Mirka Damma, Maćka Tokaja i Stefana Turka. Ojciec Mirka w niedługim czasie zjawił się wraz ze swymi kolegami, oficerami, którzy od września 1939 byli internowani w Oflagu Woldenberg II C w Altengrabow (Dobiegniewo), na ziemi lubuskiej. Dom, w którym mieszkał Maciek przy ul. Tarchomińskiej nr. 5 miał swego rodzaju szczęście. Otóż w czasie powstania jeden z pocisków działa Grubej Berty, tej samej, która strzelała z torów przy fabryce URSUS wpadł do piwnic tego domu i nie eksplodował. Ogromna masa pocisku zdruzgotała jednak konstrukcję części fundamentów i spowodowała, że dom miał uskok. Do końca mojego bywania w tym mieszkaniu bawiła nas tendencja mebli do przesuwania się zgodnego z prawem ciężenia zgodnie z kierunkiem spadku. Wraz z rozwojem partackiego budownictwa lat 1960-tych i 1970-tych tego rodzaju defekty budowlane stały się swego rodzaju normalnością. Ale dom przy ulicy Tarchomińskiej 5 stał, mimo wojny światowej, mimo niemieckiego pocisku i nikt z powodu takiej błahostki nie zamierzał się z niego wyprowadzać. Dokąd zresztą można było? Stał i stoi nadal w tym samym miejscu.

W naszym dwupokojowym mieszkaniu kuchnia była zajmowana przez panią, anglistkę z wykształcenia mieszkającą w niej z córką i synem. Dzieci były w moim wieku, ale w zasadzie, jak to się wtedy mówiło, nie kolegowałem z nimi. Mąż i ojciec, jak się wydaje, znalazł się na Zachodzie o czym mówiono bardzo niechętnie. W tym czasie, na przedwiośniu 1945 jedynym tego powodem mógł być fakt, że ich bliska rodzina, małżeństwo bezdzietne mieszkające w naszym pierwszym pokoju, przyłączyło się do "reżimu", co nie wzbudzało entuzjazmu u sąsiadów.

Środowisko nauczycielskie było tradycyjnie lewicowe, ale związane z socjalistami z PPS, nie zaś z komunistami. Nastawienie do nowych "władz" było, delikatnie mówiąc, nieufne. Portrety ludzi wchodzących w skład nowego establishmentu widniały na mnogich plakatach rozlepianych na ścianach domów. Nazwiska ich nic nie mówiły ogółowi Warszawiaków. Wyjątkami byli: generał Michał Żymierski osądzony przed wojną i usunięty z wojska za malwersacje oraz literat Wincenty Rzymowski wstawiony przed wojną plagiatem. Bronek Stabrowski wieczorami darł się wyśpiewując żurawiejkę:

*Stalin zżarł koguta
i wysrał Bieruta,
Bierut zżarł bulkę
i wysrał Gomułkę,
Gomułka zżarł wątróbkę
i wysrał Osóbkę!*

Innym jego szlagierem była zmodyfikowana, zgodnie z duchem czasu, znana przedwojennapiosenka „*Hej dzieciyno, hej niebogo!*” ze słowami Kornela Makuszyńskiego. Obecna wersja Broneczka brzmiała:

*Ja myślałem, że to śmieci,
Że to stado bydła leci,
A to Sowieci, Sowieci, Sowieci są!*

Władza ludowa jeszcze nie okrzepła i nie budowała anegdotczykami wielkich budów socjalizmu. Wieczorami naklejali więc na murach jedni, zaś nocą zrywali inni naklejone wierszyki w tym rodzaju powielane prymitywną techniką.

Sytuacja budziła brak zaufania i niechęć do tej armii, której większość stanowili przecież głównie ci co nie zdążyli z łagrów do armii generała Andersa, chłopci z terenów Kresów Wschodnich II R.P. oraz niektórzy z synów zesłańców syberyjskich z XIX wieku. Na czapkach rogotywakach mieli jakieś dziwne orły. Wiele wiele lat później zobaczyłem tego orła na grobowcu Bolesława Krzywoustego w katedrze płockiej. Wielu z nich nie mówiło po polsku, ale czuło się Polakami. Poza wszystkim znakomita większość po doświadczeniach wyniesionych z kraju „*gdzie tak wolno dyszy czelawiek* „ chciało się od niego uwolnić za wszelką cenę. Kadra

oficerska rekrutowała się jednak z obywateli radzieckich, ponieważ nasi leżeli w grobach Katynia i innych mniej znanych miejscach w lasach i piaskach Sojuza.

Dwóch byłych żołnierzy ukrywało się u księży Salezjanów w Bazylice. Byli to polscy chłopcy z Wołynia czy Podola, którzy brali udział w nieprzygotowanym wojskowo desancie „berlingowców” na brzeg żoliborski, dokonanym w okresie powstania. To co opowiadali było horrorem. Wysłano ich bez żadnych przygotowań artyleryjskich, bez wsparcia bronią ciężką i lotnictwem na pewną rzeź. Wróciły wraki ludzkie w stanie stresu wojennego, zagrożone sądem wojskowym za „niewykonanie zadania bojowego”, które wykonalnym nie było.

Nasi sublokatorzy, państwo P, zamieszkujący duży przechodni pokój to bardzo dziwna para. Bezdzielni, ale niesłuchanie ambitni w dążeniu do znalezienia sobie właściwego miejsca w nowej sytuacji. Ona grała wielką damę wzbudzając uśmiechy politowania i złośliwe docinki szmulkowskiej gawiedzi chodząc z kubłem po wodę do pompy na sąsiednim podwórzu w białych rękawiczkach i pantofelkach na przesadnie wysokich obcasach, wciąż przekręcających się w tych podróżach. On, dość kiepski malarz, którego jedyne dzieło życia obraz olejny "Bitwa pod Oliwą" zajmował znaczną część ściany w pokoju, który zajmowali. Pan P. był tym, których w Rosji Sowieckiej nazywano "paputczykami". Przystał do nowej władzy. Ganiał w dziwnej wytartej kurtce skórzanej, a la "komisarz floty", z przyczepionym do klapy metalowym orłem wojskowym ze starannie odpiłowaną koroną. Był jakimś tam dyrektorem, w jakimś departamencie, jakiegoś tam ministerstwa. Ci z kuchni i ci z pokoju byli ze sobą dość blisko spokrewnieni i jak sądzę, tym "reżimowym" nie było do śmiechu, że bliski kuzyn jest u Andersa. Ojcem chrzestnym całej grupy rodzinnej był tata, starszy pan o potężnej tuszy, robiący jakieś duże interesy. Należał do tych spryciarzy, którzy jak to mówił Wiech „*wskazówkami sekundowymi handlowali na wagony!*”. Pani Stabrowska, nasza dozorczyńca mawiała do Mamy: „*Pani Janczewska, ten stary ma więcej pieniędzy niż Ruskie żołdatów!*”. Stary szybko ruszył z remontem należących do niego domów na Saskiej Kępie i w ten sposób na trzy tygodnie przed Wielkanocą 1945 zostaliśmy szczęśliwi sami w mieszkaniu, Mama i ja. Niestety mieszkanie opuścił spaniel Kłopot, jedyna radość towarzysząca życiu "kołchozowemu"

Zbliżały się Święta Wielkanocne 1945. Mieszkanie było okrutnie brudne, zdewastowane, z podłogami lepiącymi się resztką psich odchodów. Nasi kulturalni sublokatorzy sprawy fizjologii psa załatwiali bowiem w ten sposób, że jego kupy były zbierane na śmietniczkę, a miejsce po nich, dość często z warstwą zaschniętego kału, przysypywano popiołem z pieca. Porządkowaliśmy je z Mamą. Ja skrobałem podłogi z grubych desek z przyschniętymi resztkami pozostałości po Kłopotcie wyostrzonym niemieckim bagnetem, zaś Mama zmywała je roztworem szarego mydła.

Ciocia Jadzia ostatecznie przeniosła się do jakiejś pani w Ursusie. Ku rozpaczy mojej Mamy dowiedzieliśmy się, że u tej przyjaciółki będzie spędzała nadchodzące święta. Tuż przed Wielkanocą do mieszkania na Inżynierskiej wprowadzili się Lindnerowie. Wujek Józek szukał pracy, a w oczekiwaniu na pracę, jak to się mówiło "kombinował". Byliśmy tak więc sami z Mamą, także wobec tego, że Dziadkowie Janczewscy wciąż nie powrócili na Bródno spod Radzymina. Ciotka Janka urodziła córkę, Krysię. Jej mąż Leon głównie zapijał się i Dziadek Jan był głównym żywicielem całej pięcioosobowej rodziny. Poród córki opłacił felczerowi skromnym, ale złotym sygnetem rodowym. Metalową tarczkę herbową „Lis”, wydłubaną z tego sygnetu wiele, wiele lat potem, już po śmierci Dziadka Babcia Julia przekazała memu Ojcu. Odnaleziona w latach 1990-tych, już po śmierci mego Taty została powtórnie oprawiona przeze mnie w złotym sygnecie. Trafi do rąk któregoś z moich wnuków, zapewne Michała.

Jeszcze gorsze były losy mego stryja Stanisława Janczewskiego, który został aresztowany i po krótkim śledztwie skazany na 15 lat ciężkiego więzienia. Stryj, jak się okazało, stworzył wraz z kolegami z A.K. posterunek Milicji Obywatelskiej. W czasie okupacji był członkiem organizacji Korpus Bezpieczeństwa, stanowiącego załączek Policji Państwowej czasu powojennego. Pomysł opanowania poszczególnych struktur Milicji Obywatelskiej był dosyć wątpliwy, ale starano się na swoim odcinku działań chronić ludność przed rodzimymi kryminalistami i żołnierzami Armii Czerwonej. Ponieważ czasy nie sprzyjały praworządności, a i sowieccy partnerzy do praworządności się nie palili, kilku krasnoarmiejców ukatrupiono za rozboje i gwałty. Na procesie

były wyroki śmierci, reszta wyroki długoletnie. Ciocia Genia, żona Stacha, była wówczas w ostatnich miesiącach ciąży. Zarabiała na utrzymanie rodziny jeżdżąc kolejką do Karczewia i okolic i przewożąc do Warszawy mięso i przetwory mięsne, co było ściągane przez nowe władze, nieomal równie surowo i konsekwentnie jak za czasów okupacji. Moja Matka przekazała Cioci Geni grubą kurtkę uszytą z przerobionej kołdry, która chroniła ją przed zimnem. Ta kurtka już nie została przyjęta na pocztę w grudniu 1944 roku, wraz z ostatnią paczką przygotowaną dla Ojca. Stryj Stasiak odsiadywał wyrok w więzieniu o specjalnym zaostrzonym reżimie we Wronkach, a potem w Rawiczu, przeznaczonych dla rosnącej liczby więźniów politycznych. Jego towarzyszami niedoli byli w tych więzieniach prawnicy, księża, wykładowcy wyższych uczelni, przedwojenni oficerowie i inni przedstawiciele inteligencji polskiej. Niedoszli kandydaci do następnego Katynia. Wielu z nich zmarło w tych więzieniach

Święta Wielkanocne 1945 były jednymi z najsmutniejszych w moim życiu. Mama ciężko rozchorowała się na zapalenie płuc. Byliśmy kompletnie sami, bez wsparcia, bez pomocy, bez dobrego słowa ze strony naszych bliskich, którzy tym razem byli tak ogromnie daleko. Jedynymi ludźmi, którzy okazali nam w tych dniach pomoc byli księża Salezjanie z Bazyliki oraz dr.med. Tadeusz Chrapowicki w tym czasie mieszkający w domu przy ulicy Żąbkowskiej 39. To chyba księża Go do nas sprowadzili. Dokładnie zbadał Mamę, dał recepty, nie tylko odmówił przyjęcia honorarium, ale dał jakieś pieniądze na wykupienie leków. Wiele lat później przypomniałem ten dzień Panu Profesorowi dr.med. Tadeuszowi Chrapowickiemu, już jako docent laryngologii. Zawsze starałem się w swojej pracy lekarskiej spłacić moralny dług temu dobru, które nas wówczas spotkało. Czy mi się to rzeczywiście udało ?

Po Wielkanocy Mama po powrocie do zdrowia, mimo osłabienia, wychodząc na przeciw prośbom Wujostwa Lindnerów wzięła do nas Stasia. Tłumaczono tą prośbę ciężkimi warunkami ich bytowania, uznając nas za znajdujących się w znacznie lepszej kondycji finansowej. Taka była moja Mama, jako siostra i jako człowiek. Stach po powrocie do Warszawy chodził do szkoły podstawowej nr. 192 im. Adama Asnyka na Kawęczynską. W tej samej szkole zatrudniona była moja Mama, specjalistka od nauczania w klasach pierwszych. Dwa lata starszy ode Stasio mnie zbliżał się do zakończenia szkoły podstawowej, jako że wówczas można było przejść do gimnazjum po szóstej klasie. Lindnerowie czyścili mieszkanie Cioci Jadzi, niewielkie, bo pokój z kuchnią, w oficynie domu przy ulicy Inżynierskiej 18. Był to w owym czasie szczególnie wielki dar serca siostry: umeblowane, nienaruszone mieszkanie w Warszawie. Wujó Józio zaczął prowadzić handel obnośny na terenie Dworca Wileńskiego, przez który przewalały się masy żołnierzy radzieckich. Z czymś co przypominało srewniana szufladkę sekretarzyka zawieszoną na szyi wędrował po peronach sprzedając ruskim papierosy, zapaliki, kamienie do zapalniczek i wiele innych drobiazgów. Jak zawsze podstawą handlu z tymi klientami był alkohol wymieniany na wszelkie dobra świata A. D. 1945. Armia Czerwona powracała wówczas ze zdobyciami z Niemiec, bogato wyposażona w dobra od zegarków naręcznych po wyposażenie fabryk. Pamiętam pociąg z pianinami i fortepianami stojący na torach bocznych Dworca Wileńskiego. Wspaniałe instrumenty jechały na otwartych lorach, bez przykrycia zabezpieczającego przed ewentualnym deszczem. Podobny brak jakiegokolwiek dbałości o ogromne dobra wiezione na łono matuszki Rosji charakteryzował także i inne transporty. Wielkie ilości maszyn rozłożone na części, rabowane także z przyznanych Polsce Ziemi Odzyskanych rdzewiały wystawione na pastwę złej pogody. Korupcja i handel z "ubezpieczającymi " transporty bojowymi były zjawiskiem powszechnym. Za kilka litrów wódki można było kupić rzeczy, o których się w Warszawie powojennej nie śniło nikomu. Tak więc alkohol był najważniejszą z walut w tym czasie. Swoją drogą, wieść powszechna niosła iż wszystkie dobra „trofiejne „ (zdobyczne) są wojownikom Krasnej Armii na granicy zabierane. Chodziło o to, aby nie demoralizować ludu kraju „gdzie jutro jest dniem wczorajszym „ wytworami ubogich krajów kapitalistycznych.

Wieczorem 9 maja 1945 po zapadnięciu zmroku nagle niebo nad Warszawą rozjarzyło się ogniem świetlnych pocisków dział przeciwlotniczych tak zwanych zenitówek prująco-czerń nocy. Wokół nas rozpełtało się piekło ognia i wybuchów. Zbiegliśmy, Mama, Stach i ja, do piwnicy sądząc, że to jakaś wyprawa konającej Luftwaffe. Było dziwnie ponieważ znaleźliśmy się w

piwnicy sami. Po kilkunastu minutach podпиты sąsiad wszedł po kartofle i uświadomił nas, że właśnie skończyła się wojna i że Hitler w Berlinie się powiesił (sic!), że teraz będzie dobrze i coraz lepiej. Dla nas "lepiej" mogło być tylko wtedy, kiedy zobaczylibyśmy w domu Ojca. Pozostawało czekanie.

W czerwcu 1945 kończyłem naukę w czwartej klasie szkoły podstawowej zaś Stach dostał się do Gimnazjum imienia Króla Władysława IV. W tej sytuacji powrócił do domu przy ulicy Inżynierskiej skąd do gimnazjum miał dystans spacerowy. W gmachu Gimnazjum i Liceum Władysława IV do jesieni stacjonowali żołnierze Armii Czerwonej. To co zastał w murach szkoły szczęśliwie ocalały w Stutthoffie Dyrektor Usarek i jego uczniowie po ich wyjściu w głowie się nie mieści. Zgnojoną słomę wywożono, jak z obory, taczkami przez kilka tygodni.

Pani Wilska odeszła do pracy w Wydziale Kultury i organizowała teatrzyk międzyszkolny. Następną naszą wychowawczynią była pani Leokadia D. Była to nowa postać w naszej szkole, która, nie wiedząc czemu, bardzo mnie nie lubiła. *De mortui nihil nisi bene*, ale pani ta wiele mi okazała złośliwości w ostatnich latach szkoły podstawowej. Podobno na mnie odbijała się Jej niechęć do mojego Ojca. Była przyjaciółką nowej kierowniczką szkoły, z którą prowadziła wspólne gospodarstwo domowe. Obie bały się, że odnalezione po wojnie Ojciec zechce być może wrócić na swoje kierownicze stanowisko w szkole.

Ciocia Jadzia zorganizowała nam wakacje roku 1945 w domu państwa S. znanej rodziny aptekarzy we Włochach, wówczas podwarszawskiej osadzie. Dość duży dom jednorodzinny położony w dobrze utrzymanym ogródku. Był to, jak się to wówczas mówiło, doskonały wyraj. Dalekim spacerem odwiedzaliśmy gospodarstwo państwa Lejmbachów w Skoroszach. Gospodarzyły siostry Pana Jerzego-pani doktor Zofia Lejmbach i Jej siostra. Nasi niezapomniani gospodarze przenieśli się dalej od Warszawy. Najprawdopodobniej pan Jerzy, po uszy siedzący w konspiracji Armii Krajowej postanowił "zmienić klimat" wobec dość jasno rysujących się zamiarów nowej władzy, tępiącej "zapłutego karła reakcji". Obie siostry Lejmbachówny likwidowały dzierżawę. Z rozrzewnieniem zglądałem kąty gospodarstwa, w którym spędziliśmy tak trudne miesiące drugiej połowy roku 1944. Nie było Janka i Lulka. Zbytkowscy, rodzina pracowników najemnych, przymierzała się objąć swoje własne gospodarstwo, chyba gdzieś na Ziemiach Odzyskanych. Coś się wielkiego, ważnego w moim życiu kończyło.

W jednym z domów sąsiednich w Ursusie mieszkał pop prawosławny z rodziną. Bawiłem się z Ludmiłą i Mikołajem, jego dwojgiem dzieci. Chłopiec był o dwa lata ode mnie starszy. Oboje mówili doskonale po polsku. Przywędrowali pod Warszawę z Podola czy Wołynia w czasie okupacji. Mikołaj miał chorą nogę, najprawdopodobniej była to gruźlica kości. Matka zmieniała mu opatrunki na podudziu dwa razy dziennie. Pewnego dnia popadła przyszła do nas zapłakana. Otrzymali rozkaz z komendantury radzieckiej przygotowania się do repatriacji do Związku Radzieckiego. Kobieta była zrozpaczona i wtedy dowiedzieliśmy się, że stoją w obliczu zagłady. Miała świadomość, że jako rodzina popa będą najprawdopodobniej podlegać eksterminacji, gdzieś w łagrze. Nie mieliśmy dotąd kontaktów z ludźmi, którzy ocaleli po pobycie "na nieludzkiej ziemi" dlatego słuchaliśmy tej biednej kobiety, nie rozumiejąc o czym ona mówi. Mieli przecież wracać "do swoich". Za dni kilka podjechał ciężarowy samochód wojskowy, na który wrzucono ich skromny dobytek. Pop był niezwykle skupiony i pograżony w modlitwie. Odjechali w daleką drogę.

W tym czasie Ciocia Jadzia spędzała z nami dużo czasu. W sierpniu 1945 roku miała ruszyć do Olsztyna, aby tam organizować polskie szkolnictwo. Chcąc jakby wynagrodzić nam to, że nas opuszcza mimo braku wieści o losach Ojca, poświęcała mi wiele czasu i uwagi. Wtedy właśnie dowiedziałem się od Niej o losach Rodziny Lindnerów, czyli rodzinie "po kądzieli".

Opowieści Cioci Jadzi

Protoplastą rodu Lindnerów był Gotlieb Lindner, rzemieślnik przybyły z Saksonii w pierwszej połowie XIX wieku. Jego syn Jan Lindner, ewangelik, ożeniony z Joanną z domu Kwiecińską miał sześcioro dzieci: Marię (z męża Wogonis), Stanisławę (z męża Ryszkowską), Ludwika Maksymiliana, Karola i Henryka oraz Helenę (z męża Reinhardt). Ludwik Maksymilain, nasz Ojciec ożenił się z Ludwiką z domu Stebnowską. Ich dziećmi były: Edward, zmarły w roku 1917, Józef Nicefor zmarły w roku 1980, Jadiwiga Zuzanna zmarła w roku 2005 oraz Antonina

Marianna zmarła w roku 1997. W czasie kontraktu ślubnego ustalono w Rodzinie, że synowie będą ewangelikami, zaś córki katoliczkami, co zostało po śmierci Jana przez Joannę złamane. Spowodowało to odsunięcie się dość bogatej rodziny ewangelickiej Jana od osieroconej rodziny. Skutkiem był brak pieniędzy na edukację sierot pozostałych po ś.p. Janie.

Pierwszy dziesięć lat XX wieku i lata następne przed pierwszą wojną światową to mimo wszystko okres rodzinnego dostatku i szczęścia. Były to niedzielne wycieczki na plac w Wesołej pod Warszawą, zakupiony z oszczędności Rodziców. To także okres nowego umeblowania mieszkania, wędrowek do cukierni Gajewskiego, a jednocześnie troski o zdrowie i naukę dzieci. Było nas początkowo troje: najstarszy Edzio (1898), a potem kolejno Józio (1902) i ja urodzona w roku 1904. W roku 1909 urodziła się Twoja Mama, Tola-upragniona przeze mnie siostra.

Żyjemy w Warszawie na Woli w trzypiętrowym domu przy ulicy Ogrodowej 30 mieszkania numer 1. Właścicielką domu jest Rosjanka, która jest przez nas dobrze wspomnianą z powodu wspianego, dobrze utrzymanego ogrodu za domem i dziedzińca do zabaw dziecięcych. Zajmujemy lokal pięciopokojowy. Na parapecie mieszkania na parterze zawsze piękne azalie pielęgnowane ręką Mamy. Dwa wejścia do mieszkania: jedno od frontu, drugie od podwórza. Rodzina nasza była rodziną rzemieślniczo-robotniczą, szanowaną i szanującą się. Są żywe wspomnienia Powstania Styczniowego utrwalane przez Nestora Rodziny Dziadka Stanisława Stebnowskiego. Z długiego przedpokoju wejście do pokoi. Jeden zajmują Dziadkowie Stebnowscy, rodzice Mamy, drugi pokój to pracownia krawiecka Mamy, trzeci-salon dla gości i klientek Mamy. Czwarty pokój, niewielki, służbowy dla pracownicy pomagającej w pracowni, zdobywającej sztukę krawiecką. Piąty pokój to obszerna alkowa, sypialnia. Od podwórza duża kuchnia z tak zwanym zachowankiem, komórką różnym celom służącą. We wnęce kuchni warsztat Dziadka. Babcia Karolina z Waszczaków Stebnowska sprawowała rządy w kuchni, niepodzielne rządy! Produkty sprowadzała ze wsi, z której rekrutowały się pomocnice krawieckie.

Nasza Mama-Ludwika ze Stebnowskich Lidner-pełna energii, z szacunkiem uznawana przez wszystkich, wymagająca posłuszeństwa, wymierzająca kary w zależności od przewinień. Zawsze faworyzowała Józia. Ojciec-Ludwik, łagodny, spokojny w działaniu i w sprawach rodzinnych, od wczesnej młodości zaprawiany do pracy zarobkowej, aby pomóc swej matce po przedwczesnej śmierci ojca-Jana Lindnera. Ojciec pochodził z rodziny protestanckiej, bardzo dobrze sytuowanej. Mieliśmy dwie Babcie-Babcię Karolinę Stebnowską, która mieszkała z nami. Była to Babcia "na co dzień". Drugą Joannę Lidner odwiedzaliśmy w dni świąteczne-to Babcia "od święta".

Rygor w domu utrzymywała Mama. Tą cechą przypominała Dziadka Stebnowskiego, który nie znosił sprzeciwów żądając bezwzględności posłuszeństwa. Z tej to przyczyny, jedyne dziecko Dziadka-Karol Stebnowski, nasz wujek nie poddając się decyzji przyuczenia go do rzemiosła opuścił dom rodzinny i wyjechał w głąb Rosji. Tam rozpoczął "kariere" od pracy kelnera w Saratowie. Namówił pryncypała Rosjanina do sprowadzania z Warszawy piwa marki Haberbusch i Schielle. Towar "chwycił" i wujek został w miarę upływu czasu współwłaścicielem doskonale prosperującej, eleganckiej restauracji i przedsiębiorstwa importującego piwo i inne specjały kuchni "prywisłanskiego kraju". W mojej pamięci pozostał obraz wujka Karola odwiedzającego nasz dom.

Na powitanie chwyciła naszą Mamę w ramiona i tak biegnie wokół stołu całując, okazując braterską miłość. Przyjechał samochodem, co wprawilo nas, dzieci w zachwyt i dumę. W tamtych latach samochód, to był niewyobrażalny luksus. Przywiózł i obdarował nas prezentami. Otrzymałam wtedy pełne umeblowanie pokoju lalek. Z głębokim smutkiem przeżywaliśmy wiadomość o śmierci Wujka Karola w 1913 roku. Na pogrzeb do Saratowa pojechał zgnębiony Dziadek z Edziem.

Edzio, najstarszy z naszego rodzeństwa, chorowity, z rozwijającą się gruźlicą to największe zmartwienie Rodziców. Nie mógł się systematycznie uczyć, bo przebywał często w szpitalu lub w sanatorium. Zmarł w roku 1917, przed końcem wojny światowej.

Jakże inaczej w mojej pamięci zachował się obraz innego z braci-Józka. Niespokojny, kłótniwy, dokuczliwy zwłaszcza w stosunku do najmłodszej, małej Toli. Na ulicy złośliwie zaczepiał Żydów. Z nauką bywało nienajlepiej. Zdarzało się, że wymuszał moją pomoc w odrabianiu lekcji. Nazywano go na podwórku cwaniakiem, bowiem sprytnie załatwiał różne dziwne sprawunki. Była

to natura pełna sprzeczności i paradoksów. Ten złośliwy człowiek, wyzywający się w dręczeniu bliskich z największą ochotą biegał do kaplicy Sióstr Rodziny Marii na Żelaznej aby służyć do Mszy Świętej. Tu jako ministrant zbierał liczne pochwały. Tu też poznał swoją przyszłą żonę – Janinę z domu Hołysz, pochodzącą z rodziny rzemieślniczej zduńów.

Z zakładem Sióstr Rodziny Marii łączą mnie cenne wspomnienia. Tu uczyłam się w trzyletniej szkole, tu przygotowywano mnie do I-ej Komunii Świętej, tu w okresie wojny światowej korzystałam ze świetlicy, gdzie z braku światła w domu odrabiałam lekcje i w ciepłym pomieszczeniu otrzymywałam jednorazowe pożywienie. Bo okres I-ej wojny światowej dla rodzin warszawskich był okresem niezmiernie trudnym, ogólnie zwanym okresem "głodu, chłodu i ubóstwa".

Wychowanie religijne otrzymywaliśmy w domu rodzinnym: wspólne modlitwy wieczorne w pokoju Dziadków przed wizerunkiem Ukrzyżowanego, wspólne wędrówki niedzielne na Mszę Świętą do kościoła Narodzenia Matki Boskiej przy ulicy Leszno. Tam właśnie była chrzczona Twoja Mama.

Pierwsza wojna światowa zdezorganizowała nasze życie rodzinne. Już na początku w lecie 1914 roku ogromny niepokój Rodziców o mój szczęśliwy powrót z kolonii letnich, gdzie uczyłam się samodzielności w warunkach życia bez Mamy i Taty. Potem zamiana szkoły. W roku 1913/1914 byłam uczennicą klasy I-ej w Prywatnym Gimnazjum pani Janiny Porazińskiej na Placu Trzech Krzyży. Ze względu na odległość od miejsca zamieszkania odprowadzał mnie Dziadek, dumny, że wnuczka chodzi do polskiej szkoły. Tak chodziliśmy razem z ulicy Ogrodowej na Plac Trzech Krzyży-codziennie ! Warunki wojenne spowodowały, że przeniesiono mnie do Prywatnego Gimnazjum przy ulicy Chłodnej róg Walicowa.

11 lutego 1915 roku zwolniono Ojca z pracy. Jednocześnie w tym roku po ciężkiej chorobie zmarł Dziadek Stebnowski. Dwa lata później zmarł nasz brat Edzio, pochowany wraz z Dziadkiem w grobie rodzinnym na Powązkach. Mizeria okresu wojny, wszystkie zmiany naszego statusu materialnego i nieszczęścia spowodowały zmianę mieszkania. Od sierpnia 1915 roku zamieszkaliśmy na pierwszym piętrze w domu przy ulicy Białej 7 (mieszkania 6). Mieszkanie było dwupokojowe i znane Ci z września 1939 roku.

Wojna światowa ma się ku końcowi, ale jest coraz trudniej. Dochodzą nas echa działalności niepodległościowej, powstawanie oddziałów wojska polskiego. Przeplatają się sprawy o różnej wartości rodzinnej, narodowej, społecznej. Ojciec zabiega o unormowanie podstaw bytu rodziny. Mama pracuje jak dawniej, ale już sama, bez pomocy. Ojciec uczestniczy w działalności narodowej i społecznej. Oto dokument z tego czasu, który głosi: "Obywatel Ludwik Lidner powołany do zaszczytnej Służby Obrony Bezpieczeństwa Stolicy spełniał swój obowiązek w szeregach Straży Obywatelskiej w czasie od 4 maja 1915 do 20 lutego 1916 roku. Podpis-Komendant (-) St. Popowski. Pieczęć -Komitet Obywatelski Warszawy-Straż Obywatelska. (Dokument ten został przeze mnie w roku 1996 przekazany do Muzeum Historycznego m. st. Warszawy).

W listopadowe dni roku 1918 witamy radośnie wolną Polskę. Jestem już uczennicą piątej klasy Gimnazjum Reginy Gaczeńskiej i Eweliny Kacprowskiej. Przede mną stają sprawy ważne na dzisiaj i na jutro: jak mogłabym służyć wolnej Polsce ? W gimnazjum powstaje drużyna harcerska kierowana przez panią Władysławę Martynowiczównę uczestniczkę tajnej organizacji niepodległościowej, wielbicielkę Józefa Piłsudskiego. I to główne dla mnie cele: harcerstwo i dalsza nauka w drodze do wymarzonej pracy nauczycielki. Moje pragnienia napotykać na dość kategoryczny sprzeciw Mamy. Harcerstwo, to w Jej pojęciu mundur i gry polowe. To nie przystoi dziewczynie. Co gorsza dalsza nauka w gimnazjum, to duże obciążenie finansowe dla rodziny robotniczej żyjącej w trudnych warunkach materialnych okresu powojennego. Pomoc znajduję w mojej wychowawczyni i osobie Pani Przełożonej Reginie Gaczeńskiej, osobie uspołecznionej (była więźniarka carskiego Pawiaka), która zaproponowała zwolnienie mnie z opłaty za naukę. Uważała, że bardzo dobre wyniki mojej nauki uprawniają Ją do takiej decyzji. Zapewniła mi możliwość udzielania korepetycji, którymi mogłabym pomóc Rodzinie. Obie sprawy, tak dla mnie ważne, przybrały dobry obrót. Zdołałam wówczas w domu przezwisko "Pędziwiatr", bowiem tak ułożyły się moje zajęcia w szkole i drużynie harcerskiej.

Przyszła fatalny rok 1924, a z nim wielkie nieszczęście rodzinne-śmiertelna choroba naszej Mamy, rak wątroby. Operację przeprowadzał znakomity chirurg dr. Bolesław Szarecki w Szpitalu

PCK na Powiślu. Okazało się, że choroba jest ogromnie zaawansowana, że nie ma ratunku. Jakże trudny był ten rok zakończony śmiercią Mamy w dniu 17 sierpnia.

Byłam już na drugim roku polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego i pielęgnowałam w domu Mamę po operacji. Ojciec zrozpaczony, kompletnie bezradny, niezdolny do kontaktów z lekarzem. Mama nie opuszcza łóżka, ma okresy zaburzeń świadomości coraz częstsze i coraz dłuższe. W tym czasie Tola jest chora na malarię. Ja muszę w pokoju obok chorych udzielać korepetycji, aby zasilić ubożuchne finanse rodzinne. I w tym czasie nasza Babcia nie jest w stanie zrozumieć sytuacji, faktu, że Mama jest ciężko chora. Ma za złe, że "Ludwisia odpoczywa w łóżku, leni się, nie pracuje". Stało się konieczne umieszczenie Babci w domu starców przy ulicy Krochmalnej. Mama umierała w długiej agonii, była nieprzytomna, chwilami pobudzona ruchowo, miała lęki i halucynacje. Józio w tym czasie odbywał służbę wojskową i otrzymał tylko jednodniową przepustkę na pogrzeb Mamy. Została pochowana na Cmentarzu Powązkowskim obok swego Ojca Stanisława Stebnowskiego. Po powrocie z wojska Józio ożenił się i wyprowadził z domu Rodziców. Dalsze losy naszej Rodziny są Ci znane: Mama po ukończeniu seminarium nauczycielskiego pracowała w kilku szkołach, a następnie wyjechała do Belgii, gdzie poznała Twojego Ojca. Józek po ukończeniu szkoły handlowej pracował w dobrych przedwojennych firmach, między innymi w znanym magazynie Braci Siudeckich. Ja skończyłam polonistykę na Uniwersytecie. Nauczałam języka polskiego, ale wiele czasu poświęcałam działalności w Związku Harcerstwa Polskiego. Byłam w latach 1931- 1934 Komendantką Chorągwi Warszawskiej Z.H.P. Stąd moje kontakty i dalsza działalność w czasie wojny i okupacji. We wrześniu, zgodnie z rozkazami, pełniłyśmy rolę sanitariuszek w oddziałach frontowych. Wracałam do Warszawy po jej upadku. Zaczęłyśmy przygotowywać się do przyszłej pracy po zwycięskiej wojnie. Innego jej końca poprostu sobie nie wyobrażałyśmy. Mimo wszystko. Jako zadanie obrałyśmy przygotowywanie się do pracy pedagogicznej na Warmii, Mazurach i Powiślu. Studiowałyśmy literaturę poświęconą tym ziemiom mimo wszelkich trudności jej zdobywania. Opierałyśmy się w swoich studiach na wydawnictwach Związku Obrony Kresów Zachodnich oraz na ... literaturze niemieckiej. Jeżeli obecne władze nie będą nam przeszkadzały spełnimy swój obowiązek.

Wakacje we Włochach minęły i wróciliśmy z Mamą do domu, Wciąż nie było śladu wieści od Ojca. Najgorsze było oczekiwanie. Czy przeżył przejście frontu ?. Wiedzieliśmy, że Niemcy często zabijali więźniów przed nadejściem armii sojusznicych. Na Nieporęckiej rodzin oczekujących wieści o zaginionych bliskich było wiele. Rodziny szukały zaginionych przez radio, Polski Czerwony Krzyż, pismo REPATRIANT, ale także funkcjonowała nieformalna wymiana informacji pomiędzy ludźmi. Witkowie szukali córki, pani Olczakowa syna Stasia, pani Świątkowska także syna. Stasio Olczk, siedemnastoletni syn i siostrzeniec naszych sąsiadek poszedł do Powstania jako członek Szarych Szeregów. Ktos z rodziny mieszkający na Ikewym brzegu Wisły już po upadku Powstania otrzymał od niego tylko jedna kartkę pocztową, w której zawiadamiał bliskich, że jest więziony w obozie dla żołnierzy powstańców gdzieś w Alpach i jedynym pożywieniem jest dla nich świeże powietrze i wspaniałe widoki ośnieżonych szczytów górskich. Zapewne został zbrodniczo zagłodzony. Żadnych więcej informacji co się z nim stało obie panie nie dostały. Wszyscy zaginieni z pokolenia Kolumbów poszli do powstania. Nikt się z nich nie odnalazł, co gorsza nie odnalazły się także ich groby, ani wieści o ostatnich chwilach. Po prostu wyparowali jak wielu, wielu innych. Na wiosnę 1945 roku trwała w Warszawie wielka akcja ekshumacyjna poległych w czasie Powstania. Grobów zabitych w tym czasie była masa w całym mieście przekształconym w jeden wielki cmentarz. Na wielu ulicach groby ulokowano wzdłuż krawężnika w miejscach, gdzie płyty chodnikowe przeniesiono na pobliskie barykady. Na poszczególnych placach, skwerach i ogrodach znajdowały się ich większe skupiska. Jednym z większych cmentarzy powstańczych był Ogród Krasińskich położony na tyłach pięknego niegdyś, wypalonego w czasie powstania Pałacu Rzeczpospolitej. Tu liczba grobów sięgała bodaj tysiąca. Od wczesnej wiosny 1945 roku tu spotykały się polskie matki bolesciwie odgrzebujące okaleczone ciała swych dzieci. Nauczycielka, koleżanka mojej Mamy pani Dybczakowa znalazła tu swoich dwóch synów Jerzego i Bogusława poległych w Powstaniu na Starym Mieście: 19 i 21-letnich chłopców. Obaj uczniowie tajnego gimnazjum i liceum im. Króla Władysława IV walczyli w

elitarnym oddziale Armii Krajowej-batalionie Wojskowej Ochrony Powstania „ Dzik „. Za pierwszym razem wykopano szczątki młodszego Bogusława i drugie ciało, bardzo zniekształcone, które uznano za ciało jego starszego brata Jerzego z powodu kartki z imieniem, nazwiskiem i adresem matki znajdującym się w jednej z kieszeni ubrania. Po pochowaniu obu szczątków na odpowiedniej kwaterze Cmentarza Wojskowego na Powązkach, po oplakaniu obu okazało się, że odnaleziono kolejne, tym razem niewątpliwe zwłoki starszego syna. Dzisiaj leżą obok razem dwaj młodzi Dybczakowie i ich nieznany kolega z barykady. Ileż takich sytuacji było.

W drugiej połowie września 1945 roku otrzymaliśmy pierwszy list Cioci Jadzi z Olsztyna: „ *Musicie wiedzieć, że 3 września 1945 roku uroczystym nabożeństwem w Katedrze olsztyńskiej p.w. Świętego Jakuba rozpoczęliśmy pierwszy rok szkolny w Polskiej szkole (!) noszącej nazwę: Państwowe Gimnazjum Żeńskie. Mamy 121 uczennic z różnych stron Polski i kilka nauczycielek. Szczególnej troski wymagają dziewczęta repatriowane z Kresów Wschodnich oraz Mazurki, autochtonki. Mamy wielką różnorodność kultur i języka, ale wszystkie chcą się uczyć.* „.

Pierwsza wiadomość od Ojca dotarła do nas w końcu września 1945 roku. Z brytyjskiej strefy okupacyjnej dotarł do nas pewnego dnia nieznajomy człowiek. Pokazał krótkie pismo od Ojca, napisane Jego charakterem, które informowało nas, abyśmy zaufali i wysłuchali tego co Pan X ma nam do powiedzenia. Pan X zapoznał nas z formularzami in blanco przepustek brytyjskich uprawniających okazicieli do podróżowania po okupowanych Niemczech. Ojciec czekał na nas w Niemczech, jeżeli Mama zdecydowałaby się na emigrację w nieznane. Chodziło głównie o to, że wieści wśród Polaków w Niemczech na temat sytuacji w Polsce były w tym sensie przerażające, że na trzy-cztery lata wyprzedziły okropności okresu stalinowskiego przełomu lat 1940/1950 tych. Propozycja ta była a priori odrzucona przez Mamę, która, podobnie jak wielu Polaków w tym czasie żyjących pomiędzy Bugiem i Odrą, była w dziwny sposób przekonana, że za chwilę odbędzie się drugi akt wojny światowej, a mianowicie konflikt Zachodu z Rosją Radziecką. Nieznajomy odjechał bez listu, ale z Mamy decyzją negatywną przekazaną „ na gębę „.

18 września 1945 roku kończyłem dziesięć lat. Z tej okazji Mama zrobiła mi wielki prezent: pójście do kina. Nigdy przed tym w kinie nie byłem, ponieważ w czasie okupacji żaden porządny Polak tam nie chodził. „Tylko świny siedzą w kinie „, głosiły nalepki rozklejane na murach przez harcerzy z akcji Wawer. Doszliśmy poprzez ruiny ulicy Chmielnej do kina „ Atlantic „, którego sala jakimś cudem przetrwała powstanie. Wyświetlano cudowną, kolorową, przedwojenną bajkę Walta Disneya „ Królewna Śnieżka „. Ponad godzinę czar tego filmu pozwolił mi zapomnieć o mrocznej rzeczywistości nas otaczającej. Później byłem stałym bywalcem kina w świetlicy tramwajarzy przy zajezdni tramwajowej na ulicy Kawęczyńskiej. Wyświetlano tam dwa dni w tygodniu, zwykle w soboty i niedziele kroniki wojenne amerykańskie oraz teże produkcji filmy wojenne. Szczególne wrażenia na tłumie chłopaków ze Szmulek zrobiły dwa filmy wojenne: „ Pięciu zuchów „, film poświęcony służbie wojennej pięciu braci marynarzy ginących w akcji na Pacyfiku oraz „ Mściwy jastrząb „, film o walkach lotników U.S.A z Japończykami. Tłumy dzieciaków, a między nimi Mirek Damm, Maciek Tojak i ja, siedziały murem przez dwa dni za kilka złotych. Ta frajda skończyła się niebawem ze względu na „ zły wpływ imperialistycznego filmu na młodzież kraju demokracji ludowej „.

W roku 1945 Tygodnik Powszechny wydany w dniu 24 września w artykule Stefana Kisielewskiego, jak mówią Mama i Ciocia Jadzia, rozdrapuje niezabliźnione rany Polaków. Poddaje w wątpliwość sens podjęcia w Warszawie powstania w sierpniu roku 1944, a więc „ przed chwilą „. Píše w nim między innymi: „ *Naród naprawdę męski nie walczy nigdy do ostatniej kropli krwi „, mawiał Ludendorff – typowy przecież nacjonalista. I to jest prawda. Na tym polega prawdziwy patriotyzm, patriotyzm obdarzony instynktem życia, nakazującym cierpliwość, ostrożność, powściągliwość, subtelność taktyczną w dążeniu do celu zasadniczego. My natomiast tak bardzo tęsknimy do wielkości, do walki, tak nam spieszo do winobrania, że pomijamy poprzedzające je żmudne psychiczne etapy pracy i w rezultacie osiągamy całkowite fiasko, spadamy na samo dno. Polska zawsze jest żebrakiem i płaczką Europy, sprawa polska zawsze jest dla niej kłopotliwą* „. Zdania jednak w środowisku nauczycieli nas odwiedzających są w tej kwestii podzielone.

U progu nowego roku szkolnego 1945/1946 Szwajcarzy i Norwegowie zgłosili propozycje wzięcia polskich dzieci na kilkumiesięczne „odżywienie”. Będąc synem nauczycielskim, potencjalnym pól sierotą, miałem pełne szanse na wyjazd. Tu jednak moja Mama stanęła okoniem. Jej zdaniem przecież za chwilę miała wybuchnąć wojna. Jak więc mogła rozstać się dzieckiem? Decyzja była prawidłowa tylko, jak czas pokazał, przesłanki fałszywe. Dość powszechnie głośno mówiono i pisano na murach: „*Panie Truman, puść ta bania! (-bomba atomowa – przyp. G.J.) Tu jest nie do wytrzymania!* „.

Nasze życie było trudne. Kraj był zniszczony w sposób niewyobrażalny. Brakowało wszystkiego. Wielu mężczyzn wywiezionych w czasie branki przeprowadzonej na Pradze we wrześniu 1944 roku zaginęło i nie było o nich żadnych wieści. Niektórzy wracali okaleczeni, postarziali, wynędzniali. Wielu nie miało ani do kogo, ani do czego wracać. Deklarowano więc gotowość i chęć wyjazdu na tak zwane Ziemie Odzyskane. Przez południe i północ Polski w jej nowych, okrojonych granicach przetaczały się rzesze byłym mieszkańców południowo – wschodnich województwa II Rzeczypospolitej. Lwowiacy kierowali się głównie na Dolny Śląsk. Wileńszczyzna zdążyła północnym szlakiem na Warmię, Mazury i Pomorze Zachodnie.

Mimo, że warunki życia były ciężkie wrzała praca nad odbudową miasta i kraju. Każdego dnia gromady ludzi, mniej lub więcej zorganizowane, wędrowały na odgruzowanie. Wielu było sceptykami i twierdziło, że Warszawy nie odbudujemy nawet za sto lat. To zapewne ułatwiało wielu ludziom decyzje o przeniesieniu się na Zachód czy Północ. Należy brać też pod uwagę, że wielu ludzi wciągniętych w konspirację widząc rozwój wydarzeń chciało się zgubić w nowym otoczeniu, z dala od okolicy, w której działali w czasie okupacji w ruchu oporu. Cokolwiek na ten temat by się dzisiaj nie mówiło i pisało w owym czasie na temat totalnej dewastacji rdzennych ziem Polski przynależnych do II Rzeczypospolitej spowodowanych wojną, Ziemie Odzyskane, mimo zniszczeń dokonywanych celowo i planowo przez Armię Czerwoną już po wyparciu Niemców, były oazą normalności i dobrobytu.

Pół Polski uczyniło sposób życia i bycia z tak zwanego „szabru”, to znaczy ogałacania nie zajętych tam jeszcze poniemieckich mieszkań, domów i zakładów pracy ze wszystkiego co dało się uruchomić i przewieźć. Ziemie te w następnych latach łatwo popadały w ruinę, ponieważ nie dominowali tam przesiedleńcy typu Ciocia Jadzia, a raczej ubogi i prymitywny Kurp, który na wzór bojca z Krasnej Armii rabował wszystko co zrabować było można, zaś resztę dość często niszczył. Dochodziła do tego irracjonalna wiara w dalszy ciąg wojny światowej i groźba, że Niemcy, jednak wciąż silne, pójdą z Amerykanami na Ruskich. Trzeba więc było doczekać jakoś tej następnej wojny, a nie remontować to, do czego Niemiec, być może, wróci.

Przyglądano się z uwagą działaniom nowej władzy i coraz więcej danych przekonywało o tym, że nie jest ona suwerenną. Jednak czyniono pozory, które miały na celu uspienie czujności znacznej części społeczeństwa. I tak w maju 1945, po ogłoszeniu końca wojny, zorganizowano Mszę Świętą polową, w której udział wzięli czołowi dostojnicy nowego „establishmentu”. Na Boże Ciało Bierut prowadził w czasie procesji w Warszawie Prymasa Hlonda, co miano odczytywać jako szacunek dla Kościoła. Jednocześnie z prowincji dochodziły wieści o walkach z oddziałami leśnej partyzantki antykomunistycznej i represjach w stosunku do ludności całych regionów, zwłaszcza na terenach Podlasia, Podhala czy Suwalszczyzny. W górach działała ponoć partyzantka góralska, której przewodził niejaki „Ogień”. Nowa władza w sposób oczywisty uznała za wroga Armię Krajową nazywając jej żołnierzy zapłutymi karłami reakcji, co oznajmiono w masowo rozlepionych ohydnych plakatach. To przypominało goebelsowskie plakaty typu „*Żyd to tyfus i wszy!*”. Ludzie byli aresztowani, niektórzy znikali, jak za czasów okupacji. Armia Czerwona była widoczna w kraju, a jej przedstawiciele zachowywali się jak w kraju okupowanym. Powszechnie znane były gwałty i rabunki, co doprowadzało do starć z ludnością polską. Wiele miast na Ziemach Odzyskanych było palonych kilka dni lub nawet tygodni po wejściu wojsk sowieckich.

W ślad za oddziałami radzieckimi wypierającymi Niemców posuwały się oddziały NKWD, które miały ponurą sławę od roku 1939. Pojawiły się także nieznane w innych armiach świata oddziały stawiające „pomniki wdzięczności”. Jest to rzecz godna zanotowania dla potomnych i być może do wykorzystania przez przyszłych zwycięzców. Otóż przyjeżdżał taki oddział „pomnikowy”,

na przykład do Warszawy, miał na samochodach gipsowe figury czy tablice, o żadnej wartości artystycznej, sprowadzał jeńców niemieckich, których rękami budowano „pamiętnik „. Dokładnie w taki sposób, w mojej przytomności, budowano na Pradze dwa pomniki: pierwszy nazwany przez Prażan pomnikiem „czterech śpiących i trzech walczących „, ustawiony na skrzyżowaniu ulic Targowej i Zygmuntowskiej, przed gmachem Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych, drugi zaś u wejścia do Parku Paderewskiego (Skaryszewskiego) od strony Ronda Waszyngtona. Wykorzystano do jego budowy postument ceglany przygotowany tu przed wojną do postawienia pomnika Paderewskiego. Na obu mogliśmy jeszcze w roku 2000 wyczytać, że to dzieło wdzięcznych mieszkańców Warszawy. Przywożone przez Ruskich figury i tablice „dziękczynne „, były gipsowymi, ale pociągniętymi jakąś metalizowaną farbą, co stwarzało imitację posągów z brązu. Dopiero w drugiej połowie lat 1950-tych tą ruską tandetę w ramach „remontu „ zastąpiono postumentem z piaskowca i figurami z metalu.

Stryjek Stasiek siedział w więzieniu i tylko od czasu do czasu jeździł do niego Dziadek Janczewski korzystając ze zniżki na opłaty biletowe przysługujące emerytowanym kolejarzom. Tymczasem w czasie jego uwięzienia żona Ciocia Genia urodziła mu syna Witolda.

U nas w domu Mama pracowała od rana do wieczora, podobnie jak w czasie okupacji niemieckiej, biegając po mieście z korepetycjami. Ja z kluczami zawieszonymi na szyi wracałem do domu i musiałem przygotować produkty, z których Mama po powrocie gotowała zupełną podstawę, a wcale często jedyne danie. Do moich obowiązków należało obranie kartofli, włoszczyzny, rozpoczęcie gotowania zupy wedle pozostawionej instrukcji. Z mięsem było krucho ze względu na jego wysoką cenę. Jajka, jako względnie tanie, zgodnie z zaleceniem doktora Bielobratka uzupełniały moje potrzeby na białko podobnie jak rozwożone na wózkach ulicznych nieznanne nam dotąd ryby dorsze. Wciąż słyszało się na ulicach głośno: „*Ryby dorsze – nie najgorsze !*”. Podobnie było w domach moich przyjaciół. Szczęśliwie wrócił ojciec Mirka Damma z obozu jenieckiego. Wróciła szczęśliwie z obozów koncentracyjnych Stuthoff i Ravensbruck Rodzina Usarków. Doktor Usarek wrócił na stanowisko Dyrektora Gimnazjum i Liceum im. Króla Władysława IV, ale Jego Żona, pani Stefania z nieznanymi mi powodów nie wróciła na swoje miejsce w Szkole Ćwiczeń nr. 126 na Otwockiej.

Powoli zbliżał się do końca rok 1945, który tyle zmian przyniósł. Kontakty z Ojcem były szalenie trudne ze względu na bałagan istniejący na poczcie z jednej strony, z drugiej zaś na działającą cenzurę wojskową korespondencji. W końcu października 1945 roku dotarł do nas, adresowany do mnie list napisany na odwrocie fotografii przedstawiającej grono pedagogiczne Liceum Polskiego w Lippstadt. Ojciec pisał:

„ Lippstadt 15.X.1945 r. Kochany Grzesiu ! Serdecznie Cię pozdrawiam i mocno całuję. Tęsknię za Tobą i Mama – wierzę, że wkrótce się spotkamy. Napisz do mnie. Jestem zdrowy i dobrze fizycznie się czuję. Wspominam często te chwile, kiedy prosiłeś aby opowiadać Ci bajki. Jesteś już starszy i widzisz, że życie jest także smutną bajką. Składa się na nie gorycz rozłąki i niecierpliwość i oczekiwania na zobaczenie najbliższych Ciągle jesteś w moim sercu i chciej o mnie myśleć dobrze. Mocno Cię ściskam i całuję. Twój zawsze. Władysław.

W grudniu 1945 Mama wysłała do Ojca list:

Warszawa dnia 5- tego grudnia 1945 roku. Kochany Władku ! Niedługo będzie rok, jak wymieniliśmy ostatnie kartki. Zbliżają się Święta Bożego Narodzenia, więc tym bardziej pragnę, aby ten list był jedyną, skromną Gwiazdką dla Ciebie od nas. Wszyscy żyjemy i jesteśmy zdrowi. Ja z Grzesiem mieszkamy w naszym dawnym mieszkaniu i wspólnie gospodarujemy, wspólnie przeżywamy swoje radości i smutki. Rodzice Twój są również zdrowi i mieszkają pod dawnym adresem, a u nich Jasia z Leonem i dwojgiem dzieci, bowiem przybyła im córeczka. Ja pracuję bardzo ciężko, aby zaspokoić wszystkie nasze potrzeby. Materialnie bardzo mi pomaga Jadwiga, która obecnie, od września pracuje w gimnazjum w Olsztynie. Moim największym przyjacielem, który mnie nigdy nie opuszcza jest Grzesio. Jest on przemity, cieszy się wielką sympatią ludzi. Z nim się najlepiej czuję i przez niego zawsze jestem rozumiana. Urosł bardzo, sięga mi do połowy twarzy. Palto zimowe ma do kolan. Buty moje może nosić, bo tak urosła mu noga. Nowe dla niego buty, chociaż używane, przywiózł Mu z Wrocławia brat Jasi Lindner, zaś drugą parę, na gumie,

dostałam dla Niego na kartki. Grześ jest szczupły, ale cerę ma bardzo ładną i nie choruje jak dawniej. Spoważniał, uczy się bardzo dobrze i samodzielnie. Myśli często i serdecznie o Ojcu. Sprawi Ci on bardzo dużo radości po powrocie. Ja obecnie pracuję w szkole numer 192, ale podstawą finansową są dla mnie lekcje prywatne. Dzień mam wypełniony pracą po brzegi. Wszystkie czynności muszę wykonywać sama, bo o pomocy z żadnej strony nie ma mowy.

Musisz wiedzieć, że wielu rzeczy nie mogłam się doszukać po naszej kilkumiesięcznej nieobecności w mieszkaniu. Wiele zniszczyło się z powodu zakopania w piwnicy-część Twoich ubrań zwłaszcza, część zostawili u siebie Twoi Rodzice, jak rozumiem dla Leona. Dużo dla Ciebie nie zostało. W szafie wisi Twój czarny garnitur, ale mocno podniszczony. Ale wszystko nie jest tak ważne, jak to, abys był znowu razem z nami.

Dużo znajomych wróciło z tułaczki, z niewoli. Wrócił w marcu, z oflagu, Heniek Reinhardt, wyjechał pracować do Olsztyna i tam zmarł na tyfus. Bardzo to przeżyliśmy.

Jeśli chodzi o listy to pisz kartki z nadrukiem w języku angielskim w kole lub trójkącie. Gdy otrzymam taka kartkę, wtedy mam możliwość wysłania listu do Ciebie pocztą dwa razy w miesiącu. Ten list i wysyłam za pośrednictwem Czerwonego Krzyża w Londynie. Pragniemy, abys się o nas nie martwił, dajemy sobie radę. Pragniemy, abys nabrał sił i po długiej chorobie przedłużył swój czas rekonwalescencji. Powrót wśród zimy mógłby źle wpłynąć na Twoje zdrowie. Na razie Rodzice mają dosyć zmartwień ze Stachem, który nam poważnie niedomaga. Tęsknimy bardzo za Tobą, ale pragniemy Cię widzieć wszyscy zdrowego, zdolnego do pracy, bo pracy w Polsce jest ogromnie dużo. Całujemy serdecznie. Tola i Grześ.

Nie wiadomo było, jak przemycić Ojcu, przy cenzurze wojskowej nowego reżimu wiadomość o uwięzieniu Stacha Janczewskiego, stąd te wygibasy słowne w liście.

Zaczęli wracać ludzie z okolic Niemiec, gdzie przebywał Ojciec, przywozili wieści o Nim, drobne upominki: coś z ubrania dla Mamy, czekoladę i inne słodczyce dla mnie. Chwała tym ludziom, z których każdy miał swoje sprawy i swoje ubogie bagaże wiezione do domu po kataklizmach. W lutym 1946 roku nadszedł list od Ojca:

Lippstadt (Westfalia) 20 stycznia 1946 roku. Kochana Tolusiu ! Ja tu pracuje od 8 kwietnia 1945 w szkolnictwie i pensji nie pobieram, w związku z tym staraj się o jakąś pomoc w Związku Nauczycielstwa Polskiego. Minister Wycech (Minister Oświaty w tych czasach-G.J.) zgodził się rodzinom tutejszych nauczycieli wypłacać w kraju. Pracuje w gimnazjum w Lippstadt. Jest tu u nas cały ośrodek szkolny: gimnazjum, liceum, szkoła handlowa, przysposobienie kupieckie, szkoła rolnicza, szkoła szoferska i bielizniarska. Uczy się przeszło 600 osób. Pracujemy w byłych gimnazjach niemieckich. Nauczyciele przeważnie byli jeńcy z oflagu w Dossel. Mieszkamy w wysiedlonych z Niemców domach w mieście. Żywią nas w kasynie. Ze mną jest dwóch młodych studentów: jeden świetny śpiewak Zygmunt Kossakowski, drugi Tadeusz Czyżewski artysta plastyk, obaj chłopcy z Bródna. Część nauczycieli wyszła z obozów koncentracyjnych, uczniowie z koncentraków, powstańcy warszawscy, żołnierze września 39 roku, trochę deportowanych do pracy przymusowej. Żyję myślą o Was. Mogłem jechać dalej, ale mnie ciągnie do Was. Siedzę, bo tu bliżej. Napisz mi, czy istnieją dla mnie jakieś możliwości życia i pracy. Rozumiesz, że wolałbym wrócić, bo gdzie pojedę bez was. To dla mnie żadne życie. Jeżeli napiszesz mi, że mogę wrócić, to wrócę. Z Centrali szkolnictwa proszą, abyśmy wszyscy dotrwali do czerwca, to znaczy do końca roku. Potem wszyscy się rozjadą, jedni na Zachód, inni na Wschód, inni zostaną tu, w strefach okupacyjnych. Tu mówią tak różnie, że można wierzyć tylko komuś bardzo bliskiemu. Jeżeli Twoje życie tam jest bardzo złe to zrobię wszystko, aby Was tu ściągnąć, ale rozumiesz, że to ostateczność, bo tułaczka z wojskiem to ciężki los i niepewny. Wladek.

W Polsce działo się wiele, ale ja i moi koledzy byliśmy tym wszystkim zainteresowani na tyle o ile oznaczało to szanse na powrót do normalnego dzieciństwa. Nadal było bardzo ciężko. Mama pracowała ponad siły, w domu był niedostatek, a każda część odzieży, zwłaszcza buty zdobywało się z ogromnym wysiłkiem i kosztem ograniczeń w i tak skromnych wydatkach. Ubrany byłem w tym czasie w dopasowany angielski „battle dress”, i zmniejszone spodnie Ojca. Ten okres mego życia, poza okresem wojny, nauczył mnie szacunku dla każdego wydanego grosza, każdego kawałka chleba. Od czasu do czasu przychodziła od Ojca niewielka paczka, dość często okradziona

w czasie przesyłki. Każda jednak była wartością nie tylko materialną i świadczyła, że Ojciec o nas pamięta. Nowa władza, zwana niekiedy „ ludową i demokratyczną „, poza narastającym terrorem w stosunku do pozostałości Podziemia Londyńskiego wdrażała nowe prawa. W początku roku 1946 ukazał się dekret o: *„odpowiedzialności za klęskę wrześniową i faszycyzację życia państwowego „.Prawo działające wstecz miało być podstawą „, prawną „, do obywatelskiego i fizycznego eliminowania z życia publicznego ludzi, którzy przed 1939 rokiem pełnili jakiegokolwiek urzędy w II Rzeczypospolitej.Mieli oni:” działać na szkodę narodu lub państwa przez umniejszenie lub osłabienie siły zbrojnej polskiej lub sprzymierzonej, a także przez osłabienie ducha obronnego społeczeństwa polskiego „. Jeżeli wziąć pod uwagę, że nieomal każde polskie dziecko wiedziało o tym, że to właśnie komuniści przed wojną osłabiali „ ducha obronnego „, przez dywersyjną propagandę antywojenną, współpracowali z Rosją Sowiecką nad rozbudowywaniem agentury w Wojsku Polskim, a następnie wyrazili entuzjazm z powodu „ wyzwolenia „, tak zwanych Zachodniej Białorusi i Zachodniej Ukrainy „, po 17 września 1939 roku – to „ do kogo Panowie ta mowa ? „.W szkole rok szkolny zbliżał się do końca i wraz z nim kończyłem naukę w klasie czwartej. Wiele czytałem. Moją pasją były powieści Jamesa Corwooda, które urzekały mnie pięknem opisów przyrody i życia zwierząt. Pani Irena Wilska, moja poprzednia wychowawczyni, była obecnie kierownikiem Teatru Międzyszkolnego. Mogła tym zrealizować marzenia swego życia. Przed wojną była jednym z redaktorów pisemka dla dzieci „Płomyczek „.Teraz pisała, reżyserowała, starała się o fundusze, o salę, dobierała sobie aktorów-dzieci. Byłem jednym z tych aktorów, co zmuszało do wykuwania się w domu ról. To była duża frajda i oderwanie się od wielu trosk życia codziennego.*

Późną wiosną 1946 roku po raz pierwszy w życiu byłem na spektaklu w prawdziwym teatrze. I to w jakim teatrze. Od stycznia 1946 wznowił działalność artystyczną Teatr Polski wystawieniem „Lilli Wenedy „. Cóż to była za obsada: Juliusz Osterwa, który reżyserował przedstawienie, Elżbieta Barszczewska, Marian Wyrzykowski, Wojciech Brydziński, Ewa Kunina i wielu innych znakomitych polskich aktorów tych czasów. W istocie dramat jaki toczył się na scenie, efekty specjalne spowodowały, że bałem się w czasie przedstawienia potężnie.To nie były już wesołe harce na uczniowskiej scenie. Teatr Polski stanowiący zawsze jedną z pierwszych scen teatralnych w naszym kraju, wciąż kierowany przez szczęśliwie ocalałego Arnolda Szyfmana pozostał w stanie nieomal nienaruszonym. Był w czasie okupacji teatrem „ Nur fur Deusche „, i Niemcy poprostu nie zdążyli go zniszczyć. Otaczało go morze ruin Nowego Świata z jednej strony, zaś Krakowskiego Przedmieścia z drugiej. Zburzony gmach byłego Domu Karasia odślaniał patrzącym od strony frontonu teatru pusty cokół po wywiezionym pomniku Kopernika oraz ruiny kościoła Świętego Krzyża. Bezmiar zniszczeń materialnych przytłaczał, ale grono naszych wspaniałych aktorów, piewców cudownej mowy polskiej ocalało.

W marcu 1946 otrzymałem imienninowy list od Ojca:

Lipstadt 5 marca 1946 roku. Kochany Syneczku ! Co Ci życzyć w Dniu Twych Imienin ?. Życzę Ci zdrowia, siły i wszystkiego dobrego. Myślę tu ciągle o Was najbardziej serdecznie i najbardziej czule. Cieszę się, że jesteś przyjacielem Mamusi i że we wszystkim szczerze i życzliwie Jej pomagasz !. Ileż daje mi ta myśl dumy i radości, że mam tak dzielnego syna. Odczytałem Twój ostatni list kolegom i wszyscy szczerze żalowali, że nie mają takiego syna.Tak sobie myślę jak to my się Mamusi odwdzięczymy za Jej wielki trud ?. Czy będziemy mogli wynagrodzić Jej za tyle pracy i tyle serca ?. Jak Jej podziękujemy i czy zdołamy cała wdzięczność Jej wyrazić ?. Tymczasem proszę Cię abyś zastąpił Jej brak jaki się wytworzył moją nieobecnością.Cieszę się, że grasz w teatrze międzyszkolnym i że dobrze się uczysz. Im więcej zdobędziesz gruntownej wiedzy tym będziesz dzielniejszym chłopcem, tym lepiej przygotowanym do życia, które jest ciężkie, pełne trosk i smartwień, ale jednak tak piękne.Gdy będziemy razem, gdy znów usiądziemy razem i będziemy mówić o książkach znikną smutne wspomnienia i wtedy będziemy się cieszyć życiem. Ucałuj ode mnie wszystkich naszych bliskich. Jeszcze raz Cię mocno całuję. Trzymaj się dzielnie.Ojciec.

Ojciec żywił naturalne, dla wielu przymusowych emigrantów, obawy przed tym jaki będzie jego los w Polsce, takiej jaką była ona AD 1946 pomiędzy Bugiem i Odrą z radzieckimi załogami. Trudno było przekazywać Mu wszelkie opinie w listach otwieranych przez wielu nieproszonych

cenzorów. Pisali jednak do Niego także znajomi i przyjaciele, którym zadawał te same pytania. I tak Pani Irena Wilska:

Szanowny panie Władysławie ! Pozdrawiamy serdecznie wraz z Witoldem i życzymy, abyśmy niedługo mogli Pana tu powitać zdrowego i pełnego sił do pracy. Często myślimy i rozmawiamy o Panu. Przyszła właśnie karta poprzez Związek Nauczycielstwa Polskiego. Najbardziej wzruszyło mnie pytanie Pana: czy znajdzie się dla mnie miejsce w szkole ? Myślę, że nie jedno ! W gimnazjum rembertowskim od miesiąca potrzebują polonisty. Mówiłam o Panu. Szkoda, że Lippstadt tak daleko. Pana Najbliżsi sprawują się dzielnie. Grześ urósł, zmęźniał, z uczuciem wspomina wszystko co dotyczy Tatusia. Gorzej wygląda Pani, na pewno zyskała by na zdrowiu, gdyby Pan wrócił. Szkoła wraca do gmachu na Otwockiej. Życie idzie w coraz szybszym tempie. Młodzież się kształci, a nauczyciele pracują w dzień i wieczorem dla dorosłych. Witold ze zdrowiem stale niedomaga. Pozdrawia Pana serdecznie i uważa, że niezbyt prędko powitacie się obaj. Jeśli chodzi o te sprawy zawsze jesteśmy odmiennego zdania. Zobaczmy, kto będzie miał rację ? Wszystkiego najlepszego we wszelkich zamierzeniach i spełnienia tychże. Irena i Witold Wilsy.

Pan Witold Wilski, żołnierz Armii Krajowej ps. ps. „Stawisz „ zamieszkały w Warszawie przy ulicy Siedleckiej 29 m 5, podporucznik, dowódca plutonu 1600/ XXVI Obwodu II Rejonu Warszawskiego Okręgu Armii Krajowej był konspiracyjnym przełożonym mego Ojca. Przechowywano w jego mieszkaniu wiele dokumentów A.K., które niedługo po zakończeniu wojny zostały „zabezpieczone „ przez Urząd Bezpieczeństwa. To były te „ niedomagania zdrowotne Witolda „, o których wspominała pani Irena.

Oraz list od kolegi-nauczyciela pana Kazimierza Taraszkiewicza.

Kolego ! Przeczytałem Pana list i odpisuję. Moim zdaniem wracajcie wszyscy, bo nic ciekawego nie będzie !. Będziecie żyli Wy jak i my tutaj żyjemy. Pensje absolutnie nie wystarczają na utrzymanie. Ja mam 2200 złotych, ale kilo słoniny kosztuje 320 zł. Ciągła walka o byt, jednak musimy to sami przewyciężyć, bo Zachód nam nie pomoże. Musimy sobie sami stworzyć byt Polski. Ludzi jest wielki brak. Wy też znajdziecie pracę i to bez trudności !. Trudno, wpływy rosyjskie są ogromne, ale nic na to w tej chwili nie poradzimy. Dzieje historii nas łączą z nimi. Anglia dotychczas nic nie zrobiła aby nam ulżyć. Anglia nas głaszcze po głowie kiedy jej jesteśmy potrzebni. Jestem za stary, aby mnie bujać. Chyba macie jakieś zaufanie do Mikołajczyka, a on powiedział, że tylko z Rosją musimy mieć sojusz, zaś z zachodnimi demokracjami żyć w przyjaźni. Ja dotychczas miałem jakieś wahania, ale dzisiaj po jego przemówieniu na Kongresie PSL nie mam żadnych złudzeń. Co do Anglii to takie sobie wyrobiłem zdanie, że jest to prostytutka i nikt więcej. Ona widzi tylko własne interesy i to na krótką metę. Przyjeżdżajcie bo wielu nauczycieli wróciło, ale wielki jest brak ludzi z charakterem. Serdeczne ucałowania. Kazik.

Mikołajczyka widziałem w czasie ogromnego wiecu przed Dyrekcją DOKP przy ulicy Wileńskiej, kiedy wraz z Bierutem i Osóbką -Morawskim przemawiali do tłumów po powrocie z Moskwy, gdzie utworzono rząd tymczasowy. Były tłumy szalejące ze szczęścia, wobec perspektywy jakiejś normalizacji. Mikołajczyk był na pierwszy rzut oka niesympatyczny, jakiś nadęty, a może smutny wobec tego wszystkiego z czym się zetknął w Polsce roku 1945. Co z tego wyszło-czas pokazał. Prawdę mówiąc nie za wiele mnie to wówczas obchodziło. Kończyłem dziesiąty rok życia, czwartą klasę szkoły podstawowej i czekałem wciąż na Ojca. To było dla mnie najważniejsze.

W marcu 1946 roku napisała do Ojca list Ciocia Jadzia, z której opinią liczył się On bardzo:

Kochany Władku ! Pytałeś w liście przesłanym do mnie co robić-wracać czy nie wracać. Otóż jedno mam tu do zakomunikowania, że jakkolwiek sprawy się potoczą dalej powinniście być razem. Albo Ty razem z Tolą i Grzesiem w kraju, albo odwrotnie oni z Tobą zagranicą. To dla mnie nie ulega żadnej wątpliwości. Tolka jest wyczerpana pracą i rozłąką z Tobą do ostateczności. Dzielnością swoją wzbudza w nas podziw, ale siły Jej słabe nie wystarczą na długo dla tej walki codziennej z dala od Ciebie. Jeżeli więc czujesz, że tam możesz budować przyszłość zabierz Tolę i Grzesia. Naturalnie taki wyjazd może sprawić bardzo wiele poważnych trudności, bo wiem o wielu takich przypadkach, że niemożliwością staje się załatwienie pozytywnej zgody na wyjazd zagranicę. Przemysł jednak i szukaj skutecznego rozwiązania sprawy. Gdybyś

wrócił zrobiło by się wszystko, abys miał odpowiednią pracę, co do tego nie ma wątpliwości. Ludzi brak. Tylko co z sytuacją polityczną-to mnie martwi !. Władku zdecyduj sprawę szybko i po męsku.
Jadwiga

List ten pisany był w obecności człowieka, który TAM wracał i list miał przekazać do rąk Ojca, stąd swoboda wypowiedzenia swych opinii. Dalsze wieści zawarte w listach i od ludzi stamtąd przyjeżdżających dały wreszcie informację najważniejszą: Ojciec wraca w czasie wakacji. Mama, poprzez znajomych załatwiła mi w lipcu pobyt w Ośrodku P.C.K. w Dzieciakowie koło Otwocka, zaś w sierpniu obóz YMCA w Beskidach.

Aby Ojcu nie przewróciło się w głowie ze szczęścia Pan Premier Edward Osóbka-Morawski wydał w czerwcu 1946 roku rozporządzenie, które zabraniało wytwarzanie i sprzedaż dwudziestu siedmiu rodzajów wędlin, takich jak na przykład: kielbasa jałowcowa, krakowska sucha, litewska, wiejska sucha, trzech rodzajów salami czy polędwica łososiowa. Dozwolona była produkcja i obrót tylko 15 rodzajów wędlin, a pośród nich kiszki kaszanej, pasztetowej czy salcesonu krwistego. Ale bazyry pełne były tego wszystkiego. Nie po to przeżyliśmy okupację, aby jakaś „osóbka „ nam się do talerza wtrącała !.

I oto w 23 lipca 1946 roku bawiąc się na piaszczystym brzegu rzeki Świder zostałem wywołany przez wychowawczynię: „Grzesiu, Rodzice przyjechali do Ciebie w odwiedzinę !”. W pędzie nieprzytomnym zobaczyłem niby znajomą, ale zmienioną angielskim mundurem typu „battle dress „ postać mego Ojca.

I wtedy właśnie był dla mnie prawdziwy koniec Drugiej Wojny Światowej.

Przez wielu następnych wieczorów Ojciec opowiedział swoje losy z sierpnia i września 1944 roku.

Opowiadanie Ojca.

W ostatnich dniach lipca 1944 roku byliśmy w stanie alarmu Armii Krajowej. Nie wolno nam było wyjść z domu bez pozostawienia aktualnego adresu. Jeżeli wychodzę na działkę do ZOO to zostawiam o tym wiadomość u sąsiadek. Jednego dnia każą pozostać w domu gotowym na każde wezwanie, innego zwalnając z czuwania. Stan alarmu odwołany. Wciąż jednak pozostajemy w gotowości mobilizacyjnej aż do dalszych rozkazów. Na działce wszystko pięknie dojrzewa. Pomidorów jest moc i wszystkie zaczynają się rumienić. Fasola, buraki, kartofle są dorodne i jak się wydaje na zimę będzie tego wszystkiego dość dużo. W niedzielę 30 lipca przyjechała do mnie Tola z Salomei opowiadając o Grzesiu i o tym co robicie u Lejmbachów. Zjedliśmy wówczas razem obiad i odprowadziłem Ją do tramwaju ponieważ nie chciała pozostawiać dziecka samego na dłużej. Ulice Pragi były bardzo ożywione. Na bezchmurnym niebie krążyły wysoko dwa samoloty sowieckie. Uparcie patrolowały okolice Grochowa i Saskiej Kępy. Niemiecka obrona przeciwlotnicza reagowała słabo. Tola mówi mi:” Dobrze, że już jadę, bo Grzesio nie lubi pozostawać beze mnie ! „. Tramwaj był bardzo zatłoczony i ledwo Ją doń wpełchnąłem. Zginęła w gęstym tłumie pasażerów i nawet nie miałem możliwości Jej pomachać na do widzenia. Po odjeździe tramwaju nr 25 poszedłem na Otwocką. W służbowym domu nauczycielskim ludzi nie było, a dwa wielkie gmachy szkolne stały wyludnione. Nieliczni Niemcy bez kurtek mundurowych kopali ziemię w ogródkach przed szkołami, grabili i sadzili kwiaty podlewając je wodą. Jakaś młoda niewiasta mówi do mnie: „Niech Pan zobaczy ! Mówią, że to już ich koniec, a oni kwiatki sadzą. Żeby tak na ich grobie mogła sadzić te kwiatki ! „.

W bramie domu Siedlecka 29 wciąż tkwił wartownik z rozpylaczem, ale mnie nie wylegitymował kiedy tu wchodziłem. Porucznik inżynier Raczyński, który był dowódcą mego plutonu A. K. powiedział mi, że jest spokojnie, ale że w każdej chwili jest gotowy do obsadzenia szkoły, jeżeli taki rozkaz otrzyma lub jeśli Niemcy szkołę opuszczą. Prosiłem go aby mnie zwolnił jutro ponieważ chcę pojechać do Rodziców i Siostry do Radzymina. Chcę sprawdzić co się u nich dzieje. Powiedział mi, że jest jakby spokojniej. Nie ma stanu alarmowego i dlatego zezwala mi na tą podróż. Mam się zameldować po powrocie.

Bardzo rano w poniedziałek poszedłem na dworzec Kolejki Mareckiej, który wówczas znajdował się za wiaduktem przy ulicy Radzywińskiej. Miałem tam znajomych mego szwagra Leona, kolejarzy. Tu dowiedziałem się, że kolejka nie kursuje od kilku dni, ale dwa czy trzy wagony odjadą do Strugi po jakiś zapas materiałów pozostawionych dla pracowników drogowych. Dzięki protekcji udało mi się odjechać tym pociągiem. Nie pamiętam gdzie mnie wysadzono - w Markach czy w Strudze. Dalej ruszyłem pieszo. Był upalny lipcowy dzień, a droga do Radzimina była kompletnie pusta. Po kilku kilometrach marszu na opustoszałej drodze zobaczyłem dziwne zjawisko. Był to tabor wypełniony po brzegi mężczyznami, kobietami, dziećmi oraz dobytkiem załadowanym w nadmiarze. Wszystko to wydawało ogromny hałas, ale nie reagowało na samotnie wędrującego mężczyznę. Część z tych ludzi była uzbrojona w karabiny i automaty. Po odgłosach dobiegających z wozów domyśliłem się, że jest to tabor uciekających przed bolszewikami volksdojców oraz ruskich związanych z armią Własowa. Po przejeździe tej rozwrzeszczanej hołoty wyszedłem na środek szosy, aby lepiej obserwować to co mogło się wydarzyć przede mną. W dolinie Czarnej Strugi ujrzałem zapory przeciwczołgowe zespawane ze skrzyżowanych szyn kolejowych. Tu ruch był nieco większy i dzięki temu kilkakrotnie korzystałem z możliwości podwiezienia na chłopskich furmankach jadących do domu lub na pole. Dawalo mi to krótki odpoczynek na upalnej drodze. Mijały nas kolejne tabory, głównie uciekających Ukraińców-kolaborantów. Ci mogli być groźni ponieważ wystraszeni strzelali w powietrze dla dodania sobie odwagi. Wczesnym popołudniem dotarłem do domu Janki. Mieszkała wraz z rodziną na przedmieściach Radzimina, około 2 - 3 kilometrów od rynku. Cmentarz poległych w obronie Warszawy z roku 1920 był dalej od Radzimina. Rodzice i Janka byli ogromnie zdziwieni moim przybyciem, ale z ogromnym zainteresowaniem dopytywali się co u nich w domu na Nowym Bródnie, i co na Nieporęckiej. Namawiali mnie, abym poszedł do Radzimina, gdzie na rynku wczoraj wieczorem Niemcy spalili trzy sowieckie czołgi. Szła ze wschodu sowiecka kolumna pancerna i w zasadzce odparto jej atak na miasto. W sąsiedniej wsi Ruski chwalili się, że idą „na Warszawę”, i że nikt ich w tym nie powstrzyma. Znowu bolszewicy pod Radziminem, tym razem oczekiwani. Paradoks historii! Musiałem jednak tego samego dnia powrócić na Pragę. Po zjedzeniu obiadu i wymoczeniu nóg w ciepłej wodzie rozpocząłem powrót do domu. Szedłem kompletnie pustą szosą. Czasami tylko przemykał się nieśmiało chłop z furką, z czego korzystałem dla podwiezienia. Prace żniwne na polach trwały i chłopcy zapytywani, czy zdają sobie sprawę z niebezpieczeństw mówili: „A kto, Panie, da wam jeść w miastach? Musimy robić swoje!”, „Za doliną Czarnej Strugi przeżyłem trudną chwilę. Za zaporami przeciwczołgowymi, ze stogów słomy wyszedł Niemiec z pistoletem automatycznym w ręku wrzeszcząc:” Halt! Halt! „Emocja opadła kiedy zbliżył się do mnie. Był to chłopak 17-18 letni, w za dużym mundurze i zbyt obszernym hełmie, cały drżący, pytający: „Gdzie są Rusy ???”, Nawet nie wywołał we mnie nienawistnej satysfakcji, raczej budził wielką litość i żal jak może wywołać tylko przerażone, zagubione dziecko. Powiedziałem mu, że ani Ruskich ani Niemców w Radziminie nie ma. Był potwornie zmęczony fizycznie i psychicznie i powlókł się ze swoim karabinem do kopy słomy, w którą się zagrzebał.

Wieczorem zmordowany dobrnąłem na Otwocką i od razu wstąpiłem do Raczyńskiego. Gmachy szkół były opuszczone przez Niemców. Obsadziliśmy gmach naszymi ludźmi, aby zapobiec rozkradaniu sprzętu. Było to wyposażenie koszar wojskowych, jakie tu od października 1939 roku urządzili okupanci. Z radością oznajmili mi, że w zakamarkach znaleźli kilka karabinów, amunicję, a nawet pojedyncze granaty. Raczyński pozwolił mi jutro rano pójść do ZOO, na działkę.

Wieczorem, po umyciu się i odpoczynku poszedłem na drugie piętro do Wojtyrów. Mieli przez całą okupację schowane radio, co groziło karą śmierci. Do audycji było trochę czasu, więc nastaviliśmy polskojęzyczną radiostację bolszewików. Speaker nawoływał do powstania przeciw Niemcom, dla bicia ich ramię w ramię z bohaterską Armią Czerwoną. „Niech Pan posłucha - mówiła Wojtyrowa - oni od kilku dni pieklą się i pienią, że Armia Krajowa stoi z bronią u nogi, że w ten sposób pomaga faszystom, kiedy trzeba ich bić tym co się ma pod ręką!”, „Audycje te zamilkły, jak uciał, natychmiast po wybuchu powstania.

1 sierpnia, we wtorek, poszedłem rano na działkę do ZOO. Był piękny, słoneczny, spokojny dzień letni. Z obu stron mostu kolejowego na wieżach krzatali się żołnierze Wehrmachtu ładując

pociskami działka przeciwlotnicze. A więc aktywna obrona mostów trwała. Na działkach nie było ludzi. Zebrałem trochę warzyw i pomidorów i objuczony ruszyłem do domu. Po drodze przeczytałem wielki afisz z zarządzeniem gubernatora Fishera, aby 100 000 polskich mężczyzn stawiło się na Placu Piłsudskiego z łopatami do prac ziemnych w obronie Warszawy przed bolszewikami. Był to problem, ponieważ niedawna likwidacja Żydów także rozpoczęła się od wywożenia mężczyzn „na roboty „. To musi być moment dopingujący do powstania. To było jasne, że zgłosi się niewielu, jeśli ktokolwiek, ale taka sytuacja zmusi Niemców do reakcji być może drastycznych. Przy domu księży emerytów na Ratuszowej, położonym obok kościółka pod wezwaniem Matki Boskiej Loretańskiej był niesamowity ruch. Niemcy dawno już wyrzucili stąd starców, duchownych na emeryturze i urządzili szpital dla oficerów. Teraz wyprowadzali się i męty z marginesu społecznego „czyściły „ gmach ze wszystkiego co ruchome i nie tylko. Pomyślałem sobie, że widocznie jakaś komórka miejscowej A. K. nie dopatrzyła zabezpieczenia tego obiektu przed takim losem. Około 11. 30 rozległy się syreny alarmu przeciwlotniczego. Pichcilem sobie skromny obiad. Jakies placki kartoflane, trochę pomidorów z działki. Zapukano do drzwi. Stanął w nich młody chłopak, znany mi z widzenia. Wyprężony zameldował: „ Panie Profesorze ! Zgodnie z rozkazem dowódcy kompanii proszę o przekazanie mi kluczy do szkoły na Kawęczyńskiej i zgłoszenie się na zbiórkę plutonu o godzinie 16, 30 w szkole przy Otwockiej ! „. Wybiegłem z domu, aby zawiadomić o zbiórce Franciszka Pecka, woźnego z naszej szkoły, żołnierza naszego plutonu. Mieszkał na Kowieńskiej. Ruch był ogromny. Masa młodych ludzi szła szybkim krokiem ulicami. Widać było, że coś się dzieje nadzwyczajnego. Pomyślałem, że to musieli także widzieć Niemcy. Na Wileńskiej młodzieży była masa. Kryli się po bramach z drabinami, siekierami, łomami, tylko niektórzy z bronią. Domyślałem się, że będą atakować Dyрекcję Kolei na Wileńskiej róg Targowej. „Boże, Boże-myślałem-to już za chwilę nastąpi, za chwilę skończy się niewola ! Kto przeżyje wolnym będzie, kto umiera wolnym już ! „.

Powstanie na Pradze wygasło w ciągu dwóch, może trzech dni. Ludzi było mało, nienajlepiej zorganizowanych, fatalnie lub wcale nie uzbrojonych. Praga stanowiła przedpole frontu i tu nagle okazało się, że mimo pozorów, Niemców jest wielu i to znakomicie uzbrojonych. Prawdę mówiąc, chwala Bogu, że powstanie szybko tu wygasło bo i straty materialne i w ludziach były w tych dniach niewielkie. Decyzja pólkownika Żurowskiego („ Andrzeja „) była mądrą.

Najgorsze zaczęło się w końcu sierpnia. Z oddali dobiegały odgłosy bitwy pancерnej w okolicach Radzymina i bliżej. Niemcy zorganizowali gigantyczną operację wylapania i wywiezienia wszystkich mężczyzn w wieku od 16 do 60 lat z terenu Pragi. Organizacja była dokonywana z niemiecką dokładnością. Uciekałem przed branką na Bródno. Ulice były puste. Dotarłem od bramy do bramy do tunelu kolejowego na końcu ulicy 11 Listopada i początku ulicy Odrowąża. Poprzez teren zniszczonego kirkutu żydowskiego dotarłem do bramy Cmentarza Bródnowskiego od ulicy Świętego Wincentego. Tu uderzył mnie potworny zaduch rozkładających się zwłok ludzkich. Przed drewnianym kościółkiem cmentarnym leżały stosy nie pogrzebanych, gnijących trupów. Część z tych ciał, głównie mężczyzn zapewne rozstrzelanych przez Niemców, nosiła ślady kul. Przymykałem się między grobami, jak najdalej od alejek. Kryli się tu ludzie. Mówili, że istotnie Niemcy rozstrzelują mężczyzn, których wyciągnęli z kryjówek.

Opłotkami Nowego Bródna i Pelcowizny dotarłem do Żerania, gdzie Stasiek, mój brat, prowadził niewielki zakład fryzjerski. Coś zjadłem u nich. Doszliśmy do wniosku, że będąc razem, dwóch młodych mężczyzn, mamy mniejsze szanse na uniknięcie wzięcia nas przez łapankę. Poszedłem do Ciotki Nowakowskiej, siostry mojej Mamy, w Piekielku. Stąd mnie wzięli 10 września, a więc na cztery dni przed wejściem wojsk sowieckich i polskich na Pragę. Obława była tak szczelna, tak dokładna, że nikt nie ocalał. Ukrywających się w piwnicach, dołach i innych zakamarkach mordowano. Regułą było wrzucanie przez żołnierzy Wehrmachtu prowadzących obławę granatów do piwnic i komórek na opał. Grupę kilkuset mieszkańców Piekielka i okolic wywieziono do Niemiec poprzez obóz przejściowy na terenie Twierdzy Zakroczymskiej. Tu słuchać było odgłosy egzekucji więźniów. Z tego co wiem jestem jednym z niewielu, którzy przeżyli to wszystko. Następny obóz przejściowy dla warszawiaków z Pragi był zlokalizowany w Pile. Na ogół wysyłano do obozów koncentracyjnych, pracujących wciąż pełną parą jako fabryki śmierci. Wysłano mnie do kolejnego obozu w Erfurcie (Turyngia) skąd skierowano do pracy w charakterze

palacza w cukrowni w małej miejscowości Oschersleben Bode. Po zbombardowaniu przez lotnictwo aliantów cukrowni zostałem wywieziony do Nordhausen i tu na dworcu wydzielony z transportu do pracy przy wyrębie lasów Turynгии. Uratowała mnie najprawdopodobniej dobra, aby nie powiedzieć mocna, budowa ciała obiecująca wydajną pracę niewolnika. Bóg mnie strzegł ponieważ nikt z pozostałych w transporcie nie wrócił do kraju po wojnie. Jest wiele danych, że zostali wymordowani w którymś z obozów koncentracyjnych. Jako drwal i wypalający węgiel drzewny na potrzeby wojska pracowałem w Keuli uber Thuringen. Słyszac odgłosy zbliżającego się frontu, dzięki panującemu rozprężeniu wartowników uciekłem wraz z niewielką grupą więźniów kryjąc się w wykrotach leśnych. Panowało pośród nas głębokie przekonanie, że esesmani będą likwidować więźniów, co działo się w innych obozach. 5 kwietnia 1945 zostaliśmy oswobodzeni przez patrol zwiadowczy Armii Amerykańskiej, w którym znajdowało się dwóch Amerykanów polskiego pochodzenia.

W tydzień po wyzwoleniu zorganizowałem z innymi byłymi więźniami – nauczycielami szkołę i przedszkole dla około 300 dzieci polskich jeńców, więźniów i robotników przymusowych. Zajęliśmy gmach szkoły niemieckiej i zorganizowaliśmy naukę, lepsze warunki wyżywienia i wychowania tych dzieci, a także na otoczenie ich opieką lekarską. Postaraliśmy się o ich ubranie i zapewnienie bezpieczeństwa w tym niespokojnym regionie przyfrontowym. Współpraca z Amerykanami, a następnie Brytyjczykami była znakomita. Znajdowaliśmy u nich pełne zrozumienie naszej sytuacji. Od lipca 1945 roku zatrudniłem się jako wykładowca języka polskiego i historii w Liceum Polskim w Lippstadt (Westfalia) oraz nauczyciela języka polskiego w Polskiej Szkole Handlowej w tymże mieście. Dzięki pracy tego liceum kilkuset młodych ludzi obojga płci, w tym żołnierzy września 1939 roku, powstania warszawskiego oraz ofiar pracy niewolniczej mogło uzupełnić swe wykształcenie.

Pewnego dnia Amerykanie prosili mnie o pomoc w uchronieniu byłych więźniów od zatrucia spirytusem metylowym, którego cysterny pozostawili Niemcy na przetokach kolejowych nieodległej stacji. Właśnie Rosjanie podziurawili jedną z takich cystern i pili na umór. I marli jak muchy. Tłumaczyłem, że faszyci celowo pozostawili truciznę, aby dokonać dzieła zagłady. Od jednego z towarzyszy usłyszałem taką odpowiedź na uwagę, że właśnie jego kolega i przyjaciel żegna się z życiem: „ Wania był durak !. On niekulturny ! Pił spirit bez kawy, a ja kulturny będę pił, ale z kawą. Amerykańską Kawą ! „. I za chwilę ten „kulturny” czelawiek „ powiększył grono aniołków. Niestety pośród zatrutych znajdowało się także kilkunastu Polaków. Szczęśliwie przeżyli wszelkie niebezpieczeństwa wojny, aby zginąć przez własną głupotę.

Chwalić Boga, że wszystko to się już skończyło. Kiedy mi było ciężko zawsze powtarzałem sobie słowa mego Ojca: Władziu, może być gorzej ! To dobra formuła na przetrwanie ! „

Zasypiałem spokojniej. Mama i Tato byli w domu. Byliśmy znowu razem.

W początkach sierpnia 1946 jechałem na obóz YMCA „ Beskid „, do Kasinki Małej, wsi u podnóża Lubgoszczy. Nie był to mój pierwszy pobyt na obozie dla chłopców organizowanych przez tą organizację, bowiem jeszcze przed powrotem Ojca załatwiono mi pobyt w ich obozie w Grotnikach koło Łodzi. Obóz YMCA BESKID ulokowany dość wysoko na zboczu Lubgoszczy w okolicy Mszany Dolnej to był raj. Zbiórka wyjeżdżających miała miejsce na Placu Starynkiewicza. Było nas, chłopców z Warszawy kilkudziesięciu. Do grupy odprowadzanej przez matki, głównie matki wobec powszechnego braku ojców, doszło dwóch warszawskich gazeciarzy w naszym wieku. Poprosili błagalnie kierownika grupy o zabranie ich na ten obóz. Obaj byli sierotami wojennymi zarabiającymi na życie własne i rodzin roznoszeniem i sprzedażą gazet. Obaj byli w majtkach i koszulkach gimnastycznych, na bosaka. Nic poza tym, żadnego ubrania. Wzięto ich i dołączono do naszej grupy. Jechaliśmy ponad dobę wagonami towarowymi. Mnie Mama wyposażyła w wielki, nieforemny, przedwojenny plecak harcerski, którego kształt naruszał podstawowe zasady fizjologii. W Małopolsce więcej niż połowa mostów na rzekach była wysadzona w powietrze. Wielokrotnie, zwłaszcza nocą, musieliśmy się kilkanaście razy przesiadać do kolejnego składu pociągu po drugiej stronie rzeki, którą po ciemku przechodziliśmy kładką. W Gorcach otwarła się przed nami cudowna kraina. Pasma gór o łagodnych zboczach, a w dole rzeka Raba pełna pstrągów. Plecacki pojechały góralską furką, my zaś odbyliśmy ostrą wspinaczkę w stronę obozu. Teren obozu przedstawiał sobą

widok małej wioski szwajcarskiej lub kanadyjskiej. Mieszkaliśmy w grupach dziesięcioosobowych w zbudowanych z pni sosnowych domkach typu kanadyjskiego. W każdym domku znajdowało się pięć piętrowych łóżek, w których spaliśmy pod dwoma kocami. Połowa bocznych ścian domków była unoszona i zamykana w zależności od pogody i temperatury.

Dużymi zabudowaniami były jedynie jadalnia z rozległym widokiem na okolice oraz duża świetlica, w której dni niepogodne wszyscy obozowicze mogli się przy kominku. W pogodne wieczory ogniska odbywały się w obrębie niewielkiego kamiennego amfiteatru, w którego centrum stał indiański totem. Chatek było dwanaście i każda musiała przygotować program wypełniający wieczór przy ognisku. Nasi mali warszawscy gazeciarze dostali tenisówki, ciepłe dresy chroniące przed chłodem górskich wieczorów, zapasową bieliznę, szorty, ręczniki, szczoteczki i pastę do zębów. Jedzenie było dla nas, dzieci wojny, niezwykle. Na obiady dawano zawiesziste zupy, na drugie makarony z kawałami gulaszu wołowego wyrzucanego z ogromnych amerykańskich puszek. W czasie dnia na dużych tacach przy boiskach i basenie ustawiano tace z wielkimi kanapkami pokrytymi serem i konfiturami. Na czas wycieczek dostawaliśmy tak zwane „racje żywnościowe „ armii amerykańskiej przedstawiające sobą paczki tekturowe oblane parafiną, z zapasów demobilu tej armii. Organizacja dnia była wzorowa. Przed południem gry zespołowe: piłka nożna, koszykówka, pływanie w basenie. Pełne zaopatrzenie w sprzęt sportowy i fachowi trenerzy zapewniali doskonałą zabawę. Przestrzegano tu dość surowo dyscypliny, nie wożono było na przykład pływać samemu w basenie poza godzinami do tego wyznaczonymi planem. Nieposłusznych w tym względzie odsyłano do domów natychmiast. Porządek dnia przewidywał godziną ciszą poobiednią. Całością kierował jednooki pan Szymański, doświadczony pedagog, zwany zyczliwie „Sokole Oko „. Wychowawcami byli dwudziestokilkuletni młodzi ludzie z pokolenia „Kolumbów „, którzy w latach wojny nie siedzieli beczynnie w domu. Tradycją stało się siadanie tuż przed zachodem słońca na stoku Lubogoszczy, z widokiem na wieś Kasinka Mała, srebrzącą się w zapadającym zmroku rzekę Rabę i ciemniejący po drugiej stronie doliny masyw Szczebla. To był właściwy moment do śpiewania pełną piersią:

*„ Idzie noc, słońce już,
zeszło z gór, zeszło z pól,
zeszło z mórz
W cichym śnie, zaśnij już
Bóg jest tuż !, Bóg jest tuż ! „.*

Był to cudowny czas. Dobry los dał mi szansę w podobnych warunkach być na obozach YMCA cztery razy: 2 razy w Beskidzie, raz w Karolewie koło Kudowy i raz w Grotnikach koło Łodzi.

Niestety krzepnąca władza ludowa dość szybko zlikwidowała tę instytucję jako wychowująca młodzież w złym, kapitalistycznym i fideistycznym duchu. Władza doszła do wniosku, że: „ YMCA jest narzędziem burżuazyjno – faszystowskiego wychowania popieranego przez zagranicznych, wrogich nam, mocodawców „. Szło nowe, ale niekoniecznie lepsze.

U WŁADKA.(1948 – 1952)

Po powrocie Ojca życie rodzinne zaczęło się normalizować w nadal nienormalnych warunkach Polski powojennej. Ojciec na bardzo krótko wrócił do pracy w Szkole nr 126. Odszedł stamtąd przede wszystkim dlatego, że nie układały Mu się stosunki koleżeńskie z panią Wiktoria C. mającą stale poczucie zagrożenia na stanowisku kierowniczym. Przy swoim doświadczeniu i kwalifikacjach miał wiele propozycji pracy w szkolnictwie średnim oraz opracowywania podręczników szkolnych, których brakowało na rynku. Był współautorem pierwszego podręcznika dla analfabetów, których było w powojennym kraju bardzo wielu. Analfabetyzm to niestety spadek jeszcze po przedwojennych czasach, a nie tylko po latach wojny i okupacji. Pracował także w Liceum dla Pracujących przy ulicy Siennickiej na Grochowie. Tu były tłumy ludzi, ci którym wojna przerwała naukę w szkole średniej, ale także ci, którzy zrozumieli, że oto jest możliwość zdobycia wykształcenia otwierającego drogę do awansu społecznego. Uczniowie pełnoletni od 18 do 60 roku

życia okazywali ogromny pęd do wiedzy i wielkie ambicje, aby zdobyć świadectwo maturalne. Wielu z nich niewyobrażalnie ciężko pracowało w dzień nad odbudową z niczego warsztatów pracy zniszczonych wojną zaś wieczorem, w skrajnym zmęczeniu, niedożywieni, zasypiali nad książką w czasie nauki na szkolnej ławie. Człowiek, który pamięta te czasy z szacunkiem pochyla się nad cieniami tych ludzi i ze wstrętem czyta i słucha wiele zakłamań w ocenach dzisiaj wygłaszanych nieodpowiedzialnie na temat ich postaw i dokonań. Trzeba było nie mieć „ *przywileju późnego urodzenia*” i żyć w tym okresie realiami dnia powszedniego. To oni, nasze Matki i nasi Ojcowie, odbudowywali ten kraj własnymi, często gołymi rękami, kraj zdradzony, opuszczony przez sojuszników z Zachodu i okradany przez starszego brata ze Wschodu. Reforma rolna dała chłopom ziemię, chociaż wiele wskazywało na to, że tą ziemię „ *dano im potrzymać* „ do chwili tworzenia kolchozów. Niestety było to, że po raz drugi w ostatnich 100 latach okupant uwłaszczył polskiego chłopca. Jeżeli do tego dodać niezwykle szerokie otwarcie dla dzieci chłopskich szkół wszystkich szczebli trudno się dziwić, że nastroje wsi nie były lewicy wrogie. Obawy sprowadzały się w zasadzie do jednego: „ *Wszystko, byle nie kolchozy!*”.

Były to jeszcze czasy kiedy autorom książek płacono procent od nakładu książki i biorąc pod uwagę wielkość nakładu podręcznika dla analfabetów wynagrodzenie autorskie było wysokie. Dzięki tym pieniądзом Rodzice kupili pianino, maszynę do pisania Erica produkcji niemieckiej, nowoczesny aparat fotograficzny Practica oraz pościel i ubrania, których dramatyczny brak odczuwaliśmy. Ba, wreszcie, po raz pierwszy od września 1939 roku oszkliliśmy okna pełnymi taflami szyb. Zawarliśmy umowę że będę jego prace przepisywał na maszynie zgodnie z obowiązującymi normami, to znaczy na stronie maszynopisu nie mogło być więcej niż dwa błędy. Dostawałem wtedy stawkę taką jaką płacono zawodowej maszynistce. Zarobione pieniądze miałem do własnej dyspozycji. Wolne od odrabiania lekcji chwile spędzałem na samokształceniu się w pisaniu na maszynie i dzięki temu doszedłem do znacznej biegłości polegającej na zakodowaniu w pamięci rozkładu na klawiaturze liter i innych znaków drukarskich. Dzięki mądrości Ojca zdobyłem umiejętność, która w dalszym mym życiu była trudna do przecenienia, zwłaszcza w przygotowywaniu do druku własnych prac naukowych.

Wrócił też z Zachodu przyjaciel Ojca pan Maksymilian Chodecki. Razem pracowali w Liceum Polskim w Lippstadt. Przyjaźń była wielka i owocowała tym, że Tata został poproszony o podawanie do chrztu córki Maksia-Ani. Ożeniony w miesiącach poprzedzających wybuch wojny zostawił żonę poślubioną ledwo co i poszedł na front. Jego relacja o tym co stało się później była niezwykle interesująca.

„ *Przed wojną dorabiałem sobie jako nauczyciel na specjalnych kursach organizowanych przez Wojsko Polskie dla żołnierzy analfabetów oraz dla tych, którym warunki życiowe nie pozwoliły skończyć szkoły podstawowej. Byli to w znacznej części Białorusini i Ukraińcy z Kresów Wschodnich, ale nie tylko oni. Razem z moimi uczniami poszedłem na front w stopniu podchorążego. Nasz pułk walczył do końca i zostaliśmy wzięci do niewoli przez Robotniczo – Chłopską Armię Czerwoną. Byłem wzięty do niewoli w mundurze podchorążego. W pierwszych dniach krasnarmijcy okłamywali nas, że przyszedli z pomocą i idą bić „ *germanskiego gada* „. Ten względnie przyzwoity stosunek do nas dość szybko się zakończył. Głód i wszy. Zaczęto wyłuskiwać oficerów i podchorążych, których wywożono z obozu. Miałem w obozie, na jednej pryczy, mego ucznia, Ukraińca, który naciskał, abym zrzucił z siebie mundur podchorążego. To nie mieściło się w mojej „ *przedwojennej* „ głowie i kategorycznie odmawiałem. Pewnego ranka obudziłem się i znalazłem obok pryczy jakieś podarte łachy będące śladem znoszonego, dziurawego munduru brudnego szeregowca. Mój były uczeń nie przejmował się awanturą, którą mu zrobiłem z powodu tej „ *kradzieży* „. Wręczył mi jakieś sowieckie suchary o ohydny smaku jako rekompensatę i zapewnił, że w przyszłości będę mu za to wdzięczny. Za dni kilka przyjechała do obozu jenieckiego jakaś ważna komisja z licznymi oficerami N.K.W.D. Zażądali, aby wystąpili wszyscy oficerowie i „ *kadety* „, jak nazywali podchorążych. Wbrew stanowczym radom kolegi – żołnierza wystąpiłem. Wyglądałem jak złachmaniony strach na wróble, co wzbudziło kpiny enkawudzystów. Według nich tak jak burlak nie może wyglądać żaden polski „ *kadet* „. Ponieważ się upierałem zażądano ode mnie książeczki wojskowej. Tą mi ukradziono w czasie sprzedaży mego munduru. Poinformowano*

mnie, że jestem cwany durak, który chce uzyskać lepsze warunki traktowania jako oficer. Odesłano mnie do grupy żołnierzy szeregowych. W tej grupie zostałem „zwolniony”, do pracy w kolchozie po podaniu przeze mnie, że jestem z zawodu mechanikiem. Po przybyciu do kolchozu, gdzieś w okolicach Charkowa, dano mi do naprawy motor przy pomocy którego kolchoz generował energię elektryczną. Tu doznałem olśnienia ideologicznego. Dowiedziałem się, że albo naprawię silnik, albo zostanę jako sabotażysta przekazany N.K.W.D. Wchodziłem do szopy z uczuciem, że wszystko jest stracone i że żywy z tego nie wyjdę. Dzień powszedni pokazywał mi liczne przykłady takich „sabotaży”. Pod dokładnym obejrzeniem silnika stwierdziłem ze zdumieniem, że od chwili wyjścia z fabryki silnik nigdy nie był konserwowany. Po prostu zarósł grubą warstwą brudu i kurzu. Dostarczono mi kilka baniek nafty i celowo przeciągając pracę zabrałem się do starannego czyszczenia maszyny. Silnik ruszył, a ja zostałem uznany nieomal za bohatera pracy socjalistycznej. Pożyczano mi jako geniusza technicznego okolicznym kolchozom i sowchozom. Obraz gospodarki był w istocie rozpaczliwy. Traktory chodziły do pierwszej awarii, bowiem nie miano żadnego pojęcia o zasadach ich eksploatacji. Olej w silnikach był niezmienny, a paliwo niewłaściwe. Po kilku miesiącach dowiedziałem się, że Polacy, jeńcy pochodzący z terenów okupacji niemieckiej mogą być Niemcom przekazani w ramach wymiany. Z trudem zdobyłem „propusk”, na taką wymianę. Na granicy z zaplombowanych wagonów sowieckich przełancowano nas do zaplombowanych wagonów niemieckich. Przejechaliśmy przez południową część Polski i wylądowaliśmy w Niemczech u bauera. Miałem szczęście bowiem był to niezwykle porządnym człowiekiem, zdecydowany antyhitlerowiec, który traktował mnie jak syna. Jego własny syn zginął w pierwszych dniach wojny hitlerowsko – bolszewickiej w roku 1941. Z łezką w oku i wzruszeniem żegnałem się z nim i jego żoną po wejściu Amerykanów. Namawiał mnie, abym nie wracał do opanowanej przez bolszewików Polski i proponował przekazanie gospodarki. Jedyne dziecko zginęło, a oni byli starzy, bez dziedzica. Ale tam była w kraju moja żona, której nie widziałem od lat sześciu. Już po wyzwoleniu dowiedziałem się, że WSZYSCY moi koledzy oficerowie z pułku zostali wymordowani w Katyniu. Ten Ukrainiec, znający pogranicze i mentalność Sowietów uratował mnie życie.

Latem 1948 po zakończeniu roku szkolnego ruszyłem wraz z Ojcem do Wrocławia na Wystawę Ziemi Odzyskanych. Była ona otwarta 21 lipca, w przeddzień nowego święta państwowego ustanowionego dla uczczenia rocznicy tzw. Manifestu Lipcowego PKWN. Ojca przyjaciel pan Jan Król, matematyk, był zatrudniony jako Dyrektor Liceum przy Szkole Oficerskiej we Wrocławiu, zwanej po latach „szkołą generałów”. Pan Jan wrócił do Polski po wielu latach pobytu w oflagu. W tych czasach, jeszcze przed aresztowaniem Gomółki, przedwojenni oficerowie nie byli ludźmi lecz a priori podejrzanymi. Do szkoły oficerskiej w tych czasach przyjmowano kandydatów „jak leci”, na ogół bez matury, którą robiono dopiero w szkole oficerskiej właśnie „u Króla”. Wrażenia z Wrocławia były oszałamiające. Miasto było zniszczone, ale jednak nie były to zniszczenia w warszawskiej skali. Na Ostrowie Tumskim rysowały się zarysy wspaniałych kościołów: Katedry, Kościoła Świętego Krzyża i Najświętszej Marii Panny na Piasku. Wieże wspaniałej Katedry były częściowo zniszczone. Artyleria Armii Czerwonej oblegającej Wrocław waliła gęsto w miasto ogniem bezpośrednim. Kościół Najświętszej Marii Panny na Piasku był wypalony i stały mury zewnętrzne. Młody kleryk kształcący się wokół murów kościoła powiedział nam, że wedle fachowców kościół nie nadaje się do odbudowy, chyba, że do rekonstrukcji po całkowitym wyburzeniu. Stopień zniszczenia murów miał być tak duży, że pokrycie nawy głównej groziłoby zawaleniem. Z radością te obawy się nie potwierdziły i kościół został odbudowany w latach następnych.

Sama wystawa Ziemi Odzyskanych wskazywała szansę na rozwój powojennej Polski, ale jak lata późniejsze wykazały nie było to możliwe w warunkach stalinowskiego zamordyzmu.

W miarę upływu czasu Tato został także wciągnięty w rozwijane coraz szerzej kształcenie nauczycieli, których brak był powszechny. W czasie wojny, zarówno Niemcy jak i Rosjanie, z wcześniej przygotowywanymi listami w ręku eksterminowali planowo inteligencję polską: profesorów wyższych uczelni, nauczycieli, prawników, księży, dziennikarzy i czynili to ze skutkiem. Z racji swych kwalifikacji Ojciec był zaangażowany w kształcenie polonistów. Grupę

wykładowców na tych kursach stanowili, między innymi profesorowie: Eugeniusz Sawrymowicz, Zdzisław Liblin-Libera, Jan Dur-Durski, Hrabec, ale także Juliusz Krzyżanowski, Jan Doroszewski i inne sławy. Byliśmy z Mamą i Ojcem na takich kursach w Szklarskiej Porebie, Cieplicach i Wałczu. Ziemię Odzyskaną mimo dewastacji dokonanej przez krasnoarmiejców wywożących wszystko co wywieźć było można i szabrowników były jednak w tym czasie oazą dobrobytu ze śladami niemieckiej gospodarności.

Jeśli chodzi o sprawy naszej Rodziny to Dziadkowie Janczewscy ostatecznie musieli zająć się Janką i jej dziećmi. Leon z powodu zaawansowanej choroby alkoholowej musiał rozstać się z rodziną, Stasiek Janczewski siedział we Wronkach czy Rawiczu bez szans na ułaskawienie jako „wróg władzy ludowej”, Ciocia Jadzia pracowała w Olsztynie. Wujek Józek mimo wielkiej nędzy opisywanej w swych listach z jesieni 1944 roku zakupił sklepik na ulicy Stalowej, gdzie sprzedawał materiały piśmienne i zabawki. Trzymał się w branży handlowej, tej samej co w czasie okupacji na Chłodnej. Wkrótce uległ towarzyszowi Mincowi w prowadzonej przez niego walce o „socjalistyczny charakter handlu”.

W czerwcu 1948 roku kończyłem bez żalu Szkołę Podstawową nr. 126 otrzymując bardzo dobrą cenzurkę. Na koniec roku szkolnego Komitet Rodzicielski zorganizował nam wycieczkę nad morze. Zwiedziliśmy wtedy Zamek Krzyżacki w Malborku znany dotąd jedynie z obowiązkowej lektury szkolnej jaką byli „Krzyżacy”, Sienkiewicza. Wrażenie było ogromne. Następnie ruszyliśmy do Trójmiasta. Gdańsk był bodaj w gorszym stanie niż Warszawa po Powstaniu. Morze ruin, wypalone kikuty murów Starego Miasta były nam, warszawskim dzieciom, szczególnie bliskie. Miejscowi opowiadali, że centrum miasta, podobnie jak centrum Kołobrzegu było w lepszym stanie po wyzwoleniu, ale niezwyciężona Armia Czerwona dokończyła dzieła po ustaniu walk ponieważ trzeba było dokręcać lipne zdjęcia pozorujące szturm miast. Resztki zabudowy rozwalano z dział strzelających na wprost. Jak walka to walka!. Wejście do portu w Gdyni blokował wrak osadzonego tam przez wycofujących się Niemców wrak gigantycznego krążownika „Gneisenau”, wypełnionego do tego cementem. W tym mieście zniszczenia były znacznie mniej widoczne. Obejrzeliliśmy także ruiny Polskich Termopil, to znaczy Westerplatte. To było dla nas, dzieci wojny, ogromne przeżycie. Stateczkiem wyruszyliśmy poprzez Zatokę Pucką na Hel. Byłem szczęśliwy chociaż brzeg morza oglądałem nie w towarzystwie Ojca czego tak bardzo życzyłem Jemu i sobie w czasie okupacji.

Po powrocie z wycieczki środowisko nauczycieli szkół przy ulicy Otwockiej było przerażone rewizją jaką Urząd Bezpieczeństwa przeprowadził w mieszkaniu państwa Wilskich. Pan Witold Wilski, ps. „Stawisz”, był dowódcą plutonu 6/XXVI Obwodu Praskiego Armii Krajowej II Rejonu Warszawskiego w randze podporucznika. Był przełożonym mego Ojca w Armii Krajowej. Ojciec działał jako dowódca punktu rozdziału prasy konspiracyjnej, a jednocześnie był łącznikiem pomiędzy poszczególnymi plutonami tego rejonu. W czasie rewizji, jak się okazało, zabrano całe archiwum Rejonu A.K. Szczęśliwie pan Wilski został zwolniony po dwóch czy trzech dniach przesłuchań w U.B.

Dla mnie i całej Rodziny sprawą oczywistą było od dawna, że jedynym liceum, do którego mogę chodzić jest VIII Państwowe Liceum imienia Króla Władysława IV w Warszawie przy ulicy Jagiellońskiej 38. Wybór szkoły średniej był w tym przypadku równie jasny i prosty jak to, że syn księcia Malborough może pobierać nauki jedynie w Eton College. Więzy emocjonalne z tą szkołą to okupacja, w czasie której Ojciec współorganizował tajne liceum, pracował w nim, żył jego sukcesami i troskami, przyjaźń lat najcięższych z Rodziną Usarków, która była swego rodzaju instytucją na terenie Pragi.

Wakacje roku 1948 niosły ze sobą w kraju wydarzenia, które zapowiadały, że idzie „nowe”, co nie znaczy „lepsze”. A jeszcze przed rokiem Gałczyński mógł w Przekroju publikować wierszyki typu:

Zupa-pomidorowa!

Demokracja-ludowa!

Nie oddamy-Odry i Nysy!

Cyrankiewicz-łusy!

Józef Cyrankiewicz, osobliwa postać w ekipie nowej władzy, był znany w Krakowie jako jeden z miejscowych przywódców przywódców P. P. S. Aresztowany przez Gestapo trafił do Oświęcimia, który szczęśliwie przeżył. Był mistrzem cynizmu politycznego, chociaż jak złośliwi mówili: „w życiu najlepiej wychodziły mu włosy „. Istotnie łysy był jak kolano. Na Pradze owego czasu nie mówiono o nim inaczej niż:

„*Ten co wszy mu na wrotkach po glazurze jeżdżą!*”

W sposób oczywisty dla nieomal wszystkich Władza Ludowa traciła poczucie humoru, którego od początku nie posiadała w nadmiarze. Na początku roku 1948 powołano organizację „Służba Polsce „, która z jednej strony była organizacją paramilitarną, z drugiej zaś nakładała na całą młodzież obowiązek pracy przymusowej. W lipcu zlikwidowano wszystkie, poza harcerstwem, organizacje młodzieżowe dokonując ich „zjednoczenia „ w ramach Związku Młodzieży Polskiej (Z.M.P.). Niebawem zabrano się także za harcerstwo i po wstępnych próbach organizowania przez Jacka Kuronia tak zwanych „Drużyn Wolterowskich „, powołano „Organizację Harcerską „, która nic nie miała wspólnego z zasadami skautingu.

W dniu 1 września 1948 roku znalazłem się w gronie uczniów klasy OSIEM-A, wraz z moimi dwoma przyjaciółmi Mirkiem Dammem i Maćkiem Tokajem. Romek Turek zdecydował się pójść do szkoły zawodowej. Jego dom potrzebował pieniędzy. W klasie ósmej – A dominowały 14 latki, synowie Pragi-od Targówka po Grochów. Było wśród nas także kilku kombatantów, o wiele od nas starszych, którzy z niejednego pieca chleb jadal i niejedno w życiu przeszli. Można było wyróżnić trzy zasadnicze grupy chłopców, w początku dość mocno trzymających ze sobą ze względu na rejon zamieszkania. Pierwszą stanowili koledzy mieszkający w rejonie ulic Jagiellońska, Zygmuntowska, Sierakowskiego, Panieńska. Zwano ich „łalakami „ od nazwiska Marka Łałowskiego, którego mieszkanie przy ulicy Panieńskiej było ich punktem dowodzenia. Grupa druga mieszkała w rejonie ulic Ratuszowej, Szwedzkiej, Stalowej, 11 Listopada i Brodnowskiej. Grupa trzecia, to my, chłopcy ze Szmulek, a więc „trójkąta bermudzkiego „, ograniczonego torami dworców kolejowych Wschodniego i Wileńskiego oraz linią kolejową łączącą te dworce, przebiegającą poza Bazyliką na Kawęczyńskiej.

Byliśmy wszyscy dziećmi najokrutniejszej z wojen, która oswoiła nas z niewyobrażalną nędzą, głodem i śmiercią. Strachem, który był naszym udziałem mogliśmy obdzielić kilka następnych pokoleń. Wojna się jednak skończyła i nieomal niewyobrażalnym było to, aby nie miało iść ku normalności, aby nie było lepiej. Mimo wszystko !. Ubrani byliśmy biednie i cudacznie. Nasze stroje stanowiły przeważnie kombinacje przeróbek tego, co pozostało z pożogi wojennej po poprzednich pokoleniach oraz mundurów kilku armii biorących udział w wojnie. Były także w użyciu mundury Wehrmachtu, ale koniecznie przefarbowane, bowiem cholernie nie znosiliśmy koloru feldgrau.

„Łała „, czyli Marek Łałowski opowiadał historię typową dla naszych opowieści, opowieści dzieci Warszawy, dzieci wojny:

„*Ten szary listopadowy poranek roku 1943 nie różnił się od przeciętnego sztabackiego dnia Prywatnej Szkoły Podstawowej pani Heleny Paszke-Folakowej na Pradze, która mimo hitlerowskiej okupacji już czwarty rok starała się zachować obyczaje i rygory elitarnej szkoły kształcącej dla przyszłości Kraju młodzież, tak jak by się nic od września roku 1939 wokół nie zmieniło. Rozpoczęliśmy więc dzień od modlitwy: „ Ojcowską ręką błogosław nas, otwórz nam serca bliźnie. a pozwól służyć, gdzy przyjdzie czas, i Tobie i Ojczyźnie !”.* Na wielkiej pauzie zdobyłem kolejną uwagę za ciągnięcie warkocza mej kruczoczarnej sympatii. Wychodząc ze szkoły zauważyliśmy z pewnym zdziwieniem niemieckie patrole blokujące oba wyloty spokojnej dotąd ulicy Wrzesińskiej. Ulica była zablokowana przez żandarmerię hiterowską zarówno od strony Brukowej jak i od strony Kępnej. Część kolegów cofnęła się przezornie do gmachu szkoły. W pierwszej dekadzie życia ciekawość jest jednak mocniejsza od strochu nic więc dziwnego, że wraz z kilkoma kolegami pobiegłem w stronę rzeźni do bramy narożnego budynku z ulicą Kępną, z którego to podwórza można było obserwować rozwój wydarzeń. Nie czekaliśmy długo. Na Kępną podjechały ciężarowe Skody, z których wypędzono ludzi, manekiny, w papierowych ubraniach. Esesmani biegali z psami i pistoletami w rękach bijąc tych ludzi z nieodłącznym wrzaskiem: „ Aufsteigen, Schneller, Banditen

!!!". Zaczęto wyprowadzonych z ciężarówek ustawiać rzędem pod ceglanym murem rzeźni naprzeciwko podwórka naszego domu, w którym dozorca przezornie zamknął bramę. Z okna mogłem widzieć blade twarze tych ludzi, których usta wypełniał chyba gips. Domyślaliśmy się, że oprawcom, podobnie jak w innych egzekucjach warszawskich, chodzi o uniemożliwienie skazanym krzyku. Wszyscy byli obuci w drewniaki. Za chwilę rozpoczęło się rozstrzelanie. Z ustawionego po naszej stronie karabinu maszynowego wystrzelono pierwszą serię i padały pierwsze ofiary. Młody człowiek, mimo związanych rąk usiłował wspinać się na mur rzeźni. Byłem zszokowany i ułożyłem się na drewnianych schodach przyciskając obie dłonie do uszu. Zdawało się nam, że Niemcy strzelają również w naszym kierunku i za chwilę i nas dosięgną, a drewniane schody nie ochronią nas przed śmiercią. Salwy powtarzano kilka razy, a czas nimi wypełniony wydawał się wiecznością. Dotarło do mej świadomości, że być może moje krótkie życie zmierza do końca i obiecywałem sobie, że nigdy już nie będę chodził samowolnie po mieście, jeśli tą makabrę przeżyję. Długo po wyciszeniu salw nie ruszaliśmy się z miejsca leżąc na schodach i milczą przerażeni. Po chwili przyszedł dozorca, który kazał nam iść do domów. Dozorca nie wypuścił nas na ulicę. Przez okienko w piwnicy kazał nam się precyzować na tereny jakiś warsztatów sąsiadujących z budynkiem naszej szkoły. Ze szkoły nauczyciele wyprowadzili nas dopiero po kilku godzinach od zakończenia egzekucji. Mord z zimną krwią dokonany na bezbronnych ludziach wydawał się koszmarem trudnym do przeżycia. Przekonałem się, że w okupacyjnej rzeczywistości życie może zostać odebrane w jednej chwili przez tych samych blondynów w mundurach feld-grau, którzy częstowali cukierkami mego małego „nordyckiego „ brata w Parku Praskim kilka miesięcy wcześniej. Według oficjalnych obwieszczeń gubernatora Fischera tegoż dnia 12 listopada 1943 roku Niemcy rozstrzelali w Warszawie 630 zakładników z Pawiaka za zamachy na funkcjonariuszy III Rzeszy. Na ulicy Wrzesińskiej zginęło ich sześćdziesięciu !. Tak hitlerowcy „ uczcili „ Święto Niepodległości 11 listopada „

Jak się okazało naszą wychowawczynią jest pani profesor Irena Rutkowska, która miała nas także nauczać biologii. Szybko ustaliliśmy, że ta szczupła, delikatna, czterdziestoletnia kobieta, mówiąca do nas śpiwną mową kresową, jest była asystentką Wydziału Biologii Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. Nasze wzajemne kontakty ułożyły się od początku znakomicie, a każdy rok z czterech lat następnych umacniał je coraz bardziej. Na jednej z lekcji wychowawczych, kiedy któryś z naszych kolegów poddawał w wątpliwość sens uczenia się, i nie tylko uczenia się, Profesor Rutkowska rzekła nam coś, co wielu zapadło głęboko w serce: „*Życie bez celu jest życiem bez godności. Staje się więc tym ważniejszym ustalić jaki to ma być sens naszego życia ?* „. W codziennych naszych kontaktach nazywaliśmy Ją po prostu „IRCIA „, w czym więcej było tkliwości, takiej, jakiej używa się mówiąc o matce, niż chłopięcej błazenady. Chociaż o Irci nie umiemy opowiadać anegdot, jak o wielu innych naszych belfrach, była z nami zawsze. Była z nami właśnie jak matka, zarówno w chwilach naszych sukcesów, jak i słabości, w dniach naszych radości, jak i naszych klęsk. Nikt z nas, żyjących uczniów klasy „A „, z lat 1948-1952 nie może sobie wyobrazić egzystowania nas, jako niezwykle zwartej wewnątrz zespołu nastolatków bez tej opoki, jaką była przez cały czas profesor Irena Rutkowska. Każdy z nas zachowa Jej postać we wdzięcznej pamięci do końca swych dni.

Lata 1948-1952 nie były w Polsce okresem idylli i normalności, ale pełnego rozkwitu tego, co nazywano okresem stalinizmu. Dla nas był to czas niezwykle ważny: czas dojrzewania psychicznego i fizycznego, kształtowania się naszych osobowości. To, że jak sądzę, w następnych kilkudziesięciu latach przydaliśmy się Krajowi, i nie tylko Polsce, zawdzięczamy tak naszym domom, jak i zespołowi pedagogów, którzy nas nauczali i wychowywali u „Władka „. Jak zawsze, byli tacy, którzy nas porywali, fascynowali, byli też niestety tacy, wspomnienie których nie wywołuje pozytywnych uczuć. Ci pierwsi jednak zahartowani w tajnym nauczaniu czasów okupacji, na nasze szczęście niewątpliwie dominowali i tworzyli atmosferę szkolną tamtych czasów.

Primus inter pares zespołu pedagogicznego w Liceum przy ulicy Jagiellońskiej był bez wątpienia Dyrektor Doktor Leon Zygmunt Usarek. Człowiek ten był legendą Pragi, autorytetem moralnym i pedagogicznym, o jakim mogą marzyć pokolenia belfrów. Dyrektor Usarek budził w

nas uczucia mieszane: chłopięcego uwielbienia jako bohater podziemia, nawet rzekłbym miłości, ale także uczucie strachu. Jak można uwielbiać kogoś, kto budzi strach ?. Proste !. Dyrektor wchodził do klasy i kazał wszystkim uczniom zdjąć buty z lewej nogi i.....skarpetki. Jak można było po takiej inspekcji przyjść do szkoły niedomytym ?. Myło się więc nogi nawet wtedy, gdy człek padał na pysk znużony wieczornym meczem piłki nożnej pomiędzy Łalakami a tymi ze Szmulek, nawet wtedy, kiedy ze względu na brak kanalizacji lub kanalizację zniszczoną wojną wodę do wszystkiego trzeba było „dygować „, z hydrantu ulicznego oddalonego pół kilometra od domu. Nie można było dopuścić, aby nazajutrz cała męska klasa się z ciebie śmiała !

Początkowo graliśmy swe mecze piłkarskie na rozległym, pustym placu rozciągającym się przed frontem słynnego gmachu byłego prawosławnego seminarium duchownego przy nieodległej od gimnazjum ulicy Cyryla i Metodego zaanektowanego przez Urząd Bezpieczeństwa czyli słynne U. B-e. Od nazwy tego gmachu i tej ulicy pochodziło słynne, wypowiedane szeptem przez ówczesnych warszawiaków powiedzenie: „ *Cyryl to Cyryl, Panie, ale te metody !*”. W owym czasie ulica ta wzdłuż osi jezdni była przegrodzona płotem z drutu kolczastego, a przed gmachem Urzędu Bezpieczeństwa pracował nieustannie wielki, ponemiecki traktor Lanz-Buldog. Było początkowo niezrozumiałe dlaczego jego silnik, strasznie głośny pracował nieprzerwanie godzinami. Kiedyś traktor nawalił i ubowcy nas wypędzili z tego „boiska „. Torturowani w podziemiach gmachu więźniowie potwornie krzyczeli i słusznie uznano, że nie jest to miejsce zabaw dla młodzieży Polski Ludowej. Przenieśliśmy się w tej sytuacji na tak zwaną Wydawkę, to znaczy rozległe, puste pole przylegające do wału linii kolejowej biegnącej dalej mostem koło Cytadeli do Dworca Gdańskiego. Byliśmy przy tym ogromnie szczęśliwi, bowiem mieliśmy cud: pierwszą w naszym życiu prawdziwą piłkę do kopania. Był to wkład w nasze chłopięce lata ojca naszego kolegi Zbyszka Józikowskiego, właściciela świetnie prosperującej przy ulicy Żąbkowskiej Restauracji „Cafe-Udziałowa „, Józikowscy repatrianci ze Lwowa przenieśli się do Warszawy. Zbyszek niestety niebawem zachorował i zmarł na ostrą białaczkę.

Dyrektor Usarek był z nami bardzo krótko. W grudniu 1948 roku odbywał się zjazd zjednoczeniowy partii PPR i PPS. Na uroczystym apelu młodzieży Dyrektor witał otwarcie zjazdu jako wieloletni członek P.P.S.-u. Chciał On wierzyć, że dalszy rozwój kraju będzie przebiegał pomyślnie i że wydarzenie, którego jesteśmy świadkami będzie temu służyć. Co prawda Mikołajczyk zagrożony likwidacją fizyczną umknął z kraju przed rokiem, ale mimo wszystko, mimo wszelkich doświadczeń czasu wojny, niewiele wyobrażało sobie nasze dalsze losy pod władzą Wujka Jo.. Nie sądzę, aby Usarek był naiwny, ale na pewno wiem, że nigdy nie był cyniczny czy nieuczciwy. Kilka dni później w szkołę uderzył grom. Oto na zjeździe przedstawicielka Związku Młodzieży Polskiej Krystyna Krysanka (warto pamiętać tą postać !) występując z trybuny kongresu oświadczyła, że „ *w Liceum Władysława IV w Warszawie ksiądz Husarek (sic !) występuje przeciw nowej Polsce i przeciw zjednoczeniu partii*”. Nic z tego nie rozumieliśmy. Jaki ksiądz Husarek ?. U nas w budzie ?. Co ona p.....i?. Ta niewyjaśniona do dzisiaj prowokacja, do której użyto wieloletniego później pracownika centralnego aparatu partyjnego PZPR, osoby niezwykle egzaltowanej i dyspozycyjnej, skończyła się dla nas fatalnie. Dyrektor Usarek nie tylko został usunięty ze szkoły w trybie natychmiastowym, ale odsunięty na wiele lat od jakichkolwiek kontaktów z młodzieżą. Człowiek, który w każdym cywilizowanym kraju byłby kawalerem najwyższych odznaczeń i godności honorowych został pozbawiony tego o co walczył z narzeniem życia przez pełne sześć lat. Do dnia dzisiejszego Praga, która jego bohaterstwu i pracy giganta tyle zawdzięcza nie oddała hołdu Jego ceniom i zasługom na przykład przez nazwanie Jego imieniem i nazwiskiem ulicy w nowych dzielnicach.

Dyrektorem został mianowany mizerny z postury i charakteru pan R., fizyk, którego pozycja od pierwszego dnia urzędowania była żadna, tak w gronie pedagogicznym, jak nade wszystko w społeczności uczniowskiej.

Jednym z najwybitniejszych naszych nauczycieli był Janusz Lubicz -Borowski, znany powszechnie jako „Lonio „. Pokolenia wychowanków „Władka „, można było podzielić na tych, których Lonio nauczał, i na tych, którzy tego szczęścia nie doznali. Mający wówczas około pięćdziesięciu kilku lat był człowiekiem, do którego można było mieć różny stosunek: jedni Go

lubili, inni wręcz odwrotnie. Wszyscy Go się jednak cholernie bali, ponieważ był w zasadzie człowiekiem nieprzewidywalnym. Chłopisko było potężne, z nieomal łysą czaszką, pokrytą dość obfitym puchem w kolorze blond. W dużej czerwonej twarzy błyszcząły błękitne oczki będące w nieustannym ruchu. Podobnie w nieustannym ruchu, piruecie nieomal, była jego potężna postać. Zwykle zbiegał pędem po schodach z pokoju nauczycielskiego na pierwszym piętrze do naszej klasy zlokalizowanej na parterze. Pod jedną pachą trzymał z trudem gigantycznych rozmiarów teczkę wyładowaną nieustannie i do granic niemożliwości książkami i zeszytami uczniów. W drugiej ręce dzierżył naręcza innych książek. Drzwi do klasy otwierał łokciem lub nogą. Odbywało się to z wielkim hukiem i trzaskiem.

Na pierwszej lekcji jaką z nami odbył przedstawił się klasie: *" Nazywam się Janusz Lubicz-Borowski, będę Was nauczał języka polskiego, a to zadanie niezwykle ważne ! "*. Rozpoczął od przedstawienia nam znaczenia języka ojczystego i polskiej książki w życiu i historii narodu. Z przejęciem, przyjmując oczy, cytował z pamięci Wyspiańskiego:

*O mowo polska, ty ziele rodzime,
niechże cię przyjmę w otwarte ramiona.
Ty będziesz kwieciem tych pól ubarwiona,
ty osłodą żywicznych lasów,
ty zbożnym kłosem na roli,
ty utęsknieniem wszystkich czasów,
pojmująca, czująca co boli.....*

Mówiąc o książkach cytował wielu mędrców, poetów, mężów stanu. Dowiedzieliśmy się więc, że według Cyncerona: *„ izba bez książek to ciało bez duszy „*. Pewien sprzeciw kilkunastoletnich małpisonów wzbudził pogląd Michała Montaigne'a, że *„książka to najlepsza żywność, jaką znalazłem w swej ziemskiej podróży”*. Zenek Rybiński wdychał małodusznie, ale z politowaniem: *” Żabojad pieprzony ! Czy jadł kiedyś pieczonego kurczaczka z młodymi kartofelkami i mizerią ? ”*. Jak widać nie łatwo było wówczas trafić do młodych umysłów. Czy teraz jest lepiej ?

Pierwszy pogrom urządził nam Lonio już w końcu września 1948 roku. Podyktował wymyślne dyktando sprawdzające naszą znajomość ortografii. To było nasze Waterloo. Jedynym uczniem z naszej klasy, który dostał ocenę „trzy z dwoma minusami „, był Jurek Klimczuk. Wszyscy pozostali dostaliśmy dwójki i pałki. Kryteria ocen były proste: jeden błąd = dwójka, więcej błędów = pałka. Na koniec pierwszego okresu wszyscy byliśmy „poślani na deski ringu „, nasi rodzice zaś w kompletnej panice.

Tylko dwóch uczniów w klasie miało mizerne trójki z języka polskiego, reszta dwóje. Skutkowało to w pierwszym wierszyku wielbiącym Lonia:

*Wielki nieład w wnętrzu teczki,
a pod pachą trzy książeczki.
Łysa głowa, wzrok wariata
oto wygląd tego kata !*

Lonio uczył nas języka polskiego w klasach od ósmej do dziesiątej. W zasadzie nie uznawał żadnych programów nauczania przekazując nam wiadomości zarówno z języka polskiego jak historii dziejów, historii kultury czy podstaw zachowania się w różnych sytuacjach życiowych. Co tydzień, wedle pewnego planu tematycznego, musieliśmy napisać swego rodzaju wypracowanie na tematy takie, jak na przykład: *„ Zawiadamiam Cię o tym, że.... „ „ Proszę o przyznanie nam mieszkania „,*

„ Zapraszam Pana-Panią na..... „ „ Wnoszę prośbę o założenie telefonu, bowiem ...” i tak dalej. To On przekazał nam podstawy historii architektury, malarstwa, a nawet coś co można by nazwać propedeutyką filozofii. Miał na pewno bardzo niekonwencjonalne i zapewne kontrowersyjne metody nauczania swych wychowanków, ale z perspektywy kilkudziesięciu lat życia z całą pewnością mam prawo stwierdzić, że była to nie byle jaka osobowość, która wbrew bywało naszej woli, wywarła jednak na nas swe piętno. Na pewno dobre i szlachetne piętno. Oto przykład talentu pedagogicznego Lonia – pewnego razu przyniósł do naszej klasy reprodukcje kolorowa obrazu Breugla zatytułowanego *IKAR*. Na obrazie życie codzienne tego okresu czasu: chłop orze ziemię,

pastuch pasie owce, wędkarz opatruje swoje węki, miasto spoojne w oddali, morzem płynie statek z rozini. etymi żaglami. Oto sielanka. Tymczasem w kącie obrazu obserwujemy nogi sterczące ponad powierzchnię fal i kilka piór w powierzu. Prze chwilą nastąpił upadek Ikara, który wzleciał zbyt blisko słońca. Dopełniła się tragedia, której nikt nie zauważył.. Tylko malarz ujrzał tą śmierć i przekazał ją potomstwu. Teraz przeczytał nam opowiadanie Jrośława Iwaszkiewicza „IKAR” wydrukowane w roku 1945 w tygodniku literackim „Odrodzenie”. Kilkunastoletni chłopak w czasie okupacji zaczytany wchodzi na jezdnie pod samochód Gestapo. Wrzucili go do wnętrza wozu. Wskazywał na książkę jako przyczynę swej nieuwagi, prawie nietaktu. Nie chciał wejść do karetki ostatnim ruchem traconego młodego życia. Nikt z otaczających pole dramatu ludzi tego nie zauważył. To był cały Lonio. Połączył dramat, który mógł być naszym udziałem, nas dzieci okupacji i wprowadzenie do historii sztuki przez duże HS.

Pewnego razu zadał nam przygotowanie się do odbycia dyskusji na temat: głupota. Każdy z nas miał samodzielnie wyszukać w bibliotekach poglądy ludzi mniej lub bardziej znanych na istotę głupoty. Lonio nie znał żartów, a myśmy o tym wiedzieli, i stąd zaczęły się studia nieomal uniwersyteckie w bibliotekach. W wyznaczonym dniu każdy z nas miał wypisane skrupulatnie jakieś mądroty czy głupoty na temat właśnie głupoty. Mieliśmy je publicznie przedstawić na forum klasowym, a następnie orzec, które z wystąpień, czyja opinia czy definicja była najciekawszą.

Jurek Bendarzewski przedstawił pogląd Bernarda Shawa, że: *„Ludzkości zagraża niedobór czystej wody i świeżego powietrza oraz nadmiar idiotów „.* Mirek Damm za Oskarem Kolbergiem twierdził, iż: *„ Łatwiej głupiemu jest dziesięć zamętów uczynić niż mądrému jeden problem rozwiązać „.* Asik Semeniuk powołując się na Marka Twaina rzekł, że: *„ Proponuje się wolnocłową wymianę idiotów, bowiem na obczyźnie importowanego idiotę społeczeństwo rozpozna zaraz i dzięki temu szybko przestanie być on szkodliwym „.* Andrzej Kerntopf błysnął cytatami z *„Uber die Dummheit „* Horsta Geiera: *„ Wzrastające ogłupienie narodu w naszych czasach jest wynikiem wzrostu masy przy równoczesnym kurczeniu się elit „.* Wiesio Borkowski tłumacząc się, że nie mógł ustalić nazwiska autora przekazał nam, że: *„Idiota to członek potężnego szczepu, od lat mającego wpływy na losy ludzkości. Działalność idiotów nie ogranicza się do jakiejś klasy społecznej, jakiegoś wycinka życia społecznego, gospodarczego czy kulturalnego, nosi niestety cechy działalności uniwersalnej „.* Romek Klimm cytował na ludowo: *„ Po to masz na szyi leb, aby nie był z ciebie kiep „.* Ja cytowałem, podsunęty mi przez Ojca cytat z La Rochefoucaulda: *„Mądrość jest cnotą nielicznych i musi nieustannie mierzyć się z tłumem „.* Lonio, nie bez słuszności stwierdził: *„ Ciepło, ciepło młodzieńcze, ale w rzeczy samej na peryferiach tematu ! „.*

I tak mieszały się mądre i mniej mądre cytaty na temat głupoty z eksplozjami śmiechu piętnastoletnich goryli. W pewnej chwili Lonio dopadł Zenka Zemłę, podstarzałe już mocno dziecko ulicy Brzeskiej, którego pasje nie były bynajmniej związane z myszkowaniem po bibliotekach. Zenek, przyparty do muru, zapytał drżącym głosem, czy nie uchybi zebrany przedstawiając *urbi et orbi* pogląd na temat głupoty wyrażany przez swego wuja, który w okolicach Bazaru Różyckiego uchodził za autorytet w każdym temacie. Lonio sponsował, zakrzusił się, ale podjął grę. Tak więc Zenek propagując opinię wuja-mędrca powiedział: *„ Z dwóch półdupków jedną dupę można złożyć, ale z dwóch półgłupków jednego mądrego-w żaden sposób !!!”.*

Co się w klasie działo, co się działo !. Nawet Lonio dostał czkawki ze śmiechu. W ten sposób wujek Zenka Zemły wygrał ze wszystkimi uznanymi mędrkami i klasykami absolutnie i przekonywująco.

Wspomniany wyżej nasz kolega Zenek Zemła korzystał wcale często z wrodzonej mądrości swego wuja i starał się nam szczeniakom bodaj część jej przekazać. Swego czasu właśnie z pomocą zasobów przemyśleń filozoficznych wuja rozstrzygnął nasz chłopięcy spór o to, co jest istotą szczęścia cytując właśnie za szanownym Bratem swej Mamy: *„Ze szczęściem nie należy przesadzać ! To nie jasne piwo-NIGDY NIE JEST PEŁNE !!! „.* Czy to nie był mądry człowiek ?. Tenże sam wujo, będąc zapewne zatwardziałym piwoszem nauczał: *„ Piana winna być zawsze na zimnym piwku, nigdy na ustach !”.* Jakże by się ta zasada przydała naszym obecnym politykom ?!

Zenek Zemło był typowym praskim gawroszem, kilka lat od nas starszym. Nie był fanem nauki, ale koleśiem był znakomitym i lojalnym. Starał się nam przekazywać mądrość krajan rejonu

ulic Brzeskiej, Ząbkowskiej i Markowskiej oraz kupców z Bazaru Różyckiego, gdzie nawet w czasach stalinowskich można było kupić wszystko. Nawet broń i lewe papiery. Broń sprzedawali za pieniądze lub za wódkę żołnierze radzieccy, którzy tu zaopatrywali się w dobra różnorakie przed podróżą do *matuszki Rasieji*. Był to nadzwyczaj egzotyczny zakątek Europy, nawet w jej postaci z lat 1945 – 1960. Najwłaściwszym porównaniem byłby tutaj *suk*, czyli bazar w krajach arabskich. Zenek, poza nieocenionym wujem, miał tu spore grono znajomych, także pośród *szemranej ferajny*. Kiedy byliśmy już na drugim lub trzecim roku studiów Asik Semeniuk zagubił się na ulicy Ząbkowskiej, na jej odcinku między ulicami Targową i Brzeską. Zmierzchało. Raptem z jednej z bramy wyszedł mały chłopaczek, lat może sześć, może siedem i kopnął Asika w piszczel. Ten odruchowo dał mu *blachę w czoło*. Natychmiast z tejże samej bramy wyskoczyło trzech potężnie zbudowanych autochtonów i spokojnie zapytało: „*Dlaczego, ty lachudro, bijesz nieletnie dziecię ?* „ W tych okolicach używano potocznie w stosunku do *małoletnich pętałów* literackiego określenia „*dziecię* „. Asik czuł, że jest w przedsionku piekieł i jak tonący chwytając się brzytwy wykrzyknął: „*A zacie Zenka Zemłę ? To mój kumpel ze szkoły* „. Po ustaleniu tego, co zwano tutaj *stanem faktycznym* Asik mógł spokojnie ruszyć dalej, ale opatrzonej poważną przestroga: „*Jeszcze raz mówiem nie zaczepiaj, a zwłaszcza nie bij nieletnich ! Drugi raz ci tak łatwo nie pójdzie !*”. W ciągu dalszych lat kontakt z Zenkiem został całkowicie zerwany. Podobno był prezesem którejś ze spółdzielni wozaków rozwożących platformami dwukonnymi węgiel.

Jak już wspominałem Lonio nie należał do ludzi, których łatwo było rozbawić, co nie znaczy, że był ponurakiem. Przyczyny tego poznaliśmy o wiele, wiele później w sytuacji kiedy jeden z naszych kolegów opiekował się umierającym na serce Loniem. Otóż Lonio był jednym z Polaków, którzy zostali w jakiś cudowny sposób wycofani z masowej egzekucji w ostatniej chwili. Miał więc w życiu powody, aby nie być skłonny do śmiechu. Dlatego też zapamiętaliśmy inną sytuację, w której eksplodował żywiołowo śmiechem. Jedną z obowiązkowych wówczas lektur szkolnych była powieść Kruczkowskiego p.t. „*Kordian i cham* „. Kiedy przyszedł dzień odpytywania z przeczytanych lektur Lonio dopadł Stefana Celińskiego, który tej książki nie przeczytał.

„*A dlaczego nie przeczytałeś tego dzieła, młody jaskiniowcze ? Czy chcesz zatem, młodzieńcze, zagrać ze mną w kości niezgody ?* „-pytał uprzejmie Lonio.

„*Bo Panie profesorze, ta pani bibliotekarka dawała mi, ale osobno ! Osobno „Chama „ i osobno „Kordiana „ ! Razem nie miała, to co ja miałem począć !* „

To wyjaśnienie ucznia Borowski uznał za jeden z najlepszych dowcipów, jakie słyszał w życiu i rzecz zakończył całkiem jak na niego dobrotliwie: „*No cóż Celiński ! Rozumiem, „dusza w szlapię „ ! Co ? Za dwa tygodnie wrócimy do tej sprawy. A teraz szukaj chłopcze nadal !* „

To nie była z Jego strony łaska, to była jakaś nadzwyczajna amnestia, której nikt z nas nie dostał do tej pory.

Lonio, mimo woli rozbudzał w nas ukryte chęci i ambicje niekonwencjonalnego podchodzenia do wielu problemów. Niewątpliwie w wytworzonej przez Niego atmosferze niepokoju, także intelektualnego, w klasie zaczęto tworzyć różne dziełka „*literackie* „, które w owych czasach mogły się ukazywać w rękopisach powielanych w trzech, maksimum czterech egzemplarzach kopiowanych przez kalkę na maszynie lub znacznie częściej piśmem ręcznym. Naszym literackim przedsięwzięciom patronowało motto ukochanego przez nas Mistrza Konstantego Gałczyńskiego:

*Nie mówię że jestem geniusz
lecz i nie dupa.
Też bym napisał „ Dziady „
gdybym się uparł !*

I tak już w klasie ósmej zaczęło się, co prawda nieregularnie, ukazywać jako periodyk „*Życie Chlewa* „. Początkowo miało to być czasopismo literacko-naukowe „*Jaskiniowiec* „, bowiem Lonio otwarcie sklasyfikował nas wszystkich jako troglodytów. Dopiero pod Jego ciężką ręką mieliśmy szansę uzyskać status homo sapiens. Od klasy dziewiątej aż do matury wydawano „*Silva Rerum* „, którego nie tyle redaktorem naczelnym co sekretarzem redakcji, depozytariuszem

bezcennych rękopisów, był nieoceniony Romek Klimm, ksywa Klimocha. Jak pisał we wstępie do *Silva Rerum* anonimowy „zespół redakcyjny „: „ *Wyłączone zostają ze zbioru wszelkie teksty pornograficzne, opowieści kryminalne i inne niestosowności, albowiem ma ono charakter krytyczno-literacki (sic !!!)* „. Wartość periodyku podnosiły znacznie autentyczne dokumenty wklejane na jego kartach. Prawdziwą perłą pośród dokumentów tego rodzaju był oryginalny blankiet legitymacji stwierdzającej *expressis verbis*, że: „*Kolega Andrzej..... jest członkiem męskim, zwyczajnym, Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej* „. Nie muszę wyjaśniać, że słowo „*męskim* „ było dodrukowane czarnym tuszem ręką życzliwego kolegi. Aby nie było wątpliwości, to nie była żadna manifestacja antyradziecka. Był to prosty odruch nastolatka na to, co nazywaliśmy „*pieprzeniem kotka przy pomocy młotka* „. Podobnie, nie jako antykomunistyczni kombatanci, ale jako bachory przekorne wobec wszystkiego i wszystkich śpiewaliśmy na melodię hymnu Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej, rozpoczynającego się w tekście oficjalnym słowami „*Naprzód młodzieży świata.....* „, nieco inną wersję:

*Naprzód młode prosięta
niech radosny rozlegnie się śpiew.
Obora jest już zamknięta,
lecz otwarty na oścież jest chlew.
Kreć, kreć ogoneczkiem,
chrząkaj, chrząkaj ryjeczkiem
w marszu do kałuż, błota i chlewa
wdzięczny rozbrzmiewa nasz kwik !*

*Nie zna rzeźni, ni rzeźników
kwiku zew, kwiku zew, kwiku zew !
A więc kwiczmy, niech nas słyszy cały chlew!
Cały chlew ! Cały chlew !*

Tego rodzaju młodzieńcza twórczość mogła kosztować nas, a zwłaszcza nasze rodziny, delikatnie mówiąc, duże nieprzyjemności. Jednak nikt nie sypał, byliśmy „nieprzemakalni „ dla otaczającego nas, coraz mniej sympatycznego świata. A czasy robiły się coraz bardziej groźne. Po kongresie zjednoczeniowym partii uczono nas kantaty skomponowanej przez późniejszego emigranta politycznego Andrzeja Panufnika:

*Partia pogromca faszyzmu,
Partia przewodnik mas,
do socjalizmu prowadzi nas !
do komunizmu prowadzi nas !*

Prezydent Bierut, do niedawna całkowicie apolityczny i totalnie bezpartyjny, jako ten anioł w wierszu Tuwima, nagle stał się sekretarzem generalnym P.Z.P.R. Śpiewaliśmy więc na jego cześć wraz z zespołem Mazowsze.

*Jak dumnie teraz słońce wschodzi
i lżejszy jest nam każdy trud,
bo Bierut dzisiaj nam przewodzi,
a krajem rządzi On i lud !
Na zawsze los swój z nami splótł
bo uczniem jest Stalina
na wieki będzie polski lud
Bieruta przypominał !
Bierut sława Polski Ludowej !
Bierut przewodnik ludowych mas !
W promienne jutro, w lepszą przyszłość
na czele Partii prowadzi nas !*

Rok 1949 przyniósł nam Wielki Prezent od Wielkiego Nauczyciela Ludzkości Józefa Wissarionowicza. W Polsce zjawił się Marszałek Konstanty Rokossowski jako nowy szef armii polskiej, wyśniony i wyproszony przez cały naród. Radio zachłystywało się pieśnią ze słowami

poety Tadeusza Uragacza, która informowała nas, że: „*Hej, przyleciał stalinowski orzeł do rodzinnych, ukochanych stron !* „. Szło wyraźnie ku wojnie. Odstąpiono od drażenia głębokich tuneli warszawskiego metra, co wymagało dużych ilości stali niezbędnej na czołgi i broń. Towarzysz Minc rozpoczął akcję zwaną „*bitwą o handel* „. Wzięto się za likwidację „*prywaciarzy* „. Rynek odczuwał braki w zaopatrzeniu w podstawowe artykuły żywnościowe, przemysłowe czy odzieżowe. Wypełniano na swój sposób testament Goeringa, który żądał „*Armaty zamiast masła !*“. Narastał terror polityczny. Mnożyły się procesy polityczne, w trakcie których sądzono „*reakcję* „, ale i „*odchyleńców prawicowo-nacjonalistycznych* „, z partii oraz agentów Watykanu, Niemiec, Francji i diabli wiedzą kogo jeszcze. Powiało Rosją Radziecką. Nastąpił czas Wielkiego Strachu. Ojciec starannie spiłował opaskę ze srebrnej blachy, którą otrzymał od organizacji „*Strzelca* „, w Belgii, organizacji którą tam stworzył. Pozostała mi na pamiątkę okaleczona z napisem: „*Kocha..... ofiarowuje w dniu imie..... Wintersalg (Belgia) 27. VI. 1933 r.* „. Kult Stalina stał się oficjalną religią całego obozu socjalistycznego, którego granice twardo ustalono na Łabie, nie bez pomocy tak zwanych „*Demokracji Zachodnich* „. Od kultu Stalina ludzie głupieli. Literaci, poeci pisali panegiriki bez żadnego umiaru na temat Słoneczka. Jak mądry człowiek mawiał: „*Każde dzieło w dziedzinie pszczelarstwa miało więcej Stalina niż pszczoł. Każda rozprawa o wojnach punickich musiała wykazać udział w nich Stalina* „. Mój pięcioletni wówczas kuzyn Marek, chodzący do jednego z nielicznych w tych latach przedszkoli, prowadzonych zresztą przez zakonnice na Bródnie, śpiewał w Wigilię roku 1950-tego w znanej kolędzie: „*..... a Józef Stalin, a Józef Stalin ono pielęgnuje* „. Chodziło rzecz jasna o biedne Dzieciątko, którym opiekował się Święty Józef (Stary), z kolędy „*Dzisiaj w Betlejem* „. Wujek Jo, jak wiadomo, raczej zaliczał się do Herodowych siepaczy nie do opiekunek w żłobku. Oczywiście to nie siostry, Bogu ducha winne, były sprawczyniami tego idiotyzmu, ale nasycenie otoczenia kultem Wujka Joe. Józef nie mógł być w tych czasach „*Starym* „, ale musiał być Stalinem, zwłaszcza jeśli się o jakimkolwiek Józefie śpiewało. Pewna pani literatka napisała wzruszającą opowieść o dzieciństwie WODZA pod tytułem „*Soso* „. Wkrótce cała „*warszawka* „, twierdziła, że jest to książeczka poświęcona temu „*komu Soso zrobił kuku !*“.

Do tych ideologicznych rekolekcji, my chłopcy z Pragi, jak to mówili obaj nasi Zenkowie mieliśmy stosunek-*excuse le mot-płciowy*. Pieprzyliśmy to wszystko ! Ulubionym quizem naszego kolegi Rysia Latka było pytanie kolejnych rozmówców:

„*Co zostało, jak umarł Lenin ?* „

„*A cholera go wie !* „

„*Leninizm, ty trąbo, leninizm został ! !. A co zostało jak odeszła ona ?* „

???

„*Onanizm, przyjacielu, onanizm ! Zapamiętaj to sobie !* „

Rysio Latek, wyjątkowe w naszym gronie dziecię Powiśla, był znanym bluźniercą i miłośnikiem kryminalnych czytań przedwojennego „*literata* „, Antoniego Marczyńskiego. Streszczał te dzieła używając słowa k....., zamiast przecinka.

„*I rozumiesz, k...., on do niej, k....., strzela z pistoletu, k....., a ona k chodu przez okno, k..... !!! i dyla w pole !!!*“.....

W sytuacjach trudnych znakomicie naśladował charakterystyczny głos żydłaczącego towarzysza Podhorca, Litwaka sprawującego nad naszą szkołą „*opiekę* „, ideologiczną ze strony Komitetu Dzielnicowego Związku Młodzieży Polskiej ryczał: „*Towarzysze i Towarówki ! Problem stanął i nabrzmiwa ! A wy co, Towarzysze !* „. Towarzysz Podhorec w chwilach ideologicznych uniesień miał jeszcze jedną mantrę:

„*Wy winniście być przyszłością Polski Socjalistycznej, rewolucjonistami. Pamiętajcie, że jak mawiał towarzysz Lenin „ Rewolucjonista zaszuchany w muzykę Beethovena nie jest w stanie dokończyć rewolucji !*“.

I co ?. Ten „*ideowy komunista-stalinowiec* „, w roku 1956 wyjechał do pracy w jednym z kibuców izraelskich. Nie sądzę, aby tam nie słuchał IX Symfonii, chyba, że zgłupiał do końca.

Lonio dusząc nas potężnie, wcale często denerwował. W swej młodzieńczej przekorze, a nawet głupocie złośliwie podsuwaliśmy Profesorowi tekst przemówienia Adama Ważyka

wyłoszonego na zjeździe literatów polskich w roku 1950-tym. Ów wieszcz stwierdzał tam autorytatywnie, że: „*burżuazyjna polonistyka konserwowała adoracje dla Młodej Polski, neoromantyzmu, symbolizmu, dla schyłkowej poezji okresu imperialistycznego, konserwowała kult Kasprowicza i Wyspiańskiego* „. Trudno powiedzieć że Lonio odbierał to spokojnie.

Z Ważykiem spotkaliśmy się niebawem twarzą w twarz, zawiezieni jak stado owiec na spotkanie młodzieży z tym literatem. Spotkanie odbywało się na terenie Zakładów Mechanicznych URSUS i miało być manifestacją spójności młodzieży inteligenckiej i robotniczej. Ważyk, nieduży, niepozorny facet, o niesłychanie niechlujnym wyglądzie, z ciemnymi, rozwichrzonymi kosmkami tłustych włosów pokrytych łupieżem, mówiący bardzo dziwnym głosem, bredził coś około godziny. Styl jego wystąpienia jak „*patrz powyżej* „. Dla nas był kurduplem bez chwili przerwy wymachującym rękami i bredzącym głupoty. Głównie atakował, najbardziej agresywnie Gałczyńskiego, którego nazwał „*burżuazyjnym kanarkiem, któremu należało by łeb ukrećić!*”. Tu zrobił błąd kolosalny, bowiem on sam był dla nas NIKIM i NICZYM, co gorsza czymś co siusiało na pomnik naszego bożyszczka. Wydarzenie to wywołało w nas nieodpartą potrzebę częstego powtarzania wiersza Gałczyńskiego „Cyrulik Jesienny”

*Tristis est anima mea
usque, jak mówią, ad mortem.*

*Oto się wiosna zaczęła
I nie ma komu dać w mordę
I nic już, nic nie zachwyca,
I nic już, nic nie wystarcza
Idzie przez łan osmętница
Mizeria gospodarcza*

.....
*Gdy wspomnę (ach jakże miękne !)
światlaną zjawę dzieciństwa
Ha, życie jest może piękne,
ale za dużo w nim świństwa
Eeeech jesień już się zaczęła
i nie ma komu dać w mordę
Tristis anima mea
usque, jak mówią, ad mortem.*

W mordę było by komu dać, chociażby temuż Ważykowi, ale to zadanie nie na nasze siły. Zreferowaliśmy nazajutrz całą historię Loniovi, który to przeżył dramatycznie. Na następną lekcję Lonio przyszedł doskonale przygotowany, z egzemplarzem „Wyzwolenia „ Wyspiańskiego. Rozpoczął od tego co napisał Kazimierz Brodziński: „*Literatura każdego narodu jest jego moralnym bytem, bezpieczna w swoich granicach, żadnemu zniszczeniu nie podległa!* „. Po tym zaczął nam czytać wyjątki słynnego dialogu Konrada z maskami. Od tego czasu większość z nas znała te fragmenty na pamięć. Było to coś, co wyzwolono z naszej podświadomości, a czego sami nie umieliśmy wyrazić, ale co tak niesłychanie przystawało do otaczającej nas niełatwej rzeczywistości. I płynęły słowa:

„*A co jest mi wstrętne i nieznośne, to jest to robienie Polski na każdym kroku i codziennie. To manifestowanie polskości! Bo to wygląda tak, jakby Polski nie było, Polski nie było..... Jakby nawet ziemi nie było polskiej i tylko trzeba było pokazywać, bo wszystko zostało nam na pokaz i po trochu..... Pokazywać jak srebra stołowe w zastawie, pokazywać jakby kartki i kwity zastawne.... I kryć się, udawać, udawać.....*”

A to właśnie było naszą rzeczywistością, tą wielką potiemkinowską wioską, jaką była „niepodległa „ Polska lat 1948 – 1956. A więc co należało by zrobić?. Uprzedzając to ewentualne pytanie Lonio cytował dalszy ciąg dialogu „*schyłkowego poety okresu imperialistycznego* „:

„*Musimy zrobić, co by od nas zależało, zważywszy, że dzieje się wokół tak wiele, co nie zależy od nikogo! Oto winniśmy przede wszystkim uszanować krew narodu! I nie dać jej zmarnować! Nie pozwolić marnować krwi narodu!* „

Ale tak właśnie i to właśnie mówił, młody wówczas, nowy Prymas Ksiądz Arcybiskup Stefan Wyszyński !. Innymi słowy, ale w rzeczy samej to samo !. Zrobiło się śmiertelnie cicho, i śmiertelnie poważnie, bo będąc przedwcześnie dojrzały zrozumieliśmy nagle, że Lonio rzucając na szalę swoją ogromną odwagę cywilną i uczciwość nauczyciela-wychowawcy zdał się na łaskę i niełaskę naszej uczciwości i lojalności. I nie stało się nic złego, przynajmniej nie z naszego powodu. Lata wojny i okupacji, ocieranie się o zasady konspiracji w rodzinie, w domu, na ulicy, sprawiły, że sprawa lojalności była zasadą pryncypialną naszego dnia powszedniego. Nie byliśmy jednak „kozakami „, prowokującymi tak zwane „odnośne władze „ do poświęcania nam uwagi szczególnej. Mieliśmy świadomość, że odpowiednie „ służby” i tak interesują się nami profilaktycznie, w ramach tak zwanych „działań rutynowych „. W klasie obowiązywała swego rodzaju szczelność, nieprzemakalność, która skutecznie zapobiegała przenikaniu informacji na temat naszych prywatnych poglądów na zewnątrz. Myślę, że los był dla nas wyjątkowo łaskawym dobierając w sposób jednak dość przypadkowy taki a nie inny zespół kolegów klasowych.

Ważyk, który w roku 1955 wszedł do areopagu odnowicieli „ demokracji socjalistycznej „, jeszcze w roku 1954, a więc już po śmierci Stalina bronił na posiedzeniu Związku Literatów Polskich tych samych „ zasad „. Nieoceniony Leopold Tyrmand w swym dziele „ Dziennik 1954 „, opisuje to zebranie:

„ Pastwiono się nad niejakim Konwickim – młodym literatem, posłusznym i oddanym członkiem partii i wszelkich jej młodzieżowych przybudówek. Napisał opowiadanie o miłości. Ze wszystkimi akcesoriami jak trzeba: szlachetny oficer UB, kochankowie pieprzą się nieomal pod kontrolą podstawowej organizacji partyjnej, nigdy przeciw, zawsze za i ze Związkiem Radzieckim, w łóżku nieustanna romowa o proletariacie. A jednak i to okazało się „ nie takie „. Ludzie w wieku pokrytych mchem przydrożnych kamieni, o powierzchowności karłów i maszkar-Melania Kierczyńska i Adam Ważyk – informowali ludzi w średnim wieku i o normalnym wyglądzie o tym co to jest spółkowanie-dojrzałe, klasowo odpowiedzialne, a nie animalistyczne, amerykańsko – imperialistyczne. Ta Kierczyńska, szara eminencja czerwonej literatury, na oko koszmarny zlepek wyschłych kości i brodawek, która w życiu wypełnionym walką o socjalizm i przy swej urodzie, kutasa widziała chyba tylko w atlasie anatomicznym pouczała nas, że zdrada małżeńska jest przeżytkiem kapitalizmu i zniknie w nowej świetlanej erze. „

Aby zakończyć „ optymistycznie „, ten wątek „ ważykowy „, przypomnę, że nieco później w dniu 21 sierpnia 1955 roku w tygodniku Nowa Kultura ukazał się odwilżowy „*Poemat dla dorosłych* „. Autorstwa kogóż, ach kogóż – Adama Ważyka właśnie. Kończąc swą skargę na niedostatki rzeczywistości Ważyk łkał: „*upominamy się codziennie, upominamy się Partią !*”. Genialne biedactwo, i jakież wrażliwe. Ale łba temu marnemu wróblowi nie ukrecono.

Ale póki co, na zewnątrz szkoły czyhały na nasze młode umysły „ imperialistyczne agentury „, „emigranda „, i inne „ wrogie szczekaczki „, które chociaż zagłuszane nieustannie zatruwały dusze i stare i młode. Nieustannie odkrywano i karcono „rozpalonym żelazem „, zdradę rodzimą i spiski hitlerowsko-amerykańskie, uprawiane zazwyczaj przy czynnym udziale kleru rodzimego, Watykanu i zdradzieckiego Tity. Dziennik „ Życie Warszawy „, pisał o politycznie zbankrutowanym kierownictwie tak zwanej emigracji londyńskiej, które: „ *zjada PENIS bene meritis grubo smarowany masłem* „. Nikt nie wyjaśnił, czy był to zamierzony czy też niezamierzony chochlik drukarski, czy jednak niski poziom wykształcenia dziennikarzyny to piszącego, dla którego łacińskie „*panis* „, (chleb) czy „*penis* „, było synonimem. W Polskim Radiu brylowali oddani sprawie socjalizmu Stefan Martyka i Grzegorz Jaszuński oraz Wanda Odolska, aby upamiętnić najbardziej zapluty. Z dużym niesmakiem czytałem nieomal pół wieku później wynurzenia pani K, która oświadczała, że Jej drugi mąż, właśnie pan Grzegorz Jaszuński, jest dla niej wzorcem moralnym. W tym przypadku doznałem, nie po raz ostatni, wrażenia, że stanowczo zbyt długo żyję. Innym naszym pupilem stał się jeden z grupy ówczesnych „pryszczatych „, ideologicznie zwariowanych gówniarzy-Grzegorz Lasota, który puścił drukiem następujący tekst w swym dziele pod tytułem „Kierunek natarcia „,:

„ Wszystkie elementy skautowskiego wychowania opartego na ślepej, faszystowskiej dyscyplinie, najlepiej uwidoczniły się w powieści Aleksandra Kamińskiego „Kamienie na szaniec „.

Kamiński nazwał swą książkę „opowieścią o wspaniałych ideałach braterstwa i służby „. Istotnie cała książka stanowi zbeletryzowany wykład pedagogiki służby, pedagogiki bezmyślnego drylu, wychowania gorliwych i wiernych janczarów faszyzmu. Kamiński przedstawia działalność Armii Krajowej z cynizmem i zakłamaniem wmawiając czytelnikom, że A.K. prowadziła zakrojoną na szerszą skalę walkę z Niemcami „...

I tak dalej, i tak dalej.....

Czy tego rodzaju istota może być uznana za Polaka ?. To pytanie zadawaliśmy sobie wciąż. I do tego wiersze najwierniejszych, w tym czasie, z wiernych młodzieńców Woroszylskiego i Mandaliana poświęcone bohaterom pracownikom służby bezpieczeństwa, tym samym, którzy katując więźniów w podziemiach gmachu na Cyryla i Metodego nie dawali nam grać w piłkę.

Były to czasy, w których w Tygodniu „Świat „ (23 – 30.XII. 1950 r) uznawany wiele lat później za autorytet moralny poeta Artur M. publikował wiersz:

*Biła pora północna
Klął na mrozie policjant
Nędzo, nędzo o oczach
Sanacyjnego szpicla.*

.....

*Gdy giełdy za oceanem
Knują przeciw ojczyźnie
Trzeszczą co dzień łamane
Normy na Pelcowiznie*

Stało się oczywiste, że tu w ogóle nie chodziło o żadne inne względy niż realizacja tego, co stalińscy nazywali „*przekuwaniem dusz ludzkich* „. Czy po tego rodzaju „*przekuciu* „ delikwent miał jeszcze duszę, skoro ciało miał odbite od kości ?. Dla nas bohaterowie „Kamieni na szaniec „ to nasi starsi bracia, kuzyni, chłopcy z podwórka czy ulicy, znani nam „ od zawsze „, w tym byli koledzy od „Władka „. Do kogo więc były skierowane te brednie Lasoty i jemu podobnych ?. Do prostych wiejskich wyrostków, którym wmawiano, że „*nie matura, lecz chęć szczerą robi z Ciebie oficera* „ ? Przecież chłopcy z Szarych Szeregów to także nasi koledzy z konspiracyjnego „Władka „ !. To Janek Bytnar, który u nas w domu szkilił szyby przed zimą 1939/1940 !. Całą tą atmosferę odczuwaliśmy jako zatechłą, śmierdzącą, nam obcą. To Janek Rodowicz (Anoda), bohater akcji pod Arsenalem, którego zwłoki najbliżsi ekshumowali po październiku 1956 roku po „samobójczym „ morderstwie dokonanym przez katów z Rakowieckiej.

Ojciec jako odtrutkę na tą „ofensywę ideologiczną „ zastosował lekturę „*Dzieł zebranych* „ Józefa Piłsudskiego. Sam należał do pokolenia, które urodzone w czasach caratu widziało, i słusznie, w Marszałku Mesjasza. W szczególny sposób zwracał mi uwagę na takie utwory jak „*Ulina Mała* „, „*Bibula* „ i „*Rok 1920* „. To ostatnie opracowanie zaskoczyło mnie czymś szczególnym. Otóż w części pierwszej był to wykład Wodza Naczelnego zwycięskiej kampanii antybolszewickiej, ale była to jednocześnie dyskusja z dziełem Michała Tuchaczewskiego „*Pochód za Wisłę* „. Zdziwienie brało się z powodu zamieszczenia pełnego oryginalnego tekstu adwersarza. To była rzeczywiście dyskusja, a nie opluwanie przeciwnika metodą „*czego się ten głupi czepia ?*“, do czego byliśmy w tym czasie przyzwyczajeni.

W liceum musiała być jednak, bo tak było wówczas wszędzie, grupa konfidentów służby bezpieczeństwa. Przy końcu klasy dziesiątej Lonia dopadli. Przy jakiej okazji i gdzie, nie wiemy. Aktem łaski, jak na te czasy, było to, że odsunięty od nauczania języka polskiego mógł nas nauczać języka rosyjskiego, który znał znakomicie.. Dzięki Loniowi lekcje te stały się wprowadzeniem nas w wielką literaturę rosyjską i kulturę tego narodu. Borowski, podobnie jak i jego Koledzy Profesorowie Liceum, wiele uwagi poświęcali nie tylko patriotycznemu wychowaniu uczniów, ale także odtruwaniu ich młodych dusz od wszelkich skażeń jakie wojna przynieść musiała. Chodziło im o to, abyśmy byli tolerancyjni dla tych, którzy są po prostu inni kulturą, językiem, rasą, religią, ale są ludźmi.....

Lonio nie nauczył nas języka rosyjskiego, także dlatego, że żywiołowo ten język odrzucaliśmy. Trudno było to czynić z chłopakami bardzo niechętnymi „ruskiemu „, w tych

szczególnych czasach. Co dziwne nie stawiał nam teraz dwójek i pał za brak przygotowania. Uczył nas jednak wielkiej literatury rosyjskiej XIX wieku: Tołstoja, Gribojedowa, Czechowa, Gogola i innych. Przekazywał nam także, jak zawsze dotąd zresztą wagę tego co się zowie: IMPONDERABILIA. W domach mówiono większości z nas: „*Marszałek Piłsudski powtarzał, że NAJWAŻNIEJSZE SĄ IMPONDERABILIA !* Szczególny szacunek miał Lonio dla Gribojedowa i za nim powtarzał:” *Taką o tobie prawdę powiem, że gorsza ona będzie od wszelkiego kłamstwa* „. Przez wszystkie lata miał zasadę, straszliwą dla nas w doraźnych swych konsekwencjach-kazał uczyć się na pamięć nieprawdopodobnie wielkich partii poezji i prozy. Kilka lat później przyznał się że była to obawa wyniesiona z doświadczeń wojennych-książki mogą być zniszczone, ale w głowie zostanie to, co cenne !. Iluż ludzi dzięki temu nie zwariowało w obozach niemieckich i łagrach ?. Do dzisiaj wielu z nas cytuje z pamięci słowa żartobliwej pieśni podchmielonych carskich oficerów:

*Kopiernik, on wieś swój wiek trudilsja
czto b ' dokazat' ziemi wraszczenijsja.
Durak ! Zaczio m on nie napilsja ?
Togda by nie była somnienija !
Togda by jemu wieś mir krutiłsja !*

I pamiętam te figlarne ogniki w błękitnych oczkach Lonia, kiedy ten wierszyk się recytowało. Innym Jego ukochanym utworem był wiersz poświęcony Polsce, mało u nas znanego Stiepana Szczipaczowa.

*Nieszczęście i krzywda były tu bezdenne,
droga posepna, zdeptana przez ból
w kraju, gdzie polskie madonny kamienne
z niemowlętami w ręku strzegły pól.
Patrzyły w przestwór sielskich pól rodzinnych,
gdzie się za sochą skąpe skiby rwą.
Jedyne w Polsce matki, którym nigdy
nieszczęście oka nie zmąciło łzę.*

A jednak i w czasie lekcji języka obcego uczył nas ZASAD. I tak przypominał za Turgieniewem: „*Porządny człowiek rezygnuje z własnych przyjemności dla utrzymania spokoju przyjaciół* „, czy za Gogolem: „*Nie narzekaj na lustro skoro gęba twa krzywa !* „. Ale przy okazji, któreś z rocznic mickiewiczowskich przekształconym przez władze w akademię ku czci..... Puszki, Lonio przypominał nam, z tegoż właśnie Puszkina przemyśleń: „*Kto zwycięży w tej nierównej walce: hardzi Polacy, czy lojalni Rosjanie ? Czy słowiański strumień popłynie razem do rosyjskiego morza, czy morze to wyschnie ?* „. To było nader aktualne ! Puszkina, kamlejunkier Cara Mikołaja I-ego, pogromcy Powstania Listopadowego i właśnie to powstanie surowo potępiający, z głębi wieków pytał nas czy wsączymy się do radzieckiego morza, czy morze to bez nas wyschnie ? A niech wysycha, w cholerę, ale bez nas ! Co więcej z „wrednych „ przedwojennych książek czytaliśmy z listu przyjaznego nam Puszkina do pani Jelizawietty Michajłowej Chitrowo 9.XII.1830 roku: „*Co za rok !. Co za wydarzenia !. Wieść o powstaniu w Polsce prawdziwie mnie wzburzyła !. Nasi starzy wrogowie zostaną więc wreszcie wytepieni. Wojna, która ma się zacząć będzie wojną na eksterminację, albo przynajmniej trzeba aby taką była. W duszach Polaków miłość ojczyzny była zawsze uczuciem posepnym. Dość spojrzeć na ich poetę Mickiewicza !. Trzeba zdusić Polaków, a nasza powolność jest męcząca.* „. Oto jeden z przyjaciół Moskali, prawdziwa szeroka słowiańska dusza.

Z kolei Bestużew, poeta, dekabrysta, o którym nasz Mickiewicz pisał między innymi:

*„Ta ręka, która do mnie Bestużew wyciągał..
Dziś w minach ryje, skuta obok polskiej dłoni... „*

pisał z Kaukazu do matki: „*Byłem ogromnie zasmucony i oburzony wiadomością o zdradzie warszawskiej. Jakaż szkoda, że nie uda mi się wymienić kul z panami dobrodziejami. Krew ich zaleje, ale czy na zawsze ?. Daj Boże !*”. To istotnie pouczający przykład rosyjskiej wersji patriotyzmu internacjonalistycznego.

Profesor Janusz Lubicz-Borowski był naszym nauczycielem aż do matury. Szczęśliwie aż do matury mógł nas kształtować jako Polaków, ściśle współpracując z takimi ludźmi jak pani Irena Rutkowska. Nie bylibyśmy jednak nastolatkami, aby ceniąc sobie Lonia jako ważne zjawisko, mające znaczący wpływ na nasze życie duchowe, nie wylewać swej żółci uczniaka w złośliwych wierszykach. A tej żółci zbierało się w nadmiarze, zwłaszcza po odebraniu zeszytu z domowym wypracowaniem czy klasówką z polskiego, które wieńczyła co najwyżej „trójczyna na szynach „, czyli 3 =. I tak, na przykład, życzliwy kolega we fraszce „Do Celińskiego „ ostrzegł Stefana:

*Niech Ciebie miły Kolego
słowo moje ostrzec zdola.
Unikaj Borowskiego,
bo Mu możesz wpaść pod koła !*

W lutym anonimowy poeta klasowy przybity wynikami ostatniej klasówki z języka polskiego pisał pogrążony w bólu i udęcie:

*Glucho w klasie, cicho w klasie
nic już zrobić nie uda się !
Co się dzieje ? Co się dzieje ?
Borowski dwójkami sieje !
Kto tak jęczy ? Co tak jęczy ?
Ach, Celiński tak się męczy !
Dostał gałę ! Tak ma gałę !
Biedne Celiniątko małe !
Och jest czwórka ! Jedna czwórka !
W ciemnym niebie jasna chmurka !*

Istotnie w dniu 5 lutego 1951 roku na 36 uczniów-33 otrzymało dwójki, dwóch oceny dostateczne z dwoma minusami, zaś tylko jeden, jak zwykle zresztą-Jerzy Klimczuk-czwórkę. W tej atmosferze inny z przygnębionych i pogwałconych domorosłych poetów klasowych śpiewał po tej katastrofie na przerwach na melodię ruskiej pieśni „Eh ta droga..... „

*Ech ten polski
tonie we łzach.
Znowu płacz i trwoga
i ten blady strach !
Nie odgadniesz,
jaka dola Twa
może dzisiaj Lonio
znów Ci gałę da !
A ta lekcja wciąż się dłuży,
i burzy, i chmurzy !
A dokoła hula Lonio,
i jęk słyhać, szloch !*

Ten niecodzienny belfer wywarł na nas piętno swej osobowości, co więcej narzucił nam w tych czasach sposób myślenia i sposób widzenia spraw ważnych i najważniejszych dla późniejszego rozwoju naszych osobowości. Baliśmy się Go cholernie, ale być uczniem Lonia to znaczyło u „Władka „ nobilitację. To była prawdziwa szkoła przetrwania ucznia liceum. Krążyły o Nim legendy wśród kolejnych generacji władysławiaków, co jest dowodem jaka to była *personality*. Swoistym pożegnaniem Profesora Janusza Lubicz-Borowskiego był biały wiersz, będący nader swobodną adaptacją wiersza Puszkina poświęconego Adamowi Mickiewiczowi.

*Był tu wśród nas troglodytów
właśnie przed chwilą na lekcji. W dzienniku
dał dowody swej dla nas miłości.
Same dwóje !!!
Myśmy też
Go kochali. Cichy, dobrotliwy był sprawcą*

*wielu naszych zmartwień i łez.
 Nas stale przyprawiał o ból głowy i trwogę,
 zdolności miał do tego -
 był bowiem natchniony łaską piekieł !
 Często ryczał na nas głośno i mówił
 o romantyzmie, Wyspiańskim, Repinie,
 filozofii.....
 Słuchaliśmy Go z zapartym tchem,
 ale i strachem.....
 Opuścił nas potem
 i z klasy wyszedł. I błogosławieństwem
 żegnaliśmy Go !. Ale gość nasz cichy
 jeszcze raz do klasy wrócił i ryczał
 na uciechę stojącej pod drzwiami gawiedzi
 z innych klas.....
 Z dali jeszcze dochodził nas
 Jego głos wezbrany uczuciem słodkim.
 Znajomy głos.....
 Boże ! Prawdą swoją i pokojem
 oświeć Jego serce !
 I przywróć Mu.....*

Wiele lat później dwóch naszych Kolegów pracujących jako lekarze w Szpitalu Przemienienia Pańskiego bezskutecznie ratowało Lonia umierającego na serce. Bezskutecznie. Naszego długu wobec tego CZŁOWIEKA nie udało się spłacić !

Godną partnerką Lonia w czteroletnim okresie naszego dochodzenia do świadectwa dojrzałości była pani profesor Maria Błońska, zwana przez liczne pokolenia wychowanków „Cipcią „. Pseudonim ten zawdzięczała maleńkiej figurce, w której zamieszkiwał jednak duch wielki i bojowy. Bywała także nazywana w liceum „maleńką panią wielkiego domu „, bowiem w istocie panowała niepodzielnie w wielkim gmazysku. Była następną z grona pedagogicznego, której wszyscy baliśmy się, ale i kochaliśmy. Miała usposobienie cowboya ujeżdżającego na amerykańskim rodeo najdziksze rumaki, a może nawet byki. Istniała powszechna świadomość, że jeżeli ze względu na niewielki wzrost nie będzie w stanie wytargać wychowanka dryblasza za ucho lub czuprynę, każe mu niewątpliwie przynieść krzesło, wejdzie na nie i ucho mu wyszarpie. Największe szkolne łobuzy przeżyły się przed Cipą na baczność, a na wielkich przerwach przez Nią nadzorowanych panował niebiański spokój. Przyszło jej nauczać historii w czasach szczególnych, kiedy to ukazała się właśnie „jedynie prawdziwa” wykładnia historii Polski w pięknie wydanej i bogato w czerwień i złoto oprawnej „Historii Polski „, opracowanej przez Instytut Nauk Historycznych Akademii Nauk Z.S.R.R. Pośród wielu rewelacji „odkrywających jedynie prawdziwe i obiektywne spojrzenie „, na nasze dzieje jak perła błyszczał tytuł rozdziału: „Polsza pod gnetem Austrii, Prus i..... Napoleonskiej Francji „. Błońska nie mogła, podobnie jak i inni nasi nauczyciele otwarcie powiedzieć nam, że mamy do czynienia z oszustwem i bezczelnością. Mogła jedynie dawać wiele faktów i dokumentów, na podstawie których nasze fermentujące mózgownice musiały wyciągać wnioski.

W nauczaniu historii starożytne szczególną uwagę zwracała na sens mowy Peryklesa wygłoszonej ku czci poległych żołnierzy ateńskich. Wtedy już głoszono, że:

„Ustrój państwowy nie jest tak pomyślany, aby zachować przywileje jednej klasy, lecz by zapewnić wszystkim obywatelom równie praw przed sądem i w kierowaniu państwem. Rządzące tu zasady nie znają uprzedzeń. Ludzi ocenia się na podstawie ich charakterów, nie zaś sytuacji. Powszechna jest wolność słowa, myśli i wykształcenia, bo wolność jednostki i wolność społeczna są źródłem prawdziwego szczęścia, męstwa i niezależności. Wolne społeczeństwo zna swe zobowiązania i swoją odpowiedzialność. Szanuje wybranych przez siebie urzędników, prawa które samo uchwaliło oraz niepisane nakazy honoru. We wszystkich sprawach demokracja pokłada

ufność w rozumie przeciętnego obywatela. Dyskusja poprzedza czyn, czyn zaś opiera się na woli ludu ! „.

Dowiedzieliśmy się także, że około 113 roku po narodzeniu Chrystusa Cezar Trajan w piśmie do swego namiestnika zalecał: *” Nigdy nie wolno uwzględniać oskarżeń anonimowych, albowiem i przykład daje to najgorszy, i nie jest to godne naszego wieku !”*. Jeśli uwzględni się fakt, że Cezar Trajan panował siedemnaście wieków wcześniej niż inny imperator, który „*anegdotczikami białomorskiej kanał pastroił* „, to aluzja była dość przejrzyta i wychowawcza. Pani Profesor Błońska nieustannie przypominała słowa Czwartego Wieszcza czyli Kamila Cypriana Norwida: *„ Historia zaś pisze rachunek swój żelazną ręką i nie pyta wcale o sentymenta, ale pyta o sumę rachunku. Margrabia Wielopolski pojął Polskę jako człowiek umiejący geografję, to jest nie zakrywający sobie oczu na to, że my – zwycięscy czy pobici – będziemy graniczyć z narodem moskiewskim „. I dalej: Zapewne, że ukochany Ojczyzny Poemat Narodowy Pan Tadeusz to jest jednak poematem narodowym, w którym jedyną figurą poważną jest ŻYD. Reszta: awanturniki, safnaduły, facecioniści, gawędziarze i kobiet narodowych dwie a) telimena: metresa moskiewska, b) Zosia – pensjonarka. Zapewne, że poemat arcynarodowy, w którym jedzą, piją, grzyby zbierają i czekają, aż Francuzi przyjadą zrobić im Ojczyznę „*. Omawiając blaski i cienie Wielkiej Rewolucji Francuskiej profesor Maria Błońska nie była by sobą, gdyby w ramach opowiadania anegdotek, nie wspomniała opinii Talleyranda, który twierdził, że: *” nikt nie znał słodyczy życia, kto nie żył przed rewolucją „*, a także obaw słynnego Brillant-Savarina ubolewającego w roku 1794, że: *” jeśli rewolucja potrwa jeszcze pięć lat to wówczas zaginie sztuka przyrządzania potrawy z kury „*. W naszych przewrotnych młodzieńczych umysłach wypowiedzi obu znakomitych Francuzów kojarzyły się nieodmiennie z ogromnym zdumieniem pewnego odeskiego Żyda, który nie mogąc po rewolucji bolszewickiej znaleźć w sklepie takich luksusów jak chleb, masło, buty czy nafta, pytał nieodmiennie kolejnych rozmówców:

„ A komu to przeszkadzało ?. To właśnie od profesor Błońskiej dowiedzieliśmy się, z niemałym zdziwieniem, że pośród ofiar wielkiego terroru Rewolucji Francuskiej arystokracja, szlachta i kler stanowili mniej niż 10 %, reszta zdekapitowanych rekrutowała się spośród mieszczan i chłopów, a więc głównej populacji bojowników o „*wolność, równość i braterstwo* „. A więc była jakaś reguła w losach kolejnych, wielkich rewolucji, które pożerały własne dzieci przede wszystkim.

Doświadczenia wojny i pierwszej okupacji spowodowały, że zasadę trzymania języka za zębami mieliśmy we krwi, co ułatwiało odważnym nauczycielom takie dydaktyczne hocki-klocki. Bojowym zawołaniem mego pokolenia było: *Morda w kubel !*” Szczególnie trudne było omawianie z nami wszystkiego, co dotyczyło stosunków z naszym wschodnim sąsiadem. Względnie wygodnym i stosunkowo bezpiecznym pretekstem do możliwie obiektywnego, jak na owe czasy, przedstawiania stosunków polsko-rosyjskich było krytyczne omawianie imperium carów, jako przyczyny wszelkiego zła. Cipcica zwracała nam uwagę na „*Dziennik pisarza „ Fiodora Dostojewskiego, który, co zdumiewające, wtedy nie cieszył się jednak szczególnym uznaniem radzieckich ideologów. Pisał on: ” Podczas gdy tam, w Europie, wymyślali nauki, Rosjanie tworzyli państwo „*. Przynajmniej szczerze w odniesieniu do kraju, do narodu, który nie przeżył w historii swej kultury okresu renesansu !. Nie śmiała jednak przypomnieć jego proroctwa: *„ Żyd i Polak zgubią Rosję !”*, co było wizją rządów Trockiego i Dzierżyńskiego kilkadziesiąt lat później. Opisywała sposób kontrolowania idei przez strapę o mentalności stupajki, Cara Mikołaja I, który czytając wiersze Puszkina wołał: *„ Wspaniałe, kapitalne, cudowne Nie do publikacji !!! „*. Jednocześnie podsuwała nam pisma Stanisława Brzozowskiego, który przypominał nam: *” Byliśmy przedmurzem Europy. Poza naszymi plecami snuła ona swe pracowite dzieło. Broniliśmy go ! I pierwszą z historycznych form polskiej psyche była odwaga. Od wspólności ze światem kultury i pracy myśl polska odgradzała się przede wszystkim czynem heroicznym. Duch dziejów polskich od XVII zwał się już w Europie Don Kichotem ! „*.

Tymczasem obok nas, wokół szkoły, ale coraz częściej w jej murach, mieliśmy kulminacje tego, co nazywało się stalinizmem w Polsce. Szeptano cichaczem: *„ W każdej chwili Dżugaszwili !!! „*. Coraz bardziej skuteczne odcięcie się od Europy Zachodniej, niszczenie wszystkiego i wszystkich, co było lub wydawało się być obce filozofii władzy sowieckiej, polityka opluwania i

sponiewierania tych wszystkich wartości, które były drogie polskiemu sercu i polskiej tradycji. Wszystkiemu towarzyszyło nieodparcie obezwładniające, trudne do pojęcia dla następnych pokoleń poczucie, że mimo gigantycznego wysiłku zbrojnego narodu, bohaterstwa ponad wszelką miarę, lojalności w stosunku do sojuszników zachodnich doprowadzonej do samounicestwienia (n.p., akcja Wachlarz), nieznaney w historii Polski ofiar, zostaliśmy oddani w jasyr azjatam przez „cywilizowany Zachód”. Podobno trzeba przejść przez mękę, aby dostąpić zbawienia. Nasi sojusznicy i nasi wrogowie działając pospołu, ręka w rękę, drogę przez męki nam zapewnili, bez wątpienia. Wielu naszych ojców i braci wojna zabrała, niektórzy zostali na emigracji, ci co pozostali w kraju budowali Polskę w takich warunkach jakie były im dane. Byli to kolejni bohaterowie czasu quasi pokoju. Do tych budowniczych należeli nasi profesorowie od Władka, którzy nie usiłowali z nas zrobić oportunistów ani lizusów. Oni w nas inwestowali jako w przyszłość Polski, która musi wrócić do normalności. Wpajano nam pogląd Króla Stanisława Augusta Poniatowskiego: *„W polityce i w prawdziwym patriotyzmie trzeba mieć za правило nie resentment, chociażby najsprawiedliwszy, lecz jedynie to, co może przybliżyć najprędzej istotne dobro, a uchylić najbliższe grożące zło !”*. To zło nas otaczające nie żartowało, bo i na żartach się nie znało. Były aresztowania pośród uczniów szkół średnich, także pośród naszych kolegów. Pewna grupa gimnazjalistów była sądzona za podjęcie próby zniszczenia nieopodal ustawionego pomnika Braterstwa Broni z Armią Czerwoną, popularnie zwanego *„Czterej śpiący i trzech walczący”*. Innych dwóch kolegów aresztowano w nocy na terenie Muzeum Wojska Polskiego. Zarzut był absurdalny podobnie zresztą jak i zamiysł obu młodzieńców: chęć ucieczki z Polski samolotem ustawionym na dziedzińcu. Intensywnie poszukiwano w liceach warszawskich figlarzy, którzy na wielkiej planszy zapowiadającej otwarcie w Muzeum Lenina w Trasie W-Z (dawny pałac Radziwiłłów) nowej wystawy p.t. *„Lenin w październiku”*, dodali dość istotną informację dla przechodniów i zwiedzających: *„..... a koty w marcu”*. Uzupelnione w ten sposób hasło *„Lenin w październiku, a koty w marcu !”*, zrobiło karierę, która przetrwała lata. Sprawców nie wykryto. Na szczęście, ponieważ był to ten rodzaj dowcipu, za który karano równie surowo jak za posiadanie broni. Napisy na murach były jedną z form protestu politycznego, wyniesionego z czasów okupacji niemieckiej. Władza skazywała za takie harce w sposób bezwzględny. Tłumaczono to w ten sposób, że kiedy na uczcie Baltazara pojawił się na ścianie znany skądinąd napis zapowiadało to koniec tego satrapy. Po przeanalizowaniu tego fragmentu klasyki władza ludowa bardzo nie lubiła wszelkich napisów na ścianach. Wyjątkiem było urzędowe *„3 x TAK !!!”*.

Na dużej przerwie wielu uczniów Władka, zwłaszcza starszych klas, wyskakiwało *„na piwko”*, zwane też *„małym końskim”*. Lało się ono za grosze do kufelków w ustawionej przed wejściem do cerkwi Świętej Marii Magdaleny (w ramach szacunku dla religii nader starannie oddzielonej od państwa !) charakterystycznej, przypominającej beczkę piwa, budki przemysłu fermentacyjnego. Tu czasem dochodziło do konfliktów z funkcjonariuszami U.B. z pobliskiej katowni na ulicy Cyryla i Metodego. Chodziło zwykle o to, że oni, panowie kraju, nie uznawali żadnego stania w kolejce, nam zaś się cholernie spieszyło bo za chwilę kończyła się przerwa. Pamiętam, jak późną wiosną roku 1951 leżało nas kilkunastu chłopaków wzdłuż głębokiego rynsztoka ulicy Zygmuntofskiej, osłoniętych wysokim, granitowym krawężnikiem, kiedy pijany ubowiec, obrażony przez kóregoś z naszych wyjął pistolet i zaczął strzelać wzdłuż pełnej przechodniów ulicy. Doświadczenia czasu wojny wciąż były użyteczne.

Tak więc w latach 1948-1952, a przecież i w następnych, nasi wychowawcy musieli pamiętać ostrzeżenie Norwida: *„Jesteśmy narodem, gdzie energia zawsze wyprzedza inteligencję i co pokolenie jest rzeź”*. Dzisiaj szalenie łatwo zarzucać ludziom tych czasów nadmierną ostrożność, ba-wręcz oportunizm, bowiem i odwaga obecnie nic nie kosztuje, a odpowiedzialność za słowo coraz częściej bywa żadna. Każde ludzkie działanie, każdy pomysł ma jednak swój czas i miejsce. Poza nimi karleje bądź jako przedczesne, bądź jako spóźnione. Z perspektywy lat chylę czoło przed mądrością życiową i odpowiedzialnością naszych wychowawców tamtych czasów.

Kolejnym z naszych nauczycieli gimnazjalnych był profesor Adam Gawęda, góral z pochodzenia zwany powszechnie Gawciem, Głonem lub Cabbalero. Ten ostatni przydomek zawdzięczał nawykowi zwracania się do ucznia per: *„kawalerze”*. Wyblakłe kartki *„SILVA*

RERUM „, uwieczniły wierny scenariusz typowej lekcji geografii prowadzonej przez Gawcia w klasie „A „,

Dzwonek na lekcje. W klasie słychać rozmowy.

E, ty tam, słuchaj, jaka teraz lekcja ?

A bo ja wiem !

Zdaje się, że geografia-dodaje ktoś z boku.

Geografia ? O cholera, trzeba się poduczyć ! Antek daj zeszyt !

Dobrze, ale za chwilę, jak przepisze od Maćka ten kawaleczek !

Nagle przy drzwiach wszczął się ruch, a nawet popłoch. Wchodzi jeden z kolegów dźwigając ze sobą kilka zrolowanych map. Dwóch innych usiłuje mu pomóc zawiesić je koło tablicy, ale stołek jest jeden, i do tego trzy jego nogi są definitywnie obluzowane.

Koniec zamieszaniu kładzie wkroczenie profesora Gawędy, na którego widok chłopcy rozpięchli się jak stado wróbli. Profesor zamiata powierzchownie stolika nauczycielskiego dziennikiem i siada. Hałas w klasie wzmaga się, wobec czego Glon unosi głowę i mówi monotonnym głosem stukając jednocześnie ołówkiem w blat stołu:

Chłopcy, przestańcie ! Naturalnie znów macie właśnie teraz sto tysięcy problemów i interesów. Co za ludzie !? Zupełnie nieopanowani ! Kawalerze uspokój się bo wyjedziesz poza drzwi ! Co to znaczy poczucie bezkarności u takiego fafla ! Nie lepiej ci wziąć do ręki książkę i powtórzyć sobie lekcje ?

Profesor znów na dłuższą chwilę zatapia się w zadumie i pisaniu, co na nasze nieszczęście niebawem się kończy.

Woliński !!!

Mariusz Woliński podchodzi do profesora rzucając na boki rozpaczliwe spojrzenia tonącego.

No kawalerze, daj mi swój dziennik pracy i będziesz odpowiadał !

Ale Panie Profesorze, jak niestety nie mam dziennika, bo ja.....

No to po co ty, kawalerze, w ogóle przychodzisz do szkoły ? Tam gdzie cienko, tam się rwie ! Wielechowski ! Uspokój się ty wreszcie ! Dokąd będzie ta zabawa ? Lisicki, to zapewne następny taki egzemplarz ? A może i ty nie masz zeszytu ?

Ależ nie, Panie Profesorze, ja oczywiście mam !

No to chodź tutaj, kawalerze ! Taka plajta ! Przecież nic w tym zeszycie nie ma ! Czy to w ogóle jest zeszyt do geografii ? A więc zreferuj mi, kawalerze, jakie jest położenie Wielkiej Brytanii ?

Wielka Brytania leży na wyspie-ogłasza rewelację Krzysio Lisicki.

Znaczy to-przerywa Glon-że ma położenie wyspiarskie ze wszystkimi tego konsekwencjami. Jakimi to, kawalerze ?

Oczywiście, że ma, Panie Profesorze !-brnie dzielnie Krzysio-Anglia jest wokół oblana morzem !

Czy to ma chłopcze jakieś praktyczne znaczenie ? Polska jest w takim tłoku, a Anglia izolowana ?

Przedłużająca się cisza jest niestety jedyną odpowiedzią na to podstępne pytanie.

No więc jak ? Nic na ten temat mi nie odpowiesz ? No któż mi powie jakieś rewelacje ?

Po dłuższej chwili znajduje się amator, Rysio Soszka.

A więc, Panie Profesorze, Anglia, prawda, ma dostęp do Atlantyku, zaś Polska do Bałtyku.

Profesor krzywi się jak po wzięciu do ust łyżki dziegciu.

Nie, to są jakieś głupoty ! Tokaj, a co ty możesz powiedzieć o Kanale La Manche?

Biedny Maciek, wyrwany z letargu wstaje i oświadcza:

To bardzo wąski kanał, Panie Profesorze !

Glon pąsowieje wzburzony:

Kawalerze, czy tak wąski, że okręt się nie przecisnie ? To naprawdę jakieś horrendalne bzdury !

Nagle zza wieszaka stojącego na samym końcu klasy, obwieszzonego masą palt zimowych rozlega się doniosłe chrapanie. Dwaj nasi najstarsi koledzy Sajnóg i Kunachowicz spali tam snem

sprawiedliwego na podłodze, odsypiając wczorajszy wieczór. Dorabiali sobie wieczorami jako statyści w Operze Warszawskiej i wracali do domu na Grochowie późną nocą, na piechotę. Glon oniemiał.

Co za zaraza się tu pleni na lekcji ! Jak się to draństwo rozmnaża !

Chrapanie jednak nie ustępowało mimo energicznych starań siedzących w ostatnich rzędach stolików. Ba, nie pomagały nawet celne rzuty butami w chrapiących.

Przestań tam wreszcie buczyć, jeden z drugim ! Cała ta galeria nieźle sobie używa ! Uprzedzam lojalnie, że ktoś jeden beknie za to potężnie ! Co za ludzie nieokrzesani i nieopanowani ! Co za stado ! Bendarzewski, czy to przypadkiem nie ty kandydujesz do wyrzucenia za drzwi ?

Chrapanie wreszcie milknie, po kolejnym, tym razem celnym rzucie butem.

No cóż, Rybiński, spróbujmy brnąć dalej. Zreferuj mi takie zagadnienie, jak wpływ stref klimatycznych na gospodarkę Z.S.R.R. !

Zatopiony w pasjonującym kryminale Zenek Rybiński został brutalnie wyrzucony jak ryba na piasek. Nie było szansy umknąć, więc podszedł biedny do mapy ZSRR z miną skazańca.

Jest tutaj klimat tropikalny na północy.....

Głośne psyknięcie kolegów odświeżyło umysł Zenka.

No nie, to znaczy chciałem powiedzieć, że tu właśnie na górze, to znaczy na Syberii jest w zasadzie klimat zimny, aby nie rzeć polarny. Do tego wieją takie silne wiatry, monsuny znaczy. Uprawia się drzewa iglaste. Głównie iglaste. Mówił mi o tym stryj. Wycinał je tam przez dwa lata.

Tu Glon przytomnie wkroczył, ponieważ temat zaczynał być niewygodny.

- A cóż, kawalerze, dzieje się na południu Związku Radzieckiego ?

-Panie profesorze ! Na południu to posucha, stepy i szarańcza. Jest nawet taki wiersz Puszkina o szarańczy co leciała, leciała, wszystko zjadła i dalej poleciała. Mają też malarię. Tam sadzą ryż i uprawiają głównie owce !

- Rybiński, co ty bredzisz ? Jak można uprawiać owce ?

- Przepraszam, popier.....

Tu zawiesił głos desperacko, zdając sobie nagle sprawę, że wpadł w prawdziwą matnię. Klasa zamarła. Siwe brwi Glona ruszyły w górę, ku granicy włosów, a Jego twarz wyrażała zaskoczenie i konsternację.

Zdaje się, kawalerze, że masz dla nas jakieś rewelacje ?

To znaczy, Panie Profesorze, oczywiście pomyliło mi się, bo chodzi o owoce południowe. Takie na przykład melony czy inne arbuzy.

Glon pochylił się na dziennikiem lekcyjnym wpisując kolejną ocenę niedostateczną.

No to może jednak Graliński się pokaże teraz. Ujmij mi ten temat w kilku słowach !

Graliński szturcha Gołębiowskiego, który właśnie snuł marzenia senne. Gołąb podskakuje do góry, przeciera oczy i dla zyskania na czasie rozsypuje książki zalegające stolik ucznia na podłodze. Długo je zbiera, tłumacząc swą niezręczność. Profesor zaczyna okazywać swoje zniecierpliwienie sytuacją.

Cóż to za nowa katastrofa ? Każdy robi na co go stać ! A ponieważ Graliński ma węza w kieszeni to.....

Tu czyni wymowny ruch ręką wyrażający najwyższą dezaprobatę. Nagle rozlega się zbawczy dzwonek oznajmiający koniec lekcji. Słychać odgłosy ziewania i radości, że jest to finał tego etapu dnia szkolnego.

Drugim przedstawicielem starej generacji profesury był pan Edmund Bigalke zwany też Tygrysem, nauczający matematyki. Zajmował się, praktycznie rzecz biorąc, jedynie kolegami, którzy przyswajali sobie tajniki matematyki bez większego wysiłku ze strony pedagoga. Dla takich matematycznych matolów jak ja, były to godziny katongi. Trzeba tu jednak lojalnie stwierdzić, że na całe szczęście Tygrys nigdy nie ukrzywdził „humanistów „, dla których miał pogardę, ale którym stawiał mizerne trójczyny na koniec roku. Miał z nami w ten sposób spokój uznając nas za trędownych. Typowa lekcja matematyki pod jego wodzą wyglądała tak.

Po wejściu do klasy Tygrys pyta: *Kto jest nieobecny ?*

Sajnóg-odpowiada Wiesio Borkowski, etatowy starosta klasowy.

Na to Profesor: *No to Sajnóg, do tablicy !*

Ale właśnie jego nie ma dzisiaj !

Acha, dobrze ! I kogóż jeszcze ?

Wszyscy, to znaczy wszyscy są obecni !

Acha, Dobrze..... Tak..... mruczy Tygrys pod sumiastym wąsem i zapisuje coś w dzienniku lekcyjnym.

No to Damm ! Chodź tu !

Boże ! Jestem !-jęknął z bólem i trwogą Miruchna.

Daj no mi chłopcze zeszyt !

Ależ Panie Profesorze, Modzelewski mi przeszkadza !

Modzelewski, nie przeszkadzaj ! Damm, pokaż zeszyt !

Ależ Panie Profesorze !

No i cóż tam nowego ?

Ja nie mam zeszytu !

No to czego zawracasz głowę ? Bałwan ! Siadaj !

mówi matematyk i wpisuje Miruchnie dwójkę do dziennika. Po dalszych inwestygacjach znajduje się uczeń mający zeszyt, a w nim odrobione zadanie domowe. Profesor wywołuje następną ofiarę: Janczewski !

W ciszy, która w tej klasie stanowiła zwykle tło akustyczne klęski słychać tylko błagalny szept:

Maciek, kochany ! Dawaj szybko swój zeszyt !. Ale migiem !

Profesor zaczyna objawiać zniecierpliwienie:

Czy Janczewski jest nieobecny ?

Ależ nie, właśnie tu jestem !

Dlaczego się więc nie odzywasz ? Czytaj zadanie !

Janczewski zaczyna czytać. Ale niestety Tokaj, który w przerwie przed lekcją przepisał to zadanie od Fercha, który zerznął je od Marczyka, który ściągał je od Mazurkiewicza, a ten od Andruszkiewicza. Andruszkiewicz tego dnia wyjątkowo odpisywał od Iżyłowskiego, któremu tekst udostępnił Wielechowski, ale ten ściągał od dotychczas niezawodnego Klimczuka, któremu wczoraj wyjątkowo odrobiła to starsza siostra będąca w niedyspozycji. Janczewski ma więc oczywiście pracę „odrobioną”, źle ze wszystkimi tego fatalnymi skutkami.

Oto następny bałwan !. Siadaj, dwójka ! Ale, ale, pokaż mi ten swój zeszyt !.

Grzesio rozpaczliwym ruchem zrywa obłożenie zeszytu, na którym Maciek Tokaj, swym pięknym charakterem pisma wykaligrafował własne dane personalne. Matematyk ogląda zeszyt podejrzliwie i pyta: *Czy to aby na pewno Twój zeszyt ?*

Zdesperowany Grzesio wykrztusza z trudem: *Oczywiście, że mój !*

Ale nie podpisany, to skąd mam wiedzieć ?

Panie Profesorze ! Na ostatniej przerwie wylała mi się kawa i już nie zdążyłem zmienić, bardzo przepraszam !

No to siadaj !

Janczewski z zeszytem Tokaja wraca pewnym krokiem na swoje miejsce. Tokaj szczęśliwy bo nie on dostał „gały”, za źle zrobione zadanie. Podobne sceny trwają jeszcze pół lekcji, aż wreszcie zdarza się prawdziwe nieszczęście:

Pierożyński ! Do tablicy !

Wywołany Jureczek wychodzi zza stolika uczniowskiego i z wielkim hukiem przewraca krzesło. Profesor robi wielkie oczy, lecz Pierożyński z niezwykłym spokojem, ruchem jak w zwolnionym filmie, podnosi krzesło i pieczołowicie ustawia je na swoim miejscu. Nie spiesząc się podchodzi do tablicy, rozgląda się uważnie wokół, bierze do ręki ścierkę, energicznie ją strzepuje otaczając się kłębami gęstego pyłu kredowego. Korzystając z tej mgławicy chowa coś błyskawicznym ruchem do kieszeni.

Panie Profesorze ! Niestety nie ma kredy !

Matematyk w jednej chwili zapomina o przewróconym krześle i krzyczy doniośle:

Dyżurny, gdzie jest kreda ?

Kredy oczywiście nie ma w klasie, ani kawałeczka wobec czego dyżurny musi wyprawić się po nią do woźnego. W oczekiwaniu na kredę Profesor wylicza nazwiska wszystkich, którzy nie oddali mu jeszcze zeszytów do prac klasowych. Każdy z wywołanych solennie zapewnia, że jutro na pewno, ale to na pewno, zeszyt dostarczy. Po kwadransie zjawia się dyżurny z mikrym kawałkiem kredy w ręku. W tej sytuacji Pierożyński nie ma już wyjścia i usiłuje rozwiązać postawione mu zadanie matematyczne. Im dalej brnie w rozwiązywanie, tym mina Tygrysa staje się coraz bardziej złowrogą. Matematyk kilkakrotnie podskakuje na krześle, wydaje kilka okrzyków bólu. W końcu zrywa się i krzyczy: *Siadaj bałwanie !*

Zemocjonowany Jureczek Pierożyński siada na podłodze obok tablicy, ale szybko podrywa się na równe nogi i jak chyży jelen mknie na swoje miejsce. Profesor Bigalke wciąż nieutulony w żalu, po tym pokazie matematycznej ignorancji stawia kolejną dwóję i woła następną ofiarę: *Bałwan !... To znaczy..... przepraszam..... Semeniuk !*

Asik wstaje gotów podjąć wyzwanie, ale w tej chwili rozlega się zbawczy dzwonek.

Profesor Edmund Bigalke zmarł po ciężkiej, dość krótkotrwałej chorobie na pół roku przed naszą maturą. Była to dla nas katastrofa, ponieważ przed tą wielką próbą życiową odszedł belfer, którego zachowania znaliśmy na wylot. Pani Dziokowa, która Go zastąpiła nie zdobyła naszych serc ani umysłów, chociaż na pewno chęci miała jak najlepsze. To już jednak nie była Tygryśca !

Przez pierwsze lata nauczala nas angielskiego pani profesor Maria Kownacka, zwana przez wiele pokoleń „władysławiaków „ UNRRA. Wspominał ją wiele razy, nasz starszy Kolega, znany dziennikarz i poliglota Zygmunt Broniarek. On ją pamiętał z lepszych lat, niż te które nam poświęciła. Za naszych czasów była to pani bardzo leciwa. Znakomicie znając angielski i sposoby jego nauczania do rozpacz doprowadzała klasę brakiem umiejętności postępowania z chłopakami w naszym wieku.

Uznawała, że tylko kilku z nas to „porządni chłopcy „, znakomita zaś większość to łobuziaki niegodne poświęcania im czasu i zaufania. Być może nie była zbyt daleka od prawdy, ale to co robiła prowokowało wprost wielu z nas do draki.

Początek lekcji angielskiego rozpoczynał się zwykle od przesadzenia do pierwszych dwóch rzędów stolików uczniowskich co najmniej dwóch trzecich klasy. Byli to wedle Pani Profesor uczniowie wymagający szczególnego nadzoru. Drugim, fatalnym zwyczajem, było stawianie temu samemu uczniowi na tej samej lekcji kilku dwójek. Bywało pięciu, a nawet sześciu !. Jej szczególnymi „pupilami „, których doprowadzała do rozpacz i wściekłości byli Krzysio Lisicki i Waldek Baniuk. Odbywało się to zazwyczaj tak:

Lisicki ! Wstań do odpowiedzi i opowiedz mi o Londynie !

Na zapytanie o czym uczeń ma mówić jeśli chodzi o ten Londyn odpowiadała: *Tell me about, about.... o wszystkim co dotyczy Londynu !*”.

W tym momencie siedzący na pierwszej ławce widzieli, że UNRRA zanim Krzysio otworzył usta stawia mu dwójkę. Wieść natychmiast kablowano delikwentowi, którego wywołanie do odpowiedzi było niepedagogiczną egzekucją. W tej sytuacji Krzysio odmawiał odpowiedzi, co skutkowało postawieniem drugiej dwójki. Kolejne otrzymywał już na zasadzie serii, za nie okazanie zeszytu z pracą domową, za podtrzymanie odmowy odpowiedzi itd.. itd.. Nie było tygodnia, aby nasza Wychowawczyni pani Prof. Rutkowska nie zatrzymała kogoś z nas na korytarzu, aby w kameralny sposób i dyskretny wyjaśnić dzięki jakim „zasługom „ ktoś z naszych kolegów uzyskał tak pokaźne konto ocen niedostatecznych na jednej tylko lekcji języka angielskiego. Mimo nowoczesnego, jak na owe czasy, sposobu nauczania języka, poprzez system symulowania typowych sytuacji życiowych dnia codziennego dla wyrobienia umiejętności angielskich dialogów, odnoszenie się pani Kownackiej do naszej uczniowskiej społeczności niweczyło jej wartość jako pedagoga. W końcu roku szkolnego 1949/1950 dowiedzieliśmy się, że z powodu konieczności zaangażowania większej liczby grona pedagogicznego w matury będziemy mieli lekcje angielskiego z panią profesor Kowancką. Sala lekcyjna była na parterze i decyzja była błyskawiczna: „ *Ulatniamy się !*”. Kolejno wyskakiwalismy wszyscy po kolei przez okno tylko

Zenek Rybiński, który zasiedział się w klozecie nie zdążył i zderzył się w drzwiach wejściowych do klasy z panią Profesor. Ukłonił się grzecznie, przeprosił i wyskakując przez okno grzecznie oznajmił: „ By, By, Madame ! „. W zwartej grupie udaliśmy się do Ogrodu Zoologicznego jako grupa udająca się na „ prace społeczne „ na rzecz tegoż ogrodu.

Inną nauczycielką, z którą w zgodzie nie żyliśmy była pani Gajdowa, której pseudonimu nadanego przez „wdzięcznych „ wychowanków nie poważę się tu przytoczyć. W klasie ósmej łaciny nauczał nas prof. Stefan Pieniążek. Był to typ nauczyciela szkoły średniej żywcem przeniesionego z XIX wiecznego gimnazjum C.K.Galicji. Małeńki pan, o słabym wzroku, niesłuchanie roztargniony, artysta malarz i podróżnik z zamiłowania. Dawał się z łatwością naciągać uczniom na niekończące się opowiadania wrażeń z licznych podróży po świecie. Dał nam bardzo wiele opowieści z podróży o świecie, do którego w tych czasach nie mieliśmy żadnego dostępu, ale o łacinie, w chwili jego odejścia pojęcia nie mieliśmy żadnego. Pieniążek był przez nas lubiany i szanowany, a w naszym stosunku do Niego było coś ze stosunku do małego, bezradnego dziecka. Jego następczyni pani Gajdowa, nie mając szerokiej artystycznej duszy Pieniążka, naszego kochanego *Stefania*, usiłowała nas do łaciny zaprząć, usiłowała nas złamać. Przez dalsze dwa lata toczyła się pomiędzy nami prawdziwa wojna, w której obie strony ponosiły więcej klęsk niż sukcesów. Po naszej stronie były to liczne dwójce z łaciny, po stronie Gajdowej zezwłok szczura czy podgniłe świńskie ucho wkładane do Jej torebki damskiej i wiele innych, często niewybrednych, afrontów. Bogiem, a prawdą opuszczaliśmy Władka z nieomal żadną znajomością języka łacińskiego. Każdy z nas umiał co prawda na pamięć raczej krótszy niż dłuższy fragment słynnych „ *Metamorfoz* „ Owidiusza ze słynnym „ *Aurea prima sata est aetas.....* „. Ale nawet Zenek Zemło, wolał tłumaczyć z łacińskiego na nasze: „*Cui bono, czyli po cholere ? Kapujesz ?* „

Chemii przez pierwszy rok uczył nas profesor Seger, zaś dalsze lata profesor Stefan Zagrodzki, zwany powszechnie Pipetą. Był to wysuszony, drobniutki staruszek w cwikerach na nosie. Miał zwyczaj zwracania się do ucznia w trzeciej osobie: *czy już napisał ? , czy rozumie ? , tego nie wi ? , niech patrzy to zobaczy !*. Nauczał nas chemii dobrze. Na tyle dobrze, chociaż nie porywająco, że zastanawiałem się nawet czy nie wybrać sobie chemii jako kierunku studiów wyższych. Dobry Bóg ustrzegł mnie przed realizacją tego pomysłu !. Pipeta został uwieczniony w *Silva Rerum* wierszem Andrzeja Sidora bezbłędnie, chociaż złośliwie, oddającym atmosferę prowadzonej przez Niego lekcji.

Kto tam mówi ?

Co tam robi ?

Niech mi zaraz coś opowi !

Ha ! Nic nie wi !

Niech więc siada !

Nic nie mówi ? Kto tam gada ?

Niech no Grabski mi opowi

jak to Grabski alun robi !

Kiedy powi ?

Czy on to wi

o grynszpanie, siarczku miedzi ?

Klasa dziś niedobrze siedzi !

Tu dolejem, tam doplujem,

klasa wzorów się wykuje !

Wzory kwasów, cynku, chromu

klasa weźmie se do domu !

Teraz Baniuk mi odpowi !

Gdzie ma zeszyt ? Nic nie zrobił ?

A to znowu się znarowił !

Oj, z tą klasą męka wieczna !

Odpowiedź niedostateczna !

Niech no klasa nie błaznuje

*bo się będą sypać dwóje !
 Te tabele od atomów
 klasa weźmie se do domu !
 Osiem razy się oblizał,
 coś pokazał, coś powiedział,
 ale nikt z nas nic nie wiedział !
 Chemikalii masy całe,
 słoje duże, słoje małe,
 kwasy, sole i zasady,
 jakieś glinki, wapnie, mady....
 Wszystko to na stole skupia,
 ale klasa ciągle głupia !*

W latach 1948-1952 nauczano nas w liceum Władysława IV religii jako przedmiotu znajdującego się w normalnym, urzędowym planie lekcyjnym. Po wspaniałych katechetach salezjanach, znakomitych wychowawcach i dydaktykach nauczających nas w Szkole Podstawowej przy ulicy Otwockiej, ci u Władka byli bezbarwni. Ale czy ktoś nauczający religii gdziekolwiek w świecie był w stanie zmierzyć się z księdzem Wincentym Zalewskim, Salezjaninem, władcą dusz dziecięcych na Szmulkach, stawiającym nam nie piątki, ale dwudziestki? Najlepszym z czwórki licealnych katechetów był ksiądz, nomen omen Świątek, dość młody, o postawie i usposobieniu sportowca, którego kontakty z klasą były najlepsze. Ceniliśmy Go nade wszystko za poczucie humoru, którego nadmiaru pozostali nasi katecheci nie mieli.

Na lekcji, o zapowiedzianym temacie „*szatan i jego dzieło*”, nasi chłopcy byli przygotowani w sposób szczególny. Kiedy księżulo prowadzący wykład, nieomal w transie, wykrzyknął: „*I oto zły duch unosił się ponad ziemią !*” z tylnej ławki uwolniono specjalnie na tą okoliczność schwytanego nietoperza. Biedne zwierzę, przerażone i oszołomione światłem i szumem, zaczęło się trzepotać i pisać pod sufitem klasy. Ksiądz zamarł, zbladł, a następnie poczerwieniał na twarzy. Zaległa cisza, bo zlekliśmy się księdza reakcji, ale On na szczęście ochłonawszy wybuchnął śmiechem. Uznał to za doskonały kawał. Zdobył tą swoją reakcją nasze serca !

Szkoła dbała także o nasze życie kulturalne. Był zespół amatorski któremu przewodził kolega Pampuch, chłopak, który był sobowtórem Puszkina. Ciemny, śniady, z burzą kręconych włosów typu „afro”, na głowie był mistrzem klawiatury. Miał jedną wadę, a mianowicie był jazzmanem, dla którego grać rytmie jazzowym cokolwiek nie było problemem. Czasy nie były dla jazzu, jako produktu zgniłej kultury zachodniej, łaskawe. Dopóki jednak grał w rytmie jazzowym pieśni kościelne było wszystko dobrze, ale jak zagrał w tej konwencji hymn ZSRR i Międzynarodówkę wyrzucono go ze Związku Młodzieży Polskiej, jako element wrogi.

Każdego miesiąca, w wielkiej auli, odbywały się koncerty umuzykalniające gromadzące wszystkich uczniów naszej budy. W koncertach tych, co trzeba przypomnieć, brała udział ścista czołówka ówczesnych polskich muzyków i śpiewaków. Imprezy prowadził zwykle pan Stanisław Masłowski, człowiek niezwykłej kultury i o cudownym melodyjnym głosie i wspaniałej dykcji, popularny speaker Radia Polskiego. Mimo takich obsad artystycznych, gdybym dzisiaj twierdził, że wszystkich uczniów te koncerty pasjonowały, byłbym daleki od prawdy. Przestrzegano jednak niepisanej zasady: ci co chcą słuchać, reszta im nie przeszkadza i..... robi co chce, ale po cichu ! Ta nieartystyczna reszta publiczności w tym czasie grała w szachy, warcaby, domino czy karty, czytała różne lektury, na ogół nie obowiązujące. Pamiętam skandal, do którego jednak doszło na jednym z koncertów. Czytelnik oceni, czy doszło do niego wyłącznie z naszej winy.

Główną gwiazdą występującą w dniu krytycznym była jedną z najwybitniejszych polskich sopranistek, której nazwisko znały najprzedniejsze sale koncertowe i gmachy operowe świata. W owym czasie pani ta, jak to się mówi na Pradze, przechodziła już do rezerwy, ale nadal była damą wielkiego formatu. Także w dosłownym, fizycznym tego słowa znaczeniu. Po zapowiedzi konferansjera ukazała się naszym oczom ogromna postać kobiety, którą co grzeczniejsi z naszych kolegów migiem określili jako „*baba-kaszalot*”. Artystka zaczęła śpiewać arię operową, w której na swoje i nasze nieszczęście zadeklarowała, że: „*gdybym była ptaszkiem, to usiadłabym Ci na*

ramieniu !!! „. W chwilę później kilka setek młodocianych goryli płci męskiej, i tych zasłuchanym, i tych nie słuchających, eksplodowało salwą gromkiego śmiechu. Śpiewaczka spurpurowiała na twarzy i krzyknawszy histerycznie do mikrofonu:

” *Chamy !!!*” wybiegła ze sceny, a następnie ze szkoły. Nigdy więcej u nas nie wystąpiła i jak sądzymy szerokim łukiem omijała w latach następnych skrzyżowanie ulic Jagiellońskiej i Zygmuntowskiej. Czy zmieniła repertuar?. Tego nie wiem.

W końcu lat 1940 – tych Ojciec Mirka Damma i mój kupili nam pierwsze w naszym życiu rowery. Nikt z obecnych nastolatków nie jest w stanie pojąć, że była to w tych czasach radość większa niż dzisiaj otrzymanie ostatniego z modeli Land Rovera. Jak przystało na ówczesną modę rowery nosiły chwacką nazwę „JUNAK „, i były ciężkie jak współczesne motory Harley’a. Ale mogliśmy wyrwać się z miasta na tak zwane łono natury w sobotnie popołudnia i niedziele. Jeździliśmy we dwóch wąskimi szosami wyłożonymi śliską kostką bazaltową w kierunku Radzymina, Otwocka, Buchnika przed Jabłonną nad brzeg Wisły. Ruch samochodowy był niewielki i jazda w tych warunkach dość bezpieczna. Ulubionym kierunkiem naszych wypraw były brzegi rzeczki Świder, gdzie można było odetchnąć jeszcze świeżym powietrzem i pomoczyć się w jeszcze czystej wodzie. Było uczucie wielkiej swobody i możliwości wyboru. Wyboru kierunku jazdy oczywiście.

W bardzo dobrych układach jako szkoła byliśmy z dyrekcją odbudowywanego i rozbudowywanego Ogrodu Zoologicznego położonego nieopodal szkoły. Wynikające z faktu powołania Organizacji „ Służba Polsce „, prawa obligowały nas do pracy fizycznej przez pełne trzy dni w każdym miesiącu roku szkolnego. W ramach tych prac uczniowie naszego liceum wykonali dużą część robót ziemnych przy nowej części ZOO sięgającej dzisiejszej Trasy Starzyńskiego, wybiegi dla białych niedźwiedzi, a także ptactwa wodnego. Poza ogrodem wykopaliśmy fosę wybiegu dla niedźwiedzi brunatnych, bezsensownie zaprojektowany przy ruchliwej Trasie W-Z, vis a vis Kościoła Świętego Floriana. Kościół ten, będący dzisiaj katedra dla Diecezji Warszawsko-Praskiej był naszym kościołem szkolnym. Wysadzony został przez Niemców przed wejściem wojsk polskich i radzieckich i nasze rekolekcje odbywały się w dawnej dużej sali widowiskowej przyt ulicy Floriańskiej przynależnej do parafii. Tam w czasie odbudowy odbywały się także Msze Święte. W ramach prac społecznych pomagaliśmy wydobywać z gruzów kościoła cegły, które w przyszłości służyły do jego odbudowy.

Poza zajęciami obowiązkowymi wielu z nas, w ramach działalności koła uczniowskiego grupującego uczniów interesujących się biologią, chodziło do ZOO pomagając w obsłudze niektórych zwierząt, sprzątaniu klatek i wybiegów oraz całym szeregu innych prac porządkowych na rzecz tego ogrodu. Sam zajmowałem się dwoma psami bernardynami, cudownymi olbrzymami oczekującymi na mnie każdego dnia.

W dobie wielkiego purytanizmu socjalistycznego, kiedy nikt nie rozmawiał z nami na tematy związane ze sprawami prokreacji chłopcy dawali sobie radę jak mogli. Najbystrzejsza „ w tym temacie „, była Kolonia Łalaków. Mieszkali na zapleczu Szpitala Przemienienia Pańskiego, w którym oddział położniczy znajdował się na tyłach, od strony ulicy Panieńskiej. Po wdrapaniu się na trzy i półmetrowej wysokości mur uzyskiwało się miejsce w galerii, skąd był wspaniały widok na salę porodową i to wszystko co tam się działo. Jedynym warunkiem rozpoczęcia spektaklu był początek oglądania porą po zmroku, bowiem należało się liczyć, że ktoś wreszcie te przedstawienia przerwie. Chłopaki spoza gangu Łalaków byli dopuszczani na szczyt muru w chwilach dobrego humoru jego „ właścicieli „. Po dwóch czy trzech latach takiego doksztalcania się w dziedzinie położnictwa wydarzył się wypadek, który imprezy te zakończył definitywnie. Otóż dwóch czy trzech widzów w czasie jednej z takich sesji zwałiło się z muru na teren szpitalny. Huk był potężny i nadbiegła z psami straż chroniąca szpital od niepożądanych gości. Były rozmowy ze szkołą, z rodzicami, ale co zobaczyli, to ich.

Szkoła organizowała także, przy aktywnej pomocy Komitetu Rodzicielskiego, obozy wakacyjne. Z premedytacją lokowano je na Ziemiach Odzyskanych pragnąc, abyśmy ziemię tę poznali. W naszych czasach szkolnych obozowaliśmy w Olecku koło Ełku (1949), Świeradowie Zdroju (1950) i w Nowej Wsi koło Zbąszynka (1951). Mimo skromnych, aby nie powiedzieć

prymitywnych warunków zakwaterowania i wyżywienia, były te obozy dla nas, chłopców z Pragi, okazją do wyrwania się z rozpalonych, dusznych ulic i podwórek prawobrzeżnej Warszawy. Obozy te jeszcze bardziej integrowały nas jako mikrospołeczność uczniowską. Na obozach też działo się wiele, ale to już inna historia.

W wakacje roku 1951, po zakończeniu nauki w klasie dziesiątej, na drugi miesiąc wakacji pojechałem z Rodzicami do Szklarskiej Poręby. Ojciec był tam wykładowcą na kolejnym kursie doskonalącym nauczycieli polonistów z całej Polski. Tam miały miejsce dwa ważne dla mnie wydarzenia: poznanie mojej pierwszej sympatii oraz decyzja o wybraniu medycyny, jako kierunku studiów. Sympatią była Elżbieta L, córka jednego z wykładowców kursowych, młodsza ode mnie o dwa lata uczennica Liceum im. Jana Zamojskiego. Chodziliśmy razem na wycieczki po okolicznych górach i dolinach wraz w grupą młodzieży przybyłej na kurs z rodzicami. Było z nami dwóch studentów medycyny, którzy zaliczyli właśnie drugi rok studiów. W czasie nauki w liceum pasjonowała mnie chemia i myślałem o podjęciu studiów na tym kierunku w uniwersytecie. Uczyłem się dobrze i na zakończenie klasy dziesiątej, a więc przedostatniej, moi Rodzice z dumą dowiedzieli się, że ich jedynak ma drugą lokatę w klasie. Charakterystyczna była reakcja mojej głęboko wierzącej i czulej dla mnie Mamy. *„Zawsze pamiętaj przypowieść Chrystusa o faryzeuszu i celniku, co jest ważne dla każdego kto może stać się zadufany w sobie. Każdy, kto się wywyższa może być poniżony, a kto się poniża będzie wywyższony. Nie ustawaj w pracy nad sobą to wtedy wyrośniesz na ludzi !”*. Najboleśniejszą moją piętą achillesową była matematyka i z tego doskonale zdawałem sobie sprawę.

Medycy, których poznałem w Szklarskiej Porębie otworzyli przede mną wizję cudownych studiów lekarskich. Ich opowiadania o toku studiów, o nastroju, o urokach życia medyka były decydujące, abym podjął decyzję zaskakującą dla mnie samego i moich rodziców. Stało się dla mnie jasne, że będę usiłował zdawać na wydział lekarski.

Ale nasz czteroletni pobyt u „Władka „, dolegał końca. Jak pisał wiele, wiele lat później w swych interesujących wspomnieniach Stefan Meller, młodszy od nas o co najmniej siedem lat, także uczeń „Władka”: *” pobyt w Liceum imienia Króla Władysława IV był dla mnie czymś w rodzaju dobrej szczepionki, która udoporniła mnie na typowe inteligentkie zachowanie – protekcyjne traktowanie ludzi z innych środowisk „*. Nie bez znaczenia w tym względzie był też fakt, że byłem chłopakiem „ ze szmulek „. Czas matury zbliżał się szybkimi krokami. Osłoda tego czasu oczekiwania był PIERWSZY W MOIM ŻYCIU zegarek na rękę, który dostałem od Rodziców głównie po to, abym umiał orientować się w czasie podczas egzaminu maturalnego. Nie wypadło, abym szedł na egzamin maturalny z budzikiem. Dzień matury był dla mnie, jak dla każdego młodego człowieka dniem ogromnego stresu. Nasza klasa zdawała w małej sali gimnastycznej. W pierwszym dniu egzaminu pisemnego zdawaliśmy język polski, który nigdy nie stanowił dla mnie problemu. W drugim dniu była gehenna: matematyka. W tym przedmiocie byłem *„koziółkiem matolkiem „*, a co gorsza nie miałem szans korzystać z pobłażliwości pana ś.p. profesora Bigalkego. Pani Ciokowa była osobą zasadniczą, która w następnych latach swej działalności pedagogicznej potrafiła oblewać laureatów olimpiad matematycznych. Opatrzność i spryt miłosiernych kolegów „ matematyków „, pozwolił mi wyjść z tej opresji z twarzą i stopniem dostatecznym. Reszta egzaminu przebiegała w miłej, przyjacielskiej atmosferze.

Do historii naszej klasy przeszła rozmowa Profesora Krasińskiego z naszym kolegą Wiesiem Gajkowskim, który był matematykiem równie pojętym jak ja. W czasie wręczania świadectw maturalnych prof. Krasiński wykładający nam astronomię rzekł do niego: *„Pamiętaj, abyś nigdy nie dysponował finansami, bo z rachunków jesteś dureń. Dostałeś to świadectwo, basatyku, bo już nie chcę cię oglądać w murach tej szkoły. Chrystusa tak nie męczono jak ty mnie. Z całej matematyki wiesz tylko to, że jechałeś pociągiem, ale nie mając pojęcia z jaką prędkością ów pociąg jechał !”*. Do dzisiaj wiem, że równie dobrze dokładnie to samo mógł wówczas powiedzieć o mnie.

W Liceum imienia Króla Władysława IV spędziłem wraz z grupą kolegów cztery lata w okresie 1948-1952. Był to okres „krzepnięcia władzy ludowej „ i pełnego rozkwitu stalinizmu w Polsce, ze wszystkimi tego procesu konsekwencjami dla każdej z naszych rodzin. Kaprysem historii

był to także okres naszego dojrzewania psychicznego i fizycznego. Chcąc nie chcąc objaliśmy się o historię, zaś historia nas objęła. To, że nie wyszliśmy z tej próby okaleczeni moralnie było w równej części zasługą naszych domów i naszej szkoły, w każdym razie mądrzej części naszych wychowawców jak prof. Rutkowska, prof. Lubicz-Borowski, prof. Błońska, którzy stali się częścią naszego życia. Wdzięczna pamięć o Nich będzie nam towarzyszyła po kres naszych dni.

Kiedy u progu roku 1951 przygotowywano się do odsłonięcia na dawnym Placu Bankowym pomnika Feliksa Dzierżyńskiego, znakomitego patrona naszych miłych

„znajomych „ z gmachu na ulicy Cyryla i Metodego, polecono nam, uczniom wystąpić „spontanicznie „ z petycją do władz o zmianę patrona naszej budy, właśnie na Feliksa Edmundowicza, faceta, który uwielbiał dzieci nienawidząc jednocześnie ich rodziców. Zastosowano wówczas wybieg tłumaczenia, że szkoła jest opanowana przez „wrogie elementy „, że jesteśmy niegodni tak „świętego „ nazwiska kłaść i tak dalej, i tak dalej.

Bodaj, przewrotnie, powołano się dla osiągnięcia tego celu na casus „księdza Husarka „ z czasów zjazdu zjednoczeniowego partii. Udało się uniknąć decyzji, która nie byłaby świetlanym wydarzeniem w ponad 100 letniej historii szkoły. Chwalić Boga Najwyższego !. Mój kolega „władysławiak „ o wiele lat ode mnie młodszy Stefan Meller, którego wiele, wiele lat później miałem operować pisał w swoich znakomitych wspomnieniach: *„Władysław IV – wspaniałe liceum pełne różnorodnych numerów, jak to w męskiej szkole bywało, miało fantastyczną atmosferę. Przede wszystkim kadra nauczających pedagogów, wspaniałych przedwojennych speców i pedagogów z najwyższej półki wziętych. Poza tym atmosfera Pragi, części Warszawy o niepowtarzalnym kolorycie, okropnie zapuszczone, ale ze znakomitymi ludźmi. Nauczycieli miałem w większości bardzo dobrych, przedwojennych inteligentów – uważnych, lubiących młodzież, wiedzących jak z nami pracować. Gdy wiele lat potem chodziłem na rozmowy z pedagogami moich dzieci, to miałem wrażenie, że tylko kilku z nich było na poziomie podobnym do większości moich belfrów z Władysława IV”*. Wszystko to było zgodne z oceną naszych profesorów z Liceum z lat 1952-1958. Poza tym chodziło o to, że okrutna II Wojna spowodowała niesłychany ubytek inteligencji polskiej i darem Bogów było to, że na taki zespół pedagogów u „Władka „ spotkaliśmy.

Rzecz trudna do zrozumienia dla następnych pokoleń, ostatnich zwłaszcza, czytających literaturę kombatancko – martyrologiczną, gdzie spanie na styropianie było Golgotą. Były to lata nie sielskie-anielskie, ale jednak lata naszej rozkwitającej młodości, chłopięcej siły i entuzjazmu, wchodzenia w dojrzałe życie, także pierwszych miłości. Fascynowała nas tocząca się na naszych oczach i z naszym udziałem odbudowa Warszawy, miasta z którym związani jesteśmy urodzeniem, życiem całym, z jego walką, blaskami i cieniami. Byliśmy biedni, wychowani w trudnych warunkach materialnych. Nie śniły się nam własne samochody czy wyjazdy letnie na Łazurowe Wybrzeże. Byliśmy jednak dumni i aktywni. Pełni szacunku obserwowaliśmy ciężką, źle opłacaną pracę naszych rodziców, którzy odbudowywali zdewastowany kraj za przysłowiową miskę chudej zupy. Nie złorzeczyliśmy czasom, które były dla nas rzeczywistością. Nie oczekiwaliśmy i nie oczekujemy od następnych pokoleń współczucia, a raczej widząc co się dzieje wokół, z młodzieżą przełomu XX i XXI wieku, to oni nam powinni zazdrościć.

Opuszczaliśmy „ Władka „ w końcu czerwca 1952 roku. Żegnał nas Lonio w charakterystyczny dla Niego sposób. „Pamiętajcie „,-mówił, „ że w powojennej Polsce inteligencja dzieli się na pracującą i wrodzoną. Mam nadzieję, że wielu z Was to druga grupa ?!. Wielu wybiera się na studia wyższe. To dobrze ! To bardzo dobrze ! Czechow twierdził słusznie, że uniwersytet ujawnia wszelkie umysłowe możliwości łącznie z nieudolnością. No zobaczymy, zobaczymy..... „. Tu błyskał swym błękitnym oczkiem, ale był dumny z nas, praskich gawroszów.

Siedzieliśmy na trawie w Ogrodzie Praskim, w którym tyle prac wykonaliśmy w ostatnich czterech latach „ *temy rękamy* „. Sadzone przez nas drzewa i krzewy rozwinęły się i kwitły wspaniale. Byliśmy pełni dumy, że oto mamy świadectwa dojrzałości. Jednocześnie w głębi duszy gnębiły nas niepewności co też będzie z nami dalej, czy dostaniemy się na studia ?. Maturę zdaliśmy wszyscy, cała klasa „A“, co bardzo cieszyło i nas, i naszą kochaną panią profesor Irenę Rutkowską. Całe ciało pedagogiczne „ Władka „ stosowało w stosunku do nas w sposób niezwykle

konsekwentny zasadę bardzo indywidualnej oceny każdego z nas. „Humanistom” przymykano oko na brak zrozumienia trygonometrii, miłośnikom nauk ścisłych niechęć do zapamiętywania wierszy i analiz epok literackich. Zasadą było właściwe rozpoznanie stopnia naszej DOJRZAŁOŚCI. Ale było to pokolenie dzieci wojny, młodzieży przedwcześnie dojrzałych. Ośmielę się twierdzić, że ten sposób oceny naszego zespołu uczniowskiego zdał w ciągu następnych lat kilkudziesięciu egzamin w sposób doskonały, o czym powiem w dalszej części wspomnień. Żegnaliśmy szkołę wierszem:

*Pamięć o „Władku „, zawsze w nas zostanie,
po latach wrócą gwarnej przerwy echa.
Tu się przeżyło niejedno łajanie,
tu się zdarzyła niejedna uciecha !
Lonio i Cipa nieraz przydupili,
Gawcio i UNRRA wkurzali człowieka !
Dziś po maturze wszyscy oni mili.
Tych belfrów przecież kocha się... z daleka !*

*Te grube mury, mroczne korytarze,
boisko szkolne, aula i szatnia.
Wracają do nas przyjacielskie twarze,
jak wraca do nas szkolna przyjaźń bratnia !*

*Pamięć o „Władku „, zawsze w nas zostanie,
niezbędna teraz, jak dawniej.....ściąganie !*

Bardzo rzadko odwiedzam mury starej budy na Jagiellońskiej. Za każdym razem zdumiewa mnie tu obecność dziewcząt. Baby u Władka-świat się kończy !!!

Liceum Władysława IV -ego KLASA A-lata: 1948-1952

Zespół uczniów, którzy zdali maturę w maju-czerwcu 1952 roku i coś osiągnęli w swym życiu:

1. Andruszkiewicz Waldemar (inżynier)
2. Bednarski Andrzej (lekarz – endokrynolog- zmarł)
3. Bendarzewski Jerzy (architekt-USA)
4. Borkowski Wiesław (rusycysta-zmarł)
5. Celiński Stefan (rusycysta – zmarł)
6. Damm Mirosław (inżynier)
7. Ferch Adam (inżynier)
8. Gajkowski Wiesław (rusycysta – zmarł)
9. Gołaszewski Tomasz (biolog-zmarł)
10. Gołębiowski Zdzisław (inżynier)
11. Graliński Mirosław (inżynier geodeta)
12. Iżyłowski Stefan (aktor teatrów Wybrzeża)
13. Janczewski Grzegorz (lekarz laryngolog – profesor A.M.)
14. Kerntopf Andrzej (inżynier budowy mostów)
15. Klimczuk Jerzy – Jerry Miron (makler giełdowy-USA)
16. Klimm Romuald (inżynier)
17. Kozarzewski Antoni (inżynier włókiennik-zmarł)
18. Latek Ryszard (inżynier – zmarł)
19. Lisicki Krzysztof (muzykoznawca, krytyk muzyczny-zmarł)
20. Łałowski Marek (inżynier-pobudował pół świata i jego okolic)
21. Maliszewski Zbigniew (inżynier pracujący w Szwecji – nie znamy danych).
22. Mańkowski Andrzej (inżynier elektryk)
23. Marczyk Andrzej (inżynier – pracuje w Danii)
24. Mazurkiewicz Stanisław (inżynier – nie znamy danych),
25. Modrzycki Dariusz (ekonomista – zmarł).

26. *Modzelewski Bogusław (inżynier)*
27. *Pierożyński Jerzy (lekarz psychiatra – Military Medical Corps USA)*
28. *Próchnicki Jerzy (inżynier pracujący w Szwajcarii)*
29. *Rodkiewicz Bogusław (biolog, wieloletni pracownik Instytutu Matki i Dziecka),*
30. *Roźniatowski Marcin (inżynier),*
31. *Rustowski Jerzy (lekarz onkolog – zmarł)*
32. *Rybiński Zenon (policjant)*
33. *Semeniuk Bazyli (chemik-nauczyciel akademicki),*
34. *Sidor Andrzej (lekarz ginekolog),*
35. *Sobociński Zdzisław (lekarz chirurg-zmarł)*
36. *Soszka Ryszard (nie mamy danych)*
37. *Tokaj Józef Maciej (inżynier-zmarł)*
38. *Wielechowski Maciej (inżynier).*
39. *Zbrodowski Andrzej (lekarz-profesor anatomii Uniwersytet w Zurichu-Szwajcaria)*
40. *Zemło Zenon (nie mamy danych-Zenek nota bene – był jedynym kolegą zdającym maturę z.....łaciny.).*

Swego rodzaju podsumowaniem lat 1948 – 1952 w naszym życiu może być wiersz Artura Oppmana (Or – Ota) „Wagary „:

*Niezapomniane młodzieńcze lata !
 Szkolne wspomnienia niezapomniane !
 Na ciężkich drogach chmurnego świata
 Wyście jak balsam na krwawą ranę !
 Gdy wstecz obrócić wzrok, taki łzawy,
 Wnet się jak czarem byt złoci szary –
 Niech żyje przyjaźń od szkolnej ławy !
 Niech żyją nasze dawne wagary !*

Mamy to już poza sobą. Niestety !

STUDIA (1952-1958).

Wakacje po maturze spędziłem we wsi Zbuczyn za Siedlcami w gospodarstwie państwa Piesiewiczów. Dom był duży, schludny, zelektryfikowany, gospodarstwo zasobne. Mieliśmy z Mamą do dyspozycji duży pokój. Duża, dość bogata jak na Podlasie wieś, była podobnie jak Zalesie koło Łukowa, zaściankiem szlacheckim. Nad wsią górował duży, ładny, świeżo odnowiony kościół. Okolica, jak to na Podlasiu, była urokliwa: wiele lasów, a co za tym idzie jagód, grzybów, pięknych spacerów. Właśnie w tym czasie budowano betonową drogę łączącą Warszawę z Terespołem i dalej z granicą polsko – radziecką w Brześciu nad Bugiem. Budowniczości nie ukrywali, że jest to inwestycja strategiczna, a warstwa betonu ma wytrzymać masowe przelanie na Zachód radzieckich brygad pancernych. W tym czasie miało to dla mnie znacznie mniejsze znaczenie niż przygotowywanie się do egzaminu wstępnego na Oddział Pediatriczny Wydziału Lekarskiego Akademii Medycznej w Warszawie. Oddzielone od 1950-tego roku od Uniwersytetu Warszawskiego wydziały lekarski z oddziałem stomatologii i wydziałem farmacji stworzyły modą radziecką Akademię Medyczną, która była niezależną szkołą wyższą. Z 23 profesorów przedwojennego Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Warszawskiego imienia Józefa Piłsudskiego wojnę przeżyło tylko 11. Wybór pediatrii jako docelowej specjalizacji w zawodzie był decyzją raczej spontaniczną, być może spadkiem genów rodziny nauczycielskiej.

Uczyłem się chemii i biologii, ponieważ były to główne przedmioty egzaminu wstępnego. Wykuwałem też na wszelki wypadek życiorysy takich geniuszy jak Lenin, Stalin, Bierut, Rokossowski i inni „wielcy budowniczości socjalizmu „, bowiem w egzaminie wstępnym ważną

rolę miała zapewne odgrywać ideologia. Liczyłem się z tym, że wiadomości na te tematy mogą być ważniejsze niż znajomość tablicy Mendelejewa.

Do egzaminu przystąpiłem w końcu sierpnia. Pisemny poszedł gładko. Ustny zdawałem przed komisją w skład której wchodził prof. Władysław Szenajch, prof. Zofia Lejmbach, student Kaliciński, działacz młodzieżowy zwany powszechnie Kajtkiem, oraz jakiś ponury typ o grubo ciosanej gębie, pełniący ogromnie ważną rolę tak zwanego czynnika społeczno-politycznego. Była to komisja wyłoniona przez Oddział Pediatryczny Wydziału Lekarskiego, do którego spontanicznie zgłosiłem akces. Pani Profesor Lejmbach знаła mnie od dziecka, Dziadzio Szenajch był człowiekiem o złotym sercu, Kajtek przyjazny kandydatom, tak więc niewiadomą, a być może zagrożeniem, był „typ „. I rzeczywiście po wysłuchaniu moich wyjaśnień na temat motywacji skłaniających do wybrania tego kierunku studiów ów „czynnik „ polecił mi wyrecytować życiorys „ *geniusza naszych czasów i ojca narodów Generalissimusa Józefa Wissarionowicza* „. Szło mi to dość gładko, ale typ chciał mnie zagiąć. Kiedy powiedziałem, że „ *owocnie działając na Zakaukaziu towarzysz Stalin wydawał konspiracyjne pismo „BZOŁA „* to zapytał: „ *A cóż to znaczy po polsku ta Bzoła ?* „. „ *Pszczołka* „-odpowiedziałem budząc zdumienie profesorów i Kajtka głębią swej wiedzy hagiograficznej i dając satysfakcję „czynnikowi „.

We wrześniu znalazłem swoje nazwisko na około stu-osobowej liście przyjętych na studia w Oddziale Pediatrycznym Wydziału Lekarskiego Akademii Medycznej w Warszawie. Skończyły się żarty i zaczęły strome schody.

Kiedy ja przygotowywałem się do egzaminu wstępnego na Wydział Lekarski Akademii Medycznej w tym samym czasie moi koledzy przygotowywali się do egzaminów na innych uczelniach. Moi starzy druhowie Mirek Damm i Józio Tokaj startowali z powodzeniem na Politechnikę Warszawską. Na Akademię Medyczną w Warszawie mieli zdawać egzaminy poza mną także inni koledzy z naszej Klasy „A” od Władka. Byli to: Jurek Pierożyński, Andrzej Zbrodowski, Andrzej Sidor, Andrzej Bednarski, Jurek Rustowski. Ździsiek Sobociński startował z powodów rodzinnych na Akademię Medyczną w Gdańsku. Dostaliśmy się wszyscy na wymarzone studia.

Ogółem przyjęto na I rok studiów lekarskich około 600 osób podzielonych na oddziały: ogólnolekarski, pediatryczny oraz sanitarno-higieniczny. Pierwsze trzy lata mieliśmy studiować na dwóch równoległych kursach „ A „ i „ B „, podzielonych mniej więcej po połowie ogólnej liczby przyjętych. Pakt Warszawski potrzebował w tym momencie kadr lekarskich na czas wojny. Znalazłem się w III-iej grupie kursu m”A” i trzy lata studiów odbywaliśmy razem z kursem „ ogólnym”.. Był to znakomity zespół młodych ludzi. Tylko z tej grupy studenckiej wyszło po latach pięciu profesorów medycyny (*Elżbieta Domańska-Janczewska – ginekologia i położnictwo, Stanisław Moskalewski – histologia, Wojciech Rowiński-chirurgia transplantacyjna, Stanisław Jajszczak vel Jaszczak – ginekologia-położnictwo oraz Grzegorz Janczewski – otorynolaryngologia*).

Pierwszego października 1952 roku zaczęły się trudne dni mego życia studenckiego. Po latach szkoły średniej gdzie było dużo luzu, tu od pierwszych dni piekło. Wbrew obawom najgorszymi z zajęć nie było prosektorium. Szczątki ludzkie straciły swą naturalność po długim kontakcie z formaliną, której przenikliwy zapach unosił się w całym dużym gmachu Collegium Anatomicum. Pierwsze miesiące, a w szczególności pierwsze kollokwium zdawane 2 listopada z osteologii były szokiem. Trzeba się było wykuć na pamięć masę informacji, masę porównywalną z zawartością książki telefonicznej, z czego 50 % w łacinie, którą mieliśmy za hetkę pentelkę w gimnazjum. Łacina w wydaniu licealnym, w zasadzie, mało by się przydała na medycynie. Poezja Owidiusza i tak zresztą nie miałyby tu żadnego znaczenia. Anatomii wykładał profesor Witold Sylwanowicz, były docent Uniwersytetu im. Stefana Batorego w Wilnie, miły staruszek o wyglądzie Świętego Mikołaja. Ten dał się nam we znaki dopiero za półtora roku, w sesji zimowej 1954. Na co dzień sekowała nas pani Urbańska, koleżanka studentka z IV kursu zatrudniona jako pomoc asystenta. Nikt nie jest takim katem dla studenta jak drugi student, który chce się wykazać jako dobry pedagog. Histologii i embriologii nauczał prof. Juliusz Zweibaum, cudem ocalały z Getta warszawskiego uczoney, lekarz, wielki i uznany autorytet. Był to ten sam Juliusz Zweibaum,

którego władze carskie usunęły z tzw. „*wilczym biletem* „ z Gimnazjum Praskiego imienia Imperatora Aleksandra I-ego (po latach imienia Władysława IV) w roku 1905 za udział w strajku młodzieży protestującej przeciw rusyfikacji. Był to mocno starszy człowiek z objawami choroby Parkinsona, ale nader jasnym i wciąż twórczym umysłem. Jego zastępcą był młody docent Kazimierz Ostrowski chodzący w tym czasie w mundurze lotnika. Tu ćwiczenia były miłsze. Oglądało się szkiełka preparatów i odrysowywało w zeszytach. Zupełnie jak u Władka.

W nauce o systemie kostnym organizmu ludzkiego, czyli w osteologii, najgorszą zmorą była kość skroniowa, z którą w praktyce klinicznej miałem zetknąć się dziewięć lat później. Nie mając czaszki w domu trudno było opanować to wszystko w sposób zadawalający. W tej sytuacji postanowiliśmy ze Stasiem Jonaszem, kolegą z równorzędnej klasy „od Władka „ czaszki zdobyć. Zaczynając pan Grass, laborant pracujący w Zakładzie Anatomii, nie miał czaszek na zbyciu, ale doradził nam podjęcie próby zdobycia ich od grabarzy. I tak w październiku 1952 roku wyprawiliśmy się przed południem na Cmentarz Bródnowski. Dzień był smutny jak i miejsce gdzie polowaliśmy na grabarzy. Scena jak z Hamleta. Dołączyliśmy do końca grupy żałobników zdążających ku wykopanej świeżo mogile, gdzieś na skrajach tego ogromnego cmentarza. Cierpliwie oczekując końca smutnej ceremonii skontaktowaliśmy się wreszcie z gentlemanem kierującym smutną ekipą grabarzy. Facet w lot zrozumiał, że jesteśmy „panowie studenci, medycy „, że potrzebujemy czaszek „ *w dobrym stanie, z zębami !*”. Stawka była stała i czytelna: pół litra „ *za esesmana* „, czyli za trupa czaszkę. Mieliśmy zgłosić się po odbiór za kilka dni, ale wówczas okazało się, że: „ *Same nogy kopiem, Szefie ! Musiem poczekać, Panie Szanowny, na główki !*”. Główki dostarczono nam nieomal przeddzień kolokwium i noc na wkuwanie mieliśmy z głowy. Było to jednak wkuwanie skuteczne.

W marcu 1953 roku wraz z całą Polską uczestniczyliśmy w „spontanicznej „ żałobie po śmierci Stalina. Wędrowaliśmy w pochodzie żałobnym Alejami Jerozolimskimi, gdzie przed domem partii na trybunie ze smutnymi minami siedzieli dostojni żałobnicy rządowo-partyjni. Smutek ich wynikał zapewne głównie z niepewności jaki będzie ich los pod nowym władcą.

Wszystko tonęło w kirach, także potężne popiersie Wodza Narodów ustawione przed trybuną. Zmarzliśmy wszyscy cholernie, bo wiosna była wyjątkowo chłodna. W dniu pogrzebu w Moskwie, ale i w Warszawie zawyły syreny, stanął ruch uliczny, przerwano wykłady na uczelniach. U nas przerwano wykład z chemii prowadzony w sali Zakładu Medycyny Sądowej przez profesora Wierzchowskiego. Mimo wszystkich hec urządzanych ex officio zaskoczyły nas dwie koleżanki, studentki Ewa W. i Regina W. które zawyły jak płaczki z bliskiego wschodu. Z ich wycia dało się zrozumieć pytanie wyrażające wątpliwość: „ *A cóż się z nami stanie kiedy Ciebie zabraknie ?*”. Obie po skończonych studiach wyjechały w szeroki świat, aby być jak najdalej od tej części świata, „ *gdzie jutro jest dniem wczorajszym* „.

Nieszczęściem było to, że socjalizm, który powstał w wieku XIX jako zorganizowana siła „*wyklętego ludu ziemi* „, będąc wyrazem protestu moralnego, w naszych czasach był „zarządzany „ przez ludzi bezideowych, głównie agentów N.K.W.D., dla których deklarowanie się było jedynie zabiegiem techniczno – taktycznym, bez głębszej analizy treści tych deklaracji i bez moralnego identyfikowania się z ideą, a nie koniunkturą, która im tą ich pozycję stworzyła. Ideowi przedwojenni komuniści mający złudzenia zostali wyróżnieni przez „*Ojca Narodów* „, i zostali nieomal wyłącznie ludzie absolutnie dyspozycyjni. Ale myśmy wciąż mieli nadzieję. Nadzieję na „lepsze czasy „. Socjalizm miał być tuż, tuż, już na horyzoncie, ale jak wiadomo im dalej idziesz tym dalej oddala się horyzont. Jednak potrzeba wiary i nadziei była warunkiem uchronienia od szaleństwa. Znakomicie to sformułował Edward Dziewoński w „Kabarecie Dudek „, mówiąc: „*Lepiej być głupim z nadzieją, niż beznadziejnie mądrym. Człowiek lepiej się czuje !* „

Dla „*pokrzepienia serc* „ Polaków władza zaczęła publikować protokoły z konferencji Wielkiej Trójki (Roosevelt, Churchill, Stalin) odbywanych kolejno w Teheranie, Jańcie i Poczdamie. Uwzględniając nawet instynktowną naszą niewiarę w rzetelność i prawdziwość wszystkiego co publikowano urzędowo, dane z przebiegu tych obrad były dla nas szokiem. Nie tylko nas zdradzono, nie tylko zapłacono połową Polski za nic, za święty spokój dla Zachodu, ale zademonstrowano już troskę o przegrane zbrodnicze Niemcy jako potencjalnego sojusznika. „

Polska gęś udławi się niemieckim sadłem „, troskał się Churchill w Poczdamie w odpowiedzi na naleganie Stalina o akceptację przesunięcia Polski i Polaków na Zachód i Północ. Roosevelt ubolewał Stalinowi, że: „*Od pięciuset lat Polska przyprawia świat o ból głowy!*”. Czyżby ofiarami tego polskiego warcholstwa byli w tych czasach Indianie, gospodarze obecnych obszarów Ameryki Północnej ?. Tak więc podczas całej okupacji wypełnionej walką i eksterminacją nic nie wiedzieliśmy, że zostaliśmy sprzedani już w roku 1941, zaś nasi sojusznicy potwierdzali ważność paktu Ribbentrop – Mołotow za cenę radzieckiego „mięsa armatniego „. Nie poprawiało to nastrojów w kraju mającym dostatecznie dużo kłopotów z odbudową ze zgliszcz miast i wsi. W sierpniu 1953 roku podano do publicznej wiadomości, że rząd PRL, wzorem Związku Radzieckiego zrzekł się odszkodowań niemieckich na rzecz Polski przewidzianych traktatami wojennymi. Uzasadniano tą decyzję faktem, że Niemcy już dosyć uczyniły w sprawie reparacji wojennych, a poza tym – co było najważniejsze – należało biedakom pomóc w budowie socjalizmu. Towarzyszyła temu wieść o podwyżce cen na podstawowe artykuły spożywcze, eufemistycznie zwaną „*regulacją cen* „.

Życie studenta medycyny było trudne z wielu powodów. Byliśmy poza domem ponad 10 godzin codziennie. Przerwy w zajęciach spędzaliśmy na schodach w cuchnącym formaliną Collegium Anatomicum przy ulicy Chałubińskiego, w przeładowanym ponad wszelkie normy, dość brudnym Domu Medyka przy ulicy Oczki lub też w przejeździe w tą i z powrotem zatłoczonym tramwajem lub autobusem na Krakowskie Przedmieście. W krótkich przerwach między zajęciami jechać do domu nie było sensu. Nie mieliśmy, co gorsza, podręczników, co zwiększało liczbę studentów uczęszczających pilnie na wykłady. W połowie roku ukazał się „*Podręcznik anatomii* „, Tonkowa, tłumaczony z języka rosyjskiego. Pierwsze trzy lata były udręką, ale tych, którzy odpadli ze studiów było niewiele. Studiowaliśmy z pasją, a system wzajemnej pomocy w nauce studentom słabszym działał wcale dobrze.

Do tego dochodziły kłopoty materialne. Ojciec zarabiał w Ministerstwie Oświaty niewiele, pełniąc funkcje wizytatora, Mama od kilku lat była na rencie z powodów zdrowotnych. Mogłem liczyć na pokrywanie kosztów biletów tramwajowych, a tylko od czasu do czasu dostawałem na bilet do kina. Nieoczekiwana pomoc, aczkolwiek w bardzo ograniczonym zakresie, zjawiała się ze strony Babci Bronki Młotkowskiej, amerykańskiej siostry Dziadka Janczewskiego. Rodzeństwo odnalazło się po wojnie i Ciotka przesyłała bratu od czasu do czasu paczki ubraniowo – żywnościowe. Powiadomiona o tym, że ja studiuje medycynę zaczęła nadsyłać dla mnie ubrania po swym wnuku Józiu. Nie znająca – bo i skąd – polskich realiów, była dumna, że wnuk Jej brata ma szanse być *medical doctor*. Wciąż zapytywała się skąd mamy pieniądze na koszty studiowania skoro Polska jest ruiną. Nie było tego wiele, ale ubrany w te „*ciuchy* „, dość korzystnie odbiegałem od wyglądu przeciętnego studenta tamtych lat. Mogłem stary battle – dress pozostawić na wycieczki rowerowe za miasto.

Wyraźna poprawa nastąpiła kiedy Ojciec zaczął dostawać zlecenia opracowywania recenzji podręczników szkolnych i lektur. Zakupiono maszynę do pisania, ERIKĘ produkcji NRD, niewielką walizczkową typu portable. Ojciec pisał ręcznie, ja przepisywałem na maszynie. Płacono mi za te usługi jak zawodowej maszynistce jedynie wtedy, gdy na stronie nie było ani jednego błędu literowego. W ten sposób poprzez samokształcenie nauczyłem się biegle pisać na maszynie, co bardzo mi się w dalszym moim życiu zawodowym i naukowym przydało.

Na drugim roku studiów wydarzyła się historia, która była początkiem tego, co znalazło swoje apogeum w marcu roku 1968. Ogłoszono zebranie Kursu A, na którym będą poruszane „*ważne sprawy organizacyjne* „. Do grona zebranych studentów przemówił kolega Stefan Sokołowski. Był to dziwny student. Uczęszczał na zajęcia wspólnie z nami, natomiast nigdy, z nikim z kolegów, nie zdawał ani nie zaliczał żadnych kollokwiów ani egzaminów. Powszechnie zdawaliśmy sobie sprawę, że jest naszym opiekunem ze „*Spółdzielni Ucho* „. Ku naszemu zdumieniu wystąpił w roli prokuratora, który w stylu słynnego Andrieja Wyszyńskiego zaznajomił nas z „*sylwetką człowieka, który wkradł się na studia wykorzystując zaufanie i dobroć Władzy Ludowej* „. Tym niecnym człowiekiem był nasz kolega, student Zbyszek Izalski, młodzieniec pochodzenia żydowskiego, którego zbrodnią wedle Sokołowskiego i jego mocodawców było to, że

„ojciec Izalskiego nie był bileterem kina we Lwowie przed wojną, tylko tegoż kina właścicielem, a więc bywającym pamieszczykiem „. W tej sytuacji Izalski oszukał władzę ludową, która w swej dobroci umożliwiła mu bezpłatne studia medyczne, co nie wyklucza, że może tej władzy nie być – delikatnie mówiąc – entuzjastą. Auditorium było niemrawe, niechętnie do palenia Izalskiego na stosie, miało inne ważniejsze sprawy, słowem okazało się „ politycznie niewyrobione „. Nie podjęto „, spontanicznie „, uchwały u usunięciu Izalskiego ze studiów, na co bardzo liczył Genio Sokołowski. Zbyszek wraz z nami szczęśliwie skończył studia medyczne. Jak pokazały lata następne historii PRL-u było to preludium do wewnątrzpartyjnej wojny „, chamów z Żydami „, w Politbiurze i na innych szczeblach władz w P.R.L. Walki o władzę.

Już po ukończeniu studiów któryś z kolegów opowiadał mi następującą historię. Miał on jakieś kłopoty z uzyskaniem paszportu upoważniającego do wyjazdu zagranicę. Zagranicą wówczas dla przeciętnego obywatela Polski Ludowej były także tak zwane „demoludy” a więc kraje „, obozu socjalistycznego „, w którym Polska była ponoć najweselszym z baraków. I do nich trudno było się dostać. Idąc na szczyt góry Śnieżka, przez którą przebiegała granica polsko – czeska, zostawiało się w stojącym u jej podnóża kiosku obsadzonym żołnierzami Wojsk Ochrony Pogranicza dowód osobisty lub legitymacje szkolne, dostawało się numerki, taki jak do szatni w teatrze i łagodne pouczenie:” *Jeśli zgubisz to idziesz do pierdła !*”. Były zabronione rozmowy z Czechami, którzy przecież byli częścią obozu socjalistycznego. Kraje Zachodu, o Stanach nie wspominając, to był Kosmos, przestrzeń w zasadzie nieosiągalna. Po kilkakrotnym jego powrocie do okienka Biura Paszportów, które było świątynią władzy, pani urzędniczka zdecydowała: „, *W pana sprawie ostateczną decyzję podejmie Towarzysz Naczelnik Sokołowski „.* Kiedy z drzeniem serca przestąpił próg gabinetu naczelnika powitał go nikt inny tylko nasz Genio Sokołowski, który oczywiście tej sprawy nie załatwił pozytywnie.

Mimo śmierci Stalina życie było, delikatnie mówiąc, ciężkie i wciąż ludzie pracowali za przysłowiowe grosze w warunkach uniemożliwiających pełne korzystanie z czasów pokoju. Ten termin „, czasy pokoju „, był także pojęciem względnym ponieważ po powołaniu Paktu Warszawskiego, reklamowanego jako pakt obronny w czasie zajęć studium wojskowego uświadamiano nas jakie są w zarysie plany uderzenia na Europę Zachodnią. O ile pamiętam, my Polacy mieliśmy „, wyzwać „, Niemcy północne od Niemców i Danię od Duńczyków. To tak na szczęśliwy początek. Założenia tak zwanego Planu Sześcioletniego uległy modyfikacji i produkcja była przestawiana na wytwarzanie sprzętu bojowego. Ofiarą tego padła, między innymi, rozpoczęta budowa warszawskiego metra oraz szeroko rozumianych dóbr codziennego użytku w gospodarstwach domowych. Stalinizm kwitł już bez „, słoneczka „, całkiem dobrze i czuliśmy nieustanne zaciskanie się pętli. W końcu września 1953 roku aresztowano prymasa Kardynała Stefana Wyszyńskiego, który według towarzysza Ochaba: „,ponosi odpowiedzialność za faktyczną pomoc okazywaną zachodnio – niemieckim Krzyżakom i angloamerykańskim wrogom naszego narodu w szkalowaniu i zohydzeniu Polski Ludowej. Wielokrotne ostrzeżenia ze strony rządu i społeczeństwa nie zmiętygowały awanturniczego wychowanka Watykanu „. Oczywiście aresztowanie Prymasa, jak wykazywał Ochab, nastąpiło na natarczywe żądanie społeczeństwa.

Wprowadzono system tzw. „, *socjalistycznego współzawodnictwa pracy „.* Wzorem górnika Wincentego Pstrowskiego we wszystkich zakładach pracy zmuszano ludzi do wzmożenia produkcji wobec wciąż niezaspakajanego zapotrzebowania na dobra podstawowe. Wszystko to opierało się na wzorach radzieckich. I tak ślusarz z jakiś tam zakładów przemysłowych tow. Saja zobowiązał się do stosowania przy obrabianiu metalu „, *noża Kolesowa „,* radzieckiego stachanowca. W odpowiedzi na to w Polsce szeptano, że:” *Ja nie wypuszczę braku powiedział towarzysz Saja i nożem Kolesowa obciął sobie jaja !!*”. Wojciech Młynarski zaś śpiewał:

„ *Sprawa był oczywista
Zimą mróz, zaś lipiec duszny
Nic, że droga wyboista,
Ważne, że kierunek słuszny !*”

Mimo wszystko nasze miasto Warszawa odradzało się z ruin. Leopold Tyrmand, którego nie sposób posądzać o sympatie do ówczesnego porządku politycznego, pisał w swych „,

Dziennikach 1954 „: „ *O ile odbudowa Warszawy jest wynikiem tego, że ludzie się uparli, o tyle odbudowa staromiejskiego rezerwatu jest zasługą komunistów. Specjalnie się na to uparli. I nawet jeśli mają w tym swój numer, nieważne, pozdrawiam ich !. Chwała tym złym zamiarom, których skutków nie da się przewidzieć. Przyznać muszę, że coś jest w komunistycznej przechwalce propagandowej buszującej we wszystkich przemówieniach: ” Dźwignęliśmy stolicę z ruin !”.* Dziesięć lat temu nie było Warszawy, a teraz jest i nikt tej prostej prawdy nie jest w stanie obrócić we frazes. Ile w tym zasługi komunistów, a ile Polaków i warszawiaków trudno zmierzyć. Nie mniej odbudowa, lub jak kto woli wskrzeszenie wielkiego miasta, nie dokonało by się gdyby komuniści, z tych lub innych przyczyn jej nie chcieli. Bez ich zgody bowiem nic by się w tym kraju, w tym czasie nie stało. „. Nie sądzę, aby ta zgoda była wyrazem próby odkupienia systemu za stanie z bronią u nogi Armii Czerwonej kiedy konało Powstanie Warszawskie, a raczej kontynuowaniem próby bezskutecznego udokumentowania polskości i patriotyzmu ówczesnych rządów. Otwarcie każdego fragmentu odbudowanego miasta było prawdziwym świętem społeczności tego zgromadzenia nędzarzy wracających do swego miasta z małym tobołkiem na plecach i wygrzebujących szczątki swych bliskich spod ruin. Zwyczajowo łączyło się to w kolejnych latach z dniem 22 lipca zwanym Świętem Odrodzenia Polski. Mimo wszystko władza nie powstrzymała się przed zbliżającą się rocznicą Powstania Warszawskiego pisać w „Trybunie Ludu ” o przyjaznych kontaktach Armii Krajowej z Gestapo i szukania sensu „ zbrodniczej decyzji Bora „, o terminie wybuchu Powstania, ale i jego zakończeniu „ haniebną kapitulacją „.

U Cioci Jadzi w Olsztynie pojawiła się Tereska. Był to rok 1953 kiedy Ciocia zdecydowała się adoptować dziecko. Teresa była dzieckiem ubogiej rodziny góralskiej ze wsi Zubzuche w okolicach Gubałówki. Dzieci było w rodzinie dziesięcioro i bieda okrutna. Do rodziny Lasaków Ciocia dotarła poprzez przyjaciółkę z Krakowa, była harcmistrzynią okresu przedwojennego, panią Halszkę Papińską. Tereska była w kiepskiej kondycji fizycznej i wymagała okresu „ kwarantanny „, okresowego pobytu w Krakowie przed dalszą podróżą do Olsztyna. Lasakowie stawiali jeden zasadniczy warunek przekazania dziecka do adopcji w lepsze warunki życia: miał to być dom wierzących katolików. Ciocia prowadziła wspólne gospodarstwo z Rodziną Kottików wywodzącą się z Krakowa. Główną postacią tej rodziny była Babcia Kottikowa trzymająca całe towarzystwo twardą ręką krakowskiej matrony. Jej córka pani Zofia, także przedwojenna harcmistrzyni Chorągwi Krakowskiej, nauczała biologii w liceum, a po tym w Studium Nauczycielskim. Druga z córek Maria Kottik była osobą ułomną mającą od dzieciństwa problemy neurologiczne, najprawdopodobniej wynikłe z tego co nazywamy *cerebral palsy*. Wraz z Mamą, w napięciu, przejmowaliśmy na Dworcu Głównym w Warszawie drobną kruszynkę Tereskę zdążającą w kierunku stolicy Warmii i Mazur. Była oddaną Mamie Jadwidze córką, czułą opiekunką Cioci do Jej śmierci w 101 roku życia.

Pierwsze trzy lata naszych studiów to były nudne „ kamieniołomy „. Nauka niepotrzebnych nikomu szczegółów anatomii prawidłowej, izolowanie danych morfologicznych od fizjologii i patologii, przypominało wiersz wyliczający bezładnie nie przystające do siebie nazwy przedmiotów. Było to doprowadzone do perfekcji oderwanie zdającej się całkowicie niepotrzebną teorii od praktyki. Kuliśmy coś, co w rzeczy samej przypominało kucie kolejnych danych z grubej książki telefonicznej. Nawet profesor Ludwik Paszkiewicz, autorytet w dziedzinie patologii powtarzający nam nieustannie „ *I 100 koni nie dogoni dnia, który przeminął. Nie traćcie czasu !!!*” nie mógł nas oderwać o myśli o roku następnym, w którym zaczynały się otwierać przed nami szerzej kliniki.

Jednymi z najbardziej „ upierdliwych „ zajęć było studium wojskowe. Każdej soboty musieliśmy zgłaszać się na wykłady lub ćwiczenia z takich przedmiotów jak regulaminy służby, taktyka, wiedza na temat uzbrojenia czy też ganień po polu z karabinem i pełnym wyposażeniem bojowym włącznie. Szkoleniem były objęte także nasze dziewczyny, które zalegały, bez względu na porę roku, grządki pomiędzy polami kapusty na polach ograniczonych ulicami Banacha, Księcia Trojdena, Pawińskiego i Aleją Żwirki i Wigury. Ćwiczyły w pokracznych zielonych kombinezonach z dużą klapą przypinaną od tyłu, kombinezonach, które potwornie zniekształcały ich młode, zgrabne wówczas figury. Kadra była względnie przyzwoita, bowiem składała się w

znacznym procencie z lekarzy wojskowych. Na czele „prawdziwych żołnierzy liniowych” stał major J., który przeszedł drogę bojową wraz z II Armią W.P. aż do Łaby. Był to porządny człowiek, który hamował różne wstręty i chamstwa ze strony innych zupaków garnizonowych. Największym powodzeniem cieszyły się wykłady z higieny wojskowej prowadzone przez płk. dr.med. Rotha, który w czasach Powstania Warszawskiego był jednym z nielicznych lekarzy Grupy Armii Krajowej „Kampinos „. Wspomina o nim w swych wspomnieniach p.t.: „*Wyboista Droga* „, dr.med. Cyprian Sadowski ps. „*Skiba* „, szef Sanitariatu Kierownictwa Dywersji KEDYW A.K.. Z doktorem Sadowskim spotykałem się kilka lat później przy okazji pracy w Uzdrowisku Ciechocinek. Doktor Roth to była, jak na owe czasy, postać niezwykle w tym gronie, a wykłady przez niego prowadzone były jednym wielkim skeczem. Miał na przykład takie wstawki:

„*Jak się buduje koszary wojskowe ?. Sprawa prosta ! Na zachodzie budujemy piekarnie, stołówki i inne placówki, które należy utrzymywać w czystości, zaś na wschodzie sracze, szamba i inne wysypiska śmieci. Bowiem na Zachodzie jest i będzie zawsze porządek i czystość, zaś na Wschodzie smród i brud ! „.*

lub: „*Nie wiem czy wiecie, że jestem z zawodu pediatrą. Jako lekarz wojskowy słusznej postury cieszę się wielkim powodzeniem i uznaniem. Ostatnio przyszła do mnie matka, która przymilając się oświadczyła: Jest Pan takim dobrym pederastą więc niech pan ratuje moje dziecko !*”

Na jego wykłady przychodził cały nasz kurs oraz dla hecy wcale liczne grono kolegów z Politechniki i Uniwerku. Mniej wesoło było w czasie inspekcji pewnego generała naszych zajęć „ w polu „, kiedy my chłopcy leżeliśmy między resztkami kapusty i innych warzyw na tymże polu mokotowskim w błocie pośniegowym, zaś nasze dziewczyny krzyczały „*Panie Generale !. Niech Pan im pozwoli już wstać !*”

Nadal byliśmy biedni i nasze rodziny żyły na ogół w niedostatku. Był zwyczaj, że po kolejnych sesjach egzaminacyjnych grupa spotykała się w mieszkaniu jednej z koleżanek lub kolegów. Były to nieliczne chwile relaksu i odpoczynku od codzienności, ale ta ścigała nas nieubłaganie. Najczęściej spotykaliśmy się w dość dużym mieszkaniu Hanki Kościelniak, która mieszkała przy ówczesnej Alei Marchlewskiego (dzisiaj Jana Pawła II – ego) bardzo blisko terenu zburzonego więzienia na Pawiaku. Jej mąż był prokuratorem, co w tym czasie stanowiło o jego pozycji społecznej, politycznej i materialnej. Zasłynął kilkadziesiąt lat później jako sędzia wprowadzający poprawki do statutu legalizowanej „Solidarności”. Zwykle zmywał się z domu na czas naszych spotkań co było przyjęte z ulgą. Hanka urodziła w pierwszych latach studiów synka, późniejszego doskonałego anestezjologa, który wkrótce po uzyskaniu specjalizacji ruszył w świat. Kiedyś obserwowałem widok z ich okna. Morze ruin byłego getta zniknęło powoli. Chcąc zrobić grzeczność panu prokuratorowi zwróciłem uwagę na to, że używając ówczesnego slangu, „*przed nami otwiera się widok na patos socjalistycznej pracy ! „*, co zostało skwitowane krótko, ale prawdziwie: „*Istotnie mamy przed sobą Gęsiówkę ! „*. Należy tu przypomnieć, że tak zwana „*Gęsiówka* „ była obozem pracy przymusowej dla wrogów Polski Demokratycznej, a więc prywatnej inicjatywy, przestępców gospodarczych i wielu drobnych kryminalistów, obozem zlokalizowanym pośród pustyni gruzów zburzonego getta warszawskiego.

Zachłyśnięcie się „prawdziwą medycyną „, przeżyliśmy dopiero w czasie wakacji roku 1955, po zakończeniu III-ego roku studiów na praktyce w Szpitalu Powiatowym w Szczytnie.

Przyjechaliśmy tam grupą sześć czy ośmio – osobową. Poza Elżbietą Domańską, w której się kochałem, byli także Mietek Lao i Baśka Walczak. Nazwisk pozostałych koleżanek i kolegów nie pamiętam. Szpital Powiatowy w Szczytnie po kontaktach z naszym Szpitalem Klinicznym nr. 1 (dawniej pod wezwaniem Dzieciątka Jezus) czarował nas nowoczesnością. Zbudowany przez Niemców w latach 1930 – tych lśnił czystością, przestrzenią, jasnymi wnętrzami, pięknym rozkładem i urządzeniem sal chorych i bloku operacyjnego. Większość pracowników personelu średniego i pomocniczego stanowili Mazurzy-autochtoni. Szpital miał cztery podstawowe oddziały: chorób wewnętrznych, chirurgii ogólnej, ginekologii i położnictwa oraz pediatrii. My studenci mieszkaliśmy w baraczkach drewnianych posadowionych poza głównym gmachem szpitala w czystych, jasnych pokojach. Pełne wyżywienie zapewniała nam za darmo stołówka szpitalna.

Jedzenie było bardzo skromne, ale obfite. Pracowaliśmy od 8-ej rano do 15 – tej, głównie na internie i chirurgii. Pisaliśmy masę historii chorób, także pacjentów dawno już ze szpitala wypisanych. Chodziło o to, aby „*fizycznie w papierach wszystko się zgadzało!*”. Elżbieta, moja przyszła Żona pasjonowała się położnictwem, co miało swe konsekwencje za lat kilka. Budzono nas także w nocy jako asysty do operacji lub dawania „kapanej „, czyli eterowej narkozy podawanej „, na maskę „,

Szczytno, urokliwe miasto położone pomiędzy dwoma jeziorami w owym czasie leżało w gruzach, zniszczone z premedytacją już po wyzwoleniu przez Armię Czerwoną. Na głównej ulicy pozostały jedynie pojedyncze domy. Wiele wskazywało, że nawet Tatarzy pana Kmicica w czasach wojen szwedzkich tak się nie dali tu we znaki jak „wyzwoliciele „. Gwałty, mordy, niszczenie planowe wszystkiego co przedstawiało jakąś większą wartość było powszechnie obserwowane. Nędzna chałupa mazurska została nietknięta, stojąca niegdyś nieopodal wspaniała willa Niemca, miejscowego notabla, wysadzona w powietrze. Pozostały z tej posesji nienaruszone jedynie piękne, srebrne świerki. Poza kinem, z którego żołdaci korzystali, wszystkie domy użyteczności publicznej, w tym wspaniały dom partii nazistowskiej będący jednocześnie nowoczesnym domem kultury, zostały dokładnie starte w powierzchni ziemi. Wyjątkiem był „zamek „, siedziba władz miasta i powiatu bowiem tam ulokowano radziecką komendanturę. Dbano jednak o świadomość ideologiczną mieszkańców pokrywając szczytowe ściany co okazalszych ocalałych domów ogromnymi napisami w rodzaju „*NIE STRASZNE SĄ NAM GŁOSU, RYKI, AMERYKI !!!* „.

Sam szpital ocalał jedynie dzięki temu, że kiedy do piwnic wypełnionych koksem niezbędnym dla centralnej kotłowni szpitala żołnierze Armii Czerwonej wrzucili granaty zapalające palacz tam obecny, Mazur zresztą, odkręcił hydranty z wodą zatapiając je. Sołdaci zajęli się tymczasem zawartością szczycieńskiego browaru. Na szczęście zrobili to dokładniej niż w szpitalu, bowiem wysuszyli zapasy do ostatniej kropli. To szczególne zauroczenie wyzwolicielei browarami i gorzelniami było powszechnie znane na terenach wyzwolanych i nie tylko tam. Jeszcze kilka lat po zakończonej wojnie w zbiornikach wielu tych szczególnych zakładów produkcyjnych przy czyszczeniu ich wnętrza znajdowano dobrze zakonserwowane w alkoholu ciała „*bojców „*, przy orderach i z pepeszami. Ponoć najlepsze wódki gatunkowe „*z bukietem „*, pochodziły właśnie z tych zakładów.

Dyrektorem szpitala był dr. Sobieszczański, urodzony warszawiak, który pojechał do Oświęcimia pierwszym transportem jaki odszedł z Warszawy w czasie zakładania tego obozu. Jak nam opowiadał złapany na ulicach Warszawy w czasie przypadkowej łapanki przetrwał wielodobowy transport do obozu w dniach okrutnej zimy tylko dlatego, że zgarnięto go z ulicy z butelką wody fryzjerskiej, taniego pachnidła na bazie spirytusu. Wodę fryzjerską niósł na imieniny przyjaciela. Transport przeżyło nie więcej niż 40 % uwięzionych, reszta zamarzła.

Dr. Sobieszczański był chirurgiem znakomitym, wszechstronnym i mądrym. Dał nam z siebie bardzo wiele, ale i wiele od nas wymagał. Z perspektywy kilkudziesięciu lat Jego postać wraca do mnie wzbudzając zawsze uczucie najgłębszego szacunku i wdzięczności. Jego zastępcą był dr. Płatakis, także chirurg, wielkie chłopisko, typowy Żmudzin ewakuowany z Wileńszczyzny. Ważnym członkiem tego zespołu chirurgów był dr. Wośko, którego wiele lat później spotykałem jako profesora chirurgii dziecięcej w Akademii Medycznej w Lublinie. Oddziałem ginekologii i położnictwa ordynował dr. Siwy, doskonały i doświadczony fachman, do którego pacjentki zjeżdżały z połowy województwa olsztyńskiego. Jego zastępcą był dr. Nowowiejski, odznaczający się brzydką blizną pozostałą po operacji rozszczepu wargi górnej. Pediatrią kierował doktor Mierosławski pracujący tu wraz z żoną i bardzo młodą wtedy dr. Haliną Ludwiczak, późniejszą wieloletnią asystentką i adiunktem w klinikach dziecięcych przy ulicy Działdowskiej. Na internie gdzie pracowali z wyboru Mietek Lao i Baśka Walczak ordynator doktor Truderung używał niewiele rozpoznać. Były to nieomal wyłącznie: „*gastritis „*, „*pneumonitis „*, „*nephritis*, „*poliarthritus „*, czy wreszcie „*neurosis „*. Ja głównie związałem się właśnie z oddziałem chirurgii, Elżbieta z ginekologią i położnictwem. Do Szczytna wracaliśmy jeszcze dwukrotnie w czasie kolejnych wakacji wiedząc doskonale, że tyle możliwości praktycznego działania nie uzyskali byśmy w innych szpitalach, zwłaszcza szpitalach klinicznych, w ramach praktyk studenckich. W

czasie drugiego i trzeciego pobytu ustaliłem z Doktorem Sobieszczańskim, że pierwszy miesiąc będę oficjalnie, jako stażysta – student, zaś miesiąc drugi jako wolontariusz na chirurgii. Szpital zapewniał mnie w tym miesiącu pokój, pełne wyżywienie, czas wolny w godzinach popołudniowych z możliwością korzystania z kajaków wydawanych za darmo w przystani szkoły milicyjnej, która właśnie zaczynała działać w Szczytnie. Kontakty z „glinami „ ułatwiał nam młody lekarz, świeży absolwent Akademii Medycznej w Białymstoku-Wojtek Kozłowski, który był zatrudniony jak szef służby zdrowia w tej szkole. Wojtek miał wolontariat na chirurgii, gdzie robił specjalizację. Do moich obowiązków należały wszystkie czynności należące do asystentów oddziału łącznie z gotowością do współdziałania w razie potrzeby w charakterze asysty lub podającego znieczulenie ogólne w godzinach nocnych. Tych „ potrzeb „ było wiele, bowiem szpital pełnił nieprzerwanie ostry dyżur w zakresie chirurgii ogólnej dla całego powiatu. Załatwialiśmy zarówno przypadki przynależne do tzw. „ chirurgii miękkiej „ jak i ortopedii oraz w wielu przypadkach przypadki neurochirurgiczne, zwłaszcza pourazowe krwiaki mózgu. Najgorsze były weekendy, zwłaszcza wieczory i noce z soboty na niedzielę, bowiem przywożono wtedy ofiary bójk wywoływanych na wiejskich zabawach w okolicy. Głównym dostawcą ofiar była budowa lotniska wojskowego prowadzona nieopodal w miejscowości Szymany. Nazwa tego lotniska wróciła do nas po przeszło pół wieku dzięki rewelacjom na temat współpracy polskiego wywiadu z CIA przy transportowaniu terrorystów z Al.-Kaidy.

Pamiętam, kiedy pewnej sobotniej nocy przywieziono kilkunastu młodych ludzi ze złamaniami kości przedramienia lub krwiakami mózgowia. Powód – jeden z balowiczów „ dobrze przygotowany” do zabawy, w stanie upojenia, wtargnął w tłum bawiących się z żeliwną „ duszą „ od przedpotopowego żelazka umocowaną na elastycznej sprężynie wprawionej w ruch obrotowy. Kto znalazł się w polu rażenia tej maszyny piekielnej wychodził zasłaniając się rękami ze złamaniami przedramienia, inni nie zasłonięci z krwiakami mózgu.

Tutaj też miałem pierwszą naukę właściwego kontaktu z chorym. Na źle sformułowane pytanie skierowane do starszej wiekiem wieśniaczki: „ *Z czym Pani przyszła do szpitala ?* „, otrzymałem odpowiedź: „ *Z kosykiem, Panie, jeno z kosykiem !*”. Mnie chodziło oczywiście o ustalenie dolegliwości pacjentki z powodu których ją hospitalizowano. Inny zapytany: „ *Kiedy Pan ostatnio oddał stolec ?* „, odpowiedział: „ *Panie Dochozo ! Niczego nie musiał oddawać, bom niczego nie ukrodl !* „. Trzeba więc było sięgnąć do bardziej wyrazistego i bardziej zrozumiałego dla niego słownictwa. Pacjentami byli ludzie należący przeważnie do tak zwanej ludności napływowej. Dominowali Kurpie, a zwłaszcza kurpiowska biedota. Wielu napływowych było przesiedleńcami z Wileńszczyzny, topniała zaś ludność autochtoniczna to znaczy Mazurzy. Ci za wszelką cenę starali się przenieść do Niemiec, wszystko jedno jakich, ale Niemiec. I ówczesna władza, i napływowi sąsiedzi robili absolutnie wszystko, aby utrwalić te tendencje rdzennych Mazurów do opuszczenia ojcowizny. Chodziło o rzecz całkiem przyziemną: zajmowanie opuszczonych przez nich gospodarstw, o które następnie nie dbano latami „ *bo ino patrzeć jak te Niemce tu wróco !*”. Miano im, między innymi za złe, że posługiwali się modlitewnikami drukowanymi gotycką „ *szwabachą* „, co wedle tych mądrali świadczyć miało o ich przywiązaniu do Niemiec. Wyjechała, przy pierwszej okazji cała rodzina mazurskiego poety Michała Kajki, a w opuszczonym ich gospodarstwie poniewierały się rękopisy poety. Ktoś z wakacjuszy zapytał naiwnie: „ *Dlaczego Ci Mazurzy, także z rodzin bojowników o polskość teraz właśnie z Polski uciekają ?* „. Znanca miejscowych nastrojów i sytuacji przytomnie odpowiedział: „ *Oni nie chcą się identyfikować ze złą Polską i ze złą polsnością, a innych nie poznali ! Niestety !* „.

W czasie kolejnego pobytu w Szczytnie przyjechał do mnie Mirek Damm ze swym kolegą, studentem politechniki. Zakończyli właśnie miesiąc poligonu wojskowego. Zgodnie z kierunkiem studiów byli przydzieleni do broni pancernej. Wspólnie zwiedzaliśmy okolicę nocując w gościnnych szpitalu. Dla „ panów studentów „ było też darmowe jedzenie. Dzisiaj nie do uwierzenia !. Między innymi zwiedzaliśmy stary cmentarz, na którym była wydzielona kwatery mogił wojskowych poległych w czasie I Wojny Światowej. A były to okolice rozgromienia przez wojska pruskie pod dowództwem Hindenburga i Ludendorfa carskich armii rosyjskich Samsonowa i Ronenkampfa. To co zdumiało nas, dzieci II Wojny Światowej, świadków barbarzyństwa i

zdziczenia totalnego, to uszanowanie poległych w walce w latach 1914 – 1918. W kwaterze tej leżeli obok siebie zgodnie żołnierze niemieccy i rosyjscy. W dobrze utrzymanych grobach u wezłowania każdego poległego Niemca był odlany w żeliwie Krzyż Żelazny, zaś u wezłowania Rosjanina – krzyż prawosławny. Całość ogrodzona kamiennym murem i wciąż, mimo zaniedbania, prezentowała się nader okazale. A przecież cmentarz założyli przodkowie Niemców znanych nam ze zwyrodnienia w tak niedawnych latach. Pomiędzy grobami rosły setki prawdziwków, którym napełniliśmy nasze bluzy przekształcone w worki. Wieczorem, w chałupie, było wielkie grzybów gotowanie i wielkie picie wody. Uważaliśmy się za prawdziwych doktorów i inżynierów !.

W październiku 1955 roku zmarł Dziadek Jan Janczewski. Dwa lata wcześniej przeszedł ciężki zawał serca i kiedy dzisiaj wspomnę metody leczenia zastosowane wówczas przez lekarz rejonowego w pełni zdaje sobie sprawę jak dalecy jesteśmy dzisiaj od tamtych czasów w swych możliwościach i w swej wiedzy lekarskiej. Cudem wyszedł z tego wówczas. Wieczorem przed zgonem wybierał się na ryby. Był zapalonym wędkarzem i chwile spędzane nad wodą cenił sobie ogromnie. Kazał się Babci Julii obudzić przed świtem kiedy ryby biorą najlepiej. Rolę budzika spełniał w tych czasach tak zwany „kołchożnik „. Był to głośnik zainstalowany w domach z transmisją jedyne go wówczas programu Polskiego Radia drogą kabla. Zdobyć normalnego aparatu radiowego było wówczas po pierwsze bardzo drogą inwestycją, po drugie zaś produkowane w niewielkich ilościach aparaty „Pionier „, przeznaczano na nagrody dla przodowników pracy socjalistycznej. Kiedy „kołchożnik „ zaczął wyć o godzinie piątej na ranem Babcia znalazła Dziadka martwym.

Lata studiów bieżyły niepostrzeżenie i po trzecim roku studiów nastąpiło rozdzielenie studiujących na oddziałach ogólnym, pediatrycznym i sanitarno- higienicznym. Poza wszystkim utrudniało mi to w sposób zdecydowany codzienne kontakty z Elżbietą, która pozostała w grupie trzeciej na „ogólnym „. Grupy pediatryczne przeniosły się do Szpitala Klinicznego przy ulicy Dziadowskiej 1. Stanowiliśmy zespół około 100 studentów. Klimat i organizacja studiów na Dziadowskiej były nieporównywalnie lepsze niż w Szpitalu Klinicznym przy ulicy Oczki czy innych klinikach Oddziału Ogólnego Wydziału Lekarskiego. Tutaj przykładano do dydaktyki ogromnie wiele serca. Byliśmy przygotowywani do zawodu nie tylko teoretycznie, ale także praktycznie. Jak w przedwojennej podchorążówce kawalerii zaczynało od czyszczenia konia, my musieliśmy zacząć swe przygotowanie do zawodu pediatry od nauczenia się pielęgniarstwa pediatrycznego. W jednym z dni tygodnia każdy z nas był obowiązany zgłosić się na oddział o 7- ej rano i kapać niemowlęta i większe dzieci oraz prześcielać ich łóżka. W innym dniu tego samego tygodnia naszym zadaniem były ranne zabiegi pobierania krwi u niemowląt i dzieci. Znaczenie tych umiejętności przypisywanych w Polsce zwyczajowo pielęgniarcom mogliśmy w pełni ocenić dopiero kilka lat później. Na Dziadowskiej pracowały w tym czasie trzy kliniki: Diagnostyki Chorób Dziecięcych kierowana przez panią prof. Zofię Lejmbach, Terapii Chorób Dziecięcych- kierowana przez prof. Henryka Brokmana i Chirurgii Dziecięcej- kierowana przez docenta Tadeusza Hroboniego. W Klinice Diagnostyki zjawiał się dość często prof. Władysław Szenajch, w tym czasie bardzo stary już człowiek, z resztkami słuchu. Był to uroczy pan cieszący się ogromną sympatią i szacunkiem całego środowiska. Traktowano nas jako partnerów w codziennej pracy tych klinik, co stwarzało znakomitą atmosferę, nieporównywalną z tym co działo się w klinikach Oddziału Ogólnego. Środowisko było jednak babskie i z tym związane były nastroje oraz metody prowadzenia dyskusji. Zwłaszcza w klinikach zachowawczych. Kiedyś poruszony sporem przypominającym słynne „*golono czy strzyżono* „, prowadzonym przez grono najbardziej doświadczonych pediatryczek spierających się do upadłego czy: „*dziecko ma nogi sine czy tylko zasinione ?*” przysiągłem sobie, że jedynym miejscem gdzie w przyszłości mogę pracować jest oddział chirurgii dziecięcej.

Mimo studiowania na pediatrii byłem związany z Kołem Studenckim przy I Klinice Chirurgii A.M. pracującej w Szpitalu „*na Oczkach* „, pod kierunkiem prof. Tadeusza Butkiewicza. Był to znakomity, wszechstronny chirurg, absolwent którejś z carskich akademii medykochirurgicznych, kierujący wspaniałym zespołem wybitnych specjalistów. W miarę możliwości czasowych brałem udział jako wolontariusz w ostrych dyżurach pełnionych przez tą

klinię. Pamiętam pierwszą noc dyżuru w całości nie przespaną nie ze względu na nawał chorych, ale na stan napięcia towarzyszący „gotowości do natychmiastowej pracy” nowicjusza. Był to zupełnie inny świat niż ten z Działdowskiej, ludzi niezwykle ciężkiej, ogromnie fizycznie i psychicznie obciążającej pracy, ale umiających się z niej cieszyć i płatać nieustanne figle. Butkiewicz był już wtedy starym człowiekiem, którego następcą jawił się, jako niewątpliwy kandydat, docent Jan Nielubowicz. Szef kliniki miał postępującą zaćmę, ale wciąż operował i to z powodzeniem, nie bez pomocy i ubezpieczania pola operacyjnego przez doskonałych doświadczonych współpracowników. Przygotowywali mu to, co zwiemy *sytuacją operacyjną*, a profesor pytał często swym śpiewnym głosem kresowiaka: „*Kaliega-Można cjać?*”. Rano odbywały się odprawy całego zespołu, w czasie których omawiano wydarzenia ostatniej doby oraz plan pracy dnia. Profesor siedział za ogromnym biurkiem, dębowym meblem gdańskim, na którym stał ogromny, staroświecki telefon Erickssona ze słuchawką posadowioną na wysokich widelkach. Byliśmy świadkami takiej oto sceny.

Telefon dzwoni. Profesor podnosi słuchawkę, przez chwili słucha i milczy i odpowiada: „*Nie, to nie Dzieciątko Jezus !* „.

Po chwili telefon odzywa się ponownie. Znow odpowiedź Butkiewicza: „*Jak już mówiłem to nie Dzieciątko Jezus !* „.

Telefon dzwoni jednak po raz trzeci i wtedy następuje eksplozja: „*To nie jest Dzieciątko Jezus ! Dzieciątko Jezus nie miało telefonu !*”.

Należy tu przypomnieć, że szpital przy ulicy Oczki od powstania w roku 1901 znany był pod wezwaniem Dzieciątka Jezus.

W czasie poważnej operacji wpada na salę operacyjną pielęgniarka i prosi o pilne udostępnienie klucza od gabinetu profesora. Klucz ten „stary „ ma w kieszeni spodni operacyjnych. Prosi pielęgniarkę o wyjęcie klucza z tych spodni. Dziewczyna grzebie gdzieś pod fartuchem i twarz profesora czerwienieje pod maską operacyjną i pyta: „*Czy pani jest dorosła ?* „.

„*Tak Panie Profesorze !*”

„*To przecież powinna Pani wiedzieć, że to co Pani teraz trzyma w ręku na pewno nie jest kluczem od mego gabinetu !*”

Po udanej operacji zaćmy idzie po raz pierwszy korytarzem kliniki i spotyka adiunkta dr.med. Kazimierza Ostrowskiego. Staje i pyta: „*A Pan, Kuliega, to kto ?* „.

„*To ja, Ostrowski, Panie Profesorze !* „.

„*Taż to ja nie wiedziałem, że Pan Kazju jest taki przystojny !* „.

Profesor Butkiewicz był wielkim autorytetem chirurgicznym, wychowawcą wielu przyszłych docentów, profesorów i ordynatorów. Nie tylko uczył zawodu, ale starał się swych uczniów wychowywać. Jego słynne przykazanie brzmiało: „*Kolego, w życiu trzeba mieć przede wszystkim dobre hamulce, bowiem bez nich nie jest się ani człowiekiem, ani lekarzem* „. Jak w życiu bywa nie wszyscy Go słuchali.

Było coraz bardziej oczywiste, że następcą prof. Butkiewicza będzie docent Jan Nielubowicz, człowiek o nieprzeciętnej inteligencji i erudycji. Bywał często, jak na owe czasy, na Zachodzie, w najlepszych i najnowocześniejszych klinikach chirurgicznych świata. Pewnego razu ogromnie zaskoczył i uraził starszych docentów i profesorów kiedy składając na posiedzeniu Towarzystwa Chirurgów sprawozdanie z kolejnego pobytu w Stanach Zjednoczonych wyświetlił wplecioną w film dydaktyczny krótką historyjkę Myszki Miki i Kaczora Donalda. „Starzy „ byli oburzeni swego rodzaju frywolnością podejścia do ich dostojnego i pozbawionego humoru grona. Wraz z Nielubowiczem szło nowe. Po jednym z pobytów w U.S.A. na pierwszym obchodzie w dużej, kilkudziesięciu łóżkowej sali chorych mężczyzn idąc na czele zespołu lekarzy zatrzymał się u wejścia. Kilkadziesiąt par oczu pacjentów było skierowanych w jego stronę. Czas był taki, że tylko niewielu miało na sobie pidżamy, reszta stała w zgrzebnych gaciach. Nielubowicz po krótkiej chwili milczenia powitał chorych głośnym: „*Hello boys !!!* „. Widać było konsternację pacjentów, która jednak została przezwyciężona gromkim odzewem: „*Na wieki wieków. Amen !*”.

Swego rodzaju instytucją w tejsze klinice był adiunkt dr.med. Józef Miller. Przystojny mężczyzna, około pięćdziesięciu lat, był sławny tak ze znakomitej techniki operacyjnej jak i

ogromnego poczucia humoru. Był wprost uwielbiany przez cały personel. Kiedyś przyszła do niego pielęgniarka. Cała we łzach i pochlipująca. Miller przytulił i spytał łagodnie: „*Czegoż ty, dziecko, tak płaczesz ?* „ Na co usłyszał wyjaśnienie: „*A bo, panie doktorze, ten chory spod okna z sali piątej nazwał mnie kurwą !* „ Odpowiedź zawierająca pociechę była natychmiastowa: „*Dziewczyno, nie masz powodów do zmartwień, do mnie często chorzy mówią gorzej, mówią per „Panie Docencie „ !”* .

Innym razem w czasie ostrego dyżuru przybiega do Millera młody, ale głupi stażysta i krzyczy: „*Panie adiunkcie, panie adiunkcie, przywieźli faceta spod tramwaju ! Rączka mu wisi na kawałku skóry ! Będzie fajna robota !* „ Miller złodowaciał i odparł: „*Ty idioto ! Znam lepszą robotę. Na leżąc i nie kurzy się !* „.

Szczególną „ sympatią „ doktora Millera cieszył się pewien lekarz wykazujący wyjątkową nieporadność manualną i brak wyobraźni chirurgicznej. Kiedyś pan adiunkt zaskoczył go w czasie operacji usuwania wyrostka robaczkowego, kiedy demonstrując-jako wyrostek – wyciągnięty triumfalnie jajnik, szykował się do jego skutecznego wycięcia. Miller zzieleniał i wrzasnął: „*Zostaw ten jajnik idioto ! Ty jesteś chirurg ?. Patyk w dupę i do teatru lalek !* „. A ludzie mawiają, że chirurdzy są nieczuli.

Mietek Szóstek, zatrudniony po dyplomie w tejże klinice chirurgicznej na etacie asystenta opowiadał mi, że dostał pod opiekę Szkota, który przyjechał do Nielubowicza w odwiedzin. Zachciało się chłopu zwiedzić Puszcę Białowieską, gdzie jak słyszał istnieje rezerwat żubrów, czyli *European bufflo*. Wieziono go w stronę wschodnią i w czasie przejazdu przez most Poniatowskiego zapytał co to za rzeka. Zgodnie z prawdą odpowiedziano mu, że jest to rzeka Wisła (*Vistula river*). Odpowiedzią Europejczyka, przez duże E, był entuzjastyczny okrzyk „*Ach, więc jesteśmy już w Azji !!!*”. Miał facet nosa mimo, że nie widział Szmulek i Bazaru Różyckiego.

Pośród nas, młodych jeszcze w tym czasie lekarzy krążyło wiele opowiadań o sukcesach i słabościach naszych starszych kolegów oraz o szczególnie zabawnych sytuacjach wydarzających się w klinikach zabiegowych. W klinice profesora Butkiewicza był na stażu jeden z nielicznych wówczas lekarzy murzynów. Był czarny „*jak dusza reakcjonisty* „. Pewnego razu pełnił ostry dyżur i po operacji posadzono przy chorej do czasu jej wybudzenia z narkozy. W pewnym momencie kobieta otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą hebanową twarz kolegi doktora Bembe. Prerażona zaczęła nie tyle krzyczeć co wrzeszczeć: „*Nie, nie, ja nie chcę do piekła !!! Za co, za co ???* „. Przyjemniejsze obudzenie ze znieczulenia ogólnego miała pewna pacjentka po operacji ginekologicznej w klinice przy Placu Starynkiewicza. Tu przez wiele lat pracował znany w Warszawie dr.med. Weitraub, którego twarz była kopią twarzy Chrystusa z chusty Świętej Weroniki. Ta z kolei widząc chwilę po odzyskaniu przytomności twarz Weintrauba wyszeptala z zachwytem: „*Chryste ! Naprawdę jestem z Tobą w niebie ?!!!*”

Na piątym roku studiów przenieśliśmy się do Kliniki Chirurgii Dziecięcej przy ulicy Litewskiej, gdzie szefował prof. dr. Jan Kossakowski (z tych Kossakowskich), twórca chirurgii dziecięcej w Polsce. Nie był to miły dla studenta nastrój klinik przy ulicy Dziadowskiej, co utwierdzało mnie w przekonaniu krzewionym na Woli, że Litewska to przedpokój piekiel. Niesnaski pomiędzy tymi dwoma szpitalami i zespołami były „ od zawsze „, i jak wiem są nadal aktualne i ponad czasowe. Moje kontakty z kliniką prof. Kossakowskiego były ograniczone ponieważ źle się tam czułem. Nie tylko ja zresztą. Studentów usiłujących działać w Studenckim Ruchu Naukowym traktowano tu jak nachalnie starających się o posady w Klinice. Znakomite były natomiast wykłady profesora. Asystentem wykładowym był dr.med. Jarosław Stodulski, jeden z bohaterów Powstania Warszawskiego na Pradze, który wobec totalnej klęski tej dzielnicy przepłynął tam i spowrotem Wisłę przywożąc potwierdzenie decyzji zakończenia akcji powstańczej na Pradze. Profesor siedział na scenie sali wykładowej imienia prof. Michałowicza zaś doktor Stodulski wprowadzał kolejno chore dzieci i ich opiekunów. Byliśmy świadkiem nie tylko badania małych pacjentów, ale dawano nam lekcje metod prowadzenia rozmów z rodzicami. Do dzisiejszego dnia w macierzystej uczelni nie ma próby pokazania studentowi prawidłowej relacji lekarza z pacjentem.

W jesieni 1955 roku, a więc na początku naszego kontaktu z pediatrią zostaliśmy nagłe zmobilizowani przez Studium Wojskowe i wysłani do jednego z Państwowych Gospodarstw Rolnych w okolicach Morąga do pomocy w wykopkach ziemniaków. Była to ostatnia dekada października, szron pokrywał pola, a ziemniaki wciąż tkwiły w marznącej już ziemi. Kilkudziesięciu chłopaków z całego naszego wydziału ubranych w zielone kombinezony znalazło się w zrujnowanym poniemieckim dworze. Widok zabudowań i ludzi tu pracujących był przerażający. Prawdziwe „*Sanatorium pod Klepsydrą*”. W środku dużego wybrukowanego podwórca otoczonego ze wszystkich stron zabudowaniami gospodarczymi, we wgłębieniu była sadzawka, do której spływała nie tylko woda deszczowa ale także gnojówka z obór i stajni. Każdego ranka w tej wodzie „myto” bańki służące do transportu mleka przeznaczonego dla miast i miasteczek. Na polach były wciąż nie zżęte zboża. Obraz katastroficzny. Od rana do wczesnego zmierzchu postępowaliśmy za koparką i zbieraliśmy wyrzucane przez nią kartofle. Trzeciego dnia, nie przywykli do tego rodzaju pracy, byliśmy ludzkimi wrakami. Po pierwszych posiłkach serwowanych nam przez miejscowe kobiety przejęliśmy gotowanie we własne ręce i do tego celu oddelegowaliśmy dwóch naszych kolegów. Wszystko to było lepsze niż ziemniaczany kisiel, jakim karmiono nas przez dwie doby. Z miejscowego mleka rezygnowaliśmy nie bez powodu. Czwartego dnia główny magazynier zaproponował aby trzech „mocnych fizycznie studentów” zgłosiło się ochotniczo do odpowiedzialnej pracy, ale nie na polu. Nie byłem ułomkiem, a wszystko co nie wiązało się bezpośrednio z wykopkami było dla mnie błogosławieństwem. Poza mną zgłosili się Żdzisiek Jabłoński i Jurek Lech. Wyjechaliśmy wraz z magazynierem na pole, gdzie w ostatnich dniach kopaliśmy ziemniaki. Polecono nam ładować je na przyczepy. Przyczepy pełne kartofli zawieziono na dworzec kolejowy, gdzie magazynier sprzedał je „na swój szczer” kolejarzom i grzecznie zapowiedział: „*Panowie studenci, morda w kubel!*”. Praca trwała nie więcej niż półtorej godziny i resztę dnia roboczego spędziliśmy z dwoma butelkami wódki i kilkoma pętami kiełbasy zagrzebani na stacji kolejowej w wagonie pełnym ciepłych, parujących wytlóków buraczanych. Po powrocie narzekaliśmy na „ciężką pracę”, ale już do końca trzymaliśmy się tego niegodnego zajęcia i zasady „*morda w kubel*”. Była to dla nas lekcja „*wyższości gospodarki społecznej nad kapitalistyczną i etosu pracy socjalistycznej*”.

Po powrocie na studia każda z grup studenckich miała obowiązek wziąć udział w przygotowywanej akademii ku czci kolejnej rocznicy rewolucji Październikowej. Potrzebne nam to było jak przysłowiowy „*dzwonek zającowi*”, ale nie było mowy o grymaszeniu. Grup studenckich było kilkanaście i każda miała opracować jeden „numer” programu. Ponieważ w lipcu tegoż roku otrzymaliśmy w testamencie Pałac Kultury i Nauki imienia Józefa Wissarionowicza wyrecytowaliśmy okolicznościowy wiersz Jana Brzechwy poświęcony temu darowi:

*Będzie piął się wysoko, do góry,
Tam gdzie ptaki, obłoki i chmury
Dar przyjaźni, nasz Pałac Kultury
W sercu Polski widoczny z daleka,
Będzie tkwił w nas, jak wiara w człowieka
Będzie w nas, tak jak miłość do dziecka,
Będzie w nas, tak jak przyjaźń radziecka!*

W rzeczywistości „dar przyjaźni” był zwany powszechnie przez Warszawiaków „*dworcem kolei warszawsko – wiedeńskiej w stanie erekcji*”. Powiedzenie brało się stąd, że nieomal w tym samym miejscu, na skrzyżowaniu Marszałkowskiej i Alej Jerozolimskich znajdował się kiedyś XIX-wieczny dworzec tej kolei. Inni mówili o pałacu, że jest to „*koszmarny sen cukiernika*”, uwzględniając jego pseudorenesansowe zwieńczenia. Na powszechnie zadawne pytanie dlaczego pałac ma tak długą iglicę odpowiadano, że po to, aby nie można powiedzieć, że się ma go w d.....

Coś się jednak zaczęło w atmosferze politycznej kraju zmieniać. Były to lekko ciepłe promyki, ale były. Między innymi na uczelni pojawili się koledzy, którzy ostatnie kilka lat spędzili w więzieniach bezpieki. Do naszej grupy trafił jeden spośród nich Janusz Oskierka – Jeznacki, późniejszy dokonały radiolog, przedwcześnie zmarły. Wracali też na studia inni koledzy jak na

przykład Witek Sikorski czy Staszek Januszko, także „zaplute karty reakcji „, odbywające swoiste „rekolekcje „, w kazamatach Władzy Ludowej. Janusz mówił o swych przeżyciach mało, ale od niego dowiedzieliśmy się, że siedział w celi śmierci obok pułkownika Stanisława Skalskiego, asa lotnictwa polskiego w bitwie o Wielką Brytanię roku 1940. W połowie roku 1956 wyszedł także z więzienia mój Stryj Stanisław Janczewski. Odsiedział dziesięć lat kolejno we Wronkach i następnie w Rawiczu. Najgorsze wspomnienia, a wspominał niezwykle rzadko i z wyraźnym uczuciem strachu, dotyczyły więźnia arystokraty o znanym nazwisku, aresztowanego w słynnej sprawie sądowej toczącej się tuż po zakończeniu wojny, który był znenawidzonym przez współwięźniów kapusiem.

Natomiast za rok, październik 1956 roku zaczął się burzliwie i napięcie narastało. Działo się coś w polityce i nastroje robiły się gorące. W tych dniach wydawało się, że nagle w partii „*przewodniczce narodu* „, coś się przełamało i sprawy idą ku lepszemu czyli ku większej wolności, większej niezależności od ruskich. Coraz śmielej śpiewano głośno i publicznie złośliwą pioszeczkę:

*Skowronek rozpoczął nam dzień
I słowik wyśpiewał swe trele,
Jak piękny, jak piękny jest świat
Ze Związkiem Radzieckim na czele !*

W trzecim tygodniu października wielkie zakłady pracy w Warszawie z załogą Fabryki Samochodów Osobowych na Żeraniu na czele otwarcie występowały z postulatami daleko idących zmian w Polsce. Nadchodziły wieści o tym, że robotnikom tych zakładów wydawano broń, że wojska Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego są przesuwane na granice miasta dla dania odporu posuwającym się na Warszawę oddziałom radzieckim. 19 października wydano komunikat o wylądowaniu w Warszawie delegacji radzieckich władz z Nikitą Chruszczowem na czele. Opowiadano jak powołany właśnie na stanowisko I Sekretarza P.Z.P.R. Władysław Gomółka bronił polskiej racji stanu. Zdarzył się kolejny paradoks polskiej historii. Gomółka ortodoksyjny do końca swego życia komunista stał się bohaterem ze względu na znaną osobistą katastrofę wykluczenia z partii za tak zwane „*odchylenie prawicowo – nacjonalistyczne* „, określane także w partyjnej propagandzie jako „*gomulkowszczyzna* „. Wszystkie środowiska w były doprowadzone do stanu wrzenia tym co wydarzyło się w ostatnich 10 latach i zdecydowały się wybrać raczej Gomółkę niż człowieka bierutopodobnego. Były też działania socjotechniczne grona towarzyszy, którzy nie chcieli iść na dno. Piłsudski swego czasu mówił mądrze: „*Nastrój znaczy u nich (u Polaków – G.J.) więcej niż rozumowanie i argumenty. Sztuka rządzenia Polakami polega zatem na rozniecaniu odpowiednich nastrojów* „. Na Politechnice Warszawskiej obradował nieustanny wiec, gdzie wysuwano wciąż nowe, coraz bardziej radykalne żądania polityczne. A ja właśnie w tym czasie z

„*jęczmień* „, ropień powieki zamykający mi jedno oko. Byłem pół ślepy i szlak mnie trafiał, że oto widzę historię tylko jednym okiem czyli nie stereoskopowo. W tym stanie znalazłem się 24 października na Placu Defilad na słynnym wiecu otoczony 400 -tysięcznym tłumem, nie tylko warszawiaków. Tłok był równie potężny jak entuzjazm zebranych. Stałem na skrzyżowaniu Alej Jeruzolimskich i Marszałkowskiej. Mało widziałem z tego co działo się na głównej scenie, ale nagłośnienie było doskonałe. Przemówienie Gomółki wywołało entuzjazm. Niedaleko mnie ekipa radziecka kręciła film dokumentujący zdarzenie. Nie sądzę, aby wzbudzał ten film entuzjazm na Kremlu. W tle tych wydarzeń polskich mieliśmy agresję radziecką na Węgry. Doświadczenia Powstania Warszawskiego i Radio Wolna Europa hamowały entuzjazm i chęć do walki zbrojnej następnej generacji młodzieży. Zdawaliśmy sobie sprawę, że nie mamy najmniejszych szans i że nasi „*zachodni przyjaciele i obrońcy wolności* „, jeszcze raz będą bezczynnie, aczkolwiek „*z ubolewaniem* „, przyglądać się burzeniu tego co świeżo odbudowaliśmy. Kulturę Krasnej Armii poznaliśmy w czasie jej przemarszu przez ziemie polskie w roku 1945, przemarszu naznaczonego rabunkiem, paleniem, gwałtami. Nasza pomoc dla „*bratanków* „, ograniczała się do masowego oddawania Węgom krwi. Krążyło po tych wydarzeniach powiedzenie, że „*Rosjanie zachowali się jak Rosjanie, Polacy jak Anglicy, zaś Anglicy i Amerykanie jak świnie ! Po raz kolejny zresztą !* „. Przez około dwa tygodnie byliśmy dość dokładnie informowani o tym co się dzieje w Budapeszcie

przez polską prasę i gazety, którym na chwilę zdjęto kaganiec cenzury. Ukazały się także reportaże z Budapesztu Wiktora Woroszyńskiego, którego jeszcze niedawno znaliśmy jako „*pryszczatego, polskiego komsomolca, sławiącego Wodza Ludzkości* „. Człowiek nie krowa, zmienia poglądy – jak mawia stare przysłowie. Takich przemian, zwrotów o 180 ° było więcej. Co ciekawe neofici rekrutowali się w znacznej części z dzieci starej kadry stalinowskich dzierzymordów. W wydanej kilkadziesiąt później książce Stanisław Stomma pisał: „*Zwołano „pospolite ruszenie* „, w obronie suwerenności. Podstawowe reformy i zwiększona suwerenność usiłowano osłonić politycznie. Gomułka zwracał się do nas, bo jego doradcy uznali, że my myślimy realistycznie, rozumiemy tragiczną sytuację kraju, natomiast w okresie stalinowskim wykazaliśmy hardość (mowa o odmowie Redakcji Tygodnika Powszechnego zamieszczenia panegiryku po śmierci Stalina – G.J.). W październiku 1956 rysowała się możliwość zwiększenia suwerenności i demokratycznej odnowy. Czyż moglibyśmy być obojętni? Żadnych gwarancji nie było, bo zresztą kto i co mógłby gwarantować? Znaleźliśmy się w kręgu groźnego kryzysu, było ryzyko i była nadzieja. Czy można było się uchylić? „. Mimo braku jakichkolwiek gwarancji w rezultacie „*Polskiego Października* „, powstało Koło Poselskie ZNAK w Sejmie, pozwolono na działanie pięciu Klubów Inteligencji Katolickiej, umożliwiono także wydawanie „*Tygodnika Powszechnego* „, znów pod redakcją Jerzego Turowicza.

To zachłyśnięcie się perspektywą swobody trwało dość krótko i wkrótce „*bijące serce partii*” czyli przeznaczone do tego specjalne oddziały Milicji Obywatelskiej uspokoiły pałkami rozgorączkowanych. Zwłaszcza po zamieszkach studenckich spowodowanych zlikwidowaniem „rewizjonistycznego „ tygodnika studenckiego „, Po Prostu „, milicja użyła pałek. W warszawskiej anegdocie opowiadano jak pijany facet idąc ulicami stolicy widząc awanturę w piaskownicy przedszkola wołał: „*Co jest, dzieciaki? „Świerszczyka wam zamkli ???* „. „Świerszczyk” był w tym czasie popularnym tygodnikiem czy miesięcznikiem dla dzieci w wieku przedszkolnym. Już kilka miesięcy po tym odpowiadano w Polsce na pytanie: „*Co najbardziej zmieniło się w Polsce po Październiku 1956 roku?* „-„*GOMÓŁKA* „. Rewolucja węgierska skończyła zduszona czołgami niezwyciężonej Armii Czerwonej, zaś Imre Nagy, premier rządu został w tajnym procesie skazany na śmierć i rozstrzelany. Chruszczow okazał się jednak o wiele głępszym politykiem niż jego poprzednik na tronie carów – Aleksander I, który w roku 1813 wydał specjalne instrukcje wywiadowi rosyjskiemu, aby za wszelką cenę starał się namówić Księcia Józefa Poniatowskiego do współpracy w ramach Królestwa Polskiego i nie opuszczania Krakowa w ślad za Napoleonem. Ten mądry władca mówił: „*Zróbcie wszystko aby On nie wyszedł, bo za nim podążą duchy !!!*”. Nagy’ a rozstrzelano, ale jego duch przetrwał w sercach wolnych Węgrów.

Wracaliśmy do rzeczywistości, taką jaką ona była, a więc na studia. Studiowaliśmy tym czasie w systemie pięcioletnim z koniecznością odrobienia rocznego stażu przeddyplomowego w roku szóstym tzn do końca roku 1958..

Były to jednak czasy, w których „*produkcja* „ literatury była zjawiskiem budzącym szacunek. Podobnie gazety codzienne dawały czytelnikowi książki wydawane co prawda na gazetowym papierze, ale dostarczane do domu, praktycznie rzecz biorąc za darmo. Jeżeli nawet weźmie się pod uwagę, że nieomal połowa tej „*produkcji* „ wydawniczej była radzieckimi arcydziełami typu „*Młoda Gwardia* „, czy „*Kawaler Złotej Gwiazdy* „, to pozostała część edycji uzupełniała to co wojna zniszczyła z powieści stanowiącej kanon literatury polskiej: Kraszewskiego, Sienkiewicza, Prusa, Żeromskiego i innych klasyków. Co więcej wprowadzała je pod strzechy. Dla zachowania „*poprawności politycznej społeczeństwa* „, dzień i noc pracowali chłopcy z Urzędu Kontroli Prasy i Widowisk, których ostrożność w wydawaniu zezwoleń na druk słowa pisanego była co najmniej równa ostrożności cenzorów carskich.

Zakłady pracy były zobligowane do prowadzenia załóg robotniczych do kin, teatrów czy opery. Zachowanie tej niewyrobionej publiczności było różne i nie zawsze nienaganne. Był czas kiedy bezdomna Opera Warszawska dawała przedstawienia w Hali Gwardii. Wystawiali „*Straszny Dwór* „, i śpiewał zespół najlepszych wówczas śpiewaków polskich. Kiedy Bogdan Paprocki śpiewał arię z kurantem, z samego końca ogromnej hali, o bardzo złej akustyce, jakiś bywały w

salonach sztuki meloman wrzasnął: „*Szefie, głośniej!* „ Ale był w operze zapewne po raz pierwszy w życiu i poczuwając się kulturalnym pragnął w pełni wykorzystać sztukę.

Wiosną roku 1957 Ojciec przeszedł operację usunięcia migdałków podniebiennych. Operował dr. med. Kazimierz Królikiewicz, Lwowiak przepasażowany w czasie wojny wraz z prof. Antonim Dobrzyńskim do okupowanej Warszawy. Kiedy po wojnie otwierano Oddział Laryngologii w Szpitalu Wolskim (w murach dawnego Szpitala Starozakonnych na Czystem) został tam ordynatorem. Był doświadczonym specjalistą i zręcznym operatorem. Wielka dobroć i serdeczność więziona była w potężnej postaci obdarzonej do tego tubalnym głosem. W jakiś sposób fizycznie przypominał słynnego przed wojną Franza Fiszera bez brody. Odwiedzałem Ojca w okresie pooperacyjnym i któregoś dnia opowiedział mi szeptem historię nowego pacjenta przyjętego w ramach ostrego dyżuru. Facet był przywieziony przez liczne grono rodzinne wprost z wesela, gdzie się nie jadło tylko żarło, i nie piło, ale wręcz zalewało robaka. Wzięty na blok operacyjny dla usunięcia kości jaka utkwiała mu w przełyku bardzo długo nie wracał na salę chorych, zaś po powrocie był zmęczony i zasnął. O swych przeżyciach z *lapiduchamy* opowiedział dnia następnego.

„*Ta dziewczucha co była dyżurna (chodziło o lekarkę pełniącą dyżur – przyp mój) jakoś tak dziwnie do mnie mówiła: Pan będzie łaskaw otworzyć usta! Pan będzie uprzejmy się nie kręcić! Proszę o chwilę cierpliwości! I przy tem pchała mi do gardła jakąś rurę jak armata, co mnie uwierało. Trwało to wszystko długo, bo ja sobie te rure wyjmałem. Byłem zły i zmęczony, ona półprzytomna. Wreszcie dała spokój i zadzwoniła do Pana Ordynatora. Przyjechał chociaż noc. Chłop jak hetman! Obejrzał rentgeny i krótko powiedział: Kładź się Pan na tem stole! I znowóż mi pchał te rure i ja się nie dawałem. To on wrzasnął na mnie: Leż ty skurwysynu, albo pojedziesz na Bródno do grobu rodzinnego! To ja wreszcie zrozumiałem, że to nie żarty i leżałem już spokojnie. To ona, ta dziewczyna, nie mogła ze mną od razu tak po ludzku porozmawiać?*

I widzisz synku, stąd płynie nauka. Nie należy być chamem, ale do każdego trzeba trafić językiem, który on rozumie, pojęciami, którymi się posługuje na co dzień. Naród Polski to nie Emanuel Kant, subtelnością nikt go jeszcze nie wzruszył!!”

W dalszych wielu latach bywało, że doświadczenie to było mi lekcją postępowania w wielu przypadkach moich ostrych i nie tylko ostrych dyżurów lekarskich. Oczywiście bez przesady.

W początku lat 1970 – tych profesor Szymański, już jako „*profesor przy katedrze*” opowiedział mi następującą historię z życia jego przyjaciela i byłego współpracownika dr. Kazimierza Królikiewicza. Otóż w na początku lat 1950-tych Królikiewicz miał wątpliwe szczęście zostać wezwany na konsultację do chorego na anginę Bolesława Bieruta. Trzeba wiedzieć, że nieudana lub przedłużająca się kuracja „ojca narodu „ mogła się w tych latach skończyć oskarżeniem doktora o kontrewolucję. Pacjent zdrowiał, ale pewnej nocy, w jej środku, do drzwi Dr. Królikiewicza zapukali agenci bezpieczeństwa. Żona lekarza miała już przygotowaną ciepłą bieliznę „ na wszelki wypadek „, ale los tym razem był łaskawym. Bierut okazał się bowiem ludzkim człowiekiem, który z wdzięczności za skuteczną pomoc lekarską przez ubowców przesłał ogromne pudło delikatesowe. A że doktor był przestraszony, to wina czasów a nie darczyńcy.

Wraz zakończeniem sesji wiosenno-letniej roku 1956/1957 po zakończeniu zajęć studenckich piątego roku studiów urządziliśmy „*absolwentówkę* „. W Hotelu Bristol odbyło się wielkie przyjęcie dla nas absolwentów. Finansowali to głównie nasi rodzice i nasze rodziny, niezbyt zamożni w tych czasach. Cała impreza odbywała się jednak na zasadzie: „*zastaw się a postaw się* „. Nie co roku jednak kończy się studia lekarskie po sześciu latach kamieniołomów. Brali w tym udział nieomal wszyscy, koleżanki i koledzy nader elegancko jak na te czasy ubrani. Elżbieta kupiła na ciuchach przy ulicy Stalowej amerykańską seledynową kreację z materiału przypominającego firankę, co nie oznacza, że występowała jako nimfa. Głowę miała ozdobioną egzotycznym kapeluszem wykonanym z tego samego materiału. Przy naszych stoliku siedziały cztery pary: Andrzej Zbrodowski z Krystyną Misiak, Bogdan Bzowski z Bożeną Hajdrych, Jarek Tubielewicz z Ewą Sękowska oraz my z Elżbietą. Były to w latach następnych cztery małżeństwa, z których dwa się rozpadły. W pierwszej fazie kolacji do każdego stołu dosiadali się nasi profesorowie. Przy naszym mieliśmy zaszczyt gościć profesora Adama Czyżewicza, jednego z twórców współczesnego

położnictwa polskiego. Był to w tym czasie mąż leciwy, który opowiadał masę dykteryjek ze swych lat studenckich i wieloletniej praktyki lekarskiej. Jak każdy wracał do swych ulubionych tematów i jednym z głównych było pytanie: „*Dlaczego każdy lekarz powinien nosić kalessony z troczkami ?* ...”. Jedyłą prawidłową odpowiedzią było: „*Bo w przypadku odbierania porodu w warunkach niespodziewanych, na przykład w tramwaju, urywamy troczek od gaci i podwiązujemy nim pępowinę !* ...”. Miał jedną zasadniczą wadę – nie pił alkoholu i pić nie pozwalał. Zapas wody trzymaliśmy dyskretnie u podnóża dużej palmy rosnącej w donicy obok naszego stolika i z wielką ulgą tuż po dwunastej zdołaliśmy namówić starszego pana, aby poszedł spać. Po jego odejściu z wydarzeń balu pamiętamy mniej niż mało.

Do końca roku 1957 mieliśmy do zdania około dziesięciu egzaminów dyplomowych, głównie z przedmiotów klinicznych. Najwięcej strachu budziła w nas medycyna sądowa. Szefem był słynny od czasów przedwojennych prof. Wiktor Grzywo – Dąbrowski. Była to postać o nikłej posturze i niepozornym, dość przykrym wyglądzie. Chodził zawsze w granatowym fartuchu, jak woźny i stąd wielokrotnie rodziny oczekujących na ekspertyzy sądowe lub sekcje usiłowały mu wciskać pieniądze jako pomocy technicznej, która ma przyspieszyć czas wydawania zwłok. W zakładzie zwanym powszechnie „sądówką” smród był porażający wobec braku chłodni do przechowywania zwłok. Grozy dopełniały liczne fotografie rozwieszane na ścianach klatki schodowej ukazujące makabryczne obrazy denatów uduszonych, powieszonych, pokrojonych i tak dalej. Był to słowem przedsiónek piekła. Egzamin ten zdawaliśmy jako ostatni, w terminie bliskim Świętom Bożego Narodzenia i korzystny jego wynik traktowaliśmy jako najlepszy podarunek pod choinkę roku 1957.

Przełom lat 1957 – 1958 przyniósł w moim życiu i życiu naszej rodziny zmiany zasadnicze. Jesienią 1957 roku mój Ojciec wyjechał do Paryża aby w tamtejszym Liceum Polskim podjąć nauczanie języka polskiego. Było to w owych czasach wydarzenie tak ważne jak i nieprawdopodobne bowiem mój Ojciec nie należał do partii. Po dojściu Gomółki do władzy okazało się, że w założonym przez Wielką Emigrację dziewiętnastego wieku słynnym i zasłużonym Liceum Polskim w Paryżu przy ulicy Lamande 15 po zakończeniu II wojny światowej towarzysze w Biura Politycznego Partii reprezentujący „ *rządzącą mniejszość narodową* „, utworzyli ośrodek, w którym ocalałe z Holocaustu dzieci były dokarmiane przed przetruceniem do Palestyny. Jak wiadomo kierownictwo partii dzieliło się nieomal od początku na dwie nieustannie zwalczające się grupy: *chamów i żydów*. „*Koalicja talmudystów i pastuchów*”, jak ją określał Leopold Tyrmand, która po zakończeniu wojny spłynęła do nas wraz z Armią Czerwoną zaczęła brać się za łby w walce o władzę. „*Chamy* „, dęły od czasu do czasu w trąbkę narodową i wtedy właśnie zdarzyła im się sposobność pokazania jak wielkimi polskimi patriotami są. Istotę problemu znakomicie ujął tenże Leopold Tyrmand pisząc: „*Wiek XX określili, wytyczyli i wypełnili sobą Marks, Freud i Einstein – wszyscy trzej niemieccy Żydzi, głęboko wrośnięci w niemieckość. Wynika z tego, że styk żydowskości z niemieckością jakoś wyznaczył w tym stuleciu losy świata. Polacy nie lubią Żydów i nienawidzą Niemców, z którymi toczą tysiącletnią wojnę. I jak tu mają czuć się dobrze w tym stuleciu ?* ...”.

Bogiem a prawdą, z tym polskim antysemityzmem jest podobnie jak z wiarą – na dobre nikt nie wie w czym rzecz. Przeciętny Kowalski, nawet niewierzący, zapytany czy lubi Żydów odpowiada, że nie lubi „*bo ukrzyżowali Pana Jezusa* ...”. Ale zapytany czy lubi Arabów mówi to samo: „*nie lubię !* ...”. Pytany dlaczego odpowiada: „*Bo porwali Stasia i Nel !!!*”. A tak na dobrą sprawę, czy sami Polacy lubią się nawzajem ?

Wysłana do Paryża ekipa pedagogów była złożona głównie z nauczycieli mających doświadczenie w nauczaniu dzieci emigracji polskiej. Jeżeli przypomnę, że moi Rodzice poznali się jako młodzi nauczyciele w szkole dla dzieci polskich górników w osadzie Winterslag w Belgii w początku lat 1930 – tych logiczne stawało się wykorzystanie ich doświadczenia w Liceum Batignolskim. To znaczy dzisiaj wydaje się to logiczne, wówczas tego rodzaju argumenty miały o wiele mniejsze znaczenie lub nie miały wcale, stąd podjęcie decyzji nie było łatwe. Decydującym był w tej sytuacji głos mojej Mamy, która zażądała wręcz od Ojca, aby dłużej nie zastanawiał się

nad podjęciem decyzji wyjazdu widząc w tym wydarzeniu wielką szansę na wyjście z powojennej nędzy.

Na czele tej grupy stał doktor Stanisław Dobosiewicz, były wieloletni więzień hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Nie był to człowiek łatwy, ale obdarzony niewątpliwą mądrością życiową i stanowczością. Umocowany w układach partyjnych był idealnym człowiekiem do wykonania swej ważnej misji. Do grona „krajowców” dołączyli nauczyciele osiadli w Paryżu od czasów przedwojennych, ale także z emigracji wojennej, na przykład zmobilizowani do Armii Generała Sikorskiego w roku 1940. Uczniami byli młodzi ludzie pochodzenia polskiego mieszkający na terenie Francji, ale także i innych krajów europejskich, a nawet Stanów Zjednoczonych. Zespół ten żył się ze sobą i dość zgodnie pracował w latach 1957 – 1963 to znaczy do chwili podjęcia idiotycznej decyzji o likwidacji placówki, na której utrzymanie Polska „nie miała pieniędzy”. Należy przy tym uświadomić sobie, że Napoleon III dekretem z dnia 8 kwietnia 1869 roku przyznał jej status instytucji użyteczności publicznej (*L' Ecole Polonaise des Batignolles est reconnue comme etablissement d' utilite publique*), co umożliwiło jej maturzystom studia w wyższych szkołach francuskich. Szkoła cieszyła się doskonałą opinią ze względu na swój poziom. Mogła być znakomitym miejscem przygotowywania młodych kadr polskiej służby dyplomatycznej i handlu zagranicznego świetnie znających języki obce. Być może to właśnie niepokoiło ówczesne władze P.R.L. – u.W budynku Liceum utworzono następnie Ośrodek Stypendystów Polskiej Akademii Nauk. Temu służy do dzisiaj i oby jak najdłużej. Są jednak głosy, że po roku 1989 wielu apeluje do władz Polski Niepodległej o oddanie gmachu szkoły na użytek odnowionego Liceum Polskiego. Odpowiadało by to potrzebom edukacyjnym polskiej diaspory regionu paryskiego, a ta się rozrasta wraz z wejściem do Unii Europejskiej. Są też wnioski o nadanie Szkole Polskiej na Lamande statusu pomnika dziedzictwa narodowego.

Wysiadając na stacji metra ROME wychodzimy na Bulwar Batignolles i klucząc krętymi, wąskimi uliczkami dochodzi się do krótkiej, maleńkiej uliczki Lamande. Tu – olśnienie. Rzeźbiona, żelazna brama z godłem Polski, kamienne podwórze z dwoma rozłożystymi drzewami zamknięte trzema skrzydłami uroczego pałacyku. Na środku podwórca pomnik doktora Seweryna Gałęzowskiego, lekarza i sponsora Liceum i napis: „*Młodzież polska wychowana na obczyźnie swemu dobroczyńcy*”. Twórcą pomnika był Cyprian Godebski. Na czerwonej cegle muru środkowego domu popiersia Kołłątaja i Czackiego oraz medalion Mickiewicza i Marii Skłodowskiej – Curie. Szkoła założona przez Wielką Emigrację XIX wieku Mickiewicza, Goszczyńskiego, Lelewela, Chopina, Kraszewskiego, generała Józefa Dwernickiego, Bogdana Zalewskiego, Ludwika Mierosławskiego czy hrabiego Ksawerego Branickiego, a następnie wspierana finansowo przez Paderewskiego i Sienkiewicza, pierwotnie pracowała przy Bulwarze Batignolles 56. Grono pedagogiczne składało się z wybitnych pedagogów i naukowców zarówno polskich jak i francuskich. Okolica była skupiskiem polskiej emigracji i zwano ją z tego powodu *La Petite Pologne*. Na ulicę Lamande przeniesiono ją dopiero w roku 1874 po wojnie francusko – pruskiej. Uczniami tej szkoły byli między innymi Edward Pomian – Pożarski, profesor Sorbony, szanowany we Francji mistrz sztuki kulinarnej, słynny fizjolog Babiński, rzeźbiarz Cyprian Godebski, trzech synowie Mickiewicza i syn Ludwika Waryńskiego. Na podwórzu szkolnym wmurowano tablice upamiętniające profesorów i uczniów poległych w wojnach 1863, 1871, 1914 – 1918, 1939 – 1945. Całość nasycona duchem polskości i czasów przeszłych jest niezaprzeczalnym pomnikiem polskiego dziedzictwa narodowego. Stąd niedaleko jest droga poprzez Bulwar de Courcelles do cudownego Parku Monceau z marmurowym pomnikiem Chopina siedzącego przy fortepianie, zaś w drugą stronę poprzez Bulwar de Batignolles do Placów Clichy, Blanche i Pigalle i dalej bulwarami Barbes Rochechouart i de la Chapelle w kierunku Porte de Clignancourt ze słynnym Pchlim Targiem. Dzisiaj ta dzielnica stała się skupiskiem Arabów i czarnoskórych mieszkańców byłych kolonii francuskich, dzielnicą wręcz niebezpieczną tak dla stałych nielicznych już białych mieszkańców jak i turystów.

Rodzice mieli małe mieszkanie na mansardzie z oknami wychodzącymi na dziedziniec szkoły. Było przytulnie i bardzo parysko.

Po wyjeździe Ojca do Paryża Mama została z nami na kilka miesięcy ponieważ szykowałem się do ślubu. Wybranką mego serca była koleżanka ze studiów Elżbieta Domańska. Absolwentka liceum im. Marii Skłodowskiej – Curie uzyskała maturę z dyplomem „Przodownika Nauki”, co umożliwiło wstęp na studia bez egzaminu stypnego. Studia przeszła jak burza uzyskując same stopnie bardzo dobre i celujące, co nie decydowało w żadnej mierze o skali moich uczuć do tego geniusza. Miała młodszą o dwa lata siostrę – Wiesię, studentkę polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Obie były wychowywane przez Ciotki Amelię i Zofię, siostry Ojca. Mama zmarła w roku 1937 po urodzeniu Wiesi. Ich Ojciec został zamordowany w dniu wejścia Amerykanów do obozu w Buchenwaldzie, gdzie przebywał wzięty jako jeńiec-powstaniec ze Starówki w czasie Powstania Warszawskiego. Czas okupacji przeżył pod przybranym nazwiskiem Stanisław Kochański prowadząc na Pradze handel roletami zaciemniającymi okna domów, butelkami i złomem. Znaczna część zarobków szła na działalność konspiracyjną. Był intensywnie poszukiwany przez Gestapo. Przed wojną była to dobrze sytuowana rodzina będąca współwłaścicielami Robotniczej Huty Szkła w Wyszku nad Bugiem. Teraz obie Ciotki borykały się z wszelkimi trudnościami jakie przyniosły koleje losu. Elżbieta otrzymała tak zwany „czerwony dyplom”, co było świadectwem jej świetnych wyników uzyskiwanych w czasie studiów, jednak w tych czasach nie upoważniało do żadnych przywilejów, na przykład wyboru miejsca pracy. Moi Rodzice, a zwłaszcza mój Ojciec byli zachwyceni moim wyborem i do końca swych dni obdarzali Synową szacunkiem i miłością traktując Ją jak własną ukochaną Córkę, której im tak brakowało. Ojciec Elżbiety doczekał się w 60 rocznicę swej śmierci pamiątkowej tablicy w Kościele pod wezwaniem Świętego Idziego w Wyszku. Obok tego kościoła właśnie rozgrywały się sceny upamiętnione przez Stefana Żeromskiego w noweli „Na plebanii w Wyszku”, opisującej grupę renegatów z wojny polsko-bolszewickiej Dzierżyńskiego, Marchlewskiego i Kohna przewidzianych przez Lenina jako „rząd robotniczo-włościańskiej Republiki Polskiej”.

W dniu 16 grudnia 1957 braliśmy ślub cywilny w obskurnych pomieszczeniach Urzędu Stanu Cywilnego w Warszawie Praga Północ. Cywilnym „biskupem” był urzędnik o malowniczym nazwisku Basior. Ceremonia była bardzo krótka i bardzo siermiężna. Kilka dni później odebraliśmy kartkę od Ojca:

„Kochani ! Pisze ten list 16 grudnia 1957 roku i cały czas jestem z Wami myślą i sercem, gdyż to dzień Waszego ślubu cywilnego. Żałuje, że nie jestem z Wami, że tylko wyobraźnią mogę uczestniczyć w tym ważnym dla Was urzędowym akcie. Nie mniej przeżywam to mocno i chciałbym przebić przestrzeń i mgłę aby Was wszystkich zobaczyć w takiej chwili. Ostatecznie ma się tylko jedno dziecko ! Po tym liryczno-refleksyjnym wstępie nie muszę Was zapewniać o moim przywiązaniu i moich życzliwych dla Młodych uczuciach. Niech Wam się wszystko w życiu dobrze dzieje i niech ten wstępny dzień Waszego wspólnego życia będzie i dla Was, i dla Matki, i dla mnie – początkiem naszej wspólnej radości z Waszych osiągnięć, sukcesów i szczęścia. Tę kartkę otrzymacie być może w Wigilię. Niech więc choć on połączy nas wszystkich w ten uroczysty dzień Bożego Narodzenia, w dzień radości i w dzień Święta tak rodzinnego i tak polskiego. Życzę Wam w tym dniu zdrowia, szczęścia, radości i pełnego zadowolenia z dnia codziennego, z naszego trudnego życia. Mamie życzę, aby prędko tu przyjechała i zostawiła Was na łasce pierwszych miłosnych miesięcy, a Wam wiele radości, wzajemnego uczucia i przyjaźni we wspólnym życiu. Tołu nie przejmuj się Nimi, gdyż Oni w tej chwili są tak sobą zajęci i tak szczęśliwi, że pomoc będzie im zapewne potrzebna dopiero po roku. Możesz więc śmiało ich zostawić.

Ślub braliśmy w mroźny dzień 4 stycznia 1958 roku w kościele pod wezwaniem Matki Boskiej Zwycięskiej na Kamionku. Kościół był wypełniony członkami naszych rodzin, znajomymi oraz wieloma kolegami ze studiów. Elżbieta wystąpiła we wspaniałej kreacji, której komplet przesłał Jej z Paryża Teść. Wszystko od majtek i pantofli po welon było paryskie i zwłaszcza w tych siermiężnych czasach oszałamiało. Koleżanki były pełne zazdrości. Wesele skromniutkie odbyło się w mieszkaniu Ciołek przy ulicy Bliskiej 21 i zgromadziło niewielkie grono rodzinne. Ojciec mój niestety uczestniczył w tym wszystkim jedynie duchem, pijąc w swym paryskim mieszkanku szampana na cześć młodej pary. Bardzo mi Go brakowało tego dnia. Mama kilka

tygodni po ślubie wyjechała do Paryża i my sami zamieszkaliśmy w mieszkaniu moich Rodziców przy ulicy Nieporęckiej 10.

W styczniu 1958 rozpoczęliśmy wspomniany już rok stażu przeddyplomowego.

Staż przeddyplomowy Oddział Pediatryczny zgodnie z kierunkiem odbywał w placówkach leczących dzieci. Między innymi w Sanatorium im. Feliksa Dzierżyńskiego w Otwocku. Wybór patrona był o tyle słuszny, że jak wskazuje historia był to facet, o którym mówiono w Polsce, że „*ogromnie kochał dzieci, ale nienawidził ich rodziców!*”. Istotnie więcej dzieci zrobił sierotami niż gruźlica, którą leczono w tym właśnie sanatorium. Od dworca kolejowego brnęło się po kostki w błocie rozmakającego wiosną śniegu. Przy bramie była budka strażnicza, w której urzędowała dzień cały Pani Personalna, koszmar na karlica z chondrodystrofią. Siedziała tam cały dzień, dokładnie i osobiście sprawdzając godziny wejścia i wyjścia wszystkich pracowników i lekarzy stażystów. W sanatorium widzieliśmy pokłosie wojny i polityki okupantów zmierzających do biologicznej zagłady narodu. Takiej gruźlicy współczesne pokolenia lekarzy ściana ta pokryta była serowatą masą z rozpadających się płuc dziecięcych. Koszmar. Ten staż przypłaciłem naciekiem gruźliczym dwa lata później.

Wiele umiejętności praktycznych i naukę rozmowy z rodzinami chorych dzieci dał mi staż w przychodni dziecięcej zlokalizowanej na Woli, tuż koło domu towarowego na rogu Młynarskiej i Trasy W- Z. Byłem z prawdziwym entuzjazmem przyjęty przez panią doktor rejonową, której zdjąłem z głowy wizyty domowe. Wszystkie wizyty domowe!. Bywałem w domach i mieszkaniach, których opisy znaleźć można w „Lalce „ Prusa opisującego spacer Wokulskiego po zakątkach Powiśla XIX wieku. Wyrazem uznania dla mojej kompetencji zawodowej było tradycyjne: „*No to, Doktoru, chluśniem! Za zdrowie małego!* „. W wielu przypadkach strach było odmawiać, bo zaproszenie było jednocześnie groźbą potraktowania odmowy jako afront. Słowem była to propozycja nie do odrzucenia tym bardziej, że perspektywa posiadania własnego samochodu nie jawiła się nawet w kolorowych snach. Do końca życia będę pamiętał mieszkanie, której dano mi do badania 3 – 4 letnią dziewczynkę. Mała była zasmarkana, ale zadbana i nazywała się, ni mniej ni więcej-Nonna Aida Szczypior. To fascynujące zestawienie imion i nazwiska skłoniło mnie do zapytania: „*Rozumiem Nonna, ale skąd ta Aida?* „. Odpowiedź była prosta: „*Bylim w Operze, bo mąż dostał bilety z zakładu pracy. Ta opera to była Aida. Bardzo się nam spodobała. Po tem występie poczęliśmy to dziecko i na pamiątkę jest Aida!*”. Cokolwiek by nie rzec o tamtych niełatwych czasach to jednak bezpłatne bilety rozdawane na lewo i prawo w środowiskach robotniczych wprowadzały je do sal teatralnych, operowych i kinowych. Najczęściej po raz pierwszy w ich pracowitym życiu. Przy innej wizycie u niedożywionego niemowlęcia matka Polka zapytana o to czy ma dość pokarmu odpowiedziała rezolutnie: „*Oh, Panie Doktorze, dziecko na pewno nie jest głodne. A i dla męża do kawy starcza!* „. Lud warszawski miał przy tym swoje powiedzenia, których Wiech by nie wymyślił. pewna matka zasmarkanego trzylatka jako główną jego dolegliwość na plan pierwszy wysuwa: „*Bo panie doktorze, jak on kaszle, to tak jakoś złośliwie!*”. W dłuższej rozmowie ustaliliśmy wreszcie, że chodzi o kaszel męczący, nawracający.

W okresie letnim spotkałem kolegę „ od Władka „ Jurka Pierożyńskiego, który odbywał staż w Klinice Chorób Wewnętrznych kierowanej przez znakomitego prof.dr. Dymitra Aleksandrowa. „*Wyobraź sobie mój szok, kiedy w raporcie składanym przez zespół lekarzy zdających dobowy dyżur usłyszałem, że przyjęto do Kliniki pacjenta Janusza Lubicz-Borowskiego z zawałem serca. Natychmiast po odprawie pobiegłem na salę chorych zawałowców. Lonio leżał bładny, z dusznością. Mimo złego stanu spojrział na mnie swoim byстрыm spojrzeniem i... uśmiechnął się. Wyrażnym głosem powiedział do mnie: A... to doktor Jerzy Pierożyński!!! I obaj wybuchliśmy płaczem. I wiesz, nie wstydzę się tego.*”

W lipcu tego roku cały miesiąc spędziłem na obozie wojskowym zorganizowanym przez Studium Wojskowe Akademii Medycznej w jednej z wielkich składnic sprzętu medycznego i środków farmaceutycznych Ludowego Wojska Polskiego. Była ona zlokalizowana w Celestynowie koło Otwocka. Obowiązkiem tego szkolenia byli objęci wszyscy studenci naszego kursu, których uznano za zdolnych do służby wojskowej. Pierwsze zetknięcie z realiami wojskowymi to

postrzyżyny u fryzjera, który skrócił nam fryzury do „jerzyka „ i poufnym szeptem oferował swe usługi w dostarczeniu wody i dziewczyn. Skutkami ostrzyżyn byliśmy zdruzgotani i niejeden z chłopców mówił do fryzjera:” *Panie, ale teraz wszy moje się przeziebią !*” Dowódcą naszej kompanii był podporucznik X, trzydziestokilkuletni albinos, osobnik o zacięciu sadysty. Ze względu na kolor jego uwłosienia zwaliśmy go przewrotnie „*Brunet* „. Jego „inteligencja „ sprowadzała się do tego, że kiedy pojawiała się jakaś trudność w zajęciach poligonowych stawał, drapał się po krótko przystrzyżonym skalpie albinosa i oznajmiał: „*A teraz, podchorążowie, musimy przeprowadzić pracę myślową !!!*”. Jego głównym pomocnikiem był plutonowy, kompletny kretyn i prostak pałający nienawiścią do „*zgniłej inteligencji, wrogiej klasowo* „. Nie było jeszcze w słowniku propagandy rządzących terminu „*łże elity* „ ani „*wykształciuchy* „. W jego stałym repertuarze zwracania się do stojącej w szyku kompanii był okrzyk: „*Co stoita kiejbymy szczol !* „. Otrzymał pseudonim „*Pisiaczek* „. Nikt z nas nie wiedział w jaki sposób byk to robi, ale facet dawał nam potężnie w kość. W upale lipcowym z pełnym obciążeniem, z plecakiem wypełnionym cegłami, manierką pełną wody, saperką i karabinem Mosina wędrowaliśmy co najmniej dziesięć kilometrów dziennie. Dla odmiany kopaliśmy w mazowieckich laskach – piaskach okopy. W czasie pierwszego kopania odsłoniliśmy z piasku wielkie drewniane skrzynie. Wezwaliśmy naszego Pisiaczka z pytaniem czy nie powinni tu wejść saperzy, ale otrzymaliśmy nakaz otwierania skrzyń „*na jego odpowiedzialność* „. Otwarcie skrzyń przyprawiło nas o zawrót głowy bowiem zawierały one wielkie ilości najdroższych leków zagranicznych, których próżno było szukać w aptekach naszych szpitali. Ci kretyni zamiast przekazać bliskie przeterminowane leki do szpitali, chociażby wojskowych, zakopywali je na polach wokół składnicy. Karmiono nas przy tym nieomal jak w łagrze. Głównym pożywieniem były śledzie wyjmowane rękami kucharzy wojskowych prostu z beczki i otrzepywane z bryłek soli o kant. Po takim śniadaniu szliśmy w gorący dzień na marsze w pole lub do kopania okopów. Co kilka dni, w ramach dyżuru w kuchni, kolejne drużyny odkomenderowano do obierania kartofli. To co trafiało do naszych rąk było zgniłe i odpady przed włożeniem do kotła sięgały co najmniej 50 %. Kartofle były dodatkiem do czegoś co miało być „*regenerującą wojsko wkładką mięsną* „, ale było gotowaną, zjełczałą słoniną. Intendent zarabiał w ten sposób lewe pieniądze kupując tanie odpadki. Tu po raz pierwszy w trudnych i wrednych warunkach służby wojskowej wyszły na światło dzienne wszystkie cechy charakteru naszych kolegów. Zwłaszcza tych charakterów ułomności. Nie wiem jak byśmy przeżyli ten miesiąc gdyby nie całkiem dobrze, na owe lata, zaopatrzona kantyna wojskowa, w której można było nabyć nawet deficytowe na mieście wędliny.

W tej ponurej i idiotycznej scenerii ratował nas humor studencki i wieczorne rozmowy dość typowe dla grona młodych mężczyzn „*o Maryni* „. Jednym z ulubionych tematów były opowiadania o Czapajewie, jednym z herosów bolszewickiej wojny domowej. Specjalistą od tych opowieści był Stefan Samosiej, późniejszy znakomity ortopeda.

„*Gdy zwyciężmy Pietka i gdy zapanuje komunizm – mawiał Czapajew do swego adiutanta – to zbudujemy wielkie konserwatorium. Na dachu tego konserwatorium postawimy karabin maszynowy Maxima, żeby nam tych konserw nie rozkradli !*”.

„*Pytają Czapajewa czy umie grać na fortepianie. Odpowiedź jest prosta: Umie, ale nie lubię, bo karty się ślizgają !*”

„*Czapajew siedzi w czas srogiej zimy w ziemiance i dyżurny melduje:*

Towarzyszu Dowódco na dworze taki mróz, że Gofsztrom pewnie zamarł !

Na co Czapajew: A mówiłem żeby Jewrejów nie stawiać zimą na warcie ! „

Innym razem „czerwonego dowódcę „ zapytał ordynans Wańka: „*Wasył Iwanowicz, zwyciężyliśmy, co będzie z nami za 20 lat ?* „. Czapajew zamyślił się i odpowiedział: „*No coż, za 20 lat będzie rok 1937* „. Być może, że dobrze, że nie dożył roku 1937, kiedy eksterminowano kadrę dowódczą Armii Czerwonej.

Innym naszym ulubieńcem był znany radziecki ogrodnik Miczurin, który – zapewne zgodnie z poziomem swojej wiedzy – miał udowodnić, że genetyka jest idiotyzmem wymyślonym przez imperializm. W gronie medyków mówiło się, że Miczurin najpierw krzyżował jabłko z

gruszką, potem pokrzywę ze słonecznikiem, aż wreszcie skrzyżował własne nogi, nie mógł się wysikać i zmarł, biedaczek.

Jeden z Kolegów, syn wsi polskiej, opowiadał jak to przy jakiejś tam okazji, a takich nie brakowało, miejscowy działacz Z.S.L. (Zjednoczone Stronnictwo Ludowe w czasach PRL-u) przemówił do ludu pracującego rodzinnej wsi:

„*Rewizjonistów zachodniemieckich nie boimy się i bać nie mamy zamiaru !. Gdyby co do czego doszło, to ich rozgromimy jak nawałę bolszewicką w roku 1920 – tym !*”. Tenże działacz opowiadając o swych działaniach w oddziale partyzanckim Batalionów Chłopskich z właściwą sobie głupotą wspominał: „*Niemcy strzelają. Śnieg po pas. A my żytem, a my żytem !!!*”.

Odpowiadano mu znanym powiedzonkiem: „*Nam nie trzeba Bundeswehry, nam wystarczy minus cztery !*”. (cztery stopnie mrozu !).

Inny nasz kolega, syn ziemi podlaskiej opowiadał o polowaniu na które miała zjechać partyjna wierchuszka. Przedwojenny leśniczy, spec od przygotowań polowań dla rządzących państwem, stary już człowiek pyta kto weźmie udział. Powiadają mu, że Gomułka, Cyrankiewicz, Spychalski, Kliszko, Moczar, Zawadzki i inni. Na co leśniczy: „*Ja nie pytam o nagonkę, ale kto będzie z TOWARZYSTWA ?*”.

Obserwacja wojska jakim ono się nam w tych tygodniach jawiło z całą swą brutalnością i idiotyzmem nasuwało w czasie wieczornych naszych dysput wnioski:

Trzeba żyć tak długo, aby przeżyć tych skurwysynów !”

Na wyrażaną słusznie wątpliwość: „*Jakże ich da się przeżyć skoro pogłowie skurwysynów i przeciętny wiek tychże stale w Polsce rośnie, bo i żyje im się lepiej niż ludziom porządnym*” dawano odpowiedź: „*Trzeba się starać żyć dłużej niż się żyło dotychczas !*”.

Opowiadano też o idiotach z innych studiów wojskowych warszawskich uczelni. Najucieszniej brzmiało opowiadanie tegoż Stefana Samosieja, który mając kontakty z Politechniką Warszawską opowiadał o ichniejszym Szefie Studium. Facet mierzył coś około 155 cm wzrostu, ale „*zeznawał*”: „*Miała nas Matka siedmiu synów, chłopów jak dęby !*”. Zapytany bezczelnie przez studenta czy z drzewa genealogicznego da się zrobić kolbę karabinu, odpowiedział bez namysłu: „*Jeśli drzewo jest odpowiednio twarde, to czemu nie !*”.

Tematy radzieckie były w obozowych warunkach szczególnie nośne i ktoś opowiedział historię o rosyjskiej genezie promieni X:

„*Ja ciebia, bliad', na skwoż wiżu !*” mawiał do swej żony kupiec z Saratowa. *Żona puszczała mu się nieco. Ten właśnie kupiec przeszedł do historii jako Rentgenow !*”.

albo:

„*W barze mlecznym woła po raz kolejny do czekających na gotowe dania kucharka wydająca potrawy: „ Ruskie (pierogi – przyp G.J.), ruskie, któren zamawiał ruskie ???*”.

Z sali: „ Nikt nie zamawiał ani nie prosił ! Same pszyśli !”.

Warto przypomnieć młodym ludziom, że w owych czasach opowiadanie podobnych kawałów „*naruszało bezpieczeństwo państwa i bratnie sojusze*”. Słonimski mawiał w tej sytuacji: „*Dowcip jest bronią. Nie należy jednak karać za nielegalne posiadanie dowcipów !*”.

W końcu miesiąca odbyły się egzaminy przed komisją, której – prawdę mówiąc – równie jak i nam zależało, aby wszyscy je zdali i zeszli im z oczu. Zdawało się cztery czy też pięć przedmiotów, zaś ocena końcowa wynikała z tak zwanej średniej wojskowej: jeśli dostałeś cztery piątki i jedną trójkę to wynik końcowy równał się dostatecznie. W wyniku zaliczenia egzaminów „*z wynikiem dobrym*” „*zostałem mianowany plutonowym podchorążym Ludowego Wojska Polskiego. Dopiero po tych egzaminach odbyła się uroczysta przysięga wojskowa ze sztandarem, defiladą oraz „ tradycyjnym obiadem żołnierskim*” „, czyli mówiąc językiem zrozumiałym – koszmarnym pijaństwem. Pułkownik przysłany z Warszawskiego Okręgu Wojskowego wygłaszał uroczyste i głośno przemówienie, które zakończył tradycyjnie: „*Ze Związkiem Radzieckim i niezwyciężoną Armią Czerwoną po wsze czasy !*” „, na co odpowiedział mu teatralny szept Ziutka Beka: „*I ani chwili dłużej !*” „. Wódka była zbierana troskliwie od kilku dni i było jej w nadmiarze. W tym dniu w sposób szczególny zasadzono się na Bruneta. Przyjęto taktykę, że pili z nim kolejni koledzy a conto „*zdrowia pana porucznika i naszego zdrowia !*”. Po godzinie facet był „*denatem*” „

nieprzytomnym, ciężko zatrutym alkoholem. Jego ciało wyciągnięto wspólnymi siłami na betonową drogę główną składnicy, przed tym dokładnie oblewając wyjściowy mundur „ przy orderach „ olejem z puszek konserw rybnych. Obtoczono faceta jak kotlet panierowany w błocie i piasku i tak pozostawiono na widoku publicznym. Nazajutrz zdrowiał, ale w dni następnie chodził i wypytywał nas kolejno z kim pił wódkę. Myśmy przytomnie się przysięgali, że pił w towarzystwie chłopaków z innych plutonów, bo przecież nas nie lubi. I na tym się szczęśliwie zakończyło.

W tym czasie wielu z nas było już młodymi żonkosiami i z okazji przysięgi nasze dziewczyny przyjechały nas pocieszyć. Ta grupa krócej brała udział w obiedzie i mniej piła wody i szybko rozproszyła się po okolicznych laskach i wydmach. Jak pisał bowiem Święty Paweł w „ Liście do Koryntian „: „ Lepiej jest bowiem być w małżeństwie niż płonąć !”. Tak więc na łonie natury gasiliśmy ten płomień.

Ostatni dzień szkolenia przyniósł nam także niespodziankę. Już zmieniliśmy mundury na własne cywilne ubrania kiedy okazało się, że gdzieś zawieruszył się kwatermistrz jednostki, który miał nam wypłacić żołd. Była to dla każdego z nas równowartość kosztu dwóch a może trzech paczek marnych papierosów, ale przed odebraniem i co ważniejsze pokwitowaniem tego bogactwa nie wolno nam było koszar opuścić. Zaczęło się zmierzchać, a naszego pupila nie było widać. Nad wieczorem ustalono, że pan sierżant przepił nasz żołd i odbierzemy swoje pieniądze w Rejonowej Komendzie Uzuppełnień w miejscu zamieszkania. I jak tu nie lubić wojska ?. Wychodząc z koszar chóralnie skandowaliśmy: „ Lepiej mieć stosunek z jeżem niż przez miesiąc być żołnierzem !, Lepiej mieć zaparty stolec niżli za Ojczyznę polec !”.

Teraz czekała nas walka o możliwości zdobycia prawa do pracy w Warszawie, gdzie nie tylko były nasze korzenie, ale – rzecz najważniejsza, zwłaszcza w owych czasach – mieszkanie. Stało przed nami zadanie niełatwe, ale poza tym trzeba było z czegoś dożyć do zdobycia pierwszej, nawet lichy opłacanej pracy.

Ojciec w liście z dnia 20 września 1958 roku:

„ Aby zamknąć dyskusje na ten temat raz na zawsze-umówiłem się z Wami, że będę Wam przysyłał pieniądze na życie w okresie kiedy jeszcze nie będziecie zawodowo ustabilizowani. Uzgodniliśmy przecież, że ja to mogę (!), a dla Was jest to pomocne aby nie być pod naciskiem przymusu ekonomicznego przy wyborze posady lub specjalności. Korzystajcie więc z moich pieniędzy tak jak uważacie i jak chcecie bez ciągłego wyrażania skrupułów, gdyż to mnie stawia w złym świetle wobec Matki, która nosi Was oboje w swojej troskliwej wyobraźni i popłakuje, że się morzycie, że głód, suchoty, anemia itd. „.

W listopadzie 1958 roku Elżbieta otrzymała z rąk ówczesnego dziekana Wydziału Lekarskiego prof.dr.med. Ireneusza Roszkowskiego tzw. „Czerwony Dyplom Lekarza „ przyznawany wybitnym absolwentom. W związku z tym Rodzice pisali listem z dnia 17 listopada 1958 roku:

„Z radością przyjęliśmy wiadomość o ukończeniu przez Ciebie studiów i otrzymania dyplomu z wyróżnieniem. Składamy Ci serdeczne gratulacje i życzymy z całego serca, aby wszystko teraz ułożyło się dla Ciebie jak najpomyślniej: zarówno rejestracja jak i ustalenie się w pracy. Życzymy Ci, Elżuniu, abyś w życiu zawsze trafiła na ludzi życzliwych, którzy potrafią Tobie, jako wyróżnionej w studiach, dopomóc w zdobywaniu dalszych kwalifikacji zawodowych i specjalistycznych. Niech ten nowy okres życia z dyplomem będzie dla Ciebie radosny i pełen powodzenia. Życzymy Ci radości, zapału i nieustępliwości w zawodzie, który sobie wybrałaś, a który dobrze wykonywany wymaga pełnej mocy serca, uczuć, umysłu i wiedzy. Życzymy Ci, aby wszyscy Twoi chorzy kochali Cię i aby byli szczęśliwi (nie dlatego, że chorują !), ale że Ty ich właśnie leczysz i żeby Mąż był z Ciebie dumny i z Tobą szczęśliwy. Mama i Tata. ”

W grudniu 1958 roku ja odbierałem swój dyplom lekarski i otrzymałem od Rodziców takie gratulacje:

„ Paryż dnia 20 grudnia 1958 roku. Kochany Synu ! Gratulujemy Ci z powodu ukończenia studiów i otrzymania dyplomu lekarza. Radość nasza jest wielka, że syn nasz jest już dojrzałym i wykształconym człowiekiem, jak również i z tego powodu, że jak wiemy zyskujesz sobie szacunek i zaufanie tych ludzi, którzy Twoją pracą kierują. Ściskamy Cię bardzo mocno i życzymy, aby Twój

wielki zapal i entuzjazm jaki czujesz w sobie pomogł Ci wytrwać w przewycięzaniu wszelkich trudności życiowych, aby pomogł Ci w dalszej wytrwalej pracy, która niech Ci daje duzo zadowolenia i radości. Życzymy Ci duzo szczęścia w tym nowym etapie życia. Mama i Ojciec. „

Kurs nasz nie był złym zespołem ludzi dążących do celu. Dowodem tego jest, że w wiele lat później profesorami z naszego grona studenckiego zostali: Bagdasarian Michał (biochemik), Boczkowski Krzysztof (genetyk-endokrynolog), Domańska – Janczewska Elżbieta (ginekologia i położnictwo), Dzieniszewski Jan (gastrologia), Gipsiak – Meszaros Jadwiga (farmakologia kliniczna), Grossman Jerzy (fizjologia pracy), Gryglewicz – Żupańska Barbara (hematologia), Gutowska Grażyna (pediatria), Jajszczak vel Jaszczak Stanisław (ginekologia i położnictwo), Janczarski Ireneusz (biochemia), Janczewski Grzegorz (otorynolaryngologia), Jasińska Olena (dermatologia), Kasperska – Czyżykowa Teresa (interna), Kęcik Tadeusz (okulistyka), Knapik – Fiałkowska Maria Danuta (otorynolaryngologia), Lao Mieczysław (nefrologia – transplantologia), Lenartowicz Piotr (fizjologia), Ligęziński Aleksander (otolaryngologia), Łopaciuk Stanisław (hematologia), Łosiowski Zbigniew (neurologia dziecięca), Marianowski Longin (ginekologia i położnictwo), Moskalewski Stanisław (embriologia i histologia), Nyczaj – Bagdasarian Mirosława (biochemia), Ostrowski Kazimierz (interna), Padzik – Guzkowa Joanna (nefrologia), Rowiński Wojciech (chirurgia transplantologiczna), Sawicki Wojciech (embriologia i histologia), Sendecki Witold (biochemia), Serafin Jan (ortopedia), Stopczyk Mariusz (kardiologia), Szostek Mieczysław (chirurgia naczyniowa), Wesołowski Jerzy (chirurgia naczyniowa), Widy – Kierska Krystyna (ginekolog), Wronkowski Zbigniew (onkologia), Zbrodowski Andrzej (anatomia prawidłowa).

OMEGA (1959-1961).

Po zakończeniu stażu rozpoczęliśmy starania o pracę. Były to czasy kiedy zgodę na uzyskanie prawa podjęcia pracy w Warszawie dawał osobiście sam pan minister zdrowia. Takie względy jak posiadanie mieszkania, propozycje zatrudnienia w stolicy nie grały żadnej roli. Ministrem był wówczas prof. Rajmund Barański, kierownik Kliniki Pediatrycznej A.M. przy ulicy Litewskiej. Miał zwyczaj dekretować te sprawy osobiście, wpisując swe decyzje czerwonym długopisem do akt petenta. Ów uczony pediatra wprowadził w ministerstwie godny podziwu zwyczaj: urzędnicy różnych szczebli mieli prawo używania kontrasygnowaniu dokumentów przy ich czytaniu i podejmowaniu decyzji ołówkiem o określonym kolorze. To że w ministerstwie było kolorow to nie znaczy, że było przyjaźnie, zwłaszcza dla absolwentów. Przechodziło się jednak z papierami przez wydział personalny Ministerstwa, gdzie królował niejaki pan Potocki. Na pewno był to, jak się wtedy mawiało, „pseudonim z czasów okupacji „, zaś facet wyraźnie przesadził z doborem nowego nazwiska. Przystojny młody mężczyzna o wybitnie semickich rysach ucieszył się podaniem Elżbiety o pracę w Warszawie i zadecydował, że: „*To świetnie, że jest Pani taka wybitna, bo właśnie polska wieś potrzebuje dobrych lekarzy !*”. Wkrótce po tym w małej salce Oddziału Stomatologii przy ulicy Filtrowej 30 odbywało się wręczanie dyplomów. Wręczający je Dziekan Wydziału Lekarskiego prof. Ireneusz Roszkowski gratulował pomyślnego zakończenia studiów i podkreślił, że będzie miał przyjemność wręczenia dyplomu z wyróżnieniem koleżance Elżbiecie Domańskiej – Janczewskiej przed którą stoi świetlana przyszłość. Zapytał Ją jak widzi dalszą swą przyszłość w medycynie. Kiedy dowiedział się, że alternatywą wyjazdu na wieś jest z trudem załatwiona praca w pogotowiu ratunkowym Centralnego Szpitala Klinicznego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych był zszokowany i natychmiast zaproponował Jej przystąpienie w czerwcu 1959 do egzaminu konkursowego na zwalnijący się w tym terminie etat asystenta II Kliniki Ginekologii i Położnictwa przy ulicy Karowej, którą to kliniką kierował. Etat miał być jednak aktualny od początku nowego roku akademickiego 1959 – 1960. Póki co, trzeba było z czegoś żyć.

Poprzez mojego kolegę z Liceum, Wiesia Gajkowskiego, owego „genialnego matematyka „, zatrudnionego w Stowarzyszeniu PAX i będącego w dobrych stosunkach z Wodzem czyli Bolesławem Piaseckim, zatrudniona została na etacie lekarza pogotowia w Centralnym Szpitalu Klinicznym M.S.W. przy ulicy Wołoskiej. Jej jazdy po domach rodzin milicyjnych i ubeckich wprawiały ją w nieustanny stress i tylko perspektywa niedalekiej w czasie zmiany tego miejsca

pracy była jej nadzieją. Siłą rzeczy dzieliliśmy się swymi frustracjami z Rodzicami. Były to, z perspektywy czasu, głupie pomysły, bowiem cóż oni mogli na to nam poradzić a poza wszystkim cenzura korespondencji pracowała pełną parą. Po jednym z listów Eli ojciec pisał:

„ Posłuchaj Eluniu starego wygi: w życiu jeśli nie można inaczej – a bardzo często nie można – trzeba nadawać sens, szukać sensu tego co musisz robić ! Mnie zawsze wtedy szukanie sensu tak pochłaniało, że zapomniałem o trudnościach, a znajdowałem inną ich stronę medalu, jakże często ciekawą, nieoczekiwanie pociągającą. Praca w pogotowiu jest ciężka, ale otrzaskasz się z szybkością i różnorodnością trudności. Ja zaczynałem swoją pracę w szkole dla młodzieży dla moralnie zaniedbanych i po roku, kiedy znalazłem się trudnych warunkach belgijskich, czułem się jak ryba ponownie wrzucona z piasku do wody „

Byliśmy tą sytuacją zestresowani, nawet przy pełnym rozumieniu „ *potrzeb wsi polskiej* „. Pisałem o tym do Ojca, który odpowiedział:

„ Prosiłbym Cię jednak o hamowanie temperamentu czy rozgoryczeń płynących z ukończenia studiów i trudności w znalezieniu pracy, wyrażania złych humorów i przeczuć, gdyż Twój list dostałem dzisiaj otwarty. Dla ewentualnej mądrej cenzury listów to jest młodzieńcza gorycz, ale to także może być gratką dla podstawienia mi nogi. Moja gorąca prośba: nie pisz niczego co można mnie lub Wam zrzucić na kark. Z drobnostki mogą zrobić widły. Ludzie nie wezmą Twego młodzieńczego rozgoryczenia, że po ukończeniu studiów medycznych jesteś w gorszej sytuacji niż analfabeta początkujący przy łopacie, ale nadadzą temu właśnie rozgoryczeniu gębę polityczną i dzięki temu upupią Ciebie lub mnie. Chyba rozumiesz, że nie przemawia tu przeze mnie mentor lecz przyjaciel. „

Przyrzeczenie zatrudnienia Elżbiety w Akademii Medycznej po wygraniu przez nią egzaminu konkursowego było dla mnie drugim, ważnym wydarzeniem związanym z wyborem żony ponieważ jako przygłup, ale małżonek geniusza, „*zalałem się* „ na uzyskanie prawa praktyki w stolicy. Od jesieni 1958, jeszcze przed otrzymaniem dyplomu nawiązałem kontakt ze Szpitalem Chirurgii Urazowej Dziecięcej „OMEGA „ pracującym przy Alejach jerozolimskich vis a vis Pałacu Kultury i Nauki. Byłem wolontariuszem, który jednak brał udział aktywnie w pracy Oddziału Chirurgii Ogólnej tego szpitala. Trafiłem tam dzięki protekcji pracującej z Ojcem pani D., kuzynki zamordowanego przez Urząd Bezpieczeństwa Jana Rodowicza, pseudonim „Anoda „, aktywnego uczestnika akcji Szarych Szeregów pod Arsenalem. Była ona od czasów okupacji zaprzyjaźniona z dr.med. Feliksem Kanabusem szefem Oddziału Chirurgii Ogólnej. Ten niewielkiego wzrostu, ale wielkiego serca i kultury człowiek miał opinię znakomitego chirurga dziecięcego. Na początku swej praktyki lekarskiej nie byłem w stanie zrozumieć na czym polega u Niego to co nazywano „*nosem chirurgicznym* „, bezbłędnie selekcyjnym przypadki wymagające hospitalizacji od tych, które po kilkugodzinnej obserwacji mogą iść do domu. Trzeba przy tym pamiętać, że nikt nie potrafi tak dyssymulować jak dziecko bojące się szpitala i rozłąki z mamą. Po kilkudziesięciu latach własnej pracy zorientowałem się, że ten „*nos* „ to nic innego jak suma doświadczeń zawodowych, z których wyciągnięto właściwe wnioski. Pamiętał doskonale także swe doświadczenia zawodowe z czasów kiedy o antybiotykach nikomu się nie śniło. W czasie pracy chirurga – powstańca na Żoliborzu w 1944 miał wiele ropiejących ran miazdżonych. Opowiadał jak oczyszczano je z martwych tkanek przy pomocy specjalnie hodowanych larw much. Kiedyś przywieziono do nas kilkuletniego chłopca, syna rzeźnika, który wpadł w okresie Wielkanocy plecami do szaflika z wrzątkiem w jakim oprawiano ubite świnię. Miał ciężkie oparzenie pleców od łopatek po szparę pośladkową. Wydzielające się tkanki zostały zakażone pałeczką ropy błękitnej. Plecy przypominały powierzchnię pokrytą błękitną pleśnią. Mieliśmy wtedy do dyspozycji penicylinę krystaliczną i prokainową oraz odmiany tetracyklin, które dla tej gigantycznej rany były równie skuteczne jak woda z Wisły. Dla dokonania przeszczepów skóra musiała być oczyszczona. Szef zlecił Jurkowi Wieczorkowi przemielenie w domu dwóch kilo cebuli z czosnkiem i przyniesienie jej do szpitala. Po kilku dniach okładania pleców chłopca tą miazgą rana była oczyszczona i można było rekonstruować jej powierzchnię.

Kanabus, jak to się mówiło, *komunizował* przed wojną. Podczas okupacji był był aktywnym członkiem ruchu oporu i współtwórcą „*Żegoty* „, organizacji ratującej Żydów polskich.

Zawdzięczało Mu życie wielu Polaków tego pochodzenia. W czasie Powstania warszawskiego zapisał wspaniałą kartę jako chirurg szpitala powstańczego na Żoliborzu (Dr. Katgut), gdzie mieszkał. Wspomina o nim Stanisław Podlewski w swej epopei „Rapsodia żoliborska „. Do historii Warszawy Sierpnia 1944 przeszedł jako chirurg wykonujący pierwszą operację ранego powstańca na Żoliborzu ogarniętym walką. Po wojnie wysłany na kongres chirurgów do Wielkiej Brytanii został po powrocie aresztowany jako podejrzany o „współpracę z wywiadem angielskim „ i przesiedział kilka lat w więzieniu na Rakowieckiej. Opowiadał nam, że w czasie kongresu miał kontakt z wieloma kombatantami znajomymi z okresu Powstania, którzy pozostali na emigracji. Jeden z nich prosił Go o przewiezienie do Warszawy eleganckiej torebki damskiej dla żony. W kilka dni po przekazaniu adresatce przesyłki przyszli do niego w nocy agenci UB-e i zapytali czy on był kurierem wiozącym taką to a taką przesyłkę dla Pani X. Kiedy to potwierdził został przewieziony do więzienia przy ulicy Rakowieckiej, a za kilka tygodni po przesłuchaniach w ciasnej, ciemnej salce dowiedział się, że jest skazany na wieloletnie więzienie „ za współpracę z wywiadem brytyjskim „. Tu pracował jako więzień – lekarz, któremu wielu ludzi zawdzięczało wiele. Był to czas kiedy rewolucja łączywie pożerała własne dzieci.

Miał do współpracy w Omedze bardzo dobry zespół, w którym prym wiodły współzawodniczące ze sobą lekarki Barbara Klawe i Teresa Plewińska, nie wchodzący im w drogę Zygmunt Regulski oraz młodzież Marysia Antosiewicz, Jurek Wieczorek i ja. W niedługim czasie dołączyła do nas Mirka Bereza. Praca była nadzwyczaj ciężka, zaczynała się punktualnie o godzinie 7, 30, pacjentów waliły tłumy, zaś my mieliśmy po 8 – 10 dyżurów całodobowych. Leżący w samym centrum miasta, zachowujący znaną markę przedwojenną szpital cieszył się ogromnym powodzeniem. W zasadzie nie miało żadnego znaczenia czy dyżur jest „tępy” czy „ ostry „. Dyżury „tępe „ były nawet gorsze bowiem pracowało się samemu na dwóch piętrach. Szpital OMEGA stał się placówką powszechnej służby zdrowia, która powstała dzięki „ paździenkowej odwilży „. Przed wojną była tu prywatna, luksusowa na owe czasy lecznica dla bardzo zamożnych pacjentów. Po wojnie władza ludowa umieściła w niej tak zwaną „złotą trumienkę „ czyli lecznicę rządową, z której korzystał establishment polityczny. Dyrektorem Omegi był dr. med. Felicjan Loth, człowiek legenda. Jego Ojciec prof. Edward Loth wykładał anatomię prawidłową na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Warszawskiego. Zginął jako komendant szpitala powstańczego na Mokotowie jesienią roku 1944. Felicjan, pochodzący z rodziny ewangelickiej, po wejściu we wrześniu do Warszawy Niemców był zachęcany do podpisania volkslisty. Wobec odmowy został, podobnie jak wielu członków znanych warszawskich rodów ewangelickich, aresztowany przez Gestapo i w zasadzie cały czas okupacji spędził jako więzień Pawiaka, pełniąc tam obowiązki lekarza – więźnia. Przez jego ręce chirurga przeszły setki skatowanych ofiar Pawiaka, często ratowanych po bestialskich torturach w Alei Szucha dla utrzymania pozycji stojącej w czasie ulicznej egzekucji. Wyszedł z więzienia 31 lipca 1944 roku, a więc tuż przed wybuchem powstania i nigdy nie mógł się nadziwić jakimi przesłankami kierowali się Niemcy przy podejmowaniu decyzji uwolnienia jego i około 200 więźniów płci obojga. Zwolnienie chorych, matek z małymi dziećmi oraz lekarzy i pielęgniarek nie mieściło się w głowie tym, którzy przeżyli pięć lat barbarzyństwa niemieckiego w Warszawie. Poza doktorem Lothem zostali także zwolnieni lekarze: Anna Czuperska, Maria Kopeć, Zygmunt Śliwicki i Anna Sipowicz – Gościcka. Stanowili oni komórkę konspiracyjną na terenie więzienia Pawiak, która przekazywała systematycznie wiadomości wiadomości losach więźniów na zewnątrz. Jego wstrząsające wspomnienia z tych strasznych czasów był ważną częścią „ Pamiętników Lekarzy „ wydanych w roku 1968 przez „Czytelnika „. Ten zbiór wspomnień naszych starszych kolegów winien być lekturą obowiązkową każdego polskiego absolwenta medycyny. Czytelnik znajdzie te wspomnienia w rozdziale: „*Byłem lekarzem na Pawiaku* „, na stronach 331- 370 wspominaego tomu. Loth był zarazem ordynatorem Oddziału Ortopedii tegoż szpitala. Jego zastępcą był doktor Kassur, bratanek znanego specjalisty chorób zakaźnych profesora Bertolda Kassura. Z mojego pokolenia byli tu zatrudnieni Mirek Śmiłowicz i Jurek Meissner, syn wybitnego profesora chirurgii szczękowo – twarzowej. Obaj w latach późniejszych byli znakomitymi specjalistami w zakresie ortopedii i chirurgii.

Mieliśmy wspaniałych szefów, których morale i wiedza lekarska były na najwyższym poziomie. Dzięki temu atmosfera naszej pracy, mimo wszelkich jej trudów, była fantastyczna. Obaj szefowie bardzo wiele od nas wymagali, ale i wiele przekazali ze swych doświadczeń zawodowych, a nade wszystko nas wychowywali jako ludzi odpowiedzialnych. Po latach, już jako szef zespołu, korzystałem z zasad, które mnie tam wpojono. Po pierwsze należało tępić dezinformacje. Wszyscy wiedzieliśmy, że rzeczą ludzką jest omylić się, ale o tej omyłce należało natychmiast po jej uświadomieniu meldować szefowi, a nie wprowadzać go w błąd przez zatajenie błędu. Szef poczuwał się do pełnej odpowiedzialności za wszystko co działo się w oddziale, a więc i za każdego z nas. Pewnego razu ostry dyżur był wyjątkowo ciężki. Operowaliśmy od godziny 10. 00 jednego dnia do godziny 12. 00 dnia następnego. Dzieci przekazywano nam na stół operacyjny jak na taśmie produkcyjnej w zakładach Forda. Jednego po drugim. Szczególnie ciężkim był przypadek 7 letniego chłopca, którego rodzice lekceważyli przez nieomal tydzień jego dolegliwości brzuszne. Przyszedł w stanie szoku septycznego. Po otwarciu jamy otrzewnowej stwierdziliśmy rozlane ropne jej zapalenie. Były to czasy dwóch antybiotyków penicyliny i streptomycyny. Innych nie było do naszej dyspozycji. Po procedurze płukania otrzewnej ze złogów ropy dziecko w stanie ciężkim powierzono do przeniesienia na salę z zaleceniem ogrzewania termoforami. Salowa do jednego z termoforów wlała wrzątek, który oparzył dość rozległe pośladki chłopca. Dziecko udało się uratować, ale trwało gojenie pośladka. Chłopiec wyszedł do domu z gładką blizną na pośladku wielkości ówczesnej pięciozłotówki. Rodzice wytoczyli zespołowi operacyjnemu proces skarżąc „*o rozległe zniekształcenie ciała i oszpecenie dziecka* „. Jak wykazały lata mojej późniejszej praktyki lekarskiej jednym z najczęstszych powodów spraw sądowych przeciw lekarzom, spraw dla nas szczególnie bolesnych bo absurdalnych, było i jest uciekanie od odpowiedzialności za własne zaniedbania, tak w stosunku do swego zdrowia jak i swych podopiecznych. Przecież ktoś musi być winien !. Proces równie szybko rozpoczął się jak i zakończył. Po ustaleniu, że wszyscy oskarżeni znajdują się na Sali sądowej wystąpił dr. Kanabus, który zwrócił uwagę Wysokiego Sądu na to, że oskarżenie skierowane jest pod niewłaściwym adresem. Przytoczył jako dokument regulamin obowiązków ordynatora „*który odpowiada za wszystko co zdarzyło się na jego oddziale i w zespole, którym kieruje z urzędu* „. Sąd przychylił się do tej argumentacji, ale prokurator nigdy nie oskarżył doktora Kanabusa. W czasie wielu lat mojej pracy, także, a może zwłaszcza w Akademii Medycznej, nigdy nie spotkałem się z tak niedzisiejszym poczuciem odpowiedzialności szefa za to co dzieje się na jego podwórku.

Wspominając prace w Omedze nie sposób nie wspomnieć wspaniałego zespołu pielęgniarek i techników rentgenowskich, którzy pracowali z niezwykłym oddaniem małym pacjentom. Wybijająca się w tym gronie postać pani Wandy Ossowskiej byłej pielęgniarki operacyjnej profesora Adama Grucy, która w czasie wojny była więźniem zarówno Gestapo jak i NKWD, czynnej uczestniczki ruchu oporu w szeregach wywiadu ofensywnego Armii Krajowej, więźniarki kolejno Majdanka, Oświęcimia i Ravensbruck. W czasie okupacji trafiła w ręce Gestapo dzięki zdradzie Ludwika Kalksteina, związanego początkowo z wywiadem A.K., który następnie przyczynił się do pojmania przez Niemców generała Grota – Roweckiego. W Omedze pracowała jako laborant radiologiczny w pracowni kierowanej przez dr.med. Zenona Waleckiego ponieważ nie miała już sił do ciężkiej pracy w bloku operacyjnym. Była, po zmianie mego miejsca pracy na otolaryngologię, do końca swego życia moją pacjentką z powodu skutków złamań kości skroniowych w katowni Gestapo w Alei Szucha.

Barwną postacią szpitala był także pan Żuczek, portier. Potężnej postury miał ogromny szacunek dla ciężkiej pracy chirurgów, których starał się chronić przed nieproszonymi gośćmi. Pewnego dnia była z tego powodu awantura ponieważ poproszony na konsultacje przez Doktora Lotha zjawił się na portierni profesor Jan Kossakowski, którego Żuczek nie znał. Zapytany w jaki sposób mógł by się porozumieć z lekarzem dyżurnym profesor dowiedział się, że: „*Lekarz dyżurny, szanowny Panie, jest na urlopie !*”. To chodzące dobro i łagodność odznaczało się ogromnie flegmatycznym usposobieniem i wiadomo było, że kiedy sterując ręcznie archaiczną windą pamiętającą czasy przedwojenne chciał ziewać, zatrzymywał windę, długo i głośno ziewał i dopiero jechał dalej.

W ambulatorium nieomal codziennie napotykalismy skutki zacofania cywilizacyjnego naszego społeczeństwa, przerażających w skutkach przesądów. Często ropnie sutków u niemowląt płci żeńskiej były skutkiem nakłuwania ich wokół i wkładania w nacięcia kawałków wronich piór. Matki z całą pewnością twierdziły, że jest to znakomity sposób na to aby za lat kilkanaście dziewczyna miała ładny biust i dużo pokarmu. Powszechnym były w tym czasie ropnie skóry także u niemowląt. Dziecko bywało po prostu obsypane tymi ropniami i drobnymi nacięciami końcem skalpela uwalnialiśmy litry ropy. Przyczyną zasadniczą był brud i rzadka kąpiel maluchów. Pewnego dnia Marysia Antosiewicz pełniąca służbę w izbie przyjęć zawołała wszystkich lekarzy, którzy zejść tam mogli. Obraz, który ukazał się naszym oczom przekroczył wszystko co widzieliśmy dotychczas. Matka rozpakowywała z brudnej chusty coś co wyglądało jak futerał do skrzypiec. Było to oślizgłe i ohydnie cuchnące. Z wnętrza tego czegoś dobywał się cichy płacz niemowlęcia. Po otwarciu tego „ futerału „ ukazało nam się gołe ciało niemowlęcia pokryte setkami ropni. Matka wyjaśniła nam, że zgodnie ze zwyczajem panującym w jej wsi dziecko chore zawija się w zajęczą skórkę, włosiem do wewnątrz skierowaną i szczelnie owija „ *aż do wyzdrowienia* „. To nie była kobieta z przedwojennego Polesia. Mieszkała około 50 – 60 kilometrów od miasta stołecznego Warszawy. Taki był obraz świadomości zdrowotnej tych lat na terenie Mazowsza.

To jednak był spadek nie tylko po latach okupacji ale i po dwudziestoleciu międzywojennym, w którym dzień powszedni lekarza praktyka zatrudnionego przez Zakład Ubezpieczeń Społecznych był opisany przez lekarzy pracujących w Ubezpieczalni Społecznej w owych czasach. Wybór z pamiętników tych Kolegów i Koleżanki został dokonany i wydany w roku 1956 przez Państwowy Zakład Wydawnictw Lekarskich. Jeżeli zważymy, że w roku 1938 było ubezpieczonych 4 900 000 obywateli II Rzeczypospolitej, to stanowiło to 14 % ówczesnej 35 milionowej populacji naszego kraju. Nędza wsi polskiej sprawiała, że poziom oświaty zdrowotnej i ocena wartości życia przeciętnego mieszkańca miast i wsi, zwłaszcza należących do chłopstwa lub niewykwalfikowanej części klasy robotniczej były zatrważająco niskie w tych środowiskach. Namawiam do czytania prawdy o realiach codziennej praktyki naszych poprzedników. Będzie to znakomity punkt wyjścia do dyskusji o współczesności polskiej medycyny. A jednak.

Najbardziej przygnębiającymi pacjentami były dzieci z wadami rozwojowymi, zwłaszcza takimi jak przepukliny rdzeniowe czy wycisnienia pęcherza moczowego. Obraz tych niewinnych dzieci poddawanych kolejnym zabiegom operacyjnym, małych męczenników, przerażał i stawiał pytanie co do zasadności poglądu o celowości urządzenia świata i przyrody. Pamiętam małego, trzy czy czteroletniego Mikołaja, który przeszedł już wiele operacyjnych prób zamknięcia przepukliny rdzeniowej, porażony w dolnej części ciała, a jednocześnie tryskający inteligencją, pogodą ducha, radością z życia takim jakim ono było. W Dniu Świętego Mikołaja, swego patrona, wożony na foteliku rozdawał swym rówieśnikom prezenty, każdemu przekazując miłe słowa. To był mały bohater.

Zespół był tak wychowywany zarówno w domu jak i w pracy, że nikt z nas nie myślał o tak zwanych „ *korzyściach majątkowych związanych z wykonywanym zawodem* „.

I nam, i rodzinom pacjentów, żyło się nader skromnie. Ludzie jednak chcieli wyrażać swą wdzięczność za ratowanie dzieci tymi wszystkimi ubożuchnymi środkami jakie były do ich dyspozycji. Ktoś przyniósł słoiczek miodu, ktoś kilka jajek, jeszcze inny grzyby zebrane własnoręcznie jesienią. Pewną sensację wzbudził jednak dar szczególny. Pewnego dnia Teresa Plewińska wróciła z ambulatorium, gdzie konsultowała dzieci już przez nas operowane i przy pomocy pana Żuczka wniosła wielkie pudło. Dzisiaj w pudłach tej wielkości sprzedaje się wielkowieści telewizory, których wtedy jeszcze nie znano. Po rozpakowaniu, z kilku kolejnych warstw papieru, z czeluści pudła wyłonił się gipsowy koń spięty do skoku, a w ślad za nim Tadeusz Kościuszko. Postać Naczelnika była odlana oddzielnie i dawała się w dużym rozkroku sadzać na grzbiet wierzchowca. Zastanawialiśmy się czy nie przekazać tego wspaniałego daru zespołowi ortopedii, który mógłby na tym przykładzie wyjaśniać rodzicom zasadę ustawienia stawów biodrowych przy leczeniu ich wrodzonego zwicnięcia. Pomysł ten jednak upadł i „ pomnik „ Kościuszki zdobył przez wiele lat gabinet lekarski Oddziału Chirurgii Ogólnej.

Żyło się nam nader skromnie, aby nie powiedzieć „ siermiężnie „. Nie ucieszę moich młodych koleżanek i kolegów wchodzących w życie zawodowe, kiedy powiem, że nasze pensje były równowartością maksimum 25 dolarów. Była co prawda zupełnie inna wartość pieniądza, ale też i pusty rynek utrudniał tych pieniędzy wydawanie. Byliśmy więc wciąż, bez jakichkolwiek szaleństw, na garnuszku Tatusia. On pisał do nas w kolejnym liście wysłanym z Paryża w dniu 12 listopada 1958 roku:

„ Przestańcie mi dokuczać wreszcie Waszymi skrupułami i wyrzutami sumienia. Postawmy sporawę po handlowemu: ojciec ma nie tylko prawo, ale i obowiązek czynnej miłości do dzieci. A czynna miłość to nie tylko czule słówka tylko wspólne dzielenie trosk i radości. Nie ma tu żadnej mojej zasługi, gdyż tak się szczęśliwie złożyło dla mnie, że mogę nasze wspólne życie, a więc i kłopoty jakoś wspólnie analizować i pomagać w ich usuwaniu. Czy Wy myślicie, że mój egoizm pozwolił by mi nie pomóc własnym dzieciom, ambicjom i nadziejom jakie w Was pokładam. Chcę abyście się uczyli, robili postępy i spokojnie bez nacisku jaki zawsze wywiera brak kilku groszy – organizowali sobie fundamenty przyszłości. Chciałby szczerze Wam powiedzieć, że umowa jaką zawarliśmy nie jest dla mnie ciężarem (!). Najgorszą rzeczą w życiu jest niecierpliwość, przyspieszanie sprawy. Mądrość ludowa, góralska mówi, że „ każda rzecz musi mieć swoje dziewięć miesięcy”. To nie jest łatwo, jak się Wam wydaje stanąć na własnych nogach od razu.....

”

24 czerwca 1959 roku zmarła nagle, na wylew krwi do mózgu Ciocia Mela, jedna z Ciotek opiekujących się Elżbietą i Wiesią w ostatnich 15 latach. Rodzice moi przysłali telegram kondolencyjny:

„ Pełni bólu, sercem z Wami. Rodzice „.

Na pogrzebie, w dniu upalnym, straszliwie źle się czułem, ale mimo uczucia ogromnej słabości wróciłem do normalnej intensywnej pracy w szpitalu. To niezwykle przykre wydarzenie zbiegło się w czasie zaproszeniem jakie Ojciec przysłał nam na wyprawę do Paryża. Był to dla nas najcenniejszy podarunek ślubny. Przekazał nam też radosną wiadomość, że załatwił dla nas wszystkich dwa tygodnie wypoczynku na Lazurowym Wybrzeżu. Był jednak niemały problem ponieważ Rodzice namawiali na pobyt sześciotygodniowy. Ja właśnie rozpocząłem pracę, zaś Elżbieta pracowała dorywczo na dyżurach zleconych w Pogotowiu Ratunkowym Centralnego Szpitala Klinicznego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Nade wszystko odczuwaliśmy lęk czy w ogóle nas z Polski wypuszczą. Przeprowadziłem szczerą rozmowę z obydwojma szefami. Ich reakcja była jednoznaczna. „*Są to, synu, takie czasy, że MUSICIE wykorzystać tą niecodzienną szansę aby zobaczyć normalny świat, o którym nie macie pojęcia „.* Sprawę dodatkowych dwóch tygodni mojego urlopu załatwił dr. Kanabus. Dał mi osobisty list do swego znajomego doktora medycyny Tursz – Turskiego, polskiego Żyda, który zawdzięczał mu życie przechowywany pod jego kuratelą przez całą okupację. Ten miał się zastanowić w jaki sposób usprawiedliwić nasz dłuższy niż oficjalny urlop pobyt zagranicą. Była to sprawa wagi zasadniczej dla naszej przyszłości.

Shczęśliwie nie mieliśmy kłopotów z otrzymaniem paszportów. Granicę polską przekraczaliśmy w Słubicach. Odprawa paszportowa i celna odbywały się gdzieś w pustym polu, tuż przed brzegiem Odry. Pociąg z obu stron otaczali kordonem żołnierze Wojsk Ochrony Pogranicza. Ostatnim polskim obrazkiem była nędzna budka, przed którą kiwał się z trudem utrzymujący pion, zapity polski kolejarz, z rozpiętym rozporkiem, rozporkiem, z którego wystawał – na szczęście – tylko kawał koszuli. Jadący obok cudzoziemcy fotografowali to cudo aby pokazać w domu „ typowy obraz Polski „. Jechaliśmy pociągiem przez Berlin, Kolonię, Belgię, sprawdzani skrupulatnie na każdej z kolejnych granic państwowych jako podejrzane typki, komuniści zza żelaznej kurtyny. Ci idioci uważali, że ta: ” kurtyna „ to odwieczne marzenie Polaków, Czechów, Węgrów czy Niemców Wschodnich. W naszym przedziale jechała polska rodzina, rodzice z kilkorgiem dzieci. Cały przedział był pełen poduszek, które jak nam wyjaśniono, „ *dobrze idą we Francji, bo z prawdziwego pierza „.* Kilka poduszek dostało się pod naszą opiekę, co było zarówno trefne jak i wygodne, ponieważ podróż trwała 36 godzin i mogliśmy wylegiwać się w tym puchu przez czas cały. Kontrola paszportowa i celna na granicach N.R.D. była brutalna, aby nie rzecz chamska. Mundury i stosunek do Polaków przypominał najgorsze czasy okupacji. Bez strzelania

oczywiście. Na granicy N.R.F. przyjęto nas nieomal przyjaźnie. Konduktor przyniósł kawę i rozdawał ją w papierowych kubkach tylko Polakom. Trudno sobie wyobrazić minę tegoż celnika niemieckiego, który zajął do nas na granicy i obejrzał sterty poduszek wypełniające przedział.

W Paryżu doznaliśmy olśnienia. W Polsce były to czasy tak zwanego siermiężnego socjalizmu, kiedy to o wszystko było trudno i wszystko stanowiło luksus. Słynne było nieszczęsne stwierdzenie w Trybunie Ludu będącym głównym organem Komitetu Centralnego PZPR: „*Ostatnie braki waty i ligniny sprawiają, że partia ma ciężki okres* „. Wiedzieliśmy, że partia jest rodzaju żeńskiego, ale to były trudności nie comiesięczne, ale kłopoty trwające nieomal pół wieku. Swego rodzaju menopauza polityczna i ekonomiczna.

W Paryżu świat wydawał się być wyłącznie kolorowym i radosnym. Byliśmy oszołomieni tym cudownym miastem, jego architekturą, elegancją, kulturą. Śledziliśmy z zapałem ślady polskości. Szczególnie wzruszała wizyta na polskim Cmentarzu w podparyskim Montmorency z mądrą sentencją na bramie wejściowej: „*Ci co umierają, nam umierają. Ci co się rodzą już nie dla nas*”

Na Lamande spaliśmy w malutkim pokoju z nawisającym dachem, typowej paryskiej mansardzie z niewielkim okienkiem, facjatą wysterczającą poza płaszczyznę dachu. Dostaliśmy pieniądze na zakupy. Sklepy, ba – stragany, pełne towaru różnorodnego oszałamiały. Intensywnie, z Ojcem jako przewodnikiem, zwiedzaliśmy to cudowne miasto pełne także polskich śladów. Zachwycaliśmy się wspaniałym barokowym grobem króla Jana Kazimierza z bogatą brązową tablicą przedstawiającą bitwę pod Beresteczkiem czy domem skromniutkim na bocznej, wąskiej uliczce odchodzącej od Boulevard de Saint Germaine, w którym Mickiewicz pisał „Pana Tadeusza „. Wybrałem się także do Dr. Tursz -Turskiego. Prowadził swoją praktykę w bogatej dzielnicy Paryża o krok od Panteonu. Jego gabinety zajmowały całe pierwsze piętro niezwykle eleganckiego domu. Aparatury w jaką był wyposażony mógł mu zazdrościć każdy szpital uniwersytecki w ówczesnej Polsce. Przyjęto nas bardzo uprzejmie. Były wspomnienia z czasów okupacji, słowa wdzięczności dla postawy dr. Kanabusa i to co dla najważniejsze, deklaracja, że dzień przed naszym wyjazdem z Francji dostaniemy pismo – zaświadczenie, które będzie stwierdzać, że: „*Monsieur Grzegorz Janczewski ze względu na stan zdrowia nie może podejmować tak dalekiej i obciążającej podróży przed upływem dwóch tygodni, a podróż tą powinien odbywać pod opieką żony lekarki „.*

Zakupy ubrań załatwiliśmy głównie w hurtowniach prowadzonych przez polskich Żydów, w dzielnicy Marais, gdzie było ich skupisko. Ich stosunek do nas Polaków był niezwykle ciepły i nigdy nie spotkaliśmy się spotkaliśmy jakimikolwiek objawami antypolonizmu, a raczej z życzliwością i żywym zainteresowaniem tym co się aktualnie w naszym kraju dzieje. Jednym z najciekawszych spotkań była wizyta w domu futer prowadzonych przez pana Francois Wolberga, Żyda w Lublina. Znajomi Polacy przekazali Mamie wiadomość, że Wolberg, stary już człowiek, likwiduje dobrze prosperujący dom futer i z tego powodu ceny są tam rewelacyjnie niskie. Przy wejściu do czteropiętrowego dość dużego domu siedział właściciel pilnujący wchodzących i wychodzących. Było to jedyne wejście i wyjście w tym domu. Na czterech piętrach wisiały setki futer. Mama i Elżbieta udały się na górę, zaś ja pozostałem ze spragnionym wieści z Polski panem Wolbergiem. Miał osiemdziesiąt kilka lat, łysiejącą głowę przykrytą okrągłą czapczką obszytą kolorową nicią. W czasie wojny był ukrywany przez polskich chłopów, dla których miał szacunek i wdzięczność. Po wojnie wyjechał do kuzyna mieszkającego od czasów przedwojennych we Francji, a który ocalał w strefie rządzonej przez tzw. Rząd Vichy. Głównym powodem jego wyjazdu z Polski był strach przed tym co miało przyjść wraz z Armią Czerwoną i nowymi porządkami. Był w tym uświadomiony przez pobratymców, którzy ocaleli w Związku Radzieckim, ale przeszli przez łagry Syberii i Kazachstanu.

„*Panie, to nie są wyzwolicieli. To rabuśniki, złodzieje, bandyty i do tego antysemita !. Nasz naród żydowski w Polsce już nie istnieje. Niemcy wymordowali naszych od małych dzieci po starców. Ta Polska, to teraz ziemia naszej śmierci i dlatego tam nie chcę żyć ani umrzeć. Ale tam była moja młodość, moje pierwsze kochanie, to jak ja nie mam tej ziemi w sercu nosić. Czy Pan bywa w Lublinie ?. Czy to miasto jeszcze żyje po tej wojnie ?. Czy Pan widział Bramę Krakowską ?*

Prawda jakie чудо ?. Ja wiem, że wy w Polsce macie biedno. Gorzej, bo różne bezbożniki, łobuzeria żydowska przez Ruskich pchana jest do władzy. To oni dzisiaj tam u was rządzą zamiast polskiej inteligencji, która trzyma się z boku od komunistów. Ale to do czasu bo za lat kilka, zobaczysz Pan, kiedy Polacy zmańdrzeją to wezmą tych naszych za mordę. I będzie kolejna tragedia. A poza wszystkim ten komunizm to nie jest dla porządnego Żyda. Tam nie można robić interesu. Ile żyje dobrze ?. Może trzy może pięć procent. No nie więcej. Ale jak wejść do tej bandy co żyje dobrze ?. A zresztą był by wstyd i ten wstyd się dla nich źle skończy !”.

Była to prorocza zapowiedź marca 1968 roku, ale to inna historia. I tak sobie gaworzyliśmy przez co najmniej dwie godziny bowiem moje panie utonęły w przepastnych czeluściach domu pana Wolberga. Umówiliśmy się na jeszcze jedno spotkanie za dni kilka, co zostało z entuzjazmem przyjęte przez obie nienasycone klientki. Kiedy po kilku dniach wpadliśmy tam ponownie w kantorku wraz z Wolbergiem siedział drugi Żyd, znacznie młodszy, postawny. Poinformował mnie, że jest krawcem rodem z Wilna. Zaczął mnie emablować tym jaką dobrą opinię o mnie przekazał mu Wolberg.

„ Szanowny Pan się zgodzi, że dla Pana przygotuję elegancki garniturek na miarę ! Z taką figurą, będzie dla mnie szycie wielką przyjemnością ! Wezmę jak od brata ! „

W owym czasie miałem jednak znacznie bardziej przyziemne potrzeby ubraniowe niż elegancki, szyty na miarę garniturek mistrza z Wilna. Natomiast inicjatywę przejął Wolberg.

„ Młody człowieku, Twoja żona to musi być Żydówka. Ona ma takie klasyczne rysy pięknej żydowskiej dziewczyny. Wy nie jedźcie do tej strasznej Polski. Ja wam tu wszystko załatwię. I naukę francuskiego, i prawo praktyki lekarskiej, i pożyczkę na początek. Ja nie mam dzieci i stać mnie na to. Moja żona ma cukrzycę, to będziecie jej codziennie mierzyć ciśnienie krwi. Tak na początek !”.

Nie próbowałem go rozczarować faktami, że moja żona nie tylko nie jest Żydówką, ale że wywodziła się z endeckiej rodziny. Było by to ani grzeczne, ani roztropne. Na moje wątpliwości, w jaki sposób można się nostryfikować we Francji odpowiedź była krótka, ale dość przekonująca:

„ Czy Pan jest naiwny. Czego Żyd nie załatwi za pieniądze ?. Ilu my tu naszych, młodych Pana kolegów lekarzy, Żydów z Polski urządziliśmy. To nie jest problem !”.

Byłem tak wzruszony jak i kategorycznie zdecydowany na odrzucenie tych wspaniałomyślnych propozycji. Nigdy tego wyboru nie żałowałem.

Jednym z marzeń Elżbiety był zakup materiału wełnianego na jesienny płaszcz. Miał to być koniecznie materiał koloru szarego. Poszliśmy do magazynu AuPrintemps, gdzie rodzice mieli zniżki przy zakupach i tam moja żona doznała szoku. Znalazła ponad czterdzieści materiałów szarych o różnej fakturze i różnych odcieniach. Usiadła na belach materiałów zaczęła szlochać. W tym momencie doceniłem rynek socjalistycznego handlu, gdzie z radością i wdzięcznością przyjmowano wszystko, aby nie rzecz byle co, z produktów „*rzuconych na rynek* „.

Na miejscu na Południu Francji stwierdziliśmy, że wczasy są zorganizowane przez Związek Nauczycieli Francuskich. Zakwaterowano nas wraz z rodziną profesora Nodzeńskiego pod namiotami wojskowymi z demobilu w miejscowości Lavandou, około 40 kilometrów od Tuluzy. Wspólna jadalnia była wielką halą, otwartą na szybkie strony, pokrytą dachem z trzciny. Tu trzy razy dziennie dostawaliśmy dość skromne, ale i obfite pożywienie. Prysznic dysponujące jedynie zimną wodą były wspólne dla wszystkich wczasowiczów i koedukacyjne. Ta maleńka wioska rybacka zaczynała być modna. Dwa lata wcześniej przyjechał tam Picasso, który – wedle opowiadań tubylców – płacił kelnerce w miejscowej kafejce obrazami malowanymi jej szminką na bawełnianych serwetkach. Przy okazji zafundowano nam autokarową wycieczkę wzdłuż Lazurowego Wybrzeża z krańcową stacją w Księstwie Monaco. Wracaliśmy do Warszawy pełni wrażeń i z pełnymi walizami dóbr wszelakich. Za każdym pobycem w Paryżu powracając wieźliśmy do kraju „*bibułę* „, czyli książki zakazane w PRL-u. I tak zdołaliśmy przemycić „*Najnowsza historia polityczna Polski* „, Władysława Pobóg – Malinowskiego, „*Bez ostatniego rozdziału* „, Władysława Andersa, „*Czas przeszły, dokonany* „, Adama Pragiera, „*Wojna i okupacja* „, Zygmunta Żaręby, „*Katyn* „, – dzieło zbiorowe, „*Mówi Józef Światło* „, Zbigniewa Błażyńskiego, oraz reprint ukochanej książki mego dzieciństwa zagubionej w zamęcie wojny „*Bohaterski Miś* „, Bronisławy Dąbrowskiej. Poza dziełami Pobóg – Malinowskiego, Andersa i Adama Pragiera

pozostałe były darem dla przybyszów z Polski i do niej wracających wręczane przez milego starszego pana w księgarni polskiej ulokowanej na Wyspie Świętego Ludwika niedaleko słynnego Hotelu Lambert. Dary te finansowane były nie tylko przez ubogą emigrację polską, ale głównie odpowiednie fundacje międzynarodowe, które – delikatnie mówiąc – nie lubiły komunizmu. Biorąc pod uwagę, że ceny książek we Francji były dla nas niezwykle wysokie i że ich kupno było równoznaczne z rezygnacją z wielu dóbr materialnych nieistniejących na rynku warszawskim był to niewątpliwie dar królewski. Wsiadaliśmy na Dworcu Gdańskim szarym, nędznym i brudnym.

Po powrocie z Francji wezwano mnie do Wojskowej Komendy Uzuppełnień i zakomunikowano, że czas służyć Ojczyźnie w szeregach Ludowego Wojska Polskiego. Zaczęliśmy intensywnie szukać znajomości w kręgach wojskowych dla uzyskania odroczenia lub odrzucenia z poboru. W tym samym czasie wielu kolegów z naszego kursu dostało tego rodzaju zaproszenia i zostało „w kamaszach”, do końca swej kariery zawodowej. Stałem na komisję wojskową, której częścią było badanie lekarskie. W czasie prześwietlenia lekarz radiolog spytał mnie krótko: „*od kiedy Pan choruje?*”. Nie rozumiałem o co chodzi, ale za chwilę wyjaśniono mi, że mam naciek gruźliczy w szczytach obu płuc. Staż podyplomowy w sanatorium dziecięcym w Otwocku kłaniał mi się uprzejmie.

W Omedze przyjęto tą wiadomość z poruszeniem. Dr. Loth zaprotegował mnie do docenta doktora Jana Maja w Instytucie Gruźlicy na Płockiej, który w ciągu kilku dni załatwił mi pobyt w Sanatorium Akademickim na Ciągłówkach w Zakopanem. Przyjął mnie jak ojciec wyrażający troskę o zdrowie jedyne go syna. Docent Maj pocieszał mnie mówiąc: „*Załatwiłem Panu Sanatorium Akademickie kierowane przez dr. Jaworskiego. To jest mała cyrk, ale dzięki temu Pan nie zwariuje przez te kilka miesięcy*”. Zaczynały się strome schody i następne kroki ku dorosłości.

ZAKOPANE (sierpień 1959 – Wielkanoc 1960).

W sanatorium królował i dyrektorował wtedy cudowny człowiek i znakomity lekarz dr. med. Jan Jaworski. Ta postać znajduje się na ołtarzyku moich drogich wspomnień życiowych, pośród tych ludzi, którym zawdzięczam bardzo wiele. Jego wielkie zasługi nie tylko dla Zakopanego zostały uhonorowane pochówkiem na starym cmentarzu „Na Pęksowym Brzysku”. Był to człowiek niezwykle wprost kultury, siejący wokół siebie uśmiech, niezwykle życzliwie ustosunkowany do młodzieży. Sanatorium zbudowane tuż przed wojną było wciąż nowoczesne i bardzo czyste. Na każdym piętrze, na skrzydłach, znajdowały się rozległe werandy z przepięknym widokiem na cały łańcuch polskich Tatr. Wielka sala jadalni raz w tygodniu była przekształcana w salę kinową, gdzie za darmo mieliśmy pokazy doskonałych filmów. W dwuosobowym pokoiku moim współlokatorem był profesor zwyczajny Uniwersytetu Jagiellońskiego, specjalista archeologii starostłowińskiej Rudolf Jamka. Miał on lat około 60 i nieprzebrany zasób opowiadań o rozmaitych wydarzeniach ze swego życia i rodzimej Alma Mater. Był monarchistą w tym sensie, że wciąż wspominał z prawdziwą nostalgią świetne czasy miłościwie panującego zacnego Cesarza Franza Józefa, kiedy to i wszystko było w sklepach i pieniądz miał swoją stałą wartość. Żydlącząc zapytywał: „*Niech Pan szanowny powi – komu to przeszkadzało? Tym paskudnikom rewolucjonerom?*”. Na pewno nie był z „naszych”. Wstrząsające były jego opowiadania o tym jak wraz z profesorem Lorencem szli w składzie tak zwanej grupy operacyjnej w ślad za nacierającą Armią Czerwoną i ratowali to co się dało dla kultury polskiej. Tu powtarzał się konsekwentnie motyw celowego niszczenia przez żołdactwo tego wszystkiego co wydawało się nie do ukradzenia lub było im doraźnie nieprzydatne. Jest oczywistym, że zgodnie z odgórnymi dyrektywami chcieli Polsce, jaką by ona nie była, pozostawić problem odbudowy kraju od zera. Szczególnie poruszające było sprawozdanie z wyprawy do Nysy na Dolnym Śląsku, gdzie w starej gotyckiej katedrze Niemcy zgromadzili ogromne, cenne zbiory Muzeum Numizmatycznego w Berlinie. Soldaci rozbijali starannie zapakowane skrzynie upychając do kieszeni i plecaków wszystko co mieniło się złotą poświatą nie bacząc na to, że całe drewniane poszycie dachu kościoła płonęło. Panowała atmosfera dantejskiego piekła, gdzie role szatanów odgrywali pijani rabusie niezwyciężonej Armii Czerwonej. Polacy

pracujący niewolniczo w okolicy w czasie wojny pomagali profesorom zbierać szuflami do papierowych worków od cukru resztki monet i medali z całego świata i wielu wieków, leżące jak złom na podłodze, uwalane w błocie, podeptane żołnierskimi buciorami. Ideał sięgał bruku. „*Technika u nas balszaja, no kultury niet!*”.

Profesor Jamka wyjechał do Krakowa po pół roku. Na jego miejsce przyszedł Włodzio, lekarz ftyzjatra z Kalisza. Tęsknił za dziećmi, mniej za żoną. Wokół nas roje studentów płci obojga, młodszych ode mnie o lat kilka. Był to tak zwany „*malpi gaj*”. Tu się człowiek nie nudził ani chwili i czasu nie miał na roztkliwianie się nad sobą. Brać studencka ppochożiła z całej Polski i były tu reprezentowane nieomal wszystkie pracujące w tych latach uczelnie. Obok prostaków byli kuracjuszami ludzie wysokiej kultury. Jednym z największych chamów był niejaki Henio „*Błużnierca*”. Pseudonim oyrzymał wkote po przybyciu do sanatorium ponieważ nie dało się z nim jechac wspólnie windą – tak kłął najgoszymi przekleństwami. Wszedł w kolizje z Dyrektorem dr. Jaworskim po awanturze ze studentem pohodzącym z ktoregoś z krajów Dalekiego Wschodu: Vietnamszym czy Chińczykiem. Bezczelny zadał mu pytanie: „*A ilu ty chłopcze miałeś ojców?*” . Facet się zdumiał, ale odpowiedział łamaną polszczyzną:

„*Ja mieć jeden ojciec, jak każda!*”, na co usłyszał stwierdzenie: „*To absolutnie nie możliwe, abyś z dwóch jajek był taki żółty!!!*”. Tu zdecydowanie interweniował dr. Jaworski i od tej pory Henio zaciskał zęby, i jeśli kłął to cichutko. Dwa razy dziennie, po śniadaniu i po obiedzie weradowaliśmy po kilka godzin bez względu na porę roku i pogodę. Werandy były głębokie i osłonięte przed deszczem i wiatrem. W zimie byliśmy otuleni wielkimi śpiworami ze skór owczych szytymi najwyraźniej przez miejscowych góralskich kuśnierzy. Tylko nosy nam wystawały. Systematycznie uczyłem się angielskich słówek na co czasu było pod dostatkiem. Gorzej było z nauką wymowy, ale tą starał się u mnie poprawiać Przemek, młody asystent fizyki z Uniwersytetu Poznańskiego. W sanatorium spotkałem także Basię Irzykowską, zastępcę Ordynatora Oddziału Laryngologii Szpitala Wojewódzkiego w Opolu. Ta serdecznie namawiała mnie na zmianę specjalizacji na otorynolaryngologię. Ja natomiast po ćwiczeniach z otorynolaryngologii wiedziałem jedno – nigdy nie będę laryngologiem. Zajmować się smarkami?. Któż to widział?

W Zakopanem spotkałem na ulicy pracującego gdzieś koło Bukowiny Tatrzańskiej nieco starszego kolegę, absolwenta naszego wydziału doktora Zawidzkiego, który relacjonował nam swe warunki pracy i obyczaje pacjentów i ich rodzin. Przestrzegał przed uczestnictwem w góralskim weselu bowiem jak mawiali miejscowi „*Nie udało się wesele Panocku, jakieśiś takie nieruchawe. Jenó jeden trup był!*”. Na weselach jako miejscowy lekarz bywać musiał bo inaczej byłby nie uznawany za swego. Twierdził, że zawsze przyjeżdżał do domu weselnego przeddzień, wraz ze swym partnerem od brydża i kielicha, miejscowym księdzem i sprawdzali gdzie jest w gospodarstwie stodoła, obora i stóg siana. Kiedy rozpoczynała się awantura weselna obaj dawali nura pomiędzy zwierzynę domową lub zagrzebywali się w słomę i w ten sposób przetrwali nienaruszeni. Zapytany dlaczego także ksiądz, osoba duchowna, musi się kryć odpowiadał: „*Dla górali to także chłop, zwłaszcza po wódce, i może przy okazji dostać w łeb!*”. Górale stanowili dla nas zamkniętą i egzotyczną grupę. „*Cepry*”, byli dla nich źródłem pieniędzy, ale nie swojakami. Wprowadził nas nieco w to środowisko nowy pacjent naszej werandy, góral z urodzenia, pracownik miejscowej rzeźni. Podejrzewam, być może niesłusznie, że był to pan przysłany przez tzw. „*Spółdzielni ucho*”, dla wybadania nastrojów pośród młodzieży akademickiej. Byliśmy z nim u jednego z jego przyjaciół, miejscowych gospodarzy, wypiliśmy jak *Pan Bócek przykazał po kilka małych pod oscypka i kielbaske*. Była piękna, ciepła, tatrzańska jesień i siedzieliśmy przed domem. W pewnej chwili szedł człowiek. Chudy i jakiś zmarnowany. Góral wstał i napluł przed nim na chodnik. Tamten przeszedł bez słowa i poszedł w swoją stronę. „*O co chodzi Baco?*” – spyaliśmy. „*A bo to partyjny*”. „*A nie boicie się tak pluć przed nim, może doniesie?*”. „*A jakby doniósł to on wi, Panie, że go nasze zarzną jak barana. Tu wszystkie czekajom na Andersa, Panie!*”.

Nie było to, przypomnijmy czasy, kiedy odwaga w mówieniu była równie tania jak obecnie. „*Nowy*” towarzysz naszego weradowania miał także liczne opowiadania o góralach:

„ Góral przychodzi do Komitetu Powiatowego Powiatowego P.Z.P.R. i zgłasza akces do Partii. Jakie są motywy waszej decyzji ?-pyta aparatczyk. Ano, Panie, i ojciec, i wszystkie moje dziady zawdy do zbójników przystawali to i ja kce być w jakiejś bandzie !”

„ Potęga aluzji ! Kino w Zakopanem rok 1949 dostało „Hamleta „ z Oliverem w roli głównej tylko na trzy dni. Kierownik musiał wyświetlać przez trzy pełne doby, na okrągło. Z najodleglejszych wiosek nadciągały rodziny góralskie z dziećmi i starcami. – Co się wam tak podoba ? – ktoś zapytał. Odpowiedziano mu – „ Milo, Panie, popatrzeć jak się te od rządu wszystkie powyrzynali ! „...

„ Góral wraca z wyrebu lasu. Konik ciągnie długi pień sosnowy załadowany na dwie osie. Po drodze zatrzymuje go sekretarz miejscowego komitetu partyjnego i pyta czy może się podwieźć. „ A pewnie, tylko siędnijcie se na samym koniusku bala !”. Po dojechaniu na miejsce podwieziony dziękuje. „ Nie ma za co, Panie, zawdy milicyja każą na końcu bala czerwoną szmatę wieszać !”

„ Góral miał już dziesięcioro dzieci, a wszystkie były potwornie brzydkie. Obejrawszy dziesiątego przysiągł sobie, że już więcej dzieci robić nie będzie. Poszedł do apteki i od pani magister zażądał „ cosik takiego, co bym więcej dziecioków nie miał !”. Sprzedała mu paczkę prezerwatyw. W drodze do chałupy spotkał księdza i złośliwie mu się pochwalil zakupem. Ksiądz mu jednak doradził, żeby w każdym jednym nakłuł szpilką otworek „ bo inacej astma cię weźmie !”. Po 9 miesiącach urodził mu się chłopczyk, inny niż tamte dziecioki bo przepiękny. Na ploty, że kobita mu się puściła z ceprem jakimciś, odpowiadał: „ Pikny, bo odcedzony ! „

O legendarnym księdzu Stolarczyku pierwszym lub jednym z pierwszych proboszczów Zakopanego:

„ Założono cmentarz na Pęksowym Brzysku. Ksiądz Stolarczyk nie mógł się doprosić o przyczynienie się społeczności do ogrodzenia cmentarza. Po wielu prośbach i groźbach pewnej niedzieli, kiedy treść czytanej na ten dzień ewangelii odpowiadała zamierzeniom kaznodziei wypalił przypowieść:

„ I nadszedł dzień sądu ostatecznego. Pan Bóg wysłał PitraPawła i archaniołów, aby podnieśli z grobów wszystkich zmarłych z Podhala i przywiedli przed jego oblicze dla zasądzenia. Zjawili się wszyscy z Murzasichla, Poronina, Bukowiny, Waksmuđu i wszystkich wiosek, ale Zakopianów nie było. Pyta się więc Bóg Ojciec: co się dzieje z Zakopianami, dlaczego wciąż ich nie ma ?. Na co PiterPaweł i archanioły na ucho Mu szepcą: Panie Boże, one są tak obsrane przez owce i krowy, że się domyć nie mogą na ten Sąd Ostateczny.”

Następnego dnia Zakopiany zaczęły „ samorzutnie „ ogradzać cmentarz „

O akcji werbowania górali do Partii:

- Towarzysze ! Dołączcie do szeregów naszej partii, która wam wolność pszyniesła!
- Ale my jesteśmy proste chłopcy !
- Dyć nie święci u nas garnki lepią !
- Świnto prawdo ! Widać to po garnkach ! „

Inny aktywista zachęca:

-Zapisujcie się do partii, bo każdy kto chce iść z prądem tak czyni !”

Na co ktoś z zebranych odpowiada:

- „ Panocku, u nas z prądem to tylko gównno płynie, a pstrąg zawsze idzie potokiem pod prąd !”.

Górale byli gorliwymi katolikami i zdecydowanymi przeciwnikami „ władzy ludowej „. Partyzantka „Ognia” dokazywała wiele lat po wojnie i cieszyła się powszechnym uznaniem i poparciem miejscowych. Zaprzeczanie obecności Pana Boga groziło „ śmiercią lub kalectwem „.

Jedna o gwarek górlaskich opowiadała o tym jak przystali im agitatora, który bluźniąc okrutnie przekonywał, że żadnego Pana Boga nie było i nie ma, a dowód tego jest taki, że on tu siedzi i bluźni i żadne siły niebieskie go za to nie karzą. W tym momencie wstał od ogniska stary góral, przeżegnał się i rzekł:” Przebac i Panie Boże, że Cię zastąpię!

I dał mu w ryja.

Znaczna część moich towarzyszy niedoli nie reagowała jednak na leczenie zachowawcze. Proces gruźliczy był u nich zbyt zaawansowany. Byli kierowani do Sanatorium Chirurgii Płucnej,

gdzie ordynował prof. dr. med. Wit Rzepecki. Wyniki operacji płuc gruźliczych w tym czasie były różne. Profesor Rzepecki był świetnym fachowcem, ale w ocenie potencjalnych pacjentów nie miał szczęśliwej ręki. Dzisiaj sądzę, że zdarzające się zgony po jego operacjach wynikały głównie z faktu, że jako szef operował przypadki szczególnie zaniedbane. Byłem świadkiem jak koleżanki i koledzy zakwalifikowani do operacji jako warunek zgody na jej przeprowadzenie wyrażali żądanie: „*Zgodzę się jeżeli będę miał pewność, że będzie mnie operować dr. Mlekodaj, a nie profesor Rzepecki !*”. Doktor Mlekodaj, późniejszy znany profesor torakochirurg i Dyrektor Instytutu Gruźlicy w Warszawie był wtedy wschodzącą gwiazdą chirurgii polskiej. Każda wiadomość pooperacyjnego zgonu naszych koleżanek i kolegów była przyjęta łąz serdeczną i cichą modlitwą. Każdy widział siebie w tej sytuacji i w tym zagrożeniu.

Wracalem do domu tuż przed Wielkanocą 1960 roku serdecznie żegnany przez dr. Jaworskiego, przemiłego dr. Micheliniego i przez współtowarzyszy niedoli. Mimo wszystko żal mi było odjeżdżać chociaż ciągnęło do domu i młodej, kochanej Żony.

W Omedze poprosili mnie na rozmowę obaj szefowie. Wiele im zawdzięczałem bowiem przez cały czas pobytu w sanatorium otrzymywałem pełne wynagrodzenie oraz średnią płacę za pełnione przed chorobą dyżury. Obaj panowie przeprowadzili ze mną ojcowską rozmowę na temat tego jak widzą moje dalsze losy młodego lekarza. Dyrektor dr. Loth oświadczył mi, że w Klinice Otolaryngologii Akademii Medycznej w Warszawie działającej w Szpitalu Klinicznym nr. 1 przy ulicy Oczki pracuje od czasów przedwojennych Jego koleżanka ze studiów docent Irena Cichocka – Szumilin. „*Otolaryngologia – mówił – jest lekką specjalnością, też zabiegową, ale nie ma tej harówki co tu na chirurgii dziecięcej. Musisz dbać o swe zdrowie, a więc o przyszłość !. Co będzie jak po czterdzieście dowiesz się, że choroba się odnowiła ?*”.

Aczkolwiek „*czterdzieśta*” była dla mnie przyszłością nader odległą miałem pełną świadomość, że radzą mi ludzie mądrzy i dający dowody wielkiej troski o mnie. Jedno było tylko smutne – kończąc studia chciałem być bardzo chirurgiem dziecięcym, natomiast wiedziałem, że na pewno nie będę nigdy laryngologiem bowiem ta spweczalność brzydziła mnie. I stało się, bowiem brakiem przyzwoitości jest prosić Pana Boga o to, co można i należy zrobić samemu lub z pomocą ludzi mi życzliwych.

Po umówieniu mnie przez dr. Lotha spotkałem się po raz pierwszy z panią docent Cichocką – Szumilin. Był to październik roku 1960. Pani 50 letnia, elegancko ubrana, o bardzo miłej powierzchowności i okazująca wiele serdeczności młodemu lekarzowi „*po przejściach*”.

Nasza pierwsza rozmowa odbyła się w jednym z pomieszczeń kompletnie pustej kliniki pracującej w tym czasie w pawilonie nr. 1 Państwowego Szpitala Klinicznego (dawniej i obecnie pod wezwaniem Dzieciątka Jezus). Klinikę poddawano kapitalnemu remontowi i wszystko pachniało świeżą farbą. Protekcja doktora Lotha była w tej sytuacji bezcenną i pani Docent odnosiła się do mnie z pełnym zaufaniem jako człowieka tego zaufania godnego. Uświadomiła mnie, że jako Konsultant Laryngolog miasta stołecznego Warszawy zrobi wszystko, abym otrzymał stypendium umożliwiające specjalizowanie się w otolaryngologii, ale będzie to możliwe dopiero wiosną 1961 roku. Poza tym warunkiem mego zaistnienia w klinice, w jakimkolwiek charakterze, była zgoda Szefa Kliniki, którym w tym czasie był prof. dr. Jan Szymański. Spotkanie moje z profesorem doszło do skutku za dni kilkanaście w ambulatorium przy ulicy Oczki 6, gdzie zespół lekarski pracował w ramach działalności lecznictwa otwartego. Sam gmach kliniki był w tym czasie poddany kapitalnej przebudowie i remontowi. Profesor był eleganckim panem około lat 60 – ciu. Rozmowa była dla mnie mało sympatyczna, ponieważ przyzwyczajono mnie do ojcowskiego stosunku mistrzów z Omegi. Po obejrzeniu mojej osoby chłodnym spojrzeniem od stóp do głów profesor Szymański rzekł zwracając się do pani Docent Cichockiej: „*No cóż, niech przyjdzie 2 stycznia 1961 kiedy zaczniemy pracować normalnie. Jeśli się nada, to zostanie, jeśli nie-pożegnamy się !*”. Odwrócił się na pięcie i pozostawił mnie, jak to się mawia „*z otwartą gębą*”. Z wrażenia zatkało mnie. Pani Docent widząc moje zakłopotanie starała się zatrzeć nie najmiłsze pierwsze wrażenie zapewniając, że profesor w pierwszych kontaktach potrafi być mało sympatyczny, ale że to porządny człowiek. Dalszych dwadzieścia lat mej pracy w klinice pokazało, że miała rację.

Moi szefowie z Omegi tak zorganizowali moją pracę, że od momentu rozpoczęcia wolontariatu w klinice, do dnia otrzymania stypendium specjalizacyjnego miałem pracować po południu w ambulatorium Omegi, ale bez pracy w sali operacyjnej i bez dyżurów całodobowych. Nigdy po tym nie spotkałem ludzi, którzy tak po ludzku przyszli mi z pomocą w trudnej sytuacji życiowej.

W czasie mego pobytu w Sanatorium Elżbieta zaczęła pracę w II Klinice Położnictwa Akademii Medycznej przy ulicy Karowej 2. Mimo wszelkich, dogodnych dla nas obojga konsekwencji propozycji prof. Roszkowskiego zatrudnienia na etacie, była to decyzja niełatwa. Położnictwo i ginekologii było lekarską pracą „ w kamieniołomach „. Czy wytrzyma kondycyjnie i ciężką pracę i niełatwego, szalenie wymagającego szefa. I w tej sprawie Ojciec pisze do nas:

„ W Klinice Roszkowskiego istnieją potencjalne możliwości rozwoju: teren dobry, materiał ludzki obfity, mistrz znany i mający ambicje – jak na nasze warunki wysokie – ale są i obstacles: narwany szef, widzący raczej sprawy niż ludzi, konieczność znalezienia niemałych sił fizycznych i psychicznych do wykonania zadań materialnych, do walki ze sobą i gburowatością mistrza. Najpoważniejsze trudności widzę takie: a) czy masz Elżuniu siłę fizyczną do tak ciężkiej pracy ?, b) czy masz dyspozycje psychiczne do pracy w tym właśnie kierunku ?. Gburowatość szefa nie wchodzi w rachubę jako przeszkoda, bowiem wielcy nauczyciele zwykle mają swe dziwactwa, bywają brutalni, ale w pracy, w walce, w podbojach, w dyskusji naukowej – to nie jest przeszkoda. To nie salon. Jeśli można się czegoś nauczyć od gburą to ma tym większa wartość niż adoracja w gronie świętych i idiotów. Pewnie, że młodej kobiecie grozi to kształtowaniem ostrości w byciu, ale cały proces rodzenia jest aktem brutalnym. Roszkowski ma racje twierdząc, że póki co to jesteście jedynie „ szkic na projekt „ i dopiero w twardej szkole możecie teraz wyrosnąć, aby tylko siły starczyły ! „

Im dalej jednak czas upływał tym mocniej Elżbieta wrastała w klinikę i jej sprawy. Mieliśmy wtedy po 25 – 26 lat i wszystkie trudy były dla nas do zniesienia. Byle by były perspektywy rozwoju, a takowe rysowały się na horyzoncie. Wielkie trudy pracy na Karowej rozjaśniały zdarzenia, które przeszły do wesołych stron historii tej Kliniki. Otóż pewnego dnia, w godzinach wieczornych, w całej Klinice zgasło światło. wiecznie spiesząca się i niezwykle roztargniona lekarka wpadła w całkowitej ciemności do ubikacji, której urok stanowiła głębia. Na końcu 5 metrowej kiszki o szerokości 1 metra stał sedes. Kiedy spoczęła na właściwym, wydawało się miejscu i zaczęła siusiać zorientowała się, że siedzi na czyichś kolanach. Uciekała z piskiem znacząc ślad, a z tyłu grzmiał niemniej przerażony głos męski. Najprawdopodobniej starego portiera, który przysnął „na stołeczku „.

Mieli też swoją pupilkę, rozkoszne dziewczę, której mąż zapytany przez kolegów z Kliniki czy mają radio zaprzeczył. Zapytany dlaczego odpowiedział prosto:

„ U nas w domu radio nie jest potrzebne. Żona nadaje bez przerwy ! „. Zaintrygowani pytali go, o czym ona cały czas tak interesująco mówi, na co otrzymali odpowiedź: *„ Ona mówi i mówi, ale o czym ona mówi, to ona nie mówi !!! „.* Na tym przepytywanie taktownie zakończono.

Zespół lekarzy z Karowej, zapewne zjednoczony niesłuchanie ciężką, nerwową pracą wykonywaną w stałym napięciu, był znacznie lepiej zgrany niż pracujący w Klinice Otolaryngologii. Organizowano częste wypadki do małej restauracyjki „ Kamieniołomy „ w Hotelu Europejskim czy do kawiarni w Hotelu Bristol. Ceny ówczesne pozwalały na takie „ szaleństwa „, nawet marnie zarabiającym młodym lekarzom. Szef zaś szalał swoim zwyczajem. Egzamin z ginekologii i położnictwa zdawane u profesora Roszkowskiego słynęły ze specyficznej atmosfery. Słynny jest dialog zdającego studenta z egzaminatorem:

„ Kolego, jakie są objawy ciąży ? „

„ Otóż Panie Profesorze, objawem ciąży jest brak miesiączki, występują nudności i brzuch się powiększa „.

„ I cóż więcej ma Pan do powiedzenia na ten temat „

– twarz Roszkowskiego nabiera koloru buraka.

„ noooooo???? „

„Panie Kolego, zapewne to ja jestem w ciąży, bo dawno nie mam miesiączki, brzuch mi rośnie, a kiedy Pana słucham, rzygać mi się chce, !!!”.

Bez względu na porę roku słysząc szczególnie bzdurną odpowiedź otwierał szeroko okno swego gabinetu wychodzące na ulicę Karową i krzyczał w niebogłoso: „*Ratunku ! Pomocy !. Kobiety mordują !!!* „. Dla współpracowników potrafił być, delikatnie mówiąc, nieprzyjemny. Grupa studencka truchlała słysząc jego wrzaski kierowane do najstarszych adiunktów: „*Panie Kolego, pan powinien bezy w Bristolu podawać, a nie operować !* „, lub „*Jak wy się ruszacie ?. Któregoś dnia wezmę was do lasku Bielańskiego i tam przegonię !* „. Był szalenie wymagającym, ale spod jego ręki w czasie szefowania kolejno w Gdańsku, Poznaniu i Warszawie wyszła kadra znakomitych polskich specjalistów, w tym wielu docentów i profesorów. Pacjentki go uwielbniały chociaż miał, jak to się mawia „*niewyparzona gebę* „. Na uzalenie się nad sobą matki świeżo narodzonego dziecka, że takie marniutkie, Profesor odparowywał: „*Droga Pani ! Sowa sokoła nie urodzi !*”. Innej, w podobnej sytuacji uświadamiał:

„ Czy Pani oczu nie miała przed ślubem. Przecież ten Pani mąż to ćwierć kilo chłopca w pół kilowej torebce !”. Ale zespół trzymał twardą ręką co wyszło im na dobre.

KLINIKA OTOLARYNGOLOGII 1961 – 1969.

Progi Kliniki Otolaryngologii Akademii Medycznej w Warszawie przekroczyłem po raz pierwszy w dniu 2 stycznia 1961 roku. Wdrożony do pewnego stylu ciężkiej pracy w Omedze wszedłem tu punktualnie o godzinie 7. 30 rano. Klinika pracowała w pawilonie nr. 1 Państwowego Szpitala Klinicznego nr. 1 przy ulicy Nowogrodzkiej 59

(dawniej i obecnie pod wezwaniem Dzieciątka Jezus). Było zupełnie pusto bowiem właśnie zakończono remont generalny połączony z przebudową polegającą na podzieleniu wielkich sal obliczonych na kilkudziesięciu chorych na sale trzy – czteroosobowe. Wszędzie pachniało świeżą farbą, wnętrza były puste, oczekujące na chorych. Kilka krzątających się pielęgniarek skierowało mnie do pokoju, w którym spał lekarz dyżurny. Po przejściu całego korytarza na parterze wchodziło się do dość dużej sali przeznaczonej na spotkania lekarzy i wykłady dla studentów. Za tą salą znajdowała się silnie przeszklona, podobna do werandy biblioteka Przy sali wykładowej, z boku znajdowały się wejścia do dwóch niedużych pokoików, w których były rozkładane sofy służące lekarzom dyżurnym. Około godziny ósmej z jednego w tych pokoików wyszedł zaspany lekarz. Niewielkiego wzrostu, mrozący nieco obrzękłe powieki na lekko ukośnych oczach krótkowidza, zapytał mnie kim jestem i po co tu przyszedłem. Przedstawił się, że jest adiunktem w tej Klinice i nazywa się Zbigniew Bochenek. Wysłuchał mojej historii i najlepszą rekomendacją była wiadomość, że nie tylko mam staż chirurgiczny, ale że moją orędowniczką jest pani docent Irena Cichocka – Szumilin. Skierował mnie do pana Kazimierza Kuźniarskiego, felczera sprawującego pieczę nad salą opatrunkowo – zabiegową na parterze. Był to dość wysoki, potężnej budowy mężczyzna około sześćdziesiątki, który zaprowadził mnie do szatni znajdującej się w podziemiach kliniki.. Ich wnętrze przypominało kazamaty twierdzy: potężne mury, łukowe, niskie sklepienia sprawiały wrażenie podziemnego lochu. Przebiegające pod ścianami od czasu do czasu gryzonie wyzwały histeryczne piski koleżanek. Przekazał mnie fartuch i biały, szpitalny garnitur. Zająłem dla siebie jedną z blaszanych szafek ubraniowych, na której nie było nazwiska właściciela.

Około godziny 9 tej rozpoczęła się odprawa zespołu lekarskiego prowadzona przez Szefa Kliniki. Oprócz mnie przedstawiono jako nowego kandydata na otolaryngologa Tadeusza Jeglińskiego, który w tym samym dniu rozpoczął pracę na pół etatu. W czasie odprawy poznałem liczny zespół etatowych pracowników – nauczycieli akademickich. W jego składzie byli wówczas: Irena Cichocka – Szumilin, Zbigniew Bochenek, Bolesław Adamowicz, Eugeniusz Markiewicz, Bogusław Moszyński, Lidia Słotwińska, Zofia Witwicka, Mirosława Pęska – Laskowska, Janina Beutler – Szymańska (żona Szefa), Jan Kuś, Jadwiga Osuchowa, Wanda Mitkiewicz – Szreniawska, później Bochenkowa oraz Janina Biskupska. Na etatach PSK (tzw. usługowych) pracowali Kazimierz Sieniawski i Lech Bardadin. Uformowane zostały dwa zespoły: jeden pracujący w

oddziale męskim, na pierwszym piętrze, drugi w oddziale kobiecym na parterze. Oddział męski prowadził dr. Bolesław Adamowicz, z pochodzenia Wilnianin. W jego zespole byli lekarze Janina Więcko, Jan Kuś, Janina Beutler – Szymańska, Jadwiga Osuchowa. Do nich przydzielono także Tadzia Jeglińskiego. Oddziałem kobiecym ordynował dr. Eugeniusz Markiewicz, z którym pracowali lekarze, między innymi Zbigniew Bochenek, Tadeusz Bardadin, Bogusław Moszyński, Mirosława Pęska-Laskowska i ja na przyczepkę. Pani Docent Cichocka – Szumilin jako zastępca Szefa sprawowała nadzór ogólny nad obydwoma zespołami.

Okolo południa zaczęli się zjawiać pierwsi chorzy. Na parter trafiła pacjentka, niejaka Janina O., którą pamiętam z imienia i nazwiska nie tylko jako chorego nr. 1 w moim życiu otolaryngologicznym. Miała od wielu lat ciągnące się przewlekłe zapalenie ucha środkowego z ziarniną uformowaną w formie polipa wystającego z przewodu słuchowego zewnętrznego. Markiewicz chciał zwłaszcza nam, żółtodziobom, pokazać jak jednym szybkim ruchem uzdrawia się chorego. Pętłę uszną wsunął do przewodu, szarpnął, chora cicho jęknęła i wstała z porażoną twarzą. Kazio Kuźniarski donośnym szeptem zaklął i zwracał uwagę, że przed tego typu powikłaniami usuwania polipów usznych zawsze ostrzegali poprzedni szefowie kliniki profesorowie Dobrzański i Lewenfisz. Tegoż dnia przeprowadzono operację obarczenia nerwu twarzowego, twarzowego z którego obziarninowanej otoczki twór polipowaty wyrastał, ale pełna czynność nerwu nie wróciła.

Rozpoczęła się codzienna praca w Klinice, gdzie w tym czasie na oddziale kobiecym leżały głównie pacjentki z przewlekłym, perlakowym zapaleniem uszu, zaś na męskim mniej lub bardziej zaawansowane nowotwory głowy i szyi. Był to wynik powszechnego mniemania ludności miast i wsi, że wyciek z nosa lub ucha świadczy o dobroczynnym odbarczaniu mózgu od nadmiaru niepożądanych wydzielin. Nie operowało się wówczas guzów ślinianek przyusznych, bowiem profesor Szymański uznawał, że operowanie tych gruczołów grozi „śmiercią lub kalectwem”. Śmiercią z wykrwawienia, kalectwem zaś z powodu porażenia nerwu twarzowego. Dość szybko zorientowałem się, że w Klinice narasta konflikt pomiędzy „młodymi”, do których zaliczali się przede wszystkim doktorzy Bochenek i Moszyński, z którymi solidaryzowała się docent Cichocka – Szumilin, a profesorem. Konflikt ten miał za lat dziewięć zakończyć się w sposób przykry. Póki co, pewnego dnia Profesor wezwał do swego gabinetu trzech doświadczonych adiunktów Adamowicza, Bardadina i Bochenka. Oświadczył im, że wedle starej zasady powinni się habilitować przestrzegając zasady stosowanej kiedyś przy wydawaniu córek za mąż: kolejność habilitacji wedle starszeństwa, a więc najpierw Adamowicz, następnie Bardadin i dopiero na końcu Bochenek. Czas pokazał, że dokonało się to w zupełnie odwrotnej kolejności, przy czym dr. Adamowicz nigdy nie podjął się przeprowadzenia przewodu habilitacyjnego.

Nauczycielem podstaw otolaryngologii nas młodych był niewątpliwie pan Kazimierz Kuźniarski. On po prostu kochał uczyć młodych lekarzy w wykonywaniu punkcji zatok szczękowych, tamponadach, koagulacjach i innych drobnych zabiegach. Po prostu uczył nas podstaw otorynolaryngologii praktycznej. Był chodzącą kroniką wydarzeń jakie miały miejsce w tych murach od czasów wojny i okupacji. Jego opowieści słuchaliśmy z zapartym tchem:

„ Profesor Dobrzański, kuzyn majora Hubala-Dobrzańskiego, to było panisko. Katedrę miał objąć w dniu 1 października 1939, ale wojna i granica niemiecko – sowiecka zatrzymały Go we Lwowie. Po opanowaniu Lwowa przez Niemców ukrywał się po masakrze profesorów lwowskich. W grudniu 1941 przedostał się do Warszawy, gdzie przejął z rąk dr.med. Jana Szymańskiego, ówczesnego adiunkta, kierowanie Kliniką. Szpital Świętego Ducha oznaczony na dachach symbolem Czerwonego Krzyża w czasie oblężenia Warszawy we wrześniu 1939 został z premedytacją zbombardowany przez Luftwaffe. Klinika po wkroczeniu Niemców do Warszawy po stosunkowo krótkim okresie pracy w gmachu Sądów na Lesznie (obecnie Al.Solidarności) została przeniesiona do Szpitala p.w Dzieciątka Jezus. Mimo zakazu, pod karą śmierci, prowadzenia tajnego nauczania uniwersyteckiego Profesor Dobrzański wraz ze Współpracownikami od 1942 nauczanie takie prowadzili planowo i regularnie. Zajęcia odbywano w 16 – 20 osobowych grupach w czasie sześciotygodniowego (!) kursu. Wykłady prowadzili poza Profesorem: Irena Cichocka-Szumilin, Jan Szymański, Aleksander Zakrzewski, Eugeniusz Bleszyński, Leon Jastrzębski,

Stanisław Kmita, Edmund Mroczek, Roman Karwowski, Tadeusz Gerwel, Waclaw Kaflński i Kazimierz Królikiewicz.

Od początku 1942 roku do wybuchu Powstania Warszawskiego zajęcia z laryngologii pomyślnie zakończyło egzaminem około 200 studentów. Co więcej – a polecamy to uwadze współczesnej młodzieży lekarskiej – w tych straszliwych warunkach odbywano posiedzenia szkoleniowe dla lekarzy z regionu warszawskiego, a także przygotowywano prace habilitacyjne (A. Zakrzewski, Z. Kostuch, St. Kmita) i podręcznik otolaryngologii, który miał się ukazać po wojnie.

W czasie Powstania warszawskiego – snuł swą opowieść Pan Kazimierz-Profesor Dobrzański był przez pewien czas przetrzymywany przez Niemców jako zakładnik. Szczęśliwie uwolniony przedostał się do Milanówka gdzie zorganizował oddział laryngologii. Tutaj pracowano do roku 1946 kiedy to Klinika Otolaryngologii powróciła do Szpitala Dzieciątka Jezus w Warszawie. Mieszkał na Niemcewicza 9. Jego mieszkanie od wdowy po Jego śmierci odkupił prof. Szymański. Dobrzański prowadził klinikę w szczególnie ciężkich czasach stalinowskich. Najgorzej zaczęło się dla nas, kiedy nastano nam doktora Maksymiliana K, pracującego w słynnym więzieniu dla politycznych na Rakowieckiej. Miał piękne polskie nazwisko, ale jak mu było z domu, to cholera go wie. Ten łobuz usiłował zniszczyć profesora i zespół kliniki, chociażby z tego powodu, że sam miał dwie lewe ręce i był tak cwany jak głupi. To on spowodował, że w jednym dniu wzięli do czynnej służby wojskowej nieomal wszystkich lekarzy mężczyzn, w pełni wykwalifikowanych otolaryngologów. Poszli wtedy „ w kamasze „ doktorzy Henryk Czarnecki, Leon Jastrzębski, Roman Karwowski, Zbigniew Bochenek, Stanisław Czernic. Bardadın ocalał, bo wcześniej szczęśliwie zoperował otosklerozę u żony Jakuba Bermana, viceBieruta, faceta kierującego bezpieczeńką. Tu Maksio musiał ustąpić prawa pierwszeństwa swemu współbratu w wierze, o ile w ogóle obaj w coś wierzyli poza własną karierą. Mnie i Jasia Gastoła, szatniarza Kliniki, wzięli do Urzędu Bezpieczeństwa, gdzie przez trzy dni bili nas kijami w pięty, aby zdobyć zeznania, że profesor jest łapówkarz. Jakoś z tego wyszliśmy, ale nic przeciw szefowi nie powiedzieliśmy. A przecież profesor Dobrzański to wiele narządzi do Kliniki jeszcze sam, z prywatnych pieniędzy, nakupował. Ale co im tam, wtedy byli w szale niszczenia wszystkiego i wszystkich. Profesor zmarł na zawał w bramie swego domu w 1953 wracając z Kliniki po ciężkim zabiegu onkologicznym.

Profesor cieszył się ogromnym szacunkiem w Uczelni. Wybrali Go Dziekanem Wydziału Lekarskiego. Wszyscy profesorowie nasi tylko u Niego chcieli się leczyć. Ale i Jemu zdarzały się wpadki. Pamiętam jak kiedyś przyszedł profesor Biernacki (znakomity internista) z zapaleniem ropnym zatoki szczękowej. Szef go znieczulił, nakłuł, ale przy przeplukiwaniu policzek Biernackiego zaczął się wypychać na zewnątrz. Po prostu igła była ulokowana w tkankach policzka a nie w samej zatoce. Ja wtedy powiedziałem: Panie Profesorze, my chyba nie jesteśmy w zatoce !. Była konieczna poprawka i wtedy zabieg poszedł gładko.

Kiedyś przyszedł student na egzamin. Tego dnia pytał profesor Dobrzański. Egzamin zawsze zaczynał się od egzaminu praktycznego. Był to jednak głąb, a nie kandydat na lekarza. Zaczął od tego, że lustro czołowe założył choremu na głowę. Profesor spojrział i zawołał do mnie: „ Panie Kaziu, daj pan pędzel i brzytwę. Pan Doktor będzie się golił ! „. Wspaniale umiał rozmawiać umiał z chorymi. Kiedyś usiłował nakłonić pacjenta, pijaczka zagrożonego rakiem krtani, do odstawienia alkoholu. Zapytał go także dlaczego tak dużo pije. Pacjent odpowiedział: „ Bo życie jest nudne !”. Na co profesor: „ A po wódce jest ono dla Pana ciekawsze ? „, co dało ripostę: „ Nie proszę Pana Profesora, ale po prostu moje wymagania się zmniejszają, zwłaszcza po zakończeniu wojny !”.

Profesor Lewenfisz to taki chudziutki, grzeczny pan, którego interesowały dwie rzeczy – operacje ucha i endoskopia. No i poza tym..... damy !. Operować raka nie lubił. Mało i cicho mówił. Takim go zapamiętałem.

Szymański to był już u nas przed wojną. Pracował jako tak zwany lekarz miejscowy, co oznaczało pracę bez przerwy, całą dobę na terenie szpitala. Miał wolną sobotę i niedzielę raz na dwa tygodnie. Musiał obsłużyć pacjentów leżących w szpitalu i tych co przychodzili z miasta. W Szpitalu Świętego Ducha przyszedł do niego kiedyś Żyd z ością rybnią w migdałku. Wizyta kosztowała nie mało bo pięć złotych. Przed wojną to była równowartość dolara amerykańskiego, a

to było dużą kwotą dla biednego pachciarza. Takich ubezpieczeń jak teraz nie było, głównie ludzie sami placili i za porady i za szpitale. Ten pacjent po usunięciu ości nie chciał zapłacić tłumacząc, że wcale nie jest pewnym czy Szymański ość mu usunął. Doktor pokazał mu ość, ale oznajmił, że musi mu raz jeszcze obejrzeć gardło, czy inna ość w nim nie zalega. W czasie tej inspekcji wbił mu wyjętą przed chwilą ość w to samo miejsce i usunął ją ponownie dopiero wtedy kiedy otrzymał do ręki pięciozłotówkę. Ale tak w ogóle to ludzki pan !.

Piękną kartę ma Szamański z czasów oblężenia Warszawy we wrześniu 1939 roku. Otóż w czasie bombardowań Szpitala Świętego Ducha ratował nie tylko chorych, ale wynosił na własnych plecach zbiory biblioteki klinicznej. Na wniosek Prezydenta Starzyńskiego otrzymał wtedy po raz pierwszy Krzyż Walecznych. Kiedy w roku 1942 zjawiał się w Warszawie profesor Dobrzański nie wahał się ani chwili w przekazaniu Mu kierownictwa Kliniki, co było zgodne z decyzją Rady Wydziału Lekarskiego podjętej w roku akademickim 1938/1939. Potwierdził tym, że jest porządnym człowiekiem. W czasie Powstania Warszawskiego otrzymał za ofiarność w leczeniu i operowaniu ludności i powstańców Krzyż Walecznych po raz drugi. W latach stalinowskich, najprawdopodobniej za przyczyną tegoż dr. Maksymiliana K. został zwolniony z pracy w Klinice. Szczęśliwie jednak wobec braków kadr lekarzy specjalistów otolaryngologów, doświadczonych zwłaszcza w prowadzeniu dydaktyki został powołany na kierownika tworzącej się w Bydgoszczy Kliniki Otolaryngologii Studium Doskonalenia Lekarzy. Po śmierci prof. Lewenfisza, która nastąpiła po „odwilży październikowej „ wrócił do naszej Kliniki, już jako jej kierownik.

Kazio Kuźniarski prowadząc salę opatrunkową, jak to się mawia „trzymał ją w zębach „. Każdego dnia liczył swe bogactwa, wciąż nieliczne podstawowe narzędzia do badania i drobnych zabiegów. Dbał tak skrupulatnie, że kiedy miałem dyżur i musiałem dostać się wieczorem do szafki z tymi narzędziami dotknąłem jej idoznałem szoku spowodowanego uderzeniem prądu o napięciu 220 Voltów. Nazajutrz pan Kazio nie miał żadnych wyrzutów sumienia: „*A bo to Panie Doktorze, różne gnoje się tu dobierają i kradną !*”. Przyjąłem to wyjaśnienie ze zrozumieniem i szacunkiem dla prostoty rozwiązania problemu.

Wszystkim rządziła pielęgniarka dyplomowana p. Regina Strzelec, jej zastępczynią była p. Krystyna Koremba. W sali endoskopowej królowała p. Zofia Fęcka, tak świetna pielęgniarka jak wielka dziwaczka. Szefową zespołu sal operacyjnych była p. Czesława Sićko – Woltersdorf, zaś Jej zastępczynią pani Maria Badowska. Mieliśmy trzy sale operacyjne: dużą w pełni przygotowaną do największych zabiegów chirurgicznych, nie tylko w naszej specjalności, średnią, gdzie swobodnie można było wykonać na przykład laryngektomię i salę małą, w której na siedząco wykonywało się takie operacje jak usuwanie polipów nosa, migdałków podniebiennych i adenoidu czy korekcję przegrody nosowej. Szatnią opiekował się p. Jan Gastoł, niewielki, chudziutki człowieczek, mieszkaniec ulicy Floriańskiej na Pradze, praski rodak od dziada pradziada. Rolę sanitariusza i gońca pełnił Henryk Skóra, który trafił do kliniki w młodym wieku jako pacjent z rozległymi zmianami twardzieli, zwężającymi krtań i tchawicę. Miał od tego czasu założoną rurkę dotchawiczą na stałe, ale dzięki specjalnemu w niej wentylowi mówił bez przeszkód. Obaj panowie nie odmawiali wychylenia z nami kielicha, bowiem jako wyrazy wdzięczności pacjentów otrzymywaliśmy głównie alkohole i czekoladki firmy „ 22 Lipca „ (dawniej E.Wedel). Kiedyś dostaliśmy z Tadkiem Jeglińskim ogromną butelkę, jak do szampana, pełną alkoholu, w której środku zalegała gigantycznych rozmiarów żmija. Był to dar dyplomaty Koreańskiej Republiki Ludowo – Demokratycznej. Obaj po prostu nie wyobrażaliśmy sobie wypicia tego napoju bogów, bo widok gada był obrzydliwy i niecodzienny powodujący szczękościsk. Poradziliśmy się Jasia Gastoła gdzie by to wyrzucić. Był szczerze oburzony: „*Panowie ! To grzech wyrzucać ! To świetnie leczy romantyzm !* „. Po zakończeniu pracy obaj z Heniem Skórą wychodzili z kliniki bez obolałych stawów, z uśmiechem na ustach i błyskiem w oku.

Ambulatorium Kliniki pracowało w kilku pokojach pawilonu przy ulicy Oczki 6. Tam kierował pracą dr.med. Kazimierz Sieniawski. Przychodnia była oblężona bowiem dostęp do laryngologa był wówczas na wagę złota. Ludzie czekali wiele miesięcy nie tylko na operacje, ale także na pierwszą wizytę. Historia kołem się toczy. Warto pamiętać, że przed wojną większość otolaryngologów w Polsce stanowili Żydzi, których w mordowano z niemiecką dokładnością.

Faktem jest, że na pierwszym zjeździe Polskiego Towarzystwa Otolaryngologicznego w roku 1946 spotkało się „ aż „ dwudziestu sześciu (!!!) specjalistów.

W niedługim czasie rozpocząłem dyżury. Mieliliśmy wtedy do dyspozycji siostrę operacyjną, która winna nam w czasie całodobowego dyżuru przygotować narzędzia i pomagać. Drugą, istotną pomocą była pielęgniarka dyplomowana i doświadczona zawodowo, która kierowała ruchem chorych przybywających na ostry dyżur. Ona segregowała pacjentów wedle potrzeb wcześniejszego lub nieco późniejszego załatwienia ich problemów zdrowotnych. Ja miałem to nieszczęście, że na moim pierwszym dyżurze pracowała pielęgniarka starsza wiekiem, dość już niemrawa, siostra P. Wezwano mnie do Kliniki Neurochirurgii będącej od zawsze głównym dostawcą kandydatów do zakładania przetoki tchawiczej. Pacjentem było trzyletnie dziecko, chłopiec po operacji guza mózgu. Byłem zobowiązany do telefonicznego powiadomienia o moim zadaniu adiunkta Kliniki, czuwającego pod telefonem. W tym dniu był nim Dr. Adamowicz. Zapytał mnie, czy w życiu robiłem tracheotomię. Kiedy odparłem, że tak, że nie raz w Omedze u dzieci właśnie, rzekł swym cudownym wileńskim akcentem: „ *Koljego, gdzie ja na taki deszcz (dzień był deszczowy) będę leciał do kliniki. Rób Pan to sam !*”. Małe dziecko leżało na szerokim łóżku. Ja klęcząc nad nim z kolanami po obu stronach jego tułowia zakładałem tracheotomię, zaś Siostra P. biegała wokół pokrzykując: „ *On zaraz umrze ! On zaraz umrze !*”. Chyba nigdy w życiu nie byłem tak zdenerwowany i zmęczony tym, drobnym przecież, zabiegiem operacyjnym. W następnych latach w sposób konsekwentny unikałem współpracy z siostrą P. Przeszła ona zresztą niebawem na zasłużoną emeryturę i na jej miejsce zaangażowano siostrę Ilonę.

To był wulkan energii, samodzielności i niekiedy samowoli w załatwianiu chorych przez nią samą bez udziału lekarza dyżurnego, zajętego w tym czasie na bloku operacyjnym. Jest prawdą, że nastawiała pijaczkom złamane nosy lepiej niż niejeden młody doktor. Trudno nas było zaskoczyć czymkolwiek, ale jednak właśnie Iłona zrobiła to pewnego pięknego wieczoru dyżurnego. Wszedł męt, dość mocno zapity, który zaczął rozrabiać. Szliśmy z kolegą w stronę pacjenta kiedy usłyszeliśmy rozmowę naszej pielęgniarki z podopiecznym.

„ *Siadaj gnojku !*”

„ *Od się, ty!!!*”

„ *Dawno ręcznik deptałeś ?* „

Tu faceta absolutnie zamurowało. Nigdy nie widzieliśmy tak zaskoczonego łobuza.

„ *A skąd mnie znasz ?* „

„ *Znam, bo z takimi gnojami kilka lat na Rakowieckiej w dołku pracowałam !!*”.

Dowiedzieliśmy się, że: a) mamy doświadczoną pielęgniarkę ze stażem w oddziale szpitalnym więzienia na Rakowieckiej, gdzie masę pacjentów stanowili kryminalni, głównie łykający ciała obce i b) że jest zwyczajem kryminalnych, iż wchodzącemu do celi i nieznanemu w tym środowisku rzuca się pod nogi ręcznik. Jeżeli go podepcze to znaczy, że chłopak z ferajny, jeśli nie to spuszcza mu się łomot, który jest swego rodzaju wprowadzeniem do towarzystwa.

Dr. Adamowicz był niewątpliwie w tym czasie jednym z filarów kliniki. Dobrze zbudowany, zawsze niezwykle spokojny i opanowany umiał rozmawiać z chorymi i ich rodzinami dopasowując sposób rozmowy do poziomu intelektualnego i środowiska z którego się wywodzili. Pasjonował się głównie onkologią i poza pracą w Klinice wiele lat konsultował przypadki guzów głowy i szyi w Instytucie Onkologii przy ulicy Wawelskiej. Przy herbacie chętnie wspominał swe ukochane Wilno i specyficzny humor tego miasta.

„ *W Muzeum Wileńskim wisiał obraz przedstawiający Świętego Sebastiana w chwili męki przedśmiertnej. Orowadzający zwiedzających muzeum objaśnia: „ A oto Święty Sebastian, poganie przywiązawszy go do pala. Grotami mu żywot przeszywszy. Umiera. A tam z tyłu kobieta. Matka jego. Smutna czegoś ! „.*

Inną wileńską opowieścią pana adiunkta była historia ubiegającego się o rękę pewnej panny. Po oświadczeniach, przyjętych zresztą, podano tradycyjne kołduny.

„ *Panie Kaźmirzu, jeszcze jeden, jedniutki !* „

„ *Ja już nie mogę, Pani Dobrodzjko, ja już zjadłem dziewięćdziesiąt dziewięć !* „

„ *A cóż to dla takiego dzielnego młodzieńca ? Niech Pan dociągnie do stu !*”

„ Ale Pani Dobrodziejko, na pierwszym to ja już siedza ! „.

Ciągnąc anegdoty wileńskie na temat starających się starających rękę opowiadał dalej:

„ Zubożały szlachetka, dzisiaj prokurent w jakimś urzędzie powiatowym, uderza do potencjalnej teściowej:

„ Pani Dobrodziko ! Proszę Panią niemiłosiernie o rękę Pani córki !”

„ O nie, Panie Antoni, albo weźmie Pan całą dziewczynę, albo nic !”.

I jeszcze jedna:

„ Kandydatka na teściową: Po ślubie będzie Pan z córką dzielił wszystkie zmartwienia „.

„ Kandydat na zięcia: Ależ ja nie mam żadnych, ale to żadnych, zmartwień !!!”

„ Kandydatka na teściową: Toteż mówię – dopiero po ślubie z moją córką !”.

W czasie wielu pierwszych moich dyżurów przychodzili mężczyźni, zwykle z generacji „ Kolumbów” dopytujący się o zły pamięci doktora Maksymiliana K. Łączyło ich jedno: twarze porażone połowiczo. Kolejny z tej niemałej grupy opowiedział mi, że intensywne poszukiwania tego sk prowadzi grupa jego „ wdzięcznych” pacjentów, których operował jako więźniów politycznych w więzieniu na Rakowieckiej. Pan doktor ćwiczył po prostu na więźniach operacje ucha. Zniknął z Polski jednak gdzieś około roku 1957, już po polskim październiku. Wiemy, że po emigracji do śmierci mieszkał zagranicą.

Poziom technicznego wyszkolenia poszczególnych asystentów był bardzo zróżnicowany. Niektórzy specjalizowali się w pewnych działach operatywy nosa, gardła, krtani i uszu. Zdarzali się nie nauczalni, którzy powinni zająć się na przykład anatomią patologiczną lub medycyną sądową i być tak zwanymi „ zimnymi chirurgami „. Do nich należała pewna koleżanka, która przeszła do historii Kliniki jako wyjątkowo nieporadny chirurg. Pewnego dnia usuwała migdałki podniebienne. Wykonywaliśmy wówczas te zabiegi w znieczuleniu miejscowym. Po nastryknięciu łuków podniebiennych nowokainą z dodatkiem adrenaliny weszła w strukturę migdałków. Te oczywiście zaczęły krwawić. Po kilkunastu minutach operacja nie posuwała się naprzód, ale jama ustna operowanego wyglądała jak grzbiet jeżozwierz: wystawały z niej dziesiątki kleszczyków hemostatycznych. Im dalej w las tym było gorzej, a co ważne ustępowało znieczulenie. Po 45 minutach pacjent, któremu przeszło znieczulenie miejscowe, wstał z gębą wypełnioną kleszczykami Peana, kopnął w stółek na którym siedziała lekarka, zrzucił ją na podłogę i wybełkotał głośno poprzez stertę kleszczyków Peana wypełniających mu usta i gardło: „ Do garów, cholero, do garów !!!”. Następnie wyszedł z sali operacyjnej zmierzając na salę chorych. Wciąż z dziesiątkami narzędzi w otwartej jamie ustnej. Uchwycony przez jednego z doświadczonych kolegów i doprowadzony na salę operacyjną miał zabieg dokończony w kilka minut. Pani Doktor w niedługim czasie wyjechała do Australii, gdzie jak wieść gminna donosiła zrobiła karierę. Można się założyć o każde pieniądze, że na pewno nie w specjalności zabiegowej.

Zdarzały się także niekiedy kłopoty znacznie bardziej doświadczonym chirurgom. Pewnego razu zabieg tak prosty jak tonsillektomię wykonywał adiunkt dr.med. Zbigniew Bochenek. Pacjent krwawił potężnie z każdego wkłucia, nie mówiąc o rozdzielaniu tkanek. Operacja na szczęście zakończyła się pomyślnie, ale dopiero wtedy dokonano badania układu krzepnięcia krwi. Oczywiście – hemofilia. Opieprzony, za to, że w czasie zbierania wywiadu chorobowego wyraźnie pytany o kłopoty z krwawieniami zaparł się tego kategorycznie odpowiedział ze szczerością idioty: „Panowie Doktorzy !. Ja mam ciągle anginy i to ciężkie, ale co powiem laryngologowi, że mam hemofilię to mnie odsyłają do konkurencji !”. A więc wreszcie znalazł mądre rozwiązanie swego problemu. I dziwić się, że zawał serca jest chorobą zawodową chirurgów ?.

Dyżury w klinikach chirurgii ogólnej były w szpitalu codziennością. Niezwykle często mylono jednak pawilon pierwszy, w którym pracowaliśmy my, laryngolodzy, z Pierwszą Kliniką Chirurgii kierowaną przez prof.Tadeusza Butkiewicza. Pewnego dnia dwóch osiłków, sanitariuszy Pogotowia Ratunkowego z terenu województwa, wniosło do nas chorego w ciężkim stanie, cierpiącego. Poproszeni o skierowanie pokazali dokument na którym widniało rozpoznanie: „ Debilitas parietes abdominalis „, co w języku polskim odpowiadało dokładnie polskiemu określeniu „ Zidjocenie ściany brzucha „. Ze względu na stan pacjenta zbadaliśmy go na miejscu

razem z Tadeuszem Jeglińskim mając za sobą jednak staż chirurgiczny. Facet miał przepuklinę pachwinową uwięznięta od kilku dób i stąd objawy narastającej niedrożności jelit i jej skutków. W zasadzie wszystko się zgadzało, tylko ta „mazowiecka łacina „ !.

12 kwietnia 1961 roku poruszyła nas wieść o wystąpieniu w kosmos pierwszego człowieka, którym był radziecki pilot Jurij Gagarin. Wrażenie zrobiło to wielkie, ale nie na klasie robotniczej, przodującej sile narodu. W Warszawie już nazajutrz opowiadano, że kiedy na jednej z warszawskich budów młody murarz zwrócił się do majstra z tą poruszającą wieścią:

„*Ociec, Ruskie w kosmos polecieeli !!!*”

został zapytany: „*A wszystkie ?* „

„*Nie, tylko jeden !!!*”

„*No to czemu, synku, dupę mi zawracasz !!!*”.

Szczególne więzy przyjaźni połączyły mnie od pierwszych dni w Klinice z Tadeuszem Jeglińskim. Przyjaźń ta przetrwała bez jakichkolwiek załamań do końca życia Tadeusza.

Starszy ode mnie o 8 lat Tadeusz miał jednak duszę młodzieńczą, harcerską. Urodzony w Warszawie w patriotycznej rodzinie inteligenckiej jako syn Zdzisława i Anny z domu Sikorskiej. W czasie okupacji uczęszczał do tajnego Gimnazjum Anny Goldmann w Warszawie. W latach 1942 – 1944 był czynnym uczestnikiem ruchu oporu w Szarych Szeregach, uczestnikiem „Akcji Wawer „. Następnie działał w zgrupowaniu „Obroża „ Armii Krajowej. W chwili wybuchu Powstania warszawskiego był łącznikiem A.K. W latach 1947 – 1952 odbył studia na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Warszawskiego, a następnie Akademii Medycznej w Warszawie. Pracował na oddziałach chirurgii kolejno: w latach 1952 – 1953 w Szpitalu Rejonowym w Hajnówce, w latach 1953 – 1955 w Szpitalu Powiatowym w Skierniewicach, w latach 1955 – 1957 w Wojewódzkim Szpitalu Garnizonowym w Żarach k/Żagania. Od 1958 zatrudniony jako chirurg w Okręgowej Przychodni Lekarskiej PKP w Warszawie. Od 1961 do emerytury pracował stanowisku nauczyciela akademickiego Kliniki Otolaryngologii A.M. w Warszawie. W momencie przystępowania do pracy w naszej Klinice był nie tylko najzdolniejszym, ale bardzo już doświadczonym chirurgiem, zwłaszcza w odniesieniu do przypadków schorzeń nie związanych z czaszką. Żona, z zawodu położna, opiekowała się dwoma synkami w wieku przedszkolnym. Obaj byliśmy swego rodzaju „chłopcami na posyłki „ dla starszych kolegów, zwłaszcza odczuwaliśmy to przy układaniu planów dyżurowych lub szukania zastępstw w przypadkach przypadków losowych. Zwykle miewaliśmy od 8 do 10 całodobowych dyżurów w miesiącu. Profesor Szymański nieustannie nas mylił. Byliśmy dla niego jak Lelum – Polelum, nie do odróżnienia. Nierzadko byłem opieprzany przez szefa za coś do czego się nie dotknąłem i na odwrót za chwilę spotykało to Tadeusza. Nigdy nie protestowaliśmy przeciwko naganie, bowiem szef zawsze powinien mieć rację, a raczej mieć przekonanie, że ja ma. Trzymaliśmy się ściśle zaleceń wydanych służbie przez pewnego polskiego magnata w XVII wieku, który mówił: „*Nigdy umysłu pańskiego złą wiadomością nie zasmucać, bo dobremu słudze przede wszystkim winno być miłe pańskie zdrowie. A wreszcie i cóż to pomoże ?* „. Natomiast starannie wymienialiśmy między sobą treść tych połajanek i wyjaśnialiśmy o co, w rzeczy samej, poszło. Tadeusz zarabiał pracując popołudniami jako chirurg ogólny w Przychodni Polskich Kolei Państwowych tuż obok, w pasażu pomiędzy ulicą Nowogrodzką i Alejami Jerozolimskimi, okresowo zaś w Prywatnej Lecznicy „ALFA” słynnego w Warszawie doktora Jabłońskiego. Żył mu się jeszcze ciężiej niż mnie ze względu na obowiązki rodzinne. Zawsze się spieszył, co przyczyniło się do powiedzenia profesora Szymańskiego: „*U mnie w klinice dwie osoby nieustannie się spieszą: moja Żona i Jegliński. Różni ich tylko to, że o ile Janeczka biegnie zawsze środkiem korytarza, to Jegliński przemyka się pod ścianami !*”. Ten pośpiech doprowadził pewnego razu do sytuacji, delikatnie mówiąc, nieprzyjemnej. Tadeusz operował kolejnych chorych i w przerwach na zmianę rękawiczek chirurgicznych pił wodę lub kawę. Złośliwi koledzy twierdzili, że pije tak dużo między operacjami, aby napór na pęcherz zmuszał go szybszej pracy przy stole. Operacyjnym, rzecz jasna !. W planie było wykonanie tracheotomii, który to zabieg był umieszczony w planie jako ostatni, ze względu na specyfikę. Głupia salowa zamiast zapytać o nazwisko i sprawdzić je na karcie gorączkowej weszła na sale chorych i wrzasnęła: „*Któraś tu do operacji ?* „. Chory oczekujący na zabieg był w tym czasie w ubikacji, natomiast zgłosił się jako

chętny pacjent z zaawansowaną schizofrenią przesłany ze szpitala psychiatrycznego w Tworkach do operacji polipów nosa. Siostry operacyjne ułożyły go na stole operacyjnym, umyły skórę szyi, obłożyły chustami operacyjnymi. Tadeusz szybko wykonał tracheotomię i wtedy zorientował się w sytuacji, że to nie ten klient. Właściwy chory oczekujący na zabieg miał duszność krtaniową akcentowana tak zwanym świstem krtaniowym. Trudno sobie wyobrazić w jakiej kondycji psychicznej był operator. Najlepsze było to, że ów pacjent za Boga nie dał sobie usunąć rurki tracheostomijnej i głośno chwalił operatora i klinikę za to, że dzięki nim wreszcie odzyskał możliwość oddychania „pełną piersią”. Komentując to wydarzenie dr. Markiewicz wspominał swoje podobne doświadczenia:

„Zawiadomiono mnie, że został przyjęty w ramach dyżuru duszący się pacjent. Polecilem bez oglądania chorego dostarczyć go na blok operacyjny. Kiedy wszedłem na sale operacyjną chory był już przygotowany do zabiegu przez doświadczonych salowe i instrumentariuszki. Nagle coś mnie zastanowiło. Jeśli się dusi, to dlaczego nie słychać charakterystycznego świstu krtaniowego?. Odchylam delikatnie sterylne prześcieradła okrywające twarz i kogóż widzę?. Widzę Żdzisia, znanego psychopatę, który miał przyjemność seksualną jedynie wtedy kiedy przeprowadzano u niego ezofagoskopię. Dla uzyskania orgazmu tykał ciała obce i zgłaszał się do naszej Kliniki. Wyłącznie do naszej Kliniki bowiem tylko do nas miał zaufanie. Był głuchoniemy i dobrze znany personelowi. Tego dnia dyżurowała nowa, niedoświadczona pielęgniarka i tłumaczyła się potem, że chory, niemowa, zamiast wywiadu chorobowego pokazywał na gardło i szyję jęcząc przeciągle na wdechu: Eeeeeech ! Eeeeeech ! Eeeeeech !. Sprawiało to wrażenie duszenia się stąd dalsze działania personelu.

Zdarzało się, że w pierwszym okresie naszej pracy w klinice pełniliśmy z Tadeuszem dyżury we dwóch. W pamięci zostanie dyżur, w czasie którego przywieziono nam chorego z niesłyszaniem zaawansowanym rakiem krtani naciekającym niezwykle rozległe tkanki szyi. Chyba nigdy w późniejszych latach mojej pracy zawodowej nie widziałem takiego przypadku. Szyje tego rodzaju zwykło się określać mianem „szyi Nerona”, jeśli to prawda, że Neron miał ją o szerokości równej barkom. Chory miał twarz o kolorze dojrzałej, fioletowej śliwki. W zasadzie nikt nie był w stanie wytłumaczyć na jakiej zasadzie zasysał odrobinę powietrza poprzez masy nowotworu całkowicie uniedrażniające krtani.

Niezbędnym było natychmiastowe wykonanie tracheotomii, ale jak w tych masach patologicznej tkanki znaleźć tchawicę?. Namęczyliśmy się okrutnie i wreszcie gdzieś z głębi tkanek wydobyły się pęcherzyki powietrza. Szczęśliwi założyliśmy w tą przetokę rurkę tracheotomijną. Pacjent zaczął oddychać i powoli nabierał normalnego koloru skóry. Nazajutrz obu nas wezwał profesor Szymański, który w dość ostry jak na niego sposób zwrócił uwagę na to, że tracheotomia jest wykonana nieprawidłowo. Nieśmiało zapytaliśmy na czym polega błąd techniczny tego zabiegu i usłyszeliśmy, że „nie jest dobrze ponieważ rurka dewiuje!”. Daliśmy sobie spokój z wyjaśnianiem sprawy.

Obaj dostaliśmy etat kliniczny z dniem 1 lipca 1961 roku. Tadeusz wszedł na miejsce Zygmunta Zielińskiego, który objął kierownicze stanowisko w organizacji stołecznej służby zdrowia. Poza oczywistymi swymi walorami zawodowymi, Tadeusz był kolegą z czasu studiów Zygmunta, którego opinia liczyła się w sposób szczególny. Moja sprawa miała mniej sympatyczny przebieg. W drugiej połowie czerwca 1961 niespodziewanie Profesor zwołał zebranie nauczycieli akademickich. Doktor Markiewicz złożył wypowiedzenie i chodziło o obsadę etatu po nim. Zgodnie z zachętą i radą doktora Bochenka złożyłem wniosek o zatrudnienie mnie. Miałem poparcie, jak zawsze, pani Docent Cichockiej – Szumilin. Mimo tego, że do grupy nauczycieli akademickich nie należałem zostałem na to spotkanie zaproszony i dlatego u progu biblioteki zaczęła mi w mózgu migać „czerwona bioelektryczna lampka sygnalizacyjna”.

Po krótkim wstępie Profesor oznajmił, że właśnie pan Rektor Kasprzak rozstrzygnął sprawę zatrudnienia dwóch nowych kolegów w miejsce dr. Eugeniusza Markiewicza odchodzącego do Kliniki ORL Studium Doskonalenia Lekarzy, pracującej pod kierownictwem prof. Teofili Bystrzanowskiej w Szpitalu Bielańskim oraz w miejsce dr. Zygmunta Zielińskiego. O ile nie ma żadnych zastrzeżeń co do kandydatury dr. Tadeusza Jeglińskiego, to na miejscu Markiewicza On

widział doświadczonego dr. Tadeusza Bardadina, a nie młodego i niedoświadczonego kolegę Janczewskiego. Wedle Profesora był to spisek przeciw Niemu skierowany i zorganizowany przez grupę nauczycieli akademickich, którym przewodzili Doc.Cichocka – Szumilin i dr.Bochenek. Powiedziałem sobie, jak zresztą wiele razy po tym w mym życiu zawodowym „*nie ze mną takie numery !*”. Kilka minut po zakończeniu zebrania byłem w gabinecie Profesora z rezygnacją z przyznanego etatu przedstawioną na piśmie. Profesor był człowiekiem miękkim i szczerze mówiąc sprawiał wrażenie zestresowanego. Zaczął mi wyjaśniać, że stałem się pionkiem w grze. Bochenek nie za bardzo lubił Bardadina, widząc w nim najprawdopodobniej konkurenta do spadku po obecnym szefie, i nawzajem. Stąd użyto mnie jako kandydata niegroźnego dla każdej ze stron. Tego rodzaju wyjaśnienie tym mocniej upewniło mnie w powziętej już decyzji. Następnego dnia poprosiła mnie na rozmowę Żona Szefa pani dr. Janina Beutler – Szymańska, która oddała mi moje pismo prosząc o jego natychmiastowe zniszczenie. Charakterystycznym dla Niej, nieco chrapliwym głosem wieloletniej palaczki tytoniu powiedziała mi, że nie po raz pierwszy i zapewne nie ostatni „*baba musi rozwiązywać męskie głupoty !*”. W dalszych latach mego życia zawodowego z doktorem, a następnie docentem i profesorem Tadeuszem Bardadinem, dla przyjaciół Leszkiem, byłem w serdecznej przyjaźni. Kilkanaście lat później promowałem na doktora nauk medycznych Jego syna Janka.

I tak oto z dniem 1 lipca 1961 roku stałem się członkiem społeczności akademickiej. Pewnego dnia odchodzący do innej pracy dr.Eugeniusz Markiewicz widząc jak starannie podkładałem gazetę przed wejściem na wyścielane krzesło w bibliotece klinicznej w momencie sięgania na górną półkę z książkami powiedział, że wiele wskazuje na to, że właśnie ja będę w przyszłości tej kliniki szefem. Głupio mi było wobec obecnych w tym momencie kolegów, ale – jak się po tym okazało – była to prorocza przepowiednia. Podobną opinię wyraził w końcu pierwszego roku mojej pracy w Klinice pan Kazimierz Kuźniarski podsumowując pochlebnie moją działalność i postawę w tym czasie. Te opinie krępowały mnie bardzo ponieważ trudno i głupio było wówczas brać je na serio. Pan Kazio lubił mnie w sposób szczególny i to okazywał wszem i wobec. Lubił także Tadzia Jeglińskiego i swoją szczególną do nas przyjaźń okazywał proponując jego lek ulubiony: suszone śliwki. „*Chłopaki, jedźcie śliwki, a będziecie mieć codziennie regularne stołeczki !! (stolce)*”

Dr. Eugeniusz Markiewicz był osobą niezwykle popularną i szanowaną w naszej mikrospołeczności otolaryngologicznej. Spełniał On w klinice, poza wszystkimi innymi, rolę przedwojennego filozofa kawiarnianego Franca Fiszera. Był znawcą płci pięknej i miał też wielkie powodzenie u pań. Na jakiejś męskiej popijawie Genio oświadczył: „*Panowie ! Młoda, ładna kobieta to jest prawdziwe dzieło sztuki. Dzieło natury !*”. Na co inny chłopak twierdził: „*A nie sądzisz Geniu, że to samo można powiedzieć o młodym, przystojnym chłopaku ?*”, na co usłyszał oświadczenie „*Eeeee, ja tam jestem lesbij !*”. Kiedy któryś z kolegów narzekał po warszawsku, że „*dziewczyzna jest wątpa na urodzie*”, Genio z zapalem kontrował: „*Ona, baranie, nie jest dla amatora tylko dla znawcy !*”. Innym razem na wyrażoną w męskim gronie opinię, że pewien kolega stracił rozum dla pewnej pani odpowiedział natychmiast: „*Żeby rozum utracić, to najpierw trzeba go posiadać !!!*”, „*Umiął godnie przyznać się do porażek w swych podbojach erytycznych: „Budzę się rano po cudownej nocy. Macam obok siebie. Jest. Ta obudziwszy się rozgląda się wokół i szczebiocze: Ale mieszkanie to też masz maleńkie !!!*”. Wysoki, z lekko zaznaczonym wytrzeszczem gałek ocznych, cierpiał na zaburzenia tarczycowe, które nie przeszkadzały mu być jednym z najdowcipniejszych lekarzy warszawskich. Jego poczucie humoru było typu angielskiego i celował w paradoksach. Przypominał w tym względzie Kazimierza Rudzkiego. W czasie jakiejś popijawy dobrze „zaprawiony”, kolega błysnął erudycją i powiedział, że właśnie ostatnio uczeni amerykańscy twierdzą, iż Biblia się myli i że najnowsze badania wykazują, iż pierwszym człowiekiem musiała być Ewa, nie Adam. Słowem baba a nie chłop. Genio zastanowił się głęboko i z absolutną pewnością odrzekł: „*To są idiotyzmy. Nawet Pan Bóg musiał zaczynać od zera !*”. Pamiętam jak kiedyś w czasie wizyty w okresie przed Świętami Bożego Narodzenia ktoś z kolegów westchnął: „*A któż to nie uznaje czaru tych świąt ?*”, na co Genio przytomnie odparował: „*No, na przykład karpie !!!*”. Miewał, jak każdy człowiek, okresy nieco gorszego humoru, chociaż nikt Go

nie widział w stanie depresji. A jednak w chwili gorszego samopoczucia zaczepiony wiosną w słonecznym, ciepłym Ciechocinku przez Tadzia Jeglińskiego, który wykrzyknął: „*Ach, jaki piękny mamy dzisiaj dzień ! Jaki piękny jest ten świat !*” Po prostu chce się żyć !” odpowiedział mu chłodno: „*No tak daleko bym się nie posuwał !*”. Kiedyś z kolei Tadzio Jegliński zmęczony po dyżurze w obliczu konieczności pójścia do kolejnej pracy dodatkowej wyrzucił z siebie skargę: „*Cholera, smutno, żyć mi się nie chce !*” co wywołało przytomną reprimendę Genia: „*A jak umrzesz, to cię to rozbawi ?* ... Pewnego kolegę zachłystującego się swym mistrzostwem operacyjnym napominał: „*Tylko nie złam ręki jak będziesz się poklepywał po ramieniu !*”. Wielokrotnie przypominał maksymę głoszoną przez późniejszego J.M. Rektora Akademii Medycznej w Warszawie prof. Tadeusza Tołłoczkę: „*Chirurdzy dzielą ludzi na dwie kategorie – na operowanych i na nieoperowanych. Grupa ludzi nieoperowanych ich nie interesuje. Natomiast operowanych dzielą też na dwie kategorie: na operowanych przez siebie oraz operowanych przez innych, ale nie tak dobrych chirurgów !*”. Nienawidził idiotów i o pewnym znanym laryngologu, a marnym fachowcu, praktykującym prywatnie w Warszawie mawiał: „*Powinien się wreszcie udać w najdłuższą podróż swego życia. Pójść po rozum do głowy !!!* ... Był ogromnie lubiany i szanowany przez Szefa kliniki, któremu wyjątkowo – jak na owe czasy-pozwalał sobie czynić uszczypliwe uwagi. Kiedy Genio pracował jako konsultant w naszym „ośrodku – naukowobadawczym „ w Ciechocinku przyjechał na comiesięczną wizytację Profesor. Profesor był nie tylko znawcą, ale koneserem płci pięknej. W czasie wiosennej przechadzki po okwieconym bzami Ciechocinku widząc szeregi ponętnych młodych pań leczących się w sąsiednim sanatorium z powodu bezpłodności Szef westchnął: „*Geniu, jak widzę te kobiety, to aż szumi mi w głowie !* ... Na co Genio beczelnie: „*Panie Profesorze, to wapno się lasuje, a nie hormony !* ... Nie znaczy to, aby Pan Adiunkt Markiewicz nie miał także poczucia humoru plebejskiego. Mniej więcej co trzy – cztery miesiące męska część zespołu kliniki chodziła na podwieczorek do knajpy „*DZIK* „ na rogu Poznańskiej i Nowogrodzkiej, gdzie można było zjeść dobrze, obficie i za niewielkie pieniądze. Tam Genio brylował i jego ulubionym toastem, w czasach kiedy przywódcy narodu nieomal każde wystąpienie rozpoczynali tradycyjnie zawołaniem: „*W imię Rządu ! W imię Partii ! W imię ludu pracującego miast i wsi !*, było: „*Chłopaki ! Teraz pijemy pod trzy wymiona !: Wymie Rządu ! Wymie Partii ! Wy mnie w d... pocałujcie !* ... Cały zespół Kliniki serdecznie żałował jego odejścia. Poświęcam Geniowi więcej miejsca na wspomnienia, bo była to w rzeczy samej postać niezwykle barwna, o wielkiej inteligencji i doskonały fachman. A do końca życia nie zrobił doktoratu, mając wszystkie stopnie i tytuły naukowe w Poza wszystkim po nim właśnie dostałem etat kliniczny. Odwiedzał nas w klinice nieomal do swej śmierci i zawsze gromadził wokół siebie grono wdzięcznych słuchaczy. Podczas kolejnych odwiedzin kiedyś po zażyciu terapeutycznej dawki jodu promieniotwórczego gestem ramion odganiał nas od siebie krzycząc: „*Chłopaki, ja promieniuje jak reaktor w Świerku. Nie zbliżać się do mnie bo wam jądra wyschną!*”

Każdy z asystentów naszej kliniki raz w roku przez miesiąc zobowiązany był do pełnienia czynności tak zwanego „*lekarza wahadłowego* „ konsultującego przypadki otorynolaryngologiczne w Uzdrowisku Ciechocinek. Nasz ośrodek mieścił się w byłej willi nazywanej od stylu „*Dworkiem* „, gdzie przed wojną rezydował w czasie swych urlopów Prezydent II Rzeczypospolitej Ignacy Mościcki. Po odwilży październikowej dworek zajmowany przez bonzów partyjnych został zwrócony społeczeństwu i wykorzystany jako minisanatorium. Istotnie nasi asystenci, zwłaszcza młodzi, pracujący w Ciechocinku narażeni byli tam na niebywałe pokusy, bo standardowym zabiegiem mającym leczyć bezpłodność było wypełnianie szczególnie intymnych zakamarków pacjentek pragnących zajść w ciążę gorącą pastą borowinową. Rozgrzane do czerwoności wychodziły „*na miasto* „ i męża nie było pod ręką. Jeśli tu o ręce można mówić. Stary Profesor Adam Czyżewicz, sława ginekologii polskiej, mawiał nawet taki wierszyk: „*Nie po to jest błoto, aby je pchać w toto !!!*”.

Lekarzem Naczelnym Uzdrowiska Ciechocinek był w tym czasie dr.med. Cyprian Sadowski. Miał on wspaniałą kartę działalności konspiracyjnej jako współorganizator zaplecza sanitarnego dla wszelkich akcji Kedywu Armii Krajowej. Znany był w kołach akowskich pod pseudonimem „*Skiba* „. Po Powstaniu Warszawskim zniknął z Warszawy i jakimś cudem nie był

unicestwiony przez Władzę Ludową, co więcej doszedł do stanowiska kierującego całym personelem medycznym Uzdrowiska Ciechocinek. Przed wojną skończył Podchorążówkę Sanitarną korzystając z dydaktyki medycznej Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Warszawskiego i z tych czasów znał, co więcej, był zaprzyjaźniony z profesorem Szymańskim. W latach międzywojennych, po skończeniu studiów, był lekarzem oficerem zawodowym, pracującym w Sanatorium Wojskowym w Ciechocinku, stąd zapewne wybór miejsca pracy po wojnie. Każdy pobyt służbowy naszego Szefa wiązał się z kolacją serwowaną dla obu panów w lokalu, gdzie działała całkiem, na owe czasy, przyzwoita restauracja. Pewnego razu zostałem zaproszony na taką kolację dwóch bossów, co było dla mnie, młodego lekarza, wielkim zaszczytem. Doktor Sadowski o swej działalności w ruchu oporu mówił niechętnie, co jak sądzę było w tym czasie nadal mało bezpieczne, zwłaszcza opowiadania o ludziach z tego kręgu. Kochał opowiadania do dobrych czasach przedwojennych, czasach jego młodości.

„ Miałem pewnego dnia służbę oficera dyżurnego sanatorium wojskowego, ale nic się nie działo. Dzień był upalny, panie oficerowe siedziały pod tętniami na leżakach i postanowiłem nad wieczorkiem skoczyć na kielicha do restauracji. W tych latach był to lokal nieomal na poziomie warszawskiej ADRII, gdzie w sezonie grywała słynna orkiestra Golda i Petersburskiego. Towarzystwo bawiło się na całego i piło ponad miarę. Kiedy tańczące pary opuszczały parkiet pijany cywil podniósł z podłogi zagubiony order Krzyża Wojennego Virtuti Militari i zaczął nim wymachiwać jak chusteczką do nosa wrzeszcząc w niebogłoso: „ Który to zgubił, który ? „. Oliwy do ognia dołał jakiś półprzytomny z przepicia inny cywil, który wrzasnął: „ Przecież tu nie ma takiego co by na ten Krzyż zasłużył ! „. I zaczęło się. Wytworne towarzystwo we frakach, cywile i wojskowi, lało się po mordach jak w amerykańskim saloonie. Byłem młody i głupi, ale byłem oficerem i nie mogłem pozwolić sobie na kpiny z Virtuti Militari. Wyciągnąłem pistolet służbowy, zarepetowałem i bez namysłu strzeliłem w wielki bęben zespołu orkiestry. Huk był jak przy wystrzale ciężkiej haubicy. Faceta, który grał na bębnie, szczęśliwie stojącego z boku, uniosło z przerażenia do góry. Nieomal przykleił się do sufitu. Ale zjawiała się wezwana przez nieznaną się na żartach cywilów żandarmeria wojskowa i zostałem przewieziony do Torunia. Komendant garnizonu General X. wywodzący się z carskiej armii kazał się zameldować i wyjaśnić całe zajście. Zostałem ukarany trzema dniami aresztu w moim pokoju w sanatorium w Ciechocinku bez prawa wyjścia i jednocześnie nagrodzony „ za obronę honoru Wojska Polskiego „ tygodniowym urlopem na Helu.

Po przybyciu w roku 1945 do Ciechocinka w drewnianym domu posadowionym tuż koło „ Grzybka „ (fontanna w centrum uzdrowiska – przyp. mój) była siedziba NKWD. Tu odbywały się przesłuchiwania tłumów byłych sowieckich jeńców wojennych, którzy przeżyli niemiecką niewolę. Każdy z nich był z góry traktowany jako zdrajca i wróg Związku Radzieckiego. Znaczną część z nich rozstrzeliwano na polach w okolicy starej warzelni soli na przedmieściach Ciechocinka w okolicy wału przeciwpowodziowego i grzebano bezimiennie nad Wisłą. Kto dzisiaj z kuracjuszy o tym wie ?. Miejscowi raczej nie chcą o tym wspominać „

Dzięki kontaktom uzdrowiskowym z doktorem Sadowskim poznałem odwiedzającego Go legendarnego „ cichociemnego „ kapitana Armii Krajowej doktora Alfreda Paczkowskiego pseudonim „Wania”, odwiedzającego starego druha, z którym studiował w przedwojennej Szkole Podchorążych Sanitarnych Zawodowych, a następnie konspirował w szeregach Armii Krajowej. O ich działalności konspiracyjnej nie mówiło się wcale. Był to w tych czasach temat trefny. Wspomnienia doktora Paczkowskiego wydane przez Pax dwadzieścia kilka lat później w roku 1987 pod tytułem „Ankieta cichociemnego „, czytałem z ogromnym zainteresowaniem wspominając potężną sylwetkę autora. Wojennego losy dr. Sadowskiego może czytelnik znaleźć w opasłym tomie „Pamiętniki Lekarzy „wydanym przez „Czytelnika „ w roku 1968, w rozdziale „ Wyboista droga „, na stronach 547- 635. Jest to fascynująca lektura.

Doktor Sadowski był uroczym, zawsze uśmiechniętym i pełnym – mimo przeżyć- optymizmu człowiekiem. Raz Go tylko widziałem rozsierzonego. Otóż zdarzył się w tym czasie w uzdrowisku przypadek molestowania pacjentki. Oskarżanym o te niecne praktyki był masażysta, który ponoć zachęcał swe potencjalne klientki do „ masażu „, tym, że będzie to wykonane „ metodą

tybetańską „. Udawało się to przez czas jakiś, ale pewna dama, z dużego miasta zaprotestowała, że ten rodzaj masażu daje jej we własnym domu jej ślubny mąż. Skandal był ogromny i masażysta musiał zmienić uzdrowisko. Na szczęście praca dla masażysty wtedy szukała ludzi, a nie odwrotnie.

Doktor Cyprian Sadowski był, jak to się dzisiaj mawia „człowiekiem legendą „. W kolejnym roku mego pobytu w Ciechocinku ośmieliłem się Go zapytać dlaczego w swych wspomnieniach „*Wyboista droga* „ będących częścią opublikowanych przez „Czytelnika „w roku 1968 „ Pamiętników lekarzy „ wiele spraw podał w formie, delikatnie mówiąc, zawołowanej. Odpowiedział po prostu: „*Wie Pan, ja wkrótce po przyjęciu pracy tutaj, w uzdrowisku, dostałem się do więzienia. Za bezdurno, ale może nie do końca za bezdurno. Bezpieka pewnych rzeczy mnie nie zapomni. Nie mam zamiaru wracać do więzienia, a o to wciąż nie jest trudno z moją kartoteką !!!* „. Nigdy już nie wracałem do tak głupich pytań.

Planując swe służbowe wyprawy do Ciechocinka usilnie starałem się zdobyć pracę w miesiącu maju, który jest tu wyjątkowo piękną porą roku, pełną rozkwitłych bżów. W sposób szczególny walczyłem o tą porę roku po urodzeniu się naszej córki Agnieszki. Pokój służbowy lekarza zajmowali moi Rodzice z małą Agusią, ja spałem w pokoju lekarskim na kozetce. Twarde to było łóżko, ale mała miała o miesiąc dłuższe wakacje na świeżym, jodowanym powietrzu. Cóż to zresztą znaczyło dla trzydziestolatka spać na twardym, madejowym łóżku.

Rano pędziłem do gmachu głównego inhalatorium, gdzie przyjmowałem pacjentów ambulatoryjnie przez cztery godziny. Byli to kuracjusze kierowani przez liczne sanatoria przynależne do Przedsiębiorstwa „Uzdrowiska Polskie „. Wiele, aby nie rzec, zbyt wiele było skierowań świadczących o kompletnej niewiedzy lekarzy wystawiających zlecenia kuracji właśnie w Ciechocinku. Spotykało się także przypadki mniej lub bardziej zaawansowanych nowotworów, zwłaszcza gardła i krtani, którym miała pomagać inhalacja z bardzo drażniącej tkanki drogi oddechowej solanki ciechocińskiej.

Jednym z naszych pacjentów sanatoryjnych był pan P. mąż sympatycznej pani z sekretariatu Szpitala Klinicznego, okresowo wracający do nas na kolejne operacje polipów nosa i zatok. Po operacji wystawialiśmy mu skierowania na turnus leczniczy stosując modne wtedy kuracje inhalacjami z użyciem glikokortykosterydów. Pan P. był zapalonym i doświadczonym wędkarzem i znaczną część dnia, po wykorzystaniu zabiegów leczniczych, spędzał nad brzegiem Wisły. Pewnego dnia z tryumfem zaprosił na obejrzenie wielkiego suma, którego złapał. Istotnie takiej ryby nie widziałem nigdy przed tym ani po tym. Wielki bydlę o wadze przekraczającej 20 kilogramów leżało na balkoniku jego pokoju przypominając wyglądem dość dużego prosiaka. Mała Aga trzymając się mnie kurczowo za rękę spojrzała na wielką rybę i zdumiona wyszeptała: „*Tatuniu ! To nie jest jiba ! Ja jibę widziałam !* „. Wieczorem odbyło się wielkie pieczenie i picie wody „*pod suma !*“, ale to co jedliśmy nie było zbyt smaczne. Głośno wypowiedano pogląd, że złowiony sum zapewne pamiętał czasy Kazimierza Wielkiego i stąd kiepska jakość mięsa.

Zatrudnienie w Klinice zmobilizowało nas do tego, aby ubiegać się o założenie telefonu domowego, co w czasach siermiężnego socjalizmu wcale nie było rzeczą łatwą ani prostą. W pewnym stopniu pomógł mi mój szkolny kolega Maciek Tokaj zatrudniony w owym czasie w biurze konstrukcyjnym Poczty Polskiej. Znacznie słabszym argumentem było zaświadczenie z naszych klinik stwierdzające że jesteśmy małżeństwem lekarzy i, jak było oczywistym w cywilizowanym świecie, zwłaszcza w takim domu telefon byłby urządzeniem ważnym. Nie tylko dla nas zresztą. Po co najmniej półrocznym oczekiwaniu łaskawie dostąpiliśmy tego zaszczytu i luksusu.

Problemy zaczęły się pierwszego wieczoru jego posiadania. Telefon zadzwonił i po podniesieniu słuchawki usłyszałem nerwowe zapytanie: „*Czy to pan doktor ?* „. Po mojej odpowiedzi twierdzącej usłyszałem: „*Panie doktorze, niech pan przyjedzie do nas, do Sióstr Zakonnych na Puławską. Kobyła się wściekła. Gryzie, kopie, rady sobie dać nie możemy. Trzeba jej dać jakiś zastrzyk na uspokojenie !* „. Byłem absolutnie przekonany, że to moi mądrzy i dowcipni koledzy takie kpiny sobie robią i puściłem w słuchawkę dość mocną „wiązanekę „. Po chwili telefon zadzwonił ponownie i na moje protesty usłyszałem pytanie: „*Czy to doktor weterynarz, taki to a taki ?* „. Sprawa się wyjaśniła dość pokojowo. Ustaliliśmy, że dostał się nam telefon z numerem

przynależnym do tej pory do wziętego weterynarza warszawskiego. Następne prośby telefoniczne o pomoc dla psów, kotów czy kanarków nie były więc równie dużym zaskoczeniem.

W sierpniu 1961 Szef zezwolił mi na wyjazd do Paryża. Poza wszystkim okazja była szczególna – Tata kupił pierwszy w naszym życiu samochód. Była to piękna Simca Aronde Elysee, czterodrzwiowa, czteromiejscowa limuzyna z czarnym dołem karoserii i dachem w kolorze kości słoniowej. Trzeba było szybko robić prawo jazdy, które w tych czasach można było względnie łatwo uzyskać. Ale były to czasy kiedy na stołecznych ulicach dominowały wozy ciężarowe, autobusy, a konnych dorożek i ciężkich wozów ciągnionych przez dwa perszerony i przewodzących węgiel lub piasek na budowy także nie brakowało. Problemy, i to jakie problemy, zaczęły się na dworcu paryskim z którego wysiedliśmy. Szeroki bulwar zastawiony był zderzak w zderzak wieloma kolumnami samochodów jadących do tego w jednym kierunku – horror ! Oświadczyłem przerażonemu Ojcu, że za Boga nie wsiądę do samochodu ponieważ nie mam pojęcia jak się zachować w takim ruchu. Nazajutrz byłem zapisany do szkoły jazdy i godziny spędzone z panem Marcellem, instruktorem, były jednymi z najcięższych w moim młodym życiu. Jeździliśmy po wąskich ulicach Montmartru przypominających ulice Starego Miasta w Warszawie z szybkością zawrotną jak na moje warszawskie jazdy doświadczalne. Przed każdym skrzyżowaniem byłem uświadamiany, że każdy jadący z prawej ma pierwszeństwo i że każdy pieszy zbliżający się do pasów jest nietykalny i należy go uprzejmie zachęcać, aby nam przeszedł przed maską. Największym i najtrudniejszym wyzwaniem była jazda na Placu de Etoile, wokół Łuku Triumfalnego i znalezienie skrętu we właściwą ulicę. Ojciec siedział na tylnym siedzeniu i pełnił rolę tłumacza. Na każdą jazdę brałem dwie koszule: jedną na grzbiet, zaś drugą do podręcznej torby. Pierwsza po dwóch godzinach jazdy, kompletnie mokra, była wyłącznie do wymiany. Po kilkunastu godzinach intensywnej nauki jazdy w Paryżu odważyłem się zawieść Rodziców i Elżbietę do Normandii, gdzie podziwialiśmy wyspę, cud natury i architektury – Mont Sant Michele.

Wracaliśmy do Warszawy pełni nowych wrażeń i szczęśliwi perspektywą możliwości korzystania z własnej „bryki „, która póki co została jednak w Paryżu.

Elżbieta ciężko harowała w Klinice Ginekologii przy ulicy Karowej, ja zaś w lżej w Klinice Otolaryngologii, w której w tym czasie nie przepracowywaliśmy się. Oboje mieliśmy bardzo wiele dyżurów całodobowych. W naszej klinice tak się działo, że starsi stażem i wiekiem koledzy i koleżanki mieli różne prace dodatkowe po południu i w związku z tym na najmłodszych, w tym Tadeusza i mnie, przypadało wcale często dziesięć dyżurów w miesiącu. Moich obciążeń zawodowych w sensie wysiłku fizycznego nie można było jednak porównywać z pracą na polużnictwie. Z tego też powodu w latach nieco późniejszych Elżbieta nigdy nie podejmowała żadnych prac dodatkowych борąc pod uwagę ciężkość Jej pracy i obowiązki domowe. Tak było do czasów uzyskania przez Nią habilitacji.

Po roku pracy w klinice zaproponowano mi dorobienie do marnej asystenckiej pensji prowadzeniem raz w tygodniu konsultacji laryngologicznych w przychodni rejonowej w Mińsku Mazowieckim. Brak laryngologów w tych czasach był ogromnym problemem. Byłem wtedy żółtodziobem w tym fachu, ale tym bardziej starałem się uzupełniać swe braki zawodowe. Dopingiem do podjęcia prac dodatkowych był odwieczny i wciąż aktualny problem żenująco niskich zarobków przeciętnego, zwłaszcza młodego, lekarza. Pieniądzy brakowało, a modły tu by nie pomogły. Poza wszystkim brakiem przyzwoitości jest prosić Pana Boga o to co można zrobić samemu. Drugim konsultującym był Janek Kuś, który mnie tam zaprotegował. Praca zmuszała do podejmowania decyzji i załatwienia w sposób kompleksowy wszystkich, którzy danego dnia się zgłosili, bez względu na ich liczbę. Pacjenci rekrutowali się z całego powiatu i mowy nie było, aby można było – zwłaszcza jesienią lub zimą – kogoś odesłać do domu bez udzielenia porady i pomocy. Oznaczało to konieczność wykonywania na miejscu wszystkich badań i zabiegów, które kwalifikowany laryngolog może wykonać w warunkach lecznictwa otwartego. Tak więc nie było mowy o tym aby nie wykonać punkcji zatok, zaniechać usuwania ciał obcych z nosa czy ucha oraz prób cieplnych dla oceny stanu przedsińców. Odesłanie takich pacjentów do kliniki oznaczało by kompromitację. Pracę ułatwiała pomoc doskonałej pielęgniarki, mieszkanki Mińska, która znakomicie przygotowywała narzędzia i pacjentów do optymalnych działań lekarza. Praca w

Mińsku miała jeszcze jedną zaletę: miałem na lekturę literatury fachowej dwie godziny, a mianowicie czas jazdy tam i z powrotem. Na tyle o ile pozwalały w tym czasie zasoby biblioteki uczelnianej byłem na bieżąco z dostępnym piśmiennictwem anglojęzycznym. Pracowałem tam kilka lat co znakomicie podnosiło moje umiejętności praktyczne i zwiększało doświadczenie zawodowe. Umiałem to docenić i teraz i dzisiaj, kiedy to dziwię się wielu młodym kolegom, którzy pracę w przychodni traktują jako zesłanie, a czas tu przepracowany jako stracony.

Pewnego zimowego wieczoru wracałem z konsultacji w Mińsku Mazowieckim do domu. Na rogu Ząbkowskiej i Nieporęckiej, tam gdzie przed wojną był znany w okolicy sklep z artykułami delikatesowymi pana Soćko, władza ludowa otworzyła restaurację „Grunwaldzka”. Nazwa była o tyle trafnie dobrana, że już po południu ciała zmorzonych alkoholem zalegały okolicę jak ciała rycerzy padłych pod Grunwaldem. Tegoż dnia mróz był spory i facet przytulony miłośnie do muru domu od strony ulicy Nieporęckiej, jak to się mawiało, „puścił pawia”, i do muru przymarzył. Był na tyle pijany, że bezsilnie szamotał się, ale próby oddzielenia ubrania od ściany nie dawały rezultatu. Po wejściu do domu zadzwoniłem na milicję prosząc o interwencję i przewiezienie faceta do izby wytrzeźwień. Trwanie pijaka przez dalsze godziny w takiej sytuacji groziło ciężkim uszkodzeniem zdrowia. Dwa lub trzy lata później reagując na protesty mieszkańców domu przy ulicy Ząbkowskiej 39 władza zrobiła znamieny dla tych czasów gest: nie zamknęła knajpy, a właściwie *wódopoję*, ale zmieniła jego nazwę na mniej patriotyczną: „Dunajcowa”.

W czasie okresów urlopow Tadzia Jeglińskiego przyjmowałem w przedziwnie skonstruowanym gabinecie Lecznicy Alfa. Sama lecznica mieściła się na rogu Alei Jerozolimskich róg Emilli Plater w kilkupiętrowym domu po przeciwnej stronie dzisiejszego Hotelu Marriot. W kasie królowała Mama właściciela. Duże pokoje przedwojennego eleganckiego mieszkania były cienkimi ściankami gipsowymi podzielone na małe kajutki, zaś przez ściany miałem aktualny serwis wiadomości pacjentów udających się do neurologa, dermatologa czy też wenerologa. Moim problemem było to, że miałem identyczne nazwisko jak znany i ceniony specjalista od niepłodności męskiej przyjmujący w te same dni, o tych samych godzinach, w „gabinecie”, obok. Wcale często zdarzało się, że przez pomyłkę kandydatk do leczenia u Zygmunta J. trafiał do Grzegorza J., i czerwieniąc się i jękając prosił o jakiś skuteczny środek na dobry skutek wysiłków prokreacyjnych.

W końcu roku 1961, niedługo przed Świętami Bożego Narodzenia, zaproponowano mi udział w wycieczce do Związku Radzieckiego. Trasa miała prowadzić przez Leningrad i Moskwę, a całą podróż planowano odbyć pociągiem. Elżbieta stuknęła w moją pustą głowę dziwiąc się ogromnie co za pomysł mnie naszedł aby do kraju zimna udawać się w tak mroźnej porze roku. Wycieczka była organizowana przez Związki Zawodowe i jej koszt był symboliczny. Zaprotegował mnie na nią dr. Bochenek, który udawał się tam z właśnie poślubioną, drugą żoną panią dr. Wandą Mitkiewicz. Dzień wyjazdu był mroźny i pochmurny. Czekaliśmy na nas uczestników wycieczki na Dworcu Gdańskim luksusowe i wygodne radzieckie wagony sypialne. Wszystkie przedziały wysłane pluszem pamiętającym czasy przedrewolucyjne wypełnione były ogromną ilością tandetnej bolszewickiej literatury propagandowej. Co dziwne nie było w zasadzie druków w języku polskim, natomiast królował hagiograficzny „modlitewnik”, opisujący życie i dzieło Włodzimierza Iljicza. W sposób szczególnie zainteresowała mnie ta książeczka wydana w języku angielskim, gdzie podano opis protokołu sekcyjnego zwłok „wiecznie żywego Lenina”. Sens tego raportu był taki: „*Oddani Partii profesorowie X, Y i Z, najwybitniejsi w świecie specjaliści od badań mózgu ludzkiego szczegółowo analizowali mózg Iljicza. Ich zdumienie budził fakt, że naczynia krwionośne mózgowia denata były tak zwapniałe iż wydawały specyficzny kamienny dźwięk przy potrącaniu metalowymi narzędziami. Jakież to musiał być gigant intelektualny jeśli z taką arteriosklerozą mógł dokonać udanej rewolucji październikowej i rządzić pierwszym państwem komunistycznym świata*...”. Do dzisiaj nie rozumiem czy autor tej hagiografii był takim wielkim idiotą czy złośliwym anegdotczykiem typu Zoszczenko.

Nasza grupa zajmowała cały wagon. Szybko zorientowaliśmy się, że poza nami i mecenasem z Warszawy, który natychmiast dołączył do naszej trójki, resztę stanowili nie tyle związkowcy co rasowi handlarze z warszawskich bazarów. Przywódcą tej zgranej grupy był niejaki pan Stasio, facet o wymiarach 150 x 150 x 150 centymetrów i o twarzy, używając słownika

Wiecha, „*ozdobionej siwiejącym staropolskim wąsem oraz oczkami błękitnymi jak niezapominajki wymoczone w spirytusie* „. Facet był tak pijany, że jego kompani wnieśli go do wagonu jak mumię i otrzeźwiał dopiero w Leningradzie. Mój serdeczny przyjaciel „ od zawsze „ Maciek Tokaj doradził mi, abym zaopatrzył się w tandetne kapy bazarowe łatwo dostępne na targowiskach Warszawy i niezwykle poszukiwane w Z.S.R.R. Na pytanie gdzie i komu mam je tam sprzedać rzeczowo poinformował, że na placu przed dworcem, z którego wysiadziemy w Leningradzie stoi pawilon, w pierwszym sklepie z lewej strony sprzedawcami są Żydzi rosyjscy i oni kupią wszystko, na pniu, i to za przyzwoitą cenę. Tak się też stało i oto miałem w kieszeni wcale niezły kapitał zakładowy. Zakwaterowano nas w Hotelu Oktiabrskaja posadowionym niedaleko Newskiego Prospektu. Na ulicach nie odnawianych zapewne od rozstrzelania Mikołaja II przewalał się tłum ludzki. Zdumiewała jednolitość ubiorów: mężczyźni i kobiety byli ubrani w palta z grubego flauszu, przy tym ktoś kto miał granatowe palto zawsze nosił brązowy kapelusz a do tego brązowe buty i odwrotnie. Zasada ta dotyczyła obu płci. W ramach wolnego czasu wybraliśmy się z Mecenasem na cudowną ulicą jaką jest Newskij Propekt. W pewnym miejscu zbliżyliśmy się do ciekawej cerkwi zbudowanej nad kanałem z czerwonej cegły, której portal ozdobiono cudowną mozaiką przedstawiającą pasję. Drzwi były zawarte na głucho, zabite brudnymi, nieheblowanymi deskami, a na dodatek ozdobione wielkimi kłódkami. I wtedy zbliżył się do nas stary człowiek, biednie, ale czysto ubrany, i można powiedzieć po europejsku wedle mody sprzed I Wojny Światowej. Był typową osobowością rosyjskiego inteligenta z czasów carskich: mądra, szczupła twarz Czechowa, z binoklami na nosie. Zaczęliśmy go pytać o historię tej cerkwi, a on się wtedy rozplakał. Rozpytywał czy my jesteśmy z Litwy czy z Estonii, bardzo zdziwiony, że z Polski. Oglądając się wokół siebie szeptał głośno: „*Eto drugije ludji, eto drugije ludji !*”. Od niego właśnie dowiedzieliśmy się, że jest to cerkiew pobudowana dla upamiętnienia śmierci i miejsca, w którym zabito w zamachu bombowym jednego z carów, bodaj Aleksandra II – ego. W innym miejscu Prospektu zdumieni zobaczyliśmy fronton kościoła. Gmach zbudowany w stylu klasycznym, nie wyglądający na cerkiew chociaż ozdobiony krzyżem prawosławnym, był – o dziwo – przepięknie odnowiony. Otworzyliśmy drzwi i stanęliśmy jak wryci. Wewnątrz kościoła w brudzie i pyłe pracowały rzędy frezarek czy obrabiarek wykonując zadania kolejnej piatiletki. Wspaniała budowla Isaakijewskiego Soboru była przekształcona w muzeum ateizmu i po wejściu do wnętrza świątyni prymitywna przewodniczka w sposób nachalny tłumaczyła o tym jakim opium dla ludu pracującego miast i wsi całego świata jest wiara w Boga i jakie głupoty, jak na przykład legenda o Adamie i Ewie są zawarte w Piśmie Świętym skoro każdy światły człowiek wie, że wszyscy pochodzimy wprost od małpy. Pan Stasio trzeźwo podsumował jej wywody: „*Spójrz pan na te cholere, na jej giczolę i na jej giembe. Widać, że wczoraj z drzewa zeszła !* „.

W pewnym miejscu na Newskim Prospekcie gromadziła się grupa ludzi. Co jest ?. A oto przywieźli do sklepu papachy, prawdziwe ruskie skórzano – futrzane papachy. Cena 5 rubli za sztukę. Ochocho stanęliśmy w kolejce, która wkrótce zaowocowała śliczną czapą. Dziewczyna sprzedająca je jedną ręką sięgała do jakiegoś pojemnika z towarem, zaś drugą odbierała pięć rubli. Ta prosta metoda znakomicie przyspieszała sprzedaż, ale skutkowało tym, że mowy być nie mogło, aby rozważać drobny problem: czy rozmiar czapki jest dobry dla kupującego. Na moje protesty, że to dla mnie za duże, usłyszałem uprzejme: „*Paszol won, durak !*”. Tłumek nabywców przynagłał i następnie cierpliwie na zasadzie „*machniom !*” prowadził wymianę papach aż do skutku, czyli aż do dopasowania głowy do papachy. Głowa była w tej operacji przedmiotem nie podmiotem.

Wieczorem w dniu przybycia do Leningradu hotel zorganizował nam przyjęcie z szampanem i wódką. Podano wspaniałe mięsa i ryby. Nasi współwycieczkowicze pili na umór i rano wydarzyła się zabawna historia. Na śniadanie szef sali przyniósł nam kilka butelek szampana zdumiewając nas przeprosinami, że on nie zdawał sobie sprawy z tego, że właśnie oto gości wycieczkę żarliwych polskich komunistów. Okazało się, że po naszym wcześniejszym wyjściu do pokojów reszta naszego „towarzystwa „ w konsumpcji alkoholu postanowiła pokonać gospodarzy na zasadzie: „*Polak potrafi !!!*”. I oto po północy pan Stasio pełznąc na czworakach po schodach na górę przysnął znużony na półpiętrze, gdzie we wnęce, tam gdzie u nas bywa miejsce Madonny lub świętego pańskiego stała figura Lenina otoczona lampeczkami jak gwiazdki z dzisiejszego

sztandaru Unii Europejskiej. Gdy zrobiło mu się nieco chłodniej ocknął się i rzucił na posąg pokrywając go pocałunkami i krzyżąc: „*Wołodia, ty lubimyj mój !*”. Agenci służb występujący jako *etażowi* z wielkim szacunkiem dotaszczyli go do pokoju i doszli do prostego wniosku, że jeżeli facet kompletnie pijany w stanie upojenia całuje posąg Wodza Rewolucji, to czyni to szczerze, czyli może być jedynie żarliwym komunistą. Podchmielenie i rzyganie są dla Ruskich objawieniem, że pijak to nie szpion zachodnich służb specjalnych, nasłany aby „sypać piasek w tryby budowy komunizmu „, lecz bliźni, towarzysz szczerzy i otwarty, który niczego nie ukrywa, zwłaszcza miłości do Wodza Proletariatu. Stąd nasz szampan.

Nasza kompania nie traciła czasu i ich bagaże rosły, a właściwie pęczniały. Bochenek z żoną skorzystali z propozycji organizatorów wycieczki i pojechali nędznym, zimnym autobusem w miejsce, gdzie towarzysz Lenin gubiąc agentów Ochrony ukrywał się przed carskimi siepaczami po drugiej stronie granicy fińsko-rosyjskiej. Nad brzegiem zatoki fińskiej, teraz już na ziemi radzieckiej, odrobiono w białym kararyjskim marmurze szałas, w którym Prorok chronił swą łusą głowę przykrytą w tym czasie peruką. Zapewne przez wzgląd na *sacrum* miejsca ziemię tą „odzyskano „ od Finlandii w wojnie 1940 roku. Oboje państwo Bochenkowie wrócili półżywi z przemęczenia i zimna. Poza wszystkim byli jednymi z nielicznych pasażerów tego ideologicznego, nie ogrzewanego autobusu. Wtedy właśnie butelka wódki *Moskowskiej* była lekarstwem najważniejszym.

Z Leningradu expresseem „Czerwona Strzała „ dojechaliśmy do Moskwy gdzie zwiedziliśmy wszystko, co turysta zobaczyć powinien. Pan Stasio namawiany do zwiedzania z nami Kremla odpowiedział bez ogródek: „ *Za tą razą interesuje mnie tylko kino Rassija „*, czyli kino z ekranem otaczającym widza w skali 360 stopni. Inne poważniejsze sprawy miał na głowie. *Bussines is bussines*.

Za sprzedane kapy kupiłem świetny na owe czasy aparat fotograficzny ZORKA-4, który z powodzeniem służył mi przez dalsze ćwierć wieku w podróżach po Polsce i świecie. Była to wierna kopia marki Leitz – Zeissa. Na Dworcu Gdańskim w Warszawie nasi „turyści „ wyładowywali skrzynie francuskich koniaków VSOP Courvoisier'e-Napoleon, kupionych w Moskwie za niewielkie pieniądze, zaś bardzo drogie i poszukiwane w Polsce i wynosili znów sztywne ciało kompletnie pijanego pana Stasia.

W początkach roku 1962 okazało się, że moja Żona jest w ciąży. Od samego początku było głębokie przekonanie, że będzie to dziewczynka, a jeśli tak to Agnieszka. Przyszli Dziadkowie nie posiadali się ze szczęścia. W Paryżu rozpoczęły się zakupy *a conto* ubranek niemowlęcych, kocyków, ogniotrwałych butelek do podawania mieszanek dla niemowląt, które w owym czasie w Polsce nie były znane. Następnie Dziadkowie rozpoczęli kolekcjonowanie odzienia do lat bodaj pięciu, co w perspektywie czyniło naszą córkę, wciąż będącą w łonie Mamy, najlepiej ubraną kobietą w Warszawie. Oczywiście w tym przedziale wiekowym. W czerwcu 1962 roku klinika ożyła na wieść, że w drodze na światowy kongres onkologów organizowany w Moskwie chce zatrzymać się w Warszawie bożyszcze świata chirurgów głowy i szyi prof. John Conley. Organizatorem tej wizyty miał być dr. Zbigniew Bochenek, który w tym czasie zaniemógł na serce. Odwiedziliśmy Go wraz z Elżbietą w małej dusznej klitce na podaszu ówczesnej Kliniki Kardiologii prowadzonej przez profesora Askanasa i dowiedzieliśmy się, że ma „ *niewielki zawał „*. Conleye'm zajmowali się w tej sytuacji Janek Kuś, ja oraz świetnie mówiąca po angielsku pani Zofia Gutterowa, sekretarka kliniki. Conley wysoki, dystyngowany pan był w typie podstarzałych polskich arystokratów z kresów wschodnich. Przypominał rysami rasowej twarzy Jana Zamojskiego. Oprowadzany po klinice okazywał coraz większe zdumienie. W pewnej chwili zatrzymał się na korytarzu przy chorym z guzem przerzutowym na szyi wielkości mandarynki. Guz był wciąż mobilny i nie przyrośnięty do skóry i podłoża. Używając nas jako tłumaczy zapytał prof. Szymańskiego co mamy zamiar dalej z tych chorym robić. Ten w sposób jasny zadeklarował, że chory nie ma żadnych szans na życie i przeżycie wobec tego bez operacji, ewentualnie z tracheotomią zostanie odesłany do domu. Przypominam, że były to czasy kiedy w Warszawskiej Klinice Otolaryngologii wykonywano laryngektomie totalne jedynie w znieczuleniu miejscowym, nastrzykując mniej lub bardziej dokładnie pole operacyjne novokainą. W co najmniej miesiąc

później, już ze Stanów, nadszedł list od Conleya, który z całą brutalną otwartością pisał coś co miało taki sens: „*Znam, jak mi się wydaje, cały świat. Operowałem na Biegunie Północnym i na Antarktydzie, ale tak niskiego poziomu wiedzy onkologicznej – nie widziałem nigdzie !!*”. Bochenek nieomal nie dostał następnego zawału, myśmy chodzili zgnębieni, ale rozumieliśmy wagę tej krytyki. Była okazja, aby zacząć odchodzić od poziomu laryngologii warszawskiej z roku 1939 jako pewnego probierza jej nowoczesności. Adiunkt Zbigniew Bochenek przygotowujący pracę habilitacyjną na temat nowoczesnych badań narządu równowagi był dla nas szansą zwiastuna wprowadzania tej rzeczywistej nowoczesności. Przy tym jednocześnie moje osobiste kontakty z Szefem Kliniki Profesorem Szymańskim układały się nadzwyczaj przyjaźnie. Lubiliśmy się wzajemnie i szanowaliśmy. Na wniosek Profesora zostałem powołany jako przedstawiciel nauczycieli akademickich nie mających habilitacji do Rady Wydziału Lekarskiego. Zwykle Profesor nudząc się ogromnie kazał mi siadać obok siebie i przegadywaliśmy cały czas zebrania Rady. Chętnie opowiadał o początkach naszej Kliniki, która została powołana do życia na początku roku 1921.

*Twórcą i pierwszym kierownikiem Kliniki Laryngo – Otiatrycznej Uniwersytetu Warszawskiego był Feliks Antoni Erbrich (1874 – 1938) uczeń Alfreda Sokołowskiego, znakomitego fizjatri warzawskiego. W roku 1906 był na stażu w Klinice Otolaryngologicznej Uniwersytetu we Fryburgu, którą kierował Gustaw Kilian i tam poznał metody endoskopowania tchawicy i oskrzeli. W sposób szczególny zajmował się suchotami krtaniowymi, które były w XIX i jeszcze w XX wieku częstymi przyczynami hospitalizacji. Napisał podręcznik: „*Metody badania krtani, tchawicy i oskrzeli* „ (1919), i był współautorem podręcznika „*Metody badania narządu oddechowego*” (1920) wraz z J. Szmurłą, B. Dębińskim, A. Sokołowskim i innymi. W roku 1921 został kierownikiem nowoutworzonej Warszawskiej Kliniki Otorynolaryngologicznej, jak byśmy dzisiaj nazwać ją mogli. Jednak w tych latach nazywała się ona oficjalnie Klinika Laryngo-Otiatryczną. Tak więc można powiedzieć, że warszawska laryngologia kliniczna zawdzięcza swe powstanie lekarzowi, którego główne zainteresowania łączyły się z fizjatrią. W roku 1927 nakładem Wydawnictwa Koła Medyków Uniwersytetu Warszawskiego ukazało się najwybitniejsze dzieło Feliksa Erbricha „*Patologia dróg oddechowych górnych i uszu* „. W dziele tym zawarł, przejmujący opis gruźlicy krtani. Twardziel, kiła, gruźlica krtani to był dzień powszedni polskiej otorynolaryngologii tamtych czasów. I nie mieliśmy na to skutecznej terapii.*

*W końcu roku 1921 Erbrich został wybrany prezesem Polskiego Towarzystwa Otolaryngologicznego, którego był współzałożycielem wraz z Ludwikiem Guranowskim i Janem Szmurłą. Zrezygnował z tej funkcji w roku 1923 z powodu bliżej mi nieznanego nieporozumienia w środowisku. W roku 1924 rozpoczął wydawanie pisma firmowanego przez Klinikę Warszawską p.t. „*Przegląd Laryngo-otiatryczny* „, jako jego redaktor naczelny. Zapewne nie był to periodyk wydawany regularnie. Znane są jedynie dwa jego numery z roku 1924 i roku 1927. W roku 1920 Feliks Erbrich został profesorem nadzwyczajnym, zaś w roku 1934 profesorem zwyczajnym. W latach 1933 – 1934 był wybrany na stanowisko Dziekana Wydziału Lekarskiego U.W. Habilitował dwóch swych uczniów: Dyonizego Zuberbiera i Henryka Lewenfisza.*

*Klinika od 1921 roku do początków II wojny światowej mieściła się w Szpitalu Świętego Ducha przy ulicy Elektoralnej. W wydzielonym pawilonie znajdowały się jedynie dwie duże sale dla chorych, trzy pokoje dla badań oraz jedna sala operacyjna. W roku 1926 otwarto przychodnię w podziemiach tego pawilonu. W roku 1933 po przeniesieniu Kliniki Ocznej do Szpitala Dzieciątka Jezus Klinika powiększyła się o salę wykładową, pierwszą w Polsce poradnię dla chorych z zaburzeniami mowy (dr. Aleksandra Miłtrynowicz – Modrzejewska). Pierwszymi etatowymi pracownikami Kliniki byli Jerzy Rogoziński, Stanisław Tuz oraz Bronisław Grocholski, jeden z najlepszych chirurgów ucha tego czasu w Polsce. Do tego zespołu dołączył następnie jako „*lekarz miejscowy* „ (z obowiązkiem stałego całodobowego ostrego dyżuru, wolna sobota i niedziela raz na dwa tygodnie !) dr. Jan Szymański. Wszyscy lekarze uchodzili za znakomitych praktyków. Erbrich, był to niezwykle elegancki pan, o wytwornych manierach. Z upodobaniem podawał okrycia swym asystentom. Kiedy się wzbranił (jakże inne były wówczas relacje profesor – asystent) mawiał: „*Lokaj lokajowi-nigdy, džentelmen džentelmenowi – zawsze !*”. Oburzało Go kiedy jego*

współpracownik okazywał obrzydzenie sytuacją jak bywa wcale często udziałem otolaryngologa. I tak kiedy jeden z asystentów okazywał ogromne niezadowolenie faktem, że jego twarz została opryskana ropno – krwistą, cuchnącą wydzieliną z tchawicy w czasie wykonywanej właśnie tracheostomy doradził mu: „ Niech pan idzie na studia prawnicze. Dopiero jako adwokat przekona się pan z jakimi brudami życia będzie miał pan do czynienia !”. Wyznawał też zasadę, że współpracujący z nim laryngolog musi być „ elegans, odorans et ambidexter „ (elegancki, pachnący i oburęczny – przyp G.J.). Był człowiekiem zamożnym, właścicielem licznych nieruchomości w centrum Warszawy. Pośród ludzi prostych uchodził za uzdrowiciela, którego dotknięcie uzdrawiało. Zwłaszcza gruźlików i zwłaszcza biedoty żydowskiej, tak licznej w ówczesnej Warszawie ! Był zaprzyjaźniony z wieloma ludźmi kultury i sztuki. Jego popiersie, dzieło znakomitego rzeźbiarza Edwarda Wittiga ozdabia salę konferencyjną naszej Kliniki. Był żonaty, miał dwie córki. Pracował do końca życia to znaczy do roku 1938, w którym późną jesienią zmarł. Ostatnie lata swego życia ciężko chorował. W tym czasie faktycznym szefem naszego zespołu był docent Dionizy Zuberbier, którego szczątki odnaleziono kilka lat później w grobach katyńskich.

Ze zdumieniem obserwowałem jak Szef głosuje na „ NIE „ we wszystkich sprawach związanych z awansami naukowymi i zawodowymi kandydatów. W miarę jak mijał czas odważyłem się kiedyś zapytać, dlaczego po tak znakomicie przeprowadzonym kolokwium habilitacyjnym wyraził opinię negatywną o kandydacie do stopnia docenta. Odpowiedź była krótka: „ Drogi Kolego ! Ostatni prawdziwi uczeni skończyli się wraz z wybuchem wojny. Teraz nie ma ludzi tej klasy !”. Oczywiście nie przyszło mi do głowy zwrócić uwagi na to, że sam habilitował się już po wojnie, a więc w czasach, kiedy materiał na kadry „mózgowców” był już przebrany. Cokolwiek by nie powiedzieć na temat profesora Szymańskiego niezbędnym jest podkreślenie, że wyrażając sceptycyzm co do postępu w medycynie i co do kandydatów do jego wprowadzania nigdy i nikomu nie przeszkodził tego postępu próbować wprowadzać w klinice..

Pewnego razu w czasie posiedzenia Rady Wydziału przysiadł się do Profesora Szymańskiego inny jej członek, profesor X, reprezentujący jedną z tak zwanych nauk podstawowych. Ostatnio leżał w jednej z klinik internistycznych ze względu na kłopoty kardiologiczne. Ze względu na uprzejmość kierownika tej kliniki wobec kolegi profesora położono go w sali jednoosobowej, gdzie zwykło się kłaść najciężej chorych, zwykle umierających. I oto jego wrażenia:

„ Najpierw przyszedł do mnie fryzjer szpitalny, absolutny przygłup. Podszedł do mnie i mówi: „ Mimo wszystko warto się przed śmiercią ogolić i ostrzyć. Koszty dla rodziny będą po tym mniejsze „.

Po nim wszedł ksiądz kapelan: ” Wola Boża, symu, pojednaj się z Panem Bogiem !”

Nazajutrz rano pyskata i prymitywna salowa: „ Wstawaj Pan z wyra i rób pan porządek wokół siebie po tych swoich gościach, co ten burdel tu zrobili !”.

Następnego dnia wypisałem się do domu na własne żądanie, ale tego wszystkiego było mało. Przed szpitalem spotkałem dawno nie widzianego znajomego. Ucieszony wykrzyknął „ O Pan Profesor ! Nie widziałem Pana od lat, ale nic się Pan nie zmienił ! O i jesioneczka pańska też ta sama !”. To było zbyt wiele dla mnie ! „.

Po 1967 roku nastąpiła swego rodzaju eksplozja nowoczesności w metodach diagnostycznych, a zwłaszcza chirurgicznych, związana ściśle z powrotami naszych koleżanek i kolegów ze staży zagranicznych w Europie Zachodniej. Dzięki tym stażom tacy współpracownicy Kliniki jak Zbigniew Bochenek, Tadeusz Bardadin, Bogusław Muszyński, Jan Kuś stawali się znaczącymi postaciami w otorynolaryngologii polskiej.

Fatalnym zwyczajem Kliniki, który utrzymywał się do końca mojej pracy jako jej docenta etatowego była wspólna praca małżeństw. Chodziło tu o Profesora Szymańskiego i Jego Żonę panią Dr. med. Janinę Beutler – Szymańską i Docenta Zbigniewa Bochenka i panią dr. med. Wandę Mitkiewicz-Szreniawską – Bochenkową. W rzeczy samej łatwiej nam, się żyło i pracowało z żoną Szefa, która miała w sobie wiele empatii. Obie panie wzajemnie się nie znosiły, a zanosilo się na to, że doktor Bochenek nie poprzestanie na habilitacji. Ta cała sytuacja sprawiała, że nastroje w klinice gęstniały robiąc się coraz cięższymi. Doktor Janinę Beutler-Szymańską lubiła i szanowała

znakomita większość pracowników kliniki. Z pozoru szorstka w obejściu była życzliwa ludziom i wręcz kochana przez chorych. O ile profesor, namiętny palacz, nie pił lub pijał niewielkie ilości wina, jego żona za kołnierz nie wylewała. Pewnego wieczoru po udanym spotkaniu towarzyskim wracali samochodem do domu przy ulicy Niemcewicza 9. Janeczka była *podcięta*, ale wymogła na mężu prowadzenie samochodu. W pewnym miejscu zatrzymał ich patrol milicji drogowej. Profesor przerażony i zdrtwiałły ze wstydu z podniesionym kołnierzem siedział na miejscu pasażera obok kierowcy. Wnętrze samochodu pełne było oparów wydychanego alkoholu. Janeczka uchyliła szybę i.... stał się cud. Milicjant z niebywałą kurtuazją zaszalutował i rzekł: „*To ja rozumiem. Mężuś sobie popił a żona prowadzi. Pogratulować !!!* „.

W sytuacji kiedy nasza klinika była jednym z dwóch stołecznych ośrodków akademickich przygotowanych kadrowo i warsztatowo do prowadzenia szkolenia podyplomowego mieliśmy przez cały rok rzesze koleżanek i kolegów na stażach specjalizacyjnych. Można powiedzieć, że znakomita większość ówczesnej generacji laryngologów Mazowsza, i nie tylko, przewinęło się przez nasze mury. Zróżnicowanie osobowości było ogromne, tak jak w społeczeństwie zresztą bywa. Niejedna i niejedyn przechodził następnie na etat szpitalny („*usługowy* „), a następnie kliniczny. Większość odchodziła do pracy w placówkach powszechnej służby zdrowia na terenie Warszawy i województwa. W pamięci naszej w sposób szczególnie utkwił kolega starszy od nas co najmniej o lat dziesięć, odbywający staż na drugi stopień specjalizacji. Patologicznie skąpy, znany był z tego, że umawiając się na randki z kolejnymi dziewczynami najpierw karmił je chałwą i landrynkami, aby oszczędzić na zaproszeniu na obiad. Był seksoholikiem i widząc ładną stażystkę czy studentkę szeptał do nas oblesnie: „*Tu jestem gotów zainwestować czas i pieniądze !*”. Wiedzieliśmy zresztą, że czego jak czego, ale pieniędzy to on w takie gry nie inwestuje. Cieszył się powszechnie opinią faceta, który ma przyrodzenie wielokrotnie większe niż iloraz inteligencji. Niektórzy mawiali, że rozum widać mu wyłącznie wtedy kiedy ma niezapięty rozporek. Stanowił dowód słuszności wątpliwości wyrażanej przez Oskara Wilde’a: „*Czasem myślę, że Bóg stwarzając człowieka jednak przecenił nieco swoje możliwości !* „. Zniknął nam z pola widzenia i jako człowiek, i jako lekarz specjalista.

W dniu 22 września 1962 roku moja Żona oznajmiła mi wieczorową porą, że właśnie odeszły Jej wody płodowe, co wprawilo mnie w stan wielkiego napięcia. Zdenerwowanie było tym większe, że ów komunikat był podany tonem takim jak gdyby chodziło o poród sąsiadki. Ot, rutyna zawodowa. Rozpocząłem poszukiwania taksówki, co w owym czasie wcale rzeczą łatwą nie było. Szczęśliwie nie zajęło mi to wiele czasu i mitręgi i względnie szybko dowiozłem Elżbietę na Karową. Następnego dnia, to znaczy 23 września 1962 roku przekazano mi wiadomość, że o godzinie 15, 30 urodziła nam się córka oczywiście było wiadomym, że musi to być Agnieszka.

Pojechałem z kwiatami do szpitala i tam po raz pierwszy ujrzałem najpiękniejsze i najdoskonalsze dzieło mego życia-Agnieszkę. Było to ogromnie dziwne w swej mocy uczucie. Zdałem sobie sprawę, że to maleństwo jest częścią mnie samego, co zwiększa wielokrotnie poczucie odpowiedzialności za dalsze moje postępowanie. Niewątpliwie, była Ona i jest najdoskonalszym dziełem, w jakiego współtworzeniu brałem udział w moim życiu.

Do kliniki przyjechał mój przyjaciel „od zawsze „ Mirek Damm, przyszły ojciec chrzestny i poszliśmy w miasto. Wszystkie, na szczęście w tych czasach nieliczne bary na Trakcie Królewskim zostały zaliczone. W „Barze Kuchcik „, napotkaliśmy naszego kolegę i przyjaciela z klasy A u „Władka „ – Krzysia Lisickiego Był on rozpoczynającym karierę zawodową muzykologiem, którego dziełem była między innymi pierwsza książka poświęcona Pendereckiemu i jego wczesnej twórczości. Krzysio był, niestety, często i gęsto popijającym i nie nadawał się do rozmowy. Zginął niebawem prowadząc samochód „*w stanie wskazującym na*” pokonując zakręt szosy koło Jabłonny. Nasz powrót na rodzinne Szmulki odbył się w nocy, jeszcze ciepłej, na piechotę. Obecna młodzież jest zapewne zdziwiona: tak mało zarabiali, a stać ich było na balangę, a następnie mogli bezpiecznie wrócić do domu idąc samotnie przez most Poniatowskiego i koło Parku Skaryszewskiego. Otóż, młody Czytelniku, w czasach tzw. siermiężnego socjalizmu, pod wodzą towarzysza Wiesława czyli Gomółki, władza ludowa trzymała za mordę wszystkich, zarówno

inteligencję jak i łobuzerię. Tak zwane zakłócenie spokoju publicznego mogło być potraktowane jako „*próba obalenia socjalizmu w Polsce* „, a to już była kontrrewolucja.

Ceny jedzenia były relatywnie bardzo niskie, natomiast istotnym problemem był zakup w ogólnodostępnych sklepach wielu produktów żywnościowych, zwłaszcza mięsa i wędlin. Ówczesną sytuację znakomicie oddaje anegdota, w której rozjuszona ekspedientka sklepu pozbawionego towaru atakowana przez tłum zawiedzonych brakiem towaru klientów wrzeszczała: „*A czy to ja, do jasnej cholery, strzelałam z Aurory ? Czego ode mnie chceta ?* „. Jednej rzeczy nie brakowało nigdy, a mianowicie wody. Zawsze też dostępny był bałtycki śledzik. I to stanowiło pełnię szczęścia dla wielu współobywateli, a zwłaszcza młodych ojców.

Trzeba było mieć znajomości w handlu, oczywiście u ekspedientek. Doktorzy byli w niezłej sytuacji ponieważ mieli pacjentów i pacjentki zatrudnionych w sklepach.

Znałem doświadczonych kolegów, wybitnych specjalistów, którzy zamiast urzędowej książki telefonicznej mieli w domu notes, w którym pod odpowiednią literą alfabetu znaleźć było można właściwy telefon: S-(Szynka), do Pani Władzi od szynki, B-(buty), do pani Kazi od butów, G-(garnki), do pana Ździcha od garnków i tak dalej, i tak dalej. Regułą stało się to, że same ekspedientki w ramach wymiany usług wychodziły ze sklepu do koleżanek innych branż zostawiając na szybie wejściowej kartkę: „*WYSZŁAM DO BANKU – ZARAZ WRACAM* „. Ważne w tych czasach było aby selekcjonować pacjentów wedle ich użyteczności dla zdobywania „*trefnych* „ towarów. Pewnego dnia odwiedzając właśnie przy ulicy Grójeckiej panią Władzię „*od wędlin* „, spostrzegłem doklejoną przez żartownisia drugą kartkę: „*WŁAŚNIE ZASZŁAM W CIAŻĘ. WRÓCĘ ZA 9 MIESIĘCY !* „.

Życie z niemowlęciem w mieszkaniu nr. 7 przy ulicy Nieporęckiej 10 nie było łatwe. Kuchnia wymagała węgla, podobnie jak kaflowy piec ogrzewający oba pokoje. O ciepłej wodzie płynącej z kranu, nikt nie marzył. Jedynymi „*luksusami* „, była kuchenka gazowa na cztery palniki oraz prymitywne „*cudo techniki* „, czyli pralka FRANIA, przy której obsłudze niezbędnym było wlewanie kotłów wrzątku przy praniu pieluch. Kuchnia, w której odbywały się wieczorne ablucje dziecięcia była cholernie zimna, posadowiona nad bramą wejściową do domu wymagała dla kąpeli niemowlęcia rozpalenia kuchni węglowej aż do rozżarzenia blachy. Zima 1962/1963 była jedną z najzimniejszych od lat i właśnie przed Świętami Bożego Narodzenia zabrakło nam węgla. „*Wicie, rozumiecie towarzysze są chwilowe trudności na Śląsku z węglem i należy je przetrwać !* „. Nawet gdybym rozumiał to ja i reszta dorosłych ludzi, wiedzących skądinąd że Polska węglem stoi, to w żaden sposób nie rozumiało tego niemowlę. Skądinąd było jasne, że sroga zima panuje nie tylko w Polsce i zapotrzebowanie na polski węgiel gwałtownie wzrosło także na zachodzie Europy, a więc czekajcie wiosny !. Będzie lepiej, bo będziemy mieli więcej dewiz !. Workiem węgla ratowała nas kuzynka Żony Ciocia Jadzia Domańska. Ale worek węgla to maksimum trzy dni naszych potrzeb na grzanie, pranie i kąpiele małej. Zmęczony i zgnębiony ciągnąłem ulicą Białostocką na sankach worek wypełniony węglem, kiedy z wielkiej platformy jadącej równolegle usłyszałem wyrażone przepitym głosem pytanie: „*Czy pan szanowny nie uważa węgla ?* „. I wtedy nie towarzyszył mi Wiesław ani rząd i matka partia, ale rodak ze Szmulek, stary pijak, wozak rozwożący węgiel był mi bratem i aniołem stróżem. Mój worek z węglem razem z sankami powędrował na platformę, bracia rodacy poczęstowali mnie na *litkup* łykiem czystej ojczystej pitym wprost z butelki po starannym oczyszczeniu jej szyjki rękawem pokrytej węglowym pyłem kurtki wozaka. Towar wrzucono do piwnicy. Węgla starczyło na całą zimę.

W owym czasie był pogląd wyrażany przez wszystkie autorytety w pediatrii, że dziecko musi mieć ośmiogodzinną przerwę w karmieniu w godzinach nocnych. Najgorsze było to, że mała Aga w żaden sposób nie chciała uznać autorytetów i darła się wniebogłosy pół nocy, a może więcej. Żona była na przysługującym wówczas trzymiesięcznym urlopie macierzyńskim, ale ja niedospany z powodu dyżurów wytrzymałem tylko tydzień. Którejś nocy ślaniając się na nogach nie wytrzymałem, podgrzałem mieszanekę i nakarmiłem małą. Od tej pory dodatkowe karmienie nocne umożliwiało nam względnie spokojne przespanie się do rana.

W listopadzie przyjechała z Paryża moja Mama, która została do pierwszych dni stycznia 1963 roku. Pomogła nam w pierwszych trzech miesiącach opiekować się dzieckiem. Była

zakochana we wnuczce i to zostało Jej do końca życia. Po Jej wyjeździe z pomocą w opiece nad malutką Agnieszka zgłosiły się dwie starsze wiekiem kuzynki Elżbiety – Maria i Jadwiga Domańskie. Obie dobrze po 60 roku życia, samotne, bez rodziny zamieszkiwały przy ulicy Stalowej. Ciocia Jadzia potężna, prawdziwy „babochłop”, Marysia bardzo szczupła, krótkowidz. Kiedyś piliśmy zdrowie obu w ich mieszkaniu na trzecim piętrze z okazji imienin, zaś na dole, pod balkonem rozgrywała się jedna z warszawsko – praskich awantur, gdzie wrzaskiem wyrzucano z siebie słowa, delikatnie mówiąc, powszechnie uznane jako wulgarne. Na apele Ciocia Jadzi nie było żadnej reakcji, więc posłużyła się silnym argumentem jakim było wiadro zimnej wody wylane na rozpalone alkoholem łby. Wrzask na chwilę umilkł, a za chwilę rozległ się zachrypnięty głos: „*Tak to możesz, k ..., lać na swoją trumnę !!!*”. Na co padła przytomna odpowiedź Jadzi: „*Chętnie wyleje, ale na twoją, szklaną ! Chcę widzieć jak cię robaki będą zżerać !!!*” Odpowiedzią na to życzenie była grobowa cisza.

Codziennie rano, przed naszym wyjściem do pracy, zjawiały się obie idąc na piechotę. Nigdy nie były chore, nigdy się nie spóźniły. Mamy je do końca życia we wdzięcznej pamięci, którą od wielu, wielu lat możemy wyrażać dbając o ich grób na Cmentarzu Bródnowskim. Były ostatnimi ze swego rodu.

W czerwcu 1963 roku wyjechałem do Paryża bowiem władze zdecydowały zamknąć Liceum Polskie. I tak polska szkoła średnia o ponad stuletnich tradycjach, szkoła mająca prawa szkoły francuskiej dla absolwentów pragnących studiować w wyższych szkołach Francji jednym głupim postanowieniem została zlikwidowana. Przy okazji odwiedziłem wraz z Ojcem pana Ernesta Kosmowskiego, malarza zasiedziałego w Paryżu od początku lat 1930 – tych. Rodzice kupili dwa jego dzieła, a teraz Ojciec chciał nas sobie przedstawić. Pan Ernest, przystojny człowiek po 60 roku życia, był głęboko wrośnięty w kulturę francuską. Jednak i on opowiadając w skrócie historię swego życia uświadamiał, że o ile Polacy są nacjonalistami, to Francuzi skrajnymi szowinistami.

„*Żyję tu od początku lat 1930 tych. Pracowałem w gronie wielu arystów Polaków takich jak Konstanty Brandel, Ludwik Lille, Sasza Blonder czy Jan Zawadowski. Po klęsce wrześniowej 1939 roku zgłosiłem się do Armii Polskiej tworzonej przez Sikorskiego i przebywałem w obozie szkoleniowym Coetquidan – Comblessac. Ilustrowałem w tym czasie czasopismo „Żołnierz Polski”, tu wydawane. Po klęsce Francji w roku 1940 dostałem się do obozu jenieckiego zwanego Stallagiem 210, skąd zwałem. Zgłosiłem się do francuskiej Resistance i zostałem powołany na szefa Ruchu Oporu w Normandii. Było tam sporo roboty, zwłaszcza przed lądowaniem Aliantów w czerwcu 1944 roku. W czasie okupacji niemieckiej poznałem Francuzkę, której mąż zmarł w obozie niemieckim dla jeńców wojennych kampanii roku 1940. Ożeniłem się z nią, pomogłem wyżywić i wychować jej dwoje dzieci od małego. Już są dorosłymi, samodzielnymi, wykształconymi ludźmi. Ale wciąż jeśli zagalopuję się w dyskusji w gronie malarzy francuskich na temat oceny prądów w sztuce malarzkiej, pośród kolegów Francuzów, którzy znają mnie od lat kilkudziesięciu, znają moje losy, moją rodzinę, to nasz spór kończą nierazko stwierdzeniem w rodzaju: „I to mówi Pan mówiący językiem francuskim z tak fatalnym akcentem?”. A mówi się, że grzeczny jak Francuz. ...*

Biorąc pod uwagę stan zaopatrzenia rynku polskiego Ojciec postanowił kupić mnie kurtkę skórzaną zaopatrzoną w futrzaną podpinkę. Powierzył załatwienie tej sprawy dozorca Liceum panu Pankowi, który zasiedziały w Paryżu od przedwojny wiedział gdzie można dobrze, a nade wszystko tanio, taki zakup zrobić. Pojechaliśmy metrem do stacji Porte de Clignancourt, gdzie nieopodal działa słynny Pchli Targ. Zakupu dokonaliśmy szybko i korzystnie, ale odchodziliśmy stąd szybko ponieważ Panek zauważył w okolicy ciemno granatowe budy ze specjalnymi odwodami policji, tak zwanymi Ce – eR – Esami. To było takie francuskie ZOMO. Szykowała się gdzieś w pobliżu jakaś manifestacja uliczna, a tej, a raczej jej konsekwencji, należało unikać za wszelką cenę. Panek wyjaśnił:

„*Kiedy manifestacje osiągają swój punkt krytyczny dochodzi do rozgrzania nastrojów i zaczyna się demolowanie. Demolowanie okolicznych sklepów, kafejek, wybijanie szyb. Stoliki, krzesła i ławki służą tłumowi jako pociski i tarany. Ce – eR – Esy apelują o spokój i nie czekając na pozytywną reakcję tłumy zaczynają walić ludzi pałami. Walą tak skutecznie, aby uderzony nie*

wstał. Każdy, kto ma resztki świadomości pełnie do bram lub innych zakamarków i się chowa. Tych oszołomionych i nieprzytomnych pakują do specjalnych autobusów, wiozą na komisariat, gdzie spisują dane i wypuszczają do dom. Poszkodowani handlowcy skarżą policję o niedopilnowanie porządku, do czego jest zobowiązana z mocy prawa. Policja zaś ma dane sprawców, których sąd – po obliczeniu strat ogólnych wynikłych z manifestacji – karze odszkodowaniem. Taka kara jest skuteczniejsza niż więzienie, ponieważ bije po kieszeni. I to niezwykle dolegliwie. Panie Grzesiu, zmywamy się stąd, bo za chwilę będzie smród i bijatyka !”.

Skwapliwie posłuchałem rady starego Paryżanina i szybko uciekaliśmy z zagrożonej okolicy. Nie miałem ochoty ani na pałowanie, ani tym bardziej na koszt. Niby z czego miałbym płacić ?.

Minęliśmy się z Mamą w drodze: Ona leciała samolotem do Warszawy, ja zaś pociągiem do Paryża, aby pomóc Ojcu spakować się i przeprowadzić piękny, nowy samochód Simcę Aronde Elysee do Polski. Poprzez graniczny Metz i dalej wspaniałymi autostradami RFN-u dotarliśmy do małej miejsciny niedaleko eleganckiego uzdrowiska Bad Homburg gdzie zanocowaliśmy w przydrożnym mało eleganckim zajeździe. Bywalcy szynku jak to zwykle Niemcy nie mówili tylko wrzeszczeli. Przypominały się tak niedawno słyszane wrzaski okupanta w Warszawie. Tu jedząc kolację obserwowałem strach Ojca przed zapitą piwem, niezwykle hałaśliwą niemiecką tłuszcza. Był to syndrom poobozowy. Podobnie jak On czulem się wiele lat później w roku 1981 w obliczu zagrażającej interwencji sowieckiej w czasie „SOLIDARNOŚCI”. To był syndrom dziecka wojny i dziecka Warszawy. Następnie zaniedbanymi śladami autostrad w NRD dojechaliśmy do przejścia granicznego w Słubicach. Za 200 złotych żołnierze Wojsk Ochrony Pogranicza zgodzili się na postawienie samochodu wypchanego najcenniejszymi z rzeczy wiezionych z Paryża koło szlabanu granicznego. Pilnowali tego jak skarbu do rana podczas gdy my po długiej męczącej podróży odsypialiśmy zmęczenie w nader obskurnym, potwornie zaniedbanym i brudnym hotelu. Rano ucieszyliśmy ich kartonem papierosów Goluisse-Gitanes przewidzianym na tą okoliczność.

Późnym popołudniem, ostrożnie jadąc straszliwymi polskimi drogami, dotarliśmy do Warszawy. Na balkonie stała Babcia Antonina z ukochaną Wnuczką Agą, obie przytulone do siebie. Znów byliśmy razem, ale już w zwiększonym gronie Wzruszona Mama opowiadała nam: „*Kiedy weszłam do domu z lotniska Aga spała. Powoli się budziła i już mając szeroko otwarte oczy wyciągnęła do mnie rączki tak, jakbym nigdy jej nie odstępowała. Popłakałam się ze szczęścia !*”.

We wrześniu 1963 roku przed pierwszą rocznicą urodzin Agnieszka została ochrzczona. Uroczystość odbyła się w tym samym kościele Matki Boskiej Zwycięskiej na Kamionku, w którym braliśmy ślub. Rodzicami chrzestnymi byli siostra Elżbiety Wiesia i mój stary przyjaciel Mirek Damm. Agnieszka zachowywała się haniebnie i rodzice chrzestni wyrażali obawę, że wierni wezwą milicję z doniesieniem, że nowa chrześcijanka bije księdza.

Wspólne życie w mieszkaniu przy ulicy Nieporęckiej było niełatwe. Mama, pełna dobrych chęci i miłości do wnuczki, była słaba fizycznie i rozpoczęło się angażowanie pomocy domowych. W ciągu następnych sześciu lat zatrudnialiśmy ich trzynaście przy czym dwie: Irenka, młoda dziewczyna z okolic Piaseczna i Łódzia, Pomorzanka, psuły statystykę co do długości zatrudnienia, zatrudnialiśmy je dłużej.. Ojciec wrócił do pracy w Ministerstwie Oświaty i zajmował stanowisko wizytatora. Małą Agnieszka z całym poświęceniem opiekowali się, a właściwie wychowywali moi Rodzice. Ich miłość do jedynej wnuczki była trudna do opisanie. Mój Ojciec, który mnie jedynaka trzymał zawsze krótko, kiedy Aga wchodziła mu na głowę, zaś ja nawoływałem do dania Jej klapsa, reagował z prawdziwym oburzeniem: „*Cóż ty sobie myślisz, ona na pewno jest chora i dlatego rozrabia !* „.

W roku 1963 oboje z Elżbietą zdaliśmy egzamin przyznający nam, wedle ówczesnych przepisów, pierwszy stopień specjalizacji. Adiunkt dr. Moszyński wyjeżdżał na stypendium do Francji i na okres sześciu miesięcy zaproponował mi zastępstwo polegające na jeździe raz w tygodniu na konsultacje do Ostrowii Mazowieckiej. Miałem tam przyjmować w towarzystwie jego żony będącej okulistką. Była to gratka bowiem płacono jak za pełen etat w klinice. Jeździłem z Warszawy autobusem PKS-u z obskurnego dworca przy ulicy Żytniej, zaś wracałem pociągiem. Przyjmowałem w dużej sali XIX wiecznego drewnianego domu przychodni, której wnętrze żywcem

przypominało obrazy Chełmońskiego czy poezje Konopnickiej opisujące wiejską izbę. W jednym końcu pomieszczenia przyjmowałem ja, w drugim zaś pani dr. Moszyńska. Zasady przyjęcia były jeszcze cięższe niż w Mińsku Mazowieckim, bowiem tu pora była jesienno zimowa, zaś chłop jadący do doktora z odległych wiosek musiał być załatwiony. O powrocie do Warszawy przed przyjęciem ostatniego pacjenta mowy być nie mogło. Centralny plac miasteczka otaczający pomnik partyzantów zastawiony był wozami pacjentów z terenu powiatu. Przyjęcia kończyły się późno, zaś po tym należało udać się do Szpitala Powiatowego i tam odbyć kilka konsultacji, zwłaszcza na oddziale dziecięcym.

O tym aby wrócić autobusem PKS-u nie było mowy ponieważ wszystkie zdążające do Warszawy rozpoczynały swój bieg w Suwałkach lub Białymstoku. W Ostrowii, która była stacją na trasie przelotowej, autobus był każdorazowo zatłoczony do granic możliwości. W tej sytuacji jedynym wyjściem była jazda powrotna ku Warszawie koleją. Dworzec kolejowy znajdował się kilka kilometrów poza miasteczkiem. Szło się późnym wieczorem, w kompletnych ciemnościach polami i bezdrożami. Na tych bezdrożach opadały mnie wiejskie psy, przed którymi należało się bronić światłem ręcznej latarki i kijem. To był koszmar. Pociąg przyjeżdżał do stacji Ostrowia przed północą, podróż trwała ponad godzinę i dojeżdżałem do stacji Warszawa Wileńska około 1, 30 w nocy. Rano o godzinie 8-ej musiałem być w pracy w klinice. Ale decydowała możliwość dorobienia dodatkowych pieniędzy. Powrót adiunkta doktora Moszyńskiego wyratował mnie z tej wielkiej przygody zawodowej.

Następną fuchą była praca konsultanta w Szpitalu dla Psychiczenie Chorych w Tworkach będących przedmieściami podwarszawskiego Pruszkowa. Pełniłem tą funkcję w czasie stypendium Janka Kusia, który pojechał na kilka miesięcy na staż do Szwecji. Z okresu studiów wyniosłem ogromny lęk przed takimi chorymi. Pamiętałem makabryczne sceny z ćwiczeń z psychiatrii jakie właśnie tam odbywaliśmy na V roku studiów. Szpital był stary, zbudowany podobnie jak szpital przy ulicy Oczki metodą pawilonową gdzieś na przełomie XIX i XX wieku. Sale w tych pawilonach były w przeważającej części ogromne, mieszczące co najmniej kilkanaście łóżek. Dyrektorem był w tym czasem legendarny doktor Kaczanowski. Dojazd bardzo dobry zapewniała elektryczna kolejka wąskotorowa kursująca na tej trasie aż do Milanówka. Przyjmowałem w przygotowanym do naszych konsultacji gabinecie, nieźle wyposażonym. Pierwszą pacjentką, którą konsultowałem była dwudziestokilkuletnia blondynka dużej urody. Po wejściu do gabinetu wbiła we mnie wrogie spojrzenie i wykrzyczała: „*toś ty s synie zabrał mi dziewictwo !* „. Nie przypominałem sobie takiego zdarzenia, ani dziewczęcia, ale szybko zostałem uspokojony przez doświadczoną pielęgniarkę, że w tym przypadku jest to zwyczajowe powitanie każdego mężczyzny, który do niej się zbliża. Praca w tym szpitalu nauczyła mnie wiele. Zdobyłem doświadczenia cenne w całej mojej późniejszej praktyce lekarskiej nie tylko postępowania z pacjentami będącymi, jak to się mawiało na Pradze, „*na granicy normy i geniuszu* „, ale także rozpoznawania niezrównoważonych psychicznie. Tu w pełni uświadomiłem sobie wagę twierdzenia Platona: „*największy błąd w leczeniu chorób to ten, że są lekarze dla ciała i lekarze dla duszy, podczas gdy te dwie części stanowią jedność i są nierozdzielne* „. Bardzo często lekarz rozumie tą prawdę po niewczasie. Kiedy sam jest pacjentem.

Dodatkowe zajęcia zawodowe miały na celu także to, aby nie być jednym z tych, którzy w okresie P.R.L.- u śpiewali:

*Nie krytykuj, nie podskakuj
Siedź na dupie i przytakuj.
Nie przejmuj się swoją dolą,
Bo i tak Ci przyą.
Nie przejmuj się swoją pracą,
Bo i tak Ci gównem płacą.
Za pięć czwartą kończ robotę,
Sraj na szefa, kładź kapotę.
Tak dożyjesz starczej renty
Nawet w d.... nie kopnięty !*

Piosenka należała do stałego repertuaru wszystkich, nie tylko warszawskich pijaczków żyjących na zasadzie: „*czy się stoi, czy się leży, dwa tysiące się należy!*”.

Pięknie i trafnie scharakteryzował Polskę Norman Davies w swym „*God's Playground* „: „*Kraj, gdzie los często płatał złośliwe sztuczki i gdzie żywe poczucie humoru było zawsze jednym z podstawowych elementów podręcznego wyposażenia w walce o narodowe przetrwanie* „. W ten sposób społeczeństwo odpowiadało na pytanie: „*Czy wolno?* „ stwierdzeniem: „*Nie wolno, ale można!*”.

W roku 1964 ostrą reakcję władzy wywołał „*List otwarty do partii* „, sygnowany przez Karola Modzelewskiego i Jacka Kuronia. Pełny jego tekst opublikował Gedroyc na łamach paryskiej „*Kultury* „. Tenże sam Gedroyc dość skrętnie omijając trockistowskie treści zawarte w tym liście określał go jako „*szalenie sekciarski* „. Był to jeden z niewielu w tym czasie upublicznionych manifestów przebudowy ustroju na

„*autentycznie komunistyczny* „. Faktem jest, że obaj panowie pochodzili z rodzin wyznających ideowy komunizm: ojciec Modzelewskiego był jednym z pierwszych ministrów spraw zagranicznych w rządach PKWN-u, zaś Kuroń z zapałem tworzył tak zwane „*drużyny Walterowskie* „, które miały być „*odtrutką* „ na wrogie idee scoutingu. Jak wiadomo żadna religia, w tym markstowsko – leninowska, zwłaszcza w stalinowskim wydaniu niszczyła herezje w zaleźku. Obaj autorzy po usunięciu z partii byli poddani wieloletnim represjom.

Profesor Szymański miał w gronie swych kolegów szefów klinik otolaryngologii swoje antypatie i przyjaźnie. Jednym z Jego przyjaciół był prof. Wiktor Hassman kierujący z powodzeniem stworzoną przez siebie Kliniką Otolaryngologii powołanej po wojnie Akademii Medycznej w Białymstoku. Przeniósł się do tego miasta i tej uczelni z Krakowa, gdzie w czasie wojny jako ordynator pilnował Kliniki Krakowskiej pod nieobecność prof. Miodońskiego internowanego w obozie koncentracyjnym. Hassman niewielkiego wzrostu ale silnego charakteru pasjonował się chirurgią guzów głowy i szyi. Z ogromnym zapałem mawiał zawsze: „*Im większy guz tym bardziej mnie podnieca!*”. Obaj profesorowie, Hassman i Szymański, organizowali spotkania środowisk otolaryngologicznych białostockiego i warszawskiego. Jesienią roku 1963 pojechaliśmy na takie spotkanie do Augustowa, gdzie bazą był Dom Turysty. Tam, w ramach przyjaźni polsko – radzieckiej znalazła się grupa specjalistów ze Związku Radzieckiego. Zwróciła moją uwagę lekarka w średnim wieku, która wcale dobrze mówiła po polsku. Odróżniała się także od innych zamkniętych w sobie, nadętych smutasów, nie umiejących nawiązywać żadnych kontaktów z otoczeniem. Rozmowa z nią była niezwykle ciekawa i pouczająca zarazem:

„*Kiedy we wrześniu 1939 roku Armia Czerwona wyzwalała (sic!) dla Litwy (sic!) Wilno i jego okolice, mnie, jako aktywistkę Komsomołu skierowano do pracy ideologicznej na tereny wyzwolone. Byłam wtedy na pierwszym lub drugim roku studiów Instytutu Medycznego w Leningradzie i jechałam z misją polityczno – ideologiczną. W czasie naszych szkoleń przed wyjazdem do rejonu Wilna dowiedziałam się o nędzy i upodleniu klas pracujących w burżuazyjnej Polsce i o tym jak jaśnie panowie wykorzystywali ten lud. Po rozpoczęciu pracy na Wileńszczyźnie przeżyłam szok. Po pierwsze ludziom jednak żyło się znacznie lepiej niż w naszym kraju. Po drugie stwierdziłam z ogromnym zdziwieniem, że PANIĄ jest przekupka na bazarze, zaś PANEM, także Maciej, dozorca zamiatający ulicę. To wywoływało we mnie wiele zamętu ideologicznego i dopiero wtedy byłam w stanie zrozumieć, że to nie całkiem tak!* „.

Innym interesującym opowiadaniem tej Pani Doktor z zaprzyjaźnionego Kraju Rad była opowieść o badaniach przyczyn choroby nadciśnieniowej u mieszkańców Leningradu, którzy przeżyli koszmar 1000 dni oblężenia przez hitlerowców:

„*Badaliśmy kobiety i męszczyzn którzy przeżyli oblężenie Leningradu. Chodziło nam o wykrycie przyczyn nadciśnienia tętniczego u tych ludzi, a raczej zdarzeń, które sprzyjały jego występowaniu do dnia dzisiejszego. Byli to głównie mieszkańcy tak zwanych „komunalek „ (G.J. – mieszkania tzw. „przedrewolucyjnej burżuazji „, były wielopokojowe i „zdobyczą” Rosji Sowieckiej była tak zwana „sprawiedliwość społeczna „, która prowadziła do umieszczenia w każdym pokoju jednej rodziny). Pytaliśmy się starszej kobiety cierpiącej na nadciśnienie o jej losy wojenne. Opisywała długo i cierpliwie, jak to ludzie radzieccy czynią, jak kolejno umierali członkowie jej*

rodziny. Głównie z głodu. Ciśnienie ani nie dręło. Kiedy natomiast spytaliśmy się o życie w „komunalce”, ciśnienie poszybowało gwałtownie wzwyż i dowiedzieliśmy się, że Maria Antonowna zostawia brud w wannie i klozecie, Igor Maksimowicz nieustannie chla wodę i śpiewa sprośne piosenki wieczorami nie szanując spokoju współlokatorów i to jej dopiero wyzwala nadciśnienie. Wojna, jak to wojna – przeżyło się, ale teraz jest pokój, a sąsiedzi spokoju nie dają! Ot, co!”.

W roku 1963 habilitował się dr.med. Zbigniew Bochenek na podstawie pracy wprowadzającej do codziennej praktyki w medycynie polskiej nowej metody rejestracji odruchu przedsionkowo – ocznego – elektronystagmografii. („*Badania kliniczne i doświadczalne nad przydatnością elektronystagmografii w ocenie czynności narządu przedsionkowego*”). Bochenek, poliglota, człowiek niepospolitej inteligencji nauczył się techniki i interpretacji E.N.G. na stażu w Instytucie Laryngologii i Otolologii w Londynie kierowanego przez prof. Ormeroda. Metoda ta była novum w medycynie światowej i rokowała, mimo wszystkich swych ograniczeń, dokonanie znacznego postępu w badaniach narządu przedsionkowego. Dowodem tego, jak mogą także mylić się geniusze jest mało znany fakt, że prof. Jan Miodoński, który pozytywnie zaopiniował pracę habilitacyjną Bochenka, był w rozmowach prywatnych niezwykle sceptyczny co do jej wartości. W klinice odczuwało się znaczny zastój zawodowy i naukowy związany z postawą profesora Szymańskiego, nie będącego entuzjastą „nowinek”.

Docent Bochenek nawiązał kontakt z Centralnym Ośrodkiem Badawczym Kolejowej Służby Zdrowia, którego dyrektorem był w tym czasie dr.med. Edmund Biskup. W nim znalazł partnera, któremu zależało na stworzeniu ośrodka prężnego naukowo i dysponującego najnowocześniejszą aparaturą diagnostyczną i badawczą. Kolej dysponowała wtedy znacznymi środkami na inwestycje. Zakupiono najnowocześniejsze aparaty: audiometry do audiometrii tonalnej, słownej i impedancyjnej, audiometrie automatyczną wykonywaną metodą Bekesy’ego oraz absolutne cudo techniki-elektronicznie sterowany fotel do badań narządu przedsionkowego zachodnoniemieckiej firmy Tönnies. Niewątpliwie był to najlepiej w tym czasie w Polsce wyposażony ośrodek dysponujący ultranowoczesną aparaturą do badań narządu słuchu i równowagi. Kierownikiem tej pracowni był docent Bochenek, jego zastępczynią dr.Ratajska, na stałych etatach pracowały panie doktor Gromowa i Maciejewicz-Makowiecka. Docent zaproponował mnie pracę na pół etatu, co przyjąłem z entuzjazmem widząc w tym wielką szansę na dalszą pracę z dostępem do optymalnego warsztatu pracy. Nadal raz w tygodniu jeździłem do Mińska Mazowieckiego, ale czas podróży pozwalał mi zaznajomić się z najnowszą literaturą medyczną dostępną dzięki zapobiegliwości pana mgr. Andrzeja Pudło, szefa biblioteki Ośrodka. Co więcej przygotowując krótkie streszczenia ważniejszych artykułów mogłem jeszcze dorobić, ponieważ gorsza znajomość języka angielskiego u moich koleżanek sprawiała, że Ośrodek wydawał comiesięczny biuletyn, w którym ukazywały się moje tłumaczenia. Ważne, że za każde tłumaczenie dostawałem zapłatę.

Po zdobyciu pierwszego stopienia specjalizacji, Elżbieta i ja, każde w swojej dziedzinie zaczęliśmy przygotowywać się do ustalenia tematów i gromadzenia materiałów pozwalających opracowanie prac doktorskich. Poprzez pracującą w naszej klinice Isię Osuchową nawiązałem kontakt z jej mężem Tadeuszem, adiunktem w Klinice Chorób Zakaźnych pracującej w Miejskim Szpitalu Zakaźnym przy ulicy Wolskiej. Kliniką kierował profesor Bertold Kassur. Podjęto tam duży program badań chorych na brucelozę i ja badałem u tych pacjentów narząd słuchu i równowagi. Wyniki tych badań były interesujące i analizując je zacząłem przygotowywać pracę doktorską. Mając zebrany materiał pojechałem do Kazimierza Dolnego, gdzie w Domu Pracy Twórczej Architekta spotkałem nieoczekiwanie doktora Kanabusa. Przed południem chodziliśmy wspólnie na spacer, zaś po południu siedziałem nad tekstem pracy doktorskiej. Pewnego dnia w czasie spaceru na wale ochronnym nad Wisłą Kanabus wrócił wspomnieniami do września 1939 roku:

„Kolego, tu właśnie z Kazimierza Dolnego przeprowadziłem się na lewy brzeg poprzez Krowią Wyspę do Janowca. Nasz oddział był rozbity. U chłopów wymieniliśmy mundury na cywilne lachy i zmierzaliśmy do Warszawy, aby połączyć się z rodzinami. Dla chwili odpoczynku po przeprawie weszliśmy na chwilę do kościoła w Janowcu, gdzie właśnie odbywała się msza żałobna. Nastrój pasował do chwili. Pośrodku nawy, blisko ołtarza stała uboga trumna otoczona zapalonymi

świecami. Żałośnie grały organy. Byłem i jestem niewierzący, ale w tym momencie poczułem, że tylko Pan Bóg może nas uratować. I patrz Pan, Kolego, znów wróciłem do tego samego miejsca cały, żywy, ocalały z tej rzezi.

Niebawem dowiedziałem się, że doktor Kanabus, znakomity lekarz i nadzwyczaj prawy człowiek zmarł nagle na zawał serca. Żegnaliśmy Go z prawdziwym bólem na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach.

Kazimierz Dolny był w latach 1960 – tych małym, dość zapyziałym miasteczkiem liczącym sobie co najwyżej 5000 mieszkańców. Być może było ich mniej. Poza dniami targowymi w miasteczku ulice były puste, ale urok tego miasta to okolice. Cudownie rzeźbione przez naturę jary, na przedwiośniu fioletowe od przebijających się przez śnieg fiołków wczesnowiosennych, a zwłaszcza Jar Korzeniowy. W Domu Architekta, przy Rynku, którego właścicielem było Stowarzyszenie Architektów R.P. królowała niezwyklej energii szefowa pani Euzebia Przemyska, której pomagał jej mąż pan Andrzej. Zaprotegowali nas do tego domu nasi lubelscy Koledzy, doktor Klonowski, starszy brat otolaryngologa, późniejszego profesora. W tych latach dom był dość zaludniony przez emerytki, panie były pracownice pracowni architektonicznych i wdowy po profesorach architektury. Wiele z nich było w zasadzie rezydentkami zajmującymi pokoje przez wiele tygodni, a może nawet miesięcy. Zwyczajem tego domu było przygarnianie bezpańskich psów, które szwendały się po wielkim hallu na parterze, niezwykle przyjazne ludziom. Królowała wielka biała suka Saba, w towarzystwie czarnych kundli Hipka i Homera. Po eksterminacji Żydów nie było to miasteczko przypominające czasy przedwojenne. Odebrało to temu szczególnemu miejscu walor mieszania się kultur i obyczajów. Z malarzy, po śmierci Antoniego Michalaka działał i mieszkał tu stale Franciszek Kmita. Wtedy jeszcze malował dobrze. Na miejscu hotelu Berensa, tuż obok Fary, Gminna Spółdzielnia otwarła knajpę „Esterka „. Była to, jak mawiano w Warszawie, typowa socjalistyczna „ *padłodajnia* „. Miejscowi głównie pili „*koktail Mołotowa* „, czyli piwo zaprawione spirytusem. Chodziliśmy z Elżbietą na długie spacery Wąwozem Plebanka i dalej poprzez pola ku Mięćmierzowi, który przypominał chutory ukraińskie na Podolu czy Wołyniu skryte w jarach i wąwozach. Towarzyszyły nam w tych wycieczkach dwie nasze ukochane jamniczki Pegusie, Ruda i w latach późniejszych Czarna. Słusznie mawiał Antoni Słonimski, że „*Kazimierz Dolny to nieuleczalna choroba serca* „. Dla nas, jak wielu ludzi jest to choroba dozgonna.

W roku 1967 obroniłem pracę doktorską p.t. „ *Badania narządu słuchu i równowagi u chorych na brucellozę przewlekłą typu bovis* „. Promotorem mojej pracy doktorskiej był docent Bochenek, dla którego mój doktorat był pierwszym jakim opiekował się od początku do końca w swej karierze samodzielnego pracownika nauki. W dalszych latach był promotorem kilkunastu przewodów doktorskich. Profesor Szymański przyjął wybraną przeze mnie osobę promotora ze zrozumieniem i spokojem. Satysfakcja była podwójna: zdobycie stopnia naukowego i uznanie brucellozy za chorobę zawodową pracowników weterynarii, rzeźni i niektórych zakładów przetwórstwa mięsnego, chorobę, która może dawać wcale często powikłania ze strony narządów słuchu i równowagi.

W rok później stopień doktora medycyny zdobyła Elżbieta przedstawiając pracę p.t. „ *Doustne testy tolerancji glukozy w ciąży powikłanej* „. Praca ta była wstępem do zdobywania przez nią autorytetu specjalisty w prowadzeniu ciąży u kobiet z cukrzycą. Profesor Roszkowski ukierunkował też Jej dalsze zainteresowania na szczególne zajmowanie się ciążą wysokiego ryzyka czyli ciążę zagrożoną.

W roku 1963 postawiono przede mną dylemat ważny i trudny. Docent Bochenek zaproponował mi wstąpienie do Partii. Argumentował przy tym w sposób wydającym się być racjonalnym: „ *Lepiej być wewnątrz i coś od środka poprawiać, niż tylko beczynnie patrzeć na głupoty, jakie robią inni. Skoro innej Polski nie ma i póki co innej nie będzie, to trzeba się starać, aby ta, w której żyjemy była możliwie znośna. W rzeczy samej wszyscy jesteśmy więźniami skazanymi na ciągłe szukanie ugody ze złą rzeczywistością. Obok niej żyć się nie da !. Zachodzi więc nieodzowność gry z sytemem i szukania z nim kompromisów. Problem polega na tym jak daleko można iść na kompromis ?* „ Z biegiem lat przestawałem być zapaleńcem Polski

Ludowej, ale zawsze traktowałem nasz Kraj jako swój, ponieważ inей Polski po prostu nie było. Nic nie zapowiadało też w latach 1960- tych jakichkolwiek zmian w systemie. Dlatego też na rzecz Rzeczypospolitej taką jaką Ona była pracowałem. Poza tym byłem człowiekiem o odziedziczonych po Dziadku Janczewskim poglądach lewicowych

Tej decyzji nie umiałem ani nie mogłem podjąć bez porady mego Ojca. Ojciec nigdy nie należał do żadnej partii. W czasie okupacji był zaprzysiężonym żołnierzem Armii Krajowej, aktywnym członkiem Tajnej Organizacji Nauczycielskiej organizującym rozległą sieć nauczania dzieci i młodzieży polskiej w warunkach pracy podziemnej. Wracając po wyzwoleniu do kraju przywiózł ze sobą w roku 1946 około setki młodych ludzi, absolwentów liceum polskiego w Lippstadt (Westfalia), w którym pracował. Uważał, że po eksterminacji inteligencji polskiej są oni potrzebni przede wszystkim w kraju. Ojciec na moją prośbę o radę odpowiedział mi prawdziwą przypowieścią zasłyszaną w gronie ludzi wtajemniczonych. Otóż kiedy zapytano prof. Kotarbińskiego czy należy wstąpić do partii odpowiedział:

„ Rozumiem, że zwraca się pan do mnie jako do twórcy doktryny realizmu praktycznego i oczekuje pan, młody człowieku, że powiem panu „TAK „. Ale ja nie mogę panu powiedzieć ani „TAK „, ani „NIE „. Mogę tylko powiedzieć panu, że zostaliśmy sprzedani, tak sprzedani na zawsze I jeżeli pan zechce wyciągnąć z tego wniosek, że można to zmienić tylko od środka, to należy taki wniosek uznać za poprawny „.

To zgadzalo się z argumentacją Bochenka. Istotnie był to problem nie tylko dla mnie, ale także dla wielu „zaplutyh karłów reakcji „, którzy wyszli z więzień czasów stalinowskich i jednak uważali, że Polskę zależną od Rosji, nie całkowicie suwerenną, na swój sposób podobną do Królestwa Polskiego z lat 1815 – 1930, niezbędne jest budować pomiędzy Odrą i Bugiem, a nie nad Tamizą. Nie powiem gdzie mieliśmy marksizm – leninizm, ale chciałem w swym działaniu nie być krępowany przez jakiegoś głupka tylko dlatego, że nie jestem członkiem partii. Podjąłem więc decyzję na tak. W tym czasie był to dla wielu znakomitych młodych ludzi poważny problem. Wstępowano do partii dlatego, że chciano, naprawdę chciano, robić coś dobrego dla swego środowiska, aby nie nadużywać zbyt górnolotnego twierdzenia „ dla Polski „. Bardzo wielu było w istocie bezpartyjnych w sensie ideowym, ale byliśmy wpędzeni w pewną sytuację, którą uznawano powszechnie za bez wyjścia, a raczej z jednym wyjściem: działaniem w ramach rządzącej partii. Nie miało to nic wspólnego z prymitywnie rozumianym wallenrodyzmem, na który powołuje się dzisiaj wielu cyników, byłych aparaczyków.

W końcu roku 2005 Jan Maria Władysław Rokita w rozmowie z Piotrem Najsztubem, redaktorem naczelnym tygodnika „ Przekrój „, pytany co myśli o swojej partii, czyli Platformie Obywatelskiej, odpowiada: *„Nie jestem człowiekiem, dla którego partia jest ojczyzną, partyjność nie należy do mojej natury. Przynależność partyjną traktuję jako pewnego rodzaju wehikuł pozwalający na to, żeby coś dobrego zrobić we własnym kraju, kreować rzeczywistość. Nie jestem entuzjastą partii politycznych „.* Przypomnijmy, że deklaracje tą składa niezwykle inteligentny cynik, będący aktualnie członkiem szóstej z kolei partii politycznej (Unia Demokratyczna – Unia Wolności – Stronnictwo Konserwatywno – Ludowe – A.W.S. – Platforma Obywatelska). Tak więc sposób myślenia pana Jana Rokity urodzonego w roku 1959 był prawidłowy, zaś spojrzenie na powojenne realia polityczne Polski Grzegorza J. urodzonego w roku 1935, dziecka i obserwatora zdarzeń związanych z II Wojną Światową i jej konsekwencjami było zbrodnią stanu !?. Czyżby ?.

W gronie działaczy wyższych uczelni warszawskich było wielu kolegów charakteryzujących się wysoką inteligencją, ludzi myślących krytycznie, rozumiejących istotę problemów, które stoją przed Polską, a jednocześnie zdających sobie sprawę z granic działania jakie narzucała nam władza. Byli to to tacy koledzy jak Zbyszek Chrupek i Włodek Cimoszewicz z Uniwersytetu, Zygmunt Bosiakowski, Dariusz Rosatti, Leszek Balcerowicz z SGPiS –u, Jurek Szczerbań, Leszek Kryst, Janek Tatoń z Akademii Medycznej i wielu, wielu innych. Próby założenia swego rodzaju forum uczelni warszawskich dla prowadzenia rozmów i systematycznego omawiania ważnych dla kraju spraw w ramach dyskusji, niweczył kategoryczny brak zgody ze strony Wydziału Nauki Komitetu Centralnego Komitetu Centralnego PZPR. Zgodnie z poglądem tow. Gomułki: *„ dogmatyzm to lekka grypka, zaś rewizjonizm to gruźlica „.* Tu wracała jak bumerang sławetna i ponadczasowa

towarzyszka Halina Krysanka, ta sama, która w roku 1948 zniszczyła Dyrektora Usarka, i jako pedagoga, i jako człowieka.

Zjawisko przyłączania się do partii rządzącej, w zupełnie innych przecież warunkach, obserwuje się kilkadziesiąt lat później w tak zwanej „Trzeciej Rzeczypospolitej”, w której rządzący obrastają w szeregi członków, dość często szubrawych cwaniaków, widzących przynależność partyjną jako łatwiejsze dojście do kariery. To przecież było powodem katastrofalnej przegranej Sojuszu Lewicy Demokratycznej, oblepionej aferzystami, rządzącej w „gronach koleśków”. Jak słusznie mówił mądry Kazimierz Kutz obserwuje się wielkie niebezpieczeństwo” *wejścia w stare dekoracje* „, posługiwanie się starymi, bolszewickimi w swej genezie, metodami szukania wroga wszędzie i za każdą cenę zgodnie z zasadą głoszoną przez Franca Fiszera, że „*należy w razie potrzeby rozstrzelać 10 000 winnych, a w przypadku braku takowych winno się dobrać resztę spośród niewinnych*”. Chodzi o to, aby partie dążące skutecznie do władzy w Polsce usuwały ze swych szeregów facetów wyznających coś co nazwałbym partyjnym praktycznym ateizmem, polegającym na nie przykładaniu wagi do idei głoszonych przez daną partię, a za główny cel mających po prostu sprawowanie władzy oraz, a może przede wszystkim korzystanie z nabytych wraz z nią przywilejów dla siebie i „*znajomych królika*” „.

Czytając w ostatnich dwudziestu latach wiele literatury „kombatancko – martyrologicznej”, ze zdumieniem stwierdzam jak bardzo ahistorycznie autorzy odnoszą się do tych trudnych decyzji ludzi wchodzących w aktywne życie zawodowe tamtych naszych lat, kiedy to na horyzoncie nie było ani pierestrojki, ani Papieża – Polaka. ani jakichkolwiek szans aby *wielikij, niepokonany, nienaruszany Sowietskij Sojusz* miał się bez wojny wyprowadzić z Niemiec Wschodnich i innych krajów satelitarnych, a wreszcie rozpaść w sposób katastroficzny. Jak to przyjemnie być dzisiaj prorokiem *a rebour* zwłaszcza mając to co nazwać można „*przywilejem późnego urodzenia się*”. W istocie marksizm był po wojnie przyjęty w naszym kraju jako swego rodzaju dopust boży. Lewicowość Polacy nie wiązali z marksizmem, ale z poczuciem przyzwoitości i realizmu: robotnik chciał mieć pracę, chłop ziemię i ceny produktów pokrywające koszty ich produkcji, zaś inteligent możliwość twórczego działania, nawet jeśli były ramy tego działania określone utopijną doktryną. Należy też przypomnieć iż Państwo Podziemne niezwykle silnie formułowało konieczność zmian społecznych i porządku ekonomicznego po zakończeniu wojny. Dość powszechnie zgadzano się, że niezbędna jest reforma rolna oraz mądra nacjonalizacja gospodarki, która winna dotyczyć przede wszystkim tych działów życia gospodarczego i społecznego, które muszą pełnić funkcje służebne. Zakładano, że jest niezbędne zapewnienie do nich równego dostępu ze strony najbardziej upośledzonych ekonomicznie warstw społecznych. W sposób szczególny miało to dotyczyć oświaty i służby zdrowia. Tymczasem to co nazywano „realnym socjalizmem”, do perfekcji opanowało teoretycznie i praktycznie dzielenie dóbr, często nie swoich, ale znacznie już gorzej było z dóbr tych wytwarzaniem.

Słusznie pisał Gombrowicz, że: „*Paradoksalnie w krajach burżuazyjnego, bogatego Zachodu, we Francji czy we Włoszech marksizm był nieskończenie głębiej przeżywany, nieomal jako religia zwłaszcza przez tak zwane elity intelektualne. W Polsce był jedynie systemem społecznym, w którym żyć przyszło, ale którego się powszechnie nie akceptuje. Polska była jednym z najmniej marksistowskich krajów świata*”. Socjalizm, który powstał jako wyraz protestu moralnego podobnie jak nieomal dwa tysiąclecia wcześniej chrześcijaństwo, stał się ruchem opanowanym przez psychopatycznych utopistów i morderców. „*Kapitał*” Karola Marksa dla wielu czołowych intelektualistów zachodnich był swego rodzaju „*Najnowszym testamentem*”, w którym miłość bliźniego i miłosierdzie zastąpiono walką klas. Aby było śmieszniej nieomal wszyscy oni w istocie reprezentowali tak zwanych *pamieszczików* czyli zgodnie z bolszewicką doktryną-wrogą komunizmowi burżuazję. Lenin nazywał takich facetów z całym swym cynizmem „*pożytecznymi idiotami*” lub „*paputczikami*”, czyli przydatnymi na czas jakiś „*towarzyszami drogi*”, co znakomicie oddawało istotę zjawiska. Nie opowiadanie się za Związkiem Radzieckim, jego ideologią i praktyką dnia codziennego w wielu środkowiskach inteligenckich zwłaszcza Anglii, Francji czy Włoch było uznawane za defekt inteligencji oponentów. Guru zachodnich środowisk intelektualnych Jean – Paul Sartre deklарował w mowie i piśmie, że: „*Wolałby żyć w dyktaturze*

Stalina zamiast w dyktaturze de Gaulle'a „. Chciało by się wykrzyknąć: „*Oj głupi ty, głupi !!!*. Jakaż szkoda, że nie dano ci szansy budować Białomorskawo Kanala w warunkach pracy tych, którzy tam tyrali i ginęli ! „. W tym uwielbieniu demokracji sowieckiej przypominał swego poprzednika Diderota, naczelnego redaktora słynnej francuskiej *Encyklopedii* okresu Oświecenia wysławiającego pod niebiosą znaną nam z umiłowania demokracji i liberalnych poglądów Carową Katarzynę Drugą (*Wg. Diderota: „Katarzyna łączyła duszę Brutusa z urokiem Kleopatry !* „). Czy w tym przypadku także odgrywało rolę przekupstwo czy tylko głupota i zacierzenie polityczne. Nie wiem.

Istotną siłą moralną pozostał Kościół Katolicki, którego rolę historyczną trudno jest, mojej zwłaszcza generacji, przecenić. Jedną z anegdot tego czasu mówi o tym zjawisku w sposób oddający istotę sprawy:

„*W kościele zbity tłum klęczy w czasie podniesienia. Jednak jeden człowiek stoi uparcie. Ktoś go ciągnie za połą i teatralnym szeptem ponagla: „Uklęknij Pan wreszcie!, Podniesienie !*”, „*Ale ja jestem niewierzący !* „*To po coś Pan przyszedł na mszę do kościoła ?* „*„A bo ja jestem przeciw ustrojowi !!!* „.

I druga podobna:

„*Msza uroczysta w kościele. Masa wiernych wypełnia kościół. Ktoś ze zdumieniem zauważa pogrążonego w modlitwie sekretarza własnej organizacji partyjnej. Przepycha się do niego poprzez tłum wiernych i pyta: „Towarzysz Sekretarz tu, w tym miejscu ? Nie mogę uwierzyć ! Cóż się stało ?* „

„*Widzicie, doszedłem do wniosku, że tylko Pan Bog zdoła Partię ocalić !. O to się właśnie modłę !* „.

W naszej sytuacji emigracja wewnętrzna w czasach PRL – u była bezsensowna. Po Jałcie, Polacy przy pełnej bierności Zachodu, ba – przy umizgiwaniu się Zachodu do bolszewickiej Rosji, nie mieli alternatywy państwowej w stosunku do Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Było to więc jednak Królestwo Polskie, co prawda nie stworzone Kongresem Wiedeńskim, ale Jałtą. Tym razem byliśmy pod berłem czerwonego cara, który był jednak na tyle mądry, że nawet uważał wbrew opiniom własnego agenta-namiestnika postulującego zmianę hymnu na bardziej socjalistyczny w treści, iż „*mazurka Dąbrowskawo, eto charosza piesnija* „. Katastrofa wrześniowa, okupacja niemiecka, Powstanie Warszawskie, Jałta i Poczdam kazało nam uznać nagą wymowę faktów politycznych. Z kolejnej wojny światowej wyszliśmy jako naród stojący nad brzegiem katastrofy ekonomicznej i, przede wszystkim, biologicznej. Straciliśmy ponad pięć milionów ludzi. Dopełniły tej edukacji politycznej przeciętnego Polaka wypadki węgierskie roku 1956 i czeskie roku 1968. Czeska publicystka Milena Jesenska w tygodniku „Przytomnost „ z marca 1939 roku, a więc w momencie zajmowania Czech przez Niemców pisała:

„*Każdy z nas wziął na siebie w marcu 1939 roku wielkie zadanie: być Czechem. Gest, który mogli by uczynić czescy mężczyźni 15 marca 1939 roku byłby jedynie gestem samobójczym. Być może pięknie jest przelać krew za ojczyznę. My jednak musimy robić coś całkiem innego. My musimy żyć. Musimy oszczędzać każdego człowieka jakiego mamy, każdą siłę, każdą istotę. Jest nas tu osiem milionów. Zbyt mało i zbyt dużo na samobójstwo. Ale wystarczająco dużo na życie* „.

Kiedy Polacy kadry młodych absolwentów szkół na Bliskim Wschodzie skierowali na rzeź w prowadzonej już po konferencji jałtańskiej bitwie o Monte Cassino, Czesi swoją młodzież emigracyjną sadowali na zachodnich uniwersytetach. I oto Czesi wyszli z wojny 1939 – 1945 bez tych koszmarnych strat biologicznych i materialnych, zaś w dalszym biegu historii ich los układał się o wiele lepiej niż nasz. Taka jest prawda historyczna, bez względu na opinie różnych oszołomów. Zwłaszcza tych, którym zawdzięczamy dzisiaj zjawisko powszechnego urynkowania wszelkich wartości. Byłoby wspaniałe gdyby ludzie dający dzisiaj recepty na ulepszenie Polski byli sami ludźmi porządnymi. Tymczasem już od czasów Machiavellego i Bismarcka wiadomym jest, że polityka jest sztuką realizowania możliwości, zaś jedynym jej celem jest skuteczność.

Profesor Anna Tatarkiewicz, którą trudno posądzać o partyjne widzenie faktów historycznych pisała:

„*P.R.L. to dla wielu z nas niełatwy okres pracy organicznej. Dzięki tej pracy mieliśmy wybitne filmy, znakomity teatr, bardzo dobrą muzykę, plastykę oraz literaturę, łącznie z tak ważnym zjawiskiem jak nurt chłopski, którego nie było by, gdyby nie awans intelektualny tej grupy społecznej. Dziwi tylko, że tylu Polaków wysuwających roszczenia wobec Państwa Polskiego nie pamięta o tym, że wszyscy wyłączeni korzystaliśmy z tak wielu bezpłatnych świadczeń* „.

Dzisiaj tak zwani „niezależni historycy „ (*istotne pytanie: niezależni od czego i kogo ? Od faktów historycznych ? , Od swego zaplecza politycznego ?*) przyjmują coraz częściej pogląd historyka radzieckiego Michaiła Pokrowskiego, że historia to nic innego jak polityka prowadzona w dawnych czasach. Formuła Pokrowskiego pozwalała władzom radzieckim mówić o przeszłości w sposób, który był im w danym momencie na rękę, decydować o tym, kto w dawnych czasach był łotrem, a kto bohaterem, kto głupcem, a kto wielkim mędrcom, prorokiem słusznie przewidującym przyszłość, oczywiście zgodnie z wyobrażeniem aktualnej władzy. Chodzi rzecz jasna o możliwość instytucjonalnego manipulowania historią. Obserwujemy to dzisiaj na kanwie dyskusji stricte politycznej na temat wiarygodności „Bolka „, płk. Kuklińskiego, czy budzącej obrzydzenie istnej kampanii przeciwko wielu kapłanom Kościoła Katolickiego. Oczywiście inicjatorzy tych kampanii to „*szczerzy odnowiciele* „, zdążający do odświeżenia powietrza nad Polską metodą jego intensywnego zatruwania. To istotnie pogrobowy tryumf teczek PRL – owskiej Służby Bezpieczeństwa.

Ważnym wydarzeniem w naszym życiu rodzinnym było zdobycie w roku 1965, po czterech latach oczekiwania, własnego mieszkania na Saskiej Kępie przy ulicy Waszyngtona 12/14, na co w żadnej mierze moje członkostwo w partii nie miało wpływu. Na to mieszkanie czekaliśmy od momentu ślubu, a więc siedem lat. Wprowadzaliśmy się tuż przed Świętami Wielkanocnymi. Było to tak zwane „nowe budownictwo „, o którym mawiano, że jak ktoś w mieszkaniu puści bąka to sąsiedzi narzekają na dotkliwy hałas. Ale to było pierwsze, nasze, oddzielne mieszkanie, a przez to kochane. Ulokowane było znakomicie na rogu Alei Waszyngtona i ulicy Saskiej Przechodząc przez mało jeszcze w tym czasie ruchliwą jezdnię Alei Waszyngtona przechodziliśmy do wspaniałego, rozległego Parku Skaryszewskiego.

Naprzeciwko nas w kilkurodzinnym domu mieszkał Władysław Gomółka. Łączył się z tym spokój i bezpieczeństwo w całej okolicy. Zawsze widziało się na ulicy dwóch lub trzech „smutnych „ panów obojętnie opartych o drzewka lub latarnie. Nieszczęściem dla rozrabiającego pijaka lub awanturnika było zabłądzenie w te strony. Gomółka regularnie w niedzielę udawał się około godziny 10 tej przed południem na spacer do pobliskiego Parku Skaryszewskiego. Towarzyszyły mu nieodmiennie w tych spacerach żona i synowa oraz pies rasy chow-chow. Dwóch „smutnych „ leniwie podążało za wodzem w pewnej odległości. Nigdy po tym żaden z naszych wodzów nie był tak niedbale chroniony przez służby specjalne jak właśnie Gomółka na Saskiej Kępie. Po wyprowadzeniu się Gomółki do willi przy ulicy Frascatti mieszkanie dwupokojowe zajął jego kierowca, miły, spokojny i sympatyczny człowiek.

Nowe, własne, wymarzone mieszkanie trzeba było jakoś urządzić. Elżbieta, która z natury była urodzonym architektem wewnątrz miała pole do popisu. Popisu ograniczonego jednak skromnymi zasobami naszej kasy domowej. Po pierwsze niezbędnym stało się zaopatrzenie drzwi wejściowych w zamki budzące zaufanie. Konstrukcja tych drzwi była nader wątpliwa. Na dość wąskiej drewnianej ramie przybito z obu stron płytę paździeżową, co zapewniało, że mocne kopniecie dobrze zbudowanego mężczyzny wystarczy do wyważenia całości bez trudu. Szefowa pielęgniarek, nieoceniona pani Renia Strzelec, mająca rozległe kontakty ze wszystkimi fachowcami szpitalnymi przysłała nam ślusarza „o najwyższych kwalifikacjach „. Facet przyszedł nieco spóźniony, wydychający niezbyt intensywnie, ale wyraźnie opary alkoholu i oświadczył, że „*złatwi wszystko szybko i substelnie* „. Praca szła mu dość opornie a coraz większy niepokój budził fakt, że drzwi ubywało. Kiedy dziura przeznaczona dla osadzenia niewielkich rozmiarów zamka osiągnęła średnicę wystarczającą na swobodne wychylenie głowy na zewnątrz, „*substelny fachman* „ doszedł do wniosku, że do jutra drzwi musi zostawić w tym stanie i zalecił pilnowanie wejścia przez następne kilkanaście godzin. Podziękowaliśmy mu grzecznie, ale stanowczo, za kontynuowanie

roboty i sprowadziliśmy mniej „substelnego „, ale skuteczniejszego specjalistę. Jednak całą noc trzeba było dziury w drzwiach pilnować i jedno z nas do pracy nazajutrz iść nie mogło.

Nowy wódz narodu Gomółka dość szybko wrócił do demonstrowania swych nader konserwatywnych założeń doktrynalnych i miał głęboki kompleks antyinteligencji. Ludzi wykształconych uważał za niepewnych ideologicznie co sformułował na jednym z plenum: „*bo oni nie pracują konstruktywnie, tylko siedzą i szydzą!*”. Po pokazie filmu POPIOŁY pytał gorączkowo: „*Kto to jest TA Wajda?* „. W jego otoczeniu było wielu ćwierćinteligentów. Słynne było wystąpienie jednego z wicepremierów odpowiedzialnych za gospodarkę, który na uroczystości otwarcia fabryki elementów elektronicznych powiedział: „*Towarzysze! Kapitaliści chwalać się, że produkują półprzewodniki. Otóż my niedługo zaczniemy produkować całe przewodniki!!!* „. Co wywołało odzew na mieście: „*Jak Partia mówi, że nie da-to nie da, jak mówi że da, to mówi!* „.

Aga kończyła właśnie trzy lata i rozpoczęła swoją karierę uczennicy w przedszkolu przy ulicy Dąbrówki. Ze względu na naszą pracę konieczne było zatrudnienie kolejnej pomocy domowej. Była nią pani Lodzia, kobieta około lat sześćdziesięciu pochodząca z Pomorza. Pracowała u nas przez kilka lat i nagle niespodziewanie odeszła. Z polecenia zatrudniliśmy panią Rózię, która była osobą budzącą zdumienie u odwiedzających nas przyjaciół. W czarnej sukni, z białym małym fartuszkami otwierała gościom drzwi. Nigdy nie zapomnę zdumienia naszego przyjaciela Stasia Cześnina, znanego speakera Telewizji Polskiej, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy. Nie był to człowiek, którego łatwo było zadziwić. Rózia miała umysłowość pierwszoklasisty i jej pasją było rozwiązywanie krzyżówek zamieszczanych w tygodnikach dla dzieci. O ile interesowała się telewizja to w żaden sposób nie mogła zrozumieć sensu montażu audycji a zwłaszcza filmu. Obserwując transmisje westernu zdumiewała się: „*Panie jak to jest – oni przed chwilą jechali na koniach, a teraz siedzą w pociągu. Przecież nie wsiadali do wagonu!* „.

Kiedyś przy wieczornym spotkaniu z gronem bliskich przyjaciół opowiadaliśmy swe wrażenia z francuskich wojaży. Opowieści o cudach architektonicznych starych gotyckich katedr przerwała Rózia swoją opowieścią:

„*Co tam, Panie, Francuzi. U nas w Różanie to jest dopiero cud. W kościele, w głównym ołtarzu jest obraz Świętej. Nie pamiętam jak jej tam było, ale na obrazie głowę jej ścieli. Paganie. I proszę Państwa, głowa Świętej leży na ziemi i się modli, zaś Święta kłęczy i dalej się modli, chociaż już bez głowy! To jest dopiero cud!*”

Takich uctw duchowych mieliśmy wiele, ale po kilku miesiącach Rózia doszła do wniosku, że jest godna lepszej posady. Niezadługo po jej odejściu zadzwoniła do nas znana piosenkarka prosząc o referencje dla Rózi. Wydaliśmy jak najlepsze. Wiele lat po tym nasi przyjaciele tęsknili do spotkań z naszą Rózią jak do nadzwyczajnych przygód intelektu opartego na *pur nonsense*.

Niespodziewanie powróciła do nas jej poprzedniczka Lodzia. Cieszyliśmy się tego bowiem był to porządna, uczciwa i czysta kobieta okazująca naszej córce wiele serca. W jakiś sposób dowiedzieliśmy się, że jej odejście było związane ze skutkami, że tak powiem, grzechów młodości. Otóż ta starsza w owym czasie i bogobojna pani miała, jak się okazało, gdzieś na Pomorzu nieślubną córkę. Wyszła ona szczęśliwie za mąż i oto jej córka, a Lodzi wnuczka, szła do Pierwszej Komunii Świętej. Lodzia na tej uroczystości być musiała, ale w żaden sposób nie chciała podać powodu, dla którego prosić by mogła o kilka dni urlopu. Z tego też powodu złożyła nagłe i bardzo nas ambarasujące wymówienie. Była u nas wiele następnych lat, aż do czasów szkolnych Agnieszki. Jak każdy człowiek miała swoje normy w ocenie wartości i znaczenia jednostek ludzkich. Kiedyś po spacerze z Lodzią Aga z przejęciem mówi do nas:

„*Tato! A na Waszyngtona to jakiś motocykl potrafił człowieka i zranił!*”

„*Jak tam było Pani Lodziu?* „

„*E tam, Panie, co to za człowiek, ten potracony to cywilak!*”

Jak to mawiali w Polsce: „za mundurem panny sznurem „Wspominamy ją mile.

W klinice praca toczyła się normalnym, jak na owe czasy trybem. Staralem się, podobnie jak Tadzio Jegliński, wykorzystywać materiał kliniczny do poszerzania asortymentu wykonywanych przez siebie badań diagnostycznych i zabiegów operacyjnych. Dzięki docent Cichockiej – Szumilin i docentowi Bochenkowi powstała grupa która rozwijała nowoczesne metody operacji

onkologicznych. Poza osobami wyżej wymienionym należeli do niej przede wszystkim doktorzy Jan Kuś, Jadwiga Osuchowa, Tadeusz Jegliński. Znieczulenie ogólne stało się normą, podobnie jak operacje ślinianek przyusznych. Ja, dzięki docentowi Bogusławowi Moszyńskiemu byłem wprowadzany w tajniki chirurgii ucha, nie odżegnując się bynajmniej od udziału w dużych operacjach nowotworów głowy i szyi.

Pracowaliśmy na terenie Szpitala p.w. Dzieciątka Jezus, który w tych latach stał się Państwowym Szpitalem Klinicznym nr. 1. Szpital powstawał w początku XX wieku i kroniki mówią, że w tamtych latach, przy tamtej technice budowania od wiosny do jesieni z przerwą zimową, szpital wybudowano i oddano do użytku w dwa lata. Była to podstawowa baza dla prowadzenia dydaktyki w zakresie specjalności klinicznych dla studentów naszej Akademii Medycznej. Mieliśmy wielu konsultantów z innych dziedzin medycyny, ale najbardziej przez nas szanowanym i ulubionym był doktor, a następnie docent Iwanowski, neurolog. Pamiętałem go jeszcze z Zakładu Anatomii, gdzie nauczał budowy mózgowia. W dalszych latach bez reszty poświęcił się praktyce neurologicznej. Potwornie się jąkał, ale był uroczym, pełnym inteligencji i humoru starszym kolegą. Kiedyś przyszedł do nas opowiadając następujące wydarzenie.

„ KKKKKieedy szeeedłęem ggggłóównąąa alllejkąąa zaaaczczczepił mniee jaaakiśś fffacettt, straaaszszliwie sięęę jąąakająącyyy. I pyyyta: Paaaniee, gdziee tu jeeest przyprzychoodnia fooniatryczna ?. Naaa to jaaaaa niicc. Oooodwwróóciłłłm sięęę doooo niegoooo tyłłem i pooszedłem do waaaszeej kkkklinikiii. Aaaa ooon naaa tooo: chchchchaaaam !.

„ No dobrze panie doktorze, ale dlaczego nie chciał mu pan udzielić tej informacji? ”

„ Ppppprreeeieeeeż w mooordeęę byyyymm doostaaał zaaaa przeddddzeeeżźniaaaaaanie !!! „.

Z wielkim smutkiem dowiedzieliśmy się po kilku latach, że docent Iwanowski przeszedł do pracy w innej placówce akademickiej. To był znakomity facet.

Wiadomo było, że z pełnym rozruchem kliniki ku nowoczesności trzeba dotrzeć do roku 1972, kiedy to nasz Szef ustawowo przejdzie na emeryturę. Z całą jednak mocą trzeba podkreślić, że każdy z nas Jego współpracowników, bez jakichkolwiek z Jego strony protestów i przeszkód realizował własne plany życiowe, zawodowe i naukowe. Oczywiście w miarę ówczesnych możliwości warsztatowych Kliniki. Prawdą jest to, że kiedy Profesor Bochenek objął stanowisko kierownika Kliniki zastał zespół ludzi dojrzałych naukowo i zawodowo, spośród którego w bardzo krótkim czasie wyhabilitowało się co najmniej 8 osób. Ja swoje ambicje badawcze mogłem realizować w Centralnym Ośrodku Badawczym Kolejowej Służby Zdrowia. Moje stosunki z docentem Bochenkiem były idealne i powszechnie, także w polskim środowisku otolaryngologicznym, byłem uważany za „ człowieka Bochenka „. Po zdobyciu stopnia doktora medycyny zajmowałem stanowisko starszego asystenta, ale nie spieszyło mi się do zdobywania drugiego stopnia specjalizacji, bowiem miałem inne priorytety, które uznałem za bardziej istotne dla swego rozwoju.

W lutym 1967 zmarła w wieku siedemdziesięciu dziewięciu lat Babcia Julia Janczewska. Od wielu miesięcy leżała obłożnie chora odmawiając poddania się jakimkolwiek badaniom, zwłaszcza szpitalnym. Została pochowana na Cmentarzu Bródnowskim obok swego Męża.

Wiosną 1968 roku w Europie zawrzało. Na Zachodzie we Francji Niemczech lewica rozpoczęła kampanię przeciw panującemu establishmentowi. Głównym taranem uderzeniowym była anarchistyczna i lewacko-trockistowska młodzież uniwersytecka.

Jak mawiał Lenin „ Aby wybuchła rewolucja, musi zaistnieć sytuacja rewolucyjna !”. Trockizm była to dla ruchu komunistycznego z bolszewicko-stalinowską jego odmianą, herezją, którą tak brutalnie w wiekach średnich tępił Kościół Katolicki. Lenin miał na tym punkcie obsesję podkreślając, że nie ma wroga gorszego ideologicznie niż wróg wewnątrzpartyjny. To był początek wydarzeń, które w marcu 1968 roku miały swój historyczny oddźwięk także w naszym kraju. Początek tej sprawy, logicznie rzecz biorąc należy szukać w wojnie izraelsko – arabskiej w roku 1967. Wielu jednak świątłych politologów twierdziło, że Rosja chruszczowoska bała się przede wszystkim właśnie herezji trockistowskiej. Jakkolwiek dzisiaj się mawia na ten temat, prawdą jest,

że wiele, aby nie powiedzieć zbyt wiele, stanowisk kierowniczych w gospodarce, armii, służbach specjalnych było obsadzonych przez obywateli polskich pochodzenia żydowskiego, wywodzących się do tego z rodzin o rodowodach związanych z członkostwem Komunistycznej Partii Polski. Jak wiadomo partia ta nie był entuzjastką Polski odrodzonej w latach 1918 – 1939. Entuzjazm, zrozumiały zresztą, okazywany przez tą grupę ludzi w związku z blitzkriegiem izraelskim został wykorzystany przez te grupy w P. Z. P. R., które były zainteresowane zajęciem ich posiadłości. Pojawiła się stosunkowo młoda generacja działaczy partyjnych, która szukała swego miejsca w gremiach władzy. Zaczęto mówić o grupie tzw. „partyzantów”, którym przewodził szef bezpieczeństwa generał Mieczysław Moczar, były partyzant Gwardii Ludowej związany z KGB czy też GRU. Deklarowali się jako patrioci, rzec można narodowi socjaliści, którym drogie są wartości patriotyczne. Zaczęto kokietować byłych żołnierzy Armii Krajowej jako „współtowarzyszy walki o wolność”, co było absolutną nowością. Od czasów utworzenia tzw. Związku Patriotów Polskich w ZSRR i I Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki we władzach komunistów trwała walka pomiędzy „chamami”, i „Żydami”. Stalin, dla pewności, wołał się jednak oprzeć w pierwszych latach zdobywania pełni władzy nie na Polakach, do których zaufania nie miał. Dał temu wyraz wyrzynając elity K.P.P. w latach 1937.

Koniec lat 1960-tych pokazywał bankructwo systemu, brak perspektyw, zwłaszcza dla młodzieży uniwersyteckiej. Kraj był wciąż odcięty od normalnych kontaktów międzynarodowych. Zwłaszcza na wyższych uczelniach nastroje były sprzyjające temu, aby byle pretekst wywołał burzę. Już po wspomnianej wojnie roku 1967 z wojska, resortu spraw zagranicznych i spraw wewnętrznych zaczęto usuwać obywateli pochodzenia żydowskiego. W początku roku 1968 w Czechosłowacji rządy objęła nowa ekipa, w której na czele partii komunistycznej stanął Aleksander Dubczek głoszący zamierzenia stworzenia „*socjalizmu z ludzką twarzą*”. Kierownictwo Związku Radzieckiego stawiało się coraz bardziej nerwowe i zdecydowane ukrócić działania „sił antysocjalistycznych”. Iskłą, która spowodowała burzę w Polsce było zdjęcie z afisza przedstawienia „Dziadów”, Adama Mickiewicza wystawianych przez Kazimierza Dejmka w Teatrze Narodowym. Ambasada rosyjska gwałtownie protestowała potępiając żywiołowe reakcje publiczności na słowa aktora grającego w jednej ze scen rolę oficera rosyjskiego mówiącego zgodnie z oryginalnym tekstem sztuki:

*„Nie dziw, że nas tu przeklinają,
Wszak to już mija wiek,
Jak z Moskwy w Polskę nasyłają
Samych łajdaków stek ...”*

Po usunięciu sztuki ze sceny doszło do masowych manifestacji studentów przy pomniku Mickiewicza, która odbyła się bez większych interwencji ze strony milicji. Władze, nie poprzestając na tym, usunęły ze studiów na Uniwersytecie Warszawskim dwóch studentów Michnika i Szlajferta. Rozpoczęły także wszczynanie kroków dyscyplinarnych w stosunku do innych studentów, z których wielu było członkami rodzin obecnych lub byłych notabli reżymowych żydowskiego pochodzenia.

Szczególnie dramatycznym dniem okazał się 8 marca 1968 roku, kiedy to grupy cywilnych funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa zaatakowały na zwyczajowo eksterytorialnym terenie Uniwersytetu Warszawskiego pokojową manifestację studencką. Bito też ludzi na schodach kościoła pod wezwaniem Świętego Krzyża. Do akcji wkroczyły specjalne oddziały Milicji Obywatelskiej zwanej powszechnie „*bijącym sercem partii*”. Studentów bito także na schodach Bazyliki Świętego Krzyża przy Krakowskim Przedmieściu. Mówiono, w kręgach studenckich zwłaszcza, że wychodzące do akcji oddziały ZOMO za cały dylemat mają: „*czy lać, czy walić, czy puszczać gazy*”. Episkopat stanowczo potępił użycie siły wobec studentów i naruszenie powagi Uczelni, ale nie zajął stanowiska wobec walki politycznej, którą – i słusznie – uznawał za swego rodzaju kłótnię w partyjnej rodzinie. Stało się jasnym, że zdecydowanie łatwiej było powiedzieć czym obecnie „socjalizm”, nie jest, niż to czym być powinien. Wydaje się, że odpowiedź na to pytanie dzisiaj jest jeszcze trudniejsza. Reakcja społeczeństwa w jego masie była ostrożna, jednak publicznie wyrażano zadowolenie, że coś w partii się wali. Marian Brandys, który należał do tych,

którzy weszli do Polski z władzą ludową od strony wschodniej, jako przyzwoity człowiek przyznawał: „*Kiedy słucham podobnych opowieści (o „nawróceniu „byłych komunistów – przyp. G.J.) dobrze rozumiem tych wszystkich, którzy nam mówią: Teraz krzyczycie, zakładacie KOR-y, urządzacie głodówki protestacyjne, ale wtedy-gdy było bez porównania gorzej – wtedy milczeliście, wtedy współpracowaliście z reżymem !”*”.

Po wypadkach marcowych do władzy zaczęła dochodzić do władzy tzw. „frakcja moczarowska „, zwana także „partyzantami „, której wodzem był szef służb specjalnych Mieczysław Moczar. Na różnych szczeblach organizacji partyjnej „żydzi „, zostali zastąpieni przez osobników dość prymitywnych. Po usunięciu z wielu szkół wyższych wybitnych profesorów pochodzenie żydowskiego zastępowano ich tzw. „marcowymi docentami „, dla których wkrótce ulica uknęła nazwę „*mierni, bierni, ale wierni – partii oczywiście !”*. Zmiana poziomu intelektualnego ludzi władzy spowodowała pojawienie się w Warszawie anegdotki:

„*Panie Kowalski, czy pan jest Żydem ? „*

„*Nie, ja tylko tak inteligentnie wyglądam !”*”.

Do historii naszej Uczelni przeszło spotkanie, na którym obecność była obowiązkowa, z ówczesnym sekretarzem Komitetu Dzielnicowego Partii na Ochocie. Chcąc niezwykle dobitnie podkreślić, jak zepsutą była jedna z członkiń grona przywódców studenckiego „*Marca 1968 „* poinformował: „*I proszę Was, ona była tak zwyrodniała, że papierosy to gasiła w dżemie !!! „*.. Ktoś z nauczycieli akademickich nie będących w stanie zrozumieć siły tej argumentacji, prosił o powtórzenie tej inteligentnej i subtelnej oceny buntowniczkich. Po marcu wyjechało w świat wielu kolegów lekarzy pochodzenia żydowskiego, w tym bardzo wielu docentów i profesorów. Wyjechał także znany literat Stanisław Wygodzki, którego mam we „*wdzięcznej pamięci „* ze względu na opowiadanie, jakie zamieścił jeszcze przed śmiercią Stalina w tygodniku „*Świat „*. Była to rozmowa z polskim chłopem, więźniem Oświęcimia, który chwali sobie pobyt w tym obozie tłumacząc przy tym, że w przedwojennej Polsce był stale głodny, a tu regularnie dojada. *No comments !*

Stefan Kisielewski pisał w swych „*Dziennikach „* pod datą 10 lipca 1968 roku: „*Na przykład Żydzi karani są za to, że rzekomo zdradzają komunizm ; wcale go nie zdradzają, lecz kara im się należy: za to, że s t w o r z y l i komunizm !”* i dalej pod datą 15 sierpnia 1968 roku: „*Cóż za nieludzka bzdura: Polska bez Żydów, marzenie Dmowskiego i Bolcia Piaseckiego, realizowane przez komunistów. Niezbądane są wyroki Boże ! „*..

Anegdota warszawska opowiada, że jeden z polskich Żydów wyjeżdżając w ramach „marcowej emigracji „, na Zachód w czasie odprawy paszportowej i celnej głośno rozpaczął i deklarował żal z powodu opuszczania kraju. Przy przeglądaniu bagażu celnik odkrywa w walizie portrety Bieruta i Gomółki w złożonych ramach i pyta:

„*Panie, dlaczego Pan wyjeżdża tak bardzo kochając Polską Rzeczpospolitą Ludową ? . I po cholere Panu te portrety ? „*

- „*Panie – one są mi niezbędne. Jak już będę był z tęsknoty, to sobie na nich popatrzę i mi tęsknota przejdzie ! „*..

Mimo wszystko we wspomnianych wyżej dziennikach Kisiela pod datą 6 września 1970 roku znajdujemy: „*Spotkałem pania docent Z., Żydówkę, która w roku 1968 dostała mocno po dupie, a która powiedziała mnie, że jest nadal marksistką ponieważ marksizm to jedyna „ naukowa analiza społeczna „*.. *O idiotka – niczego się nie nauczyła !. Gdy jej mówię, że praktyka nasza wykazuje plajtę marksizmu, ona powiada, że to nic: idea jest dobra, tylko wykonanie złe ! „*.. Coś w tym było na rzeczy.

Za półtora roku będąc w Stanach Zjednoczonych przekonałem się jak fatalnie odbiło się to na wizerunku nie rzeczywistych sprawców antysemitycznego kursu, ale na przeciętnym Kowalskim. Nagle okazało się, że „*Polak wysysa antysemityzm z mlekiem matki „*.. Żadne argumenty historyczne o Polsce jako kraju, do którego Żydzi wędrowali przez stulecia jak do Ziemi Obiecanej, o dużej autonomii Żydów polskich nie można było nawet wspomnieć. Nikt by nawet nie śmiał przytoczyć wystąpienia Otto von Bismarcka na posiedzeniu Zjednoczonego Sejmu Pruskiego w Roku 1847, kiedy mówił otwarcie: „*Gdyby Żydom dano możliwość emigrowania z Poznańskiego w głąb*

Niemiec, nie skorzystaliby z niej masowo, gdyż beztroška polskiego charakteru w odniesieniu do spraw tego świata uczyniła z Polski eldorado dla Żydów „. A jak wiadomo Bismarck nie był bynajmniej polonofilem.

Latem 1968 roku nadeszła wiadomość, że bliska kuzynka mego Ojca Stanisława Wińska, siostrzenica Dziadka Jana Janczewskiego urodzona w Stanach, ma zamiar przyjechać do Polski wraz z poślubionym niedawno swym drugim mężem. Było to wielkie wydarzenie rodzinne bo jej matka, Ciotka Bronka Młotkowska natychmiast po zakończeniu wojny przesyłała pomoc Dziadkowi Janowi, swemu młodszemu bratu, ale tą część, bliskiej przecież rodziny, znaleźliśmy jedynie z fotografii. Odebraliśmy młodą parę na lotnisku Okęcie, którego „ dworzec terminalny „ wówczas przedstawiał sobą obraz nędzy i rozpacz. Stasia wcale dobrze mówiła po polsku, Czesław, jej mąż także z polskimi korzeniami, ani słowa. Przedstawiono jej całą żyjącą część polskiej rodziny, a następnie Czesław zażyczył sobie jechać do brata swojej zmarłej matki, rolnika mieszkającego na głuchej wsi pod Różanem. To co zobaczyliśmy tam wstrząsnęło nami. O reakcji Amerykanów trudno mówić. Chłop mieszkał w drewnianej chacie, w której nie było podłóg tylko gliniane klepisko. Mówić biedny i zacofany, to nawet w Polsce roku 1968 było eufemizmem. Ojciec przytomnie tłumaczył Czesławowi dlaczego właśnie jego matka, zdążająca do zmiany swego statutu materialnego wybrała emigrację. Odjechali pełni wrażeń jak turyści po Safari.

W sierpniu pojechaliśmy na Suwalszczyznę do wsi Gawrych Rude, gdzie u zacnej pani Jaśkiewiczowej mieliśmy zamówioną na miesiąc kwatere. Mieliśmy do dyspozycji duży pokój na parterze drewnianego domu posadowionego nieopodal brzegu Jeziora Wigry. Piękna miejscowość opanowana przez wielu wybitnych Warszawiaków, zwłaszcza znanych lekarzy, dawała sposobność znakomitego wypoczynku. W naszym domu zatrzymał się, między innymi, filozof-profesor Leszek Kołakowski z żoną i córką. Odpoczywali tu także profesor Leon Manteuffel z rodziną, profesor Leszek Szczęsny – Zgliczyński z bliskimi, piosenkarka Halina Kunicka z mamą i wielu, wielu innych znanych ludzi. Jest jasne, że musiał być tu nasz przyjaciel znany warszawski radiolog, Jurek Borowicz, znany w środowisku jako „ Borówka „. W moim wspaniałym czeskim samochodzie jaką była SKODA 1000 MB (tłumaczono to jako „ tysiąc małych błędów !”) po przyjeździe nawalił akumulator. Cudowne zdobycie tego nieosiągalnego w tym czasie rarytasu motoryzacyjnego polegało na tym, że na suwalszczyźnie ludzie mieli jeszcze mniej pieniędzy niż w Warszawie. Dlatego też kilka akumulatorów szczęśliwie dla mnie stało na półce sklepowej. Uszkodzony i cholernie ciężki akumulator należało zdać na złom, uzyskać świadectwo zdania i dopiero wtedy można była nabyć nowy. Gawrych Rude dzieliło od Suwałk kilkanaście kilometrów i skorzystałem z pomocy furgonetki służbowej czasów nauczycielskich, aby dowieźć ten złom do miasteczka. Zaczynaliśmy podróż od zakupu mleka w miejscowej mleczarni. W samej bramie przejeżdżało się przez ogromną kałużę, w której pod taflą wody samochód dostawczy wjeżdżał w duże zagłębienie. Woda nieomal wlewała się do kabiny kierowcy. Oczekując na załadunek baniek z mlekiem wdałem się w rozmowę ze strażnikiem. Zapytałem czy ten wielki dół wciąż wypełniony wodą im nie przeszkadza w codziennej pracy i czy nie warto by go zasypać furmanką żwiru, którego tu wszędzie pod dostatkiem. Usłyszałem odpowiedź: „*A wie Pan, nikomu do tej pory to nie przeszkadzało, a panu, miastowemu, to wadzi ! „.* Czy nie jest to prawdą, że o statusie prowincji, i to głębokiej, decyduje mentalność tutejszych ludzi, a nie położenie geograficzne ?.

Sielsko – anielską atmosferę tych wakacji przerwała wiadomość, że w dniu 21 sierpnia 1968 roku wojska Układu Warszawskiego najechały Czechosłowację. Idea socjalizmu z ludzką twarzą w jednym z państw „ obozu socjalistycznego „ zakończyła swój żywot haniebnie.

Jesień roku 1968 była dla mnie fatalna. W nocy 14/15 października obudził mnie silny, narastający ból brzucha połączony z wymiotami. Rano było oczywistym, że mam ostre zapalenie wyrostka robaczkowego. W I Klinice Chirurgii rwali się do tej operacji moi koledzy z kursu, wówczas asystenci: Wojtek Rowiński i Mietek Szostek. Zbadał mnie profesor Jan Nielubowicz, który zdecydował, że on sam wykona tą operację u kolegi lekarza. Czekałem na nią do wczesnych godzin popołudniowych, ponieważ Profesor miał zaplanowany jakiś ciężki i długi zabieg. Po zakończonej appendektomii Profesor oznajmił Elżbiecie i mnie, że choroba została usunięta i że żadnych antybiotyków stosować nie potrzeba. W trzeciej dobie po operacji zostałem przeniesiony

do naszej Kliniki Otolaryngologii, gdzie miałem do dyspozycji separatkę, nie zaś łóżko na kilkunastoosobowej sali. W dobie piątej po południu doznałem silnego bólu w klatce piersiowej, z narastającą dusznością i uczuciem, że moje serce powiększa się z każdym skurczem i jest rozdęte do rozmiarów sięgających barków. Miałem uczucie, że za chwilę rozleci się w kawałki jak przepełniony, pęknięty balon. Zacząłem tracić przytomność i w tym momencie weszła do mego pokoju Elżbieta. Zostałem natychmiast na noszach przeniesiony do Kliniki Chirurgii i tam umieszczony w sali intensywnej opieki z rozpoznaniem zatoru tętnicy płucnej. Drobiazg. Zaczęto mi podawać domięśniowo ogromne dawki heparyny aż do momentu, kiedy to zacząłem oddawać krwawy mocz. W dość dużej sali było sześć stanowisk dla ciężko chorych. Przez całą dobę świeciło się ostre światło jaskrawo oświetlające podopiecznych. To był koszmar powiększony faktem, że na moich oczach umierali kolejni współtowarzysze niedoli. Drugiej nocy *vis a vis* otwierano klatkę piersiową i stosowano bezpośredni masaż serca. Bezskutecznie. Po czterech dobach zostałem przeniesiony do Kliniki Chorób Wewnętrznych kierowanej przez młodego wówczas profesora Włodzimierza Januszewicza, gdzie mimo stopniowego zmniejszania dawek środków zmniejszających krzepliwość krwi unieruchomiono mnie totalnie. Położony na łóżko u internistów zdołałem wyszeptać tylko: „*Jak tu cudownie. Jak w raj*”, i zapadłem w dwudobowy nieprzerwany sen. Mój pobyt w szpitalu przeciągnął się o dalsze sześć tygodni i trudno powiedzieć, że z kliniki wychodziłem. Musiałem na nowo nauczyć się chodzić, bowiem miałem całkowicie usztywnione stawy kończyn dolnych. Wszystkie stawy. Doktor Barbara Dąbrowska rozpoznawała u mnie niewielkie niedokrwienie mięśnia sercowego związane z przeciążeniem przy próbach przepchnięcia zatoru. Mój przyjaciel docent Tadeusz Kraska, kardiolog, załatwił mi sanatorium rehabilitacyjne dla chorych po zawałach serca w Inowrocławiu. Spędziłem tam następne sześć tygodni poświęconych głównie na uruchomieniu moich stawów i nabycia pewnej kondycji w chodzeniu na coraz dłuższe spacerunki po uzdrowisku.

W marcu 1969 docent Zbigniew Bochenek został mianowany profesorem nadzwyczajnym i było już oczywistym, kto będzie „delfinem”, w naszej klinice po odejściu na emeryturę profesora Szymańskiego. Wiadomość ta, jak się wydawało, była dla mnie zwiastunem wielkich i korzystnych zmian nie tylko w moim życiu zawodowym i naukowym ale także w życiu Kliniki.

W czasie mojego pobytu w Klinice Internistycznej doszła do mnie niewiarygodna wiadomość. Nasza koleżanka ze studiów, Zosia S-K. wyjechała na stypendium do U.S.A. Przed jej wyjazdem prosiłem ją o zapytanie, czy Amerykanie nie mieli by jakiegoś stypendium dla młodego lekarza laryngologa z Polski. Na jakimś *coctail party* organizowanym przez szefa placówki, w której była zatrudniona, zjawił się doktor Conner, szef Departamentu Otolaryngologii w Henry Ford Hospital w Detroit. Zapytany przez Zosię o możliwości zatrudnienia Polaka odpowiedział, że on właśnie potrzebuje kogoś, ale wątpi, aby w Polsce mógł znaleźć się specjalista zdolny do uruchomienia nowo zakupionej, bardzo drogiej aparatury do elektronystagmografii i co więcej nauczyć tej metody laborantów i rezydentów placówki. Mężowi Zosi, a naszemu koledze, Bodziowi K. pomagałem w opracowywaniu pracy doktorskiej, którą właśnie zakończył także pod naukową opieką profesora Bochenka. Tematem pracy były badania narządu równowagi u chorych po urazach czaszki, a więc metoda E.N.G. była tu metodą podstawową. Tak więc zdumionemu Connerowi przedstawiła Zosia moją skromną osobę jako potencjalnego korepetytora tego znakomitego zespołu w dziedzinie nowoczesnych badań narządu przedsionkowego.

W niedługim czasie otrzymałem list od doktora George H.Connera datowany na 23 grudnia 1968 roku. Między innymi Conner pisał:

„*....We hale recently established an Oto-Neurological Laboratory within our Out-Patient Clinic. It is equipped with the latest E.N.G. equipment and we are actively seeing patient in it. It is presently directed by Dr. Shiro Fujita who had his training at the Massachusetts Eye, Ear Infirmary as well as the University of Tokyo. We are interested in the possibility of a Fellow full time for the Oto-Neurological Laboratory who would be responsible for carrying out clinical examinations as well as clinically oriented investigations. If you would be interested in such a position, I would be pleased to hear from you*”

Stanałem przed niesłychanie trudnym problemem: czy dam radę fizycznie, psychicznie i... językowo ruszyć na drugi koniec świata ? Ba, co ważniejsze – czy Polska Ludowa mnie na to zezwoli ?. Wysłałem jednak do Connera swoje *curriculum vitae* i spis publikacji na co odwrotną pocztą otrzymałem list datowany 13 lutego 1969 roku:

„Dear Doctor Janczewski:

In reply to your letter of January 16, 1969 I am pleased to be able to offer to you the position of Otological Research Fellow at the Henry Ford Hospital. Your work will be limited to clinical and basic research in the Vestibular and Otological Research Laboratories.Your responsibilities in this position will be those of carrying out research projects in human temporal bone histopathology and pathophysiology. It will include working partly in the Otological Research Laboratory in the human temporal bone histopathology project and partly in the Clinical Oto-Neurological Laboratory participation in the clinical research in vestibular disorders. Dr. Shiro Fujita is presently responsible for this area of research and you will be work directly with him

.....

Aby mi się we łbie nie przewróciło od takich perspektyw wystąpiły u mnie objawy żółtaczkowej zakaźnej wszczepionej w którejś z ostatnio odwiedzanych placówek służby zdrowia. To pogłębiło wątpliwości moje i moich najbliższych czy dam radę zrealizować plan amerykański. Doszedłem jednak do wniosku, że „*albo teraz, albo nigdy*”, i że nie wolno mi się roztkliwiać nad sobą, tylko brać diabła za ogon.

Aby mieć mniej czasu na rozmyślanie w czasie choroby przygotowywałem się do egzaminu na II stopień specjalizacji w zakresie otolaryngologii i egzamin ten zdałem z wynikiem celującym w maju 1969. Dowieziono mnie żółtego na twarzy ze Szpitala Zakaźnego przy ulicy Wolskiej. Jedną z „życzliwych mi „koleżanek wyrażała pogląd, że dobry wynik mego egzaminu wynikał z tego, że „*miałem wiele wolnego czasu na naukę!*”. Niby nic, a cieszy !.

Rozpoczęły się starania o pozwolenie na wyjazd. Nieomal wszystkich miałem przeciw sobie: Ministerstwo Zdrowia, niejasne i mdłe opinie Uczelni, oraz państwa Bochenków. Szokiem była dla mnie rozmowa z panią doktor Wandą Mitkiewicz – Bochenkową, która spotkawszy mnie na schodach kliniki i oświadczyła, że ja nie tylko nie powinienem jechać do Stanów, ale wręcz nie mogę. Zapytana dlaczego tak uważa, wyraziła opinię, że w U.S.A. nie był jeszcze jej mąż i nie wypada, aby jego współpracownicy wyprzedzili jego wizytę w tym kraju. Wiem, że ludzie mnie „życzliwi”, przestrzegali stanowczo instancje partyjne przed udzieleniem pozwolenia na wykorzystanie tego stypendium ze względu na wynikające stąd groźby dla bezpieczeństwa Polski Ludowej. Czyżby to bezpieczeństwo było oparte na tak wątpliwych podstawach ? Pierwsza oficjalna odpowiedź „odnośnych władz”, była: NIE. Ostatnią deską ratunku była życzliwa dla mnie koleżanka, która – co wiedziałem dyskrecjonalnie – była członkiem rodziny bardzo silnie związanej ze ścisłym kierownictwem ówczesnego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Szczęśliwym trafem nie znosiła pani Wandy. Niczego nie mogła obiecać, ale przyrzekła, że spróbuje.

Sytuacja była patowa, ale po przeżyciach ostatniego półrocza zdobyłem rzecz niesłychanie cenną, a mianowicie poznałem hierarchię ważności spraw. W Związku Radzieckim mawiano, że pełną dojrzałość obywatel tej kraju zyskuje po uzyskaniu dyplomu wyższej uczelni i odbyciu kilku lat łagrów. Lekarz w pełni dojrzewa nie tylko po kilku latach praktyki zawodowej, ale także patrząc na codzienność medycyny z pozycji horyzontalnej pacjenta. Kilkadziesiąt lat później mój współpracownik przeszedłszy zawał serca i operację bypassów znakomicie oddał stan ducha młodego mężczyzny „po przejściach „: „*Dla człowieka stosunkowo młodego, cieszącego się dotychczas zdrowiem i kondycją, nagle rozpoznanie poważnej choroby stanowi szokujące przeżycie, na które nie sposób być przygotowanym. Rzeczywistość, w której się żyje, relacje z otoczeniem, nawet sposób postrzegania własnej osoby ulegają gwałtownej przemianie. Nieomal wszystko trzeba od nowa przemyśleć, poukladać, przewartościować. O prawdziwej wartości zdrowia nauczyłem się w ostatnim czasie wielokrotnie więcej niż przez 6 lat studiów medycznych i kilkunastu lat czynnej praktyki lekarskiej (!!!).*

Wszystko trzeba w tej sytuacji przewartościować. I to jest sedno sprawy, podstawa wyjścia z kryzysu psychicznego. Miałem doktorat i pełną specjalizację w otolaryngologii, a co najważniejsze miałem 33 lata i kochającą Rodzinę, a to było w tej chwili najistotniejsze. Moja decyzja co do miejsca pracy w przyszłości będzie miała skutki nie tylko dla mnie, ale także dla moich Najbliższych. Moją dewizą życiową stały się zasady: a) zawsze mogło by być gorzej ! i b) nikt ci nie pomoże lepiej niż zrobisz to sam !. Zmęczeni fizycznie i psychicznie wydarzeniami ostatnich miesięcy wyjechaliśmy z Elżbietą i Agą na dwa tygodnie do Krynicy, aby odetchnąć świeżym powietrzem i oderwać się od warszawskiego piekielka. Mniej więcej po tygodniu odebrałem telegram: „*Paszport do odebrania natychmiast. Ojciec* „. Nie było na co czekać. Wracalem do Warszawy.

Detroit 1969 – 1970.

Do Nowego Jorku z przesiadką w Paryżu zdołałem wylecieć dopiero 3 lipca 1969 roku. Mam w kieszeni aż 5 dolarów, bo tyle pozwala mi wywieść z kraju władza i trzy dni spóźnienia. Na lotnisku Kennedy'ego w Nowym Jorku mają na mnie czekać moi amerykańscy krewni, ale gdyby nie, to ja mam jedyne 5 dolarów na całą podróż. Niech więc Opatrzność niech nademną czuwa. W tej sytuacji zjedzenie lunchu w Paryżu, ba – napicie się czegokolwiek, jest wykluczone. Samolot greckiej linii Olympic pełen jest Greków, rodzin z małymi dziećmi szalejącymi przez cały czas kilkugodzinnej podróży. Nad Nowym Jorkiem krążymy ponad godzinę ze względu na tłok w powietrzu. Jutro w USA wielkie święto narodowe-Dzień Niepodległości, 4 th July. Wielką ulgą było zobaczyć witających mnie moje ciotki Helenę Korzybską i Stanisławę Wińską. Stasia знаła mnie z pobytu w Warszawie rok wcześniej i witała szczególnie serdecznie. W domu Heleny jesteśmy o 19-iej, kiedy w Warszawie jest godzina pierwsza w nocy. Jestem potwornie zmęczony i fizycznie i psychicznie. Rano Ciocia – Babcia Bronisława Młotkowska w kwiecie lat ponad dziewięćdziesięciu. Rodzona, starsza siostra mego Dziadka Jana Janczewskiego wywędrowała do Stanów w roku 1908. Tam spotkała Polaka, któremu na rodzinnej ziemi ciechanowskiej dała kosza. Zdażył już owdowieć i pozostać z jednym synem Bronisławem, obecnie emerytowanym pułkownikiem armii amerykańskiej. Mąż pracował w kopalniach północno – wschodniej Pensylwanii w mieście Scranton, które w połowie XIX wieku wzięło nazwę od założycieli – braci Scranton. Był to ośrodek zagłębia węglowego, w którym wydobywano nieomal 100% antracytu, węgla o szczególnie wysokim gatunku, użytecznym zwłaszcza dla hutnictwa metali. Pracowały tam tysiące innych Polaków. Ona prowadziła pensjonat dla polskich emigrantów – górników z noclegiem, wiktem i opierunkiem. Miała z Młotkowskim czworo dzieci Jana, Józefa, Helenę i Stasię. Józef zginął na plażach Normandii w czasie inwazji w D-Day. Jan zmarł śmiercią naturalną. Helena pracowała przy taśmie produkcyjnej w firmie farmaceutycznej Pfitzera, zaś jej mąż Adam jeździł na ciężarówce – chłodni rozwożącej zamrożone produkty żywnościowe. Babcia Bronka nazywała go „Adaś diabolek „. Mówiła piękną mazowiecką gwarą z początku wieku. Mimo 50 lat emigracji polskość wypełniała jej duszę. Zawsze mówiła: „*Kiedyśmy pracowali w Skrętach, to było dobrze !* „. „Screnton” najbardziej brzmiało po polsku jako „Skręty”, a więc tak jego nazwę wymawiała. Z mazurska. W czasie mojego pobytu w Stanach była już niewidoma i w zasadzie nie wiedziała do końca czy ja jestem Grzegorz wnuczek Jaśka, czy to mój Ojciec Wladek, czy wreszcie być może dobry Bóg dał Jej przed śmiercią spotkać raz jeszcze młodszego brata. Otrzymałem od Cioci Heleny Korzybskiej 50 \$, od Cioci Stasi Wińskiej 100 \$, zaś od Babci w tajemnicy przed córkami jeszcze 5 dolarów. Byłem ogromnie bogatym człowiekiem. Babcia Helena zostawiła „ w spadku „ po pograniczu Mazowsza czyli okolic Ciechanowa wiele wyrażen regionalnych. I tak mówiła „*Jestem nie nałożona do tego* „, co miało odpowiadać „*Jestem nie przyzwyczajona do czegoś !*”. Wspominała, że po przyjeździe do Stanów przysłała bratu Jasiowi tak zwaną „szyfartę „, ale żona Jasia Julcia nie wyraziła zgody na wyjazd za Ocean. „*Uniknęlibyście tych okropieństw czasu wojny* „ – mówiła.

Następnego dnia samochodem wraz z Ciocią Stasią Winską i Jej mężem Czesławem ruszyłem do Philadelphii. Był wieczór 4 lipca 1969 roku. Dwa dni wykorzystali na pokazanie mi

Philadelphii, zaś w poniedziałek 7 lipca wyleciałem do Detroit. Na tym lotnisku czułem się mniej raźnie niż czułem się zapewne Armstrong czyniąc pierwszy krok na księżycu. Jadę taksówką prowadzoną przez murzyna do Henry Ford Hospital. Dwadzieścia cztery dolary mam z głowy. Na portierni konfuzja i zdenerwowanie. Okazuje się, że doktor Conner odszedł do John Hopkins Hospital w Baltimore, w Maryland. Przede mną otwiera się otchłań. O moim przybyciu na portierni nic nie wiedzą, ale radzą jechać na któreś tam piętro gdzie urzęduje zespół laryngologii. Wita mnie niezwykle przystojna blondynka, sekretarka Melva Swartzengruber, dziewczę wycięte z magazynu demonstrującego wzorce urody kobiet rasy panów aryjczyków. Wielkie ukojenie. Oczywiście czekają na mnie z niepokojem. Ba – siedem dni spóźnienia, ale to nie wymówka tylko troska. Szefem jest dr. Richard Nichols, a współpracują z nim jako tzw. *permanent staff* doktorzy Donald Bolstadt, Shiro Fujita, Royal Hayden i Manford McGee. Starzy wyjadacze, znani w całych Stanach, zwłaszcza McGee, znakomity chirurg kości skroniowej. Otacza ich rój rezydentów, młodych ludzi. Uczą się i harują. Wszyscy, poza jednym, to weterani z pierwszej linii walk w Medical Corps of U. S. Army w Wietnamie. Są tu Charles Bedard, Joseph Bowler, John Cichon, Romuald Szymanowski, Charles Ford, Nelson Keeler, Patrick Stine, Luis Peres – DeMura i James Canale. Wszyscy po amerykańsku witają mnie szerokim uśmiechem, dla nich najbardziej egzotycznego z ludzi, bo człowieka „stamtąd”. Szczególnie serdecznie wita mnie Romek Szymanowski urodzony w Kanadzie, ale wychowywany przez Dziadków i mówiący wcale niezłą polszczyzną.

Szymanowski i Cichon(Cichoń) to weterani Wietnamu. Rom służył w I Dywizji Kawalerii Powietrznej jako „flying-surgeon”. Jego opowieści o tej wojnie przerażają: „*Naszym podstawowym wyposażeniem bojowym były helikoptery. Informacje dostarczały nam samoloty wielozadaniowe obrzucające dżungle czujnikami z których każdy był wyczulony na: a) widmo akustyczne mowy wietnamskiej, b) drżenie ziemi wywoływane przemarszem grupy co najmniej 20 ludzi i c) zapachem specyficznego zapachu potu wietnamszczyków. W sztabie sygnały z czujników dawały na mapach danego regionu sygnał świetlny. Jeżeli ten sygnał się przemieszczał posyłało bombowce strategiczne, które polewały podejrzany teren napalmem. Myślny startowali kiedy dżungla się wypalała i lądowaliśmy helikopterami tam, gdzie były ślady życia ludzkiego. Wybijałiśmy wszystko co żywe do nogi. Jeżeli byli ranni w akcji lądował helikopter, w którym była sala operacyjna z pełnym wyposażeniem i ten natychmiast po ulokowaniu rannych startował poza zasięg ognia z ziemi. Operowaliśmy natychmiast co znakomicie zmniejszało straty w ludziach*”.

Faceci są znakomitym materiałem na doskonałych, profesjonalnych otolaryngologów, ale zdumiewa fakt, że w zasadzie nie znają świata. Walczyli dwa lata w Wietnamie, ale żyli w gettach wojskowych, chronieni przed Vietkongiem i nie mają pojęcia o autochtonach, ich kulturze czy historii. Wiedzą natomiast znakomicie gdzie na terenie Dalekiego Wschodu można tanio się zabawić z najlepszymi dziwkami, gdzie najtaniej kupić najnowocześniejszą elektronikę czy aparaty fotograficzne. W Newsweeku ukazuje się artykuł redakcyjny znanego i opiniotwórczego publicyisty Waltera Lippmana, który pisze o swych ziomkach:

„*Mamy u siebie liczne pokolenie, które nie posiada żadnej kultury, nie rozumie ono techniki, ale nie rozumie także starej tradycji humanistycznej. Ci ludzie dysponują przewagą głosów w naszym systemie politycznym. Rozumieją oni jedynie własne apetyty, własne upodobania, uprzedzenia, przesady, ambicje i nienawiści. W rzeczywistości są im obce zarówno wartości techniczne jak i humanistyczne*”.

Inne prorocze stwierdzenie tego wybitnego dziennikarza to: „*Świadomość społeczna, zwłaszcza społeczeństw bogatych, nie nadąża za szybko zmieniającą się w naszym obecnym świecie sytuacją. Myślimy wciąż wedle starych schematów nie przystających do rzeczywistości*”. Bieg czasu potwierdził te prorocstwa.

Doskonale koresponduje z tą opinią inna wyrażona przez panią Pearl Buck, laureatkę literackiego Nobla z roku 1938 za powieść „Ziemia błogosławiona”. Pisze ona o Stanach Zjednoczonych: „*W żadnym innym kraju nie ma tak wysokiego współczynnika wyższej edukacji i równocześnie tak szerokiego analfabetyzmu, tak wysokiej kultury artystycznej i jednocześnie całkowitego prymitywizmu duchowego mas*”.

Kilkadziesiąt lat później mogłem to twierdzenie śmiało odnieść do moich współrodaków. Niestety. Wraz z upływem czasu narasta świadomość prawd głoszonych przez Horsta Geyera: „*Nasilające się ogłupienie narodu w naszych czasach jest wynikiem wzrostu masy przy równoczesnym kurczeniu się elit* „.

Audiologię prowadzi doktor psychologii (PhD) Bruce Graham i współpracują z nim Eugene Popielec, William Wilson oraz prawdziwa dama, doktor Rose Mary Castello. Są oni wykształconymi audiologami i foniatrami, przy czym żadne z nich nie jest lekarzem. Mam współpracować z Shiro Fujitą, członkiem starej i znanej rodziny lekarzy japońskich, który doszedł do wniosku, że Stany są lepszym miejscem do pracy zawodowej i naukowej. Zaskoczeniem jest dla mnie wieść, że żona Fujity, Maria z Kulpaczyńskich jest z pochodzenia Polką, wywodzącą się z naszej emigracji we Francji. Shiro zawozi mnie na kilka dni i nocy do dość obskurnego pensjonatu, zamieszkałego głównie przez samotnych mężczyzn w wieku emerytalnym. Pensjonat ulokowany jest kilkaset metrów od Szpitala Forda. Tu zostawiam bagaże i jedziemy do eleganckiej restauracji polinezyjskiej Manua Loa. Jedzenie niezwykle egzotyczne, zaś w środku wielkiej sali znajduje się gigantyczne akwarium, w którym zamiast złotych rybek pływają rozneglizowane dziewczyny, wylapujące pod wodą zębami wrzucane im przez podpitych klientów srebrne monety dolarowe. Próbką amerykańskiej kultury masowej dla nieco bardziej zamożnych. W czasie spotkania orientuje się, że Shiro wykorzystuje rozmowę do przeegzaminowania mnie z otoneurologii. Nazajutrz mam satysfakcję bowiem w czasie odprawy Fujita mówi szefowi w obecności całego zespołu, że naprawdę jestem ekspertem w tej dziedzinie. O tym, żeby Amerykańcy mogli wymawiać moje nazwisko – mowy nie ma. Jestem znany powszechnie jako *Doctor Gregory*, zaś w sytuacjach urzędowych spelluje swe nazwisko: „*Dżej – ej – en – si – zi – i – dabliu – es – kaj – aj* „. Mógłbym to do dnia dzisiejszego wyrzucić z siebie obudzony z głębokiego snu.

Nazajutrz 8 lipca. Po nieprzespanej nocy zdaje sobie sprawę, że jest to dzień imienin mojej Żony Elżbiety. Czuje się wyjątkowo samotny i nieszczęśliwy. Jedziemy do Otological Research Laboratory, które mieści się w niewielkim starym budyńeczku z czerwonej cegły, blisko głównego gmachu szpitala Forda. Tu mam przejmować oficjalne obowiązki od wracającego do rodzinnej Brazylii dr. Sigmunta Leibovici. Rodzice pochodzą ze starej żydowskiej rodziny żyjącej przed laty gdzieś na pograniczu Ukrainy, Mołdawii i Rumunii. Wprowadza mnie w techniki przygotowywania preparatów kości skroniowych i następnie interpretacji gotowych szkiełek. Ogląda zdjęcia Elżbiety, Rodziców i małej Agnieszki i pyta czy moja żona jest Żydówką. Dyplomatycznie pytam czy to było by zbrodnią. To powoduje, że następnego dnia Zygi oprowadza mnie po wszystkich zakątkach Henry Ford Hospital, przedstawia prawie wszystkim Żydom i poleca udzielanie mnie pomocy w każdej awaryjnej sytuacji.

Nikt tu nie pracuje anonimowo. Pielęgniarki w śnieżnobiałych strojach, każda z czepku, który krojem odpowiada noszonym w naszych szpitalach. Wszyscy pracownicy HFH mają wyszyte na fartuchach w widocznym miejscu nazwisko. Pielęgniarki, średni i pomocniczy personel medyczny ma obowiązek stale nosić identyfikatory, które informują o jej/jego imieniu i nazwisku, miejscu pracy w ramach HFH, stanowisku, kwalifikacjach. Technicy i dietetyczki mają naszyte na lewym ramieniu plastikowe plakietki z informacją o rodzaju wykonywanej pracy. Wykluczona jest anonimowość, co może powodować brak odpowiedzialności za niestosowne zachowania się. W każdym korytarzu, na każdym poziomie łącznie z piwnicami na ścianach umieszczone są megafony, poprzez które wywołują nazwiska poszczególnych członków personelu. Wywołany ma obowiązek bezzwłocznego zgłoszenia się osobiście pod jeden z dwóch lub trzech ustalonych numerów centrali, gdzie zostanie poinformowany o celu wezwania.

Nie mając certyfikatu ESFMG nostryfikującego mój dyplom lekarski mogę oficjalnie tylko zajmować się pracą eksperymentalną bez dotykania się do chorych, zwłaszcza przepisywania im leków. W istocie przepisuję leki podrabiając podpis Fujity na receptach, do czego jestem przez niego upoważniony. Ufa mnie.

Moje obowiązki będą polegały na tym, że rano mam obowiązek udać się na salę sekcyjną, przejrzeć historie chorób wszystkich zmarłych, wyszukać zwłoki, w których dokumentacji lekarskiej jest wzmianka o patologii ucha lub chorób mogących mieć wpływ na powstanie takiej

patologii, pobrać kości skroniowe i następnie nadzorować laborantki, same murzynki, aby systematycznie i prawidłowo prowadziły złożony proces przygotowania preparatów. Raz w tygodniu mam organizować posiedzenia z demonstracją dla rezydentów nowych preparatów. Mam uczyć i ich, i siebie jednocześnie.

Upały są tym bardziej trudne do zniesienia, że wilgotność jest podobna do panującej w dżungli amazońskiej. Otaczające nas wielkie jeziora dają o sobie znać mało sympatycznie. W pierwszych dniach pracy spragniony wpadam do kafeterii na parterze, niedaleko głównej recepcji. Barmanki nie zbliżają się do mnie i patrzą dziwnie. Podchodzi jedna ze starszych i mówi: „*Ty zapewne jesteś nowy i spoza U.S.A. Pamiętaj, że jeżeli jesteś ubrany w fartuch to oznacza, że jesteś w pracy. Jeśli jesteś w pracy, to twoje miejsce jest przy chorych, a nie w kafeterii*...”. Po czym dodaje przyjacielsko: „*Napić Coce możesz się z automatu lub jeszcze lepiej w podziemiach, gdzie jest kafeteria dla nas, dla personelu !. A teraz zmykaj szybko, aby cię nie dopadł jakiś urzędnik z administracji bo będziesz miał kłopot !*”.

Praca moja wygląda następująco. Rano biegnę do laboratorium, pobieram piłę do wykrawania kości skroniowych z nieboszczyków, pędzę na salę sekcijną i wracam z łupem do laboratorium. Około godziny 11 A. M. jestem w Outpatient Clinic w gmachu głównym, gdzie zaczynam badania E.N.G. Wykonuje, w zależności od dnia 3 – 5 badań i dyktuje ich wyniki mrs. Williams, sekretarce Shiro Fujity. Raz w tygodniu jestem zobowiązany brać udział o godzinie 7 A. M. w obchodzie chorych hospitalizowanych. Jest ich zwykle kilkunastu. Otolaryngologia ma kilkanaście łóżek, natomiast pobyt chorych w szpitalu jest skrócony do absolutnego minimum. Chory po totalnej laryngektomii jest wypisywany nie później niż w piątej – szóstej dobie. Na zdjęcie szwów przyjeżdża z domu. Dwa razy w tygodniu ambulatorium ma dzień onkologiczny wykorzystywany wyłącznie na badania i katamnę chorych z rakiem głowy i szyi. We środy zamiast lunchu mamy w gabinecie szefa, dr. Nicholasa posiedzenie otologiczne, w czasie którego omawiamy wskazania i przeciwwskazania do leczenia schorzeń uszu. Jemy kanapki (sandwicze) i pijamy coca colę. Shiro, nieustannie zmęczony i podsypiający któregoś dnia przysnął na krześle i grzmotnął w siedzenie puszczając bąka. Chłopcy ryknęli śmiechem w taki sposób, w jaki jedynie Amerykanie lub Rusczy umieją ryczeć. W tym momencie staje w drzwiach zwabiona hałasem dr. Mary Rose Castello i pyta słodko z czego się śmiejemy. Chłopaki odpowiadają przytomnie, że Shiro, który już zupełnie otrzeźwiał, opowiedział doskonały dowcip. Mary Rose prosi: „*Shiro, powtórz !*”. Śmiech jeszcze głośniejszy. Mary obrażona wychodzi. W czwartki późnym popołudniem mamy kilkugodzinną sesję histopatologii kości skroniowej, w czasie której moim zadaniem jest przepytywanie chłopców z anatomii kości skroniowej i prób interpretacji jej patologii. Dość szybko wychodzi mnie to całkiem niezłe. Największym problemem są dla mnie w pierwszych tygodniach rozmowy telefoniczne. bełkot wydobywający się ze słuchawki wprawia mnie w stan stresu. Za wszelką cenę staram się wymigać od odbierania telefonów. Mija to po pewnym czasie i wtedy mam uczucie ogromnej satysfakcji – mogę się dogadać we wszystkich, w zasadzie, sprawach. Każdego miesiąca spotykamy się na wieczorze zwanym „*Journal Club*...”. Po kolei chłopcy przedstawiają bieżący przegląd literatury. Spotkania te odbywają się kolejno w domach prywatnych rezydentów. Żony i dzieci wynoszą się na ten wieczór z domu pozostawiając masę żarcia i picia: beczki aluminiowe piwa, stopy butelek wina, sałatki, kanapki. Zebranie zawsze kończy się ucztą Bachusa. Najbardziej ryzykowne są w tej sytuacji powroty powroty ze wstawionym kierowcą. Humor moich aktualnych kolegów i przyjaciół jest nieco szokujący. Typowym przykładem jest wywieszka sadowiona przy łóżu chorego: „*UWAGA !. To śpiący pacjent, a nie dawca nerki !*”. Albo wielki napis przy wyjeździe z garażu dla pracowników szpitala: „*Jedź uważnie !. Dr. Barnard oczekuje na dawcę serca !!!*...”.

System szkolenia lekarzy jest jednak odmiennym od naszego. Po szkole średniej (High School) idą do dwu lub trzyletniego College'u o profilu biologicznym. Kończą trzyletnie studia medyczne na uniwersytetach i wraz z dyplomem uzyskują stopień *Medical Doctor*. Większość stanów od absolwenta żąda odbycia jednego roku internshipu. Może to być internship typu „*straight*...”, podczas którego młody lekarz cały rok związany jest z jednym oddziałem wybranej specjalności. Częściej jednak proponuje się typ „*rotating*...”, polegający na pracy po 3 miesiące na

odziałach interny, chirurgii ogólnej, ginekologii i położnictwa oraz pediatrii. Interni to najbardziej eksploatowana część personelu w szpitalach amerykańskich, zwani powszechnie „szpitalnymi niewolnikami”. Każdy z nich otrzymuje jednak wynagrodzenie umożliwiające skromne utrzymanie dla siebie i czterosobowej rodziny, wliczając to wynajęcie niedrogiego mieszkania na peryferiach. Takim klasycznym przykładem był mój współlokator Jose Fond-deSoto. Po roku internshipu następują cztery lata rezydentury w oddziale danej specjalności z czego pierwszym rokiem obligatoryjnie jest oddział chirurgii ogólnej. Otrzymanie prawa specjalizowania się w okulistyce, otolaryngologii czy neurochirurgii jest wyjątkowo trudne bowiem te specjalizacje traktuje się jako swego rodzaju „arystokrację medycyny praktycznej”. W czasie mego pobytu przydzielano do tych oddziałów otrzymywali jedynie koledzy, którzy wykazywali się służbą w US Army Medical Corps walczący w Wietnamie. Po tych czterech latach adept staje do egzaminu, który składa się z dwóch części: pisemnego testu oraz egzaminu ustnego. Ten, który zda otrzymuje certyfikat American Board of Otolaryngology, równoznaczny z uznaniem go za w pełni wykwalifikowanego specjalistę ORL. Egzamin ustny jest bardzo trudny bowiem od kandydata żąda się znajomości patologii, w tym rozpoznawania preparatów histopatologicznych oraz biochemii. Niezależnie od wyżej wymienionego egzaminu niemal wszystkie stany żądają osobnego egzaminu, który jest swego rodzaju nostryfikowaniem prawa praktyki na ich terenie.

W czasie mego pobytu w HFH wdrożno akcję namawiania młodych lekarzy do podejmowania specjalizacji w zakresie medycyny rodzinnej wobec narastania liczby specjalistów i zmniejszania się nasycenia lekarzami małych ośrodków terenowych. Stworzono American Board of Family Medicine, co automatycznie wyodrębniło tę specjalność w ramach Rural Health Program. Podjęto działania dla: a) stworzenia zespołów specjalistów, którzy by jeździli w sposób planowy do różnych zakątków stanu i tam załatwiali konsultacje, b) wprowadzenie zasady, że lekarze domowi co pewien czas wracają do ośrodków uniwersyteckich lub wytypowanych szpitali dla odświeżenia swej wiedzy fachowej oraz c) położenie nacisku na dofinansowanie Emergency Service (Medycyny Wypadkowej) ze względu na masowe zjawisko wypadków drogowych, wzmożoną przestępczość i znaczenie szybkości zastosowania metod reanimacyjnych w życiu codziennym.

Raz w miesiącu wszyscy rezydenci szpitala muszą natomiast uczestniczyć w wykładzie poświęconemu postępowaniu w naukach lekarskich. W czasie roku pobytu miałem, dzięki temu, możliwość wysłuchania co najmniej 6 wykładów laureatów Nagrody Nobla w dziedzinie medycyny. Znając polskie feudalne zwyczaje zdumiewa bezpośrednio z jaką młodzieżą zwracają się do światowych sław. Na którymś wykładzie młody gniewny pyta takiego asa o jakiś drobiazg. Czyni to bezczelnie szukając luk w jego pamięci i otrzymuje godną odprawę: „*W XVIII wieku Samuel Johnson powiedział mądrze, że istnieją dwa rodzaje wiedzy: znany przedmiot sami lub też wiemy gdzie można uzyskać potrzebne informacje. Bibliotekę to masz na 17 piętrze, a więc nie leń się i nie pytaj mnie o takie bzdety tylko pofatyguj się i sprawdź!*”. Jeden z tych wspaniałych wykładów prowadzi Georgie von Bekesy, który zapytany czy woli pracować z M. D. czy z Ph. D. odpowiada: *W moim zespole niezbędne jest uczestnictwo obu tych grup badawczych, ponieważ obie wnoszą istotny wkład do badań uzupełniając się nawzajem. Największym problemem jest stworzenie dobrego zespołu badawczego składającego się w różnych indywidualności, ludzi o zróżnicowanym temperamencie badawczym. Dzisiaj, co trzeba podkreślić, nawet najlepszy zespół niczego nie osiągnie bez odpowiedniego wyposażenia, bez nowoczesnego warsztatu pracy naukowo-badawczej. PhD dają z siebie nadzwyczaj interesujące opracowania naukowe, ale przyznają, że MD są w tym sensie lepsi, że widzą na codzień, w praktyce, chorego człowieka i dają im to znacznie lepszą znajomość tak fizjologii jak i patologii. Jest złudą, że komputer rozwiązuje wszystkie problemy naukowca, zwłaszcza kiedy nie rozumie się zasad jego pełnego wykorzystania. Nie znam eksperymentów, podczas których wykonywania uniknięto by błędów. Liczbę tych błędów zmniejsza praca zespołowa.*

Innym ciekawym wykładem był prowadzony przez prof. George'a Walda, profesora z Harvardu, laureata nagrody Nobla z roku 1967. Nagrodę tę uzyskał za badania nad fizjologią widzenia. Przy okazji, bez żenady opowiedział jak odrzucał żądania administracji rządowego laboratorium, w którym pracował, aby przystąpił do badań nad środkiem wywołującym przejściową

ślepotę. Przedstawiciel US Army, który go bardzo do tych prac zachęcał tłumaczył cynicznie: „*Czy nie lepiej przeciwnika oślepić niż go zabijać ?* „. Wald gorąco apelował do młodych lekarzy, aby zahamować prace nad technologią śmierci i niszczenia życia. Energicznie protestował przeciwko stosowaniu w wojnie wietnamskiej defoliantów. „*Czy to żołnierze będą głodni ?. Oni zawsze będą mieli jedzenie lepsze lub gorsze. Najwięcej doświadczonymi głodem będą i są kobiety, dzieci i ludzie starzy. Pamiętajcie, że technologia śmierci jest bodaj największym bussinesem w tym kraju i jego przemyśle !*”. Przytacza fakt, że dr.Szent – Gyorgii, lauretat Nagrody Nobla z roku 1937 za ustalenie budowy Vitaminy C, dyrektor instytutu naukowo – badawczego w Marine Biological Laboratory w Woods Hole, Massachusetts stracił w tym miesiącu (wrzesień 1969) 120 000 \$ dotacji na badania nad istotą procesów nowotworowych. Rząd federalny obciął fundusze na badania tego rodzaju Narodowemu Instytutowi Zdrowia w Bethesda. Wald wybuchą:

„*Nieszczęściem jest to, że obecnie w naszym kraju sztuka zabijania jest preferowana w stosunku do sztuki uzdrawiania* „.Badania Szent – Gyorgyego koncentrowały się na wyjaśnieniu podstaw procesu enzymatycznego tkanki nowotworowej, procesu powodującego przemianę nowotworową tkanki zdrowej. Punktem wyjścia tych badań był system enzymatyczny organizmu ludzkiego uruchamiany w celu przyspieszenia wzrostu tkanek przy gojeniu się ran.

Laboratorium po niedawnym odejściu do John Hopkins Hospital w Bostonie sławnego profesora Harolda Shucknechta kieruje dr. Donald Elliot z pomocą kilku współpracowników, z których żaden nie jest lekarzem. Sekretarką jest dużej urody murzynka Cherry Sharpe, która w zasadzie rządzi wszystkim. Jest wyjątkowo ładną, drobną, zgrabną i inteligentną. Tu będzie miejsce mojej oficjalnej pracy, zaś rzeczywiste w pracowni ENG, gdzie mam uruchomić aparaturę do badań elektronystagmograficznych i nauczać tej metody badania i jej interpretacji rezydentów. Mam do pomocy panią Josephine Brown, Murzynkę z zespołem Basedowa: wytrzeszczem gałek ocznych i rozdętą szyją, która wyraźnie mnie nie lubi. Okazuje mi swego rodzaju lekceważenie i niechęć od początku do momentu kiedy przekazałem dla jej syna zegarek marki Wympel, ostatni wrzask techniki radzieckiej w tym zakresie. Wtedy staje się „*dobrym białasem* „. Popiełem wówczas pierwsze szaleństwo kupując w okazałym, eleganckim gmachu General Motors zegarek Longinesa z automatycznym naciąganiem za całe 105 \$, co na owe czasy było kwotą pokaźną. Zegarek ten służy mi wiernie do dzisiaj. Mrs. Brown podobnie jak i inne murzynki ma jedną zaletę: nie lubi pracować. Co najmniej raz w tygodniu jej nie ma w pracy i wtedy dowiadujemy się, że nie mogła pracować z powodu bolesnej miesiączki. W pozostałe dni przymuszona do pracy psuje aparaturę i to niesłychanie utrudnia pracę, ponieważ nie załatwieni w terminie pacjenci zgłaszają się w dużej liczbie w następne dni.

Mam więc nauczać rezydentów czegoś o czym w zasadzie nie mam pojęcia: patologii kości skroniowej, i tego na czym jednak się znam – elektronystagmografii. Na szczęście na opanowanie podstaw, elementarnych podstaw patologii, mam kilkanaście dni wspólnej pracy z Zigi Lejbovicim, a potem skaczę na głęboką wodę. Mój angielski nie jest dobrym i w zasadzie liczę w tym względzie na pomoc Opatrzności oraz praktykę dnia codziennego w tym całkowicie anglojęzycznym świecie. Otological Research Laboratory zajmuje jednopiętrowy budynek zbudowany zapewne w początkach szpitala HFH i położony w odległości około 500 metrów od jego głównego gmachu. W piwnicach i na parterze są pomieszczenia dla zwierząt doświadczalnych, zaś na piętrze posadowiono laboratorium histologii i histopatologii kości skroniowych, pokój operacyjny w pełni wyposażony do operacji eksperymentalnych oraz drugi dla prowadzenia szkolenia rezydentów operacji uszu dokonywanych na kościach skroniowych pobranych ze zwłok. Każdy rezydent musi raz w tygodniu, wedle ustalonego planu, prowadzić tu ćwiczenia chirurgiczne. Na tym samym poziomie budynku znajdują się sala konferencyjna, pracownia fotograficzna oraz dwa małe pokoiki dla szefa laboratorium i sekretarki. Kolekcja kości skroniowych obejmuje ponad 200 zestawów preparatów ludzkich kości skroniowych, w procesie przygotowywania jest dalszych 100 kości. „*Cykl produkcyjny* „ przygotowywania kości do demonstracji trwa około 6 miesięcy. Główna uwaga skupia się na badaniach kości tych pacjentów, którzy za życia mieli udokumentowane w historii choroby zaburzenia słuchu lub równowagi oraz jakąkolwiek patologię uszu. To co budziło zdumienie i szacunek polskiego lekarza to możliwość dotarcia do pełnej dokumentacji zmarłego

pacjenta, często prowadzonej nieprzerwanie od momentu jego urodzenia w HFH w czasie pierwszej wojny światowej. Jeśli pacjent urodził się lub leczył w innym szpitalu jego dokumentacja wędrowała za nim w postaci xerokopii aż do stołu sekcyjnego. W USA istnieje zaledwie kilkanaście tego typu laboratoriów, bowiem badania wymagają znacznych nakładów finansowych. Każde laboratorium przygotowuje trzy komplety preparatów opracowanej kości skroniowej: pierwszy pozostaje na miejscu, drugi otrzymuje lekarz lub szpital, który kość do badania przysłał zaś trzeci wędruje do centralnego muzeum preparatów, które w tym czasie mieściło się na Uniwersytecie Harvarda. W ten sposób utworzona została jednostka centralna gromadząca cały dorobek Stanów w histopatologii kości skroniowej, co pozwalało mieć pogląd ogólny na stan tej wiedzy w USA. Założycielem i dobrym duchem laboratorium był prof. Harold Schucknecht, twórca patologii kości skroniowej i ucha, który właśnie przeniósł się do Bostonu.

Raz w tygodniu odbywało się zebranie całego personelu Departamentu ORL wraz z rezydentami, które dokonywało przeglądu zestawu preparatu, którego opracowywanie właśnie laboratorium zakończyło. Przy okazji odbywała się szeroka dyskusja na temat patologii ucha wewnętrznego. Byłem w szczególnej sytuacji, bowiem do mnie właśnie należało prowadzenie tych dyskusji. Nie muszę przekonywać jak bardzo musiałem wgłębić się w literaturę poświęconą tej dziedzinie otologii. Nadzoruje moją pracę dr. Roy Hayden, znakomity otolaryngolog, przyjaciel słynnego dr. Manforda McGee, okazujący mi wiele przyjaźni. Wcale często bywam zapraszany w weekendy do ich domu, gdzie wita mnie serdecznie uroczą gospodyni i jej dwoje dzieci, nastolatków. Roy przy grillowaniu pyta o Polskę, o naszą sytuację, poziom życia. Ubolewa. Opowiada, że z jego doświadczenia wynika, iż najczęściej pacjenci otologiczni zgłaszają się z prośbą o konsultację nie kierowani przez lekarzy, zwłaszcza lekarzy rodzinnych, ale przez innych pacjentów, którzy są zadowoleni z wyników przeprowadzonych u nich operacji. Oblicza, że na jednego pacjenta ze skierowaniem lekarskim przypada dwóch lub nawet trzech namówionych do tego przez dawnych pacjentów.

Wzywa mnie dyrektor administracyjny szpitala Mr. Buerki. Chce poznać egzotyczny egzemplarz człowieka „stamtąd”. Siedzi za ogromnym dębowym biurkiem i gada coś do mnie bełkocąc i trzymając w ustach grube cygaro. Ni cholery nie rozumiem, ale kiwam głową i uśmiechając się wylewnie powtarzam: „Yes Sir!”. Facet zdaje się podejrzewa prawdę, to znaczy że ja nic nie kapuję i pyta mnie czy pojąłem co on mi usiłował przekazać. Potwierdzam to z zapalem. Przekazuje mnie w ręce szefa ochrony szpitala. Stoję przed Mr. Kroliki (z domu Królicki, aby nie było wątpliwości). Ten daje mi instrukcje jak się zachowywać poza szpitalem w mieście gdzie dominują czarni. Rozmowa z Kroliki otwiera przede mną czar miejsca i miasta, w którym pracować mnie przyszło.

„ Jesteś z Europy, a więc wielu rzeczy nie wiesz i nie rozumiesz. Kiedy cię zatrzyma policjant nie sięgaj do kieszeni po paszport, bo cię zastrzelą myśląc, że sięgasz po broń. Stań przy ścianie z rozstawionymi nogami, ręce szeroko oparte o ścianę. Daj informację że jesteś cudzoziemcem i gdzie masz paszport. On sam po ten paszport sięgnie i sprawdzi. Jeżeli jest na ulicy strzelanina połóż się w rynsztoku, nawet gdyby był pełny wody. Leż spokojnie z rękami na potylicy. W ten sposób dajesz sygnał, że nie bierzesz udziału w całej drace. Możesz być skaleczony jedynie rykoszetami. Jeżeli wychodzisz wieczorem ze szpitala to masz do przejścia wąską uliczkę przy której jest dom rezydentów. Nie waż się po zmroku wejść w nią sam. Przed miesiącem murzyni zasztyletowali tu rezydenta. Poczekaj na ochroniarza z psem. On odprowadzi Cię do drzwi i sprawdzi czy nic się złego nie dzieje. Nie zapuszczaj się w puste ulice miasta, zwłaszcza o zmroku. Zawsze noś przy sobie i miej pod ręką banknot pięciodolarowy. Jest to cena podstawowej dawki narkotyków. Gdyby cię zatrzymał jakiś naćpany murzyn z nożem, to te pięć „ baksów „ może uratować ci życie !!! „.

A więc witaj Ameryko, kraju wolności wszelakiej!. Cóż nie jesteśmy nad Wisłą, gdzie nasza dzielna, grzeczna i profesjonalna Milicja Obywatelska chroni nas skutecznie dzień i noc. Istotnie Szpital Forda otoczony jest dzielnicą zamieszkałą nieomal wyłącznie przez tak zwanych Afroamerykanów, czyli murzynów. Otoczenie Henry Ford Hospital zostało już dość dawno opuszczone przez białych. Z konieczności moje nieodległe wyprawy do supermarketu z żywnością

oznaczały kontakty z tym odłamem społeczeństwa. Szczęśliwie nigdy nie zostałem zaczepiony wrogo czy w inny sposób molestowany. Jednak zapoznanie mnie z amerykańską rzeczywistością AD 1969 nie było głupie ani bezcelowe. Jak dowiaduje się z danych publikowanych w poważnej prasie w latach 1960 – 1969 (10 lat) w wojnie wietnamskiej zginęło 40 000 obywateli USA. Na szosach tamtejszych w tym samym czasie zginęło 600 000 ludzi, zaś w mordach kryminalnych około 6700 osób. Według danych FBI w ostatnich 4 latach liczba napadów z bronią w rękę wzrosła o 80 %, gwałtów o 20 %, morderstw o 15 %. *Gazeta Times Sunday Review* z dnia 27 września 1969 roku pisze: „*Anglia, Japonia i RFN są po USA najbardziej uprzemysłowionymi krajami świata. Łącznie mają one około 215 milionów ludzi, co odpowiada mniej więcej populacji Stanów. Wśród tych 215 milionów zdarza się co roku 150 zabójstw z użyciem broni palnej. Z 200 milionów Amrykanów ginie w ten sam sposób około 6700 ludzi, to jest nieomal 50 razy więcej. Na całej wyspie brytyjskiej liczącej sobie 52 miliony populacji jest każdego roku tyle zabójstw kryminalnych co w jednej dwumilionowej Philadelphii („mieście braterskiej miłości „).*

Otrzymuję małą zieloną kartę tzw. „Social Security „ oraz legitymację uprawniającą mnie do korzystania z usług służby zdrowia w ramach systemu „Blue Shield – Blue Cross „. Wszystko czym może mi służyć Henry Ford Hospital w dziedzinie ochrony zdrowia mam za darmo. Za usługi fryzjera i jedzenie płacę sam. Koszty zakwaterowania wyliczyli na 30 \$ miesięcznie, a więc śmiesznie tanio. Fryzjer żąda za strzyżenie jedynie, a raczej aż 5 \$, a więc moje postrzyżyny odbędą się tylko raz w roku mojego pobytu w HFH. Zapuszczam więc włosy i codziennie myję głowę. Ciekawe czy Elżbieta mnie pozna? Na początku miesiąca otrzymuje pierwszy czek z na wypłatę stypendium. Pędzę do bliskiego domu towarowego, aby swoim dziewczętom tak dalekim, wysłać dowód, że tata jest bogaczem amerykańskim. Kupuję jakieś drobiazgi w tym pluszowego misia koalę. Otrzymuje wkrótce recenzje Agi: „*Kochany Tato ! Koal jest bardzo miły. On nie drapie pazurkami. Koal jest śliczny i ja z nim śpię. Bardzo go kocham. On stoi na biurku. Na imieniny dostałam od Mamy ślicznego pieska szczeniaczka (Ela dopisuje: futrzanego, nie przeraż się !). W becze (skarbonce) mam 244 złote. Całuję Tatę mocno. Agusia. „.*

Jestem w szpitalu prawdziwie egzotycznym egzemplarzem. Nieustannie Amerykanie zapraszają mnie na wieczory do domów i w stosunku do mnie odnoszą się przyjaźnie. Dominuje zaciekawienie. W najlepszej wierze zadają pytania typu: czy w Polsce jest znana telewizja i telefony?, czy są samochody i jakiej produkcji?, czy w Polsce można mieć dom?, czy gazety są tylko komunistyczne?, czy w Polsce uprawia się szermierkę jako dyscyplinę sportu?, i wreszcie pytanie koronne-dlaczego jestem tu bez żony?. Spróbuj objaśnić Marsjanom proste prawdy o obozie realnego socjalizmu, w którym PRL jest jednak najweselszym barakiem. Trafiam do Stanów niedługo po Marcu 1968 roku i związanych z tym antysemickich wybryków władz. To daje się odczuć w rozmowach, nie tylko z amerykańskimi Żydami. Powszechnym i niesłychanie przykrym zjawiskiem jest propaganda antypolska prowadzona w sposób haniebny i chamski. W podstawowe produkty żywnościowe zaopatruję się nieopodal w niewielkim sklepie samoobsługowym. Za każdym razem przy opróżnianiu wielkiej torby z grubego mocnego papieru, typowego opakowania stosowanego w tych magazynach, znajduje na samym dnie książeczki z tak zwanymi „Polish Jokes „. „Dowcipy „ są ohydne. Przykłady: „*Dlaczego polska kobieta ciężarna musi być tak silna?. Bo nosi dziewięć miesięcy ciężkiego idiotę „*, „*Jak się nazywa miejsce gdzie kapie się pięć polskich dziewczyn?. Zatoka świń.*”, „*Dlaczego do niesienia trumny z Polakiem potrzebnych jest tylko dwóch grabarzy?. Ponieważ pojemnik na śmieci nosi tylko dwóch ludzi „.* I tak dalej i tak dalej W publikowanym w języku polskim Dzienniku znajduje na ten temat opinie: „*W ankiecie przeprowadzonej w klasie dziewiątej szkoły średniej w Birmingham nauczającej na bogatym przedmieściu Detroit zadano pytania dotyczące stopnia dyskryminacji i rodzaju uprzedzeń w stosunku do komunistów, Murzynów, Żydów, Polaków, jak również kilku innych narodowości i wyznań religijnych. Przygniatająca większość młodzieży odpowiedziała, że nie ufa Murzynom, boi się ich i wręcz odczuwa wstręt. W stosunku do Żydów i Polaków odpowiedzi były prawie takie same: młodzi ludzie nie chcieli by chodzić z polskimi dziewczętami czy chłopcami na randki, czują do nich odrazę i chcą „by się nie mieszały „. Uprzedzenie w stosunku do Żydów w Birmingham, zdaniem autorów ankiety, zmalało, ale w stosunku do Polaków wzrosło. Wzrost uprzedzeń, odrazy i*

wręcz nienawiści do Polaków tak młodzież, jak i kierujący ankietą nauczyciele tłumaczą falą „polskich żartów „*Jak więc widzimy owe „ kpiniki „ i „ kawały „, „ jakimi zasypuje się kraj, dają swe owoce – i są to owoce oplakane, przyczyniające się do dyskryminacji naszego ugrupowania etnicznego „. No comments !.*

16 lipca, środa, mogę wreszcie zamieszkać tuż obok szpitala, na jego tyłach w domu dla rezydentów „Georgetta „ przy ulicy Palister 1205, pokój 201 B. Jestem współlokatorem apartamentu składającego się z dwóch pokoiów z kuchnią. Drugim lokatorem jest dr. Jose Font – deSoto z Gwatemali, mały szczupły chłopak o ciemnej karnacji. Pracuje jako rezydent w oddziale chirurgii ogólnej. Co trzeci dzień ma całodobowy dyżur w izbie przyjęć, gdzie za każdym razem operują nocami postrzelonych murzynów z sąsiedztwa. Przychodzi skonany po pracy w południe następnego dnia, nastawia magnetofon z nagranyimi wykładami z chirurgii izasypia. Jedynym relaksem są dla niego dziewczyny, z reguły wielkie blondyny, które we wszystkie wieczory kolejno sprowadza do swego pokoju, izolowanego ode mnie korytarzem. Miejscem rekrutacji tych nimf jest pobliska szkoła pielęgniarek i położnych. W warcaby to oni nie grają. Zdumiewające ile wigoru jest w tym małym, wątłym z pozoru Latynosie. Poza małym burdelem, który tu prowadzi ma jeszcze jedną wadę: wypija mi całą Colę, którą ja kupuję. Któregoś dnia dla odmiany kupuję piwo i bezczelny Jose ma do mnie pretensję dlaczego nie kupuję Coli, bo on piwa nie lubi. Od tego czasu kupuję i piję tylko piwo, którego ten gówniarz nienawidzi.

Latynosów, rezydentów, jest w HFH wielu. Coś co łączy ich wszystkich to..... serdeczna nienawiść do Stanów Zjednoczonych, które umożliwiają im kształcenie w zawodzie. Jest to ten rodzaj nienawisci, jaką, jak sądzę, odczuwali chłopci pańszczyźniani w stosunku do dziedzica. Nienawiść biedaka do tego kto ma lepiej. Ba, o wiele lepiej !. I każdy z nich marzy jednocześnie o jednym: o tym by zdobyć jak najszybciej obywatelstwo Stanów Zjednoczonych. Jedną z dróg do tego celu jest małżeństwo z Amerykanką.

W weekend jadę z Shiro, Marią i ich dwoma małymi synkami nad jezioro. Wspaniały dzień, woda tłumy ludzi. Obok na trawie Polacy: „*Panie, ja z Pragi, z Kawęczyńskiej !*”. Czy to nie wzruszające ?.Gdzie nas ze Szmulek nie ma. W szpitalu i domu dla rezydentów sprzątaczką pani Joanna też Polka. Trafiła do Stanów po obozie pracy w Niemczech. Połowa personelu kuchni Polki, druga Greczynki. Mamy dwie kuchnie – jedna, w której jadamy śniadania i kolacje w podziemiach oraz druga, elegancka na 17 piętrze, gdzie jada się lunchy. Przynajmniej raz w tygodniu jest lunch za który każdy płaci 1 \$ i ma prawo zjeść, jak to się u nas mawia, „*skolko ugodno „*. Najważniejsze, że w kasie siedzą nieomal same Polki. Były to żony byłych łągierników, same przeszły przez radziecki raj i kraj był im wciąż bliski. „*Pan przyjechał z Warszawy ?. Drogi mój, niech Pan zawsze do mnie podchodzi, zje Pan wszystko za 50 centów !*”. Słucham się tej rady ochoczo przez cały rok. Obżeram się za 2 – 3 dolary, a płacę 50 centów. To lepsze niż dobrobyt.

Dzwoni do laboratorium ksiądz kapelan, Father Ted Blascyk. Ojciec Polak, także były więzień obozów niemieckich. On już urodzony w Stanach, ale mówi po polsku. Słabo, ale mówi. Prosi, aby spotkał się z jego znajomym, zakonnikiem kapucynem, którego wysyłają na staż do Polski. Młody człowiek w dżinsach i kurtce sportowej. Z niepokojem pyta się czy to prawda, że w polscy kapucyni chodzą boso i w habitach z surowej wełny przez cały rok. Nie zaprzeczam i nie potwierdzam, nie wiem po prostu co odpowiedzieć na tak wysoce specjalistyczne pytania. Odchodzi bardzo zaniepokojony perspektywami udania się do tego kraju, w którym wciąż panuje średniowiecze.

20 lipca, w niedzielę, przeżywam wraz z Amerykanami entuzjastycznie ich lądowanie na księżycu. Pokazują w TV symulacje wydarzenia. Nie ma możliwości bezpośredniej transmisji, podobno ze względu na ustawienie powierzchni planety. Obraz prawdziwy ma być przekazywany za kilka lub kilkanaście godzin. Radość ogromna z sukcesu. Jest to przecież także osiągnięcie całego rodzaju ludzkiego. Dech zapiera moment kiedy Armstrong stawia stopę na powierzchni srebrnego globu. Oddają hołd pamięci Kennedy’ego, który zaplanował i wdrożył program zdobywania kosmosu. Generalnie rzecz biorąc, jednak, nie są fanami klanu Kennedych. Opowiadają historie, które dla Polaka zafascynowanego legendą młodego Prezydenta są obrazoburcze. Ojciec Kennedy’ego był związany politycznie z Rooseveltem. Jako jeden z

pierwszych dowiedział się kiedy ma zostać zniesiona prohibicja. Za stosunkowo niewielkie pieniądze kupił wówczas prawo reprezentowania na rynku amerykańskim wielu znanych w Europie firm produkujących alkohol, zwłaszcza szkockiej whisky. Na tym zarobił miliardy dolarów. Kiedy stara arystokracja amerykańska zarzucała mu metody wzbogacenia się odpowiadał ; „*Ja zrobiłem to samo co zrobili wasi przodkowie, tylko 200 lat później !*”. Stare rody bostońskie uznawały Kennedych za parweniuszy i jeżeli trzeba było przyjmowali ich w klubach, nie zaś we własnych domach.

W trzeciej dekadzie lipca znaleźli mnie Polonusi: małżeństwa państwa Modelskich oraz Tuszyńskich. Izek Modelski był bratankiem generała Izydora Modelskiego, szefa gabinetu wojskowego Gen. Sikorskiego w Londynie, jego żona Krystyna dostała się na Zachód po Powstaniu Warszawskim, w którym brała udział jako łączniczka A. K. Izek skończył studia politologiczne na miejscowym uniwersytecie i ma szansę zostać w tej uczelni po uzyskaniu doktoratu jako nauczyciel akademicki. Była możliwość uzyskania katedry uniwersyteckiej w mieście Windsor leżącym po drugiej stronie rzeki Detroit łączącej jeziora ST. Clair i Erie, a jednocześnie dzielącej Detroit od Kanady. Istotną przeszkodą było to, że najbardziej przeciwni tej karierze byli bracia Polacy, tu zatrudnieni. Nawet tu mamy słynne polskie piekło. Losy Tuszyńskiego były bardziej złożone. Członek Narodowych Sił Zbrojnych zwiedził po wojnie pół świata od Afryki po Amerykę Południową. Zarabiał na życie w bardzo różnorodny sposób, ostatnio jako egzekutor czynszów w domach zamieszkałych przez murzynów przynależnych do żydowskich właścicieli. Zajęcie raczej dla kamikadze, nieustannie z pistoletem zatknętym za pasek od spodni od strony pleców. Kilka lat temu poznał swą żonę, absolwentkę KUL-u z Lublina, współpracownicę z tegoż Uniwersytetu Kardynała ks. Profesora Karola Wojtyły. Tuszyńscy poznali się w Kanadzie i tam u nich w domu Ksiądz Profesor Wojtyła bywał nie jeden raz. Mieli trzech synów, których Marian Tuszyński srodze przymuszał do polskości nie pozwalając w domu słowa powiedzieć po angielsku, ze szkodą dla tej idei. Mając zły akcent w wymowie angielskiej wyniesiony z domu, w którym nie wolno im pod karą chłosty mówić po angielsku, są narażeni w szkole na złośliwości typu: „*Ech, You, Polack !*”.

Bywam od tego czasu wcale często na cocktail -party w weekendy w różnych domach polonijnych. To wszystko wygnańcy: żołnierze II korpusu, weterani sowieckich łagrów, lotnicy z Anglii, powstańcy warszawscy, kilku byłych więźniów obozów koncentracyjnych. Przeszli gehennę jaką stworzyli im „ wdzięczni „ alianci zachodni do spółki z „Wujkiem Jo „. Nieomal wszyscy przeszli po zakończeniu wojny przez kraje latynoskie, bowiem Stany Zjednoczone ich nie przyjmowały. Powiedzieć, harowali, to powiedzieć za mało. Zwykle ciężko pracując fizycznie zaocznie kończyli studia czy też jakieś kursy dające im podstawy egzystencji. Izek daje mi do czytania fragment z pamiętnika Aleksandra Fredry „ Trzy po trzy „. Pisze on:” *Zapędzony gdzieś w głąb obcego kraju, oddany dowolności lada urzędnictwa, zmuszony jestem przyjmować kawałek chleba rzucany jak jałmużnę od tych nawet, którymi gardzę. Jeżeli w przeciągu czasu starła się wszelka powierzchowna cecha wojskowości, a dziwaczny, tandetny strój zbiedzoną okrywa postać – wtenczas stajesz się niewolnikiem „.*

Dyskusje są bardzo polskie, bardzo emigracyjne. Wracając do refleksji Fredry, swego czasu adiutanta sztabowego armii napoleońskiej przypominają jego opinie: „*Piekielna obłudo !, Szatańska polityko !. Tyle poświęcenia, tyle krwi przyjmować za nadzieje, których w głębi serca nie myśli się spełnić. Biada człowiekowi, którego los zawisł od drugiego, ale dwakroć biada narodowi, co zawisł od interesu drugiego narodu !. Narody sumienia nie mają ! „.* Izka Modelskiego stryj, generał Izydor Modelski był ważną figurą w gabinecie wojskowym generała Władysława Sikorskiego. Po pierwszej wizycie Sikorskiego w Moskwie roku 1941 opowiadał: „*po wyjściu z samolotu na płytę lotniska witała Generała kompania honorowa tworzonego na podstawie umowy Sikorski – Majski wojska polskiego pod dowództwem Generała Władysława Andersa i kompania wojska sowieckiego. Sikorski, bardzo impulsywny i uczuciowy idąc przed frontem kompanii widział nędzę tych ludzi, ich wyniszczenie fizyczne będące skutkiem dwuletniej pracy w łagrach, pozostałości szkorbutu. Wzruszonemu Wodzowi Naczelnemu lzy ciekły obficie po policzkach i zwrócił się do przydzielonego do naszej armii NKWD-dzisty generała Żukowa z pytaniem: „*Cóż wy uczyniliście uczyniliście tymi ludźmi ? „.* Odpowiedź była zwięzła i prawdziwa:” *Robiliśmy to samo co z naszymi ludźmi !*”.*

Istotnie nasi byli jedynie częścią ofiar systemu „ wykuwającego dusze „ poddanych sowieckich. Na tym polegała demokracja internacjonalistyczna w Związku Sowieckim, że wszyscy jednakowo dostawali w d..... „.

W Anglii, po lądowaniu na Wyspie ulokowano nas w Szkocji. Mieliśmy bronić wybrzeży od strony Norwegii. Przeprowa z Francji odbywała się „ na siłę „ ponieważ Francuzi robili absolutnie wszystko, aby wejść Niemcom w d.....Żądali od nas kapitulacji i otwieraliśmy sobie drogę na statki brytyjskie groźbą użycia karabinów maszynowych. To zaiste podły naród. W Szkocji dziewczyny były nami oczarowane i prawdę mówiąc więcej tam spermy wyleliśmy niż krwi. Dowódcą dywizji był generał Gustaw Paszkiewicz. Pewnego razu zapowiedziano odwiedzin dwóch poetów przebywających na emigracji: Juliana Tuwima i Antoniego Słonimskiego. Obaj panowie przyszli, siedli na estradzie. I wtedy wystąpił jeden z moich kolegów porucznik J.Z. Zwróci. się z oficjalnym raportem do Dowódcy z prośbą o wysłuchanie. Po uzyskaniu zgody wyrecytował: „ Panie Generale ! W Imieniu zebranych protestuje przeciwko spotkaniu z Panem Tuwimem. Jest to polski poeta, który w tomie wierszy „Biblia cygańska „, wydanym w roku 1933, a więc roku dojścia Hitlera do władzy zamieścił wiersz „ Do prostego człowieka „. Mówi się w tym wierszu między innymi jak się judzi Polaka „Historyczną racją, o piędzi chwale i rubieży, o ojcach, dziadach i sztandarach, o bohaterach i ofiarach, bo mu sam Pan Bóg szepnął z nieba, że za Ojczyznę trza umierać ! Jaką więc Pan Tuwim ma radę dla Polaka: „gdy ci wołają „Broń na ramię !” - rżnij karabinem w bruk ulicy. I od stolicy do stolicy, zawołaj, broniąc swej krwawicy: „Bujać to my, panowie szlachta !” Oj co się działo, co się działo. Obu panów poetów wymiotło z estrady. Troche mi było żal Antoniego Słonimskiego, ale per saldo.....”.

Izek Modelski pokazuje mnie także publikację historyka i dyplomaty Erwina Reishauera, który pisze: „ Polska nigdy nie spędzała snu z powiek Ameryki. Istniała i istnieje w tym kraju tendencja do ignorowania Polski i zajmowania się większymi krajami oraz tymi, z którymi mieliśmy więcej wspólnego jako przyjaciele lub jako wrogowie. „. Polska, z czego zdaje sobie sprawę myśląca część emigracji w Stanach, interesuje Amerykę jedynie o tyle, o ile stanowi mniej czy bardziej skutecznie problem dla Związku Radzieckiego. Polska jest słowem cenna tylko jako czyrak na karku lub na d.... Sowieckiego Sojuza.

Izek Modelski robi wszystko aby mnie doksztalić w historii politycznej Polski. Daje mi kolejne książki do przeczytania i między innymi Edwarda Crankshawa „ The shadow of the Winter Palace „, wydaną przez Penguin Books. Jest to arcyciekawa historia Rosji w okresie 1825 – 1917. Autor był członkiem angielskiej misji wojskowej w Moskwie w latach 1941 – 1943 i zna ten kraj dobrze wraz z jego realiami. Czytam w tej książce między innymi:

„ Disraeli (premier Wielkiej Brytanii w latach 1874 – 1880-przyp mój G.J.) oświadcza, że „ wojna w samym centrum Europy wniecona pod pretekstem odbudowy państwa polskiego byłaby wojną ogarniającą wielkie terytoria i długotrwałą. Mapa Europy uległa by zmianom zasadniczym, co nasuwa wniosek, że należy wątpić, aby nazwa Polska pojawiła się ponownie kiedykolwiek „.

„ Fryderyk Wilhelm IV, król Prus: „ Polaków należy uczynić szczęśliwymi wbrew ich samym poprzez odebranie im władzy, której używają dla własnej szkody, przez traktowanie ich jak ślepych dzieci mających w ręku zabawkę, którą mogą okaleczyć siebie jak i innych „.

„ Austriacki ambasador na dworze w Petersburgu hrabia Karl de Fiquelmont pisze do kanclerza Matternicha w roku 1830 w związku z powstaniem w Polsce: „ Panuje tutaj powszechnie przyjęty pogląd, że Rosja stała się silna i wszechwładna jedynie dzięki upadkowi Polski. Z chwilą utracenia przez Rosję pewnego dnia polskich prowincji stała by się ona ponownie jedynie mocarstwem azjatyckim. Ta świadomość jest podstawą wszystkich ich przedsięwzięć „. Nie jest przesadnym powiedzieć, że tylko świadomość panowania nad Polską pozwala czuć się Rosji państwem europejskim. Przez długie lata Polska stanowiła barierę blokującą jej drogę do Europy, zwłaszcza kiedy Moskale wyswobodzili się spod władania Tatarów. Aroganccy katolicy, niezwykle zadowoleni z siebie, mający się za lepszych, nieszczerzy, fałszywi krętacze, ograniczeni i powierchowni, a przy tym zdradzieccy i odrażający – oto obraz Polaków w oczach ruskich bojarów. Na szczycie swej potęgi Polacy przynależni do świata cywilizacji zachodniej wypchnęli Rosję głęboko, głęboko na wschód.....”.

Mamy do czynienia z mieszanką, w której okrutni głupcy nie mający pojęcia o niczym decydowali o losach geniuszy. Przypadek Mendelejewa świadczy o tym. W roku 1890, cztery lata przed śmiercią cara Aleksandra III minister edukacji Delianow usunął tego światowej sławy uczonego z katedry w Uniwersytecie w St. Petersburgu ponieważ Mendelejew przekazał mu petycję studentów, którą ów minister potępiał. Ten wielki człowiek będący członkiem Królewskiego Towarzystwa Nauk w Londynie, doktorem honorowym uniwersytetów Sorbony w Paryżu, Oxfordzie, Cambridge czy Berlinie był unicestwiony przez głupiego biurokratę. I nie zrobiono NICZEGO co mogło by naprawić tą decyzję !”.

„ W średniowiecznej Europie urodzajność była wyrażona stosunkiem 1: 3 ; trzy ziarna zebrane z każdego ziarna posianego. W XVI i XVII wieku stosunek ten w krajach zachodniej Europy podniósł się do 1: 6 czy 1: 7, zaś w połowie XIX wieku nawet do 1: 10, ale w tymże XIX wieku w Rosji, w tym samym czasie, tak jak w średniowieczu wynosił 1: 3 „.

A więc opinie takie same jak w słynnych „*Listach z Rosji* „, markiza de Custine’a.

Poza Modelskimi i Tuszyńskimi, czołowymi członkami myślącej logicznie grupy Polonii Detroitkiej są Jurek Grygosiński, weteran dywizji pancernej generała Maczka ożeniony z Holenderką oraz Bogdan Grodzki ożeniony z Włoszką. Można powiedzieć, że narodowość ich żon wskazuje na szlak bojowy, którym szli. Rozmowy na temat Kraju są dość ostre, ale zaangażowane. Oni wszyscy są chorzy na Polskę. Drażnią pewne wypowiedzi, ale kiedy miną lata doświadczenie życiowe potwierdza mnie ich zasadność i głębie. I tak Jurek Grygosiński mówi: *„W Polakach zdumiewa to, że są przekonani iż można robić świństwa w normalnym codziennym życiu i to jest w porządku. Ale w polityce, zwłaszcza zagranicznej, trzeba być zawsze honorowym. Coś nam się jednak od wieków popieprzyło we łbach, Panowie !*. Całe towarzystwo jest programowo skrajnie endeckie i do pasji doprowadza ich jakakolwiek pozytywna opinia na temat Piłsudskiego i Jego roli w naszej historii. Izio Modelski zaopatruje mnie w odpowiednią ideologicznie literaturę, w której czytam opinię Dmowskiego o Piłsudskim: *„...nie rozumie Polski, nie zdaje sobie sprawy co w niej jest potrzebne a co możliwe Otrzymałszy posadę Boga od jełopów co go stworzyli, miłuje być większym niż go sam Pan Bóg stworzył. Robi czasem wrażenie wołu, któremu się wydaje, że jest bykiem i wdrapuje się na krowę „. Usiłuje oponować mówiąc za Józefem Czapskim, że *„dla Piłsudskiego ludzie gotowi byli umrzeć, przy generale Sikorskim chcieli zaś robić kariery !”* W domu Tuszyńskich mieszka profesor Jarosław Rudniański socjolog z Uniwersytetu Warszawskiego, który jest „*człowiekiem z kraju* „, na stypendium naukowym. Z tym rozumiemy się znakomicie, a więc i oceny mamy podobne.*

Ta emigracja jest patriotyczna, ale dość bezradna. W Chicago, które jest drugim „*polskim* „ miastem w świecie nigdy Polak z pochodzenia nie był wybrany burmistrzem. To jest pewną miarą dezintegracji i skalą zawiści wewnątrz tego środowiska. Poza tym głupota i zakompleksienie. W Detroit startuje w wyborach burmistrza Romann Gribbs (z domu *Grzyb*). W miejscowym dzienniku polonijnym „*Polish Daily News* „, rekomendacja: *„ Głosujcie na Romana Gribbsa bowiem to inteligentny facet: grał w piłkę nożną i przemawiał w szkole średniej na uroczystości zakończenia szkoły !”*. Generalnie rzecz biorąc potwierdzają się także i tu opinie współtwórcy krakowskiej szkoły historycznej „*Stańczyków* „, Józefa Szujskiego, który w swym dziele *„ Kilka prawd z dziejów naszych ku rozważeniu w chwili obecnej* „, pisał: *„ Jeżeli straszne są skutki niewoli, straszniejsze jeszcze są skutki emigracji. W niewoli ma się przed oczyma rzeczywistość, tę podstawę naturalną każdego czynu politycznego. W emigracji ma się tylko ideę, tylko uczucie, tylko wspomnienie, a ma się prócz tego modłę obcego społeczeństwa nad sobą. Cóż dopiero jeżeli się w te emigracje idzie z rozdartym sercem, ze straszną diziluzją, z gniewem i rozpaczą „.*

W czasie jakiegoś weekendowego grillowania Izek Modelski opowiada swoje wspomnienia z II Korpusu walczącego we Włoszech.

*„ Wojna się skończyła i nasz Korpus pełnił przez czas pewien rolę wojsk okupacyjnych. Zajęć w czasie służby było niewiele, Włosi spokojni i przyjaźni wobec nas. Nasze szarże zaczęły się nudzić. Pewnego dnia w zastępstwie oficera kontrwywiadu wojskowego zostałem wydelegowany na odprawę sekcji II Oddziału. Prowadzący poinformował nas o czekającej nas „*bardzo poważnej* „, akcji. Otóż w czasie wojny nie było czasu na zajęcie się kilkoma tonnami donosów, które napływały*

do komórek wywiadu. Donosów pisanych przez Polaków na współrodaków. Wieziono je z Korpusem jeszcze z Palestyny. Kto się z kim kochał, kto donosił sowieciarzom i na kogo, kto uprawiał kontrabandę, kto w Palestynie dostarczał broń Żydom, a kto Arabom itd.. itd.. Były tego ogromne archiwa. Na poważnie zapowiedziano konieczność przewiezienia tych gór papierów do Anglii, gdzie miano się tym zająć. Sprawę postawiono w sposób tak drastyczny, że tylko jeden uczestnik zaproponował aby te papiery wrzucić do Tybru, a najlepiej spalić. Został ostro skarcony. Była to w tym czasie dla tych zupaków sprawa najważniejsza z ważnych. I dopięli swego. Sterty donosów przewieziono pod ochroną do Anglii, gdzie z rozkazu władz brytyjskich zostały one zniszczone jako makulatura. Ot i jeszcze jeden przykład naszej głupoty i małości w czasie kiedy los tysięcy był niepewny i zagrożony. Przecież tak naprawdę wojnę przegraliśmy, a o tym co będzie z żołnierzami na Zachodzie tak naprawdę niewielu myślało ..

W gronie polonijnym, korzystając z pięknej letniej pogody jeździmy najczęściej nad jezioro do ośrodka prowadzonego przez emigrantów z Ukrainy. Zapewne starzy bojownicy z UPA. Przy wjeździe do ośrodka wita ogromny napis: „Pomóż naszym chłopcom w Wietnamie ! Żadnej pomocy ani handlu z krajami komunistycznymi ! „. To mi całkiem nie odpowiada, ale mniej zdumiewa niż wielki mural na szczytowej ścianie wielopiętrowego domu w śródmieściu: „Pijcie tylko szampany kalifornijskie ! Unikajcie francuskich naśladownictw ! „. Czy nie są bezczelni ?

Z niedoległego od szpitala urzędu Poczty Federalnej wysyłam paczkę do Elżbiety i Agi. Ot, jakieś tam drobiazgi, które mają uświadomić im, że mają bogatego męża i ojca w Ameryce. Zwraca moją uwagę duże obwieszczenie wiszące w holu poczty. Zawiadamia ono, że Poczta Federalna uprzejmie informuje iż od dnia tego to a tego nie będzie przyjmowała zamówień pocztowych na dostawę takich drobiazgów jak działa bezodrzutowe typu bazooka, granatniki, karabiny maszynowe i inne podobne zabawki. Bojąc się, że moja znajomość angielskiego nie jest na tyle zadawalająca aby zrozumieć pełne znaczenie tego obwieszczenia pytam o to moich amerykańskich kolegów. Dowiaduje się, że „to wszystko przez Polaków !”. Statek polski, bodaj o nazwie „POLANICA” przywiózł na Kubę sprzęt wojskowy. Zaczajeni opozycjoniści tzw. *contras* wywalili bazooką w burcie dziurę, przez którą mogła swobodnie wjechać ciężarówka. Tak więc mimowolnie przyczyniliśmy się do ograniczenia swobód obywateli Stanów i znów, używając słów Roosvelta „przyprawiliśmy świat o ból głowy „.

W dniu 1 sierpnia obchodzimy bardzo uroczyście 25 rocznicę Powstania Warszawskiego. Cały kościół pełen sztandarów kombatantów Armii Krajowej i II Korpusu Andersa łka i śpiewa hymn wygnańców:

*O Panie, któryś jest na niebie
wyciągnij sprawiedliwą dłoń.
Ze wszystkich stron prosimy Ciebie
o polski znak, o polską broń.*

*O Panie skrusz ten miecz co siekł nasz kraj
do wolnej Polski racz powrócić daj.
By twierdzą stał się nowej siły
nasz dom, nasz kraj.*

*O, usłysz, Panie skargi nasze,
O, usłysz nasz tułaczy śpiew !
Znad Warty, Wisły, Sanu, Bugu
Męczeńska woła do Cię krew:*

O, Panie skrusz ten miecz.....

25 lat temu w Skoroszach u pp.Lejmbachów przez dwa miesiące widziałem płonąca dzień i noc Warszawę. Gehenna tych miesięcy i następnych lat wraca z całą mocą. Jestem, póki co, w kraju, którego prezydent podpisał ochoczo układy jałtańskie. Trzeba jednak żyć i korzystać z tego, co ten kraj daje mnie w danym momencie. Obym po tym te zdobycze mógł przekazywać swemu środowisku w Polsce. Jak pisał bowiem Józef Conrad – Korzeniowski: „*Życie wspomnieniami to okrutne zajęcie „.*

Dorywam się do pamiętników Churchila, w których opisuje on swoje spojrzenie na II Wojnę Światową i oto spotykam taki fragment: *„Historia Europy ma swoją tragiczną tajemnicę – Polaków, którzy indywidualnie zdolni są do heroizmu i posiadają cnoty waleczności i wdzięku, ale którzy wykazują swym całym życiem państwowym niedostatki nieuleczalne. Wspaniali w rewolcie i w czasie klęski stają się nikczemni i nędzni w chwili zwycięstwa. Odważni z najodważniejszych są częstokroć kierowani przez najpodlejszych z podłych, skazani przez wariactwa własnej polityki ...* Był to dla mnie szok biorąc pod uwagę stałość wszelkich angielskich gwarancji politycznych dawanych Polsce od roku 1939. Stary cyniczny handlarz giełdowy przestrzegający zawsze zasady Machiavellego: *„Od dawna już nie mówię tego co myślę i nigdy nie wierzę w to co mówię !!!”* w innych swych pismach podawał do wierzenia: *„Jeden jest przewodnik, który pomaga narodowi dotrzymać słowa i wypełniać zobowiązania wobec sprzymierzeńców. Tym przewodnikiem jest HONOR !”*. I ten człowiek po Teheranie, Jałcie i Poczdamie śmiał mówić o honorze własnym i kraju jaki reprezentował !. Czy nie miał racji stary Fredro przypominając: *„Narody sumienia nie mają ! ...* To dziwne, ale podobne zakłamanie spotyka się zarówno u Anglosasów jak i Azjatów. Ale za lat kilkadziesiąt przyszła III Rzeczpospolita i wszystkie doświadczenia z tych czasów swobody wyniesione kazały mi – w duchu przynajmniej – przyznać rację staremu łobuzowi. *„Odważni z najodważniejszych są częstokroć kierowani przez najpodlejszych z podłych, skazani przez wariactwa własnej polityki ...* Czy ktoś ośmieli się dzisiaj powiedzieć, że nie jest to prawdą ?.

Wreszcie mam okazję poznać szefa Departamentu Patologii dr. Pattona. Wysoki, przystojny gentleman, wyraźnie południowiec gdzieś z Alabamy czy Teksasu. Jego sekretarka mrs. Glowacki wprowadza mnie w cały system dokumentacji. Zaskakuje i imponuje to, że dokumentacja towarzysząca każdym zwłokom z reguły pokazuje jego losy od wczesnego dzieciństwa, a wcale nie rzadko od urodzenia. Jeżeli „klient „ nie rodził się i nie leczył od 1918 roku w Szpitalu Forda to kserokopie wcześniejszych chorób wędrują za nim z terenu całych Stanów i są pod ręką do wglądu. Panem w prosektorium jest jednak laborant – łapiduch George, bezczelny, leniwy murzyn, którego aby móc pracować muszę przekupywać cygarami lub alkoholem. Drugi Jesse cierpi na alergię i jego kupuję dostarczając regularnie preparaty anyhistaminowe za darmo z próbek zalegających pokoje lekarskie. To zapewnia mi jego uprzejmość i możliwość normalnej pracy. Największy problem przedstawia sobą stary Doktor Hendrick i jego rudy asystent, obaj Niemcy z pochodzenia. Ci utrudniają mi pracę czepiając się, że każde dotknięcie się do dokumentacji zwłok rodzi nieporządek. Jestem zmuszony do rozmowy w tej sprawie z Doktorem Pattonem, który ich uspakaja. Przy całej swej niechęci słucham starego Hendrick’a bowiem jest to w gruncie rzeczy mądry patolog. Wciąż zwraca uwagę nam klinicytom, że badanie węzłów chłonnych podejrzanych o zaleganie w nioch komórek nowotworowych winno być przeprowadzane wyjątkowo subtelnie. Brutalne wymasowywanie węzła z przerzutami jest groźne w skutkach dla chorego ponieważ może prowadzić do wysiewów komórek raka do dalszych odcinków dróg chłonnych.

W laboratorium skrzętnie wykorzystuje znakomity sprzęt do fotografowania preparatów mikroskopowych kości skroniowych, dzięki czemu zbieram ciekawą kolekcję tychże. W bibliotece, mam prawo do kserowania 30 stron dziennie z wydawnictw, których nie ma w ubożuchnych polskich księgozbiorach. W ten sposób gromadzę kanon podstawowej, klasycznej literatury z zakresu otoneurologii. Wysyłam to partiami do Warszawy, aby później oprawić.

Korespondencja z Warszawą kuleje. Kartki odkryte idą około tygodnia, listy dwa razy dłużej. Praca z rozklejaniem i zaklejaniem kopert-to jednak wymaga czasu cenzorów. Dociera do mnie wiadomość, która mimo wszystko, jest dla mnie zaskoczeniem. Pisze mi o tym Tadzio Jegliński: Profesor Szymański w po operacji urologicznej wykonanej w trybie doraźnym miał ostry kryzys zdrowotny i był umierający. Rektor zdecydował w tej sytuacji powołanie na szefa Kliniki profesora Bochenka, który objął rządy. Cieszy mnie ta wiadomość, chociaż smuci choroba „*Starego* „, dla którego mam wielki sentyment jako dla człowieka porządnego i życzliwego ludziom.

Zaczyna się wrzesień i zdaje sobie sprawę, że właśnie moja Córka idzie do pierwszej klasy. Wrzesień to także miesiąc Jej siódmych urodzin, a więc obiecuję Jej solennie kupno jamnika po powrocie. W połowie tego miesiąca otrzymuję miły list od doktora George’a Connera aktualnie szefującego otorynolaryngologii w słynnym Johns Hopkins Hospital w Baltimore, stan Maryland:

„Dear Dr Janczewski:

I have just returned from a brief vacation and was pleased see your kind letter on my desk. I had looked forward greatly to working with you this year and learning from you. I feel confident that you will enjoy working with dr. Fujita and the other members of the ENT Staff. Your counterpart at the Johns Hopkins is Dr. Danuta Haciska whom perhaps you know

W dniu moich urodzin 18 września 1969 roku, przypadkowo lub nie, doktorzy Nichols i Fujita zapraszają mnie na kameralną rozmowę i proponują zostanie w Stanach. Gwarantują pracę w Henry Ford Hospital. Jestem wzruszony i zaszczycony, ale kompletnie mnie to nie interesuje. Jestem chory na Polskę i nie wyobrażam siebie w roli emigranta. Kończę 34 lata i mam poczucie, że jeszcze przydam się Krajowi. Jakimkolwiek by on nie był. Poza wszystkim jak mógłbym zostawić Rodziców, Żonę i Agnieszkę ?. To po prostu silniejsze ode mnie. Zwłaszcza teraz jak słowa proroka odczytuje zwrotkę ze znanego wiersza Kazimierza Wierzyńskiego:

*Bo nie ma ziemi wybieranej,
Jest tylko ziemia przeznaczona !
Ze wszystkich bogactw cztery ściany !
Z całego świata tamta strona ! ..*

Poza tym Stany mi imponują, ale mi się nie podobają. U Ruskich, przynajmniej oficjalnie, wszystko odnosi się do „ naukowego socjalizmu „, czy marksizmu – leninizmu, zaś tu do dolara. Na swój sposób jedni przypominają drugich. Ponieważ jasno odmawiam i uzasadniam moją decyzję powrotu proponują przedłużenie zatrudnienia o rok. Proszę o wystąpienie w tej sprawie do władz naszej Uczelni co czynią. Piszę także o tym lojalnie pismo do nowego szefa Kliniki, Profesora Bochenka, człowieka, z którym od początku czułem się silnie związanym i otrzymuje bardzo przykrą w formie i treści odpowiedź odmowną. List od Profesora B wysłany w połowie stycznia 1970 roku skierowany jest wyłącznie do mnie, napisany po polsku. Treść jest mało przyjemna:

„ Po wspólnej dyskusji doszliśmy do wniosku, że mimo propozycji przedłużenia Pańskiego pobytu trzeba aby Pan wrócił do kraju ponieważ nie ma nikogo, kto mógł by w Klinice prowadzić Pańską robotę. Cieszymy się, że jest Pan zadowolony z osiągniętych wyników pracy i uważamy, że jej powinien poświęcić jak najwięcej czasu, a najmniej pisaniu tak obszernych listów. Ciesząc się na Pański powrót „

Czy to wynik wspólnej dyskusji z..... żoną ?. Do tego zdumiewająca uwaga o obszernych listach, w których zawsze staram się przekazać wiadomości o organizacji pracy, metodach szkolenia, trendach co do wyboru aktualnych tematów naukowych. By nie było wątpliwości: przekazałem Klinice zakupiony za własne pieniądze komplet narzędzi do operacji otosklerozy zaprojektowany przez Manfroda McGee, drut specjalny do wykonywania protezek w tychże samych operacjach w ilości wystarczającej klinice na kilka lat, recepturę na opracowanie histopatologiczne kości skroniowych, wiozę unikalną w skali Europy kolekcję histopatologii kości skroniowej przeznaczoną do szkolenia naszych, kserokopie bezcennych w naszych warunkach artykułów stanowiących fundamentalne dzieła z zakresu otoneurologii klinicznej i wreszcie od wizytującego HFH profesora Marque'ta z Belgii dostaję psim swędem recepturę na przygotowanie materiału do homogennych przeszczepów błony bębenkowej i kosteczek słuchowych. Przecież głównie po to, do ciężkiej cholery, tu dotarłem !. I żadnego od niego kurtuazyjnego listu do Amerykanów. Po prostu wstyd. Moi amerykańscy szefowie nie są w stanie zrozumieć, że nie otrzymali od adresata, szefa polskiej stołecznej kliniki, odpowiedzi na ich wystąpienie pisemne w sprawie przedłużenia mojego stypendium. To się absolutnie nie mieści w zwyczajach anglosaskich. Ja rozumiem więcej, ale trudno mi to im wytłumaczyć. A Cyprian Norwid pisał w jednym z listów do Bogdana Zalewskiego: „ *Są ludzie, którzy nie wiedzą o tym, że grzeczność kosztowała ludzkość wieki pracy* „

Poznając, przez przypadek, pana Anatola Girsę. Niesłychanie ciekawy człowiek, ale obraz psychopatologii spowodowanej koszmarowymi przejściami lat wojny. Przed wojną znany wydawca specjalizujący się w wydawnictwach dla bibliofilów. Po zamachu majowym, zwrócono się do niego z prośbą, aby pomógł w opracowaniu i wydaniu albumu pamiątkowego w rocznicę powstania I Pułku Legionów. Zrezygnował z honorarium dla podniesienia jakości wydawnictwa. Na święcie

pułkowym został przedstawiony Piłsudskiemu, któremu zaimponował tym gestem i otrzymał propozycje zajęcia ważnego stanowiska w wojskowych zakładach wydawniczych. W przeddzień wojny opracował plakaty typu „*Nie oddamy ani guzika !*”, na którym nową, nieznaną metodą fotomontażu pomnożył wielokrotnie szeregi polskich czołgów i samolotów, które tego guzika miały skutecznie bronić. Był jednym z pierwszych aresztowanych przez Gestapo po wejściu Niemców do Warszawy. Przez cały czas przesłuchań pytano go o jedno: gdzie fotografował te masy czołgów i samolotów, gdzie się one podziały ? Eksperci z Abwehry nie dawali wiary, że to nowe, im nieznane metody fotomontażu. Jako odmawiającego współpracy wysłano do budowy obozu w Oświęcimiu, gdzie spędził od pierwszych dni tej „instytucji”, cały okres okupacji. W części kobiecej obozu umieszczono jego żonę i dwie córki, które tam zamordowano. Po wyzwoleniu ruszył na spotkanie Amerykanów i przeniósł się na drugą półkulę. Europa i jej okolice kompletnie go przestały interesować. Czuł się obywatelem świata wykluczającym z globu i ze swej pamięci część jego zwaną Europą. Ożenił się po raz drugi i po raz drugi spłodził dwie córki. Wrócił do zawodu i zaczął na rynku amerykańskim produkować kopie starodruków i wydawnictwa przeznaczone dla bibliofilów. Kupił farmę w Nowej Anglii, gdzie już przebywały żona i córki. Na farmie stały już zakupione maszyny drukarskie starego typu, które miały mu służyć do rozwinięcia działalności zawodowej. Skąd znalazł się w sąsiednim domu rezydentów Henry Ford Hospital ? Dożywał amerykańskiej emerytury i szpital miał w stosunku do niego jakieś długi wdzięczności. Drukował im za półdarmo jakieś dyplomy czy księgi pamiątkowe. Dom w dzielnicy, obecnie murzyńskiej musiał sprzedać. Dlaczego ?:

„ Była to swego czasu porządna, „biała”, dzielnica. Powoli ludzie wyprowadzali się na peryferie miasta i domy wykupywali murzyni. W pewnym momencie byłem jak Robinson na murzyńskiej wyspie ludożerców. Zaczęli wywierać na mnie naciski, abym im dom sprzedał. Nie widziałem powodów, aby to uczynić bo chciałem tu doczekać, względnie spokojnie, emerytury. Przeszli do mniej łagodnej perswazji: spalili mi samochód przed domem, wybijali mi regularnie szyby w oknach. Pewnego wieczoru jakiś koszmarny czarny drab zaczął się do mnie włamywać głośno deklarując, że gardło mi poderżnie. Zadzwońłem po pomoc policji. Długo nie przyjeżdżali, więc dzwoniłem kilka razy. Mają zwyczaj jechać do akcji obłądnie wyjąc głośnym sygnałem karetki policyjnej, więc zanim dojechali bandzior uciekł. Weszło dwóch policjantów i zapytano mnie dlaczego nie strzelałem. Odpowiedziałem, że nie mam broni. Wzbudziło to ich nieukrywaną wesołość. W tej czarnej dzielnicy głupi biały staruch nie ma broni !. Dali mi dobrą radę, abym będąc starym, mającym słaby wzrok, kupił pistolet maszynowy – jak puszcze serię to zawsze kogoś trafię. Po czym szybko dodali – jeżeli go trafię przed wejściem do domu, to zanim zadzwonię po policję, abym wciągnął ciało do środka, to oni wtedy przyjadą i stwierdzą, że działałem w samoobronie. To był przekonujący argument, który przekonał mnie, że jednak mogę mojej farmy w Nowej Anglii nie doczekać. W następnych dniach sprzedałem dom i na resztę mego pobytu w Detroit przenieśliem się tutaj. Po znajomości ! „.

Wypijamy razem piwo, ale dalsza rozmowa się nie klei. Girs nie jest absolutnie zainteresowany Polską, Europą, ba – w niewielkim stopniu światem. Chce mieć po prostu po tym wszystkim co przeszedł w życiu tylko jedno: święty spokój. Sądzę, że miał poczucie spełnionego obowiązku pogadania z rodakiem „stamtąd”. Spotykamy się okazjonalnie, ale nie rewizytujemy. W połowie grudnia 1969 roku wyjeżdża do swej Nowej Anglii w minorowym nastroju. Jak sam mówi, wyjeżdża aby tam umrzeć, ale wciąż nie chce widzieć Polski, a także o niej słyszeć. Dla niego to ziemia śmierci !. Sądze, że ta postawa Polaka, byłego więźnia Auschwitz, tłumaczy także spojrzenie na Polskę wielu Żydów, którzy na naszych ziemiach stracili wszystko i wszystkich.

Nareszcie założyłem konto w miejscowym banku, którego oddział pracował na parterze Szpitala Forda. Spłaciłem dług zaciągnięty w Ministerstwie Zdrowia na koszty biletu lotniczego Warszawa – Detroit. W tym względzie mam spokój.

Gospodaruje się sam. Rano wczesne śniadanie w podziemnej kafeterii HFH, podobnie jak wczesna kolacja. Kuchnia pracuje tylko do godziny 18 –tej. Obiad (lunch) w samo południe jadamy, poza jednym dniem w tygodniu, w dużej eleganckiej kafeterii na XVII piętrze, skąd rozciąga się rozległy widok na Detroit. A środy zaopatrzeni w kanapki i butelkę coca coli w porze lunchu

mamy posiedzenie otologiczne w gabinecie Dr. Nicholasa. Muszę mieć w lodówce coś do jedzenia i picia, bo czasami wieczorem jestem po prostu głodny. W super marketach jest dosyć dużo tanich dań meksykańskich w puszkach: fasolka z różnymi przyprawami i kawałkami mięsa czy kielbaskami przyprawionymi po meksykańsku. Dania gotowe w folii aluminiowej przeznaczone do odgrzewania w piekarniku są nie do jedzenia. Odgrzewany indyk smakuje jak stara sucha podeszew. Pranie bielizny i koszul zapewnia zespół automatycznych pralek zgromadzonych w podziemiach naszego domu. To niestety kosztuje każdorazowo „ aż „ 25 centów, proszek do prania też nie za „ Bog zapłać „, a ja liczę każdego centa. Gromadzę więc rzeczy do prania, aby nie marnować proszków, które także nie są tanie. Mam świadomość tego, że pobyt w Stanach jest dobrą okazją do pozbycia się długów. Rodzice dali nam pieniądze na wykupienie mieszkania i urządzenie się, ale czuje moralny obowiązek oddania im pieniędzy bo sami krezusami nie są po wielu latach pracy w zawodzie nauczycielskim. Mamy także długi w związku z zakupem samochodu, który służy nam głównie do godziwego spędzania wypoczynku poza miastem. Simca Aronde przywieziona z Francji musiała być dawno sprzedana, bowiem nie sposób było zapewnić fachowego serwisu, zdobyć podstawowe dla normalnej eksploatacji części zamienne, a także wobec braku garażu zapobiec wielokrotnemu włamywaniu się do wnętrza samochodu i dewastowaniu go. Moje roczne stypendium amerykańskie wynosi 12 000 \$, co na owe czasy jest dla Polaka fortuną niebywałą, ale z tego oczywiście należy odliczyć koszt mojego utrzymania się w Detroit oraz drobne prezenty dla Rodziny wysyłane i przygotowywane do wywiezienia w czasie powrotu do Polski. A w kraju wciąż mamy siermiężny socjalizm, w którym wszystko jest trudne do zdobycia i wszystko jest luksusem. A jednak trochę dla nich, to znaczy Amerykanów zarabiam, ponieważ nie ma dnia, abym nie wykonał 4 – 5 badań ENG poprzedzonych badaniem. Cena badania + ENG to 100 \$, co równa się cenie dobrego szwajcarskiego zegarka. Dla nich jestem po prostu najtańszym konsultantem.

Współlokatorzy naszego domu dla rezydentów są umiarkowanie kłopotliwi, bo harują i nie mają sił na większe szaleństwa. Raz w miesiącu organizują jednak, zwykle w weekend, *happy hours*. Cała piwnica ulega przekształceniu na bar piwny, ale nie tylko. Zawsze staram się wynieść z domu na te zwariowane godziny i słusznie. Są one wypełnione piciem i obmacywaniem dziewczyn ze szkoły pielęgniarek i położnych na potęgę. Każda z nich chce mieć męża doktora i gra tu idzie ostra.

Raz na miesiąc jedziemy do jakiejś salki parafialnej na występy artystów z Polski. Mamy okazję obejrzeć w repertuarze Janowską, Kydryńskiego, Brusikiewicza, Korsakównę, Cembrzyńską, Ofierskiego, Śmiałowskiego, Dziewońskiego, Bychowskiego,, „No to co „, Santor, Rudzkiego, Artemską, Bielicką, Wojnickiego, Łazukę, Sławę Przybylską, Połomskiego, Jacka Fedorowicza, Zespół Partita, Skaldów, Czerwone Gitary, duet Framerów, Słabiutki Tercet Egzotyczny czy zespół teatru z przedstawieniem duszoszczypatelno – patriotycznym „ Dziś do Ciebie przyjść nie mogę „. Artyści też ludzie, także chcą zarobić trochę „ zielonych „.

W początku października otrzymuje fantastyczną propozycję otrzymania stypendium na wyjazd do Chicago z okazji odbywającej się tam kolejnej dorocznej Konferencji Amerykańskiego Towarzystwa Otorynolaryngologów. 10 października marzenie staje się rzeczywistością i wraz ze Shiro Fujitą jadę do Chicago jego samochodem. U progu miasta wita nas jego wspiana panorama widziana z Lake Shore Drive. Po stronie prawej drogi widok na gigantyczne jezioro Michigan, które jest prawdziwym morzem. Łądujemy w hotelu Knickerbocker na rogu Walton Street i Play Boy Club. Wieczorem Shiro funduje kolację w japońskiej restauracji. Kucharz przygotowuje całe jedzenie przed nami na blaszanym blacie podgrzewanym gazem od dołu. Dlaczego ?. Abyśmy widzieli, że nie dosypuje nam trucizny. Japońska przezorność.

Otwarcie ma miejsce w Thornell Hall Northwestern University of Chicago. Witam się ze Schucknechtem, Shey' a, Paparella, Torokiem, Linthicum, Barberem, Rubinem, McCabe i Spectorem oraz kilku innymi, którym jestem przedstawiony przez Connera byłego szefa oddziału w HFH, jako przykład wyjątkowo egzotycznego okazu, ale – o dziwo – myślącego. Rzuca mi się na szyję Doktor Danuta Haciska, emigrantka z Polski mająca kiedyś kontakty z naszą kliniką. Powitanie jest wylewne, nieomal jak pary byłych kochanków. Ogrom konferencji jest wprost

oszałamiający. Na licznych salach konferencyjnych odbywają się sympozja i wykłady tematyczne, za które trzeba płacić po 5 \$ od wykładu. A więc i nauka jest tu towarem na zbyciu. Część przedstawiająca ostatnie wyroby firm produkujących sprzęt medyczny, tak diagnostyczny jak i narzędzia operacyjne, zdumiewa. Zajmuje kilka pięter i nie sposób jest obejrzeć tego wszystkiego w ciągu trwania kongresu. Szczęśliwy docieram do stoiska farmaceutycznego produkującego najnowszy środek nasenny „Equalon”, który pozwala mi wreszcie wypaść się porządnie w następnych dniach i tygodniach.

Wieczorem nasi chłopcy zabierają mnie do lokalu z tzw. „go – go girls”. Widowisko prymitywne, w którym kręcące zadkami dziewczyny, nie pierwszej młodości i wątle na urodzie, mają stanowić główną atrakcję. Wstęp jest bezpłatny jednak trzeba bez przerwy popijać long – drinki, które są popłuczyną alkoholu rozmieszanego jakimś sokiem. Moim koledzy są zachwyceni i ubawieni, ja się po prostu nudzę i po półtorej godzinie wychodzę. Idę spacerkiem do hotelu bo blisko. Późnym wieczorem jestem na kolacji u Idy i Zygmunta Kossakowskich. Ona Rosjanka, całkowicie spolszczona, on – sprzedawca w jakiejś firmie meblowej, śpiewa – i to dobrze – na wszelkich imprezach polonijnych. Są serdecznymi przyjaciółmi mojego Ojca z czasów po wyzwoleniu z niewoli niemieckiej, gdzie się poznali.

W czasie obrad kongresu urywam się na miasto, aby zobaczyć śródmieście przynajmniej. Pogoda jest fatalna: bez przerwy dmie silny wiatr i dość gęsto pada deszcz. Parasol jest nieustannie wycinowywany na drugą stronę. Nie na darmo zwą to miasto „miastem wiatrów „ (*Windy city*).

Dzwonię do mego kolegi z klasy A w Liceum Władysława IV – Jurka Bendarzewskiego, który jest wziętym architektem, współnikiem dobrze prosperującej firmy architektoniczno – budowlanej i spędzam w jego domu wieczór. Ma wspaniałe mieszkanie, apartament w wysokościowcu zlokalizowanym tuż nad brzegiem promenady biegnącej wzdłuż brzegu jeziora Michigan. Cudowna panorama lśniącego bajecznymi światłami centrum miasta. Nazajutrz zwiedzamy fantastyczne Muzeum Techniki, przed którym stoi kopia warszawskiego pomnika Kopernika, dłuta Thorwaldsena. To jednak wzrusza. Przed ratuszem budzący moje nienajlepsze odczucia pomnik według projektu Pablo Picasso.

16 października wracam do Detroit samochodem Luisa Pereza-DeMoure’a. Uwielbia, jak wielu Latynosów, sportowe, szybkie samochody i jest posiadaczem ogromnej maszyny o nazwie Chevrolet Corvette mającej wygląd bolidu. Nie lubimy się nawzajem, ale ja płacę za benzynę, co decyduje o rozejmie na czas podróży. Idiota jeździ niezwykle szybko wspaniałą autostradą wiodącą z Chigago do Detroit. Pęd wozu jest wprost niesamowity i włącza w oparcie. Ze strachu usypiam w fotelu obok kierowcy szczelnie zapięty pasami i budzi mnie dopiero Luis przy wejściu do domu. Zmęczony podróżą i masą wrażeń, ale po raz pierwszy chyba szczęśliwy, zasypiam głębokim snem. Za kilka dni, ku memu zdumieniu, Luis zaprasza mnie na weekendowe spotkanie z narzeczoną w domu jej rodziców. Dziewczyna, Niemka z pochodzenia, niewielka, dość pulchna blondyna. Tatuś, Niemiec z Sudetów Czeskich. Oczywiście skrzywdzony przez wojnę, Hitlera, a najbardziej przez wrednych Czechów. Jak sądzę, wiedząc że jestem Polakiem, hamuje swe pretensje do strat wojennych wynikających z uczestniczenia w „narodzie panów „. Przekonuje o swojej nienawiści do Hitlera, nazistów, ale czyni to z widocznym brakiem przekonania. Najważniejsze, że daje dobre jedzenie w niemieckim stylu, w tym tradycyjna golonka z grochem i kapustą obficie podlane niezłym piwem i daje się przespać po obiedzie na hamaku. Zdumiewa duża populacja w tej okolicy dwóch nacji: Niemców i Ukraińców. Każdy z nich jest skrzywdzony przez los i niewinny. W jaki sposób przedostali się do Stanów i dlaczego nie byli „ prześwietleni „ przez odpowiednie służby, pojęcia nie mam. W miarę upływu czasu Luis Perez – DeMoure’a staje się moim przyjacielem. Nieustannie narzuca się wręcz ze swoją przyjaźnią chwalać mnie także w naszym gronie. Dochodzi do tego, że zaprasza mnie na swój ślub z ową Niemką, ale udaje mi się elegancko wykręcić z udziału w tym wydarzeniu.

Dla rozruszania się przynajmniej raz w tygodniu idę popływać na basenie w podziemiach szpitala. Pewnego razu spotykam w wodzie bardzo już starego pana, któremu wrywa się coś w języku polskim. Zagaduje go i w ten sposób poznaję pana Zygmunta Rudnickiego. Były właściciel majątku w Przedborzu na Kielecczyźnie, przed wojną zawodowy oficer przedostał się po kampanii

wrześniowej 1939 roku poprzez Węgry, Jugosławię i Włochy do Francji. Po klęsce Francji znalazł się w Anglii. Po zakończeniu wojny, w czasie której był oficerem łącznikowym z Armią Stanów Zjednoczonych, ożenił się z Polką, córką polskich emigrantów z Westfalii. Ta była wykwalifikowaną pielęgniarką zmobilizowaną, jako obywatelka Rzeszy, do służby w Wehrmachcie. Pierwszy mąż, żołnierz Wehrmachtu zginął na froncie wschodnim. Cudem ocalała z rąk wyzwolicieli Budapesztu. Opowiada o potwornych scenach związanych z „wyzwoleniem „Budapesztu przez Armię Czerwoną. Dzielni sowietci w szpitalu psychiatrycznym koło Budapesztu zgwałcili i wymordowali wszystkie pacjentki w wieku od 16 do 60 lat. W piwnicach składnic win strzelali do gigantycznych beczek pełnych wina i zalewani falami tego napoju tonęli. Ich zwłoki pływały wiele dni do wyłowienia przez współtowarzyszy pijatyk. W szpitalu Forda pani Rudnicka zajmowała wysokie stanowisko szefowej położnych. Wieczorami odwiedzaliśmy się wzajemnie wymieniając wspomnienia. Byli ogromnie ciekawi obecnej sytuacji w Polsce i-co rzadkie – wykazywali pełne zrozumienie tego czym i jak żyjemy.

Emigracja jest niezwykle tu zróżnicowana jednak ludzi inteligentnych, przynajmniej w regionie Metropolii Detroit niewielu. Codziennie jest na falach ultrakrótkich dwugodzinny program w języku polskim. Szef absolutnie nawiedzony facet. Przyjeżdża zespół warszawskiego teatru z programem pieśni i poezji żołnierskich czasu wojny. Komentarz: „*Infiltracja komunistyczna w Detroit. Aktorzy w ubowskich mundurach udają Polaków. To prowokacja!*”. Razem z trupa arystyczna przejeżdża Leon Łochowski, rodzony brat Wiesi Lidner, żony Stacha, mego bliskiego kuzyna. Biora go na klacze do jakiegos barku, bo bardzo oszczędza, na... jedzeniu.

Za dni kilka wiadomość o tym, że władze Szwajcarii likwidują groby żołnierzy polskich internowanych tam w czasie wojny. Ambasada polska reprezentująca P.R.L. chce na cmentarzu postawić pomnik upamiętniający prochy, które na tym cmentarzu pozostaną. Komentarz „*Reżym warszawski kradnie nasze tradycje, zawłaszcza sobie prawo do uczczenia naszych bohaterów!* ... Emigracja nie jest w stanie zorganizować się aby taki pomnik postawić, nie bardzo chcą dać na to pieniądze. Lepiej więc splantować groby, aby nie pozostał po nich nawet ślad, niż uznać, że wcześniej czy później Polska niepodległa się odrodzi, ale wtedy będzie już po wszystkim. Niestety emigracja o poziomie intelektualnym kręgu Modelskich czy Grodzkich jest cieniutką warstwą śmietany na chudym mleku.

Wprowadzany w środowisko polonijne poznaję też rodzinę Z. On i ona około pięćdziesięciu lat oraz pięcioro dzieci. Przeszli przez łagry, kampanię włoską roku 1944, a następnie wylądowali w gościnnej Argentynie. Miło ją wspominają. W Buenos Aires spotykali się z Witoldem Gombrowiczem. Wspomnienia o tych spotkaniach są smutne.

„*Witolda spotykaliśmy najczęściej w kawiarniach otoczonego gronem wielbicieli. Byli to głównie młodzi, przystojni młodzieńcy argentyńscy, dla których On bywał guru. Panowała powszechna opinia, że jest biseksualistą. W najlepszym razie, a może wręcz homo. W środowisku Polonii argentyńskiej cieszył się opinią człowieka, który ludzi niesłychanie drażnił poglądami na wszystko. Mówiono o nim, że jest dziwakiem z pogranicza normy i geniuszu, ale raczej bliżej pogranicza normy. Chętnie wszczynał dyskusję, które nieomal zawsze kończyły się awanturami, bowiem stawiał tezy niemożliwe do przyjęcia dla Polaka wygnańca, a na ich końcu traktował rozmówcę jak durnia. Mawiał dość często, że nadyma się ponad miarę i wtedy doskwiera mu całe dnie wypełniający go KRETYN z powodu skłonności do przesady na własnym punkcie. Był ogromnie konfliktowy. Wydawało się, że za punkt honoru postawił sobie urażenie uczuć Polaków emigrantów poprzez prowokacje słowne. Polaków określał jako naród bez własnej filozofii, intelektualnie miękki, naród lirycznych wierszokletów i folkloru, w którym nawet Żydzi się roztopiali i tracili swój jad. Polska awangarda to nieuczesa, rozmamlana, pokraka z głową rabina i bosymi nogami wiejskiego parobka. Myśl polska to wynik lenistwa umysłowego co jest przyczyną, że dla Polaków niepodległość okazała się bardziej męczącą i upokarzającą od niewoli. Chopin, Curie – Skłodowska z Mickiewiczem są zbyt często używani dla demonstrowania własnej małostkowości. Lechoń nietwórczy i nieoryginalny. Całe życie tylko się dobrze zapowiadał nadrabiając miną. Tuwim nie istniał jako osobowość, był harfą bez harfiarza. Kisiel gaduła godzien orderu Gadu – gadu lub Blablaba. Sienkiewicz karmił Polaków stekiem naiwnych iluzji, usypiał*

sumienia, tłumiał myśl i hamował postęp. Jedyne polski inteligent godzien zainteresowania to Artur Sandauer. Balzak mędrzec, ale cymbał najgorszego smaku i drobnomieszcząńskiej wulgarności. Polska to pomury sen wariata: mroczność, duchota, niepewność i nuda. Naród jest ciemny, endecki, chamski, leniwy i niedowarzony. Samemu Gombrowiczowi Bóg nigdy nie był potrzebny, nawet na pięć minut. Religia i kościół to scholastyka arbitralnie wpychająca się w życie. Boga używa się dzisiaj głównie jako pistoletu, z którego ma się zastrzelić Marksa. Odprawiana często przez emigrację swego rodzaju „ msza narodowa „ to coś jawiącego się jako szydercze i złośliwie groteskowe. Hitler jawił się być bohaterem wykazującym niezwykłą dążność i śmiałość w osiąganiu celu ostatecznego. Można sobie wyobrazić co się działo w polskim gronie słyszającym takie opinie. Trzeba jednak przyznać, że przyjęto to jako dziwactwa, a jego samego traktowano tak jak wieś traktuje miejscowego głupka, któremu wszystko wolno. Słowem nie wydawał się autorytetem naszemu polonijnemu środowisku, ani w jego części z przeszłością okupacyjną w Polsce, ani tym zwłaszcza, którzy wojowali kiedy on „ obijał się „ w Ameryce Łacińskiej i patrzył na polskie sprawy swym spojrzeniem złośliwego kibica”.

Zwiedzam polską część miasta Detroit-Hamtramick. To smutna dzielnica, jeszcze smutniejszych ludzi. Prawdziwe getto, w którym masa ludzi mieszka nie wychodząc poza jej granice, nie znając w ogóle języka angielskiego. Coś takiego jak przedwojenny żydowski stetl na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej lub warszawskie Nalewki tylko w amerykańskim wydaniu. Najdroższa tandeta w metropolii detroickiej. Wszędzie nad sklepami napisy dwujęzyczne. „*Tu się je jak u Mamy !!!*”. Znakomita większość mieszkańców to ludzie podejmujący się pracy, w której nawet murzyni się nie zatrudniają. Pytam młodą kobietę straszliwie narzekającą na fatalne warunki pracy i brak szacunku dla pracownika, kiedy wraca do Polski. Odpowiada niezwykle obrażona: „*Do Polski ? Panie, mogą mnie wywieźć stąd tylko w trumnie !*”. Jest to jakaś filozofia widzenia spraw życia i śmierci. Poziom tych ludzi jest straszny i emigracja zwana „ stara „, ta do której należała między innymi Ciotka Bronka w społeczeństwie amerykańskim do czasów II Wojny Światowej zajmowała pozycję tuż przed Murzynami. Wyprzedzali ją zarówno Irlandczycy (znajomość angielskiego !) jak i Włosi (solidarność narodowa !). Było pośród tej starej Polonii wielu analfabetów i szczytem kariery było seminarium duchowne. Ważna rola w utrzymywaniu polskości przypadała kościołowi katolickiemu. Ale hierarchia Kościoła Katolickiego była już irlandzko – włoska. Te dwie grupy narodowe kleru katolickiego z ogromną konsekwencją utrudniały awans nieomal wszystkich wybijających się inteligencją i zdolnościami organizacyjnymi księży polskich. To właśnie i odsuwanie duchowieństwa pochodzenia polskiego od awansu spowodowało powstanie w USA Polskiego Narodowego Kościoła Katolickiego, który został założony właśnie w Srepton, gdzie swego czasu moja Babcia Bronka prowadziła internat dla górników-Polaków. Polonia jest poza tym zawistna i we wzajemnych stosunkach podła.

Miewam zaproszenia także od Polaków, którzy dorobili się. Jestem zaproszony na kolację do stosunkowo młodego człowieka, któremu bardzo niedawno zmarła żona. Pyta mnie zupełnie otwarcie czy nie miałbym dla niego w Polsce kandydatki na następną żonę, bo Amerykanki są złymi gospodyniami i są „ za pyskate”. Zrobił tu karierę ponieważ jest szefem zespołu opracowującego nowe technologie części z tworzyw sztucznych dla koncernu samochodowego Forda. Mieszka w wielkim domu będącym powiększoną kopią warszawskiego Belwederu. Rozczarowuję go. Nie mam dziewcząt „ na zbyciu „.

Inny weekend spędzam na fermie kurzej, produkującej jaja w sposób przemysłowy. Rodzina składająca się z rodziców, dwóch synów i córki. Ojciec, wedle naszej nomenklatury, jest chłopotrobotnikiem. Pracuje w montowni Forda, zaś resztę czasu poświęca nadzorowaniu kur i ich darów. Jadę tam z panem, który jest uciekinierem z Polski i naucza chemii w jednym z college ‘ów. W owym czasie technika stosowana przez nich przy hodowli i produkcji oszałamiają przybysza z gomółkowskiej Polski. Jest piątek, nocujemy u nich i jutro zapowiada się niezła balanga. Przyjeżdżają państwo Maniowie. Poznali się w Niemczech w obozie dla byłych niewolników pracy przymusowej. Ona Rosjanka, znakomicie mówiąca po polsku. Znacznie lepiej zresztą niż po angielsku. On wykonuje niesłychanie popłatny i niezwykle poszukiwany tu zawód hydraulika. Oboje niesamowite prymitywy i pijusy. W sobotę wieczorem odchodzę od stołu do swego pokoju

sypialnego na piętrze, kiedy na dole zabawa wre w najlepsze. Około godziny 4-tej nad ranem budzi nas policja drogowa i uprzejmie pyta gospodarza, czy jest mu znany osobnik o egzotycznym nazwisku „Mania „. Po uzyskaniu odpowiedzi twierdzącej informuje, że Mr. & Mrs. Mania niedawno przebili samochodem barierę na jednym z pobliskich mostów i śpią snem sprawiedliwych wisząc połową samochodu nad wodą.

Stany Zjednoczone imponują swą potęgą gospodarczą, niewyobrażalnym rozwojem techniki, ale jednocześnie zaskakują kontrastami, niskim poziomem tego co nazywa się kulturą masową, reprezentowanym na przykład w telewizji. To co się pokazuje w „*pudełku z lufcikiem* „ – jak mawiał Wiech – jest żenującą szmirą. Dokucza nade wszystko samotność, która jest czymś niezwykle silnym, nieomal wymiernym w sensie materialnym. Przychodzą i odchodzą chwile kryzysu. Nigdy nie przypuszczałbym, że aż tak silnie mogę to przeżywać. Sprawą ambicji jest to abym wytrzymał tu cały rok. Już widzę uradowane twarze „*życzliwych* „, którzy mieli by o czym opowiadać jak to Janczewski się nie sprawdził, jak go się wręcz pozbyto. Właśnie od Ojca dostaję w przesyłce kieszonkowe wydanie wierszy Norwida z tym wspaniałym wierszem, jakże dzisiaj dla mnie aktualnym: „*Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba podnoszą z ziemi przez uszanowanie dla darów nieba – tęskno mi Panie !* „. Jakimś oparciem jest dla mnie kontakt z Kościołem. W niedziele bywam albo na mszy katolickiej odprawianej przez Ojca Teda Blascyka w Buerki Hall w HFH, albo w Kościele Świętego Wojciecha. Kościół ten wybudowany przez biedotę polską emigrująca za chlebem, dzisiaj otoczony jest ruinami byłej polskiej dzielnicy, którą zasiedlili murzyni. Na mszy pustki. Przyjeżdża tu, zgodnie z tradycją garstka starych Polonusów. Msza odprawiana jest specjalnie dla nich w języku polskim, bowiem innego na dobrą sprawę nie znają. Po niedawnej rewolcie murzyńskiej w czasie której wypalono większą część dzielnic przylegających do śródmieścia okolice te wyglądają tak jak tereny warszawskiego getta w roku 1945. Roman Tuszyński opowiada o tych chwilach grozy:

„*Hamtramick ocalał, bowiem była to jedyna dzielnica, która zabarykadowała dojazd wozami do wywożenia śmieci i wystawiła zbrojne stráže na granicach. Murzyni reprezentują swego rodzaju fenomen psychologiczny – protestując zaczynają podpalania od domów, w których sami mieszkają. Jadę samochodem w tym czasie i stoję na granicy, którą odgradza kordon uzbrojonej po zęby Gwardii Narodowej. Przede mną tłumy murzynów rabują sklepy i podpalają budynki. Podchodzę do dowódcy oddziału i pytam dlaczego nie strzelają do tej dziczy. Odpowiedź jest jasna i szlachetna, ale mało praktyczna: Życie, nawet tej dziczy, jest więcej warte niż telewizory czy lodówki, które kradną !. Polacy z Hamtramicku byli bardziej praktyczni i ostrzeżli, że będą strzelać w przypadku wtargnięcia na teren dzielnicy i dano im spokój bowiem murzyni wiedzieli, że z nami żartów nie ma. Zresztą w wielu przypadkach dzieci murzyńskie z sąsiedztwa mówiły wcale poprawnie po polsku. Wpływ polskich rówieśników.*”

Problem murzyński w Stanach jest jednym z najpoważniejszych i najtrudniejszych do rozwiązania problemów społecznych. Jest to poza wszystkim temat tabu i w zasadzie poważna dyskusja jest tu niemożliwa. Podziwiam odwagę jednego z bardziej znanych publicystów amerykańskich, który trafia w sedno sprawy pisząc w swym felietonie: „*Prawdziwy tragizm problemu murzyńskiego polega na tym, że Murzyni nie chcą integracji, tolerancji, pełnych praw obywatelskich lub równych szans życiowych. Równe prawa bowiem to także równe obowiązki. Oni nie chcą być szanowani, ale wręcz kochani wyłącznie dlatego, że są Murzynami z czterema wiekami cierpień za sobą. To dowodzi, że są niemożliwie młodzi jako rasa*”. Detroit, obok Waszyngtonu, jest bodaj najbardziej murzyńskim miastem w Stanach i w związku z tym przestępczość jest tu szczególnie wysoka. Ogólnospołeczną awanturą jest w tym czasie problem

„*integrowania* „, za wszelką cenę, pod administracyjnym przymusem społeczeństwa amerykańskiego poprzez łączenie uczniów białych i kolorowych w jednych szkołach i jednych klasach. Rodzice słusznie obawiają się dwóch zagrożeń: drastycznego obniżenia poziomu nauczania, ze względu na poziom intelektualny przeciętnego dziecka murzyńskiego oraz niebezpieczeństwa fizycznego dla białych dzieci, zwłaszcza dziewcząt. Włączono do tej akcji w sposób idiotyczny policję, która na wzór naszego ZOMO siłą wyciąga te dzieci z domów dzielnic „*białych* „, pakuje do autobusów szkolnych i wozi do szkół w dzielnicach „*czarnych* „. Telewizja

pokazuje codziennie prawdziwe bitwy z rodzicami. Sprawa oczywiście nie dotyczy, zgodnie z konstytucją, dzieci rodzin bogatych, umieszczonych w bardzo drogich szkołach prywatnych, w których chesne przekracza możliwości płatnicze przeciętnego Amerykanina. Obserwuje się także nieprawdopodobne wręcz upośledzenie prawne białej populacji. W kilka dni po moim przyjeździe do Detroit wieczorem w czasie murzyńskiej „zadymy” zastrzelono dwóch białych policjantów patrolu, który przyjechał samochodem na miejsce wydarzenia. Jeden z zamordowanych miał polskie nazwisko. Procedury prawne trwały rok i tuż przed moim wyjazdem sąd wydał wyrok salomonowy: „*Podjeźdźni są uwolnieni od winy i kary, bo któż może potwierdzić tożsamość murzyna zamieszanego w przestępstwo popełnione po zmroku?*”. A więc w sądzie jest ciemno jak w d...e u murzyna !.

Wciąż aktualna jest tematyka wojny w Wietnamie. Nieomal codziennie telewizja pokazuje zwłoki żołnierzy wracające do kraju w metalowych trumnach pokrytych sztandarem. Dziennik Polski z dnia 13. XII. 1969 pisze:

„*Polityka amerykańska, jeśli hazard zastępujący nieuctwo można nazwać polityką, jest niespotykanym nigdzie indziej w świecie splotem interesów partyjnych, osobistych, stanowych i lokalnych. Wszystkie problemy muszą przejść przez ten magiel, a żaden wynik nie jest po tym procesie podobny do początkowej formy i treści zagadnienia. Nawet wojnę w Wietnamie wiąże się z problemami czysto wewnętrznymi odbierając jej charakteru konfliktu o zasięgu światowym* „.

Dzieją się istotnie wydarzenia, których nikt nie rozumie, a które budzą powszechne społeczne oburzenie bowiem to chłopcy z rodzin klas niższych i średnich są mięsem armatnim. Rodziny bogaczy wykupują swoich, załatwiają wyjazd zagranicę „na studia”, lub służbę daleko od linii frontu. Do tego głównodowodzący w Wietnamie generał Westmoreland twierdzi, że dzięki politykom prowadzącym własną grę „*armia walczy z prawą ręką przywiązaną na plecach* „. Nie zezwala się im użyć całego potencjału militarnego. To, zapytuję bliźnich, po cholere prowadzą wojnę, której tak naprawdę wygrać nie zamierzają ?.

W połowie grudnia pierwsza warta uwagi polska impreza kulturalna. W ogromnej, dostojnej sali Ford Auditorium doskonały koncert. W programie Symfonia 61 – D-maior Haydna, I koncert skrzypcowy Szymanowskiego wykonywany przez Wandę Wilkomirską oraz Symfonia nr. 2 Sergiusza Rachmaninowa. Orkiestra gra znakomicie pod batutą genialnego Aleksandra Gibsona. Wilkomirska rewelacyjna. Sala dość szczelnie wypełniona, ale głównie przez Amerykanów. Przeważają tubylcy pochodzenia żydowskiego. Z Polonii nieliczne grono. Miły akcentem jest jednak odsłonięcie w hallu Auditorium popiersia Fryderyka Chopina ufundowanego jednak przez Polonię. Obok popiersia Beethovena jest to drugi pomnik tego rodzaju w tejże sali. Dobry nastrój tego wieczoru jest zepsuty przez złośliwą recenzję krytyka muzycznego z Detroit News, który pisze, że Szymanowski jest epigonem kompozytorów rosyjskich, takich jak na przykład Skriabin.

W okresie Świąt Bożego Narodzenia w samym centrum Detroit ma być odsłonięty pomnik Kazimierza Pułaskiego. Planowane odsłonięcie przez Kardynała Wyszyńskiego nie dochodzi do skutku ponieważ idioci z Warszawy nie wydają Prymasowi paszportu. Zagadką jest kto bardziej zagraża bezpieczeństwu państwa polskiego: Prymas Polski czy Pułaski ?. Odsłania więc pomnik „intelektualista”, Mer Gribbs, mer miasta.

Ale oto mamy zimę i zbliżają się Święta Bożego Narodzenia i koniec roku 1969. Wypada kupić jakieś prezenty co najmniej dla dwóch pań: Mrs. Willimas, bardzo mi życzliwej sekretarki Shiro Fujity oraz pani Joanny (Jeanette), Polki sprzątającej nasz apartament i zaopatrującej mnie w najlepszą pościel. Decyduje się ofiarować każdej perfumy Chanel nr. 5. Dla murzynów z prosektorium kupuję tradycyjnie trzy butelki whisky, przy czym niezawodny i uprzejmy George zwraca mi uprzejmie uwagę, że ich jest czterech, a więc brak jest jeszcze jednej butelki, co uzupełniam dla świętego spokoju. Tradycyjnie chłopcy nasi organizują bożonarodzeniowe przyjęcie gdzie alkohole leją się strumieniami. Entuzjazm budzi moja polska specjalność zwana nad Wisłą „*tata z mamą* „ – czysty spirytus z sokiem wiśniowym, pół na pół. Spirytus mamy bezpłatnie bowiem zalega w skrzynkach w laboratorium otologicznym, bynajmniej nie dla celów konsumpcyjnych. Wstyd powiedzieć, ale urzędowe jego zużycie jest niewielkie, a więc korzystam z tego sam i traktuję to jako świetne lekarstwo na chandrę i wszelkie inne dolegliwości ciała i ducha.

Zamiast soku wiśniowego używam w tych sytuacjach soku winogronowego. Równie dobre i skuteczne. Mrs. Willimas wrusza mnie paczką świąteczną zawierającą ciasto, jakieś słodczyce i dobre wino izraelskie. Jest w tym geście bardzo słowiańska, chociaż żadnych tego rodzaju korzeni nie ma.

Do domu w Warszawie wysyłam jakieś drobiazgi. Otrzymuje list od Agnieszki.:

„ *Choinka – niby królowna,*

taka zielona i srebrna

taka czerwona i złota

A pod nią nasze marzenia...

Miłych Świat i dużo zdrowia

Kochanemu Tatusiowi życzy Agusia.

Warszawa 25.XII.1969 r.

PS. Jak przyjedziesz bym chciała mieć dobermana albo wilczura. Dziękuję za kartkę z kotkami. Lalunia jest bardzo komiczna i mi się bardzo podoba. Majtki mi się też podobają. A jak sądzisz Łodzia wcale nie pomaga Mamie. Tłucze talerze i nie spsząta. Nie zawsze jestem grzeczna. Najwięcej wojuję z Łodzią. Dostałam śliczne pocztówki z psami i kotami. Ja bym chciała pistolet. Czekam kiedy przyjedziesz. Kocham Cię. Agusia.

Czuje tym samym, że moje dziecko się amerykanizuje. Skąd ten pomysł na posiadanie broni ?.

Mam bardzo liczne zaproszenia do wielu domów amerykańskich i polskich, ale wiem, że nie zdołam znieść Wigilii w gronie dzieci. Wybieram wieczerzę u państwa Rudnickich. Jest to wieczerza tradycyjnie polska, z opłatkiem przysłanym mi z kraju. Im ofiarowuje jakieś drobiazgi, sam dostaję piękny, ciepły sweter. Nazajutrz jedziemy z Tuszyńskimi na mszę do kościoła Świętego Wojciecha, jeszcze bardziej wyludnionego niż zwykle. Po mszy obiad u Tuszyńskich i spacer nad zamrożonym jeziorem. Michigan przypomina Suwalszczyznę lub Mazury. Wszędzie jeziora otoczone wspaniałymi lasami. Stara indiańska legenda powiada, że Wielki Manitou tworząc stan Michigan użył starej podartej rękawicy indiańskiej, a więc jednopalczastej, pełnej dziur i rzucił ją na wodę. Kształt Michiganu istotnie przypomina taką rękawicę, zaś jej „dziury”, to tysiące jezior. Zimy są ostre, bo to przecież stan północny graniczący z Kanadą, zaś szczególnie urokliwa jest jesień pełna brązowo – złotych odcieni drzew.

Za dni kilka Sylwester. Polonia bawi się z Hotelu Sheranton Cadillac. Wielka gala, wielka sala, wielkie żarcie i picie. Ludzie szaleją w tańcu do rana. Jest tu okazja do przeglądu całego towarzystwa i refleksje nie są radosne. Są tu między innymi niezawodni państwo Mania. Tym razem w powiększonym gronie rodzinnym bowiem z Korei Południowej przyjechało na bal w ramach urlopu dwóch ich synów bliźniaków odbywających służbę w amerykańskich wojskach rakietowych tam stacjonujących. Dwa głowy, po pół godzinie kompletnie pijane.

Dzień Nowego Roku spędzam samotnie. Dla mnie to szczególnie dzień, szczególnych refleksji. Wpisuję do swego dziennika bardzo systematycznie, codziennie prowadzonego: „ *Moje jedyne życzenie dla siebie na ten Nowy Rok 1970: obym cały i zdrow wrócił do Polski i zastał tam w domu wszystkich zdrowych. Obym nigdy już nie musiał jechać w obcy i daleki świat samotnie i inaczej niż jako turysta !.*

Najmilszym prezentem noworocznym jest dla mnie wiadomość, że Jose Fond de Soto przenosi się do własnego apartamentu i mnie zostawia samego. Wreszcie przestanę być krępującym współlokatorem jego prywatnego burdeliku. Od 2 stycznia cisza i spokój cieszą ogromnie.

Zima, ostra tu, śnieżna i mroźna kończy się szczęśliwie i eksploduje wiosna. Kraj jest przepiękny i przyroda dobrze zachowana. Zaczynam poważnie myśleć o organizacji powrotu do kraju. Praca zawodowa oczywiście prowadzona jest w tym samym tempie. Marzy mi się aby podróż do Europy połączyć ze zwiedzaniem Anglii. Oczywiście chcę, aby była to wspólna wycieczka w towarzystwie Elżbiety. Coś się Jej należy za ten rok rozłąki. Modelscy załatwiają mi dwa oficjalne zaproszenia od swych znajomych, Polaków mających już obywatelstwo brytyjskie, panów Sobolewskiego i Świstaka. Rozmowa w konsulacie brytyjskim kończy marzenia: mogę, jako obywatel kraju komunistycznego, starać się o wizę angielską jedynie w Warszawie. Tam mnie ma

sprawdzić Intelligent Service czy przypadkiem nie jestem radzieckim Jamesem Bondem. W tej sytuacji włączają się do akcji żony Włoszki, które w dwa dni załatwiają mi turystyczną wizę włoską na miesiąc oraz poświadczenie dla Eli, że mam środki finansowe na pobyt tamże.

Poza codzienną pracą, bardzo intensywną staram się zobaczyć skrawek Ameryki. Mogę to zrealizować dzięki wielkoduszności Mariana Tuszyńskiego i jego żony, którzy w czasie całego mego pobytu w Detroit okazywali mi ogromnie wiele serca. Właśnie dzięki nim mogę zobaczyć wspaniałe muzeum sztuki w Toledo (stan Ohio), gdzie zapiera dech w piersi kolekcja malarstwa impresjonistów francuskich oraz przeniesione kamień po kamieniu i zmontowane tamże w całości stare średniowieczne, gotyckie kaplice francuskie. Zwiedzam także Muzeum Henry Forda w Greenfield Village pod Detroit, w którego gigantycznych halach gromadzi się jako zabytki zdobycze techniki liczące sobie do 100 lat. Z rozczuleniem stwierdzam, że do eksponatów typu „*jak to kiedyś się prało*”, należy replika stojącej aktualnie w naszym mieszkaniu i powszechnie stosowanej w Polsce pralki „Frana”. Jedziemy także do odległej małej wioski, gdzie stoi drewniany młyn pamiętający czasy Beniamina Franklina, w którym jest wyciskany sok z jabłek dostarczanych przez okolicznych farmerów. Świeży sok można pić na miejscu lub wieźć do domu w plastikowych kilkugalonowych pojemnikach. Czyżby podobnych miejsc gdzie można odpocząć i zarobić nie mogło by stworzyć pomiędzy Bugiem i Odrą?

Święta Wielkanocne spędzam także u państwa Rudnickich. To mili, kulturalni ludzie, a co ważne nie ma w ich domu żadnego dziecka, które przypominało by mi Agnieszkę. W tych okolicznościach taki świąteczny czas mniej boli w oddaleniu od bliskich. W Niedzielę Wielkanocną jadę z Tuszyńskimi do kościoła Świętego Wojciecha. Na mszy wielkanocnej ludzi garsteczka, obok właśnie rozwalają mury byłego klasztoru polskich zakonnic. Mają tu budować szkołę dla murzynów z okolicy. Po mszy odbywamy wycieczkę do znanego polskiego ośrodka duszpasterskiego w Orchard Lake. To istotnie imponujący kompleks budynków w skład którego wchodzi obok kościoła rozległe budynki seminarium duchownego. Miło przyjmuje nas ksiądz doktor Walerian Jasiński odgrywający tu bardzo ważną rolę. Prowadził on działalność pedagogiczną na Górnym Śląsku będąc kapłanem diecezji katowickiej. Wrzesień 1939 roku zastał go w Stanach, gdzie dołączył do polskiego seminarium duchownego w Orchard Lake pod wezwaniem Cyryla i Metodego. Spędziliśmy z tym dostojnym i mądrym kapłanem kilka godzin na rozmowie o sytuacji w Kraju.

3 kwietnia 1970 roku odwiedzam wspaniałe laboratorium otoneurologiczne prof. Jaimie Beniteza pracującego w Wayne State University. Gmach laboratorium jest nowy, zwraca uwagę oszczędność przestrzeni i materiałów użytych przy wykańczaniu. Wyposażenie wspaniałe: laboratorium przygotowywania preparatów kości skroniowych, pracownia elektronystagmografii, audiometrii, sale operacyjne dla dokonywania eksperymentów na zwierzętach doświadczalnych, biblioteka. Ze strony Beniteza doświadczam wielu komplementów i deklaracji przyjaźni. On sam pochodzi z Ameryki Południowej i w rozmowie prowadzonej w cztery oczy namawia mnie na pozostanie w Stanach. Wie jak się trudno pracuje w kraju biednym, zaś tu otwierają się możliwości wprost niepojęte. Umawiamy się przed wyjściem na spotkanie w Warszawie do czego dochodzi w maju roku 1971.

Wraz z innymi listami dostaję korespondencję wielkanocną od mojej Agnieszki. Tam kwiatki: „*Jak przyjedziesz to chcem jamnika mieć napewno. A ta Lodzia to wcale Mamuni nie pomaga pszy sprzątaniu, to jak pszyjedziesz to ją wyrzucisz od nas!*”

Dr. Nichols uświadamia mnie przed tym, że należy mi się jeden miesiąc urlopu, który mogę wykorzystać wedle własnych życzeń, a więc już z końcem czerwca mogę ruszać w stronę Europy. Pani Maria Dzedkiewicz, Włoszka, żona byłego kombatanta II Korpusu, załatwia mi poprzez Italio-American Travel Agency wszystko: bilet lotniczy do Rzymu na 28 czerwca, hotel względnie tani i dobry w centrum miasta, adresy rzymskich biur turystycznych, które oferują wycieczki po Włoszech w racjonalnych cenach. Bilet lotniczy i 10 dni pobytu w rzymskim hotelu kosztują razem 450 \$. Jaka to rozkosz być bogaczem!. Wysłałam przekazem Elżbiecie pieniądze (dolary) na tą podróż i z radością po przeszło miesiącu dowiaduje się, że otrzymała paszport i wizę włoską. Następną sprawą do załatwienia to kupno samochodu. Wpłacając dolary tu na miejscu na konto

konsulatu mogę nabyć za naprawę niewielkie pieniądze wprowadzanego właśnie do produkcji w Fabryce Samochodów Osobowych na Żeraniu Fiata 125p. Doświadczenia z brakiem serwisu nietypowej na naszym ubożuchnym rynku samochodowym Simcy Aronde skłaniają mnie do tej decyzji. Wysłałam czek poprzez Commonwealth Bank i otrzymuje potwierdzenie wpłaty. Kopię wysłałam Elżbiecie na wszelki wypadek.

Dzień 3 maja Polonia obchodzi tak hucznie jak tandetnie. W czasie pikniku, któremu sprzyja piękna słoneczna pogoda, głównymi punktami programu są tak zwane „żywe obrazy” krakowiaków i górali, przejazd na maskach limuzyn kandydatek na „Miss Polonia Detroit 1970”, oraz żarcie z grilla suto podlewane piwem. Misski są ubrane w pastelowe sukienki z tiulu, powiewające na wietrze odsłaniającym ich „to i owo”. Wszystkie pod jeden strychulec przypominają wyglądem wchodzącą właśnie na rynek lalkę Barbi. I na tym polega patriotyzm. Poziom żaloszny.

W kapitalistycznej Ameryce muszę rozliczać się z Internal Revenue Service – Overpayment czyli Izbą Skarbową. Przy pomocy Romana Tuszyńskiego wypełniam odpowiednie druki gdzie odlicza się od podatku pełne sumy wydane na narzędzia lekarskie i książki, które mają służyć bardziej Klinice niż mnie. Za trzy tygodnie dostaje zwrot 400 \$ co w zasadzie pokrywa koszty mojej wyprawy do Włoch. Od zarobków odliczają wszelkie moje wydatki poniesione z tytułu zakupu książek medycznych i narzędzi.

W Departamencie ORL w połowie czerwca odbywa się pożegnanie odchodzących trzech rezydentów i mnie. Otrzymujemy mile prezenty. Ja dostaję zegarek na rękę OMEGA, kufel z miłym napisem: „Gregory Janczewski M.D. – H.F.H. Otology Lab. 1969 – 1970 – With many thanks & continued success”, oraz torbę podróżną tzw. fly – bag. Szpital Forda opuszczałem także z zacieśnionymi więzami przyjaźni z wieloma kolegami Amerykanami mojego pokolenia. Chcę podkreślić, że jako kumple byli bez zarzutu i nigdy z ich strony nie doznałem afrontu czy odruchów niechęci. Ich stosunki ze starszymi kolegami, nauczycielami zawodu, były pełne otwartości, ale obie strony obowiązywało wywiązywanie się ze swych ról. Rezydenci uczyli się systematycznie i wytrwale, nauczający robili absolutnie wszystko, aby ich doskonalić w zawodzie, było jednak jasne, że niestosowanie się do reguł gry będzie kończyło się dla którejś ze stron fatalnie. Rezydent o każdej porze dnia i nocy miał prawo zadzwonić do swego nauczyciela i żądać od niego wyjaśnienia zagadnienia, którego nie rozumiał. Nie myślę się twierdząc, że takiego modelu relacji nauczający – nauczany nie dorobiliśmy się do chwili obecnej.

Moi przełożeni amerykańscy przekazali na moje ręce następujący list do J.M. Rektora Akademii Medycznej w Warszawie.

Henry Ford Hospital 2799 West Grand Boulevard. Detroit. Michigan June 18, 1970.

Prof.dr.med. B.Gornicki

President Medical Academy

Warsaw, POLAND

Dear Professor Gornicki:

Re: Gregory Janczewski M.D.

This letter is to certify that Dr. Janczewski has completed a year of Research and Clinical Otoneurological Fellowship in the Department of Otolaryngology of Henry Ford Hospital, from July 7 th 1969, to July 7 th 1970. During this time he spent approximately half of this time working on human temporal bone histopathology, and half of his time in the Otoneurology Clinic. He was responsible for the collection, study and interpretation of human temporal bone histopathology in the research laboratory, and for the clinical evaluation of vertiginous patients, and performance and interpretation of electronystagmograms in the Otoneurologic Clinic.

Throughout the year Gregory participated in regular clinical teaching conferences and prepared and presented a number of talks on otoneurological subjects.

In our close contact in working with Dr. Janczewski he demonstrated an excellent medical knowledge, together with keen academic interest and ability. He is a sincere and industrious

worker, and it has, indeed, been a pleasure to have Dr. Janczewski in our department for the past year.

The undersigned wish to send our highest recommendations for Dr. Gregory Janczewski in his future medical career, and express our gratitude for the opportunity we have had to work together in this international medical exchange. Sincerely Yours.

(-) Royal C. Hayden Jr. M.D. Co-Director Otological Research Laboratory

(-) Shiro Fujita M.D. Chief Otoneurology Clinic, Associate Surgeon E.N.T. Department

Przez ostatni rok nagromadziło mi się dość dużo rzeczy, zwłaszcza dla moich dziewczyn i Rodziców. Tego po prostu w kraju się nie увидzi, a system wysprzedaży (*sales*) namawiał do pewnej rozrzutności. Nie możemy zdobyć odpowiednich skrzyń dla wysłania transportem wodnym. Znowu przychodzi z pomocą nieoceniony Roman Tuszyński, prawdziwa „złota rączka”, który zbija trzy skrzynie drewniane. Z trudem mieści się w nich mój dorobek amerykański, więc dokupuję zamykany na kłódkę kufer metalowy przeznaczony dla podróżujących w odległe strony. Teraz mam już całość, która będzie płynąć do Polski statkiem handlowym. Dziwne, ale mój bagaż jest zabukowany na niemiecki statek „OCTAVIA”, który płynie z Detroit do Gdyni. Za dni kilka, już przed opuszczeniem Detroit jadę także z Romanem do Bank of Commonwealth, aby podjąć wszystkie moje oszczędności całoroczne w formie gotówki. Mam specjalnie przeznaczony na nie „niezbędnik”, który noszę na szyi jak szkaplerz. Jadę do kraju, w którym system bankowy jest – raz jeszcze powtarzam – *postępowy w formie, ale socjalistyczny w treści*, a więc nie znający współczesnych cywilizowanych form bezpiecznego przekazywania forsy. W rozumieniu marksistowskim jestem w tej sytuacji wolny, bowiem rozumiem konieczność takiego postępowania.

W sobotę 20 czerwca o godzinie 2, 20 P. M. lotem numer 18 linii Northwestern Airlines lecę do Philadelphii, gdzie czekają na mnie Wińscy. Żegnają mnie rodziny Modelskich i Tuszyńskich, życzyliwie do końca. Samolot, Boeing 707 przyleciał właśnie z Honolulu i jest gotów ruszać w dalszą drogę. Żegnam się z powietrza z Detroit. Dopiero w przyszłości będę w stanie zapewne ocenić w pełni wszystko czego tu doznałem. W domu Wińskich zasypiam jak kamień.

W Philadelphii przez trzy dni zwiedzam to, co są mi w stanie pokazać moi kuzyni. Między innymi odwiedzamy „Amerykańską Częstochowę”, w Doylestown. Obiekt jest imponujący, ale w niczym nie przypomina polskiego oryginału. Polakowi przybywającemu z kraju dość tradycyjnie patrzącego na sprawy wiary nie mieści się w głowie, że w podziemiach sanktuarium może działać pełną parą supermarket. W środę 24 czerwca ruszam pociągiem do Nowego Jorku. Helena i Adam Korzybscy witają mnie serdecznie na dworcu kolejowym i przez dalsze trzy dni pokazują fragmenty Nowego Jorku, a zwłaszcza wyspę Manhattan opływany stateczkami Green Line dookoła. To istotnie niezapomniane przeżycie, z niczym nieporównywalne. W niedzielę 28 czerwca wylatuję z lotniska Kennedy’ego samolotem Pan-American do Rzymu na spotkanie z Elżbietą. Samolot, którym lecimy jumbo – jet Boeing 747 robi wrażenie swym ogromem i krótkim czasem startu. Zataczamy wielkie koło nad statua wolności i opuszczamy powoli przestrzeń powietrzną Stanów Zjednoczonych.

„GOD BLESS AMERICA”

Nazajutrz o godzinie 10, oo miejscowego czasu lądujemy na lotnisku Fumicino – Leonardo DaVinci w Rzymie. Jestem znowu w Europie. Autobus dowozi nas do Dworca Centralnego. Ponieważ nie znam kompletnie miasta biorę taksówkę. Kierowca wozi mnie przez pół godziny. Wychodząc po krótkim odpoczynku z hotelu stwierdzam, że od dworca dzieli nas nie więcej niż 500 metrów. Już się czuję jak w Warszawie. Ponieważ jestem podniecony i wzruszony powrotem do Europy nie mogę spać. Wieczorem idę na wzgórze Palatynu. W dole, w mrocznej głębi, leży Forum Romanum oświetlane reflektorami spektaklu „światło i dźwięk”. Oglądam szczątki wielkiej kultury będącej podwaliną cywilizacji europejskiej. Przecież filozofia grecka, prawo rzymskie i etyka chrześcijańska uformowały Europę, czy się to współcześnie kilku bubkom z Unii Europejskiej podoba czy też nie !.

Elżbieta przylatuje z Warszawy za dwa dni i nieomal nie poznaje długowłosego męża. Następne dwa tygodnie mogą zaliczyć do jednych z najpiękniejszych okresów mego życia: oszołomienie pięknem Rzymu i włoskiej krainy, w której nawet wiedząc, że jest się okradanym, człowiek czuje się szczęśliwym.

KLINIKA 1970 – 1976.

Rok 1970 przyniósł w naszym Kraju dramat jakim była masakra robotników w obrębie Trójmiasta. Do tłumów robotniczych podążających do pracy policja i wojsko otworzyło ogień. Gomułka musiał ustąpić i na jego miejsce wybrano Edwarda Gierka. Chłop był wysoki, postawny i umiał przemawiać do robotników. Na słynnym zebraniu zagłogi Stoczni Gdańskiej zwrócił się wprost: „Czy pomożecie mi w naprawie Polski „. Tak „Pomożemy odpowiedzieli robotnicy.

W domu wzruszające spotkania z rodzicami i przede wszystkim z Agnieszką, która konsekwentnie żąda wywiązania się z obietnicy kupienia jamnika. W tej sprawie postępuję haniebnie i migam się od tego jak mogę. Okupuje się lalką Barbi, jednym z pierwszych, poza sławetną stonką ziemniaczaną, miazmatów współczesnego kapitalizmu imperialistycznego na terenie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. W kraju wyczuwa się jakieś dziwne napięcie, oczekiwanie zdarzeń, które zresztą niebawem nastąpiły.

W Klinice witają mnie serdecznie koleżanki i koledzy i zadają niekończące się pytania o wrażenia ze Stanów. Profesor Bochenek wręcza mi nominację na stanowisko adiunkta. Na pierwszym posiedzeniu Oddziału Warszawskiego Polskiego Towarzystwa Otolaryngologów przedstawiam sprawozdanie z rocznego pobytu w USA. Sala jest nabita i swym wystąpieniem wypełniam całe posiedzenie. Byłem przekonany, że moim obowiązkiem jest przedstawić środowisku moje refleksje i doświadczenia wynikające z tego pobytu. Jak się wydawało warto było przekazać informację co się w tym szerokim świecie aktualnie dzieje. Nie wszystkim to się podoba, co pewna starsza koleżanka kwituje stwierdzeniem: „*Ale Pan zmańdrzał w tej Ameryce !*”. Nie byłem tego do końca pewien, ale zniosłem to mężnie.

Wracam do intensywnej pracy i ponownie dyżurujemy z Tadzkiem, zwłaszcza jako szefowie ostrych dyżurów. Pracuję w zespole docenta Bogusława Moszyńskiego, który doskonalił mnie w chirurgii ucha. Tu dopiero sprawdziła się moja znajomość topografii kości skroniowej wyniesiona z Detroit. Docent był szefem bardzo wymagającym, jak to się mawia – ostrym, ale nigdy ja nie miałem z Nim jakkolwiek konfliktów. Wiele lat później byliśmy, śmiem twierdzić, dobrymi przyjaciółmi darzącymi się wzajemnym szacunkiem. Już jako profesor byłem recenzentem wniosku o przyznanie Mu zasłużonego tytułu profesora zwyczajnego.

W Polsce era rządów Gomółki skończyła się tragicznymi wypadkami grudniowymi w Gdańsku 1970 roku. Sytuacja w kraju była taka, że jak mówiono:

„*Mydła już nie trzeba, naród sam się pieni !*”. Znowu poląła się polska krew. Interes polityka trzymającego się kurczowo przy władzy jak zwykle u nas wziął górę nad jego rozsądkiem. Władzę objęła nowa ekipa Gierka, w której jednak zasiadał cyniczny, nieśmiertelny i niezniszczalny Cyrankiewicz. Deklaracje tej nowej ekipy były interesujące i zapowiadały szersze otwarcie Polski na świat. Jednak po kilku latach okazało się, że chcieliśmy dobrze, ale wyszło jak zwykle. System propagandowy oparto na technice formułowania haseł wedle wzoru: „*Mając blachę cynkową zalejemy konserwami cały świat !. Tylko, że ...mięsa, cholera nie mamy !*” lub „*Zamek Królewski odbudujemy, tak jakśmy odbudowali Warszawę. Jak FELIKSA z popiołów !* „. Pojawiło się zjawisko tak zwanej „nowomowy „. I oto wicepremier rządu stwierdzał ku pokrzepieniu serc obywateli: „*Gospodarka rytmem drgnęła do przodu !!!* „. Inny z ministrów tegoż rządu wprowadzał jednak elementy pesymizmu: „*Niestety produkcja traktorów stanęła na brakach opon* „. A życie toczyło się dalej i wszelkie oficjalne i nieoficjalne dane statystyczne mówiły, że obywatel naszego kraju – jak by nie liczyć – musi wydawać więcej niż oficjalnie zarabia. Polak potrafi dać sobie radę !.

W Klinice zorientowałem się, że przesłane przeze mnie z Detroit szczegółowe protokoły dotyczące techniki pobierania i konserwowania tkanek służących do rekonstrukcji ucha środkowego są absolutnie niewykorzystane. Z dwoma młodymi kolegami rozpocząłem tą pracę i zdobywanie cialitu, preparatu chemicznego najlepiej konserwującego te tkanki. Założyliśmy też bank tkanek gotowych do użycia w czasie zabiegów operacyjnych. Skutek był znakomity bowiem w czerwcu 1971 roku w czasie sesji poświęconej tympanoplastykom odbytej na Ogólnopolskim Zjeździe Polskiego Towarzystwa Otolaryngologów w Lublinie profesor Bochenek przedstawił dobre wyniki tej techniki operacyjnej. Było to spore wydarzenie naukowe i ze zdumieniem przyjęte przez obecnego na tym zjeździe słynnego otochirurga profesora Michela Portmanna z Bordeaux, który jeszcze tej techniki nie stosował.

Swoje doświadczenia i wiedzę z zakresu otoneurologii postanowiłem przekazać chętnym koleżankom, i kolegom ze środowiska warszawskiego i raz w tygodniu, o godzinie 18 –tej rozpoczynałem wykład dwugodzinny, w którym przedstawiałem kolejno temat od anatomii i fizjologii do kliniki zaburzeń równowagi. Wykłady te spotkały się ze zdumiewająco dużym zainteresowaniem. W tym czasie nie było żadnego podręcznika otoneurologii wydanego w języku polskim.

Profesor Bochenek tuż po moim powrocie wezwał mnie na tzw. zasadniczą rozmowę, w której powierzył mi prowadzenie pracowni otoneurologii oraz funkcję łącznika z Huta Warszawa. Moim partnerem w działalności na terenie huty był magister Franciszek Karczmarek, który szefował działowi spraw socjalnych i winien zostać we wdzięcznej pamięci weteranów Huty. On walczył o maksymalne wykorzystanie wszystkich potencjalnych korzyści wynikających z naszej współpracy dla poprawienia stanu zdrowia hutników. Od wiosny roku 1971 każdego miesiąca kilkunastu hutników, zwłaszcza pracujących w tak zwanych „gorących działach”, było wysyłanych do naszego ośrodka sanatoryjnego w Ciechocinku. Dla nas stało się to okazją zdobywania z funduszy huty nowych narzędzi chirurgicznych oraz urządzeń służących diagnostyce. W czasach powszechnych braków dosłownie wszystkiego, Karczmarek mógł, i to robił, szantażować Fabrykę Narzędzi Chirurgicznych w Nowym Tomyszu produkującą głównie na eksport do Europy Zachodniej zakłóceniami w dostawie produkowanej w Warszawie stali szlachetnej lub wymuszał na nich prawo pierwokupu tych narzędzi przez naszą Klinikę. Hutnicy, nasi pacjenci w Ciechocinku, inhalowali się głównie nie tyle solanką co dużymi dawkami alkoholu, ale to już inna para kaloszy.

W czasie moich rozmów z Dyrektorem Kaczmarkiem padła z Jego strony propozycja, że dział innowacyjno – konstrukcyjny huty zaprojektuje i wykona dla kliniki, ba – dla mnie-pierwszy w Polsce fotel wahadłowy do badania narządu przedsionkowego bodźcami związanymi z przyspieszeniem kątowym podtrzymywanym i stopniowo wygaszanym. To była szansa uzyskania znakomitego warsztatu pracy dla zbierania materiału do pracy habilitacyjnej. Ponieważ po dojściu Gierka do władzy modnym stało się hasło: „*Polak wszystko potrafi!*” pomysł zmaterializował się i fotel odpowiadający wszelkim międzynarodowym standardom stanął niebawem w naszej Klinice. Skończyły się żarty i zaczęły nie tyle schody co wyścig z czasem. Stosunek Profesora Bochenka do mojej osoby pozornie przynajmniej nie uległ zmianie, ale miałem sygnały, lekceważone początkowo, że Małżonka Szefa nie lubi mnie coraz bardziej i coraz silniej. Ośmielałem się twierdzić, że moje postępowanie wobec Szefa i wobec Kliniki nie dawało jakichkolwiek powodów do takiej zmiany. Tak czy owak rozpocząłem badania, których prowadzenie i wyniki mnie fascynowały

Życie w klinice toczyło się normalnym trybem i tylko profesor Szymański siedział smutny i coraz bardziej samotny w wydzielonym gabinecie na pierwszym piętrze. Był osamotniony bowiem Doktor Janina Szymańska na zasadzie gentlemen agreement odeszła z Kliniki. W obecności ówczesnego J.M. Rektora ustalono, że odchodzą obie panie: dr.Szymańska i dr.Bochenkowa, ale przez jakiś przypadek odeszła tylko ta pierwsza. Często zachodziłem do gabinetu „*Starego*”, na pogaduszki, co bardzo sobie w aktualnej sytuacji cenił. Starannie omijając drażliwy temat okoliczności jego odejścia ze stanowiska kierowniczego gwarzyliśmy na różne tematy. Pewnego jednak razu profesor nie wytrzymał i opowiedział mi w jaki sposób został zmuszonym do odejścia. W czasie mego pobytu zagranicą został w trybie nagłym poddany operacji urologicznej i w

przebiegu pooperacyjnym wystąpiły zagrażające życiu zaburzenia krzepnięcia krwi, tak zwana afibryngenemia. W dniach, kiedy znajdował się na granicy życia i śmierci podsunęto mu, na zasadzie propozycji nie do odrzucenia, tekst dokumentu o zrzeczeniu się swej funkcji. Aby nie było wątpliwości: nie chodzi o niewątpliwie korzyści płynące dla Kliniki z powodu nowego, młodego, pełnego twórczej pasji kierownika, ale o metody jakich użyto dla pozbycia się Szymańskiego w bardzo szczególnych okolicznościach jego walki o życie. *Se la vie !* Profesor pracował, lub raczej bywał w Klinice, jako profesor przy katedrze. Swym nowym Fiatem, 125 zawoziłem Go i odwoziłem do domu, do i z posiedzeń Rad Wydziału, na których bywał niezawodnie. Miał swoje fobie. W czasie jazdy samochodem zawsze mnie ostrzegał: „ *Grzesiu, niech Pan uważa na tą „ Syrenkę „, bo kierowca to idiota !*”. Kiedy naiwnie pytałem skąd ta pewność uświadamiał mnie, że „ *Jest to oczywiste, bowiem jedynie idiota może kupować „ Syrenkę „ !*”. Istotnie samochód „Syrenka „ był szczytowym osiągnięciem polskiego przemysłu samochodowego tych lat. Z silnikiem dwusuwowym, wziętym z motopompy strażackiej, dwoma drzwiami otwieranymi w kierunku jazdy, o niesłychanie twardym zawieszaniu był jednak marzeniem wielu Polaków. Jego cena stanowiła barierę trudną do przebycia dla przeciętnego Kowalskiego, zaś skromna produkcja jeszcze bardziej ograniczała możliwości jej zakupu na wolnym rynku. Opowiadano jak to pewnego dnia na ulicach Warszawy doszło do kraksy. Niemiecki elegancki Mercedes rozbił w puch Syrenkę. Zrozpaczony właściciel wykrzykiwał, że Szwab zniszczył majątek całego jego życia na co usłyszał odpowiedź: „ *To dlaczego Pan kupuje aż tak drogi samochód ?* „. Innym razem warszawski rodak jadący „ kultową „ Syrenką rozbił inny, znacznie porządniejszy samochód. Właściciel rozbitego pojazdu wyszedł i wykrzyczał: „ *No co, k...., jak się ma szybki sportowy wóz to można poszaleć, no nie ?* „. Powszechnie w stolicy bano się kierowców z prowincji, którzy na ulicach Warszawy dostawali *małpiego rozumu* i których nazywano *dżygiami powiatowymi*.

Profesor Szymański bardzo dbał o swój stan zdrowia i starannie kontrolował w sposób szczególny operowany układ moczowy. Kiedyś salowa wzywa mnie do Jego gabinetu, zaznaczając, że sprawa jest pilna. Wchodzę, na co „Stary „ wyciąga butelkę nieosiągalnego w tych latach francuskiego koniaku Courvoisier'e. Ja się cieszę a conto łyknięcia dobrego trunku, kiedy profesor po zapytaniu mnie jak mi się to podoba i po mojej entuzjastycznej ocenie płynu o kolorze herbaty zawartego w butelce odpowiada: „ *Czy Pan nie widzi że jest mętny ?* „. To na pewno nie był koniak !.

Drugim zacnym członkiem Rady naszego Wydziału Lekarskiego, którego podwoziłem na posiedzenia Polskiej Akademii Nauk do Pałacu Kultury i Nauki lub do domu na Saską Kępe (mieszkałem tuż obok !) był prof. Jan Nielubowicz. Ze zdumieniem stwierdziłem po powrocie do Warszawy, że uległ On presji nowoczesności w polskim wydaniu i kupił sobie właśnie „Syrenkę „. Ta przebywała częściej w naprawie niż na trasie i właśnie wtedy miałem szansę odgrywać rolę przewoźnika. W czasie pierwszych jazd na każdym czerwonym świetle pytał z przerażeniem dlaczego w moim samochodzie gaśnie silnik. Problem wynikał z tego, że silnik „Syrenki „ wydawał z siebie ryk młockarni, a tu jednak było cicho. Jeździł paradnie w czarnym kapeluszu typu EDEN, zapięty, jak pilot samolotu bojowego, pasami bezpieczeństwa na krzyż. Z Ronda Waszyngtona jadąc Alejami Jerozolimskimi nie skręcał w lewo na ulicę Chałubińskiego, ale pędził do Placu Zawiszy, bo tam było rondo. Nie lubił skręcać w lewo na skrzyżowaniach bez ronda. Kiedyś wezwany w późnych godzinach do transplantacji nerki wracał do domu nad ranem. Jeździł zwykle z szybkością około 40 – 50 km/godzinę i trzymając się niebezpiecznie blisko krawężnika. Też nocy czujny patrol milicji zatrzymał Go na moście Poniatowskiego jako kierowcę podejrzanego o prowadzenie „ *w stanie wskazującym na* „. Na próbę tłumaczenia, że jest profesorem chirurgii i że wraca po kolejnej ciężkiej operacji odpowiadał Mu, że: „ *Panie, o trzeciej nad ranem to każdy kierowca na tej trasie jest profesorem !*”. Wybawił Go z kłopotu jego uczeń, kolega chirurg pracujący w resortowej służbie zdrowia Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Na dyżurach, których pełniłem w klinice wiele wydarzały się historie, których nie wymyślił by żaden najzdolniejszy pisarz o bujnej fantazji. Dobrym znajomym pośród chorych był niejaki pan K-L, stary złodziej, który wracał do nas w celu dokonania kolejnych rekonstrukcji nosa lub małżowiny usznej odgryzanych przez kolegów z celi. Sądzę, że robiono to na zamówienie w

ramach koleżeńskej przysługi, bowiem więzień w tej sytuacji otrzymywał zwolnienie warunkowe na kurację. Zajmowała się nim zawsze dr. Zofia Witwicka wyspecjalizowana w chirurgii plastycznej. Pan K-L. bardzo mnie lubił i okazywał niezwykle szacunek. Pewnego dnia miałem tępy dyżur po bardzo ciężkiej sesji operacyjnej. Wieczorem byłem bardzo zmęczony i w takim stanie idącego na kolację spotkał mnie pan K-L. „*Czego Pan taki sflaczały, Doktoru ?* „, zapytał uprzejmie. Opowiedziałem o trudach kończącego się dnia i obawach, że w nocy będzie jakiś powód do tego, aby mój sen został przerwany. Cała noc przeszła nadzwyczaj spokojnie. Więcej w klinice panowała cmentarna cisza. Rano w obecności kilku chorych wyraziłem radość z możliwości tak spokojnego wypoczynku i wtedy uświadomiono mnie, że: „*Panie Doktorze ! To ten oprych K – L wieczorem wyciągnął nóż sprężynowy i zapowiedział wszystkim chorym, że nawet gdyby się mieli złać w łóżko to mają być cicho i grzecznie, zabronił wychodzić na korytarz bo nam wszystkim poucina. Lejcie do wazonów od kwiatów – nakazywał. To byliśmy spokojni* „. Tenże pacjent wychodząc z kolejnej kuracji w Klinice dziękował dr. Witwickiej słowami: „*Pani Doktor kochana !. Czy ja wyglądam na takiego co z kwiatami przychodzi ?. Ale odwzajemnić to się mogę i chcę. Gdyby Pani miała do kogoś pretensję, to niech mi Pani go pokaże. My go załatwim !*“. Czy można sobie wyobrazić wdzięczność bardziej spontanicznie wyrażoną ?.

Klientela była różnorodna, ale skład pacjentów odpowiadał dość wiernie składowi społeczeństwa. Przychodził taki chory na konsultacje i mówił: „*Panie Doktorze, ten ból mnie tak sugeruje, tak sugeruje, że ja bynajmniej nie mogę spać ani pracować !*“. Inny facet z rozległą zmianą przedrakową w obrębie krtani na przestroję:

„*Panie Malinowski, Pan się powoli zabija ! To samobójstwo na raty !. Ta woda i te papierosy !* „, przytomnie zareplikował „*No właśnie, na raty !. Mnie się TAM nie spieszy !* „.

Trafiliśmy z Jankiem Kusiem na chorego z przewlekłym zapaleniem zatok przynosowych wracającym uporczywie ze wznową choroby po każdej, jak się wydawało zakończonej sukcesem kuracji. Jasio polecił tego człowieka specjalnej trosce mnie i Tadziovi. Postanowiliśmy przeprowadzić rozmowy ze współlokatorami z sali chorych czy nie zauważyli czegoś dziwnego w jego zachowaniu się. Okazało się, że tak. Popołudniami i wieczorami facet zbierał popiół z popielniczek i wdychał jak tabakę do jam nosa. Zoperowaliśmy pacjenta i wewnątrz obu zatok szczękowych znaleźliśmy szaro-bury szlam. Przy wypisie przeprowadziliśmy tak zwaną zasadniczą rozmowę grożąc przy następnym powrocie do kliniki zawiadomieniem Zakładu Ubezpieczeń Społecznych. Facet był na rencie „, ze względu na stan zdrowia „, od lat wielu. Co usłyszeliśmy:

„*Panowie ! Nie róbcie mi świństwa. Ja jestem krawiec wiejski. W rzeczy samej marny krawiec !. Moja żona pracuje jako inżynier, szef produkcji w miejscowej mleczarni. Zarabia dobrze. Ja zajmuję się dziećmi, bo one często chorują. Gdybyśmy najęli pomoc do dzieci, to ja nie zarobię więcej niż wynosi obecna moja renta !. No to po co mam pracować ?* „.

Nie sposób było odmówić temu człowiekowi prawa do logicznego myślenia. Rozstaliśmy się w swego rodzaju zgodzie na zasadzie „*gentlemen's agreement* „-on się już u nas więcej nie pokazuje, my nie wnosimy sprawy. Nie wrócił.

Najłatwiej umiałem porozumiewać się z rodakami ze Szmulek, gdzie spędziłem pierwszych 30 lat mego życia. W klinice leży stary człowiek umierający na zaawansowanego, nieoperacyjnego raka krtani z mnogimi przerzutami. Nikt go nie odwiedza, nikt nie interesuje się jego stanem. I oto pewnego dnia zjawia się kobieta lat około czterdziestu, blondyna z tak zwaną „, trwałą ondulacją „, w towarzystwie drugiej kobiety, starszej zapewne o lat dziesięć. Starsza, o głosie ochrypłym, zwanym powszechnie „, sznaps barytonem „ przejmując inicjatywę i żąda, abym wyjął spod poduszki umierającego starego klucze do jego mieszkania w domu na rogu Żąbkowskiej i Tarchomińskiej i przekazał je blondynie. Nie, nie są rodziną chorego. Kiedy kategorycznie odmawiam słyszę charakterystyczną, gruchającą warszawsko – praską mową: „*Doktoru ! Ona z niem żyje od kilku lat. Czy Pan, jako mężczyzna, rozumie ten incydent ?* „. Tego drobnego incydentu w życiu umierającego nie rozumiałem i zakwestionowano moje legalne przyjsście na świat. Lekarz jednak nie obraża się na chorego, ani na jego rodzinę.

Na jednym z ostrych dyżurów przywiozło pogotowie pobitego pijaka ze złamanym nosem. Przywiozło i swoim zwyczajem uciekło pozostawiając go w klinice. Facet rozrabiał nie tyle jak

pijany zając, co jak pijany cham, wykrzykując siedmiopiętrowe przekleństwa. Nastawiliśmy mu nos i w oczekiwaniu na patrol milicji, która miała go odwieźć we właściwe miejsce, to znaczy do izby wytrzeźwień przywiązaliśmy klienta grubym sznurem służącym zwykle do suszenia mokrej bielizny do ciężkiej ławki ustawionej w poczekalni kliniki, takiej samej jaka zwykle stała w warszawskich parkach. Pognaliśmy wezwani do izby przyjąć szpitala pracującej w drugim końcu szpitala gdzie przywieziono następnego „kombatanta „ ulicznej rozróby. Wracamy, a tu nie ma ani chorego, ani co gorsza ławki. Facet był przecież przez nas związany jak Onufry Zagłoba przez Bohuna w chlewie. Cóż się z nim stać mogło ? A za chwilę przyjedzie milicja, a my odpowiadamy za pacjenta. I przyjechali. Po wysłuchaniu naszej relacji poszliśmy z nimi na teren szpitala zbudowanego przed stu laty systemem pawilonowym. I oto w blasku policyjnych latarek, w krzakach, stał trzęsąc się z zimna, wciąż przymocowany do ławki nasz klient. Był w takim stanie, że ponad sen o wolności przedkładał sen w izbie wytrzeźwień.

Na innym ostrym dyżurze zostałem wezwany jako szef zespołu do izby przyjęć, gdzie przywieziono innego „ bojownika „. Był także pijany, w stanie, który określano jako „ ślad krwi w alkoholu „. Zasadnicze pytanie jakie kierował do nas lekarz dyżurny izby przyjęć brzmiało: „ *Ten działał na zasadzie-dawka większa niż życie. Czy jest tu wstrząs mózgu ?* „. Drugim konsultantem był neurochirurg Witek Mazurowski, który przytomnie odpowiedział: „ *Żeby był wstrząs mózgu to musi być i wstrząs, i mózg, a gdzie u tego barana mózg ?* „. Tego też odprawiono do izby wytrzeźwień. Pijanych było, niestety, bardzo wielu. Praca szukała wtedy ludzi, a nie ludzkie pracy. Powszechnym zjawiskiem był w tych latach brak szacunku dla pracy. „*Czy się stoi, czy się leży dwa tysiące się należy !*” – to było hasło powszechnie powtarzane na ulicy i w tramwaju. Poza wszystkim wobec licznych, oczywiście „ przejściowych „ braków na rynku, wódki zawsze i wszędzie było pod dostatkiem. A więc pito niemało, co miało swe odbicie także w szpitalach, zwłaszcza na ostrych dyżurach chirurgicznych. Przychodzi taki spity człowiek, z twarzą pociętą jakimś ostrym narzędziem na plasterki, silnie krwawiący i po wejściu na salę zabiegową na propozycję szycia ran pyta mnie: „ *Silny jesteś ?* „. Odprawiłem dwie koleżanki, z którymi miałem dyżur i zostałem z chorym w towarzystwie sanitariusza. Byłem tego dnia zmęczony i zły, co skutkowało moim krótkim przemówieniem w „ praskim stylu „, w którym obiecałem mu solennie, że jeśli się nie uspokoi to sprawie mu takie manto, że będą go wlewać przez lejek do trumny. Reakcja była natychmiastowa. Spytał się skąd ja jestem, to znaczy z jakiej dzielnicy Warszawy, kiedy przedstawiłem się jako mieszkaniec Szmulek uścisnął mi dłoń, oznajmił, że jest z sąsiedniego Grochowa, a więc także praski rodak. Zapewnił o swoim dla mnie szacunku i prosił, żeby go szyć równo, ale „ *bez zanieczulenia* „. Nasz klient nasz pan. Ani pisał w czasie szycia.

Z kolegami z oddziałów zabiegowych łączyły nas wspólne zainteresowania i podobny temperament. Do klinik chirurgicznych trafiło zresztą wielu kolegów z naszego kursu, którzy w następnych latach osiągnęli wiele sukcesów zawodowych i naukowych. Wiele wspólnych przypadków wiązało nasz zespół z Kliniką Neurochirurgii, w czasach kiedy zatoko-lub usznopochodne ropnie mózgu były zjawiskiem dość powszechnym. Jeden ze starszych neurochirurgów, mało operujący, to docent Stanisław S. Był on niezwykle porządnym człowiekiem, ideowym komunistą. Jako pierwszy i bodaj jedyny w historii Akademii Medycznej został pewnego dnia odznaczony wysokim, jak na owe czasy, odznaczeniem państwowym: Orderem Sztandaru Pracy. Życzliwy kolega z tejże kliniki pewnego dnia zapytał go: „ *Stasiu, ja rozumiem, że Ty dostałeś sztandar. Ale pracy ?!*”. W okresie po marcu 1968 roku docent Stanisław opuścił Polskę.

Na każdym ostrym dyżurze każdy z nas miewał chorych z ciałem obcym zalegającym w świetle przetyku. Nie znam laryngologa, który pracując w szpitalu nie był by w stanie opowiadać o wielu ciekawych przypadkach tego rodzaju. W mojej praktyce usuwałem między innymi czaszkę królika, kieliszek bez podstawki, część nasady stawu kolanowego cielaka połkniętą w czasie pijackiej uczyty na wiejskim weselu, odznaki P.Z.P. R. czy organizacji młodzieżowych wpinane w klapę marynarki i inne cuda niewida.

Nowy szef kliniki, profesor Bochenek, zaczął dość nieoczekiwanie zmieniać swój stosunek do mnie. Nigdy nie byłem przewrażliwiony na swoim punkcie, ale cały szereg pozornie nic nieznaczących rozmów z kolegami, profesorem, a zwłaszcza z jego żoną, kazało mi myśleć o

najbliższej przyszłości. Uprzedziłem Janka Kusia, który był ze względu na wiek i staż zawodowy naturalnym kandydatem do habilitacji przede mną, że muszę liczyć się z ewentualnością zdarzeń nieoczekiwanych. Czas pokazał jak dobrego miałem nosa. Rozpocząłem przyspieszać przygotowywanie pracy habilitacyjnej na temat wartości badań narządu przedsionkowego przez jego drażnienia przyspieszeniami kątowymi o przebiegu sinusoidalnym wygaszanym i podtrzymywanym. Badania te były możliwe, jak już wspomniałem poprzednio, dzięki wstawieniu przez zespół inżynierów i konstruktorów Huty Warszawa fotela wahadłowego o napędzie mechanicznym. Bodźce, które wytwarzał ściśle odpowiadały normom ustalonym przez labiryntologów, fizyków i mechaników zgromadzonych na seminarium w Montpellier w roku 1996. Było to pierwsze stanowisko tego typu w Polsce. Materiał kliniczny do badań mieliśmy bardzo pokaźny. Analiza poszczególnych badań była prowadzona bardzo systematycznie, także dzięki pomocy wykwalifikowanej i inteligentnej laborantce pani Irminie Wójcickiej.

Byłem już bardzo zaawansowany w zbieraniu materiału kiedy w lutym 1972 roku zostałem wezwany do Profesora Bochenka. Zastałem go wychodzącego z kliniki w jesionce i futrzanej czapce na głowie i tym bardziej zaskoczyła mnie informacja o tym, że mam odejść z obecnej pracy. Miejsce i forma tej rozmowy absolutnie, moim zdaniem, nie odpowiadała powadze problemu. Sytuacja była tym dla mnie trudniejsza, że profesor wyraźnie chciał tą rozmowę skrócić do absolutnego minimum czasowego. Wyraźnie źle się czuł poruszając drażliwy temat, był po prostu speszony. Sprawa miała wyglądać w ten sposób, że kierownik Kliniki Otolaryngologii Wojskowej Akademii Medycznej w Warszawie przy ulicy Szaserów profesor Henryk Czarnecki zwrócił się z prośbą, abym to właśnie ja, w trybie pilnym objął stanowisko kierownika Kliniki Otolaryngologii Wojskowego Instytutu Medycyny Lotniczej. Wyraźnie ponoć określił kogo widzi na tym stanowisku. Rozmowa była tym bardziej przykra, że polecono mi natychmiast udać się do prof. Czarneckiego i załatwić sprawę przeniesienia w ciągu 24 godzin. Zwróciłem uwagę, że właśnie mam zaawansowaną pracę habilitacyjną i ta nieoczekiwana zmiana miejsca pracy może w istotny sposób zaważyć na dalszych moich losach. W krótkiej wymianie zdań z bardzo spieszącym się Profesorem ustaliłem jedno: mam 48 godzin nie 24 dla załatwienia sprawy. Przedyskutowałem sytuację z moim Ojcem, zawsze najlepszym z życiowych doradców, który doradził mi przejście „*na swoje*”, jeżeli proponowane warunki nie będą niweczyły wszystkiego co w życiu osiągnąłem. Rozmowa z pułkownikiem profesorem Czarneckim i szefem Wojskowego Instytutu Medycyny Lotniczej pułkownikiem profesorem Barańskim wyjaśniła sytuację. Moja kandydatura została im podana przez profesora Bochenka, ku ich zaskoczeniu i zadowoleniu. Po ustaleniu bardzo korzystnych dla mnie warunków pracy ustaliliśmy, że zmiana mego miejsca pracy nastąpi w na początku następnego miesiąca. Ustaliliśmy też, że na dobry początek mojego szefowania laryngologii w WIML otrzymam 6 miesięczny urlop na dokończenie pracy habilitacyjnej. Przekazałem nazajutrz swą decyzję o natychmiastowym odejściu mojemu Szefowi i obserwowałem widoczne zdziwienie, a może nawet jakiś podziw dla męskiej decyzji, ale i ulgę, że sprawa poszła tak gładko. Po tygodniu, zostałem wezwany po raz drugi i nieoczekiwanie przekazano mi decyzje odwołującą wszystko co było powiedziane i postanowione. Szef wyjaśnił mi to krótko, ale mało sympatycznie: „*Jest Pan jeszcze Klinice potrzebny !*”. Kolejne zaskoczenie i zdumienie. Potraktowano mnie jak przedmiot. Ale po tym wydarzeniu już nigdy wszystko nie było takie samo. Zrozumiałem, że istotnie trzeba myśleć o zmianie miejsca pracy, ale na odpowiednich warunkach i we właściwym czasie. Dla realizacji takich zamierzeń konieczna była habilitacja.

Agnieszka chodziła do szkoły podstawowej przy ulicy Angorskiej. W klasie uczyła się wraz z gronem dziewczynek mieszkających w naszym domu. Nie miała żadnych problemów z nauką. Bezcenną była w tym okresie ogromna pomoc w Jej wychowaniu i douczeniu okazywana nam przez moich Rodziców. Oboje ubóstwiali wnuczkę. W miarę dorastania Agi staraliśmy się o to, aby Rodzice mieli w czasie wakacji pełny wypoczynek, także od wnuczki. Zaczęły się poszukiwania możliwości wysłania jej na dwu lub trzytygodniowe kolonie dla dzieci. Grono znajomych poleciło nam takie organizowane przez panią, z zawodu pielęgniarkę, żonę znanego warszawskiego lekarza. Przed wyjazdem Agi na ten wyraj Elżbieta i Mama siedziały pracowicie wyszywając ustalone z organizatorką kolonii wzorki na wszystkich częściach odzieży z jaką dziecko miało wyjechać.

Przyjeżdżaliśmy do córki w niedzielę bowiem soboty były w tych czasach dniami pracy. Kolonie zorganizowano kilka kilometrów za Pomiechówkiem nad Wkrą. Dzieci spały w dwóch domkach niewielkich, w pokojach gdzie stały stłoczone łóżka. Posiłki były delikatnie mówiąc marne i mało zróżnicowane. Przywoziliśmy więc posiłki domowe, które Agnieszka kryjąc się przed koleżankami i okiem opiekunek zjadała łapczywie siedząc w bagażniku samochodu. Główna organizatorka była wysokiej klasy psychologiem urządzającym dzieciom prawdziwe seanse: „*Dzieci, dzisiaj mamy na obied zjeść kurki. Ot te, które teraz tu przed wami biegną !. Trzeba będzie je zabić ! Co wy na to ?* „. Odpowiedzią dzieci był gromki protest stanowiący amnestię dla biednych kurek. I tak zamiast rosołu i mięsa drobiowego były kluchy. Przy odbieraniu dziecka z kolonii okazało się, że pracownicy wyhaftowana odzież jest nieruszona, że przeleżała na strychu dla oszczędzenia na środkach do prania, zaś dzieci przechodziły dwa tygodnie w tych samych majtkach i skapetkach. Następne wakacje dziecko spędzało po skrzydłami Babci i Dziadka, którzy mieli możliwości korzystania w czasie wakacji za niewielką opłatą z nieczynnych w tym czasie obiektów szkolnych. Wszyscy byli takim rozwiązaniem usatysfakcjonowani.

Lipiec 1973 roku spędzaliśmy z Elżbietą i Agnieszką we wsi Chałupy na Helu. Pogoda była śródziemnomorska przez cały miesiąc. Moje dziewczyny siedziały na plaży, ja zaś w pokoju o wymiarach 2 x 3 m, pełnym pajaków na ścianach i suficie, ze stosem dokumentacji klinicznej dokonywałem analizy moich badań i pisałem na maszynie pracę habilitacyjną. Późnym popołudniem chodziliśmy na lody do kawiarni, w której siedzieli wybitni przedstawiciele świata artystycznego, a pośród nich Andrzej Łapicki, Aleksandra Śląska, Igor Śmiałowski, Daniel Olbrychski, Kalina Jędrusik i wielu, wielu innych. Nad wieczorem kiedy słońce chyliło się ku zachodowi brzegiem morza truchtaliśmy z Agnieszką do Kuźnicy i spowrotem. Pewnego wieczoru od strony morza dobiegło nas głośnie wołanie: „*Doktorku, Doktorku !*” i ku naszemu zdumieniu z morskiej piany, jak boginie Wenus, wynurzyły się w stroju Ewy Kalina Jędrusik, moja była pacjentka, i dwie panie S., matka i córka. Aga była zachwycona, bo na dodatek Kalina obiecała jej swą fotografię z dedykacją.

Na początku października, na dobre rozpoczęcie nowego roku akademickiego wręczyłem profesorowi oprawiony maszynopis pracy habilitacyjnej. Był jednak wyraźnie zaskoczony tempem i konsekwencją mojej działalności w tym względzie.

W roku 1974 „*porządkowanie* „ doświadczonych kadr Kliniki posunęło się naprzód. W związku z powstaniem II Wydziału Lekarskiego w naszej Akademii stworzono Klinikę Otolaryngologii na bazie oddziału w Szpitalu Wolskim przy ulicy Kasprzaka. Na stanowisko kierownika tej placówki powołano docenta Bogusława Moszyńskiego, z którym pracowałem. Wkrótce po tym na stanowisko ordynatora Oddziału Otolaryngologii w Szpitalu Czerniakowskim przy ulicy Stępińskiej odszedł dr.med. Kazimierz Sieniawski. Dla mnie rok ten był szczególnie ważnym bowiem u jego początku, w styczniu, obroniłem swą pracę habilitacyjną pod tytułem „*Analiza elektrystomograficzna testu fotela wahadłowego w stanach normy i patologii narządu przedsionkowego* „. Recenzentami byli profesorowie: Jan Sekuła z Krakowa, Henryk Czarnecki z Wojskowej Akademii Medycznej oraz Teofila Bystrzanowska ze Studium Doskonalenia Lekarzy (później zwanego Centrum Medycznym Kształcenia Podyplomowego). Na kolokwium habilitacyjne nie mógł dojechać prof. Sekuła, któremu właśnie zmarł na ostrą białaczkę jedyny syn. Na prośbę Kolegium Dziekańskiego zastąpiła Go w roli egzaminatora pani prof. Irena Cichocka – Szumilin. Rada Wydziału przyjęła moją pracę i egzamin bardzo pozytywnie i stało się. Zdałem kolejny ważny egzamin życiowy. Warto było sobie postawić pytanie: ile jeszcze cięższych egzaminów w życiu mnie czeka ?. Czas przyniósł odpowiedź dość szybko.

Znalazłem się w sytuacji, w której koniecznym było podjęcie decyzji: co mam zrobić dalej. W środowisku warszawskim rozeszła się wieść, że mam objąć stanowisko ordynatora Oddziału Laryngologii Szpitala Bielańskiego, który stracił status akademicki po odejściu na emeryturę pani profesor Bystrzanowskiej. Doktor Wanda Wojnarowska, wieloletnia współpracowniczka profesor Bystrzanowskiej, spotkawszy mnie w tramwaju deklarowała radość swoją i zespołu z tego powodu, ale była zdumiona moim zaskoczeniem. Tak się w życiu zdarzało i zdarza, że najbardziej zainteresowany dowiaduje się o czymś dla niego istotnym jako ostatni. Dość szybko okazało się, że

na to stanowisko „przeplacowano „ w tymże roku 1974 Janka Kusia, który kończył swój przewód habilitacyjny. Został tam oddelegowany jako „docent etatowy afiliowany z macierzystej Uczelni „ z obowiązkami wynikającymi z tak zwanego pensum dydaktycznego. Dla mnie szczególnie przykre i odrażające były plotki rozsiewane przez „życzliwych „, że to ja, broniąc się przed odejściem z Kliniki, nakłoniłem Bochenków do pozbycia się Janka z Kliniki. Wszystko było absurdem – chciałem się pozbyć Janka, sam rozglądając się za pracą gdzie indziej.

Profesor miał przewlekłą chorobę serca i był z tego powodu dość często nieobecny w klinice. W końcu roku akademickiego 1974/1975 wystąpił do Rektora o powołanie na stanowisko docenta etatowego doktor habilitowanej Wandy Bochenkova i mnie. Zapytany przez dziekana o opinię w tej sprawie odpowiedziałem, że jeżeli jest to – a była – umowa wiązana, to ja dziękuję za ten zaszczyt. Dostaliśmy jednak oboje powołanie wraz z początkiem października 1975 roku.

Nowy rok akademicki 1975/1976 rozpoczęliśmy już w nowym pomieszczeniu Kliniki na VII piętrze bloku B w Centralnym Szpitalu Klinicznym Akademii Medycznej w Warszawie przy ulicy Banacha, który został właśnie przekazany do zagospodarowania.

W maju 1975 roku Szef powiadomił mnie, abym nie planował urlopu w czerwcu i lipcu bowiem moim zadaniem było przeprowadzenie Kliniki ze starego szpitala przy ulicy Nowogrodzkiej do nowej siedziby. Przez nieomal dwa miesiące wakacji roku 1975 ciężko pracując z panią Regimą Strzelec, wspaniałą szefową pielęgniarek i jej zastępczynią panią Krystyną Korembą, przygotowaliśmy klinikę do otwarcia na siódmym piętrze nowego gmachu szpitala na Banacha wraz z pracownikami naukowymi na II piętrze.

Agnieszka rozpoczęła naukę w Liceum im. Jana Zamojskiego przy ulicy Smolnej. Nie był to ulubiony przez nią okres Jej życia. Moje kontakty z nauczycielami tegoż liceum wykazywały, że tylko nieliczni z nich byli na poziomie moich ukochanych belfrów z Liceum Władysława IV. To był tak zwany „nowy zaciąg pedagogów mających wychowywać młodzież w duchu wierności Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej „. Były oczywiście wyjątki, jak na przykład Frau W., nauczycielka niemieckiego. Piłowała młodzież niesamowicie, ale dzięki niej Agnieszka mogła dość swobodnie rozmawiać po niemiecku.

Jesienią roku 1975 zostaliśmy zaproszeni na kongres organizowany przez prof. Harry Jakobiego, szefa Kliniki O.R.L. Uniwersytetu Martina Lutera w Halle. Zaproszenie przywiozło nam jego dwóch asystentów, z których jeden był lekarzem zaś drugi inżynierem elektronikiem. Byli w naszym wieku i wraz z Tadeuszem Jeglińskim zaprosiliśmy ich na obiad do jednej z warszawskich restauracji. Rozmowa przebiegała dość dziwnie ponieważ przez cały czas z ich strony była to agitacja polegająca na gloryfikowaniu Niemieckiej Republiki Demokratycznej jako kraju, w którym socjalizm jest już niewątpliwie dniem dzisiejszym. Wyrażając zdziwienie odrzucaniem przez nich wszelkiej myśli o przyszłym zjednoczeniu Niemiec dowiedzieliśmy się rzeczy kuriozalnej. Nie ma jednego narodu niemieckiego. Są dwa. Jeden porządny – to oni, enerdowncy. Drugi pogrobowiec faszyzmu-to Niemcy Zachodni. Patrzyliśmy na siebie z Tadeuszem zdumieni i obaj myśleliśmy dokładnie to samo: jakim szczęściem było to, że Tuchaczewski i Trocki dostali w dupę nad Wisłą w roku 1920, co uniemożliwiło połączenie sił ideologicznych bolszewików i niemieckiej precyzji działania już w tamtych czasach. Obiad zakończył się bez deseru kiedy powiedziałem obu panom, że oni mają jednak lepsze wyjście niż my Polacy. Zawsze mogą przewrócić mur. Byli zbulwersowani propozycją takiego rozwiązania ich problemów. Jak rozumiem mamy z Tadeuszem swoje akta w dokumentacji sprawnie działającej policji politycznej Stazi, godnej następczyni Gestapo..

Jechaliśmy jednak do Halle w ramach przyjaźni polsko – enerdownskiej. Do biura kongresu dotarliśmy wieczorem i zamurowało nas z wrażenia. Przed wejściem do hotelu przeżyło się na baczność conajmniej sześciu dorodnych aryjskich blondasów w znanych nam z czasów okupacji mundurach wehrmachtowców. Wygląd typowych hilerowców z czasów Powstania Warszawskiego. Tylko nie wyrzucali w górę ręki w hitlerowskim pozdrowieniu. Tłumaczono nam przy wódce, że celem ubrania Volksarmee w zniechędzone przez nas mundury morderców była chęć udowodnienia, że oto są w nie przybrani „strażnicy socjalizmu „, niejako w ramach ekspiacji. To oni właśnie chronią obóz socjalistyczny przed NATO, czują się pretorianami socjalizmu. Mózgi,

przynajmniej oficjalnie, tak samo wyprane jak chłopców z Hitlerjugend. Wygłosiliśmy z dr. Bieniem dwa referaty: „ Studien uber Normen der vestibularen Reaktionen „ oraz „ Kompensation des einseitigen Labyrinthausfalls im Dreh-Pendel-Test „ opublikowane następnie w roku 1975 w Zschr.f.Militar.- Medizin. Nie lubimy się chwalić tym dorobkiem. Gospodarzem zjazdu, jak się okazało nie był wcale prof. Jakobi, który spełniał jedynie rolę wabika, ale szef Departamentu Służby Zdrowia Ludowej Armii N.R.D. generał porucznik von Gestewitz, który przeszedł rehabilitację ideologiczną w niewoli radzieckiej po ranie odniesionej pod Możajskiem.

Wracając do Polski mieliśmy kilka godzin oczekiwania na pociąg z Berlina do Warszawy. Czas ten wykorzystaliśmy na wycieczkę po Unter den Linden. Miasto było ponure i polskie oko nie mogło się nie cieszyć szerokim pasem martwej ziemi będącej strefą śmierci oddzielającej obie części Berlina: wschodnią i zachodnią. Mur berliński, jako żywo, przypominał mury warszawskiego getta. Sami sobie zgotowali ten los, na który zasługiwali. Największą frajdę sprawiały nam żywe zające buszujące po ziemi niczyjej. Przed wyjazdem Profesor zafundował nam w restauracji dworcowej typowy niemiecki obiad: golonkę z pure ziemniaczanym, grochem i piwem.

W roku 1976 pojechaliśmy z Tadzim do Poznania na Targi Poznańskie. Można tam było, przy okazji, zobaczyć stoiska proponujące nowoczesne zdobycze techniki medycznej. Była to w tych czasach jedyna okazja aby sobie przynajmniej popatrzeć co ten zgniły świat kapitalistyczny wymyślił. Wyjechaliśmy pociągiem pospiesznym wprost po pracy w klinice. Nie było wagonu reasturacyjnego i głód szarpał nam żołądek. W Poznaniu wokół Dworca Głównego ani śladu możliwości zjedzenia czegokolwiek. Coraz bardziej głodni, a więc i zdesperowani kręciliśmy się wokół nieustannie pytając o możliwość zdobycia jakiegoś żarcia. Wreszcie zdarzył się cud. Jeden z przechodniów poinformował nas, że idąc w pewnym kierunku natrafimy na restaurację serwującą dania z mięsa końskiego. Byliśmy w stanie zjeść nosorożca, a co dopiero koninę. To co zobaczyliśmy na talerzach klientów było nader zachęcające i wyglądem i zapachem. Podeszła miła pani kelnerka i zadalismy jej pytanie: „ *Jesteśmy w podróży. Co by Pani nam poleciła z dań przez Was serwowanych ?* „. Odpowiedź była porażająca i charakterystyczna dla pracowników gastronomii socjalistycznej w formie i treści: „ *Panowie, ja bym tu niczego do gęby nie wzięła, ale jak się Panowie na coś końskiego zdecydują to oczywiście zrealizuję (sic !) zamówienie.* „. Zamówiliśmy końską polędwicę i doceniliśmy gusta włoskich i francuskich smakoszy uwielbiających to mięsiwo. Konina podlana miejscowym piwem firmy LECH wprawiła nas w niebiański nastrój i skierowała ukojonych do Hotelu Wielkopolskiego, gdzie mieliśmy zamówiony pokój.

Pani Docent Bochenkowa zajmowała się audiologią, a więc działem nie zabiegowym otolaryngologii i ja pod nieobecność szefa pełniłem rolę prowadzącego sprawy kliniki. W tym właśnie okresie doszło do bardzo przykrych dla mnie incydentów związanych z okazywanymi nagminnie objawami braku zaufania co do mojej lojalności wobec szefa. Kompletnie nie rozumiałem w czym rzecz. Czyżby to był ten „ amerykański kompleks „ pani Docent, która miała dominujący wpływ na męża. Dochodziło do tego, że w podczas prowadzonych przeze mnie porannych odpraw całego zespołu lekarskiego stawiano przede mną magnetofon i nagrywano to co mówię. Zapytana jaki jest cel tego przedstawienia pani Docent odpowiedziała, że pan Profesor chce wiedzieć co ja zespołowi przekazuję pod Jego nieobecność. W tych warunkach, przy tej atmosferze, zacząłem rozglądać się coraz energiczniej za nowym miejscem pracy. Profesor Czarnecki zapytywany przeze mnie czy nie miałby dla mnie miejsca u siebie, na przykład konsultanta w ambulatorium, odrzekł, że nie chce wchodzić w konflikt z profesorem Bochenkiem. Obiecał jednak, że będzie pamiętał o moich problemach i wyraził żal, że nie mogłem dołączyć do wojskowej służby zdrowia w roku 1972.

Poza przeniesieniem Kliniki do nowego gmachu przy ulicy Banacha innym ważnym wydarzeniem w naszym życiu, zwłaszcza rodzinnym, była w roku 1975 budowa domku letniskowego w Wildze koło Garwolina. Działkę o powierzchni około 3800 m kwadratowych, położoną we wspaniałym wysokopiennym lesie sosnowym, kupił przed wojną mój Teść. Mimo całej biedy obie Ciocie Elżbiety przez okres powojenny płaciły podatki od nieruchomości i oto zdecydowaliśmy się na zbudowanie czegoś co służyć miało letnim wyprawom za miasto, wyprawom do siebie. Finansowanie całego przedsięwzięcia ułatwił nam fakt wywłaszczenia z działki i niewielkiego domu mieszkalnego w Międzylesiu, posadowionych w miejscu na którym zamierzano postawić ciepłownię zaopatrującą budowane w tym czasie Centrum Zdrowia Dziecka. Był to jeden z powszechnych fenomenów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, że mając własny dom przez siedem lat po zawarciu małżeństwa mieszkaliśmy w życzliwym kącie mieszkania moich

Rodziców. W Międzylesiu, jak mawiał mój ukochany poeta Adam Ważyk, w okresie Powstania Warszawskiego, pod nieobecność właścicieli „*lud wszedł do śródmieścia* „ i sprawiedliwość dziejowa nie dozwalała, aby się stamtąd wyniósł. Była to hołota wyjątkowa, która zdewastowała przyjemny kiedyś domek jednorodzinny w sposób barbarzyński. Rozebrano starannie, na opał, drewniany domek ogrodnika. W każdym z sześciu pomieszczeń mieszkała inna rodzina, zaś dzika wymiana dzikich lokatorów następowała nocami. Rekompensata „wywłaszczeniowa „ była absurdalnie mała, ale pozwoliła nam, oczywiście przez znajomości, zakupić drewniany, wiatrem podszyty domek letniskowy w Zakładach Drewna Budowlanego w Łomiankach. W okresie braku na rynku dostępu dosłownie „*do wszystkiego* „ zdobywanie kolejnych bogactw: cementu, siatki ogrodzeniowej, słupków, papy, masy do uszczelniania dachu i innych materiałów budowlanych było zadaniem karkołomnym. Pomogli nam wdzięczni pacjenci i pacjentki. Sam domek zmontowała nam z drobnych elementów drewnianych opłacona ekipa fachowców z zakładów w Łomiankach. Cement i siatkę zdobyła dla nas doktór Eugenia Kossecka, miejscowa lekarka z Wilgi zdobywająca w naszej klinice specjalizację. Zmarła kilkanaście lat później jest wciąż żywa w naszej wdzięcznej pamięci. Decyzja o zasiedleniu się w Wildze w okresie ciepłych pór roku była jedną z najszcześniejszych i najwłaściwszych decyzji w naszym życiu małżeńskim, a czasy po narodzinach naszych wnuków i zwłaszcza po przejściu na emeryturę upewniały nas w tym za każdym zbliżaniem się do naszej „*willi* „.

W marcu 1976 musiałem wreszcie zrealizować wielkie pragnienie Agnieszki i kupiliśmy Jej maleńką czarną jamniczkę – Pepsi. Radość była ogromna i zakochanie wielkie, ale też w krótkim czasie wielkie nieszczęście. Mimo szczepienia wystąpiły u naszej suczki objawy ciężkiej postaci nosówki. Uśpienie dla ulżenia jej koszmarnym cierpieniom było niezbędne. Na szczęście Aga przebywała w tym czasie na obozie młodzieżowym na Mazurach i podjęcie tej dramatycznej decyzji było jej oszczędzone. Dopiero po czterech latach, na początku roku 1980 zdecydowaliśmy się na kupno kolejnej jamniczki, bo tylko ta rasa i ta płęć wchodziła w rachubę. Jak pięknie pisała pani Monika Żeromska w swych „*Wspomnieniach* „: „*Być bez psa, żyć bez psa jest rzeczą trudną i smutną. Obiad bez niedopuszczalnego kręcenia się wokół stołu, malowanie przy sztalugach bez śpiącego tuż pod nogami, rozciągniętego na podłodze psa, co jest szalenie niewygodne, ale lubę, drzemka poobiednia bez ciepłego cielska wklonowanego w zagięcie kolan, to wszystko zubaża życie* „. Sama prawda i tylko prawda. A więc ruszamy po psa, a właściwie po następną jamniczkę. Trzeba tu podkreślić, że *psiarze* dzielą się na dwie kategorie: jedni mają psy, a drudzy jamniki.

Wybór suczki w zaprzyjaźnionym domu jest godzien opisanie. Zdecydowaliśmy, że pierwszy szczeniak-suczka, która podbiegnie do Agnieszki to będzie ta ukochana. Podbiegła największa, zwana przez właścicieli Sabą. Cały miot był rudej maści. Suka matka starannie obwąchała Agę i następnie pyskiem przewróciła wybrane szczenię na grzbiet, wylizała i nosem przytoczyła je do stóp mojej córki. Z całą swą mądrością i matczyną czułością tym niemym gestem powiedziała: „*Oto moje dziecko, przekazuję Ci je, opiekuj się nią starannie !!!* „. Gdyby ktoś mnie tą historię opowiadał trudno było by uwierzyć w jej prawdziwość. Została nazwaną Peggy (*Małgorzatka*) i do jesieni 1992 roku rządziła nami i całym domem. W roku 1984 miała sześć pięknych rudych jak ona szczeniaków. Rudych, mimo, że ich ojciec był wspaniałym czarnym jamniorem. Wszystkie poszły do domów ludzi godnych zaufania i kochających psy. Bezgraniczne zakochanie było wzajemne i była pierwszą panią naszego domu i działki w Wildze. W roku 1987 uległa ciężkiemu zatruciu i od tego czasu miała napady padaczki, które były coraz cięższe. Ku naszej rozpacz, pośród objawów ciężkiej niewydolności krążenia musieliśmy skrócić jej mękę w listopadzie 1992 roku. Zbigniew Kwiatkowski wydał w latach 1970 -tych cudowną książkę pod tytułem: „*Historia Petita, jamnika zwykłego, ale i niezwykłego* „. Opisując wrażenia swoje i bliskich po śmierci ukochanego psa pisze: „*Czy ma jakikolwiek sens pytanie: gdzie jest teraz ?. Nie przeszkadza nam to jednak wyobrazić go sobie biegnącego przez wysokie trawy Największej Łąki do jemu tylko wiadomego celu. Swoim zwyczajem przystaje co chwila patrzeć, czy podążamy za nim.* „ Jakże by się pragnęło, aby tam gdzie zdążać nam obiecano, można było się spotkać ze wszystkimi naszymi jamniczkami.

Jej wnuczka trafiła, jako pierwszy pies, a właściwie *psica*, do mego kolegi i wychowanka, docenta B. Kiedy we właściwym dla jej wieku momencie wystąpiła pierwsza ciecinka, niedoświadczony hodowca, zadzwonił do mnie i zapytał: „*Panie Profesorze, czy to co miesiąc będzie taki kłopot ?* „.

Pustka jaka zapanowała w domu była nie do zniesienia i niebawem przez panią Marię Sawicką, współpracującą ze mną pielęgniarkę, znaną w klinice jako „*psia mama* „, zamówiłem następną jamniczkę. W rodzinie Jej znajomych czarna, piękna suka Sonia była właśnie szczenna. W styczniu urodziła same czarne małe diabełki, z których wybraliśmy ponownie największą suczkę. Było oczywiste, że może być to jedynie kolejna Pegusia. I tak żyje z nami od początku marca 1993 roku jako maleńka, czarna pani rządząca naszym domem. Oby była z nami jak najdłużej.

Sprawa mojej dalszej pracy rozstrzygnęła się w początkach lata 1976 roku. Pan docent Roman Karwowski, dotychczasowy, wieloletni ordynator Oddziału Laryngologii Centralnego Szpitala Klinicznego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Warszawie przy ulicy Komarowa (dzisiaj i dawniej ul. Wołoska) uległ ciężkiemu zawałowi serca. Jego stan był krytyczny i stało się oczywistym, że nawet po wyjściu z tej choroby z życiem nie będzie w stanie wrócić do aktywnej pracy. Profesor Czarnecki, jak zawsze przyjazny i lojalny wobec mnie, poprosił na rozmowę będąc swego rodzaju kuratorem tego oddziału. Pytanie było proste: czy byłbym zainteresowany przejściem na zwalnijące się stanowisko ordynatorskie. Prosta i zdecydowana była też odpowiedź-tak !. Zdawałem sobie sprawę, że mimo wszystko dla Pana Profesora i Jego Żony byłem jak to mawiają Rosjanie:” *Bywszym czelawikiem* „.

Docent Karwowski zmarł po kilku tygodniach i sprawa stała się nie tylko aktualna, ale paląca. Zostałem zaproszony do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych na rozmowy i przedstawiono propozycję zatrudnienia na stanowisku ordynatora Oddziału Laryngologii Centralnego Szpitala Klinicznego M.S.W.. Uprzedzono, że to stanowisko łączy się obligatoryjnie z przejściem na etat pułkownika, oficera Milicji Obywatelskiej. Zapytany przeze mnie o sens takiej reguły rozmówca odpowiedział, że nie chodzi tu o pracę, ale o służbę. Póki co otrzymałem patent na podporucznika Milicji Obywatelskiej, który to stopień miałem wyniesiony z wojska. Awansować mogłem i miałem w niedługim czasie i to w przyspieszonym tempie. Etat wiązał się z nielimitowanym czasem pracy, czasem, który wyznaczała aktualna sytuacja chorych powierzonych naszej opiece. Każdego dnia lekarz dyżurny przez całą dobę pełnił ostry dyżur i musiał załatwić wszystkie przypadki wymagające pomocy doraźnej. Ordynator miał obowiązek dojeżdżać o każdej porze doby do wszelkich przypadków wymagających szczególnej opieki i pomocy doraźnej w warunkach zagrożenia życia a także pełnić dyżury całodobowe. Obiecano mi uzupełnienie aparatury diagnostycznej i narzędzi chirurgicznych wedle potrzeb zgodnych z aktualnym stanem wiedzy medycznej. Pensja, wbrew powszechnemu mniemaniu, była niższa niż etatowego docenta w Akademii Medycznej, co obiecano wyrównać premiami.

Swą decyzję odejścia z Akademii Medycznej przekazałem profesorowi Bochenkowi, który, aczkolwiek zaskoczony, nie był tym zmartwiony. I słusznie. Wystawił mnie następującą opinię:

Warszawa dnia 25 października 1976 roku

„ Docenta dr.hab. med. Grzegorza Janczewskiego znam ze wspólnej pracy w Klinice Otolaryngologii Akademii Medycznej w Warszawie od początku roku 1961. W tym czasie śledziłem Jego rozwój zawodowy, naukowy i dydaktyczny. Byłem promotorem w Jego przewodzie doktorskim, opiekunem przewodu habilitacyjnego i wprowadziłem Go do P.Z.P.R. Na podstawie wieloletniej współpracy mogę stwierdzić, że doc.dr.hab.med. Grzegorz Janczewski jest bardzo dobrym lekarzem, o dużym doświadczeniu klinicznym – diagnostycznym i operacyjnym. Ma dobrze opanowany warsztat chirurgii w zakresie głowy i szyi, w tym operacji mikrochirurgicznych, onkologicznych i innych stosowanych w naszej specjalności. Jego doświadczenie lekarskie upoważnia mnie do stwierdzenia, że jest On w pełni dojrzały do samodzielnego prowadzenia pełnoprofilowego oddziału otolaryngologicznego.

Doc.dr. hab. med. Grzegorz Janczewski jest również poważnym pracownikiem naukowym. Jego dorobek jest ukierunkowany głównie na otoneurologię. Do tej tematyki należała również Jego praca habilitacyjna. W zagadnieniach otoneurologii i audiologii doc.Janczewski ma poważny dorobek, a Jego prace były referowane nie tylko w kraju, ale także zagranicą. W tych dziedzinach zalicza się do najwybitniejszych naukowców w polskiej medycynie. Wyrazem dla Jego działalności było powołanie Go w skład Komisji Otologicznej Komitetu Patofizjologii Klinicznej Polskiej Akademii Nauk w roku 1973, a także indywidualna nagroda naukowa II stopnia przyznana przez Ministra Zdrowia i Opieki Społecznej w roku 1974.

Doc.dr.hab.med. Grzegorz Janczewski jest bardzo sprawny organizacyjnie i administracyjnie, rzutki i zrównoważony. Zarazem jest lojalny i koleżeński, chętny zawsze do pomocy i współpracy, a zarazem ma zdolności kierowania zespołem i bardzo duże poczucie odpowiedzialności. Te Jego cechy spowodowały powołanie Go na funkcje Sekretarza Zespołu Specjalisty Krajowego d.s.Otolaryngologii, którą pełni z powodzeniem od roku 1973.

W moim przekonaniu w/w w pełni zasługuje na powierzenie Mu kierownictwa Kliniki Otolaryngologii w Centralnym Szpitalu Klinicznym Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Warszawie.

(-) Prof. dr. hab. med. Zbigniew Bochenek.

Rozstawaliśmy się jak ludzie kulturalni, spokojnie, bez wzajemnych żalów i wstrętów. Śmiem twierdzić, że obaj odczuwaliśmy swego rodzaju ulgę. Ustaliliśmy z Rektorem i odpowiednimi służbami personalnymi CSK MSW, że dniem mojego objęcia stanowiska ordynatora na Wołoskiej będzie 1 stycznia 1977 roku. W ostatnim dniu mego pobytu w Klinice otrzymałem z rąk Profesora książkę Tomasza Kępińskiego:

„ Witold Gombrowicz i świat jego młodości „ z dedykacją: „ Z wyrazami niezmiennej przyjaźni dla mego pierwszego Ucznia i Przyjaciela w przeddzień objęcia nowej, własnej placówki. Zbigniew Bochenek. Warszawa 31.XII. 1976 „.

Szczególnie wzruszające było dla mnie przekazanie przez zespół pielęgniarek Kliniki „ Księgi cytatów z polskiej literatury pięknej „ ułożonej przez Pawła Herta i Władysława Kopalińskiego i wydanej przez Państwowy Instytut Wydawniczy.

Na wklejce, znajdowała się pisana na maszynie dedykacja:

„ Historia jest zbiorową solidarną sprawą – nie tylko siebie przeżywamy – przeżywamy nieustannie innych „

DROGI NAM PANIE DOCENCIE !

*Rozterkę w nas wywołujesz swym odejściem ... różnorakie uczucia budząc:
żal, smutek, a nawet ból*

Ale nie !. Już rodzi się nowe, chociaż jeszcze ukryte uczucie radosnej nadziei, która jak poranek niebawem nastąpi, powrót Twój nam zwiastując.

My się nie żegnamy – tylko rozstajemy, a po rozstaniu może być tylko radość !.

Zawsze oddane

Podpisy wszystkich pielęgniarek pracujących w Klinice.

Warszawa dnia 31.XII. 1976 roku.

To była najmiłsza z nagród jakimi zostałem wynagrodzony w ciągu wszystkich lat mojej pracy z ciężko pracującym zespołem ludzkim. Ale dziewczyny miały nosa !!!.

Szpital na Wołoskiej 1.I.1977 – 31.X. 1977.

Oddział Laryngologiczny CSK MSW w Warszawie w chwili rozpoczęcia mojej pracy liczył sobie nieco ponad 30 łóżek, w tym pięć łóżek dziecięcych. Miałem znakomity zespół współpracowników, doświadczonych lekarzy i doskonale pielęgniarki. Współpracowali ze mną doktorzy: Stefan Berezowski, Leon Jastrzębski, Henryk Sienkiewicz, Edward Mroczkowski i Mirosław Matejek. W okresach nasilenia urlopów wypoczynkowych zatrudniano na dyżurach kolegów lekarzy z wojskowej służby zdrowia. Szpital był w latach 1950 – tych zbudowany przez

firmę szwedzką jako bodaj najnowocześniejszy w Warszawie a może nawet w Polsce. Sala operacyjna prezentowała się rewelacyjnie i była przygotowana na pełen zakres operacji w zakresie głowy i szyi. Dla operacji usznych służył najnowszej generacji mikroskop niemieckiej firmy OPTON z regulowaną automatycznie głębią ostrości. Szpital był istotnie prowadzony na poziomie akademickim. Większość oddziałów była kierowana przez samodzielnych pracowników nauki spośród których wyróżniali się profesorowie: Chrapowicki – pediatra, ten sam, który ratował nas na Pradze Wielkanocą roku 1945, Krotkiewski – internista, Turski – chirurg, Jakubowski – dermatolog, Kuźnik – urolog. Szpitalem kierował dyrektor docent Jan Szeliga, wspaniały organizator, kulturalny człowiek, specjalista pediatra. Okres pracy w tym szpitalu wspominam jako jeden z najprzyjemniejszych okresów mojego życia zawodowego. Czułem się tu potrzebny, chciany, czego przyjazne otoczenie dawało wyraz każdego dnia. To był wielki, niesłychanie przyjemny kontrast z ostatnimi latami mojej pracy w klinice. Operowaliśmy dużo i wbrew powszechnej opinii, pacjenci okazywali nam wiele wdzięczności i szacunku.

„Uprawnieni „ do korzystania z naszych usług ludzie byli w rzeczy samej grupą dość hermetycznie wyizolowaną ze społeczeństwa, i cokolwiek by ktoś nie mówił przez społeczeństwo nie lubianą. Zapewne nie ma kraju, gdzie „ glina „ byłby ulubieńcem szerokiej publiczności. W tej sytuacji okazanie im troski, dbałości, życzliwości i uśmiechu w czasie choroby spotykało się z bardzo dużą wdzięcznością i uznaniem. W sposób szczególny odczuwaliśmy to oddając w ręce rodziców wyleczone dzieci.

W czerwcu pacjentem był szef resortu generał Kowalczyk. Uratowaliśmy mu wtedy życie, co wzmocniło pozycję szpitala w centrali. Gotowość do nieustannej modernizacji wyposażenia oddziałów była tu, w tym czasie zaskakująca i szokująca byłego docenta szpitala akademickiego. Po szybkim zaprzyjaźnieniu się z Jankiem Szeligą kiedyś zapytałem się dlaczego każdy z szefów oddziałów i wielu jego asystentów, ba – wielu lekarzy pracujących w służbie zdrowia MSW, jest, a raczej musi być na etatach milicyjnych. Odpowiedź była dość przekonująca: „ *Wy nie jesteście tu w pracy, wy jesteście na służbie. Tamci nasi lekarze w terenie są także na służbie. Jeżeli jest akcja milicji i mamy rannych w strzelaninie czy wypadku, to pracownik cywilny wobec zagrożeń może odmówić wejścia w pole ostrzału czy w teren grożący na przykład zawaleniem. Oficer milicji musi spełnić rozkaz „.* Przypomniałem sobie to tłumaczenie po krwawej masakrze policji w Magdalence z roku 2003. Czy nie mieli racji ?

Moje ordynowanie było niezwykle ważną próbą życiową dla mnie, młodego człowieka, który miał kierować zespołem w znacznej mierze składającym się z ludzi o wiele ode mnie starszych, o znacznie dłuższym stażu zawodowym. Nasze wzajemne stosunki ułożyły się jednak idealnie. Co więcej, kiedy Profesor Bochenek był chory i ja pilnowałem spraw klinicznych na Banacha wydawało mi się, że wiem już niemal wszystko o kierowaniu oddziałem i zespołem ludzi. Jednak dopiero na Wołoskiej uświadomiłem sobie, że w Klinice zawsze w chwilach trudnych miałem jeszcze jedno wyjście: mogłem powiedzieć, że o tym czy tamtym zdecydować musi nieobecny na razie kierownik Kliniki, a nie ja. Tutaj miałem warsztat pracy z całym dobrodziejstwem, a raczej trudem, inwentarza i ostateczna decyzja wraz z odpowiedzialnością za jej podjęcie i wykonanie musiała zależeć do mnie. Czułem się, podobnie jak swego czasu mój pierwszy szef dr. Kanabus w pełni ODPOWIEDZIALNYM za to co robię i decyduje sam, i za to co działa mój zespół. Było to znakomite przygotowanie do następnych etapów mego życia.

Moje kontakty z macierzystą kliniką nie układały się poprawnie mimo doskonałej pożegnalnej opinii i milej dedykacji Szefa. Z relacji kolegów wynikało, że kontrolę nad wszystkim bez reszty przejęła pani Docent Wanda B. Sekretarka, pani Halina P., z którą pracowałem wiele lat kiedyś szeptem przekazała mi w rozmowie telefonicznej informację, że każdy telefon ode mnie MUSI być przekazany pani Docent, nie zaś Profesorowi. Ona kontroluje z kim Profesor może, a z kim nie powinien rozmawiać. To wyglądało na ubezwłasnowolnienie Szefa, za Jego przyzwoleniem zresztą. W czerwcu miało odbyć się w Klinice spotkanie organizowane w ramach tzw. „Polsko – Francuskich Dni Otolaryngologii „. Nie zaproszony próbowałem uzyskać zgodę pani Docent na wysłuchanie referatów, ale otrzymałem od niej w rozmowie telefonicznej odpowiedź, że możliwości mojej obecności w Klinice nie przewiduje się. A jednak !.

Koledzy z Kliniki zawiadomili mnie, że w następnych tygodniach Profesor wraz z żoną wyjechali wreszcie do Stanów Zjednoczonych. Udał się tam po raz pierwszy, co miało mieć tak ogromne znaczenie prestiżowe dla człowieka o tak wielkim prestiżu. W Nowym Jorku wydarzył się dramat. Profesor miał następny zawał serca i po krótkim pobycie, w pierwszym momencie, kiedy Amerykanie uznali że jest to możliwe i względnie bezpieczne, został odesłany do Polski. Jego stan był nadal poważny i zaproszono mnie do Ministerstwa Zdrowia proponując, abym wrócił do kliniki, kierując nią w zastępstwie Profesora. Odrzuciłem tą propozycję w sposób bardzo stanowczy jako bezsensowną i nie do przyjęcia. To oznaczało by możliwości, ba – pewność, nieustannego konfliktu z Żoną i kolejnych pomówień o nielojalność. W dniu 10 lipca przed południem, w czasie pracy zostałem wezwany pilnie do telefonu. Dzwonił do mnie profesor Bochenek. Rozmowa była ogromnie wzruszająca i dla niego i dla mnie. Był to doktor Bochenek z wczesnych lat 1960 – tych, miły, przyjazny, odwołujący się do wszystkiego co nas łączyło. Prosił o spotkanie w dniu 13 lipca, w swoim gabinecie w Klinice na Banacha. Tłumaczył się, że nie czuje się dobrze i dlatego nie może przyjechać na Wołoską. Musiałem tegoż samego dnia odwołać jednak nasze spotkanie, bowiem w ramach służby właśnie, zobowiązano mnie tego dnia zbadać któregoś z wiceministrów MSW. Miałem po prostu czekać na VIP – a, jednego z kierownictwa MSW, który przybędzie wtedy kiedy ON będzie miał czas. Przełożyliśmy nasze spotkanie na kilka następnych dni później. W dniu 15 lipca rano otrzymałem wiadomość, że poprzedniego dnia w nocy Profesor nagle zmarł na kolejny atak serca. Podobno musiał, a może wypadało Mu, być na przyjęciu w Ambasadzie Francji z okazji 14 lipca i to okazało się zabójczym pomysłem. Pomyślałem sobie wtedy i myślę także dzisiaj, pisząc te słowa kilkadziesiąt lat później, że dobry Pan Bóg strzegł mnie przed pomówieniami o to, że to nasza rozmowa mogła być przyczyną tego zgonu. Ze śmiercią tego niepospolitego człowieka, który zmagał się bezskutecznie z własnymi słabościami ciała i ducha zakończył się następny ważny etap mojego życia.

Prof.dr.hab.med. Zbigniew Bochenek odegrał w moim życiu rolę niepoślednią. Było by niesprawiedliwością i nietaktem, abym w tym miejscu nie poświęcił tej postaci więcej uwagi. Co prawda Plutarch wyznawał zasadę: „ *De mortuis aut bene, aut nihil !*”, ale istota ludzka w żadnym ze znanych mnie przypadków nie jest czystym brylantem. Dotyczy to także mojej osoby, a może zwłaszcza mojej, co stwierdzam z pokorą.

Urodził się 8 lutego 1923 we Lwowie, w rodzinie nauczycielskiej. Był siostrzeńcem profesora Dobrzańskiego. W czasie okupacji utrzymywał siebie i rodzinę karmiąc wszy w instytucie profesora Weigla przygotowującym szczepionki przeciwtyfusowe dla Wehrmachtu. Dyplom lekarza uzyskał na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Jagiellońskiego w roku 1948. Po odbyciu rocznego stażu został zatrudniony w Klinice Otolaryngologii w Warszawie na stanowisku asystenta. W roku 1951 obronił pracę doktorską p.t. „*Badania audiometryczne w kile wrodzonej i późnej* „. W czasie branki do wojska męskiej części zespołu profesora Dobrzańskiego z polecenia niesławnej pamięci doktora K. został powołany do służby wojskowej i tam spędził cztery lata. Po powrocie do Kliniki otrzymał stypendium na wyjazd do Instytutu Otologii i Laryngologii w Londynie, gdzie prowadził badania nad patologią narządu równowagi pod kierunkiem prof. Ormeroda i we współpracy z prof. Dochmanem, dr. Mc Lay’ em i dr. Hinchliffem. Owocem tego pobytu była wspólna praca opublikowana w *Journal of Laryngology & Otology*. W roku 1963 wyjechał na kilkumiesięczne stypendium naukowe do Szwecji, gdzie współpracował w Karolinska Sjukhuset w Sztokholmie z prof. Hambergerem i doc. Fluurem. Wizytował także inne ośrodki akademickie w Lund, Upsali, Umea i Geteborgu.

W roku 1960 organizował w Centralnym Ośrodku Badawczym Kolejowej Służby Zdrowia w Warszawie pierwszą w Polsce, nowoczesnie wyposażoną pracownię badań narządu przedsionkowego. Kierował tą placówką przez wiele lat szkoląc wielu specjalistów w zakresie otoneurologii. Był nie kwestionowanym pionierem i leaderem nowoczesnej vestibulologii w Polsce.

W roku 1963 uzyskał stopień naukowy docenta w wyniku przewodu habilitacyjnego na podstawie pracy p.t. „*Badania kliniczne i doświadczalne nad przydatności elektronystagmografii w ocenie czynności narządu przedsionkowego* „. 16 marca 1969 roku został mianowany profesorem nadzwyczajnym, a 1 września 1969 objął kierownictwo Kliniki Otolaryngologii A.M. w

Warszawie. W roku 1976 otrzymał tytuł naukowy profesora zwyczajnego. W roku 1975 Zespół naszej Kliniki pod Jego kierownictwem przeniósł się ze starego gmachu pawilonu nr. 1 Szpitala p.w. Dzieciątka Jezus, gdzie przebywał od roku 1945, do nowo wybudowanego Centralnego Szpitala Klinicznego A.M. przy ulicy Banacha 1. O te przenosiny walczył jak lew rozumiejąc znaczenie szansy zdobycia lepszych warunków pracy.

Znaczący dorobek naukowy prof.dr. hab.med. Zbigniewa Bochenka świadczy o tym, że była to osobowość wybitna i wielostronna. Podejmował problemy trudne, a zarazem niezwykle aktualne z punktu widzenia ówczesnej otolaryngologii. Poliglota, łączył wielką erudycję z ogromną łatwością nawiązywania kontaktów międzyludzkich, zwłaszcza międzynarodowych. Brał czynny udział w wielu zjazdach, sympozjach i warsztatach szkoleniowych prowadzonych przez czołowe ośrodki europejskie. Liczne Jego publikacje ukazywały się na łamach najpoważniejszych czasopism międzynarodowych z zakresu otolaryngologii (Acta Oto-Laryngologica – Stockholm), Audiology – Bazylea, Journal of Laryngology and Otology – Londyn, International Audiology – Leiden, Vestnik Otolaryngologii – Moskwa, H.N.O. – Berlin).

Liczba publikacji prof. Bochenka obejmuje ponad 150 pozycji, w tym redakcję pierwszego w Polsce podręcznika „Otoneurologia Kliniczna”, które ukazało się niestety dopiero po Jego zgonie. W historii otolaryngologii polskiej nazwisko Profesora będzie zawsze związane z działaniem pionierskim w takich dziedzinach jak:

1) Otoneurologia – wprowadził elektronystagmografię jako rutynową metodę oceny narządu przedsionkowego, prowadził badania nad wieloma problemami z zakresu vestibulologii, wykształcił liczne grono ludzi zajmujących się dziedziną, w tym wielu samodzielnych pracowników nauki ;

2) Audiologia – jako pierwszy wprowadził w naszym kraju i krajach tzw. „obozu socjalistycznego” audiometrię potencjałów elektrycznych (E.R.A. i E.Co. G), podobnie jak audiometrię automatyczną wg. Bekeśy’ ego. Był przewodniczącym tzw. „Grupy Robotycznej Państw Socjalistycznych zajmujących się obiektywnymi metodami badań słuchu”. Cykl prac poświęcił urazowi akustycznemu oraz procesowi starzenia się narządu słuchu. Był inicjatorem i konsultantem medycznym konstrukcji pierwszego w Polsce komputera ANOPS, wykonanego w Politechnice Warszawskiej i służącego do badań BERA.

3) Chirurgia otologiczna – jako pierwszy w Polsce i jeden z pierwszych w Europie wprowadził do praktyki homogenne przeszczepy konserwowanej błony bębenkowej i kosteczek słuchowych jako materiału w operacjach rekonstrukcyjnych ucha,

4) Otoneurochirurgia – jako pierwszy w Polsce wykonał operacje mikrochirurgiczne na przewodzie słuchowym wewnętrznym u chorych z zawrotami głowy i z guzem nerwu ósmego. Opisany przezeń dostęp „przez błędnik” jest do dzisiaj opisywany jako pomysł oryginalny i nadal wykorzystywany ;

5) Farmakologia kliniczna – badał wpływ wybranych leków i alkoholu na reakcje słuchowe i błędnikowe ;

6) Chirurgia raka głowy i szyi-opracował technikę operacji ślinianek i krtani. Nowoczesne, zgodne z normami światowymi, metody leczenia operacyjnego nowotworów głowy i szyi stały się w tym czasie standardem w Klinice.

Był promotorem 16 doktoratów i opiekunem 7 przewodów habilitacyjnych.

Świadectwem przynależności prof. Bochenka do czołówki światowych otolaryngologów było wybranie Go na członka Zarządu Międzynarodowej Grupy Badawczej Audiometrii Odpowiedzi Wywołanych, Międzynarodowej Komisji Ekspertów w Dziedzinie Audiologii w Kolejnictwie, Collegium Oto – Rhino-Laryngologicum Amicitiae Sacrum, oraz Czechosłowackiego Towarzystwa Lekarskiego imienia Purkiny ‘ ego.

W latach 1969 – 1972 piastował urząd Dziekana Wydziału Lekarskiego, a następnie w latach 1972 – 1974 Prorektora d.s. Nauki i Rozwoju Kadry w Akademii Medycznej w Warszawie. Od 1970 roku, aż do śmierci, pełnił funkcję Przewodniczącego Zespołu Specjalisty Krajowego d.s. Otolaryngologii oraz stanowisko Przewodniczącego Komitetu Patofizjologii Klinicznej Polskiej Akademii Nauk.

Posiadał odznaczenia państwowe i resortowe: Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Złoty Krzyż Zasługi, medal „ Siły Zbrojne w Służbie Narodu „, medale brązowy i srebrny „Za Zasługi dla Obronności Kraju „, odznakę „ Za Wzorową Pracę w Służbie Zdrowia „, oraz „Złotą Odznakę SYRENKA za Zasługi dla m.st. Warszawy –„.

Ci, którzy z Nim pracowali wspominają Go jako człowieka niezwykle ambitnego i pracowitego, o niesłychanie wyostrzonym zmyśle rozpoznawania tego, co aktualnie w otorynolaryngologii dzieje się istotnie najważniejszego i czyniącym wszystko co możliwe dla przeniesienia tych trendów do pracy w naszej klinice. W kontaktach z ludźmi był czarującym, o ogromnym poczuciu humoru, ale nie znoszącym chamstwa i niedbalstwa w pracy. W ostatnim okresie swego życia nie zawsze umiał oprzeć się wpływom i opiniom narzucanym przez osoby bliskie, ale niekoniecznie mające rozeznanie co do wartości i lojalności wielu ludzi dla Szefa i efektywności pracy zespołu Kliniki.

Prof. Zbigniew Bochenek po wielu latach choroby wieńcowej zmarł na zawał serca w dniu 14 lipca 1977 roku. Ówczesna kardiologia była w tym przypadku bezradna. Był dwukrotnie żonaty. Druga Żona-Wanda była Jego wieloletnim współpracownikiem, profesorem medycyny, specjalistą w dziedzinie audiologii. Córka z pierwszego małżeństwa-Teresa lekarzem, specjalistą w zakresie pediatrii. Jest pochowany na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie. kwatera 42, rząd 6. Porządny człowiek zdaje sobie sprawę, że szacunek to to stan umysłu, a nie zbiór zasad, zaś wdzięczność to pamięć serca. Dlatego też szacunek i wdzięczność dla pamięci o Profesorze Bochenku będzie tkwiła we mnie do końca.

Po pogrzebie Profesora zostałem wezwany na rozmowę, którą prowadzili ze mną Rektor Magnificus prof. dr. med. Leszek Szczęsny Zgliczyński, Dyrektor Instytutu Chirurgii Prof. dr. med. Jan Nielubowicz oraz wicedyrektor tegoż Instytutu prof. dr. med. Jerzy Szczerbań. Przedstawiono mi propozycję powrotu do Uczelni i objęcia stanowiska kierownika macierzystej Kliniki Otolaryngologii. Propozycja dla mnie, czterdziestodwulatka, była tak nęcąca jak przerażająca. Po pierwsze zwróciłem uwagę, że jest co najmniej dwóch kandydatów, którzy w sposób naturalny są zapewne lepiej przygotowani do przejęcia tego stanowiska, a mianowicie prof. Bogusław Moszyński oraz docent Jan Kuś. Po drugie zapewniłem, zgodnie z prawdą, że z Kliniką rozstałem się z własnej, nieprzymuszonej woli i z powodów dla których powrót do pracy tutaj, zwłaszcza współpracy z Wdową, mógłby być, delikatnie mówiąc, trudny. W obecnym miejscu pracuje mi się dobrze, w znakomitej atmosferze, której tak bardzo brakowało mi na Banacha w latach ostatnich. Nie chodzi mi o tak zwany święty spokój za wszelką cenę, ale nie chcę wrócić do pracy w warunkach, z którymi łączy się dla mnie tak wiele bolesnych wspomnień. Wyjaśniono mi, że właśnie okoliczności w jakich odszedłem tak niedawno, moja decyzja świadcząca o tym, że pojmuję istnienie skali ważności spraw i problemów, oraz opinia o mnie, jako o człowieku i lekarzu, wyrażana przez większość zespołu Kliniki, a zwłaszcza przez panią profesor Irenę Cichocką – Szumilin, skłania ich do nalegania o przyjęcie tej propozycji. Podane przeze mnie kandydatury odrzucono z powodów, których nie mogę, nawet po latach wyjaśniać. Alternatywą, jakiej nie chcieliby wybrać, było by zaproszenie jednego z kilku chętnych kandydatów z poza Warszawy. Prosiłem o czas do namysłu. Rozmowy z wielu koleżankami i kolegami pracującymi w Klinice, a także, a może przede wszystkim z prof.Cichocką, Tadzkiem Jeglińskim, doktorem Bieniem, Isią Osuchową, doc. Teresą Goździk-Żołnierkiewicz skłoniły mnie do poważnego rozważenia tej zaszczytnej propozycji. Podobnego zdania był profesor Henryk Czarnecki namawiający mnie gorąco do podjęcia tej decyzji. Podkreślał, że liczy na to, iż będzie miał we mnie dobrego partnera do działań zawodowych i naukowych w środowisku mazowieckim i nie tylko.

Mój nieoceniony Ojciec po niezwykle uważnym wysłuchaniu mnie radził w nowej, niełatwej sytuacji zrobić bilans oparty o regułę: „ Co zyskuję, a co tracę ? „, ze szczególnym uwzględnieniem wartości imponderabiliów. Rodzice wyjeżdżali na zaplanowany urlop do Kazimierza Dolnego skąd nadszedł do mnie list Ojca datowany 23 lipca 1976 roku. W liście tym nawiązując do sprawy pisze między innymi:

„ W jakiś spokojny sposób przeżywamy równie jednak mocno Wasze problemy. Zdajemy sobie sprawę, że dla Ciebie Grzesiu, jak i dla Eli jest to czas oczekiwania chociaż przecież jesteś

ustabilizowany na obecnym miejscu, co może dawać spokój w oczekiwaniu na rozwój sytuacji Musisz wziąć pod uwagę różne warianty rozwoju sytuacji i przygotować się także na negatywne rozwiązanie zaistniałego problemu. Opanowanie, nie zużywanie się uczuciowe, jest bardzo pożądane i zdrowe w okresie wykluwania się jakiejś decyzji, lub – być może – decyzji już przez kogoś podjętej. ...Piszemy z Mamą to tylko po to, abyś nie wszedł w huśtawkę nastrojów: tak !!!, nie !!!, dobrze !!!, źle !!!. To by było najgorzej dla Twego spokoju i Twego zdrowia. My z Matką kochamy Cię nie tylko i nie dlatego, że masz być szefem Kliniki, ale że jesteś takim jakim jesteś. Najważniejsze być zdrowym i pełnym godności człowiekiem. W życiu spotykałem bardzo wysoko postawionych psychopatów i łobuzów, ale pamiętam i szanuję ludzi szlachetnych, takich, z którymi zawsze można było pracować i na których można było liczyć. Zresztą, Ty Grzesiu, wiesz to wszystko co i my. Piszemy Ci o tym, abyś wiedział jeszcze raz i na zawsze, że zawsze całym sercem jesteśmy z Tobą, zwłaszcza w trudnych dla Ciebie momentach.

Z tego wszystkiego co nam piszesz najbardziej ucieszyła nas informacja, że Twoi koledzy z Kliniki, także pielęgniarki chcą, abyś wrócił do Kliniki. Jeżeli jest to szczere z ich strony – a nie zdobywanie sympatii In spe przyszłego szefa – to jest lub może być oznaką, że zdobyłeś sobie szacunek współtowarzyszy pracy, co zawsze bardzo się liczy, chociaż byś do tej dawnej pracy nie wrócił. Im jestem starszy, tym bardziej jestem przekonany, że po każdym człowieku pozostają tylko dwie rzeczy: a) to co zrobił konkretnie: zbudował dom, napisał książkę, namalował obraz, ulżył cierpieniom, wychował dziecko itd., itp., b) jaką pamięć pozostawił po sobie w różnych kręgach społecznych: święty, życzliwy, spokojny, pobudliwy, drań, cwaniak, cynik, egoista, wyniosły, mądry, powierzchowny, szkoda go, niech go szlak trafi itd.. Jeżeli pozostawisz po sobie dobre wspomnienia zarówno u „ duzych” jak i u „ maluczkich „-to znaczy, żeś był prawdziwym człowiekiem. Cieszy nas, że profesorowie Cichocka i Czarnecki, podobnie jak Twoi koledzy i pielęgniarki dobrze Cię oceniają. To jest właśnie to, co w życiu społecznym się liczy moralnie może więcej niż wysokie stanowisko. Zdajemy sobie sprawę, że ruch wokół Twojej osoby, bez względu na finał, jest wodą na młyn i stwarza dobrą atmosferę wokół Twojej osoby „

Jak zawsze Tata był przewodnikiem duchowym w moim życiu, a zwłaszcza jego trudnych momentach. Na pewno zawsze dobrym przewodnikiem i prawym mentorem.

W kolejnej rozmowie z wymienionymi wyżej panami reprezentującymi Władze Uczelni wyraziłem zgodę na zaszczytną propozycję objęcia stanowiska szefa Stołecznej Kliniki Otolaryngologii. Na zapytanie jak sobie wyobrażam współpracę z Wdową, której „ uczucia „ do mnie były powszechnie znane, zastrzegłem sobie, że: primo-mowy nie ma o tym, aby moje działania zmierzały do Jej pozbycia się z Kliniki, secundo – zastrzegam sobie prawo niezbędnego sprowadzenia Jej do roli jaką docent winien spełniać w klinice uniwersyteckiej, z niezbędnym podporządkowaniem się szefowi kliniki. Tak też było przez następnych lat trzynastie, do momentu Jej dobrowolnego odejścia do innej z klinik otolaryngologicznych naszej Uczelni. Sprawę zwolnienia mnie z pracy w placówce podlegającej Ministerstwu Spraw Wewnętrznych wziął na siebie Jego Magnificencja Rektor, a załatwił to szybko i skutecznie. Zawarto umowę, że do dnia 31 października 1977 roku będę ordynatorem zarówno na Wołoskiej jak i na Banacha, co da czas na znalezienie tam mego następcy.

Kilka dni później wziął mnie na bardzo osobistą rozmowę Dyrektor Instytutu Chirurgii profesor Jan Nielubowicz.

„ Kolego ! Kiedy ja po profesorze Butkiewiczu obejmowałem klinikę mój mentor prof. Ludwik Paszkiewicz, wielkiego formatu lekarz, nauczyciel i człowiek, powiedział mi, że skończył się definitywnie czas, w którym myślałem jedynie o sobie, o własnej karierze. Teraz trzeba żyć dla innych, dla uczniów. Miarą znaczenia szefa zespołu akademickiego jest i był zawsze szybki wzrost młodej kadry. Tylko ludzie wielkiego formatu i wybitni nie boją się konkurencji młodzieży. Dla nich awans młodzieży oznacza własny sukces. Niech Pan nie zawiedzie nadziei, które w Panu pokładamy ! „.

W dniach 10 – 12 września 1977 roku odbywał się w Krakowie kolejny ogólnopolski zjazd Polskiego Towarzystwa Otolaryngologów. Środowisko ogólnopolskie wiedziało już, że jestem kierownikiem – elektem Kliniki Warszawskiej. W pewnym momencie zostałem zaproszony na

bardzo kameralne spotkanie i rozmowę z nestorami ówczesnej laryngologii polskiej, profesorami: Aleksandrem Zakrzewskim, Stanisławem Iwankiewiczem, Janem Sekułą i Henrykiem Czarneckim. Z pewnym zaskoczeniem wysłuchałem zapewnień o szczerzej sympatii i szacunku dla mnie, dla mojej dotychczasowej postawy życiowej i chęci ich pomocy oraz gotowości udzielenia życzliwej rady we wszystkich trudnych chwilach, które niewątpliwie mnie czekają.

Na przyjęciu, jakie zorganizowano dla profesorów w sali posiedzeń Akademii Medycznej w Krakowie przy ulicy Świętej Anny w pewnym momencie zobaczyłem na krążganku samotnie stojącego z zapalonym papierosem w ustach profesora Jana Szymańskiego. Usłyszałem od Niego słowa:

„ Grzesiu ! Gratuluje Panu nominacji i ogromnie cieszę się, że to właśnie Pan jest moim następcą. Od dawna darzyliśmy się szacunkiem i przyjaźnią. I widzi Pan, jak to się układają losy ludzi. Byli wielcy, byli dumni, byli zachłanni – A JA ŻYJĘ !!!”.

W dniu 1 października 1977 roku wraz z całym zespołem naszej Kliniki złożyliśmy na grobie profesora Bochenka ogromny bukiet czerwonych róż. Pobyt w Szpitalu MSW na ulicy Komarowa przyniósł dla mnie także przykrość: niejaki Bronisław Wildstein opublikował w Internecie tzw. listę agentów SB i moje nazwisko znalazło się tam pod numerem IPN BU0194/1145. Ordynator służący ludziom chorym z „niewłaściwego resortu „ agentem bezpieczeństwa (sic !)

Profesor Jan Szymański zmarł nagle w dniu 24 lutego 1984 roku w wieku 82 lat. Żegnałem Go, jako Jego następcę w czasie uroczystego pogrzebu na Starych Powązkach.

Przed Świętami Bożego Narodzenia 1977 i Nowym Rokiem 1978 wysłałem jak każde dobry obyczaj życzenia świąteczno – noworoczne wszystkim kierownikom klinik otolaryngologicznych w Polsce. Jednym z najbardziej wzruszających i cennych dla mnie był odzew ze strony powszechnie szanowanego prof. Aleksandra Zakrzewskiego z Poznania. Pisał On:

„ Serdecznie dziękuję wraz z moją Żoną za życzenia świąteczne i noworoczne. Proszę przyjąć od nas obojga życzenia spokojnych Świąt i dużo zdrowia na rok następny. Proszę przekazać najlepsze życzenia Szanownej Pani Małżonce i bliskim Pana Profesora.

Panie Profesorze – pisze Pan w ostatnim liście o mojej życzliwości względem Pana. To prawda. Jestem życzliwy i zaraz wyjaśniam z czego ona wypływa. Zaliczam Pana do nielicznych niestety prominentów naszych laryngologów, którym dobro naszej specjalności i jej przyszłość leży na sercu. Obserwuję wielu Kolegów, analizując ich działania i motywy tych działań. Trudno być optymistą. Bardzo dobrze, że stołeczna katedra dostała się w dobre ręce. Za to Pana szanuję.

Ostatnio zastanawiam się czy sam nie zawiodłem profesorów Laskiewicza, Szmurły i Dobrzańskiego, którzy mnie zachęcali do pracy i czegoś się po mnie spodziewali. Zmarnowałem trochę czasu na nienaukowe wysiłki, ale na usprawiedliwienie mam to, że wojna, że powojenna odbudowa..... itd.. Proszę wybaczyć mi osobiste wymurzenia i nie za wesołe refleksje. Załączam przyjacielski uścisk dłoni. Z poważaniem. A. Zakrzewski

I oto jeden z najznakomitszych w historii naszej specjalności polskich otorynolaryngologów mnie, 42 letniemu młokosowi, tłumaczył się ze swego pracowitego życia, z tego czego nie dokonał, bowiem dokonać nie można było. Zima roku 1978/1979 była jedną z najcięższych w XX wieku. Intensywne opady śniegu paraliżowały komunikację na drogach i kolejach. Sparaliżowany został niemal cały kraj. Były kolejne kłopoty z dostawami węgla. Mieszkałem w tym czasie na Saskiej Kępie i pośród kolejnej śnieżycy wyszedłem na przystanek tramwajowy w pobliżu domu. Spotkałem tam prof. Jana Nielubowicza, który niósł ogromną walizkę. Zapytany co jest w środku odparł, że to książki. Istotnie waga tej walizy była ogromna. Dojechaliśmy w śnieżycy jedynie do Placu Narutowicza i dalej musieliśmy iść pieszo do Klinik na Banacha. Musiałem dla przyzwoitości dygować walizę profesora do samego szpitala. Ja byłem zaopatrzony w pijamę i komplet kosmetyków i przybory do golenia, bo wiele wskazywało na to, że będzie to kilkudniowa wpadka. Co więcej popękały kaloryfery w przejściach na korytarzach i zainstalowano „psim śwędem „ lokomotywy parowe, które dostarczały ciepło do sal szpitalnych.

Wiele lat później mój znakomity pacjent Witold Lutosławski mówił: „ *Kto nie jest skromny, ten jest śmieszny. Jak na megalomana przystało ja jestem człowiekiem skromnym. Istotnie bowiem na skromność może pozwolić sobie tylko ten, kto jest przeświadczony o swoich bogactwach !”.*

Na tym postanowiłem zakończyć opowieść o historii mojego życia. Wszystko co jest dalszym ciągiem tego tekstu należy traktować jako posłowie. Ocena tego czego byłem współsprawcą i świadkiem w latach 1977 – 2002, jak się ze swych obowiązków wywiązałem, nie do mnie należy. Jako człowiek myślący nie mogę i nie chcę jednak powstrzymać się od wyrażenia własnych opinii o wydarzeniach wokół nas toczących się na przełomie XX i XXI wieku i o ludziach, którzy raczej mniej niż lepiej szczęśliwie są w te wydarzenia wpłątywani. Z prawdziwą troską myślę o losach następnych generacji Polaków do których należą także moje wnuki. Przypomina się jakże dzisiaj aktualne powiedzenie starego cynika Bernarda Shaw'a: *"Ludzkości zagraża niedobór czystej wody i świeżego powietrza oraz nadmiar idiotów"* „.

Nasuwają się jednak pytania dość fundamentalne: *Czy w realnym socjalizmie, w jakim żyliśmy wolno było widzieć jakąś realizację idei lewicowych i tym uzasadnić poparcie dla systemu ? Czy można było pozostać porządnym człowiekiem bez wstępowania w szeregi Solidarności ?, Czy jedyną dopuszczalną postawą miała być wewnętrzna emigracja i aktywana działalność opozycyjna ?, Czy wreszcie robienie w ramach PRL-u tak zwanej kariery naukowej, zawodowej i godzenie się na koncesje i limitowanie jest usprawiedliwione ?.*

Refleksje:

Przyszło mnie kierować Warszawską Kliniką Otolaryngologii w trudnych latach 1977 – 2003. Prawdę mówiąc pokolenie naszych Rodziców i moje zawsze żyło, wedle słów chińskiego przekleństwa nieustannie „ *w ciekawych czasach* „. W ciągu tego ćwierćwiecza zaszły historyczne zmiany w naszym kraju i w naszej Rodzinie. W listopadzie 1980 roku Elżbieta obroniła swą pracę habilitacyjną p.t. „ *Czynniki matczyne determinujące ciężar urodzeniowy płodu ludzkiego* „. Recenzentami Jej pracy i dorobku naukowego byli profesorowie Maria Zapaśnik – Kobierska z Warszawy, Wojciech Gromadzki z Gdańska i Tadeusz Pisarski z Poznania.

16 października 1978 Polskę poruszyła wiadomość o wybraniu metropolity krakowskiego Karola Wojtyły na Papieża. Wzruszająca uroczystość inauguracji pontyfikatu, z Msza Świętą podczas której nowowybrany Papież ucałował skroń i rękę Kardynała Stefana Wyszyńskiego zapowiadały, że jest to pontyfikat zapowiadający wielkie zmiany, być może nie tylko w Kościele Świętym. Rok później Papież przyjechał do Polski i wtedy powiało zapowiedzią Wielkiej Przemiany. Wojtyła zapanował nad Polska i Polakami i taka jest prawda. Doszło do interwencji Komitetu Warszawskiego PZPR w stosunku do Dyrekcji naszego szpitala klinicznego, bowiem kapelan ksiądz Stefan rozdał chorym flagi papieskie, które zostały wywieszane na każdym z okien dużego budynku szpitala od strony Okęcia w momencie kiedy Papież przejeżdżał Aleją Żwirki i Wigury z lotnika Okęcie. W ten sposób cała fasada szpitala zabłysła na biało – żółto. Następne, ale już dramaty, rozegrały się w maju roku 1981. W dniu 13 maja tegoż roku na Placu Świętego Piotra w Watykanie Papież został postrzelony. Cudem był fakt, że nie zginął tego dnia. W tym samym czasie w agonii był Kardynał Tysiąclecia Stefan Wyszyński. Jego ostatnia rozmowa prowadzona na łożu śmierci i ciężko rannym Papieżem była wstrząsająca w swym przebiegu i swej treści.

Szczególnie trudny, nie tylko zresztą dla mnie, był okres powstawania Solidarności w roku 1980 i strajk studentów naszej Uczelni w początkach roku 1981. Prawdą jest, że zwłaszcza w tym okresie było wiele prowokacji, tak ze strony Służby Bezpieczeństwa, ale także swoistego „ igrania z ogniem „ ze strony ekstremalnych ugrupowań opozycji. Zadaniem władz Uczelni było perswadowanie władzom, że bicie młodzieży nasila jej wrogość do ustroju „ realnego socjalizmu „, a więc prowadzi donikąd. Z drugiej strony barykady podsycano nastroje studentów, którym za wzór stawiano ich dziadów i ojców, co to „ *na śmierć szli po kolei jak kamienie przez Boga rzucone na szaniec !*”. Działano według recepty Starego Aktora z „*Wyzwolenia*” Wyspiańskiego mówiącego:” *Mój ojciec był bohater, a my jesteśmy NIC !*”. Na czele ruchu opozycyjnego w Kraju stało przy tym dość wielu ludzi wywodzących się z rodzin przedwojennych członków Komunistycznej Partii Polski oraz Komunistycznych Partii tzw. Zachodniej Ukrainy i Białorusi, partii nie będących entuzjastami suwerennej Polski, którzy w obliczu powstałej sytuacji deklarowali się jako liberałowie – demokraci. I tak na przykład grupa słynnych po Marcu 1968 roku profesorów –

dysydentów usuniętych z Uniwersytetu Warszawskiego takich jak Zygmunt Bauman, Leszek Kołakowski, Bronisław Baczko, Włodzimierz Brus, aby wymienić tych najbardziej „przekonanych do konieczności zmian demokratycznych wiodących wprost do socjalizmu”, to zespół, który w latach stalinowskich czyścił tenże Uniwersytet z takich „łże-elit” (używając języka IV Rzeczypospolitej) jak profesorowie Witwicki, Kotarbiński, Ossowsky, Klejner, Gajewski i inni. W 82 roku życia Bauman przyznał się po ujawnieniu dokumentacji byłego Urzędu Bezpieczeństwa, że jako przekonany komunista przyczynił się do eliminacji wielu „wrogów Polski Ludowej” wywodzących się z akowskich karłów reakcji. Brus zaś żył w czasie opracowywania swych wspomnień z niejaką Heleną Wolińską, kochanką starego agenta NKWD Franciszka Józwiaka, pełniącą w czasach stalinowskich rolę prokuratora oskarżającego ludzi akowskiego podziemia. To ona wniosowała o wydanie wyroku śmierci na szefa Kedywu generała Emila Fieldorfa, czego ochoczo dokonano. To jednak u wielu ludzi myślących budziło wątpliwości co do intencji. Władza była przy tym z jednej strony głupia, z drugiej zaś przerażona tym co powie niewiele mądrzejszy, ale bezwzględny, aby nie rzec barbarzyński „starszy brat”. Niewątpliwie pośród inteligencji partyjnej była świadomość konieczności dokonania zmian od wewnątrz. Ktoś z grona organizacji partyjnych warszawskich Uczelni postulował: „Trzeba PZPR przekształcić w Partię Zdrowego Polskiego Rozsądku!”, na co inny odpowiadał: „Bzdura! Czy można z dzieciaka obarczonego wrodzonym idiotyzmem zrobić Einsteina?”. Chodziło więc przede wszystkim o wzięcie pod uwagę przestrogi zawartej w poemacie Ernesta Brylla „Rzecz Listopadowa”:

*My zawsze chętnie postawimy
na grzbiecie naszych dziejów jeszcze jeden kamień...
Chętnie pomnikiem nowym zawalimy
to gorejące wciąż głupoty znamię
I groby wypielimy, myśli zapalimy,
by je jak świeczki zdmuchnąć przy cmentarnej bramie.*

.....
*Ach, te polskie dzieje,
gdzie wszystko poskręcane w agoni. Gdzie zawsze
obok najpodlejszego, tętni najczyściejsze,
obok najtchórzliwszego pulsuje najkrwawsze.....*

Po wielu latach czytając porozumienia Solidarności z władzą z sierpnia 1980 nie sposób nie zgodzić się z profesorem Jerzym Szackim, który pisał: „Za rzadko uświadamiamy sobie, że podstawowe hasła SOLIDARNOŚCI z roku 1980 to przecież nic innego tylko program poprawionego PRL-u. PRL – u bez wad i bez zakłamania”.

Prymas Polski Kardynał Józef Glemp podczas wizyty pasterskiej w Brazylii w roku 1984, a więc tuż po zniesieniu stanu wojennego w Polsce w wywiadzie udzielonym tygodnikowi „O Estado de Sao Paulo”, stwierdził: „Trzeba wiedzieć, że pośród 10 milionów członków „Solidarności”, co najmniej jeden milion stanowili komuniści, a więc nie były to ideały czysto katolickie. Zawsze mówiłem, że Kościół da pełne poparcie, jeśli będą respektowane początkowe cele obrony robotników. Ale w pewnej chwili „Solidarność straciła cały sens obrony robotników”. I dalej w roku 2000 we wzruszającym wystąpieniu na Placu Teatralnym w Warszawie stanowiącym Jego rachunek sumienia mówił: „Ja także doświadczałem lęku. Bałem się rozlewu krwi w czasie stanu wojennego, wiedząc, jak wielkie jest oburzenie ludu.”. Trudno powiedzieć, że Prymas Polski był człowiekiem małego serca i małej wiary należącym do „łże-elit”.

Tymczasem absolutną koniecznością stało się wybieranie pomiędzy katastrofalnym kapitalizmem a kapitalną katastrofą. Ilu jednak ludzi w Polsce czyta dzisiaj takie dokumenty jak teksty umów z Gdańska i Szczecina?. Co z tego po dwudziestu latach niepodległości z nich zostało?. Profesor Henryk Samsonowicz wspominając okres kiedy sprawował funkcję Rektora

Uniwersytetu Warszawskiego w latach 1980 – 1981 pisze: „Przyglądałem się wszystkiemu z bliska i widziałem już wtedy, że ta jedność i solidarność to pozór, to mit, który kryje rozdartą sprzecznościami kompleks politycznych postaw. Mówiliśmy: Polska, ale rozumieliśmy przez to zupełnie coś innego. Otworzyły się trumny zatrzaśnięte w roku 1939 i wyszli z nich ludzie, którzy zaczęli tamtą, przedwojenną politykę chociaż świat się zmienił. Interpretowano niejednokrotnie rzeczywistość w kategoriach II R.P., nieprzemyślanych, intelektualnie nie pogłębionych, zachowanych właśnie w historii rodzinnej „.

Jak słusznie pisał Jarosław Kurski w Gazecie Wyborczej (28-29.III.2009) „Walczyły elity. Większość przedłużała egzystencję, instynktownie dbała o ciągłość pokoleń. Nie potępiam tego. Ale czy to jest dumny opór? Nie to rozumny oportunizm. Cokolwiek by mówić o „dumnym oporze narodu polskiego „, na tle innych nacji – takich n.p. jak Niemcy, Czesi czy Rosjanie – mamy większą skłonność do buntu i nieposłuszeństwa wobec narzuconej nam władzy. Jednak nie musimy karmić się mitami, że cały naród był w Armii Krajowej, ratował Żydów, walczył w Powstaniu Warszawskim, strajkował, należał do antykomunistycznego podziemia, by mieć prawo do dumy z historii tamtego 60 – lecia. Na pewno zaś niepotrzebna nam jest do tego nachalna polityka historyczna. „

I przyszedł ranek w którym okazało się, że nie mamy łączności telefonicznej w Polsce, że radio i telewizja daje przekaz z wystąpienia szefa WRON generał Wojciecha Jaruzelskiego oznajmiającego wprowadzenie stanu wojennego. Wiozłem tego ranka Elżbietę na dyżur w Klinice przy Placu Starynkiewicza mijając żołnierzy, młodych polskich chłoców, grzejących się przy żelaznych koszach wypełnionych rozpalonym koksem. Nastrój był żalobny. Do Garwolina jeździło się za swego rodzaju wizą, ponieważ było to już województwo siedleckie, a więc była to już „zagranica „. W roku 2008 Waldemar Kuczyński, były internowany członek Solidarności ogłosił na łamach „Gazety Wyborczej „ ciekawy artykuł: ”Wyznania Abla po latach „ (8. X. 2008 str. 20). Pisze on co następuje: „ Jest banałem twierdzenie, że Rosjanie w Polsce interweniować nie chcieli, ale zrobiliby to gdyby zawiodły inne sposoby ochrony komunizmu w Polsce. Jednak dowodu przesądzającego nie ma i nie będzie, bowiem jedynym dowodem byłaby sama interwencja lub jej brak. Dlaczego domniemywam, że Rosjanie by weszli, gdyby nie stan wojenny? Po pierwsze dlatego, że tłumili wszystkie wcześniejsze zrywy, które groziły obaleniem ustroju. Dlaczego więc w roku 1982 miałyby być inaczej? To jest rozumowanie intuicyjne, ale nie można go zignorować. Dlaczego ówczesna ekipa kremłowska, ekipa o takiej mentalności, miałby dobrowolnie rezygnować z Polski, najważniejszej dla niej prowincji? Sowietci wiedzieli, że machina stanu wojennego jest gotowa, bo polskie władze ich na bieżąco informowały, by przez błędną ocenę sytuacji wynikającą z niedoinformowania nie wkroczyli do Polski. Wiedzieli, że problem jest o krok od rozwiązania – najlepszego dla nich, ale i dla nas, bo rękami Polaków – i wściekali się, że Jaruzelski, jak mówił jeden z nich – wodzi ich za nos. Kryje się tu oto takie nastawienie – nie pomożemy Jaruzelskiemu, musi to załatwić sam, ale musi! Bo jak nie, to „ nie zostawimy Polski w biedzie!”. Moim zdaniem wśród ciężko doświadczonych przez stan wojenny jest także Wojciech Jaruzelski. Gdy patrzy się na jego zachowania, widać, że czyn, którego dokonał, tkwi w nim jak niewyjęty pocisk, którego próbuje się pozbyć, a wbijają mu go jeszcze głębiej. I jest generał Polski satelickiej, ale POLSKI, którego patriotyzm dostrzegł Jan Paweł II i który wedle dużego prawdopodobieństwa czemuś bardzo tragicznemu zapobiegł, a siedzi od prawie 20 lat na ławach oskarżonych. Uważam to za mściwe, a nie za sprawiedliwe „.

Ocena tej postaci i tej sytuacji jest zbieżna z oceną Autora niniejszych rozważań

Można to jednak zrozumieć, pamiętając że na Szmulkach mawia się, iż pamięć to czyrak na d..... pamiętliwego. W rzeczywistości która nadeszła po roku 1989 oczekiwania społeczeństwa z lat 1980 – 1981 okazały się oczekiwaniami ponad miarę. Po prostu nie było żadnych szans na ich realizację co spowodowało, że wielu, także z grona gorących przeciwników realnego socjalizmu, zaczęło odczuwać swego rodzaju nostalgię za czasami, które wydawały się okresem pełnego bezpieczeństwa socjalnego. Jednak zasadniczy problem polegał wówczas na odpowiedzi na pytanie: jak długo większość może być w opozycji?.

Tak się wydarzyło, że w tym czasie byłem jako laryngolog członkiem zespołu lekarzy konsultantów Prymasa Polski Stefana Kardynała Wyszyńskiego. Była to zupełnie niezwykła postać wywierająca ogromne wrażenie na każdym kto miał z nim zaszczyt i honor się spotykać. Wyniosłej postawy, o wyglądzie rzucającym na kolana, szczupły starzec, o młodzieńczej postawie, wspaniały intelektualnie. Przenikliwe spojrzenie pełne było jednocześnie dobroci i życzliwości dla rozmówcy. Miał nieprawdopodobną pamięć i przy okazji każdej konsultacji odbywanej w Pałacu Prymasowskim pytał o zdrowie Żony i postępy w nauce Agnieszki. Za każdym razem przy końcu badania zadawał pytanie retoryczne: „*Ale teraz Pan Docent ma dla mnie czas ?* „. Znajdował czas na osobistą rozmowę i chciwie słuchał wieści z Uczelni. Na polecenie Prymasa Jego sekretarz ksiądz Bronisław Piasecki przeglądał ze mną składzik książek objętych prohibitami i zezwalał wybrać wszystkie, którymi byłem zainteresowany. Książki z dedykacjami Prymasa dla mnie i niewielką z Nim korespondencją przechowuję jak relikwie. Kardynał wiedząc doskonale, że jestem członkiem Władz Uczelni i wkładał mi do głowy:

„Przede wszystkim oszczędzajcie i chrońcie młodzież !!!. Nas już nie stać na dalszy upust krwi. Kiedy byłem kapłanem w Puszczy Kampinoskiej roku 1944 głównie młodzi, chłopcy i dziewczęta, umierali na moich rękach. Dziesiątkami. Nie dajcie im się sprowokować i dopuścić do tragedii !!!. Każdy z nas jest odpowiedzialny za to indywidualnie. Gdyby w wyniku jakichkolwiek zaniedbań z naszej strony, albo też nieodpowiednich posunięć, zginął ponownie chociaż jeden Polak, chociaż jeden młody chłopiec czy dziewczyna, nie darowałbym sobie tego nigdy. A sądzę, że każdy odpowiedzialny człowiek w Polsce tak myśli. Pytam więc sam siebie: Czy lepiej z narażeniem naszej wolności, naszej całości, życia naszych współbraci, już dzisiaj osiągnąć postulaty chociażby najszlachetniejsze. Czy też lepiej jest osiągnąć coś niecoś dzisiaj, a co do reszty powiedzieć: panowie do tej sprawy powrócimy później. Nie jestem tragikiem, ale sytuacja jest groźna. Gdybyśmy przeciągnęli strunę wysuwając nasze wszystkie postulaty moglibyśmy później bardzo ciężko żałować następstw, które ściągnęlibyśmy na Polskę „.

A więc po raz kolejny prawdziwy Przywódca Narodu mówi nam, że oto winniśmy przede wszystkim uszanować krew narodu!. I nie dać jej zmarnować !. Nie pozwolić marnować krwi narodu !.

W ćwierć wieku później Ludwik Stomma, syn Stanisława Stommy, pisał o swym spotkaniu nocnym w Paryżu roku 1981 ze Stefanem Kisielewskim, który jak wiadomo entuzjastą PRL – u nie był. Kisiel powtarzał konsekwentnie, że „*na tym etapie historycznym Solidarność żądała za wiele i za szybko, w związku z czym stan wojenny jest konsekwencją logiczną* „. Po czym po namyśle dodawał: „*Może za parę lat !???.....*”

11 listopada 1981 roku właśnie w dniu ŚWIĘTA NIEPODLEGŁOŚCI, wtedy nieobchodzonego, zmarł jeden z najstarszych moich kolegów Józef Maciej Tokaj. Zналиśmy się od I klasy szkoły podstawowej czyli od roku 1941. Jego Ojciec, także Józef Tokaj współpracował z moim Ojcem w czasach okupacji. Był drugim synem w tym małżeństwie – starszy brat umarł po porodzie, co wpędziło Matkę Maćka w depresję poporodową, z której się już nie podniosła. Przyszły kolejne ataki schizofrenii, pobyty w szpitalu psychiatrycznym. W tym samym czasie lekarze amerykańscy skierowali do mnie imiennie młodego Polaka, chłopaka, „doktoranta Uniwersytetu Washingtona, który w Stanach Zjednoczonych uległ ciężkiemu wypadkowi komunikacyjnemu i był na rekonwalescencji po niezwykle skomplikowanych operacjach rekonstrukcji podstawy czaszki. Bali się, że ktoś w Polsce może podjąć decyzje o grzebaniu choremu w gojącej się ranie w obrębie kości skroniowej i wyciągnęli moje dane osobowe w Henry Ford Hospital lub z innych archiwów. Tam też, zapewne, jakaś opinia o mnie trafiła w związku z moim stypendium w HFH. Maciek był uroczym chłopakiem, który wciąż nie wyszedł „na prostą „ po urazie i operacji. Jego rodzice należeli do grupy osób współpracujących w sprawach wymiany gospodarczej z Zachodem, bardzo ustosunkowanych w kręgach rządzących gospodarką ówczesnej Polski. Każdego tygodnia, dzięki nim, otrzymywałem regularnie ostatnie wydania Newsweeka. I każdego tygodnia w tym gorącym okresie jedynym z głównych tematów prasy światowej była sytuacja w Polsce i wokół jej granic. Z wielką dokładnością na mapkach naszego regionu pokazywano nazwy jednostek bojowych ruskich, czeskich, wschodniemieckich gotowych do wkroczenia, liczby żołnierzy, czołgów, samolotów

wojsk Układu Warszawskiego gromadzonych wokół nas. Kolejne tygodnie dawały informacje na temat przesunięć i ulokowania nazwanych z imienia związków taktycznych radzieckich, wschodnio – niemieckich czy czeskich, gotowych do interwencji w naszym kraju. Bukmacherzy zakładali się nie czy wejdą czy nie wejdą, ale kiedy wejdą. Ba – śpiewano piosenki o tym „*czy wejdą czy nie wejdą ?*”. Prawda zresztą była taka, że oni nie potrzebowali wchodzić, bowiem dwie potężne pancerne armie radzieckie stacjonowały od końca wojny na Dolnym Śląsku i na Pomorzu Zachodnim gotowe do akcji. Nie sądzę, abyśmy zdołali im stawiać dłużej i skuteczniej opór niż armie NATO, a zakończyło by się to starcie następną jatką. Potwierdza się ta opinia w kilkanaście lat później z wywiadów pułkownika Kuklińskiego. Z udostępnianej mnie tą drogą poważnej publistyce amerykańskiej pamiętam z roku 1982 artykuł amerykańskiego politologa Normana Podhoretza (czyżby krewny naszego Litwaka z Praskiego Zarządu ZMP lat 1950 – tych ?), który stawiał zarzut Reaganowi, że jego działania wsparcia „Solidarności” w Polsce nie były dostatecznie twarde. Reagan, według tego intelektualisty, winien doprowadzić do sytuacji, w której Rosja byłaby wręcz zmuszona do interwencji wojskowej w Polsce. Wplątana w wojnę na dwa trudne fronty: w Afganistanie i w Polsce załamała by się szybciej. A więc ideałem dla tego pana byłyby łuny nad Warszawą i ponowne jej zrujnowanie. O stratach ludzkich nie wspominając. A on by lał łzy nad Potomakiem.

Jadąc na Światowy Kongres Otolaryngologów do Budapesztu w lecie 1981 roku spotkałem się z węgierskimi przyjaciółmi, którzy uprzedzali nas, że po wypadkach węgierskich roku 1956 do dzisiaj nie mogą się doliczyć kilkudziesięciu tysięcy młodych Węgrów, którzy „*wyparowali*”, bez wieści i jeśli żyją to nadal kopią rudę uranową na północy Z.S.R.R. Przejeżdżaliśmy poprzez Czechosłowację wrogą nam na każdym kroku, obowieszoną w każdej maleńkiej wiosce wielkimi czerwonymi gwiazdami i ogromnymi hasłami: „*Ze Związkiem Radzieckim po wsze czasy !*”. U nas tego zjawiska w tej skali jednak nie było nigdy. W czasach Gierka jakiś idiota wywieszał co prawda transparenty z napisem: „*Towarzyszu Gierek – Piła z Wami !!*” czy na siedzibie lokalnego Związku Łowieckiego transparent: „*Naszym celem socjalizm !!!*”, ale życzeń przyjaźni z Sojuzem do końca nie widać było w naszym kraju. Raczej mówiło się, że „*Oni nas kochają za żarcie !, zaś my Ich kochamy za więzienie !*”. Wieczorem dnia poprzedzającego stan wojenny byliśmy u Przyjaciół na kolacji. Byli tam między innymi Premier Rakowski, dziennikarze Osmańczyk i Małcurzyński, satyryk Eryk Lipiński. Nikt nie zdawał sobie sprawy co nas jutro czeka.

Rano 13 grudnia 1981 roku Elżbieta miała dyżur – jechaliśmy samochodem „maluchem”, wojsko grzało się przy rozpalonych koksownikach. Stan wojenny był ciężkim i okrutnym czasem dla steroryzowanego społeczeństwa. Były ofiary w ludziach. Brakowało dosłownie wszystkiego, ponieważ stanęła, praktycznie rzecz biorąc i tak niesprawna gospodarka. Europa rozpoczęła wielką akcję na rzecz pomocy Polakom. Napływały paki z lekami, których brak dotkliwie dawał się we znaki w ochronie zdrowia. Telefony nie były czynne przez co najmniej kilka miesięcy. Mówiono, że kable z połączeniami były w sposób prymitywny rąbane siekierami. Prezydent Reagan nałożył drastyczne embargo na eksport do Polski, zwłaszcza elektroniki. Duńska firma „Oticon” przestała dostarczać aparaty słuchowe. Ministerstwo Zdrowia wysłało protest do Duńczyków poprzez kanały dyplomatyczne. Efekt był dość niespodziewany. Przynajmniej dla mnie. Odpowiedź brzmiała mniej więcej tak: „*Firma będzie rozmawiać tylko z panem docentem Grzegorzem Janczewskim, do którego ma zaufanie !*”. Leciałem więc do Kopenhagi pustym nieomal samolotem. Na lotnisku witano mnie jak króla głodującego kraju. Lodówka w mieszkaniu dla mnie przygotowanym była pełna wszelakiego dobra. Piwo, duńska szynka, jarzyny, banany. Wręczono mnie przy wyjeździe specjalne druki na bezpłatne aparaty słuchowe dla 20 polskich dzieci, które były honorowane przez firmę jedynie z moim podpisem i pieczęcią. Do samolotu dostarczono mnie wielkich rozmiarów paczkę dla rodziny i przyjaciół z delikatesami. Dostawy aparatów słuchowych Duńczycy wznawili niebawem.

Były też spotkania zawstydzające, świadczące o tym jak niskie bywają instynkty samych Polaków. Przyjechała Niemka z Bawarii z paką leków i kompletem narzędzi do chirurgii ucha. Odciągając mnie na bok szeptem powiedziała: „*W tym komplecie brak nożyczek, ale to nie nasza wina. Na granicy byliśmy poddani drobiazgowemu przeszukaniu Pani celniczka oświadczyła, że*

puści przesyłkę jeśli dam jej te właśnie mikro-nożyczki. Są jej potrzebne do manikiuru. Dobrze, bo niemieckie ! „, No comments !!!

Rozsądek zawiódł wielu „, nieugiętych „, którzy lekceważyli wszystko co związane było z trzeźwą oceną sytuacji geopolitycznej. Dzisiaj, kiedy odwaga jest zdewaluowana i głoszenie poglądów ahistorycznych uznawane za mądre, opowiadania o tym jak wzdragano się na Kremlu przed interwencją w Polsce są naiwnością. Ludzie rozsądni, a tych podobnie myślących do Księdza Prymasa było nie tak wielu, znakomicie zdawali sobie przy tym sprawę, że po raz kolejny Zachód nie kiwnie palcem w sprawie Polski. W roku 1984 opublikowano w USA książkę Caveata: „*Realism, Reagan and Foreign Policy*”. Jest tam zamieszczona opinia Generała Aleksandra Haiga, Sekretarza Stanu tegoż mocarstwa w okresie Grudnia 1980 roku. Głosił on: „*Dla ZSRR Polska to casus belli... Nigdy nie było żadnej wątpliwości, że ten powszechny ruch w Polsce (tzn. Solidarność – przyp G.J.) będzie zdławiony przez ZSRR. Jedyne pytania były: kiedy to nastąpi i z jakim stopniem brutalności. (Nie było – przyp G.J.)... żadnej chęci do ryzykowania międzynarodowego konfliktu lub też przelewu amerykańskiej krwi z powodu Polski „,.* W roku 1987 w niemieckim „Die Zeit „nr. 20 – 23, ukazał się wywiad prezydenta Francji Francois Mitteranda: „*Widziałem zawsze tylko dwie, a nie trzy możliwości: albo rząd polski przywróci porządek w kraju, albo uczyni to Związek Radziecki. Trzecią hipotezę, zakładającą, że mogło by dojść do zwycięstwa „ Solidarności „, uważałem zawsze za absolutną fikcję, bo w takim przypadku ruch ten zostałby zmieciony przez oddziały radzieckie „,.* Aby wspomnieć tylko filozofię człowieka, który bynajmniej nie był typowym Rosjaninem, a mianowicie Andrieja Sacharowa to głosił On: „*Jeżeli możemy wybierać tylko pomiędzy złem i złem, to wtedy mniejsze zło nazywamy dobrem !.* Niewątpliwie interwencja sowiecka byłaby dramatem nieomal na skalę września 1939 roku lub Powstania Warszawskiego, odwołującym zmiany roku 1989 w nieodgadnioną przyszłość. Tym „, mniejszym złem „, był niewątpliwie stan wojenny roku 1981. To był niewątpliwie jeden z najtrudniejszych okresów pracy w całej mojej karierze zawodowej nauczyciela akademickiego. Stefan Meller, jak najdalej oddalony od komunizmu człowiek, a przy tym człowiek renesansu w wydanych już po Jego śmierci wspomnieniach pod tytułem: „Świat według Mellera. Życie i historia ku wolności „, pisał: „*Byłem pewien, że wojsko weźmie władzę – w końcu po to Jaruzelski został premierem i I sekretarzem. Ale jednocześnie byłem przekonany, że w oczach Moskwy Jaruzelski jest mięczakiem i że Rosjanie wejdą, ponieważ nie uczą się na błędach, mają za mało wyobraźni i ciągle im się wydaje, że wszystko można zgnieść „,.* Miałem szczęście i zaszczyt znać tego światłego człowieka, a nawet Go operować. To już było po roku 1989 i będę miał w pamięci prowadzone z Nim rozmowy o życiu, o Polsce, o naszych perspektywach. Był w nich nader sceptyczny.

Traktując te wspomnienia jako swego rodzaju spowiedź mojego życia otwarcie powiem, że w roku 1981 czułem mniej uniesień, zaś więcej strachu. Prawda jest taka, że panował niesłychany chaos w życiu społecznym i politycznym. Aby nie być gołosłownym kiedy Solidarność domagała się odwołania rektora Politechniki Radomskiej to na poparcie jej żądań strajkowały PEGEERRY w Zielonogórskim. Sądzę, że w podobnej kondycji psychicznej byli nasi przodkowie pozytywiści po klęsce powstania styczniowego. Po przeżyciach czasu ostatniej wojny, wyniszczeniu materialnym i biologicznym naszego narodu i Kraju, zwłaszcza po wieściach z Lasu Katyńskiego, klęsce Powstania Warszawskiego i tragicznych skutkach tego kolejnego zrywu Polaków, przy pełnej świadomości zagrożeń dla tego co odbudowaliśmy w tak trudnych warunkach, bez żadnej pomocy z zewnątrz, czułem strach. Była to psychika dziecka przegranej przez Polskę wojny. Przegranej pod każdym względem. Te wielkie i uzasadnione obawy znakomicie oddał Michał Jagiełło w rozmowie z Teresą Torzańską mówiąc: „*Być może ten strach przed kolejnym powstaniem warszawskim uchronił nas wszystkich przed powtórką. Bo tamten strach w nas został. Tamta groza. Ona zapisana jest w naszych genach „,.* Wielu młodych tego dzisiaj nie będzie w stanie zrozumieć, ale przynależąc do pokolenia właśnie dzieci wojny czułem się przedwcześnie dojrzałym, rozumiejącym z doświadczenia lub instynktownie sytuacje stanowiące śmiertelne zagrożenie. A miałem już wtedy dziecko i odpowiedzialność za nie. Byłem spadkobiercą w linii prostej pokolenia poety Wacława Bojarskiego, członka Konfederacji Narodu, piszącego w roku 1942 w swym wierszu „Pieśń „, ze zbioru „, Gdziekolwiek ziemia „,:

*Nad nami noc. Goreją gwiazdy,
dławiący, trupi nieba fiolet.
Zostanie po nas złom żelazny
i głuchy, drwiący śmiech pokoleń*

Po drodze były przecież także płomienie nad Budapesztem, co skutecznie studziło polskie młode umysły w roku 1956. Nie byłem w tym bynajmniej odosobniony. Krystyna Karsten ceniona historyk przelomu XX i XXI wieku pisała: „*U podstaw takiej postawy (społeczeństwa polskiego w okresie powojennym – G.J.) leżał imperatyw trwania. Po sześciu latach wojny, okupacji, biologicznego i kulturowego niszczenia narodu, tak ograniczona przestrzeń, jaką zapewniali komuniści, wystarczała, by możliwe było współdziałanie w szeroko pojętej odbudowie kraju. Ratowano substancję biologiczną, potencjał ekonomiczny, kulturę narodową ; troszczono się o korzyści, osobiste kariery własne i dzieci... To przystosowanie, które w ostatecznym bilansie, zapewniając przetrwanie, pociągnęło za sobą także degradację – zarówno w wymiarze poszczególnych jednostek, jak i społeczeństwa jako całości – było wszelako sprzężone z oporem kulturowym. Nie nastąpiło właściwe totalitaryzmowi odrzucenie wartości i zastąpienie ich innym porządkiem filozoficznym* „. Sam Jacek Kuroń, jeden z najmądrzejszych i najdojrzałych ludzi opozycji zwykł przypominać ruskie przysłowie: „*Jebat' tigra eto smieszno i straszno !!!*”. A „*tigier* „, w tym czasie był rozłożony od Pacyfiku do Łaby. I przypomina się słynne powiedzenie Fiodora Dostojewskiego: „*Tygrys nigdy nie zmienia wzoru pręg na grzbiecie !* „. Powszechnie rozumiano, że w tych czasach, w niezwykle konkretnych warunkach polityki światowej nie istniała alternatywa dla ustroju, który był wspólnym produktem potęg Wschodu i Zachodu, cokolwiek by się dzisiaj nie mówiło na ten temat. Jeżeli przyjąć zasadę Bismarcka, która mówi, że: „*Polityka jest sztuką realizowania aktualnych możliwości* „, to alternatywą mogła być tylko następna rzeź. Coś z Norwida: „*..... jest grzechem Polaków.... grzechem społeczności niewojującej nigdy myślą, niemającej żadnej wiary w siłę myśli i prawdy ! U nich zawsze energia wyprzedza myśl !* „. Nie sposób nie przyznać, że inteligencki etos nakazujący rozumne angażowanie się w rzeczywistość i służenie społeczeństwu stał się jednocześnie pułapką i klęską. Jest takie powiedzenie: „*Anglicy przegrywają wszystkie bitwy oprócz ostatniej, podczas kiedy Niemcy wygrywają wszystkie bitwy oprócz właśnie ostatniej, natomiast Polacy przegrywają wszystkie bitwy, łącznie z ostatnią, ale nie we własnej literaturze* „. Tak więc wielu naszych domorosłych polityków przeży swe zwiotczałe mięśnie i wysila ćwierćinteligentne rozumki, aby wykrzyczeć przekonywująco o wielkiej zdradzie narodowej Okrągłego Stołu, porozumieniu, które uchroniło nas od wojny domowej przypominającej Bałkany, wojny prowadzonej na dwa lata przed rozpadem Związku Sowieckiego w grudniu 1991 roku. I to są dopiero łże – elity. Jak mówiło się w „*warszawce* „: *uratował nas koncern General Electric: Jaruzelski i Wałęsa*”.

Prawda jest taka, że jesteśmy jedynym w Europie narodem, który zniszczył swego czasu własne państwo. Było to, do tego, państwo stanowiące ongiś jedną z największych europejskich potęg. Obserwując to co się dzieje po kolejnym odzyskaniu niepodległości uprawnionym jest się twierdzić, że w naszym narodzie istnieje jakiś straszliwy, ponadczasowo działający gen samodestrukcji. Polski patriotyzm w pełni funkcjonuje dopiero w zagrożeniu, w obliczu wroga, stąd nie był i nie jest utożsamiany w rzetelną, codzienną, systematyczną pracę. Nie lubimy Czechów, ani Żydów, nie lubimy Litwinów, ale w istocie nie lubimy sami siebie i zwłaszcza między sobą. W ostatnich miesiącach swego życia Jan Nowak – Jeziorański przestrzegał nie bez powodu: „*Dzisiaj największym zagrożeniem dla Polski są sami Polacy !*”.

Starzy zasłużeni bojownicy o niepodległość w czasach normalnych przekształcili się, nie po raz pierwszy w naszej historii, w cynicznych łowców materialnych zabezpieczeń dla siebie i kilku następnych generacji własnego rodu. Już Alexis de Tocqueville słusznie zauważył w XIX wieku: „*Jeżeli wielu konserwatystów broniło rządu tylko dla zachowania różnych gratyfikacji i stanowisk, to muszą powiedzieć, że wielu opozycjonistów zdawało się ich atakować wyłącznie po to, aby tych dóbr się dochrapać. Faktem bowiem jest, i to faktem godnym pożałowania, że upodobanie do funkcji publicznych i pragnienie życia na koszt podatników nie są chorobą jakiejś jednej partii. Jest to wielka i stała ułomność każdego narodu* „.

Trudno zgadnąć dzisiaj czy w tym polskim tak zwanym establishmencie jest więcej establishu czy mętów?. Kazimierz Kutz, znakomity reżyser filmowy i mądry, wrażliwy człowiek w wywiadzie dla tygodnika Newsweek mówił: „*Na XX wiecznej Polsce niezależnie od jej ustrojów zaciążyły doświadczenia i mentalność zaboru rosyjskiego: słaby instynkt państwowy, sobiepaństwo i relatywizm moralny. To przymioty wysmażone na sarmackim nihilizmie i utrwalone w feudalnym imperium Rosji*”. I to powszechnie obserwowane urynkowanie wartości, wszelkich wartości!. I fakt, że masy, które wywalczyły swym heroicznym uporem i oporem to co mamy dzisiaj, są ofiarą własnej wygranej. Przykład: a gdzie są dzisiaj pretorianie Polski Ludowej, hutnicy, stoczniovcy, górnicy, mechanicy z zakładów zbrojeniowych, którzy stanowili rzeczywistą siłę Solidarności roku 1980/1981?. Są to dzisiaj w swej masie bezrobotni z poczuciem wielkiej przegranej. O ile w ogóle jeszcze żyją. Specjaliści z Instytutu Pamięci Narodowej robią zresztą wszystko, aby wbić do głowy następnym pokoleniom, że „Solidarność” tworzyli agenci S.B. rekrutujący się z aktywu tego Związku, wspomagani przez Żydów i masonów oraz księża na usługach bezpieczeństwa. Ci uczeni, w swoim mniemaniu wolni, a rzeczywistości wolni także i od faktów historycznych w istocie wyznają zasadę prefekta policji francuskiej z XIX wieku Lapine’a: „*Kiedy zbiera się czterech spiskowców, dwaj z nich to moi ludzie!*”. Profesor Aleksander Krawczuk, wybitny historyk z Uniwersytetu Jagiellońskiego pisał w roku 2009: „*Nie bronię PRL – u, bronię naszego życia, naszego dorobku, bo jest on realny, namacalny. Na nasze pokolenie spadły straszliwe doświadczenia, ale zachowywaliśmy się normalnie, pracowaliśmy, zdobywaliśmy stopnie i tytuły naukowe, mieliśmy porażki, ale też sukcesy*”.

Jerzy Giedroyc w czasie wręczania mu dyplomu Doktora Honoris Causa Uniwersytetu Jagiellońskiego w roku 1991 powiedział: „*Gdy dziś myślę o obecnej rzeczywistości, o kraju rządzonym przez małych, mialkich ludzi, prowadzących kraj od katastrofy do katastrofy, a jednocześnie o ogromnej koniunkturze jaka się przed nami otwiera, to wracam myślami do Panów Krakowskich*”.

Niezwykłej inteligencji Jeremi Przybora ubolewał: „*W „zadymach” lat siedemdziesiątych nie było widać kołtuna ani fanatyzującego nacjonalisty. A jak bezinteresowną wydawała się wtedy postawa Kościoła. A jak cudowną była wizja, złudna wiara, że ludzie mądrzy będą mieli kiedyś decydujący głos w tym kraju. Że właśnie takimi otoczy się charyzmatyczny przywódca robotniczy, który jednak w praktyce sprawowania władzy nie wzniósł się powyżej poziomu politycznego spryciarza*”.

Dalsze lata przyniosły jeszcze większe roczarowania.

Klasycznym przykładem jest polskie San Domingo początku XXI wieku czyli Irak, a następnie Afganistan. Wysłaliśmy tam naszych żołnierzy nie dla walki o wolność, ale „*w interesach*”. Nie można zresztą być pewnym w czyich interesach, bo jak czas pokazał my nie mamy w tej aferze żadnych interesów polskich. Kiedy tak człowiek obserwuje obrady naszego parlamentu przypomina się powiedzenie wujka mego kolegi licealnego Zenka Zemły, starego rodaka praskiego: „*Piana winna być na zimnym piwku, a nie na naszych ustach!!!*”. Ale on był jednak bardziej kulturalny niż te elity, o których słusznie warszawska młodzież naszych czasów mawia: „*Co to znaczy VIP?. To znaczy Very Impotent Person!!!*”. Można też o nich powiedzieć słowami Jerzego Leca: „*Dwie siły potężnieją w świecie intelektu: precyzja i bełkot. Zadanie: nie dopuścić do powstania hybrydy – precyzyjnego bełkotu. I oto zjawiają się prawdziwi nowatorzy! Ich bełkot nie przypomina w niczym bełkotu ich poprzedników!*”. Nie wiem czy zmartwychwstały Marszałek Piłsudski obserwując to co dzieje się po roku 1989 na sali sejmowej nie powtórzył by raz jeszcze opinii o panującej w niej atmosferze: „*Napędzeni złodzieje, cloaca maxima, stek łajdaków i szujów, pyskacze i fajdaniści!*”.

Osobiście cały spór toczony u nas przez tak zwaną lewicę z tak zwaną prawicą odbieram jak znaną opowieść Jonathana Swifta, który w swej „Podróży do kraju Liliputów” wspominał o ideologicznej wojnie pomiędzy państwami Liliputu i Blefusku. Mocarstwa te toczyły ze sobą wojnę, także ze względów ideologicznych: chodziło o to czy skorupki jajek przed ich spożyciem należy nadłukiwać od końca cieńszego czy grubszego. Na tysiące liczono Liliputów, którzy woleli śmierć ponieść aniżeli poddać się prawu tłuczenia jaj z cieńszego końca. Jak się po latach okazało

obie strony nie uwzględniały oryginalnego zalecenia ichniejszego Wielkiego Proroka, który nakazywał: *” Wszyscy wierni thuc będą jaja z końca dla nich wygodniejszego !. Należy tą decyzję pozostawiać ich sumieniu ! ”*. Praktyka dnia codziennego naszych rodzimych polityków przełomu XX i XXI wieku wskazuje jasno, że nie chodzi tu o dylemat ideologicznego wyboru, ale o to, kto ma to jajko nie tyle zjeść co zeżreć. W całości i nawet ze skorupką. I to zeżreć samemu !. Jakże aktualne są strofy piosenki śpiewanej przez zespół Kabaretu Olgi Lipińskiej:

*„ Po co nam dzisiaj elita
gdy trwa wyścig do koryta ? „*

Większości z tych polityków słowo „ przeciwnik „ kojarzy się raczej z kijem bejsbolowym niż z uściskiem dłoni i wymianą poglądów. Dzisiejszy przeciętny polski parlamentarzysta jest raczej pałą, niż rapierem czy szpadą. Nie chcę być na tyle złośliwym aby powiedzieć: jest młotkiem. Kondycja psychiczna i fizyczna reszty narodu czyli pospólstwa w rzeczy samej ich nie interesuje. Pokolenie, które miało nieszczęście wzrastać, dojrzewać, a nie daj Boże pracować w PRL- u odczuwa dzisiaj powszechnie to co można nazwać *syndromem zbyt wczesnego urodzenia się*. Profesor Szacki w swym dziele „Spór o PRL „ słusznie pisze, że wielu traktuje ten okres jako swego rodzaju dziurę w naszej historii. Uważają oni, że: *„ każde wypowiedziane w tych czasach słowo musiało być skłamane, każda robota sfuszerowana, każda nadzieja zawiedziona, każde uczucie splugawione. Jedyną drogą do ocalenia duszy i ojczyzny jest przeto wyparcie się całej PRL-owskiej przeszłości bez żadnych rozróżnień „*. A więc także dotyczy to w równym stopniu pokolenia moich Rodziców i mojego. W opinii tych współrodaków nic dla tego kraju nie uczyniliśmy, jedynie krzywdę. Dla nich akcja *„Tysiąc szkół na tysiąclecie „* jest także godną pożałowania akcją propagandową w kraju, który wojna pozbawiła conajmniej 40 % gmachów szkolnych, nie wspominając o nauczycielach rozstrzelanych i zsyłanych w pierwszej kolejności na Syberię, do Auschwitz, Mathausen czy do Kazachstanu. Słusznie zauważa Krzysztof Teodor Toeplitz: *„Postać inteligenta z czasów PRL pogrążona jest swoją najistotniejszą częścią w „koszmarnych czasach PRL „, a więc czasach przedstawianych przez współczesną poprawność polityczną jako okres upadku i ucisku, nędzy materialnej i umysłowej, czarną dziurę na tle egzystencji narodu „*. Pokolenie moich rodziców wojna pozbawiła młodości. Mimo klęski marzeń bez reszty oddali się pracy od podstaw, nieustannemu działaniu, działaniu na przekór dokonany przy naszej bezsile faktom politycznym i ustrojowym. Tego nie rozumieją, albo raczej nie chcą zrozumieć uprawiający dzisiaj powszechnie tak zwaną *„ politykę historyczną „*. Propagatorzy *„ wychowania patriotycznego w nowym wydaniu „*, w istocie dokonują procesu oddzielenia pokolenia naszych rodziców i nas od pokolenia naszych wnuków. Ci młodzi ludzie, którzy mają być ponoć kontynuatorami pokoleń poprzednich są indokrynowani poglądem, że każdy, kto urodził się przed rokiem 1972 jest podejrzany o to, że ma w sobie gen *homo sovieticus*. Tymczasem *„głupotę „* naszych dwóch pokoleń najlepiej charakteryzował Dudek – Dziewoński: *„ Lepiej być głupim z nadzieją niż beznadziejnie mądrym. Człowiek swobodniej się czuje !!! „*.

Istnieje przy tym u nas popołita skłonność do wyręczania Pana Boga w sądeniu innych ludzi z taką wszechwiedzą o wszystkich ich sprawach życia i śmierci, z taką bezwzględnością, że Sąd Ostateczny można by właściwie odwołać. Faceci z kolejnych śledczych komisji sejmowych są tak bez reszty zajęci szukaniem zła, że nie mają chwili czasu na czynienie dobra. Czasem spektakl taki nasuwa podejrzenie, że tym głośniejszy i agresywniejszy pytali i wykrzykiwali im większymi byli łajdakami, bowiem mieli wewnętrzny przymus szukania w sobie pozytywnych wartości. Zastanawiam się jaką postawę zajął by słynny prokurator pan Niżeński czy Prezes Kurtyka gdyby doszło do procesu lustracyjnego Świętego Pawła – Saula, o którym piszą Dzieje Apostolskie: *„ A Saul tępił zbór (gminę chrześcijan) ; wchodził do domów, wywlekał mężczyzn i niewiasty i wtrącał do więzienia (Dz.Ap. 8, 3) „*. Wiele wskazuje na to, że ów Sprawiedliwy żądał by zakazu działalności misyjnej Saula – Pawła przez lat dziesięć, co skutecznie zahamowało by rozwój Kościoła. Jest przy tym oczywiste, że nie ma przebaczenia bez żalu za grzechy zło czyniącego.

Zasadniczą sprawą dla nas wszystkich było by to, aby ludzie, którzy chcą naprawiać kraj sami byli ludźmi porządnymi. Lansowani są politycy, ale żaden z nich, na szczęście, nie jest obdarzany powszechną nadzieją na to, że będzie naszym jutrem. Ci z pierwszych ław obu skrzydeł

sali polskiego sejmu gdyby mieli być naszym jutrem, to jak mawiał pewien złośliwiec: „*w takim przypadku to ja idę spać i obudzę się pojutrze !*”. Tego rodzaju kariery polityczne są w tej skali możliwe jedynie w kraju, w którym rozpadła się prawidłowa struktura awansu i zaburzono system wartości. Jak w czasach PRL – u można było, i często nadal jest, funkcjonować jedynie jako członek kierownictwa partii politycznej, który zna się na wszystkim albo jest dozorcą na parkingu. Nieomal nie było i nie ma trzeciego wyjścia. W rzeczy samej w naszych warunkach fachowiec z prawdziwego zdarzenia lekarz, prawnik, naukowiec, ekonomista biorący się za politykę zdradza początki objawów demencji umysłowej. Obrzydzenie „*braniem się za politykę i wchodzeniem w środowisko polityków* „, sprawia, że inteligent fachowiec z inteligencją wrodzoną, a nie pracującą, trzyma się dzisiaj od polityki jak najdalej. Stwarza się sytuacja, w której dominuje „*inteligencja zadaniowa*” cechująca się kompetencją przy braku autorytetu. Zgodnie z takimi poglądami: ksiądz ma odprawiać mszę, nauczyciel, lepiej lub gorzej nauczać, lekarz mniej lub bardziej skutecznie rozpoznawać i leczyć, ale to wszystko pozbawione jest tego co anglosasi nazywają „*background*”. W roku 1991 w jednej z audycji programu pierwszego Polskiego Radia opowiedziano jak przedstawiciele tak zwanej „*nowej inteligencji* „: pan inżynier i pan doktor postanowili rozstrzygnąć sprawę „*naruszenia czci jednej z żon*” w sposób honorowy. Poszukiwano więc broni do odbycia tego pojedynku. Wujko jednego z panów miał stary poniemiecki bagnet, znajomy drugiego pojedynkowicza szable. W tej sytuacji wybrano jako oręż sztachety z płotu, aby broń ujednolicić. W starciu do „*pierwszej krwi* „, u jednego z pojedynkowiczów wyleciały trzy zęby. Za jedną babę aż trzy zęby !!! Rzecz zakończyła interwencją policji i pogotowia ratunkowego.

Powszechnym staje się odejście od prowadzenia rozmów w grupie myślącej nad procesami duchowymi, społecznymi czy politycznymi i to od dyskusji pogłębionych. Dość często, aby nie rzec zbyt często myli się inteligencję ze zwykłym cwaniactwem i sprytem. Powszechne jest także mniemanie, że im głośniejsze mówi tym mądrzej się mówi. Sprawdza się maksyma pana La Rochefoucauld: „*Mądrość jest cnotą nieliczną i codziennie musi zmierzyć się z tłumem !*”.

Praktyka pokazuje, że i jedna jak i druga opcja polityczna nie umie oceniać rzeczywistości, co oznacza brak kwalifikacji do działalności publicznej. Kampanie przedwyborcze są zbiorem pobożnych życzeń w znacznej części, w żaden sposób nie przystających do naszych możliwości. Pomysły na rządzenie krajem ograniczają się do czteroletnich kadencji, natomiast wizji tego co stanie się z krajem za lat 25 – 50 nie ma żadnej. Regułą stało się podnoszenie i szerokie dyskusowanie tematów zastępczych, nie mających większego znaczenia dla ogółu. Ważną bronią w taktyce gry politycznej stały się igrzyska. Żadnych poważnych, kompetentnych społecznych dyskusji na temat perspektywnego planu rozwoju gospodarczego Polski, zwłaszcza w nowej historycznej rzeczywistości członkostwa w Unii Europejskiej. Soames, mądry bohater „Sagi Rodu Forsytów „, przestrzegal ; „*Państwo podobne jest do drzewa. Można go doglądać, ale nie wolno wrywać z korzeniami, aby im się przyjrzeć. W sprawach publicznych najważniejszą z rzeczy jest zachowanie umiaru i nie robienie niczego więcej ponad to, co konieczne. Ustalając zakres tego co konieczne trzeba, przede wszystkim, kierować się zdrowym rozsądkiem. Robienie niepotrzebnych alarmów wcale nie jest dowodem patriotyzmu. Zagranicą cieszą się kiedy mamy kłopoty. Z tego też względu nie należy zbyt głośno rozmawiać o naszych problemach !*”.

Odnosi się wrażenie, że wielu z tych „*mężów stanu* „, w ogóle nie rozumie co to znaczy prowadzić politykę gospodarczą państwa w dobie obecnej. Narasta bezład ekonomiczny i relatywizm moralny. Na początku XXI wieku, w niepodległej i rynkowej już Polsce, na stacji P.K.P. w miejscowości K. pewnemu znanemu redaktorowi wydano reszty przy opłacaniu biletu krajowego prezerwatywami.

Wielu, a może zbyt wielu, odwołuje się do pojęcia „*polityki chrześcijańskiej*” podczas kiedy istotę problemu stanowi chrześcijańska odpowiedzialność w polityce. Jestem w tym względzie zgodny z księdzem profesorem Józefem Tischnerem mówiącym, że: „*Chrześcijaństwo jest wciąż przed nami, a nie za nami !!!*”. Jak wiadomo marksiści mówią: „*Wolność oznacza zrozumienie konieczności !* „, podczas kiedy chrześcijanie wyznają prawdę, że: „*Wolność oznacza wolność dokonywania wyboru. Wyboru między dobrem a złem, a więc wolną wolę !* „. Idiotyzmy przenoszą się do codziennego bytowania i tak zwane doły społeczeństwa nie są gorsze niż „*elity* „.

Jakże powszechne okazały się poglądy typu: „*No nareszcie nasi górą !* „, „ *A którzy to nasi ?* „, „ *No przecież ci co są górą !!!*”. Potwierdza się teza, że każda potencjalna władza w okresie kampanii przedwyborczej bierze pod uwagę to co mówią niezależni fachowcy, ale każda władza opiera się w swym późniejszym działaniu na swoich, coraz częściej, niestety, niekompetentnych.

Jakże wciąż aktualnie brzmi wiersz Agnieszki Osieckiej: *REFLEKSJA*

*Gdzie pozostanie po zrywach pokoleń
Śmiech głuchy, drwiący i żelazny złom
I srebrne ptaszę wywiedzione w pole
Tu jest nasz wspólny, wreszcie własny dom.
Gdzie odpowiedzią na chleb bywa kamień
A chamskie pyski zajadły się żrą
Chociaż na każdym oświaty kaganiec
Tu jest nasz wspólny, wreszcie własny dom.
Gdzie wciąż ma potężną siłę przebicia
Pała zakuta, zbrojna w tęgi łom
Gdzie na dnie flaszki przycupnął smak życia
To jest nasz wspólny, wreszcie własny dom
Gdzie mistrz się myli, instrument nie stroi,
A głos cymbałów w zachwytyt wprawia lud
Tu Polska świrem jak stała tak stoi
I to największy Opatrzności cud !*

A nasze młode lata odpłyną

Należy też zgodzić się z opinią znanego dziennikarza, który pisał:

„ *W roku 1980 20% społeczeństwa porwało za sobą resztę, która mogła tylko stracić. Większość to oczywiście „ lud pracujący miast i wsi „ który dopiero po II Wojnie Światowej awansował do roli narodu, o czym pisał kiedyś profesor Chałasiński. W tym także inteligencja w pierwszym pokoleniu, której w dowodzie osobistym nie zgadza się miejsce urodzenia z miejscem zamieszkiwania. Gdyby nie Polska Ludowa paśli by krowy czy gęsi nad Narwią. Mniejszość to stara inteligencja, dziedzice etosu lub przynajmniej gestu, dawnej zubożałej szlachty. Nadal toczy się nie zakończony spór Kordiana z Chamem. O tyle bardziej skomplikowany, że potomek Chama chce być dzisiaj Kordianem, przejmuje karabelę, którą w „Wyzwoleniu „ Wyspiańskiego podsuwa mu szydlerczo Karmazyn: „Bierz karabelę Chamie – bracie i za pan brat ze szlachtą siądz !”. Ale wcześniej mówi do niego: „ Ha, wyucz się naszych wad ! „.*

A oto znaleźliśmy się w czasach, o których proroczo pisał profesor Richard Herrnstein z Harvardu: „ *W XXI wieku grozi nam powstanie nowego społeczeństwa klasowego podzielonego ściśle według wartości ilorazu inteligencji* „. Nie pociesza mnie fakt, że wielu naszych aktualnych polityków w niedawnych sprawdzianach nie osiągnęło IQ = 100. To co jest śmieszne nie musi być wesołe. Większość z nich to wielcy ludzie. Jak przysłowie mazowieckie mawia, są to facety, które „ *na każdym ślubie muszą być panną młodą, a na każdym pogrzebie nieboszczykiem* „. Każdy z tego gatunku ludzi MUSI być głównym bohaterem KAŻDEGO wydarzenia. A to powinno bardziej smucić niż bawić.

W czerwcu 1985 moja ukochana córka-Agnieszka wyszła za mąż za kolegę ze studiów medycznych Retta Krauze. Przekroczyliśmy wraz z Żoną w tym czasie pięćdziesiąty rok życia. A pięćdziesiątka, jak mawiał Jeremi Przybora, to „ *wiosna starości* „. Z natury rzeczy za chwilę powinniśmy być dziadkami. I istotnie w kwietniu 1987 roku urodził się nasz Książę Walii – Michał, zaś równo dwa lata później w roku 1989 wnuczka Aleksandra.

W dniu 24 października 1987 roku zmarł z powodu choroby nowotworowej mój Ojciec. Doczekał prawnuka – Michała. Nie doczekał młodszej o dwa lata Oli. Umierał zamroczony, a odzyskując na chwilę przytomność szeptał: „ *Jestem szczęśliwy – bo Aga, bo Michał, bo Ty !!!* „. Straciłem Wielkiego Przyjaciela i niezwykle oddanego mnie, mądrego Człowieka, który ułatwił mi podjęcie wielu trafnych życiowych decyzji. Był zawsze dla mnie wzorcem rozsądku i prawości w postępowaniu. Był Człowiekiem z zasadami !.

Ku Jego ceniom kieruję wiersz:
*Jest takie czekanie, które już jest spotkaniem,
 Jest taka ciemność, która już jest światłością,
 Jest taka cisza – cisza, w której
 Słyszysz Niesłyszanego.*

Ks. Aleksander Fedorowicz (1965).

Dziesięć lat później, w dniu 2 sierpnia 1997 roku będącym świętem Matki Boskiej Anielskiej, zmarła moja Mama. Z Nią byłem związany w sposób szczególny: wspólne losy w Warszawie oblężonej we wrześniu roku 1939, okres okupacji, pobyt w Skoroszach, pierwszy rok po wojnie w nędzy i ogromnym niepokoju o los Ojca. O ile z Mamą byłem związany Jej wielkim sercem, pełnym nieustannego niepokoju o mnie, rodzinę i Polskę, to z Ojcem łączyła mnie więź intelektualna. Mama była istotą kruchą, całkowicie nieodporną na dramaty czasu, w którym żyć Jej przyszło. Stanowiła klasyczny przykład harcerki Drugiej Rzeczypospolitej, zawsze wiernej Bogu, Ojczyźnie i Rodzinie.

W dobrej literaturze znalazłem kilka fragmentów dzieł ludzi wybitnych, którzy byli, jak się wydaje, zdolni właściwie oddać to, co każdy porządny człowiek musi czuć w momencie śmierci swojej Matki. Nie jestem w stanie wyrazić tego lepiej:

„Przypomnij sobie, co myślisz o Ojcu, a co i jak myślisz zwykle o Matce.

Ojciec – to honor, siła i obrona. Gdy się człowiekiem staniiesz oddać Mu będziesz mógł siłą, honorem i obroną. Ale Matce nigdy nie oddasz, dłużny Jej już na zawsze. Bo nie masz tyle serca dla Niej, ileś z Niej wziął – jak młody dąb nie odda soków z dobrej ziemi wziętych, a które krążą teraz w jego bujnej koronie „

Julisz Kaden – Bandrowski – Miasto mojej Matki.

„Są wzruszenia tak niewinne i czyste jak wzruszenia dziecka. Bezkrytycznie ono dziecko zachwycone Matką nie patrzy i nie pyta jakie szaty są na Jej ciele. Czy jest brzydka, czy jest ładna dla kogoś innego. Ona jest i pozostanie dla dziecka czymś pięknym i cudownym, a w dzień Jej imienin serce bije radośniej.

Józef Piłsudski – Pisma rok 1933. tom V., str. 255-260.

„Jak trudno mówić o matce, kiedy własna Matka staje nam w oczach. Chyba nie sposób mówić o Matce w czasie przeszłym dokonanym i głosić prawdę, że była uboga, cicha, sprawiedliwa, czysta, smutna, pokój czyniąca, prześladowana przez życie i udręczona wojną. Czy o Matce można mówić, że była ?. Matka wciąż jest. Jeśli w czasie przeszłym, to niedokończonym, żywym, teraźniejszym, wiecznym. Niektórzy mówią, że Matka w chwili śmierci – jak każdy człowiek – wymyka się naszym oczom. Ale z Matką jest zawsze tak samo – maleńki wielki sekret: jeśli jest, to się Jej nie dostrzega, bo jest za blisko. Widzi się Ją wtedy, kiedy Jej brak. Ta, która odeszła, którą żegnamy, nie jest daleko. Jest bliżej, najbliżej niż kiedykolwiek – jest w Bogu „.

„Świętej pamięci Matka „ *Ks Jan Twardowski 1983 r..*

„Wszystko podporządkowane jest śmierci. Wieczny żywot sądzony jest tylko Matce. I kiedy Matki nie ma już na świecie pozostaje po Niej wspomnienie, którego jeszcze nikt nie śmiał pokalać. Pamięć o Matce umacnia w nas współczucie, tak jak ocean bezbrzeżny zasila rzeki przecinające świat „

Izaak Babel. Opowiadanie „ Rabbi „.

„Ona mnie pierwsza pokazała księżyc
 i pierwszy śnieg na świerkach,
 i pierwszy deszcz.

Byłem wtedy mały jak muszelka.

A czarna suknia Matki szumiła

Jak Morze Czarne

Dopala się nafta w lampce

Lamentuje nad uchem komar,

Może to Ty, Matko, na niebie

Jesteś tymi gwiazdami kilkoma ?

Konstanty Ildefons Gałczyński.

Ostatnia z rodziny Lindnerów Ciocia Jadzia, moja Chrzestna Matka (93 rok życia) przysłała do mnie list po pogrzebie Mamy.

„ Ciagle wracam do Twego obszernego, bolesnego listu z dnia 6 sierpnia 1997 roku, w którym czytam:” Z pokolenia Rodziców tylko Ciocia mi pozostała !”. Oto spotkanie z uczuciami mego serca. Tylko Ty mi pozostałeś Grzesiu Kochany, który odczuwasz moje rodzinne chwile bólu przeżywane w głuchym osamotnieniu, mimo, że doceniam warunki życia w mojej starości. Nawiązując do uroczystości pogrzebowych nie mogę wyznać jak ciężko przeżyłam moją nieobecność. Duchem byłam z Tobą, żegnałam Ją najczulszymi słowami wierząc, że odchodzi do szczęśliwej Bożej wieczności. Dziękuję Kochany, że tak serdecznie po rodzinnemu przyjęliście Teresę, która była w moim imieniu. To było takie ważne, że mogła się spotkać z Agnieszką, Rettem i ich Dziećmi. Mogła, słowem, poznać następne pokolenia naszej Rodziny. W liście piszesz:” Mam poczucie, że Mama odeszła w pokoju i spokoju, świat żegnał Mamę słoneczno-promienny i ciepły ... Taka więc atmosfera serdecznych pożegnań tych licznych przyjaciół i Rodziny. Obok tapczanu mam ładnie oprawione zdjęcia Mamy Toli z Winterslag, gdzie pracowała jako instruktorka harcerska z dziećmi polskich górników. Im bliżej końca listu tym bardziej moje pismo jest nieudolne, męczące do czytania. Wszystkich pozdrawiam. Ciebie całuję najmocniej. Zawsze serdecznie bliska i oddana. Kochająca – Ciocia Jadzia.

Ciocia Jadzia zmarła osiem lat później na początku roku 2005 w 101 roku życia.

Rodzice dali mi nie tylko życie, ale nade wszystko wiedzę o tym jak żyć, ukształtowali mnie, nauczyli jak przestrzegać zasad obowiązujących porządnego człowieka. Ojciec mój zawsze powtarzał modlitwę Marka Aureliusza: *„Boże, użyż mi pogody ducha, abym godził się z tym czego zmienić nie mogę, odwagi, abym zmienił to, co mogę zmienić: mądrości, abym odróżnił jedno od drugiego „.*

W roku 1977 po przedwczesnej śmierci prof.dr. hab.. med. Zbigniewa Bochenka objąłem stanowisko Kierownika Kliniki Otolaryngologii. Miałem odziedziczyć schedę po wybitnych Szefach Kliniki powołanej w roku 1921 jako Klinika Laryngo – Otiatryczna Uniwersytetu Warszawskiego, z całą odpowiedzialnością za dalszy rozwój zespołu lekarskiego. Osobowość mego znakomitego Poprzednika prof.dr.hab.med. Zbigniewa Bochenka i Jego pozycja w otorynolaryngologii europejskiej sprawiała, że przyjęcie tej propozycji nie było dla mnie łatwą decyzją. Zasadniczym pytaniem, które zadawałem sobie w tym momencie sprowadzało się do tego, czy dam sobie radę ?. Ogromnym wsparciem w zdecydowaniu o powrocie do Kliniki była świadomość, że mam zapewnioną współpracę grona doświadczonych i w przeważającej części przyjaznych mi Koleżanek i Kolegów. Wyjątkowe wsparcie okazywała mi zawsze pani prof.dr. hab.. med. Irena Cichocka – Szumilin, której wielki autorytet zawodowy i moralny uznawany przez całe środowisko otorynolaryngologów polskich ułatwiał mi podejmowanie wielu właściwych decyzji w następnych latach mej działalności na tym stanowisku. Jej rady były dla mnie bezcenne.

Urodzona 11 lipca 1910 roku w Warszawie uzyskała dyplom lekarza po odbyciu studiów w Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Warszawskiego w roku 1935 (Dyplom lekarza nr. 651). W czasie studiów przez trzy lata współpracowała z Zakładem Histologii i Embriologii kierowanym przez prof. Mieczysława Konopackiego, gdzie pełniła rolę demonstratora. Pracę w Klinice Laryngo-Otiatrycznej U.W. rozpoczęła pod kierunkiem prof. Feliksa Erbricha w roku 1937. Odbyła staż w Klinice Chirurgii Uniwersytetu Karola w Pradze (1933) i Klinice Chirurgii w Dubrowniku (1934). W roku 1938 zawarła związek małżeński z inżynierem Włodzimierzem Szumilinem, po wojnie profesorem Politechniki Warszawskiej. W czasie okupacji niemieckiej brała czynny udział w tajnym nauczaniu studentów Wydziału Lekarskiego U.W. Uzyskała stopień doktora medycyny w roku 1949 po przedstawieniu pracy p.t. *„ Leczenie kalcyferolem tocznia błony śluzowej górnych dróg oddechowych „.* Habilitacja w roku 1952 (Opiekun prof. dr. A. Dobrzański) po przedstawieniu pracy p.t. *„ Pylica górnych dróg oddechowych – badania kliniczne i doświadczalne „.* W roku 1948 odbyła staże w Klinice Otolaryngologii Uniwersytetu w Bordeaux (kierownik prof. G.Portmann), w

roku 1957 w klinikach uniwersyteckich Paryża i Londynu i następnie w roku 1964 w centrach onkologicznych Paryża, Lyonu i Marsylii. Na przełomie lat 1940/1950 zgodnie z poleceniem prof. Dobrzańskiego zorganizowała Ośrodek Kliniczny w Ciechocinku Zdroju, których kierowała do końca lat 1960 – tych. Była jego pierwszym i wieloletnim konsultantem. Ośrodek ten rehabilitujący chorych po operacjach jam nosa, zatok przynosowych, krtani działał do końca lat 1970 – tych.

W latach 1952 – 1966 została powołana przez Ministra Zdrowia na stanowisko Specjalisty Krajowego d.s. Otolaryngologii. W czasie pełnienia tej funkcji wszystkie swe zdolności organizacyjne poświęciła na tworzenie nowych placówek lecznictwa otwartego i zamkniętego otolaryngologii na terenie całego kraju. Dzięki Jej działaniom każdy powiat posiadał własnego specjalistę otorynolaryngologa. Od 1952 roku do 1969 pełniła obowiązki Konsultanta Laryngologa w Lecznicy Ministerstwa Zdrowia w Warszawie.

W latach 1953/1954, 1956/1957 i w roku 1977 po śmierci kolejnych kierowników Władze Akademii Medycznej zlecały Jej pełnienie obowiązków kierownika Kliniki Otolaryngologii A.M. Ceniona w macierzystej Uczelni zajmowała stanowisko Prodziekana Wydziału Lekarskiego w latach 1957 – 1960. Uznanie jakim darzyło Ją środowisko naukowe znalazło swe odbicie w powołanie pani Profesor do udziału w Radzie Naukowej Instytutu Matki i Dziecka w Warszawie w latach 1961 – 1978. W roku 1958 została odznaczona Złotym Krzyżem Zasługi, w roku 1973 Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, następnie Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, zaś w roku 1980 Odznaczeniem „Zasłużony Nauczyciel P.R.L. „.

Głównym kierunkiem zainteresowań zawodowych prof. I. Cichockiej – Szumilin było rozpoznawanie i leczenie nowotworów głowy i szyi. Ze swych staży zagranicznych przywoziła nowe techniki diagnostyczne i operacyjne, w których szkoliła młodzież lekarską. W Warszawskiej Klinice zorganizowała pierwszy zespół specjalizujący się w chirurgii nowotworów (doktorzy: J. Kuś, J. Osuchowa., T. Jegliński). Była głównym organizatorem nowoczesnego szkolenia podyplomowego, które obejmowało tak pracowników Kliniki jak i lekarzy kierowanych tu na staże. System przez Nią stworzony na wzór krajów rozwiniętych przetrwał do dnia dzisiejszego. Z Jej inicjatywy został stworzony interdyscyplinarny team łączący chirurgów i radioterapeutów pracujących pod kierownictwem prof. J. Borejki. Jej szczególne zainteresowania zawodowe nadawały kierunek publikacjom.

Była czynnym członkiem Polskiego Towarzystwa Otolaryngologów, przez dwie kadencje pełniąc obowiązki Przewodniczącej Oddziału Warszawskiego PTOL.

Wszystkie jej sprawy zawodowe toczyły się na tle wielu poważnych, aby nie powiedzieć dramatycznych trudności rodzinnych Pani Profesor: ciężkich i przewlekłych chorób męża i starszej córki. Nigdy, mimo tego nie odczuwaliśmy Jej zmęczenia, czy niechęci poświęcenia nam chwili czasu na rozmowę w sprawach dla nas ważnych. Pokolenie do którego należę nigdy nie zapomni słynnych kolokwiiów zdawanych systematycznie u Pani Profesor, w których bardzo szeroki zakres wiedzy z kolejnych działów otorynolaryngologii był egzekwowany z żelazną konsekwencją. Po zdaniu cyklu tych kolokwiiów szliśmy do egzaminów specjalizacyjnych znakomicie przygotowani.

Prof. dr. hab.. med. Irena Cichocka – Szumilin odegrała w historii Warszawskiej Kliniki Otolaryngologii rolę szczególną. Powierzenie jej przez Władze Akademii Medycznej roli *interrex*a w okresie dla Kliniki szczególnie trudnym, a mianowicie w czasie następującym po śmierci trzech kierowników Kliniki nie było decyzją przypadkową. Pani Profesor była nie kwestionowanym autorytetem nie tylko zawodowym, ale także, a może nade wszystko, moralnym. Szczególnie wiele uwagi i troski poświęcała młodzieży lekarskiej zwracając uwagę nie tylko na zdobywanie przez nią doświadczenia zawodowego, ale także na jej wychowanie. Szczególnie wiele uwagi i troski poświęcała młodzieży lekarskiej zwracając uwagę nie tylko na zdobywanie przez nią doświadczenia zawodowego, ale na kształtowanie naszej osobowości. Ogromną wagę przywiązywała do przygotowania nas, młodych wówczas kandydatów na specjalistów w dziedzinie otolaryngologii, do prawidłowych kontaktów z chorym i jego rodziną.

Odeszła na emeryturę w roku 1980 utrzymując wciąż stały, przyjazny kontakt ze swymi byłymi wychowankami i współpracownikami żywo interesując się wszystkim co w macierzystej Klinice się dzieje. Wszystkie sukcesy naszej Kliniki, słusznie traktuje jako swoje.

Doświadczenia jakie wyniosłem z rocznego stażu naukowego i praktycznego w Otological Research Laboratory of Henry Ford Hospital w Detroit (1969-1970) narzucały sposób prowadzenia Kliniki i zespołu Współpracowników: maksymalna autonomia dla każdego z Nich przy systematycznej kontroli całości. Byłem być może wymagającym szefem, ale także sobie stawiałem wysokie wymagania mając poczucie odpowiedzialności za całokształt działalności naszej Kliniki. Za punkt honoru postawiłem sobie prowadzenie Zespołu w taki sposób, aby każdy z nich czuł się odpowiedzialny za swe działanie, ale bezpieczny. W tym względzie niedościgłym wzorem był mój pierwszy szef dr. Feliks Kanabus z Omegi. Ogromną pomoc w pierwszych latach mego „panowania” okazało mi grono seniorów otolaryngologii polskiej, a w sposób szczególny panowie profesorowie Aleksander Zakrzewski, Jan Sekuła, Stanisław Iwankiewicz, Henryk Czarnecki i Bolesław Semczuk, których przyjaźń i życzliwą współpracę będę przechowywał we wdzięcznej pamięci do końca moich dni.

Odeszło w czasie tych kilkudziesięciu lat wielu znajomych i przyjaciół, w tym w dniu 11 września 1999 roku Tadzio Jegliński, który był mi wiernym druhem od pierwszych dni wspólnego zatrudnienia w Klinice. Jak mawiał mój pacjent, znakomity pisarz Tadeusz Konwicki „*Miarą mojej starości jest to, że coraz częściej spotykam się z przyjaciółmi i bliskimi nie przy stole biesiadnym, ale na ich pogrzebach*...”. Cóż, tylko ten nie traci przyjaciół i bliskich, kto ich nie miał.

Całe moje doświadczenie życiowe lekarza – dydaktyka wskazuje na to, że najważniejszym i najbardziej istotnym z tego co możemy dać studentowi i młodemu lekarzowi to my sami, ludzie doświadczeni w zawodzie. Nasze doświadczenie, nasza filozofia zawodowa to nasz najcenniejszy materiał dydaktyczny. Wszystko inne mogą oni wyczytać z książek. Powtarzając się przy wielu okazjach usiłowałem przekazać młodszym i straszym Koleżankami i Kolegom wciąż aktualną modlitwę sir. Roberta Hutchinsona, znakomitego otiatry angielskiego: „*Od niemożności czynienia wyłącznie dobrze, od zbytnej gorliwości przyjmowania bezkrytycznie wszystkiego co „nowe”, przy jednoczesnym negowaniu wartości tego „co stare”, od traktowania chorego jako przypadku, od przedkładania wiedzy ponad mądrość, nauki ponad zdrowy rozsądek, a także od sprawiania, że leczenie jest większą męką niż sama choroba – ustrzeż nas dobry Boże!*”.

Wielokrotnie, aczkolwiek bezskutecznie, zwracałem uwagę naszej społeczności akademickiej, że szalonym brakiem naszego procesu nauczania młodych lekarzy jest nie uwzględnianie konieczności przekazywania umiejętności rozmowy z chorym i jego rodziną. Niejednokrotnie obserwowałem marnych, w sensie zawodowym, lekarzy obłożonych przez pacjentów, bo „*to ludzki doktor, przed nim się można wygadać, ona – on mnie rozumie!*”.

„*Daty są to stacje, na których czas zmienia swoje konie pocztowe*” mawiał Lord Byron. Odchodząc ze stanowiska Kierownika Warszawskiej Kliniki Otolaryngologicznej po ćwierćwieczu pracy na tym stanowisku poczuwałem się do obowiązku przedstawić środowisku naszej Uczelni swego rodzaju raport o stanie Kliniki, którą przekazałem swemu następcy dr. hab. med. Kazimierzowi Niemczykowi wybranemu przez Radę I Wydziału Lekarskiego z początkiem nowego roku akademickiego 2003 – 2004. Pan prof. dr. hab. med. Kazimierz Niemczyk, mój wychowanek jest 42 letnim, doświadczonym otolaryngologiem, w sposób szczególny zajmującym się otoneurochirurgią. Jest to lekarz niezwykle dynamiczny, pracowity i kompetentny. Wierzę, że przy pielęgnowaniu wszystkich pozytywnych cech swego charakteru oraz życzliwości środowiska otorynolaryngologów polskich i Władz naszej Uczelni będzie ta funkcję sprawował skutecznie i mądrze.

Pragnę w sposób szczególny podziękować następnemu z moich Uczniów panu prof. dr. hab. med. Antoniemu Krzeskiemu, który w roku akademickim 2002 – 2003 przyjął na siebie trudną i mało wdzięczną rolę „*pełniącego obowiązki*” Kierownika Kliniki Warszawskiej, którą przeprowadził przez szczególnie trudny okres z pełnym powodzeniem. Ukoronowaniem Jego działalności była organizacja wspaniałego Międzynarodowego Kongresu Rynologicznego, który

odbył się w dniach 12 – 14 czerwca 2003 roku i w którym czynny udział wzięło 20 wybitnych specjalistów reprezentujących ścisłą czołówkę rynologii światowej.

Tytuł profesor nadzwyczajnego uzyskałem w roku 1982, zaś profesora zwyczajnego w roku 1988. W roku 1983 otrzymałem z wyboru członkostwo Collegium Oto – Ryno-Laryngologicum Amicitiae Sacrum – światowej korporacji otorynolaryngologów – naukowców i dydaktyków uznawanej za „senat” otorynolaryngologii światowej, zaś w roku 1995 (także z wyboru!) członkostwo International Academy of Otorhinolaryngology-Saint Petersburg. W roku 1994 Polskie Towarzystwo Otorhinolaryngologów przyznało mi Członkostwo Honorowe P. T. O. L., zaś w roku 2003 uzyskałem Wyróżnienie Honorowe Polskiego Towarzystwa Rynologicznego „Artifex Rhinologiae”. W roku 2003 otrzymałem od Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Otorhinolaryngologów Medal im. Prof. Przemysława Pieniążka w dowód uznania działalności na rzecz społeczności otorynolaryngologów polskich. W roku 2004 generał prof.dr.med. Marek Maruszyński wręczył mi szablę honorową ozdobioną plakietką z napisem: „*Wielce Szanownemu Panu Profesorowi Grzegorzowi Janczewskiemu-Zespół Kliniki Otolaryngologii Wojskowego Instytutu Medycznego. Warszawa 11 października 2004 roku.*”

Czas mojego kierowania zespołem nie był być może straconym skoro prof. Thomas McDonald, szef Departamentu Otorhinolaryngologii w Mayo Clinic pisał:

„I write as Professor and Chairman of the Department of Otorhinolaryngology-Head and Neck Surgery, Mayo Clinic, Rochester, Minnesota U.S.A. Professor Janczewski and I are friends and colleagues. His department is outstanding, and in my opinion, it is one of the foremost in Europe, as is his faculty. It is honour and a pleasure that Mayo would be allowed to put this cooperation with professor Janczewski, and we are grateful. Sincerely (-) Thomas J. McDonald.

Następny znakomity gość profesor Eugene N. Myers szef Department of Otolaryngology School of Medicine of University of Pittsburgh pisał po wizytacji Kliniki:

“I was very much impressed by you and your staff. Your assistants and colleagues are, it seemed to me, extraordinarily intelligent, eager, committed and knowledgeable in otolaryngology. These are certain all important personal attributes but my experience tells me that the spirit of your clinic comes from your excellent leadership. Based on my very positive impression of your department, I would like very much to participate in any type of collaborative efforts in which you may have an interest.

W czasie pierwszych tajnych wyborów Rada I Wydziału Lekarskiego powierzyła mi stanowisko Dziekana w kadencji lat 1987-1990. W końcu roku 1987 miałem możliwość wręczenia, jako Dziekan Wydziału, dyplomu lekarskiego mojej ukochanej Agnieszce. Jej Dziadek, a mój Ojciec, już tego nie doczekał. Niestety. Senat Warszawskiej Akademii Medycznej uhonorował mnie w roku 1996 medalem " Za Szczególne Zasługi dla Akademii Medycznej w Warszawie ", które to odznaczenie jest szczególnie drogie memu sercu podobnie jak honorowa odznaka „Złota Syrenka”, przyznawana za działalność na rzecz społeczności miasta stołecznego Warszawy. Już po odejściu na emeryturę na wniosek Jego Magnificencji Rektora Prezydent Rzeczypospolitej przyznał mi Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski, który odebrałem w jesieni roku 2003. To samo odznaczenie odebrała zażenowana moja Żona. W grudniu 2004 roku Rada I Wydziału Lekarskiego Akademii Medycznej przyznała mi „Medal za Szczególne Zasługi dla Wydziału”. Jak zawsze dowody uznania środowiska, w którym tak długo pracowałem są dla mnie szczególnie cenne i wzruszające. Byłem jednym z żyjących jeszcze byłych dziekanów uhonorowanych tym wyróżnieniem.

Moja praca na rzecz polskiego środowiska otorynolaryngologicznego obejmowała także udział w pracach Konsultanta Krajowego d.s. O.R.L.. I tak: Zespół Specjalisty Krajowego d.s. Otolaryngologii: 1974-1979 jako Sekretarz Medyczny przy Przewodniczącym Zespole Specjalisty Krajowego, 1979-1987-członek Zespołu Specjalisty Krajowego, 1987-1989-Wiceprzewodniczący Krajowego Zespołu Specjalistycznego, 1989-1990-Przewodniczący Krajowego Zespołu Specjalistycznego, 2001-2002 – Konsultant Krajowy d.s. Otorhinolaryngologii. W roku 2002 wraz z zespołem ekspertów reprezentujących nasze środowisko opracowano pod moim przewodnictwem nowy program specjalizacji w zakresie otorynolaryngologii, program

kompatybilny z zaleceniami Europejskiej Unii Specjalizacji Medycznych. Znakomicie współpracowało mnie się ze służbą zdrowia Wojska Polskiego. Serdecznym przyjacielem był płk. prof.dr.med. Henryk Czarnecki, a także Jego następca płk. prof.dr.Aleksander Ligęziński. Doskonale kontakty utrzymuje z kolejnym szefem tej Kliniki płk.prof.dr.med. Dariuszem Jurkiewiczem.

Byłem powołany na członka Rady Naukowej przy Ministrze Zdrowia w latach 1982 – 1989 i 2001-2006.

W lecie 2002 roku zakończyło się pełne ćwierćwiecze pełnienia przeze mnie funkcji Kierownika Warszawskiej Kliniki Otolaryngologii i pojawiły się z łaski losu kłopoty zdrowotne, które skłoniły mnie do rezygnacji z tego stanowiska. W roku 2002 profesor Andrzej Borkowski, szef Kliniki Urologii wykrył u mnie raka nerki. Decyzja co do szybkiego operacyjnego usunięcia tej zmiany była oczywistą. Po wykorzystaniu rocznego urlopu zdrowotnego „ dla poratowania zdrowia „, przeszedłem z dniem 30 września 2003 roku w stan spoczynku. Nie zostałem w klinice w charakterze profesora przy katedrze ponieważ chciałem uniknąć jakiegokolwiek sytuacji, w której w sposób niezamierzony krępował bym swego następcę. Uważam, że jest to człowiek odpowiedzialny i przygotowany do pełnienia powierzonej mu funkcji.

Decyzja o przejściu w stan spoczynku podjęta na dwa lata przed upływem ustawowego terminu mojej emerytury wynika ze świadomości, że kierujący kliniką chirurgii głowy i szyi nie może być pozbawiony pełnej kondycji fizycznej umożliwiającej normalne działania w codziennej praktyce. Jako dojrzały człowiek mam pełną świadomość o tym, że istotnie ważnymi są dwa momenty życia każdego z nas: czas narodzin i czas odejścia z tego łoża padole. Ta świadomość pozwala na przywołanie pamięci maksymę słynnego burmistrza Nowego Yorku Rudolpha Gulianiego, także chorego na raka, którego dewizą życiową jest: „ *Pierwszym z ludzkich praw jest wolność od strachu !. Nie bójcie się !!!*”.

Za czasów mojej 25 letniej kadencji Kierownika Kliniki wyhabilitowało się 12 Koleżanek i Kolegów, uzyskało stopień doktora nauk medycznych 41 osób, z czego ja byłem promotorem jedynie 14 przewodów. 4 spośród prowadzonych przeze mnie doktoratów uzyskało prestiżową nagrodę naukową im.prof Jana Miodońskiego przyznawaną przez Zarząd Główny Polskiego Towarzystwa Otorinolaryngologów. Dzięki takiej polityce rozdzielania funkcji promotora prac doktorskich 6 naszych Kolegów zdobyło tytuł naukowy (Teresa Goździk – Żołnierkiewicz, Antoni Krzeski, Andrzej Kukwa, Kazimierz Niemczyk, Henryk Skarżyński i Edward Zawisza). Mój następca Kazimierz Niemczyk uzyskał zasłużenie tytuł profesora nauk medycznych w dniu 4 kwietnia 2005 roku.

W latach 1977 – 2005 byłem współautorem 27 monografii i podręczników dla lekarzy i redaktorem lub współredaktorem 14 dalszych wydawnictw tego typu. Dziełem, w zamierzeniu wieńczącym moją działalność dydaktyczną jest podręcznik „ Otorinolaryngologia Praktyczna „, który ukazał się w druku w końcu roku 2005. Jest to wspólny dorobek całego zespołu Współpracowników i Wychowanków naszej Kliniki.

Dokonałem 47 recenzji prac doktorskich, 21 recenzji habilitacji oraz 20 recenzji wniosków o przyznanie tytułu naukowego profesora medycyny (w tym 1 na prośbę władz Albert Einstein Medical University z Nowego Jorku). Jestem członkiem komitetów redakcyjnych 9 czasopism lekarskich.

W latach 1983 – 1986 byłem Przewodniczącym Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Otolaryngologów. Kadencję tą zakończył w zorganizowany w roku 1986 przez Oddział Warszawski P.T.O.L. zjazd naszego Towarzystwa w Stolicy.

Ośmielam się zwrócić uwagę na następujące osiągnięcia Kliniki uzyskane w latach 1977 – 2002:

- 1). Wprowadzenie nowych technik badań elektrofizjologicznych narządu słuchu i równowagi,
- 2). Wprowadzenie laserów w polskiej otorinolaryngologii,
- 3). Chirurgia przestrzeni przygardłowej i podstawy czaszki,
- 4). Otoneurochirurgia i chirurgia ucha wewnętrznego,

- 5). Obiektywizacja badań czynnościowych górnych dróg oddechowych (rynomanometria i rynomometria akustyczna)
- 6). Implanty ślimakowe i pniowe jako nowoczesna metoda rehabilitacji całkowitej głuchoty nerwowo- czuciowej.
- 7). Czynnościowa chirurgia endoskopowa nosa i zatok przynosowych (FESS),
- 8). Rozległe operacje rekonstrukcyjne z użyciem płatów skórno – mięśniowych i wolnych przeszczepów, stosowanych zwłaszcza po rozległych operacjach onkologicznych,
- 9). Chirurgia zaawansowanych stadiów raka krtani i gardła dolnego, przy tym jesteśmy jedynym wciąż ośrodkiem w Polsce wykonującym rekonstrukcje gardła dolnego i górnej części przełyku przy użyciu wolnego autoprzyszczepu jelita cienkiego. Operacje te są wykonywane w ścisłej współpracy z Kliniką Chirurgii Naczyniowej A. M.
- 10). Wprowadzenie do codziennej praktyki otorynolaryngologii biopsji cienkoigłowej i cytologii złuszczeniowej,
- 11). Rozwój alergologii stosowanej dla otorynolaryngologii,
- 12). Nowe metody rozpoznawania, dokumentacji i rehabilitacji zaburzeń mowy.

Aby nie było nieporozumień-były to osiągnięcia uzyskane przez cały kierowany przeze mnie zespół naszej Kliniki, któremu starałem się nigdy nie przeszkadzać. Ważnym źródłem naszych osiągnięć była ścisła współpraca z innymi klinikami naszego Szpitala, zwłaszcza z Kliniką Neurochirurgii oraz Kliniką Chirurgii Naczyniowej (!).

W chwili zakończenia mojej pracy struktura Warszawskiej Kliniki ORL przedstawiała się następująco:

W sumie 81 łóżek było podzielonych na trzy oddziały 27 łóżkowe: a) rynologii, b) otologii i c) onkologii, pracujący w ścisłym powiązaniu z Centrum Onkologii w Warszawie. Każdy z tych oddziałów w miarę potrzeb prowadzi także działalność w zakresie, który można zwać otorynolaryngologią ogólną, zwłaszcza w odniesieniu do stanów nagłych. Poszczególne oddziały są prowadzone przez samodzielnych pracowników nauki (Prof. Antoni Krzeski, prof. Kazimierz Niemczyk i doc. Ewa Osuch – Wójcikiewicz). Wszyscy oni są powszechnie uznanymi w Polsce specjalistami od działów ORL, którymi kierują w Klinice.

Poziom kadry Kliniki przyczynił się do tego, że w rankingach Newsweeka z lat 2002, 2003 i 2004 Klinika zajęła II miejsce po Klinice Poznańskiej pod względem ogólnego podsumowania wszystkich punktów (100 – 99,8), zaś ex equo I/II miejsce pod względem tzw. wskaźnika uznania wynikającego z oceny przeprowadzonej w głosowaniu grona kierowników klinik, samodzielnych pracowników nauki i ordynatorów oddziałów ORL w Polsce. W latach 2001 – 2003 w tajnym plebiscycie studentów naszej Uczelni Klinika nasza zdobyła pierwsze miejsce jako najlepszy dydaktyczny ośrodek kliniczny. Ubolewamy, że przewlekła zapaść polskiej służby zdrowia uniemożliwia pełne wykorzystanie naszego potencjału zawodowego, dydaktycznego i naukowego. Co więcej katastrofalny stan finansów Centralnego Szpitala Klinicznego A. M. powoduje, że coraz bardziej daje się we znaki brak środków na odtwarzanie podstawowego sprzętu służącemu „usługowej „, pracy na poziomie ośrodka referencyjnego, o środkach na badania naukowe nie wspominając.

Niewątpliwie nasza Klinika jest szczególnie zaawansowana jeśli chodzi o nowoczesną rynchirurgię to znaczy chirurgię nosa i zatok przynosowych. Co więcej dzięki prof. dr.hab.med. Antoniemu Krzeskiemu, prowadzącemu ten oddział, ulega ona stałemu rozwojowi. Stworzył się zespół poświęcający się temu tematowi, zespół młodych, zdolnych, pracowitych kolegów. Pod Jego redakcją ukazał się pierwszy od roku 1936 polski podręcznik nowoczesnej rynologii, z którego uczy się cała polska młodzież lekarska i którego trzecie wydanie właśnie się ukazało. W końcu roku 2004 ukazał się także pod Jego redakcją podręcznik: „ Podstawy chirurgii nosa „, zaś w końcu roku 2005 „ Wykłady z chirurgii nosa „. Współautorami tych podręczników są czołowi rynolodzy świata, którzy wyrazili gotowość brania udziału w tworzeniu książek, których redaktorem jest właśnie prof. Krzeski.

Jeśli chodzi o otoneurochirurgię to z całą mocą podkreślam, że zespół ten kierowany przez pana profesora Kazimierza Niemczyka, robi, w sensie asortymentu operacji kości skroniowej i jej

otoczenia, wszystko to co czynią współczesne czołowe ośrodki tego typu w świecie. Dzięki współpracy z prof. dr. hab.. med. Andrzejem Marchelem, szefem Kliniki Neurochirurgii operacjami dnia powszedniego stały się operacje wczesnych guzów przewodu słuchowego wewnętrznego z dojścia poprzez kość skroniową i guzów podstawy czaszki. Klinika w ścisłej – podkreślam – ścisłej współpracy z Kliniką Neurochirurgii wykonuje te operacje jako operacje standardowe, bez nadzoru specjalistów z zagranicy (!).

Świadectwem uznania dla poziomu naszej pracy w zakresie chirurgii guzów głowy i szyi jest fakt, że na prośbę Kierownika Kliniki Guzów Głowy i Szyi Centrum Onkologii przejmujemy od nich znaczną część tych chorych, w których diagnozie i leczeniu jesteśmy kompetentni. Dla tego celu został wydzielony na naszym terenie Oddział Onkologii, którego ordynatorem jest pani doc. dr.hab. med. Ewę Wójcikiewicz.. W ścisłej współpracy z Kliniką Chirurgii Naczyń kierowaną przez prof. Jacka Szmidta od nieomal 10 lat, i wciąż jako jedyni w Polsce, prowadzimy leczenie operacyjne raka gardła dolnego z zastosowaniem techniki uzupełnienia ubytku autoprzyszczepem jelita cienkiego. Inicjatorami wdrożenia tych operacji byli ś.p. dr.med. Tadeusz Jegliński oraz dr.med. Zbigniew Szlenk.

Od kilkudziesięciu lat Klinika ma rozbudowane zaplecze rozpoznawania i leczenia zaburzeń słuchu, równowagi i mowy. Od roku 1978 Pracownią Audiologii kierował mgr. inż. Krzysztof Kochanek, który następnie uzyskał doktorat i habilitacje w zakresie medycyny wnosząc wielki wkład w rozwój nowoczesnych badań narządu słuchu. Zwracam uwagę, że znakomita część kadry foniatorów mazowieckich i nie tylko – specjalistów od zaburzeń mowy-przeszły szkolenia podstawowe i uzyskały doktorat w naszym Zakładzie Foniatrii prowadzonym przez Prof. dr. hab.. med. Barbarę Maniecką-Aleksandrowicz.

Główną wadą naszej Kliniki i jej byłego szefa jest to, że nie byłem i nie byliśmy ośrodkiem medialnym, nagłaśnianym we wszystkich możliwych środkach masowego przekazu i przy każdej okazji. A zwłaszcza wtedy kiedy nawet takiej okazji brakowało. To istotnie był i jest ogromny brak umiejętności znalezienia się w dzisiejszych czasach. Trzeba jednak było przede wszystkim dać współpracownikom szanse rozwoju, pozwolić na indywidualny sukces, a jednocześnie sprawić aby byli zgranym zespołem. Czasem ten ich sukces należało z nich wydusić dla ich własnego dobra i dobra zespołu. W zespole Kliniki z natury rzeczy znajdowali się ci, którzy wnoszą rozwój i ci którzy są znakomitymi rzemieślnikami sztuki lekarskiej, ale jednocześnie urodzonymi dydaktykami zdolnymi do nauki zawodu młodych lekarzy. Moim motto życiowym, jako szefa zespołu, było zawsze: „*Być najlepszym, ale nie jedynym !!!*”, co sprawiało, że Klinika była i jest nadal otwarta dla wszystkich kolegów z całego Kraju.

Jak to w życiu bywa, nie brak było spotkań z ludźmi, którzy okazywali się być łajdakami. W sposób szczególny denerwowali mnie zawsze ludzie z gatunku tych, o których znany satyryk mówi: „*Jest to tak zwany wielki człowiek bez reszty zakochany w sobie. Ze wzajemnością !* „. Tak jest jednak nasz świat zbudowany.

Usiłowałem – być może nie zawsze mi to wychodziło – być lojalnym wobec Uczelni, Wydziału, a przede wszystkim w stosunku do Kliniki której poświęciłem 42 lata życia, spośród 46 spędzonych w zawodzie lekarza. Moja ocena sytuacji i wynikające z niej postanowienie wcześniejszego odejścia jest wynikiem tego właśnie, lojalnego i odpowiedzialnego stosunku do niesłuchanie ważnego dla mnie i naszego Zespołu, ale chyba też dla Wydziału, Uczelni i środowiska otolaryngologii polskiej problemu.

Przedstawiając ten swoisty „remanent „ swojej działalności, zwłaszcza w okresie kierowania Kliniką Warszawską traktuje to jako swój naturalny obowiązek człowieka odpowiedzialnego. Głęboko wierzę – ba, mam pewność, że zespół naszej Kliniki będzie pracować w latach następnych lepiej i mądrzej niż pod moim kierownictwem. To będzie spełnieniem moich zamierzeń i marzeń na temat tego co dalej z Kliniką i w Klinice dzieć się powinno. Byłby to także wielki hołd złożony pokoleniom lekarzy i personelu medycznego, które pracowały w naszej Klinice od jej początków w roku 1921 i swą działalnością stanowiły o jej pozycji w Polsce.

Pragnę jednocześnie gorąco podziękować tym wszystkim, którzy w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat okazywali mi szacunek i przyjaźń.

W roku 2005 roku skończyłem siedemdziesiąt lat. Przekroczenie siedemdziesiątego roku życia to wejście w stan wojny. Wojny z losem, który każdego dnia może nam przynieść zakończenie naszej drogi życiowej. Jak nigdy przed tym uświadamiasz sobie jak wiele czasu dzieli nas od dnia narodzin, a jak niewiele od śmierci. Dla wielu z nas staje się to obsesją. Wstydliwą zwykle, mniej lub bardziej skrywaną. Dla niektórych, jak się wydaje mądrzejszych, staje się to oczekiwaniem niekiedy niecierpliwym, na wieczny pokój po męczącym życiu. Nie ma bowiem ludzi dojrzałych, są tylko ludzie zmęczeni. Nasze życie jest w istocie iluzją, za którą stoi nierzeczywistość marzeń. Okrutną prawdą jest bowiem to, że wszystko co mamy jest jedynie dzierżawą nie zaś własnością, nasze życie w to włączając. Powtarzam więc: dążyć więc należy do jednego, do pozostawienia po sobie śladu przy pełnej świadomości nieuchronności procesu przemijania. Tym czasem czas coraz bardziej przyspiesza, poznaję więc cenę przemijania zdając sobie sprawę z jak wieloma rzeczami mogę już nie zdążyć. Po tym jednak co w życiu widziałem staram się nie dawać się porywać ulotnym emocjom, nienawistnym gorączkom rozliczeń i zjadłym hasłom. Nie jestem skłonny do potępień ludzi, bo nazbyt wiele w życiu widziałem i znana mnie jest słabość kondycji ludzkiej. Także własnej!. Zyskałem to co z wiekiem przychodzi: zrozumienie proporcji i uwarunkowań przemijających zdarzeń. Jak mawiał Józef Piłsudski: „*jestem w tym wieku, że spokojnie patrzę w dal, skąd nikt nie wraca!*”. Jak mawiał Seneka, wychowawca Cezara Nerona: „*Śmierć, najstraszniejsze z nieszczęść wcale nas nie dotyczy, bowiem gdy my istniejemy, śmierć jest nieobecna, a gdy tylko śmierć się pojawi wtedy nas już nie ma* „.

Najmilszym podarunkiem urodzinowym był w dniu siedemdziesięciolecia wiersz, którego Autorką jest moja ukochana Wnusia Ola.

*Kwiatki rosły wolno na polance,
pomyślałam – pójdę więc tam,
niech jeden mój Dziadek dostanie!
Ma urodziny siedemdziesiąte,
podziwiam Go bardzo, bo nie są piąte.
Mój drogi Panie,
proszę po szampanie!
Wypijmy zdrowie Jego!
Niech Mu sprzyja dobry fart, Kolego!
Przyjdę w końcu tam, gdzie mnie zaproszono,
ładnie jeden zerwany kwiatek będę trzymała
i złościście się do mojego Dziadka uśmiechała!*

Dla Kochanego Dziadka na 70 – te urodziny od Oli.

Teraz tylko marzę o tym, aby emerytura moja nie oznaczała emerytury intelektualnej. „*Nil est in homine bona mente melius !!!*” (*Nic w człowieku nie ma bardziej wartościowego niż jego umysł!*). Chodzi o to, aby uniknąć tego co niektórzy zwać piśszcztliwie *umysłową andropauzą* lub też *plaskostopiem mózgowym*. A więc módlmy się aby nie przeżyć własnego mózgu. O zagrożeniach tego podeszłego wieku tak wspaniale pisał Whiliam Wharton w swej powieści „Tato „:

Miałem w życiu szczęście: rzeczywistość była bardzo zbliżona do marzeń osnutych na podstawie dostępnych mi możliwości. Nadszedł jednak czas, abym nauczył się być starym człowiekiem. Muszę przygotować się do znoszenia własnej słabości, bólu, roztargnienia, niesprawności umysłowej, obniżonej wrażliwości, konserwatyzmu w myśleniu i zwyczajach, nietolerancji-tego wszystkiego czego starałem się uniknąć.

Muszę przygotować się na mury, które wyrosną pomiędzy mną a innymi ludźmi, na akceptację tego, że moje wnuki będą mnie coraz mniej kochały, aż w końcu w najlepszym razie będą mnie tolerowały. Muszę też nauczyć się bez protestu przyjmować fakt, że moje wnuki, kiedy już

dorosną, uznają te wartości, które były dla mnie najświętsze za zamach na swoją wolność, podczas kiedy ich poglądy będą dla mnie oburzające.

Muszę się przygotować na śmierć moich znajomych i przyjaciół z lat młodości, moich krewnych, na to, że w moim życiu będzie coraz więcej pogrzebów. Trzeba będzie żyć z tymi, którzy zostali, nawet jeżeli okażą się nudni, nieciekawi, dla mnie obcy. Będę się przyglądał jak całe moje pokolenie ulega biologicznej degeneracji.

A wszystko to będzie dotyczyło także mnie. Ja też stanę się nudnym, starym ramolem, zawałidrogą, w rozmowach będę się powtarzał, będę z opóźnieniem łapał sens, zatracę zdolność logicznego budowania wypowiedzi. I sam nie będę tego dostrzegał. Nie będę świadom własnej degrengolady, która będzie pełznąć jak wąż, nie stawiając głośno kroków.

Każdego dnia obudzę się o dzień starszy. Zmieni się moja miara czasu, będzie mi się zdawało, że to świat uległ zmianie, że zmienia się szybciej niż kiedyś, że jest brzydszy, mniej ciekawy, mniej rozsądny-ogólnie rzecz biorąc nie do przyjęcia. Rzeczy łatwe staną się trudne, a rzeczy trudne-niewykonalne.

Będę miał czas na wędrówki po meandrach własnego życia, na powtórne przeżywanie dobrych chwil, odtworzenie i próby oswojenia chwil złych. I mam nadzieję, że będę spokojnie myślał o śmierci, że zrozumieć jej pozorną nagłość, nieodwołalność, że zobaczę śmierć jako źródło i przyczynę życia takiego jakim je znamy.

A jednak znając siebie wiem, że stanę na rzesach, żeby to wszystko jak najdalej oddalić w czasie. Ja tak łatwo nie popuszczam, nie poddaję się. I to mi może utrudniać starość, umieranie. Muszę się jakoś nauczyć starzeć, zanim nie będę za stary na naukę.

W tym schyłkowym okresie mej ziemskiej wędrówki często powtarzam sobie także poranną modlitwę Świętego Tomasza z Akwinu:

Panie, Ty wiesz lepiej aniżeli ja, że się starzeję i że pewnego dnia będę bardzo starym człowiekiem .

Zachowaj mnie od zgubnego nawyku, że muszę coś powiedzieć na każdy temat i przy każdej okazji,

Odbierz mi chęć prostowania każdemu jego ścieżek życia ...

Szkoda mi nie spożytkować wszelkich zasobów mądrości jakie posiadam, ale Ty Panie wiesz, że chciałbym zachować do końca mych dni kilku przyjaciół.

Wyzwól mój umysł od niekończącego się brnięcia w szczegóły, dodaj mi skrzydeł bym w lot przechodził do rzeczy

Użycz mi chwalebne uczucia, że czasem mogę się mylić.

Zachowaj mnie miłym dla ludzi

choć z niektórymi z nich trudno wytrzymać ...

Nie chce być świętym, ale zgryźliwi starcy to jedno ze szczytów osiągnąć szatana.

A więc pamiętaj młody czytelniku. Młodość nie jest programem zaś starość nie jest mądrością. Wygoda starości polega jednak na tym, że więcej się pamięta !. Doświadczenie i rozum podpowiadają przestrożę: staraj się opóźniać swoje pierwsze odruchy.

Memu Krajowi i moim Rodakom życzę z całego serca aby: a) budowano siłę, zwłaszcza siłę moralną, aby się ostać w historii, b) zachowywano harmonię pomiędzy tym co się myśli, tym co się mówi i tym co się robi, c) zachowano wierność sobie i naszym dobrym tradycjom narodowym oraz d) posiadano poczucie odpowiedzialności za oblicze współczesnej Polski i Polaków. Wejście do Unii Europejskiej budzi we mnie, podobnie jak w wielu moich rodakach, oceny ambiwalentne. Amerykanin Woodward obserwując zza oceanu hocki – klocki, które wyprawiają Niemcy z Francuzami przy konstruowaniu Konstytucji Unii Europejskiej pisze: „*Jakiego rodzaju przyszłość może być udziałem zjednoczonej Europy, jeżeli wypiera się ona swej własnej przeszłości* „. Któż bowiem zakładał pierwsze europejskie uniwersytety i biblioteki: Czyngis Chan lub Atylla czy też zakony benedyktynów i cystersów ?. Raz jeszcze warto przypomnieć, że podwaliny Europy tworzyły: prawo rzymskie, filozofia grecka i etyka chrześcijańska. Taką jest prawda bez względu na to czy się to Valeremu Giscard – d' Estaingowi podoba czy też nie !. Jurgen Habermas, jeden z

czolowych dzisiejszych filozofów świata mówi: „ Zgodnie z neoliberalnym dogmatem polityka coraz bardziej wycofuje się dzisiaj z tak ważnych dziedzin jak oświata, energia, komunikacja publiczna i kultura (o służbie zdrowia nie wspominając – G.J.), nie zapobiega standardowym ryzykom świata pracy. Natomiast ludzi, którzy przegrywają na modernizacji pozostawia samym sobie. Kapitalizm nieokielznany wspiera modernizację wyjałowioną, pustą „. Czyżbyśmy byli w obliczu nadchodzącej następnej rewolucji „, wyklętego ludu ziemi „, ?.

Jako dziecko wojny jestem obarczony wszelkimi kompleksami i bolesnymi doświadczeniami wynikającymi z okropności tego co przeżyłem, podobnie jak i moi rówieśnicy. Wciąż boję się, mimo wszystkich zapewnień i traktatów międzynarodowych, następnego antypolskiego sojuszu Rosji i Niemiec. Nie wierzę, aby jedni i drudzy zrezygnowali na wieki z „ *Drang nach Osten* „, i „ *pachoda za Wisłę* „. I tym razem Anglosasi i Francja byli by się przyglądali z udawanym współczuciem. Uważam za wciąż niebezpieczną i wcale nie wykluczone że nadal jest aktualną treść noty Bismarcka do rządu rosyjskiego po zwycięstwach pod Sadową i Sedanem. Pisał tam stary polakożerca: „ *Twierdzenie, jakoby ze wzrostu znaczenia naszego państwa powstać musiała nieodzownie rozbieżność, a nawet diametralne przeciwieństwo Rosji i Prus, jest bezpodstawną insynuacją francuską. Interesy te, wbrew tej insynuacji należy uznać za ściśle powiązane ze sobą PO WSZE CZASY, na mocy konstelacji, która w pełni zachowała swoją wartość i zachowa ją w dalszej przyszłości. Jest nią silne i niezachwiane stanowisko, jakie zarówno Prusy jak i Rosja zająć muszą ze względu na swe żywotne interesy, przeciw wszelkim planom, zakusom i intrygom zmierzającym do wskrzeszenia dawnego państwa polskiego. Lepszej podstawy dla dobrych stosunków pomiędzy dwoma sąsiadującymi państwami niepodobna wymyśleć !*”.

Późną jesienią roku 1989 Krzysztof Teodor Toeplitz pisał proroczo: „ *Jałta, cokolwiek by o niej nie powiedzieć, stanowiła dla Europy drugiej połowy wieku XX-ego mniej więcej to samo czym dla wieku XIX było Święte Przymierze. Było to porozumienie zwycięskich mocarstw, które chociaż z biegiem czasu skonfliktowane coraz bardziej, uważały się jednak za gwaranta, a z czasem także za żandarma ładu europejskiego i światowego. Nic nie przemawia przeciwko temu, że upadek Porządku Jałtańskiego nie rozpocznie ery dominacji niemieckiej. Należę jednak do pokolenia dla którego niemieckość kojarzy się nie tylko z kursem marki niemieckiej, ale także z łapankami, marmeladą z buraków, obozem w Pruszkowie i wspomnieniem mojego, siedemnastoletniego wtedy brata, który nie ma nawet grobu !*”

Norwid zwracał nam uwagę na wciąż aktualny problem: „ *Od wschodu: mądrość, kłamstwa i ciemnota, karność harap lub samotrzask ze złota. Trąd, jad i brud. Na Zachód: kłamstwo wiedzy i błyskotliwość, formalizm prawdy, wewnętrzna bezistotność, a pycha, pych !!! (Pieśń od ziemi naszej).*

W czasie wojny mówiło się w domu wiersz Adolfa Nowaczyńskiego piszącego po I Wojnie Światowej:

*Poda Ci Polsko Niemiec swą dłoń
Na synów Twych cmentarzysku.
do zgody bez zysku bez zysku !
Otóż się teraz, Polsko, bacznie broń
bo albo w lewą uderzy Cię w skroń,
albo prawą zmiążdży w uścisku*

I przypominano zalecenie Otto von Bismarcka zawarte w liście do siostry z dnia 26 marca 1861 roku: „ *Bijcie Polaków ażeby aż o życiu zwątpili. Mam wielką litość dla ich położenia, ale jeśli chcemy istnieć, to nie pozostaje nam nic innego, jak ich wytępić (ausrotten !). Wszak wilk nie jest temu winien, że go Bóg stworzył takim, jakim jest, i zabija go też za to każdy, kto tylko może „. A był to tak zwany przyzwoity, dziewiętnastowieczny polityk „z zasadami”. Czy współcześni nam*

politycy niemieccy są równie przyzwoici ?. Czy podobne myśli nie łaskoczą ich sklepienia czaszki ?.

A czuje się Polakiem, o którym tak pięknie pisał Konstanty Ildefons Galczyński sponiewierany w „Umyśle zniewolonym „, przez Miłosza:

*Bo jestem Polak
A Polak to wariat,
a wariat to lepszy gość !*

Czy noblista jednak nie zazdrościł Konstantemu Ildefonsowi poczucia piękna języka polskiego ?. Ten sam noblista, który mówił w wywiadzie dla Gazety Wyborczej w roku 1991 o Polsce jako kraju „*straszne ubóstwa* „, „*ciasnoty* „, i „*śmietnika* „. I ta deklaracja poety w liście do Wańkowicza: „*Jestem bardzo mało polski w sensie, jaki temu słowu zwykło się nadawać, standardy obowiązujące wśród szlachetnych Polaków są mi najzupełniej obce* „. A więc nie wariat !. Na szczęście, bo i noblista !.

Z perspektywy lat wciąż wracam do kompleksów wyniesionych z mego wojennego dzieciństwa, zwłaszcza ocen Powstania Warszawskiego 1944 roku. W zasadzie nie ma możliwości obiektywnej oceny tego zrywu, bo i podejmujący decyzje o jego wywołaniu byli w sytuacji beznadziejnej. Kolejne obchody rocznicy 1 sierpnia są przepełnione patosem i poczuciem odniesienia zwycięstwa, zapewne póki żyją jeszcze ci, co pamiętają, a zwłaszcza ci którzy walczyli. Jak rozumiem chodzi o zwycięstwo DUCHA i poczucia honoru. Radziłbym jednak konfrontować dwie daty 1 sierpnia i 2 października roku 1944: totalną w istocie zagładę miasta, nagromadzonych w nim dóbr kultury narodowej oraz co najmniej 220 tysięcy zabitych w walce i piwnicach zbombardowanych domów, o masowych egzekucjach nie wspominając. To samo dotyczy metody oceny Bitwy Warszawskiej roku 1920. Ja rozumiem niechęć, czy nawet nienawiść endecji do Piłsudskiego, w tym czasie Wodza Naczelnego i określanie zwycięstwa mianem „*cudu* „. A gdzie myśl strategiczna, gdzie znakomitość działań polskiego wywiadu i kontrwywiadu tych lat, gdzie niesłychany wysiłek milionów Polaków, w sytuacji kiedy Polska była państwem „*od wczoraj* „ ?.

Wielkim wzruszeniem jakie życie mi przyniosło jest wiersz mojej Wnuczki Oli Krauze napisany 25 czerwca 2002 roku, w oczekiwaniu na moją operację nerki:

*Mój Dziadek Grześ
to kochany koleś jest !
Kochamy Go za to jakim jest.
I że ma dobre serce !
Kocha zwierzęta i ma psa.
Zupełnie tak jak ja.
Jest lekarzem,
ale nie zdziwcie się -
nie weterynarzem !
Jest od zdobywania dla nich resztek
z jedzonka łasucha.
Czasem jest tam stara mucha,
a czasem kość sucha.
Mój Dziadek Grześ, to pracowitek jest !*

Ten wiersz 13 letniej Oli ośmiela mnie do przywołania rzymskiej maksymy: „*Tak żyłem, że sądzę iż nie urodziłem się daremnie* „,

*A co przede mną ?
Powróć mi Panie z dawnych lat
herbaty gorzkiej tyk w manierce
i umarłego Ojca list*

*sweter od żony, matki serce
Kochanowskiego przekład psalmów
spalony z Wilczą w czas powstania
i wszystko, czego życzę innym –
a sam niestety nie dostanę*

*I spowiedź świętą z dawnych burz
gdy łzy ważyła ręka Zbawcy –
i jeszcze jeden taki dzień
z dzieciństwa mego na ślizgawce*

*Ten śnieg co mi na oczy spadł,
i to com szeptał bezrozumny,
a potem jak najcięższy mszał
postaw z kielichem mi na trumnie*

Ks. Jan Tarnowski 1959.

Czy Agnieszka Osiecka w przedśmiertnym wierszu:

*Po niewidzialnej drabinie
wspinam się wyżej i wyżej
i czuję już Bożą rękę
jak wyciąga się po mnie.
Jeszcze nie widzę Jego twarzy,
ale On dostrzegł już moją,
i wiem, że troszczy się o mnie.
Ty, który wszystko znasz,
terminy święta i zagłady,
powiedz nam – jak jest tam,
po tamtej stronie lady ?.
Czy tam się sieje zboże,
czy tam się po prostu trwa,
może tam mają morze
i czy jest ktoś taki jak ja.....*

Przy końcu lat stanu wojennego krążyła po Warszawie prawdziwa anegdota. Znakomity aktor Gustaw Holoubek użalał się Kalinie Jędrusik: „*Patrz Kalina, nikt na nas nie zwraca uwagi, nas po prostu nie ma !!!*”. Na co Kalina mądrze odpowiedziała: „*Ależ Guciu, MYŚMY JUŻ BYLI !!!*”.

A więc MYŚMY JUŻ BYLI !!! I TO SIĘ NIE WRÓCI !!!

Należę do pokolenia dzieci wojny, które swój sen o wolności skończyło w dniu 1 września roku 1939. Za osiemnaście dni miałem obchodzić dzień moich czwartych urodzin. Od dnia wybuchu wojny żyliśmy między świadomością straszliwej klęski i stałą nadzieją. Jak pisał Tadeusz Sobolewski w swej książce „*Dziecko Peerelu* „: „*Łączylismy poczucie, że żyjemy w stanie prowizorki, że otaczająca nas rzeczywistość jest właściwie nierzeczywistością, która ma w sobie coś z teatralnego przedstawienia* „. Tak, w istocie byliśmy „*dziećmi Peerelu* „, bo szczyt naszej działalności życiowej przypadł w czasie niedobrym. Należało by się więc zapytać, czy w latach 1945 – 1989 Polska nie miała historii ?. Czy w ciągu tych 45 lat żyliśmy w kompletnej próżni ?. Miliony Polaków w tym czasie nie miało młodości, żadnych dokonań, nie kochało, nie uczyło się, nie uzyskiwało żadnych sukcesów ?. Nikt z nas nie chciał być lepszym w swym zawodzie ?. Kompletnym idiotyzmem było by twierdzić, że wszystko co robiliśmy w latach narzuconego nam systemu PRL-u było bez sensu, było na marne. Dlatego też nie zamierzamy zakładać pokutnej włosiennicy ani posypować głowy popiołem za to, że w tych trudnych czasach żyliśmy. Słusznie mówił MF Rakowski: „*Nie byliśmy bezmyślnymi wędrowcami po mazowieckich piaskach !*” I wreszcie historyk angielski, walijskiego pochodzenia Norman Davies w książce „*Europa walczy 1939 – 1945* „, na stronie 631 pisze: „*Kiedy w latach pięćdziesiątych XX wieku zapytano ministra spraw zagranicznych Chin – Czu-En-Laja co sądzi o skutkach rewolucji francuskiej odpowiedział:*

„Jeszcze za wcześnie, aby można było coś powiedzieć na ten temat !!!”. Te słowa traktuje się zazwyczaj jako doskonalą bon-mot, tymczasem dają one do myślenia. Okres dzieli lata dwudzieste XX wieku, kiedy Cu-En-Laj pobierał nauki we Francji od rządów terroru Robespiera w latach dziewięćdziesiątych XVIII wieku dokładnie 130 lat (!) Tak więc zważywszy, że od początku drugiej wojny światowej minęło około lat 70 świat nie zdołał ustalić rzetelnego uogólnionego spojrzenia na to wydarzenie. Tak więc chciałoby się powtórzyć słowa Churchilla po zakończeniu bitwy pod El-Alamein wypowiedziane: „ To nie jest koniec, to nawet nie jest początek końca, to dopiero koniec początku !”. Mamy rok 2010, kończę 75 lat, zaś „uczeni historycy „ Instytutu Pamięci Narodowej twierdzą, że okrągły stół roku 1989 to był spisek komuny z ich agentami. W głowie się to nie mieści !!!.

Musiąłem w swym życiu zrobić jednak coś dobrego, bo dobro, którego doświadczałem nigdy nie bierze się z niczego. Jestem dumny ze swoich przodków Ojca, Kochanej Mamy, Dziadków, którzy byli prostymi ludźmi o wielkich sercach, Pradziadka powstańca roku 1863. Los obdarzył mnie kochającą Żoną, jedyną znakomitą i mądrą Córką oraz Aleksandrą i Michałem, wspaniałymi wnukami, którym te wspomnienia i przemyślenia poświęcam.

Moje Wnuki muszą być dumne ze swoich Pradziadków – Jerzego Domańskiego (pseudonim okupacyjny Stanisław Kochoński), żołnierza Armii Krajowej, powstańca warszawskiego roku 1944 walczącego na Starym Mieście, zgłodzonego przez Niemców w obozie koncentracyjnym w Buchenwaldzie koło Weimaru i drugiego Pradziadka Władysława Janczewskiego, także żołnierza Armii Krajowej, organizującego z narażeniem życia nauczanie polskich dzieci w czasie okupacji niemieckiej na tajnych kompletach. Niech pamiętają o tych, którzy walczyli o Wolną Polskę. Tej, jako dobra Najwyższego nie wolno nikomu zmarnować.